



WINSTON GRAHAM

# POLDARK

Przybysz z morza

WINSTON GRAHAM

POLDARK  
Przybysz z morza

---

POWIEŚĆ O KORNWALII W LATACH 1810-1811

---

Przełożył Tomasz Wyżyński

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *THE STRANGER FROM THE SEA*

Redakcja: Beata Kołodziejska

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka / Aureusart

Zdjęcia na okładce: © Mark Owen / Arcangel Images, © Lee Avison / Arcangel Images

Korekta: Igor Mazur

Redaktor prowadzący: Anna Brzezińska

Copyright © Winston Graham 1981. All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Wyżyński, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-743-9

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

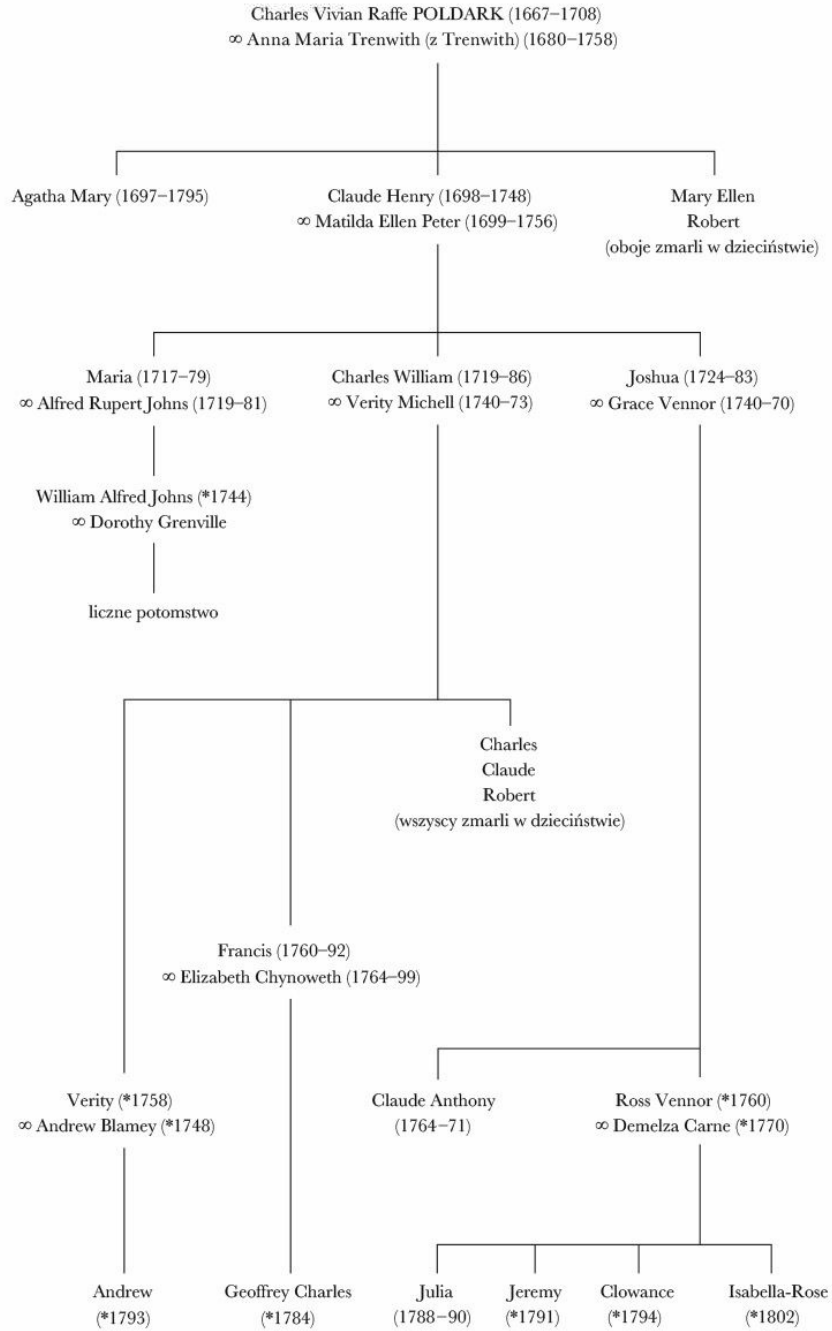
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

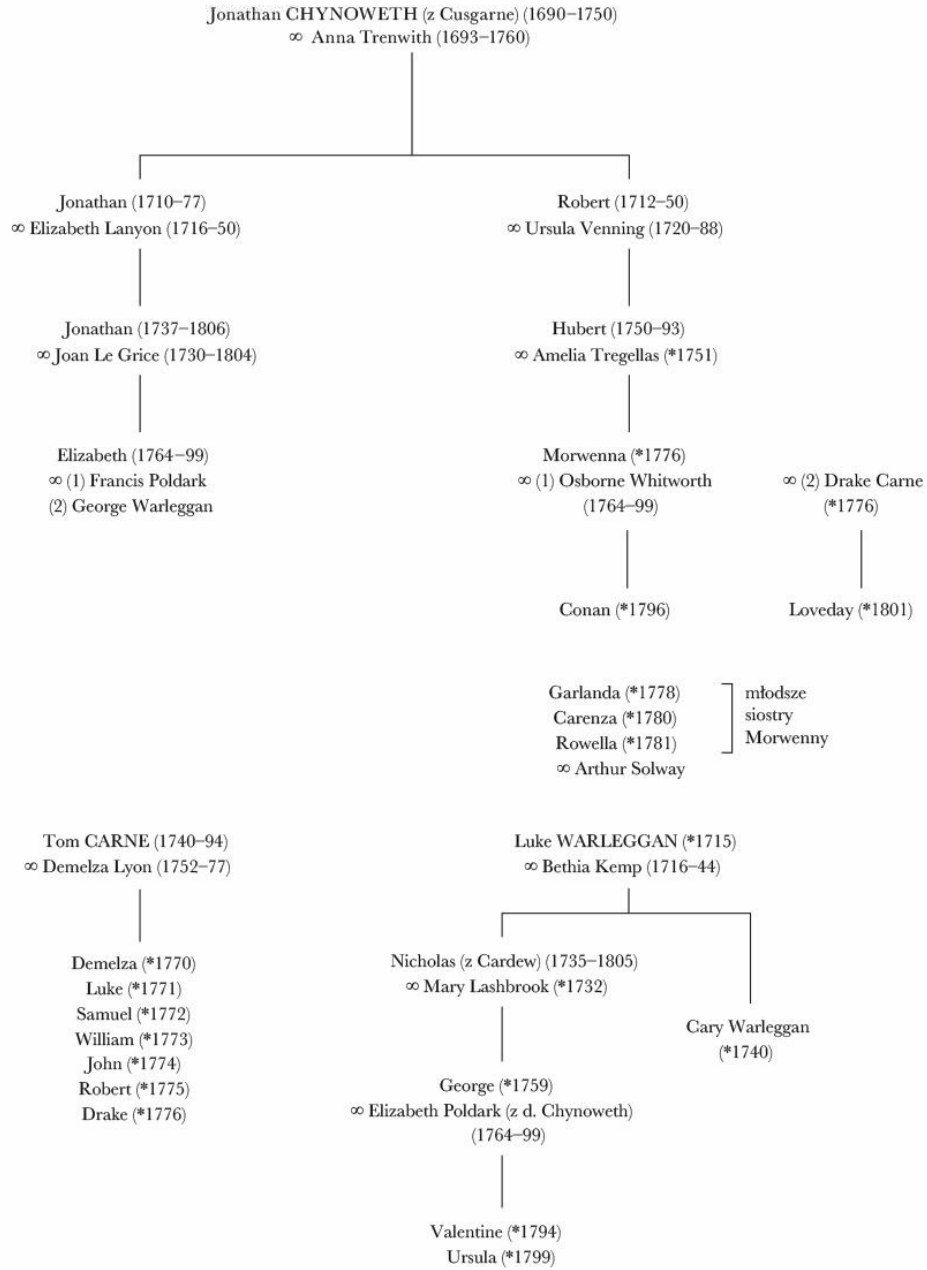
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.









## ***KSIĘGA PIERWSZA***



## *Rozdział pierwszy*

### I

W czwartek dwudziestego piątego października tysiąc osiemset dziesiątego roku, gdy w parkach i na błoniach Anglii wiatr niósł pierwsze jesienne liście, stary król oszalał.

Wydarzenie to miało ważne konsekwencje nie tylko dla kraju, lecz również dla świata. Bezpośrednio wpłynęło na życie wielu ludzi, w tym czterech Kornwalijszyków: kupca, oficera, dyplomaty i lekarza.

Naturalnie nie zdarzyło się to po raz pierwszy: dwadzieścia dwa lata wcześniej król postradał rozum na tak długo, że w Anglii ustały prace legislacyjne. Między tysiąc osiemset pierwszym a tysiąc osiemset czwartym rokiem miewał chwilowe zaburzenia, na tyle poważne, by niepokoiły lekarzy i ministrów. Obecny atak wydawał się nieco inny od poprzednich. Król był starszy, prawie ślepy, a jego ulubiona córka umierała...

Pierwszym objawem było to, że bez przerwy gadał. Przez cały dzień i większość nocy. Jedno zdanie na pięć brzmiało rozsądnie, reszta była stekiem bzdur, które przywodziły na myśl ogon latawca kręcący się w powietrzu w przypadkowych podmuchach wiatru. Zwracał się do swojego zmarłego syna, księcia Oktawiusza Hanowerskiego, bo sądził, że żyje, a żywych synów – było ich wielu – uważał za zmarłych. Wpełzał pod kanapę i z ogromnym trudem go stamtąd wyciągano.

Wigowie bez powodzenia usiłowali ukryć zadowolenie. Księżę Walii był gorącym stronnikiem ich partii i gdyby został regentem, natychmiast zdymisjonowałby nieudolnych torysów, którzy od wielu lat sprawowali rządy. Długie pozostawanie w opozycji zdawało się dobiegać końca.

Napoleon również się cieszył i nie próbował tego ukrywać. Wigowie byli zwolennikami pokoju: nawet ci, którzy w sekrecie nie podziwiali Bonapartego, uważali, że nie ma sensu toczyć z nim wojny. Zgadzała się, że nie da się go pokonać i należy z nim dojść do porozumienia. I to on miał podyktować warunki pokoju.

### II

Prawie dokładnie cztery tygodnie przed chorobą króla trzech jeźdźcy ostrożnie zjeżdżali kamienistym wozem w okolicach Pampilhosa. Jako drugi jechał mężczyzna w średnim wieku, wysoki, przystojny, choć nieco kościsty. Miał na sobie dobry, ale podniszczony strój do jazdy konnej, który nie pozwalał odgadnąć jego narodowości. Dwaj pozostali byli młodszy, niscy, żyłści i nosili obszarpane mundury armii portugalskiej. Wyruszyli wczesnym rankiem z Porto. Początkowo jechali piaszczystym gościńcem, lecz niedawno zmienił się on w kamienistą ścieżkę wśród karłowatych dębów, kolczastych zarośli, głazów i zbutwiałych pni drzew. Jeden z żołnierzy pełnił funkcję przewodnika.

Kiedy zaczął zapadać zmrok, starszy mężczyzna odezwał się po angielsku do Portugalczyka jadącego z tyłu:

– Daleko jeszcze?

Dwaj żołnierze wymienili kilka zdań.

– Garcia mówi, że klasztor w Buçaco znajduje się jakieś pięć kilometrów stąd, senhor.

– Znajdzie go w ciemności?

– Nigdy tam nie był, klasztor powinien być oświetlony.

– Jeśli nie został ewakuowany. Jak wszystko.

– Na rozkaz pańskiego generała, senhor.

Ruszyli dalej. Drobne, wytrzymałe konie potykały się i ślizgały na nierównej ścieżce. W trakcie jazdy mężczyźni stale natrafiali na opuszczone gospodarstwa, spalone stodoły, martwe zwierzęta, przewrócone wozy, ślady ewakuacji i zniszczenia. Widzieli także trupy, nad którymi krążyły roje much, przeważnie zwłoki starców zmarłych w czasie ucieczki. Było jednak jasne, że okolica nie jest tak pusta, jak mogłoby się zdawać. Gdziekolwiek poruszały się liście, w gajach oliwnych pojawiały się i znikwały ludzkie postacie, kilkakrotnie rozległy się strzały, a przynajmniej raz kule przeleciały na tyle blisko, by wzbudzić niepokój. Wieśniacy uciekali przed najeźdźcami, ale wielu mężczyzn pozostało, by prowadzić wojnę partyzancką z nieprzyjacielem. Widać było również żołnierzy Ordenanzy, portugalskiej milicji, w wełnianych czapkach, krótkich brązowych kapotach i przetartych bryczesach, uzbrojonych w noże rzeźnicze i stare garłacze, dosiadających dzikich kuców o zmierzwionej sierści. Najeźdźcy znięśli w chmurach pyłu albo pojawiali się na chwilę na tle nieba i dęli w sierpowate rogi. Anglik dwukrotnie musiał pokazać dokumenty, choć towarzyszyła mu portugalska eskorta. Kiedy myślał o losie maruderów nieprzyjacielskiej armii, cierpła mu skóra. Ale zachowanie najeźdźców prowokowało do zemsty.

Była ciepła wrześnie noc, lecz nie świecił księżyc. Na rozgwieżdżonym niebie płynęło kilka mlecznych obłoków.

Dotarli do koryta wyschniętej rzeki pod ścianą skalną, po czym prowadzący żołnierz zsiadł z konia i zaczął krążyć po okolicy niczym pies myśliwski szukający tropu. Anglik cierpliwie

czekał. Jeśli zabłądzili, mogą spać do rana owinięci płaszczami; noc spędzona wśród karłowatych kasztanowców nikomu nie powinna zaszkodzić. Mieli wodę i jedzenie.

Po chwili zza kępy aloesów wynurzyła się pochylona postać o nieokreślonym wieku i płci. Zbliżyła się ostrożnie i rozmawiała szeptem z Portugalczykami. Żołnierz odwrócił się i powiedział:

– Jesteśmy bliżej klasztoru, niż myśleliśmy, senhor, ale musimy okrążyć oddziały francuskie, które są bezpośrednio przed nami.

Zapadło milczenie.

– Gdzie dokładnie?

– Na zachodzie, senhor. To wielka armia. Przez cały dzień ścigali Anglików. Ten człowiek radzi, żebyśmy szli kilometr korytem wyschniętej rzeki, a później dotarli między wzgórzami do grzbietu Buçaco. W dolinie jest francuska artyleria.

Anglik sięgnął do sakiewki, wysupłał monetę i wręczył ją zgarbionej postaci, która uratowała ich przed wpadnięciem na posterunki nieprzyjaciela. Ponieważ cenił własną wolność, moneta była duża; a obszarpany cień okazał się odpowiednio wdzięczny. Wycofał się w ciemność, nisko się kłaniając, i zniknął. Anglikowi przyszło do głowy, że w obecnym chaosie, gdy załamała się cywilizacja, prymka tytoniu mogłaby być cenniejsza od monety.

Jeźdźcy skorzystali z rady obszarpanego człowieka i ostrożnie ruszyli wśród wielkich głazów. W dalszym ciągu czuli niepokój, że mimo wszystko natkną się na Francuzów. Od czasu do czasu prowadzący żołnierz zatrzymywał konia i nasłuchiwał, starając się wyłować dźwięki świadczące, że zbliżają się do obozowiska nieprzyjaciela. Po godzinie dotarli do miejsca, gdzie powinni skręcić w stronę wzgórz. Zastanawiali się, czy nie spędzić tam nocy, ale uznali, że im bardziej oddalą się od Francuzów, tym będą bezpieczniejsi. Porzucili myśl o dotarciu do klasztoru w Buçaco, bo wydawało się prawdopodobne, że Francuzi już go zajęli.

Pod wieczór zaczął wiać zimny wiatr od strony morza, które znajdowało się zaledwie kilka kilometrów dalej, i jeźdźcy ciasniej owinęli się płaszczami. Ruszyli pod górę, najpierw wśród pagórków, a później kamienistymi ścieżkami prowadzącymi na skalistą grań. Kiedy dotarli na szczyt porośnięty kolcolistami i wrzosami sięgającymi do pasa, pierwszy żołnierz znów się zatrzymał. Dwaj pozostali jeźdźcy poszli za jego przykładem. Nasłuchiwali. Bardzo dziwny dźwięk przypominający zawodzenie, rozpaczliwy lament kobiety. Nie, wykluczone. Może dźwięk piszczałki pasterskiej? Również nie.

Konie się zrównały. Dwaj Portugalczycy dyskutowali między sobą. Ten, który znał angielski, powiedział:

– Musimy skręcić dalej na północ, senhor. To Francuzi.

– Nie – odparł Anglik. – Nie wierzę, że to Francuzi.

– Więc kto?

– Przekonajmy się.

– Nie, nie! Schwytają nas i rozstrzelają!

– Więc zaczekajcie tutaj – rzekł Anglik. – Albo jedźcie powoli pięćdziesiąt kroków za mną. Jeśli się mylę, możecie uciec. Francuzi nie będą was ścigać w nocy.

– A pan, senhor?

– Domyślam się, co to za dźwięk.

Ruszył konno wśród wrzosów w stronę skalistego urwiska widocznego w ciemności, ponieważ zasłaniał gwiazdy. Eskortujący go żołnierze podążali w bezpiecznej odległości. Przebyli około czterystu metrów i zatrzymali się, słysząc zapytanie wartownika. Anglik ściągnął wodze i spoglądał na samotnego żołnierza, który celował do niego z muszkietu. Później zauważył trzech innych żołnierzy częściowo ukrytych za krzakami, również z bronią gotową do strzału.

– Przyjaciel – powiedział szybko po angielsku. – Nazwisko Poldark. Z Porto z listami. Do tego dwaj Portugalczycy jako eskorta.

Po chwili wartownik opuścił lufę muszkietu i powoli ruszył naprzód. Był tęgim mężczyzną w wojskowym berecie.

– Proszę o dokumenty.

Anglik zsiadł z konia, sięgnął do kieszeni, wyjął pugilares i podał wartownikowi. Pojawił się drugi żołnierz z osłoniętą latarnią i obaj pochylili się nad papierami.

– Tak jest, sir. Chyba wszystko w porządku. Z kim chciałby się pan spotkać?

– Kto wami dowodzi?

– Dywizją generał Cole, sir, a batalionem pułkownik McNeil.

– Jesteście z piechoty?

– Drugi batalion siódmego regimentu fizyliarów. Sierżant Lewis.

– Chciałbym się zobaczyć z pułkownikiem.

Dwaj portugalscy żołnierze również zsiadli z koni. Ich białe zęby zaślniły w mroku, gdy zostali powitani przez angielskich sojuszników. Ruszyli wraz z rumakami wzdłuż grzbietu wzgórza i wkrótce znaleźli się wśród masy żołnierzy, którzy rozmawiali, gawędzili, lecz nie gotowali strawy. Nieliczne ogniska rozpalono tak, aby były niewidoczne z daleka.

– Eskortujących mnie Portugalczyków bardzo zaniepokoił dźwięk kobzy – rzekł po chwili Poldark. – Co to za melodia?

Sierżant Lewis pociągnął nosem.

– Jakiś stary szkocki lament. Żołnierze mają teraz ochotę słuchać melancholijnych pieśni. Jutro rano muzyka będzie bardziej marsowa.

Dotarli do kępy wysokich cedrów. Ich potężne pnie wykorzystano jako podpory ścian prowizorycznego sztabu polowego, gdzie stały stoły i płonęły latarnie. Lewis zniknął, po czym

wrócił z wysokim oficerem, który stanął jak wryty, wytrzeszczył oczy i przełknął ślinę.

– Poldark, Poldark! – zawołał. – Kapitan Poldark we własnej osobie! Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam w Portugalii drugiego Poldarka!

Przybyły Anglik również się zatrzymał, a później wybuchnął śmiechem.

– To pan, McNeil?! Do licha, niech mnie powieszają!

– Na szczęście dla pana ładnej żony udało się panu uniknąć stryczka – odparł McNeil. – Choć byli tacy, co uważali, że właśnie na to pan zasługuje!

Uścisnęli sobie dłonie po króciutkim wahaniu. Nigdy nie zostali przyjaciółmi, ponieważ dwadzieścia lat wcześniej znajdowali się po przeciwnych stronach barykady. Ross był przemysłowcem, a McNeil tropił przemysłowców. Kapitan Poldark przyплыł do Porto nie z listami, jak wcześniej powiedział, lecz w specjalnej misji jako obserwator z upoważnienia rządu. Kiedy znalazł się w Porto, poinformowano go, że Wellington od trzech tygodni cofa się ze swoją armią, i doradzono płynąć statkiem do Lizbony, skąd łatwiej nawiązać kontakt z Brytyjczykami. Jednak gdy się tego dowiedział, slup już odpłynął, i Ross postanowił jechać drogą lądową, choć mu to odradzano.

Nie wyjaśnił, na czym polega jego misja, a pułkownik McNeil nie pytał. Uprzejmie wymienili wiadomości o kornwalijskich znajomych – Bodruganach, Trevaunance'ach, Teague'ach i Treneglosach – po czym przeszli sto metrów do skraju skalnego grzbietu, skąd widzieli cały obszar równiny Mondego. Błyszczało na niej mnóstwo świateł. Wszędzie płonęły ogniska.

– Francuzi – rzekł lakonicznie McNeil.

– Dowodzi Massena?

– Tak. Wellington postanowił nie cofać się dziś dalej, więc rozbiliśmy obóz i obserwowaliśmy, jak armia francuska wypełnia dolinę poniżej nas. Przez cały dzień równiną maszerowały kolumny żołnierzy i docierały do stóp wzgórz. Oczywiście jest ich zaledwie dwa razy więcej od nas, lecz połowa naszych oddziałów to Portugalczycy, którzy jeszcze nie brali udziału w walce. Ach, cóż, jutro się przekonamy... Pod Azincourt było nas pięć razy mniej, prawda?

– Tak, rzeczywiście. Jednak tutaj nie mamy przeciwko sobie wystrojonych, napuszonych rycerzy, tylko rewolucyjną armię francuską dowodzoną przez geniusza.

– Niewątpliwie walka będzie ciężka, ale tym lepiej. Kiedy rusza pan w dalszą drogę?

– Nie jutro, jeśli dojdzie do bitwy.

McNeil spojrzął na towarzysza. Ross Poldark miał na sobie cywilną odzież, może po to, by bezpieczniej jechać przez kraj ogarnięty wojną. Zresztą już od dawna nie był oficerem w służbie czynnej, ponieważ wybrał inną drogę życiową i został posłem do Izby Gmin. Osiągnął już wiek średni, posiwały mu skronie, nie przytył, lecz na twarzy pojawiło się kilka zmarszczek. Należał do specyficznego gatunku ludzi, którzy zawsze pozostają szczupli, gdyż trawi ich wewnętrzny

ogień.

– Zamierza pan z nami zostać?

– Oczywiście. Mam karabin. Przyda się każdy dodatkowy strzelec.

– Czy to nie król Henryk V powiedział: „Im mniejsza nas liczba, tym większa częśćka honoru dla wszystkich”<sup>1</sup>? Tak czy inaczej, nie musi się pan angażować. – McNeil pogładził się po szpakowatym wąsie i wybuchnął śmiechem. Był to ledwie chichot w porównaniu z ogłuszającym rykiem, który pamiętał Ross.

– Nie palimy ognisk, by Massena uważał, że jest nas mniej?

– Tak. Chyba nie wie, że dołączyły do nas druga dywizja i piąta dywizja. Miło będzie sprawić mu niespodziankę. Zawsze dobrze mieć w zapasie trochę dobrych żołnierzy.

Poldark owinął się płaszczem. Od strony morza wiał zimny wiatr niosący fale mgły.

– A pan, McNeil? Kiedy spotkaliśmy się w Kornwalii, był pan kapitanem w Scots Greys. Zmienił pan pułk?

McNeil wzruszył ramionami.

– Nie mam majątku ani koneksji, Poldark. Gdybym został w dawnym regimencie, mógłbym awansować co najwyżej do stopnia majora. Tutaj, w tyglu walk na Półwyspie Iberyjskim, zrobiłem najważniejszy krok, choć jak dotąd jestem tylko pułkownikiem brevetowym. Ale spodziewam się, że w wyniku nieuchronnych strat wojennych wkrótce otrzymam normalny patent pułkownika.

Stali w milczeniu, spoglądając na światełka mrugające na równinie. Wśród skalistych wzgórz i wysokich drzew płynęły po sobie kolejne obłoki mgły. McNeil uważał za naturalne, że nie znajdzie się na liście poległych. Ross Poldark równie naturalnie cieszył się z perspektywy niebezpiecznej bitwy, która nie mogła przynieść mu żadnej korzyści, lecz w której mógł stracić życie.

– Powiedział pan jedną ciekawą rzecz, pułkowniku – odezwał się Ross. – Może się przesłyszałem. Wspomniał pan o drugim Poldarku służącym w Portugalii?

– Tak.

– O kogo chodzi? Czy coś źle zrozumiałem?

– Dobrze pan zrozumiał. W regimencie piechoty z Monmouthshire służy oficer o nazwisku Poldark. Któregoś dnia widziałem jego nazwisko na liście kwatermistrzowskiej. Zastanawiałem się, czy go nie odszukać, ale – jak pan rozumie – mamy mnóstwo innych zajęć!

Ross poruszył stopą, która ostatnio często sprawiała mu ból.

– Jest tu w tej chwili?

– Na pewno. Czterdziesty trzeci regiment piechoty wchodzi w skład lekkiej dywizji generała Craufurda. Powinni zajmować pozycję na lewym skrzydle.

– Daleko?

- Osiemset metrów stąd. Chce go pan zobaczyć? To krewny?
- Tak przypuszczam.
- W takim razie każę komuś pojechać tam z panem po posiłku. Rozumiem, że najpierw zje pan z nami kolację?
- Chętnie.

### III

Na kolację podano tylko wędliny. W nocnej ciszy słychać było granie świerszczy i szum wiatru. Kilka razy w mroku rozległy się żałobne tony kobzy, ponure dźwięki, jakby opłakiwano jutrzejszą rzeź. Ross miał wrażenie, że jest to lament, a zarazem wezwanie do boju. W dole, na równinie, warkotały werble. Wydawało się, że Francuzi nie ukrywają swojej potęgi – potęgi, która zdziesiątkowała wszystkie pozostałe armie Europy – by przerazić przeciwników i pozbawić ich odwagi przed świtem. Anglicy zdawali sobie sprawę, że nazajutrz dojdzie do bitwy, ponieważ Wellington ogłosił, że armia nie będzie się dalej cofać – a Wellington zawsze dotrzymywał słowa. Jednak Francuzi nie wiedzieli, czy armia obozująca na stokach wzgórz wznoszących się nad równiną nie podjęła mądrej decyzji i nie wymknęła się przed świtem, pozostawiając tylko ariergardę mającą opóźnić natarcie nieprzyjaciela. W ostatnich kilku latach często się to zdarzało. Zeszłoroczne zwycięstwo Brytyjczyków pod Talaverą było wyjątkiem, nie regułą.

Kiedy skończyli posiłek, zbliżała się północ. Rossa poprowadził przez obóz jeden z żołnierzy. Wielu ludzi już spało, a przynajmniej leżało na ziemi owiniętych kocami. Wydawało się, że wszyscy są całkowicie ubrani: nikt nie próbował się rozbierać, pamiętając o nadchodzącym dniu. Żołnierze w grupkach kucali na ziemi lub leżeli wsparci na łokciach i cicho rozmawiali. McNeil wspomniał o bitwie pod Azincourt i Ross przypomniał sobie przedstawienie teatralne widziane na Drury Lane, w którym król obchodził obóz w nocy przed bitwą. Zdziwiał, że szkocki oficer potrafił zacytować fragment sztuki. Ross pamiętał, że w dramacie występował Kornwalijszyk. Nie, nie, to króla wzięto za Kornwalijszyka, ponieważ nazwał się Le Roy... Czy Szekspir sądził, że to kornwalijskie nazwisko?

Ross musiał przejść osiemset metrów i pod koniec zaczął kuleć. Ostatnio częściej jeździł konno, niż chodził. Później należało wypytywać, szukać w mroku wśród leżących postaci, ktoś uniósł kciuk, ktoś inny wskazał palcem. Żołnierz towarzyszący Rossowi krążył między grupkami jak mała szkocka łasica. W końcu jakiś mężczyzna usiadł i spytał:

- Tak, nazywam się Poldark. Kto mnie szuka?
- Twój krewny – odparł Ross. – Któż by inny?

Rozległo się przekleństwo i z zaskoczoną miną wstał chudy mężczyzna. Siedział oparty plecami o drzewo, na kolanach trzymał pochwę szabli. Zmrużył oczy, usiłując coś zobaczyć w słabym świetle gwiazd.

– Na Boga żywego! Toż to stryj Ross!

– Geoffrey Charles! Nigdy nie przypuszczałem, że będę miał szczęście spotkać cię w takich okolicznościach! Jestem na tyle zarozumiały, aby dojść do wniosku, że w armii brytyjskiej nie służy inny człowiek o nazwisku Poldark!

– Na Boga! – Geoffrey Charles uściśnął krewnego, przyciskając policzek do jego policzka, po czym przyjrzał mu się, trzymając go za ramiona. – Nie wierzę własnym oczom! Właśnie myślałem o domu, aż tu nagle, jak dzinn z butelki, pojawia się człowiek, którego najlepiej pamiętam z całej tej zbieraniny i, z jednym wyjątkiem, najwyżej cenię! Niechaj Bóg ma nas w swojej opiece! To niemożliwe!

Ross wyjaśnił, skąd się wziął w Portugalii.

– Czy stryj nie powinien natychmiast jechać do Wellingtona, zamiast marnować czas na rozmowy z nieważnym bratankiem? Niech stryj pędzi na spotkanie ze starym Douro, a później chętnie ze stryjem porozmawiam!

Ross się zawahał, ponieważ nie miał ochoty wyjaśniać dokładnych powodów swojej obecności w Portugalii. W istocie rzeczy czuł obawę, że gdyby przedstawił je w kilku zdaniach, syn Francisca Poldarka mógłby nie docenić ich ważności.

– Geoffrey Charlesie – powiedział. – Wysłano mnie tutaj jako obserwatora, a nie człowieka składającego meldunki. Podejrzewam, że generał Wellington ma dziś w nocy wiele spraw na głowie. To, co mam mu powiedzieć, nie pomoże mu wygrać jutrzejszej bitwy, więc równie dobrze mogę się z nim zobaczyć później.

– Stryj chce tu zostać?

– Oczywiście. Nie chcę tracić takiej okazji. Mógłbyś wykorzystać strzelca wyborowego podlegającego twoim rozkazom?

– Moim rozkazom, *mon Dieu?! C'est à ne pas y croire...*

– Widzę, że jesteś teraz kapitanem. Ponieważ już dawno zrzuciłem mundur, czyni cię to starszym rangą i jestem gotów to zaakceptować.

Geoffrey Charles parsknął.

– Nie doceniasz się, stryju, bo, jak rozumiem, w ciągu ostatnich dziesięciu lat uczestniczyłeś w wielu awanturach! Nie wspominając o członkostwie w rozgadanej Izbie Gmin! Jeśli jednak chcesz stać u mojego boku w czasie bitwy, która ma zniechęcić Francuzów do wejścia na to wzgórze... cóż, z przyjemnością spełnię twoje życzenie!

– Dobrze, a zatem umowa stoi.

– Widziałeś francuski obóz w dole, stryju?



– Pokazał mi go pułkownik McNeil.

– Więc stryj zdaje sobie sprawę, że może nigdy nie mieć okazji dostarczyć wiadomości Wellingtonowi?

– Wezmę to ryzyko na swoje sumienie.

Ross nie był wcale pewny, czy generał powita go z zadowoleniem. Miał list polecający, lecz Wellington dysponował własną, prywatną linią łączności z ministrem spraw zagranicznych, którym przypadkowo był w tej chwili jego brat. Mógł podejrzewać, że dziwna osoba, ani cywil, ani wojskowy, niespodziewanie odwiedzająca jego sztab przybywa na polecenie innych członków gabinetu, którzy mają o nim niższe mniemanie. Nie było to dalekie od prawdy, choć Ross nie podzielał ich opinii.

Siedzieli pod drzewami na miękkich igłach sosen. Ordynans przyniósł gorący napój uchodzący za kawę i rozmawiali jak starzy przyjaciele.

Nie widzieli się od czterech lat, ponieważ Ross często wyjeżdżał za granicę po powrocie Geoffreya Charlesa spod La Coruñi. Zdumiał się, że krewny tak bardzo się zmienił. Kiedy ostatni raz widział Geoffreya Charlesa, był on nastoletnim kadetem, wesołym i psotnym. Przepijał i przegrywał w karty niewielką gażę oficerską, bez przerwy wpadał w tarapaty i tkwił po uszy w długach. Teraz Ross patrzył na chudego, muskularnego młodzieńca – chłopięcą pulchność zniknęła. Geoffrey Charles miał opaloną, inteligentną twarz, przystojną, lecz twardą, uformowaną przez służbę wojskową lub wieloletnie polowania na lisy. Walczył dłużej od Rossa. Nie był już tak podobny do ojca jak we wczesnej młodości: nosił ciemne, krótkie włosy i miał nieco inny zarys szczęki.

– Na moje ciało i duszę, jak powiedziałaaby Prudie! Nigdy nie przypuszczałem, że po naszym ostatnim spotkaniu będziesz do mnie tak przyjaźnie nastawiony, stryju! Jesteś bogaty? Wątpię. Poldarkowie nigdy nie zdobywają majątku, choćby sprzyjała im fortuna. A jednak zaspokajałeś najpilniejsze potrzeby. A nie były małe! Wyciągnąłeś mnie z kabały! Gdybyś mi nie pomógł, mógłbym nigdy nie zobaczyć Hiszpanii i Portugalii, tylko spędzić najlepsze lata w więzieniu Newgate!

– Wątpię – odparł Ross. – Twój awans mógłby się trochę opóźnić, ale w czasie wojny nawet Anglia nie może pozwolić, by młodzi oficerowie trafiali do więzienia za parę gwinei.

– W najgorszym razie chyba mógłbym zapomnieć o dumie i poprosić ojczyma George’a, żeby mnie wykupił. Tak czy inaczej, twoja hojność i wyrozumiałość sprawiły, że uciekłem lichwiarzom spod noża bez tego upokarzającego doświadczenia.

– Wygląda na to, że się zmieniłeś, kapitanie Poldark.

– Dlaczego pan tak sądzi, kapitanie Poldark?

– Twój awans. Twój poważny wygląd. Cztery lata twardej wojaczki.

Geoffrey Charles wyprostował nogi.

– Jeśli chodzi o awans, było to dość proste. Na Półwyspie Iberyjskim ludzie giną w młodym wieku, więc szybko można otrzymać wolne stanowisko. Co do powagi, bierze się głównie stąd, że zastanawiam się, co napiszę ciotce Demelzie, jeśli jej mąż zginie pod moim dowództwem. Cztery lata wojaczki, jak sam dobrze wiesz, stryju, nie sprawiają, że człowiek zmienia się w anioła. Raczej sprzyjają niestosownym zainteresowaniom, jak kobiety, alkohol i karty!

Ross westchnął.

– Ach, cóż... Nie wspomnę o tym twoim krewnym.

Geoffrey Charles się roześmiał.

– W tej chwili nie mam długów, kapitanie. To wyjątkowa sytuacja. W zeszłym miesiącu, przed tym przeklętym marszem, w pułku urządzono wyścig osłów. Wszyscy stawiali mnóstwo pieniędzy, a ja, wierząc w tę bestię, postawiłem na nią sporą sumę i prześcignąłem o łeb młodego Parkinsona z dziewięćdziesiątego piątego regimentu piechoty! Po raz pierwszy od dwudziestu kilku miesięcy spłaciłem wszystkie długi i mam w kieszeni jeszcze kilka gwinei! Nie! Miałem szczęście, że zwyciężyłem, bo inaczej nie wiedziałbym, z czego zapłacić przegraną!

Ross dotknął obolałej kostki.

– Widzę, że raniono cię w twarz.

– Tak, ale nie tak efektownie jak ciebie, stryju. W lipcu nad rzeką Côa straciłem kawałek szczęki, stoczyliśmy potyczkę przed mostem. Ale mogło być gorzej. Chirurg dał mi na szczęście kawałek kości.

## Rozdział drugi

### I

Noc się dłużyła, lecz drzemali tylko od czasu do czasu, wymieniali uwagi, żartowali, wspominali. Przed świtem rozmawiali poważniejszym tonem o sobie, Kornwalii, Poldarkach.

Geoffrey Charles bardzo przeżył śmierć matki. Ross pamiętał, że kuzyn odwiedził go kiedyś w Londynie. Był bladolicym młodzieńcem i powiedział, że strata matki zmieniła jego stosunek do przyszłości. Nie miał już ochoty jechać do Oksfordu, w przyjemny sposób przygotowywać się do życia ubogiego ziemianina w najdalszym południowo-zachodnim zakątku Anglii. Ze względu na głęboką miłość do matki akceptował kuratelę ojczyzna, którego nie lubił, ale po jej śmierci stało się to niemożliwe. Chciał sam radzić sobie w świecie i czuł, że nie może prosić sir George'a Warleggana o dalsze przysługi. Zamierzał wkrótce opuścić Harrow i wstąpić jako kadet do Królewskiego Kolegium Wojskowego. Ross usiłował mu to wyperswadować: znał armię na tyle dobrze, że wiedział, jak trudny jest w niej los młodego człowieka bez pieniędzy i wpływów. Znał również kosztowne gusta Geoffreya Charlesa i uważał, że służba wojskowa będzie za ciężka dla kuzyna. Chociaż młody człowiek stwardniał po trzech latach w Harrow, jako dziecko był rozpieszczany przez matkę i w dalszym ciągu rzucało się to w oczy.

Ale nic nie mogło zmienić jego decyzji. Ross miał wrażenie, że bratanek chce przede wszystkim opuścić Kornwalię i zapomnieć o związanych z nią wspomnieniach. Musiał wyjechać, a niechęć do ojczyzna była tylko jednym z powodów. Zrealizował swój plan. Oznaczało to dłuższą wymianę listów z George'em – lecz przynajmniej nie musieli się spotykać. George okazał się dość hojny i zaproponował pasierbowi dwieście funtów rocznie do chwili ukończenia przez niego dwudziestego pierwszego roku życia; później zamierzał mu wypłacać pięćset funtów rocznie. Geoffrey Charles chciał odrzucić ofertę ojczyzna, lecz Ross zmusił go do jej przyjęcia.

– Nie myślę tylko o sobie, choć im więcej dostaniesz, tym mniej będziesz potrzebował ode mnie! – powiedział. – George... George ma pewne zobowiązania wobec twojej matki i twojego ojca. Elementarna sprawiedliwość nakazuje, by się z nich wywiązał.

– By uspokoić sumienie?

– Nie mam pojęcia, co może uspokoić sumienie George'a albo wzbudzić w nim wyrzuty sumienia. Jeśli uspokoi to jego sumienie, będę się z tego cieszył. Ale to raczej kwestia rozsądnej

umowy, która przyniesie wszystkim korzyści. Z pewnością ucieszyłoby to twoją matkę.

– Cóż, skoro tak uważasz, stryju, chyba powinienem się zgodzić.

Działo się to w zimnym, nieprzyjemnym lutym tysiąc osiemsetnego roku – nieprzyjemnym pod każdym względem. Geoffrey Charles z czasem odzyskał dobry humor. Polubił służbę wojskową – nawet w czasie rocznego, nietrwałego pokoju – a pięćset funtów rocznie od George’a, które zaczął otrzymywać w tysiąc osiemset piątym roku, nie powstrzymało go przed zaciąganiem długów. Ross dwukrotnie musiał je spłacać, gdy sytuacja przybrała niebezpieczny obrót. Ostatnim razem uregulował weksle na kwotę tysiąca funtów. Jednak nie wpłynęło to na ich stosunki.

Geoffrey Charles ziewnął, wyjął zegarek i spojrzął na niego w świetle gwiazd.

– Dochodzi czwarta, jeśli dobrze widzę. Za kilka minut Jenkins powinien przynieść następną kawę. Przed świtem musimy coś zjeść, ponieważ przypuszczam, że wtedy nas zaatakują. Wcześniej chciałbym przedstawić stryja kilku swoim przyjaciołom.

– Nie wyglądam zbyt dobrze w cywilnym ubraniu.

– Często opowiadałem o stryju swoim bliskim kolegom, Andersonowi i Daviesowi. Stryj jest znaną osobistością.

– Nonsens.

– Cóż, sądzę to po listach, które dostaję z Anglii. Pojawia się w nich czasem nazwisko stryja.

– Listach od kogo?

– Nieważne. Nawiasem mówiąc, stryj prawie nie opowiadał o Kornwalii.

– Nie pytałeś.

– Nie... Nie z braku zainteresowania... ale czasami, gdy ktoś zajmuje się zabijaniem, odrobina nostalgii to dobra rzecz.

– Opowiedz mi o Wellingtonie.

– Co chciałbyś wiedzieć, czego jeszcze nie wiesz, stryju? Jest zimny jak ryba, ale to wielki wódz i, jak sądzę, znakomity żołnierz.

– W Anglii nie wszyscy tak uważają.

– Również nie wszyscy jego podkomendni. Nawet tu są wigowie, którzy myślą, że nie ma szans na pokonanie Napoleona. Kiedy się wycofujemy, zawsze kiwają głowami, jakby chcieli powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

– Anglicy są zmęczeni długą wojną – rzekł Ross. – Na północy i w środkowej części kraju panuje ogromna bieda. Wydaje się, że rząd poświęca tyle samo energii na wojnę z Francją, ile na tłumienie rewolucji w Anglii.

– Anglicy często przyprowadzają mnie o mdłości – odparł Geoffrey Charles. – Kiedy wróciliśmy do kraju po La Coruñi, traktowano nas, jakbyśmy zdradzili kraj i uciekli! Mówili o Johnie Moorze z taką pogardą, jakby był partaczem i słabeuszem! Uważam, że gdyby nie umarł,

postawiliby go przed sądem wojennym!

– W tej chwili wielu ludzi zmieniło zdanie – powiedział Ross. – Klęska nigdy nie jest mile widziana, a ocena wszystkich okoliczności wymaga czasu.

– Twój koleś posłowie, stryju, siedzą na tłustych tyłkach, żłopią porto i każą się nosić w lektykach na modne przyjęcia – rzucił bratanek Rossa. – Wydają niemożliwe do wykonania rozkazy swojemu największemu generałowi, a kiedy ginie, próbując je wykonać... wstają na sali obrad parlamentu – ledwo starcza im na to sił – i potępiają go za nieudolność, jednocześnie wychwalając Francuzów za wspaniałą umiejętność prowadzenia wojny.

– Podobno Soult postawił Moore'owi pomnik w La Coruñi.

– Oczywiście, dowódcy doceniają innych dowódców! To grzeczność, na którą nie stać Anglików wobec własnych generałów, jeśli giną w przegranej bitwie, a nie – jak Nelson – w zwycięskiej.

Ross milczał. Syn starego przyjaciela i brata stryjecznego, hulaki, który zmarnował swoje życie, lecz którego Ross szczerze kochał (podobnie jak jego żonę), od ostatniego spotkania dojrzał i zmienił się fizycznie i psychicznie. Ross zawsze miał słabość do Geoffreya Charlesa, i nie wynikało to tylko z pokrewieństwa. Miał wrażenie, że znowu słyszy Francisca, lecz dostrzegał w bratanku również coś z samego siebie.

– A Wellington? – spytał. – Jaki jest w porównaniu z Moore'em?

Młodszy kapitan Poldark niespokojnie potarł zranioną szczękę.

– Stary Douro to wielki człowiek. Żołnierze pójdą za nim nawet do piekła. Ale Moore'a darzyliśmy miłością.

Pojawił się ordynans z kolejną filiżanką parującej kawy.

– Teraz, gdy jesteśmy w odpowiednim nastroju, niech stryj opowie mi o Kornwalii. Moja ulubiona ciotka jest zdrowa?

– Ogólnie tak. Ostatnio czasem widzi niewyraźnie, ale to mija, gdy przez godzinę lub dwie leży na plecach.

– Na co nie ma ochoty.

– Na co absolutnie nie ma ochoty. Jeśli chodzi o dzieci... Jeremy jest zaledwie trzy centymetry niższy ode mnie. Zdaje się, że urosł już jakiś czas temu. Kiedy go ostatnio widziałeś?

– Po La Coruñi nie wróciłem do Kornwalii. Byłem wściekły, że nasz odwrót – i rozkazy Moore'a – może być tak krytykowany, że odrzuciłem myśl o powrocie i usprawiedliwianiu czegoś, co w gruncie rzeczy nie wymaga usprawiedliwień... Minęły cztery lata, przyjechałem na pogrzeb dziadka, to wszystko. Jeremy miał wtedy około piętnastu lat. Był równie wysoki jak ja, lecz jeszcze chudszy ode mnie!

– W dalszym ciągu jest chudszy.

– Jaki jest? Co sądzi o życiu?

- Nie ma specjalnej ochoty wstępować do wojska – odparł sucho Ross.
- Nie winię go. Ma ojca, matkę, siostry, miły dom. Mam nadzieję, że stryj go nie namawia.
- Jeśli wojna jeszcze trochę potrwa, może zostać zmuszony, by wziąć w niej udział.
- *Levéé en masse*, jak we Francji, co? Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Po tych wszystkich latach wolałbym się poddać Napoleonowi!

Ross objął kubek, by rozgrzać dłonie. Para przyjemnie owiewała mu twarz. Coś szeleściło w krzakach i Geoffrey Charles spoglądał przez chwilę w ich kierunku.

– Jest tu wiele paskudnych zwierząt – rzekł. – Węże, skorpiony... – Po chwili dodał: – Jeśli rozpoczniemy teraz negocjacje z Napoleonem, wszystko skończy się tak jak poprzednio: kolejne zawieszenie broni, po czym Korsykanin wróci do sił, a Anglia straci posiadłości zamorskie. Wiem, że ta kampania jest niepopularna, ale koniecznie trzeba ją prowadzić, prawda? Stryj powinien wiedzieć. Rząd jest tak słaby, że ludzie zupełnie nie mają do niego zaufania. Gdyby tylko wrócił Pitt...

- Myślę, że rząd się utrzyma do śmierci starego króla.
  - To kolejne ryzyko. Król ma przeszło siedemdziesiąt lat i mówią, że jest bardzo chory.
  - Z obozu Francuzów dobiegły ostre dźwięki werbli.
  - A Clowance? – spytał Geoffrey Charles, jakby zdawał sobie sprawę, że mają coraz mniej czasu. – A twoja najmłodsza córka, stryju, Isabella-Rose?
  - Nie jest już bardzo mała. Obie dorosły. Clowance ma prawie siedemnaście lat i zrobiła się dość urodziwa. Bella ma osiem, jest bardzo delikatna. Zupełnie inna niż Clowance w tym wieku, która zachowywała się wtedy jak urwis. Ciągłe tak się zachowuje.
  - Wrodziła się w matkę, kapitanie.
  - To prawda – odparł Ross.
  - A Drake i Morwenna?
  - Świetnie sobie radzą, choć nie widziałem ich od roku. Nadal są w Looe i zarządzają moim zakładem szkutniczym.
  - Namówienie ich do wyjazdu było dobrym pomysłem, jestem wdzięczny, że stryj ich przekonał. Trenwith budziło zbyt wiele przykrych wspomnień. Wielki Boże, pomyśleć, że kiedyś zamierzałem się osiedlić w Trenwith, żyć jak ziemianin i zatrudnić Drake'a jako zarządcę!
  - Ciągłe możesz to zrobić, o ile wojna się kiedyś skończy.
  - Trzeba wreszcie się rozprawić z tym Korsykaninem. To przerażające, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że po tych wszystkich latach ma dopiero czterdziestkę. Problem z geniuszem, dobrym czy złym, polega na tym, że objawia się już w młodości. Mają więcej dzieci?
  - Kto? Drake i Morwenna? Nie, tylko jedną córkę.
- W mroku pojawił się posłaniec, który pośpiesznie przeciskał się między śpiącymi

żołnierzami. Minął Rossa i Geoffreya Charlesa, po czym wszedł do namiotu stojącego pięćdziesiąt metrów dalej.

– Chyba wiadomość dla Craufurda – zauważył Geoffrey Charles. – Myślę, że powinniśmy coś zjeść. W dolinie biją w werble.

– Nie mam wiele amunicji – powiedział Ross. – Przydałby mi się także stempel do pocisków. Nie spodziewałem się, że będę dużo strzelać.

– Każę Jenkinsowi dać stryjowi amunicję i stempel. Nie korzystamy ze stempli, ale w pobliżu jest dziewięćdziesiąty piąty pułk piechoty. Dzięki Bogu, mamy dość skałek i innego wyposażenia. I kul armatnich. – Geoffrey Charles usiadł i potarł zdrętwiałą nogę. – Skoro już mówimy o kulach, może powinienem spytać o zdrowie człowieka, który z pewnością zasługuje na kulę w łeb, choć stara się nie znaleźć w zasięgu strzału... Oczywiście mówię o George'u, moim ojczymie.

Ross się zawahał.

– Ostatnio widziałem go kilka razy w Izbie Gmin, ale obchodzimy się z daleka. Tak jest lepiej. Rzadko spotykam go również w Kornwalii. Mam nadzieję, że dni otwartego konfliktu należą do przeszłości.

– Nie widziałem go od tysiąc osiemset szóstego roku, gdy zmarł dziadek. Wtedy również po raz ostatni spotkałem Jeremy'ego. Był wilgotny, mglisty dzień, idealny na pogrzeb. George wydawał się trochę wychudzony, może przedwcześnie się starzeje.

– Ciężko przeżył śmierć twojej matki, Geoffreju.

– Tak, trzeba mu to przyznać.

– Podobnie jak my wszyscy. Wiesz, że bardzo ją lubiłem. Nawet bardziej niż lubiłem.

– Tak, wiem.

– Kiedy została panią Warleggan, rzadko ją widywałem. Pozostawiła w moim życiu pustkę. Zmarła tak młodo... wiem, że tobie również jej brakuje. Ale George mnie zaskoczył. Pamiętam wszystko, co zdarzyło się w przeszłości, i mogę o nim myśleć tylko źle, jednak zdziwiło mnie, że po śmierci twojej matki był taki smutny i nieszczęśliwy. Może już nigdy nie będę miał o nim tak złej opinii.

– Cóż... Nie ożenił się ponownie.

– Muszę ci powiedzieć, że po śmierci pana Chynowetha Trenwith jest zaniedbane – ciągnął Ross. – Jak wiesz, po śmierci twojej matki George przeprowadził się na stałe do rezydencji swoich rodziców w Cardew, lecz w Trenwith pozostało kilku służących, którzy opiekowali się twoimi dziadkami. Wyobrażam sobie, że odwiedzał ich nie częściej niż raz w miesiącu, po prostu żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Jednak po śmierci pana Chynowetha George praktycznie zamknął dom. Nowe meble kupione w latach dziewięćdziesiątych przewieziono do Cardew, służbę zwolniono. O ile wiem, park jest w większości zarośnięty. W chacie ogrodnika

mieszkają bracia Harry i pilnują dworu oraz posiadłości. Pomaga im żona Harry'ego Harry'ego, ale to wszystko.

– George nigdy nie przyjeżdża?

– Myślę, że nie byłby sobą, gdyby nigdy się nie pojawiał. Podobno wpada od czasu do czasu, by się upewnić, że bracia Harry zupełnie się nie rozleniwili, ale sądzę, że nie częściej niż raz na kwartał.

Geoffrey Charles milczał przez chwilę. Gwiazdy co jakiś czas znikwały, zasłaniane przez chmury lub mgłę.

– Myślę, że zgodnie z prawem dwór należy teraz do mnie.

– Tak... stanie się twój, gdy wrócisz i formalnie obejmiesz go w posiadanie. Mam wyrzuty sumienia, że nie podejmuję kroków, by zadbać o stan Trenwith, lecz w przeszłości moje pojawianie się w majątku prowadziło do awantur z George'em. Kiedy chodziło o ludzi, o starą ciotkę Agathę, twoją matkę, ciebie lub Drake'a, czułem się zobowiązany interweniować. Ale gdy chodzi tylko o mury...

– Naturalnie.

– Ogrodzenie zbudowane przez George'a w większości już się rozpadło, częściowo ze starości, a częściowo rozkradzione na opał przez wieśniaków, lecz, jak rozumiem, bardzo nieliczni ośmielają się wchodzić na teren majątku. Czują zdrowy respekt przed brutalnymi braćmi Harry, a poza tym pewnie przeczuwają, że z czasem znów zamieszka w nim Poldark, więc nie chcą wyrządzać szkód. Dwór jest w kiepskim stanie. Clowance poszła tam któregoś dnia.

– Clowance? Po co?

– Taką ma naturę. Byłem wtedy w Namparze i zrobiłem jej burę, że naraża się na schwytywanie jako intruz na terenie cudzej posiadłości. Ale myślę, że mogłem sobie darować. Oczywiście była wytrącona z równowagi. Ja również. Rozumiała powody mojej złości. Często jest kapryśna, działa pod wpływem impulsu, nie rozsądku...

– Jak jej matka?

– Eee... tak, ale niezupełnie tak samo. Demelza robi różne rzeczy, czasem z pozoru wydają się dziwaczne – ciągle się to zdarza! – lecz jest w tym wszystkim głęboki zdrowy rozsądek, choć dawniej często się z nią nie zgadzałem. Clowance jest pod tym względem bardziej kapryśna od Demelzy, ponieważ jej zachowanie zależy od przypadkowych impulsów. Nie miała powodu iść do Trenwith, przyszło jej do głowy, by obejrzeć dwór, więc po prostu poszła.

– Przynajmniej jej nie złapano.

– Niestety, Clowance właśnie w ten sposób się broniła – odparł Ross. – „Papo, przecież nikt mnie nie widział”. „Ale mógł cię zobaczyć, co spowodowałoby nieprzyjemności. Poza tym ktoś mógł cię obrazić”, odpowiedziałem. „Ale nic się nie stało, prawda?” Jak można się sprzeczać



z dziewczyną?

Geoffrey Charles uśmiechnął się w ciemności.

– Rozumiem twoje zaniepokojenie, stryju. Jeśli wojna się skończy albo dostanę odpowiednio długi urlop, pozbędę się braci Harrych i Clowance będzie mogła spacerować po Trenwith do woli... Mówiła, że dwór jest w złym stanie?

– Nie można pozostawiać domu na cztery lata, zwłaszcza w kornwalijskim klimacie. Stan dworu musiał się pogorszyć. Oczywiście...

– Co chciałeś powiedzieć, stryju?

– Tylko to, że po śmierci twojej matki na utrzymanie Trenwith wydawano niewiele pieniędzy. Kiedy twoi dziadkowie żyli, George przeznaczał na dwór minimalne kwoty, więc w pewnym sensie to efekt dziesięcioletnich, a nie czteroletnich zaniedbań.

– Pora, żebym wrócił do domu.

– W tym sensie tak. Ale teraz twoje miejsce jest na Półwyspie Iberyjskim. Jeśli niewielkie siły angielskie pomogą Hiszpanom i Portugalczykom stawić opór, zwiążemy dużą część wojsk Napoleona. Nawet jego zasoby nie są niewyczerpane. To rozpaczliwie długa wojna na wyczerpanie i wytrzymałość. Zdajesz sobie sprawę, że Clowance nawet nie pamięta okresu, gdy nie toczyliśmy wojny z Francją? Z wyjątkiem krótkiego zawieszenia broni. Nic dziwnego, że wszyscy jesteśmy zmęczeni.

– Zmęczeni, ale nie straciliśmy ducha.

Wydawało się, że w dolinie gęstnieje mgła. Jeżeli nie rozwieje się przed świtem, bardzo pomoże atakującym.

– Posłuchaj, Geoffreju Charlesie, niespodziewane spotkanie z tobą dojmująco uzmysłowiło mi, że zaniedbywałem twoje sprawy...

– Och, nonsens...

– Wcale nie nonsens. Czuję się szczególnie winny, ponieważ blisko trzydzieści lat temu doszło do podobnej sytuacji, tyle że chodziło o Namparę. W wieku dwudziestu trzech lat wróciłem z wojny w Ameryce. Moja matka nie żyła od kilkunastu lat, ojciec zmarł krótko przed moim powrotem. Od pewnego czasu był chory i zajmowali się nim tylko Paynterowie: możesz sobie wyobrazić, jak się nim opiekowali. Twój dziadek, Charles Poldark, niezbyt dobrze żył z bratem i rzadko go odwiedzał... Nie chciałbym, żebyś po powrocie... zastał taki sam chaos i ruinę jak ja...

– Niech stryj zaczeka, idzie Jenkins – rzekł Geoffrey Charles. – Powiem mu, czego stryjowi potrzeba. Niech stryj pokaże swój karabin. – Obejrzeni go. – Dobra broń, kapitanie, i założę się, że stryj nie kupił jej w Porto.

– Nie, kapitanie, nie w Porto.

– Co to właściwie jest?

– Gwintowany karabin z zamkiem Henry’ego Nocka, zamkniętym i pozbawionym śrub. Jak widzisz, wycior znajduje się niżej na łożu, by łatwiej go było wyjmować i wkładać w czasie ładowania.

Geoffrey Charles spojrział na mgłę, marszcząc brwi.

– Niektóre oddziały strzelców wyborowych są wyposażone w karabin systemu Bakera. My jeszcze nie. Ciągłe walczymy muszkietami starego typu. Spełniają swoją funkcję.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Trzydzieści lat temu, w czasie wojny w Ameryce, niejaki kapitan Ferguson wynalazł karabin ładowany odtylcowo – powiedział Ross. – Oddawał sześć strzałów na minutę przy każdej pogodzie. Był to wielki sukces... ale Ferguson zginął. Tuż przed moim przyjazdem. Miałem jeden z jego karabinów. Znakomita broń. Po jego śmierci nikt nie rozwijał pomysłu. Nikt nie wydawał się zainteresowany.

– Właśnie tego można się spodziewać po armii – odparł młody człowiek. Wziął karabin Rossa, odszedł i niebawem przyniósł go z powrotem. – Sprawa załatwiona. Śniadanie za dziesięć minut. Później przedstawię stryja swoim przyjaciołom.

– Zaczekaj, chcę powiedzieć coś jeszcze...

– Tak?

– Chodzi o twojego ojczyma. Powiedziałeś, że nie ożenił się ponownie.

– To prawda. Czy coś się zmieniło?

– Nie. Ale tuż przed wyjazdem otrzymałem list od Demelzy. Pisze o plotkach krążących w hrabstwie, że George w końcu zainteresował się inną kobietą.

– *Mon dieu!* Kto to taki?

– Niestety nie pamiętam nazwiska. Nie znam tej osoby. Lady Harriet coś tam.

– Ach, to może coś wyjaśniać – odparł znacząco Geoffrey Charles. – Obrócił obcas w ziemi.  
– Cóż... chyba nie powinienem mu źle życzyć. Matka postanowiła za niego wyjść. Ich wspólne życie było dość burzliwe, miewało wzloty i upadki, ale chyba na swój sposób go lubiła. Jeśli zatem znowu się ożeni, w tak późnym wieku – ile ma lat? pięćdziesiąt jeden? – jeśli znowu się ożeni, mogę tylko życzyć mu szczęścia.

– Nigdy nie będzie szczęśliwy – odparł Ross.

Kilka minut później wezwano ich na śniadanie. Dostali po kawałku solonej wołowiny, kilka starych sucharów – może z robakami, lecz nikt nie był w stanie ich dojrzeć – i kieliszek rumu. Ross poznał przyjaciół Geoffreya Charlesa. Byli weseli, żartowali, śmiali się cicho, wszyscy gotowi na poranną rzeź, która miała niebawem się zacząć. Powitali Rossa życzliwie i z szacunkiem. Kiedy dowiedzieli się, że w czasie bitwy nie chce być tylko widzem, stali się jeszcze serdeczniejsi.

W trakcie skromnego śniadania pojawiła się posępna postać na białym koniu, za którą

podążała grupa oficerów. Kawalkada przejechała przez obozowisko. Niektórzy Anglicy stawali na baczność i trzaskali obcasami, gdzieś przywódca jeźdźców zamieniał z żołnierzami kilka słów, po czym znów ruszał naprzód. Wicehrabia Wellington dokonywał ostatniej inspekcji wojsk brytyjskich. Bronił przeszło piętnastokilometrowej linii frontu, a jego oddziały były bardzo rozciągnięte. Jednak żołnierze mieli w sobie wiarę w zwycięstwo, którą potrafi zaszcześcić w sercach dobry dowódca.

Dziesięć minut po przejeździe Wellingtona werble i piszczałki armii francuskiej zaczęły wygrywać bardziej złowieszcze melodie. Kiedy w oparach płynącej mgły rozbłysło pierwsze światło, czterdzieści pięć batalionów złożonych z zaprawionych w bojach weteranów wojen w całej Europie ruszyło w stronę wzgórz, na których znajdowały się pozycje brytyjskie. Czarne masy żołnierzy kroczyły powoli naprzód, za ich plecami znajdowały się odwody w sile dwudziestu dwóch tysięcy ludzi.

## *Rozdział trzeci*

### I

Drugie zaloty George'a Warleggana wyglądały zupełnie inaczej niż pierwsze. Wtedy był chłodnym młodym człowiekiem, który cenił wyłącznie dobra materialne, władzę i własny talent do interesów. Mimo to pożył pięknej żony Francisa Poldarka. Zdawał sobie sprawę, że nie ma szans jej zdobyć, nie tylko dlatego, że jest mężatką, lecz również dlatego, że on sam nic dla niej nie znaczy. Z upływem lat starał się stać dla niej ważny i udało się to pod względem materialnym, a później, niespełna rok po śmierci Francisa, skorzystał z niespodziewanej okazji i rzucił swoją fortunę na szalę, po czym z niedowierzaniem usłyszał, że Elizabeth się zgadza.

Naturalnie nie było to takie proste i George dobrze o tym wiedział. Poldarkowie z Trenwith popadli w tarapaty finansowe na długo przed śmiercią Francisa. Potem sytuacja jeszcze się pogorszyła. Elizabeth została sama, musiała utrzymać dwór, nie miała pieniędzy, nikt jej nie pomagał, opiekowała się czworgiem ludzi, w tym chorymi rodzicami. George nie wmawiał sobie, że poślubiła go z miłości. Chociaż ona sama mogłaby temu przeczyć, jej uczucia zawsze kierowały się w stronę Rossa, brata stryjecznego Francisa. Jednak poślubiła właśnie George'a: została panią Warleggan nie tylko z nazwiska, a narodziny syna dały George'owi nowe poczucie dumy i spełnienia, pogłębiając miłość do Elizabeth.

Dopiero później stara wiedźma, ciotka Agatha, zatrzała jego szczęście, sugerując, że skoro Valentine urodził się w ósmym miesiącu ciąży, jest nieślubnym dzieckiem.

Dla chłodno myślącego mężczyzny, skoncentrowanego głównie na zysku, interesach, powiększaniu swojej władzy i majątku, stało się to źródłem niewiarygodnej udręki.

George poślubił Elizabeth jako arystokratkę, właścicielkę patrycjuszowskiego dworu z epoki Tudorów, ona zaś pragnęła opieki i wygodnego życia. Mimo to ich małżeństwo nie okazałoby się udane, gdyby nie łączyło ich coś szczególnego. Charakter Elizabeth miał w sobie coś kupieckiego, pragnęła żyć na wyższej stopie pod względem materialnym, co pasowało do handlowych i politycznych ambicji George'a. Zaskoczony jej reakcjami i wieloma innymi cechami, których nie spodziewał się w niej odkryć, z upływem lat stawał się coraz bardziej zaangażowany emocjonalnie. Wiedział teraz, że ich gwałtowne kłótnie to jego wina, wynik nieustannej zazdrości o Rossa i podejrzeń, że nie jest ojcem Valentine'a. Lecz nagle, gdy wszystko się wyjaśniło, gdy wydawało się, że nadszedł kres goryczy i cierpienia, gdy

przedwczesne narodziny ich drugiego dziecka rozwiały wszelkie podejrzenia dotyczące Elizabeth i Valentine'a, gdy czekała ich oboje wspaniała przyszłość, Elizabeth zmarła. Był to straszliwy cios. George nigdy nie doszedł po nim do siebie. W chwili śmierci żony otrzymał tytuł szlachecki, jednak nie stał się on ukoronowaniem dumy i ambicji, tylko ironicznym, ponurym żartem: otrzymał wieniec laurowy, który rozpadł się w proch po dotknięciu.

W pierwszych latach po śmierci Elizabeth cierpiał na głęboką melancholię. Najczęściej mieszkał z rodzicami w Cardew, a po śmierci ojca został z matką. Codziennie odwiedzał Truro i stryja Cary'ego, by nadzorować interesy i, prawie mimo woli, pomnażać swój majątek. Ale nie miał do tego serca. Jeszcze mniej zajmowało go życie towarzyskie związane z karierą parlamentarną. Kiedy wchodził do salonu wsparty na ramieniu Elizabeth, zawsze rozpierała go duma. Teraz nie był już w stanie znieść myśli o rutynowym uczestnictwie w *soirées* i przyjęciach: musiałby to robić sam, bez niej. Nie miał już tych samych ambicji. W odróżnieniu od swojego rywala i wroga, Rossa Poldarka, nie wszedł do Izby Gmin po to, by coś zrobić dla innych ludzi, ale po to, by osiągnąć coś dla siebie. Po co zawracać sobie głowę?

Kilka razy zastanawiał się nad rezygnacją z mandatu w Izbie Gmin i poprzestaniem na manipulowaniu dwoma posłami reprezentującymi kontrolowany przez niego okręg wyborczy St Michael. Po kilku najgorszych latach był rad, że tego nie zrobił. Mandat poselski przynosił różnorakie korzyści finansowe, a George rozumiał, że obecność w Londynie pozwala mu lepiej wyczuwać kaprysy koniunktury – nie byłby go w stanie zastąpić żaden reprezentant.

Rodzice nalegali, by ponownie się ożenił. Choć Elizabeth pochodziła za starego rodu ziemiańskiego, nigdy za nią nie przepadali. Zawsze traktowała ich łaskawie i mieli z nią dobre stosunki, cenili jej arystokratyczne pochodzenie, lecz uważali, że nie ma odpowiednich koneksji. W każdym razie czuli głęboki smutek na myśl, że tak nagle odeszła, mimo że spotykało to wiele kobiet. Rodzenie dzieci zawsze wiąże się z ryzykiem. Na każdym cmentarzu leży mnóstwo młodych matek, a na wieczornych przyjęciach i balach stale pojawiają się młodzi wdowcy, którzy obserwują apetyczne, niezamężne panny, zastanawiając się, czy nadają się na żony ze względu na urodę lub wysokość posagu.

Właśnie tak powinien postępować George! Był bogaty, szanowany w całym hrabstwie – jeśli nawet go nie szanowano, budził respekt lub przynajmniej lęk. Patron okręgu wyborczego do Izby Gmin, bankier, właściciel odlewni, a teraz szlachcic! I miał zaledwie czterdzieści lat! Jedna z najlepszych partii w Kornwalii! Prawie najlepsza! Mógł wybrać dowolną kandydatkę na żonę! Niektóre rody arystokratyczne nie podzielały tej opinii, ale było ich niewiele, a w miarę rozwoju kariery George'a ich liczba stale malała. Żałoba po śmierci żony powinna trwać rok, nie dłużej. Mimo to George przez wiele lat nie zwracał uwagi na kobiety, stawał się coraz bardziej wpływowym i coraz bardziej upodabniał się do stryja Cary'ego, który interesował się wyłącznie księgami rachunkowymi i oprocentowaniem kredytów... Było to nie do zniesienia. Nicholas,

twórca podwalin, na których George zbudował swoje imperium, obdarzony niezwykłym szczęściem w interesach, zmarł miesiąc po śmierci Pitta. Kiedy leżał na łożu śmierci, a jego serce biło w tempie stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę, zastanawiał się, dlaczego brakuje mu poczucia sukcesu, dlaczego nie odczuwa satysfakcji. Przyszło mu do głowy, że główną przyczyną jest brak normalnej reakcji syna na normalne ryzyko związane z małżeństwem.

Po śmierci Nicholasa Mary Warleggan w dalszym ciągu namawiała George'a do ponownego małżeństwa, lecz coraz rzadziej. Czy stara, owdowiała kobieta może się sprzeciwiać, że syn mieszka w jej domu, a przynajmniej się na to uskarżać? George miał w końcu dwoje dzieci; nawet jeśli Valentine czasem zachowuje się niepokojąco, z pewnością zmieni się to, gdy będzie już dorosłym mężczyzną. W tej sytuacji często widywała wnuki – Valentine spędzał w Cardew większość wakacji, a mała Urszula, ulubienica babki, mieszkała w rezydencji na stałe.

Odpowiadało to również Cary'emu. Nigdy nie lubił Elizabeth, z wzajemnością. Uważał, że ma zły wpływ na George'a, ona sądziła to samo o Carym. Teraz, gdy zmarła, stryj i bratanek zbliżyli się do siebie. W pierwszym roku po śmierci Elizabeth Cary dwukrotnie odwiódł George'a od zaangażowania się w nieroztropne, spekulacyjne inwestycje. George jak zawsze sprawował pełną kontrolę nad interesami rodziny, lecz żałoba pozbawiła go niezawodnego instynktu kupieckiego.

W tej chwili należało to już do przeszłości. W ostatnim czasie George odzyskał zainteresowanie londyńskim życiem towarzyskim i operacjami na większą skalę, które zaczął prowadzić w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Zaprzyjaźnił się z lordem Grenville'em, byłym premierem i przywódcą wigów; odwiedzał go czasem w jego dworze w Kornwalii. Po śmierci Pitta, a później Foxa doszło do niezliczonych przetasowań na scenie politycznej i George stopniowo zawarł sojusz z opozycją w Izbie Gmin. Chociaż zawdzięczał mu tytuł szlachecki, nigdy nie stał się fanatycznym zwolennikiem Pitta, nie wszedł w skład grupy, która go podziwiała, skupionej wokół George'a Canninga. Był przekonany, że słaby i nieudolny gabinet torysów wkrótce upadnie, toteż uważał, że sojusz z członkami przyszłego rządu lepiej służy jego interesom.

To prawda, niektórzy wigowie, jak Whitbread, Sheridan i Wilberforce, mieli zwariowane pomysły dotyczące reform i wolności, ale George przymykał na to oko i milczał, gdy o tym dyskutowano, ponieważ był pewien, że po zdobyciu władzy reformatorzy będą zmuszeni zapomnieć o szczytnych ideałach z powodu nacisków i nagłych potrzeb związanych ze sprawowaniem funkcji ministerialnych. W odpowiednim czasie sam mógłby otrzymać propozycję objęcia jakiegoś niższego stanowiska w przyszłym rządzie.

Wciąż jednak nie myślał o ponownym ożenku. Jego popęd seksualny uległ całkowitej sublimacji, zmieniając się w zainteresowanie polityką i biznesem. Oczywiście w ciągu lat nie brakowało mu okazji, by wykorzystać przychylność ponętnych dam, które próbowały go

uwodzić, bądź to z myślą o małżeństwie, bądź dlatego, że ich mężowie wyjechali i postanowiły zdobyć kolejny skalp. Ale zawsze się wahał i cofał z powodu zażenowania lub ostrożności. Możliwość wypróbowania towaru przed zakupem zawsze wiąże się z niebezpieczeństwem przymusowego zawarcia transakcji, a jeśli chodzi o drugi typ niewiast, nie miał ochoty, by jakaś kobieta chełpiła się za jego plecami, że zaciągnęła go do łóżka, po czym cynicznie krytykowała jego męskie walory lub umiejętności.

Prawie zawsze odwiedzał Trenwith w rocznicę ślubu z Elizabeth. Chociaż wesele odbyło się w innej części Kornwalii, uznawał za stosowne, żeby spędzić kilka godzin w jej dawnym domu, gdzie wypoczywali w lecie, gdy byli małżeństwem, i gdzie Elizabeth zmarła. Mimo to zawsze źle się czuł w Trenwith – była to odwieczna siedziba rodu Poldarków, która nigdy nie zaakceptowała intruza.

Rankiem dwudziestego czerwca tysiąc osiemset dziesiątego roku George pojechał z masztalerzem do Sawle i dotarł do kościoła przed południem. Był jasny, słoneczny dzień, lecz od strony łądu wiał silny wiatr i w cieniu panował chłód. Zimno i wilgotno było również wśród nagrobków, ziemię porastała trzydziestocentymetrowa trawa przebijająca się przez splątane zeszłoroczne chwasty. Na grobie Elizabeth wyrósł ogromny krzak jeżyny, gruby jak lina kotwiczna. George kopnął go nogą, ale nie zdołał złamać. „Świętej pamięci Elizabeth Warleggan, ukochana żona sir George’a Warleggana z Cardew, która odeszła z tego świata 9 grudnia 1799 roku. Zmarła w wieku 35 lat, urodziwszy jedyną córkę”.

Nie przywiózł kwiatów. Nigdy tego nie robił, wydawało mu się to teatralnym, emocjonalnym gestem, który nie przystoi jego godności. Można pamiętać, nie korzystając z symboli. Poza tym była to strata pieniędzy: kwiatów nikt nie widzi, zresztą natychmiast więdną.

Zadbał, by Elizabeth pochowano z dala od Poldarków, zwłaszcza wstrętnej wiedźmy Agathy, która tak źle życzyła wszystkim Warlegganom. Stał w milczeniu przez pięć minut nad grobem żony, spoglądając na wysoki granitowy krzyż, który nosił już ślady wichur i deszczów. Litery stawały się niewyraźne, za kilka lat nie da się ich odczytać. To nie do przyjęcia. Należy je oczyścić i wykuć na nowo, głębiej. Cały cmentarz był w pożałowania godnym stanie. Sprawiał wrażenie, jakby Poldarkowie nie wydawali na niego ani grosza – choć miejsce ich pochówku nie wyglądało tak źle jak reszta terenu. Wielebny Clarence Odgers był już zgrzybiałym staruszkiem o tak słabej pamięci, że w niedzielę żona lub syn musieli stać obok niego i przypominać, którą część nabożeństwa odprawia.

Przed bramą cmentarza czekał z końmi masztalerz Nankivell. George wspiął się na kamień służący do wsiadania na konie, zajął miejsce w siodle i w milczeniu pojechał w stronę bramy Trenwith.

Podjazd był prawie tak zarośnięty jak cmentarz i George postanowił udzielić reprimendy braciom Harrym. Tak dużą posiadłość trudno było utrzymać w dobrym stanie dwóm ludziom,

lecz podejrzewał, że gajowi są przez pół dnia pijani do nieprzytomności. Już dawno by ich zwolnił, gdyby nie budzili w okolicy wielkiego strachu i nienawiści, o czym doskonale wiedział.

Naturalnie czekali na niego przed dworem wraz z panią Harry, o której krążyły słuchy, że jest ich wspólną żoną. Wszyscy troje przymilnie się uśmiechali – spodziewali się tego dnia wizyty George'a, toteż usiłowali doprowadzić do porządku otoczenie domu. Przez godzinę obchodził z nimi majątek, czasami komentując ostrym tonem ich wyjaśnienia, skargi i przeprosiny. Najczęściej jednak milczał, zatopiony we wspomnieniach, przypominając sobie dawne wydarzenia. Zjadł samotnie obiad w salonie zimowym. Przygotowano niezły posiłek, który podała Lisa Harry. Pachniała kamforą i myszami. Cały dwór cuchnął stęchlizną.

Czy to ważne? Trenwith nie jest własnością George'a. Należy do chudego, aroganckiego, agresywnego Geoffreya Charlesa Poldarka, który walczy w tej chwili w Portugalii pod komendą nieudolnego, pechowego generała, dawnego dowódcy hinduskich sipajów. Oczywiście jeśli Geoffrey Charles zginie od francuskiej kuli, nim Brytyjczycy postanowią ograniczyć straty i ewakuują się w panice podobnie jak sir John Moore, wówczas Trenwith przejdzie na George'a, ale czy stan posiadłości miałby wtedy jakieś znaczenie? Nie zamierzał tu więcej mieszkać. Był pewien tylko jednego: nigdy nie sprzedałby Trenwith innym Poldarkom.

Po skończonym posiłku odprawił Harrych i obszedł wszystkie pomieszczenia dworu. Prawie każde wiązało się z jakimiś wspomnieniami. O niektórych myślał z sympatią, przynajmniej jedno budziło gwałtowną nienawiść. Kiedy skończył obchód, wrócił do wielkiej sieni i usiadł przy kominku, który roztropnie rozpałała pani Harry. Słońce nie nagrzało jeszcze grubych murów budowli z epoki Tudorów. George jak dotąd nie podjął decyzji, czy przenocować w dworze. Zwykle nocował w Trenwith i wracał nazajutrz. Ale sypialnia na górze – jego dawna sypialnia, położona obok sypialni Elizabeth – wydawała się odstręczająca i nawet dwa ogrzewacze w łóżku nie mogły usunąć wilgoci. Miał wrażenie, że gdy był tu przed dwoma laty, złapał katar.

Spojrzał na zegarek. Było dość czasu, by wrócić do Truro, a nawet do Cardew – do zmroku zostało wiele godzin. Nie miał jednak ochoty się ruszać, przerywać ciągu wspomnień pojawiających się w pamięci. Zapalił fajkę – robił to rzadko, bo nie przepadał za tytoniem – i poprawił pogrzebaczem polana w kominku. Zapłonęły wysokim płomieniem, syczały na niego jak ciotka Agatha. Było to drewno starej jodły, w posiadłości rosły poza tym tylko wysokie wiązy i nieliczne sosny, bo niewiele drzew wytrzymało nadmorskie wichury. Wyjątkowo nieodpowiednie miejsce do budowy dworu. Przypuszczał, że w dawnych czasach Geoffrey de Trenwith zdobył majątek dzięki kopalni miedzi lub cyny. Podobnie jak Godolphinowie, Bassetowie, Pendarve'owie. Wznosili dwory w pobliżu kopalni, które uczyniły ich bogaczami.

Trzydzieści pięć lat temu po raz pierwszy zobaczył w tej sali ciotkę Agathę. Francis zaprosił go do Trenwith, by przenocować po szkole. Nawet wówczas wydawała się straszliwie stara. Trudno uwierzyć, że wszystkich przeżyła, by zatruć pierwsze lata jego małżeństwa. Znacznie



później siedziała w fotelu przy kominku – właśnie w tym fotelu – gdy wszedł do sieni i powiedział, że Elizabeth powiła syna. Chłopiec przyszedł na świat przedwcześnie i otrzymał imię Valentine, bo urodził się czternastego lutego. Syczała jak wąż na George’a i Nicholasa Warleggana, pełna nienawiści, wściekła, że przebywają w jej rodzinnym domu. Nie mogąc znieść radości George’a, że został ojcem pięknego chłopca, całą swoją nikczemną naturą próbowała znaleźć słaby punkt, by zniszczyć szczęście Warlegganów. Chciała plunąć jadem, zasiać ziarno niezgody, wzbudzić lęk. Ponieważ tej nocy doszło do zaćmienia księżyca, powiedziała: „Urodził się pod czarnym księżycem. Twojego syna czeka zły los, George! Dziecko urodzone pod czarnym księżycem rzadko ma szczęście! Znałam tylko dwoje takich dzieci i źle skończyły!”.

Na tym fotelu, stojącym teraz naprzeciwko niego. To dziwne, że człowiek umiera i rozpada się w proch, a martwy mebel o czterech rzeźbionych nogach skonstruowany przez stolarza w epoce Jakuba II wciąż istnieje, niezmienny, nietknięty przez czas. Słońce miało dotrzeć do wielkiego okna w kształcie rozety dopiero za godzinę, więc w sieni panował półmrok, a migotliwy, syczący ogień tworzył dziwne iluzje. Kiedy płomienie przygasły, George znów zobaczył ciotkę Agathę. Starą babę, wrak człowieka, śmierzącą, ze zmierzwionymi kosmykami siwych włosów wystającymi spod przekrzywionej peruki, ze łzami spływającymi z oczu i śliną ciekącą z ust, z krzywymi, zepsutymi zębami, z ręką przy uchu, rzucającą szybkie spojrzenia. Może tu teraz jest? Niech ją diabli porwą, wydaje się bardziej realna od Elizabeth! Ale przecież nie żyje, zdechła w wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat. Przynajmniej nie pozwolił babie na oszustwo w dacie urodzenia...

Rozległy się kroki i George o mało nie zerwał się z fotela. Mimo to się nie poruszył, nie ustąpił, nie poddał...

Rozejrzał się i zobaczył, że w sieni stoi wysoka, jasnowłosa dziewczyna. Miała na sobie białą sukienkę z drukowanym wzorem przepasaną w talii czerwoną szarfą i trzymała bukiet kwitnących naparstnic. Była wyraźnie tak samo zaskoczona jak George.

W panującej ciszy z kominka wystrzelił płonący kawałek drewna, który spadł na posadzkę.

– Kim pani jest? Czego pani chce?! – George mówił ostrym tonem, którym rzadko się ostatnio posługiwał, ponieważ ludzie szybko odgadywali jego życzenia. Ale ta zjawą, to najście...

– Przepraszam – odpowiedziała dziewczyna. – Zauważyłam otwarte drzwi i myślałam, że to z powodu wiatru.

– Czego tu pani szuka?

Było w niej coś spokojnego, równowaga, która nie bierze się z przesadnej pewności siebie, lecz raczej z nieświadomości, że stało się coś złego lub niewłaściwego.

– Och, czasem tu przychodzę – odpowiedziała. – W tej chwili w żywopłotach są ładne

naparstnice. Nigdy wcześniej nie widziałam otwartych drzwi.

George wstał.

– Wie pani, że wdziera się na teren cudzej posiadłości?!

Przeszła kilka kroków i położyła kwiaty na wielkim stole, po czym strzepała z sukienki pyłek i kilka liści.

– Sir George Warleggan? – spytała. – To pan?

Akcent wskazywał, że nie jest prostą wiejską dziewczyną, i w umyśle George’a pojawiło się straszliwe podejrzenie.

– Jak się pani nazywa?

– Ja? – Uśmiechnęła się. – Clowance Poldark.

## II

Kiedy Clowance wróciła do Nampary, dwór okazał się pusty. Drzwi frontowe były otwarte. Weszła do środka i zagwizdała trzy czyste tony: D, B, A, po czym wbiegła po schodach na piętro i zagwizdała znowu. Nikt nie odpowiedział, więc wzięła naparstnice, przeszła przez kuchnię na dziedziniec i napełniła cebrzyk przy pompie, gdzie dwadzieścia sześć lat wcześniej Ross polewał jej matkę, zagłodzoną znajdę z Illuggan. Wrzuciła kwiaty do cebrzyka, by nie zwiędły do czasu, gdy pojawi się Demelza i je ułoży. Później udała się na poszukiwania.

Było piękne popołudnie, a młoda, gorącokrwista Clowance nie czuła zimnego wiatru. Wiosna zaczęła się późno, okazała się sucha i na długim polu za dworem w Namparze koszone siano. Zauważyła grupkę ludzi stojących na środku pola. Rozpoznała wśród nich ciemne włosy matki i jej szarą suknię. Była pora posiłku i Demelza pomogła Jane Gimlett zanieść parobkom fajansowy dzban oraz kubki. Odłożyli kosy i stali wokół pani Poldark, gdy napełniała kubki piwem. Było ich ośmiu: Moses Vigus, Dick Trevail (nieślubny syn Jacka Cobbledicka i Nancy Trevail), Cal Trevail (inny nieślubny syn Nancy Trevail), Matthew Martin, Ern Lobb, Small zwany „Maluśkim”, Sephus Billing i Nat Triggs. Kiedy Clowance się zbliżyła, wszyscy śmiali się z czegoś, co powiedziała Demelza. Uśmiechnęli się i skinęli spoconymi głowami w stronę córki dziedziczki, a Clowance odwzajemniła ich uśmiech.

– Kubek piwa, panno Clowance? – spytała Jane Gimlett. – Jest jeden wolny, gdyby miała pani ochotę.

Clowance miała ochotę. Rozmawiali ze sobą, aż wreszcie mężczyźni niechętnie odeszli, by wziąć kosy. Jako ostatni zrobił to Matthew Martin, który zawsze kręcił się w pobliżu Clowance. Później matka i córka ruszyły powoli w stronę dworu. Clowance niosła kubki, a z tyłu w dyskretnej odległości podążała Jane z pustym dzbanem.

– Widzę, że znowu chodzisz na bosaka – zauważyła Demelza.

– Tak, mam. Jest lato.

– Powbijają ci się ciernie w stopy.

– Wyjmę je. Zawsze mi się udaje.

Był to jeden z drobnych punktów spornych między matką a córką. Demelza, która do czternastego roku życia nigdy nie miała butów, uważała, że chodzenie na bosaka to dyshonor dla córki dżentelmena. Clowance, urodzona w Namparze, z przyjemnością korzystała z okazji, by zrzucić buty, nawet w wieku szesnastu lat.

– Gdzie cała rodzina?

– Jeremy poszedł z Paulem i Benem.

– Jeszcze nie wrócił?

– Podejrzewam, że ryby nie biorą. A jeśli zerkniesz przez lewe ramię, zauważysz, że pani Kemp wraca z plaży z Bellą i Sophie.

– O tak. A tata?

– Powinien lada chwila się pojawić.

– Pojechał na spotkanie udziałowców banku?

– Tak.

Szły w milczeniu, a kiedy dotarły do furki, oparły się o nią i czekały na powrót pani Kemp z dziewczynkami. Wiatr mierzwił dzieciom włosy i podwiewał sukienki.

To trochę zaskakujące, że Rossowi i Demelzie urodziła się jasnowłosa córka, choć oboje mieli ciemne włosy. Clowance od urodzenia była blondynką i z upływem lat jej włosy nie pociemniały. W dzieciństwie zawsze była pulchna i dopiero rok po ukończeniu pensji pani Gratton schudła i wyładniała. Mimo to w dalszym ciągu miała szerokie czoło. Zdecydowane, lecz delikatne, kobiece usta i szare oczy, zbyt szczerze jak na młodą damę tej epoki. Potrafiła szybko się czymś zainteresować i równie szybko znudzić. Dwukrotnie uciekała z pensji – nie dlatego, że wyjątkowo źle się tam czuła, lecz dlatego, że w domu miała wiele ciekawszych zajęć. Trzeźwo oceniała każde wydarzenie, nie okazując lęku ani wahań. Demelza mówiła Rossowi, że twarz Clowance przypomina świeżo rozkwitłą margerytkę – oby tylko nigdy nie poplamiał jej deszcz.

Demelza skończyła czterdzieści lat i na razie z powodzeniem udawało jej się nie myśleć o starości. Jak na osobę pochodzącą z pospólstwa (określenie wielebnego Osborne'a Whitwortha) starzała się dość ładnie, znacznie lepiej niż wiele dam z wyższych sfer. Była to częściowo kwestia budowy ciała, częściowo temperamentu. Na twarzy Demelzy pojawiło się kilka delikatnych zmarszczek, których nie było piętnaście lat wcześniej, ale powstały głównie wskutek uśmiechania się, a ponieważ Demelza miała radosne usposobienie, prawie nie dawało się ich zauważyć. Włosy na skroniach lekko posiwiały, lecz kupiła od

aptekarza Irby'ego z St Ann's buteleczkę tajemniczego specyfiku i ukradkiem wcierała trochę we włosy po myciu. Robiła to w sekrecie przed Rossem, który deklarował, że nie znosi farb do włosów.

Czuła się stara i wyglądała staro tylko wtedy, gdy cierpiała na migreny, co zwykle zdarzało się raz na miesiąc tuż przed kobiecą przypadłością. W ciągu dwudziestu sześciu dni dobrego samopoczucia lekko przybierała na wadze, a w ciągu dwóch dni bólów głowy znowu chudła, toteż równowaga była zachowana.

Bella poznała z oddali matkę i siostrę. Pomachała do nich, a one odmachwały.

– Mamo, dlaczego Jeremy i jego przyjaciele tak często wybierają się na ryby, ale nigdy ich nie łowią? – spytała Clowance.

– Przecież łowią, moja droga. Stale je jemy.

– Przynoszą ich za mało. Wychodzą po śniadaniu i wracają na kolację z rybami, które ty albo ja złowiłybyśmy w dwie godziny!

– Nie są zbyt pracowici. Może po prostu wygrzewają się na słońcu i myślą o niebieskich migdałach?

– Może. Pytałam raz Jeremy'ego, a on powiedział, że w tym roku przy brzegu jest bardzo mało ryb.

– A to nieprawda?

– Wiem tylko, że wieśniacy z Sawle nie skarżą się na brak ryb.

Przeszły kilka kroków.

– Zerwałam dla ciebie trochę ładnych naparstnic – odezwała się Clowance.

– Dziękuję. Odwiedziłaś Enysów?

– Nie... Ale spotkałam twojego przyjaciela.

Demelza się uśmiechnęła.

– To może wiele znaczyć. Masz na myśli prawdziwego przyjaciela?

– Dlaczego pytasz?

– Wypowiedziałaś to słowo trochę dziwnym tonem.

Clowance strzepnęła z sukienki skrzydlatą mrówkę.

– Sir George'a Warleggana.

Starła się nie patrzeć na matkę po wypowiedzeniu tego nazwiska, lecz zdawała sobie sprawę, że matka stężała.

– Gdzie? – spytała Demelza.

– W Trenwith. Po raz pierwszy zauważyłam otwarte drzwi frontowe, więc weszłam do dworu. Siedział w wielkiej sieni, przy kopącym kominku, z wygasłą fajką w ręce i kwaśną miną, jakby objadł się kiszzonej kapusty.

– Widział cię?

– O tak. Rozmawialiśmy! Prowadziliśmy konwersację! Spytał mnie, co, u licha, robię w Trenwith, a ja wyjaśniłam.

– Co powiedziałaś?

– Że najlepsze naparstnice w okolicy, zwłaszcza bladuróżowe, rosną w żywopłocie koło stawu.

Demelza przygładziła dłonią włosy, ale wiatr szybko znów je rozwał.

– A potem?

– Potem zrobił się niegrzeczny. Powiedział, że wdarłam się bez pozwolenia na teren cudzej posiadłości i że powinnam zostać oskarżona. Że wezwie gajowych i każe mnie odstawić do bramy. Mówił różne rzeczy, był wyjątkowo wściekły.

Demelza spojrzała na córkę. Clowance nie wydawała się zdenerwowana.

– Po co tam poszłaś, kochanie? Prosił cię, żebyś tego nie robiła. To igranie z ogniem.

– Cóż, nie spodziewałam się, że go spotkam. Ale to nieważne. Nic się nie stało. Przekonałam go.

– Chcesz powiedzieć, że wdałaś się z nim w dyskusję?

– Oczywiście nie okazałam złości. Zachowywałam się bardzo dystyngowanie. Bardzo grzecznie. Po prostu wyraziłam żal, że jest nieuprzejmy wobec sąsiadki, i do tego kuzynki.

– Co odpowiedział?

– Że nie jestem jego kuzynką, że nie wiem, o czym mówię, i że powinnam odejść, nim wezwie braci Harrych, by mnie wyrzucili.

Zbliżała się pani Kemp. W pobliżu domu Bella i Sophie wyprzedziły ją o kilkadziesiąt metrów.

– Nie mów ojcu, że byłaś w Trenwith – poprosiła Demelza. – Wiesz, co powiedział ostatnim razem.

– Naturalnie, że nie powiem. Nie chcę go denerwować. Ale uznałam, że ciebie to nie zdenerwuje.

– Nie chodzi o to, że się denerwuję, kochanie – odparła Demelza. – Nie znoszę łowić ryb w mętnej wodzie. Nie chcę opisywać wszystkiego, co sprawiło, że ojciec i George Warleggan stali się wrogami, i wyjaśniać, dlaczego później przepaść między nami jeszcze się powiększyła. Na pewno słyszałaś plotki...

– O tak. Że w młodości papa i Elizabeth Warleggan się kochali. Czy to takie straszne?

Demelza spojrzała na córkę z grymasem niezadowolenia, po czym zmieniła zdanie i wybuchnęła śmiechem.

– Jeśli tak to nazwać, nie... Ale w jakiś sposób to się ciągnęło przez całe ich życie. Pogorszyło sytuację, rozumiesz. Jednak...

– Z tobą i papą musiało być inaczej. Wasza miłość jest wyjątkowa. Nigdy nie znajdę takiego

męża i oczywiście nigdy nie będę taka jak ty...

Do Demelzy i Clowance podbiegła Bella Poldark, szczupła, ciemnowłosa i ładna. Opowiedziała o martwej rybie, dużej, białej i cuchnącej, znalezionej przy ujściu kanału odwadniającego kopalni Wheal Leisure. Chciała zabrać ją do domu, ale pani Kemp się nie zgodziła. Sophie Enys, o rok młodsza, którą Bella wyprzedziła na ostatniej prostej, wkrótce dołączyła do przyjaciółki i również opowiedziała o rybie. Demelza pochyliła się nad dziewczynkami, zadowolona, że może niepostrzeżenie otrzeć łzy. Zawsze najtrudniej przyjmować komplementy od dzieci, a szczerza Clowance mówiła komplementy tak rzadko, że miały szczególną wartość. Kiedy dołączyła do nich pani Kemp, wszystkie ruszyły w stronę domu. Jane Gimlett poszła przodem, by zrobić herbatę i przygotować ciastka dla dziewczynek.

Clowance i Demelza nieco ochłonęły i skupiły uwagę na kuszącej perspektywie kolacji. Szły na końcu. Były dokładnie tego samego wzrostu, a wiatr wiejący z tyłu rozwiewał im włosy jak delikatne pióra na ogonach edredonów.

– Więc pozwolił ci opuścić Trenwith bez kłopotów? – spytała Demelza.

– O tak. Pożegnanie nie było takie straszne. Zostawiłam mu trochę naparstnic.

– Zostawiłaś George’owi kwiaty?! Zostawiłaś mu naparstnice?!

– Nie chciał ich. Powiedział, że mogą sobie wędznąć na przeklętej podłodze tego przeklętego dworu i że nic go to nie obchodzi. Znalazłam stary wazon, napełniłam wodą i postawiłam na stole. Cóż za ogromny stół! Nigdy wcześniej nie widziałam takiego mebla! Przypuszczam, że przetrwa nawet dwór.

– Pozwolił ci to zrobić?

– Nie próbował powstrzymać mnie siłą. Chociaż warknął kilka razy jak zły pies. Uważam, że szczeka groźniej, niż gryzie.

– Nie bądź taka pewna – odparła Demelza.

– Kiedy ułożyłam kwiaty – choć jeszcze nie robię tego tak dobrze jak ty – grzecznie go pożegnałam.

– I znowu na ciebie warknął?

– Nie. Po prostu obrzucił mnie wściekłym wzrokiem. Później znowu spytał o nazwisko. Więc mu powiedziałam.

## *Rozdział czwarty*

### I

O Williamie Wyndhamie, pierwszym baronie Grenville, mówiono, że jedną ze skaz jego wybitnej kariery parlamentarnej jest namiętność do Boconnoc, kornwalijskiej posiadłości o powierzchni trzech tysięcy dwustu hektarów. Zakupiona przez dziadka Williama Pitta za część wpływów ze sprzedaży ogromnego brylantu Regent, stała się własnością barona po ślubie z Anną Pitt, córką lorda Camelforda.

Wyndham miał surowe, arystokratyczne zasady i chętnie pouczał ludzi, w tym członków rodziny królewskiej, o ich obowiązkach. Mimo to zaniedbywał własne, gdy przebywał czterysta kilometrów od Westminsteru w rezydencji z widokiem na wielki zalesiony park. Jego posiadłość ciągnęła się aż po horyzont.

George Warleggan poznał go właśnie w Boconnoc, nie w parlamencie. Dobry przyjaciel George'a, sir Christopher Hawkins, który zarobił dzięki Warlegganowi dużo pieniędzy, zasugerował lordowi Grenville, że jeśli chciałby zaprosić z nim kogoś na bankiet dla uczczenia zwycięstwa pod Trafalgarem, dobrym kandydatem mógłby być poseł z St Michael, uszlachcony przed pięciu laty i mający duże wpływy w okręgu Truro. George przyjął zaproszenie z zaskoczeniem i radością. Było to w okresie, gdy stopniowo zapominał o wieloletnim żalu po śmierci Elizabeth i gdy znów do głosu doszły osobiste ambicje.

Nikt, nawet sam George, nie mógłby twierdzić, że w ciągu następnych pięciu lat stanie się powiernikiem lorda Grenville'a – nawiązać z nim bliską przyjaźń było znacznie trudniej niż z księciem Walii – lecz wkrótce Warleggan zaczął bywać gościem w wielkiej rezydencji. Kiedy od czasu do czasu spotykali się również w Westminsterze, Grenville traktował go jako użytecznego stronnika i sąsiada z Kornwalii. Owdowiwały George rzadko urządzał przyjęcia, jednak latem tysiąc osiemset dziewiątego roku wydał w Cardew wielki bal, na który zaprosił lorda Grenville'a z żoną. Grenville odmówił, ale przysłał odręczny list.

W następnym roku, miesiąc po corocznej pielgrzymce George'a do Trenwith i mniej więcej miesiąc przed tym, jak Ross uległ naciskom i przyjął propozycję podróży do Portugalii, Grenville'owie zaprosili George'a do swojego dworu na przyjęcie i obiad, podczas którego poznał lady Harriet Carter. Siedzieli obok siebie w trakcie posiłku i George poczuł do niej dziwny pociąg, częściowo fizyczny, częściowo wywołany wrażeniem, że ma do czynienia

z kimś, kogo nie potrafi zrozumieć.

Była ciemnowłosa – kompletne przeciwieństwo jasnych włosów Elizabeth – i nie odznaczała się szczególną urodą, choć miała arystokratyczne rysy twarzy, które George zawsze podziwiał. Jej kruczoczarne włosy lśniły jak laka, a oczy były wyjątkowo piękne. Strój lady Harriet wyróżniał się smakiem i elegancją, które George zawsze uważał za charakterystyczną cechę kobiet ze sfery Elizabeth.

Wydawało się mało prawdopodobne, by przy stole lorda Grenville'a można było spotkać osobę trudną do zaakceptowania pod względem towarzyskim, jednak czasem, jako jeden z największych właścicieli ziemskich w hrabstwie, jego lordowska mość uważał za stosowne zaprosić również kilku miejscowych notabli, którzy w opinii George'a wcale nie zasługiwali na to miano. Lady Carter najwyraźniej nie należała do tego środowiska.

Przez pewien czas rozmawiano o rozruchach na północy Anglii, inflacji i skandalu wywołanym przez księcia Cumberland, lecz po chwili partnerka Warleggana znudziła się tymi tematami i zwróciła się do niego:

– Proszę mi powiedzieć, gdzie pan mieszka, sir George?

– Około pięćdziesięciu kilometrów na zachód, madame. W Cardew. Między Truro a Falmouth.

– Dobry teren do polowań?

– Słyszałem takie opinie.

– Ale sam pan nie poluje?

– Jestem bardzo zajęty.

Roześmiała się bardzo nisko.

– Co jest ważniejsze od polowań?

George skinął głową w stronę gospodarza.

– Sprawy królestwa.

– Zajmuje się pan nimi?

– A także innymi rzeczami.

– Jakimi?

Zawahał się, trochę zirytowany, że nic o nim nie wie.

– Sprawami hrabstwa. Nie mieszka pani w Kornwalii, madame?

– Mieszkam w Hatherleigh, tuż za granicą Anglii.

Rozmawiali kilka minut. Miała nieco ochryply głos, a jej miły śmiech był niski, leniwy i wyrafinowany. Wyczuwał, że jest doświadczona życiowo – i że wszystko toleruje. Przyłapał się na tym, że zerka na głęboki dekolt sukni, i przyszło mu do głowy, że jej piersi są jak ciepła kość słoniowa. Rzadko miewał takie myśli.

Kiedy podano następne danie, mężczyzna o nazwisku Gratton pochylił się nad stołem i ryknął



do George'a:

– Warleggan, jakie jest pana zdanie na temat emancypacji katolików? Nigdy nie słyszałem, żeby przemawiał pan na ten temat w Izbie Gmin!

– Rzadko zabieram głos w parlamencie – odparł chłodno George. – Pozostawiam oratorstwo oratorom. Są inne sposoby, żeby być przydatnym.

– Tak, staruszkule, ale musi mieć pan jakiś pogląd! Każdy ma jakieś zdanie, takie lub inne. Jak pan głosuje?

Było to nieprzyjemne pytanie, ponieważ w kwestii emancypacji katolików, podobnie jak w wielu innych sprawach kraju, George miał odmienne poglądy niż gospodarz i starannie to ukrywał, dbając o swoje prywatne korzyści. Jednak Gratton był kretynem i należało dać mu nauczkę. George nie potrafił szybko znaleźć właściwej riposty, a wiedział, że lady Harriet słucha.

– Szczerze mówiąc, Gratton, nie jest to rzecz, która mnie specjalnie interesuje, więc głosuje tak samo jak przyjaciele.

– A kim są pańscy przyjaciele?

– Czy trzeba o to pytać w tym towarzystwie? – odparł George.

Gratton spojrział na talerz z dziczyzną, który przed chwilą przed nim postawiono. Nabrał trochę sosów, słodkiego i pieczeniowego.

– Muszę przyznać, staruszkule, że to bardzo mało satysfakcjonująca odpowiedź. Z tego powodu zdarzało się upadać rządowi!

– I niewątpliwie w przyszłości to się powtórzy – wtrącił mężczyzna siedzący obok Grattona. – Nie tylko nie upadać, ale przede wszystkim nie powstać!

– Panie Gratton, co pan sądzi na temat emancypacji metodystów? – spytała lady Harriet. – Podejrzewam, że teraz, gdy księżę Walii związał się z lady Hertford, wkrótce wszyscy będziemy śpiewać psalmy.

Rozległy się śmiechy i goście zaczęli snuć rubaszne spekulacje na temat związku księcia z nową faworytą.

– Rozumiem, sir George, że lubi pan katolików mniej niż lorda Grenville'a? – spytała ściszym głosem lady Harriet.

Był wdzięczny, że zmieniła temat, i przypuszczał, że zrobiła to celowo.

– Osobiście, pani, niewiele mnie obchodzi ta kwestia, ponieważ religia nie odgrywa wielkiej roli w moim życiu. Ale nie chciałbym, żeby katolicy zasiadali w parlamencie i sprawowali funkcje publiczne. W przeszłości wielu z nich okazało się zdrajcami.

Kiedy skończył mówić, natychmiast pożałował własnej szczerości i był zdumiony, że okazał się taki nieostrożny. Wyrażanie podobnych poglądów w tym towarzystwie było głupotą, jeśli chciał w dalszym ciągu pozostać sojusznikiem politycznym Grenville'a – a chciał. Przeklął

siebie w duchu i przeklął lady Harriet, że sprowokowała go do powiedzenia prawdy.

– Niewątpliwie panią uraziłem, ale proszę to traktować jako osobiste zwierzenie.

– Nie, nie uraził mnie pan – odpowiedziała. – I mogę się panu zrewanżować własnym zwierzeniem. Nienawidzę katolików, co do jednego. I obawiam się, że William o tym wie.

William, czyli lord Grenville.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, George uznał, że żaden obiad już dawno nie sprawił mu takiej przyjemności. Miał wrażenie, że włożył różowe okulary i że widzi przez nie piękniejszy świat. Było to niepokojące, lecz dość miłe. Własna reakcja budziła w nim nieufność.

Ach, wkrótce wszystko pójdzie w zapomnienie, westchnął w duchu. Miał wiele poważniejszych rzeczy na głowie. Ale kilka dni później, ku własnemu zdziwieniu, dokładnie przemyślawszy sprawę, zaczął dyskretnie zbierać informacje. Z pewnością nic nie straci, jeśli dowie się czegoś więcej. Może się to okazać ciekawe, choć przecież nie jest poważnie zaangażowany.

Zdobył trochę wiadomości i plotek. Panieńskie nazwisko lady Harriet, obecnie wdowy, brzmiało Osborne: była siostrą szóstego księcia Leeds. Miała dwadzieścia dziewięć lat. Wyszła za mąż za sir Toby'ego Cartera, właściciela majątków w Leicestershire i w północnym Devonie. Był osławionym hulaką i hazardzistą, zginął na polowaniu, łamiąc sobie kark. Tkwiał po uszy w długach i roztrwonił nawet posag żony, która musiała sprzedać posiadłość w Leicestershire. Pozostał jej straszliwie zadłużony majątek w hrabstwie Devon, a jedynym źródłem dochodów było subsydlum przekazywane przez księcia. Nie miała dzieci.

Tak brzmiały informacje. Plotki głosiły, że małżeństwo się nie układało i że lady Harriet była taką samą miłośniczką polowań jak mąż. Podobno zamykał ją na dwa dni w tygodniu w jej pokoju, by za często nie wyruszała na łowy z psami. Krążyły również inne niesmaczne plotki, większość, trzeba przyznać, o sir Tobym.

Było tego aż nadto, by człowiek taki jak George natychmiast się zniechęcił. Nie miał najmniejszej ochoty na burzliwe życie małżeńskie, a jeśli w ogóle myślał o kolejnym ożenku, powinien poślubić bogatą pannę z względnie dobrej rodziny. Znał około dwudziestu ładnych, posłusznych dziewcząt, które z radością przyjęłyby jego oświadczenia. Ale owdowiała arystokratka o nieco mrocznej przeszłości...

W końcu postanowił zapomnieć o całej sprawie. Powiedział sobie, że i tak nigdy nie uzyskałby pozwolenia księcia na zawarcie tego małżeństwa. Nazwisko Warlegganów mogło wywoływać trzęsienie ziemi w Kornwalii, lecz nie miało żadnego znaczenia w sferach, w których obracała się lady Harriet. George odkrył, że jej ojciec był lordem szambelanem dworu królowej. Należała do najlepszego towarzystwa. Zbyt dobrego.

Lecz nie była to jedyna pokusa.

Drugą kwestię stanowiła sama lady Harriet i George nie rozumiał własnych uczuć. Kilka razy

budził się w nocy i obwiniał za spotkanie z Clowance Poldark.

Powinien jej nienawidzić od pierwszego wejrzenia, nakazywał to pierwotny instynkt. I rzeczywiście, okazał jej nienawiść. Potraktował ją wyjątkowo grubiańsko, ona zaś w ogóle nie zwracała na to uwagi. Patrzył z wściekłością na córkę dwojga ludzi, których nie znoślił najbardziej na świecie, i otwarcie manifestował swoją złość. Lecz jednocześnie bardziej pierwotny, podświadomy instynkt sprawił, że wydała mu się niewiarygodnie piękna pod względem fizycznym, seksualnym. Zdał sobie z tego sprawę dopiero po pewnym czasie, gdy prześladował go jej obraz. Stała przed nim w surowej, mrocznej sieni, bosa, w białej sukience, z naręczem ukradzionych naparstnic, i spoglądała na niego szczerymi, szarymi oczami z niewinnym zainteresowaniem, bez urazy. Oczywiście nawet w chwilach największego szaleństwa – jeśli w ogóle je miewał – nie wyobrażał sobie, że mógłby ją poślubić: dzieliła ich głęboka przepaść, nienawiść dwóch rodzin. Ale młodość Clowance Poldark, świeżość, niewinność, a zarazem dojrzałość sprawiły, że odtąd stał się innym człowiekiem. Lata postu nie wydawały się już usprawiedliwione. Życie to nie tylko studiowanie ksiąg rachunkowych, korzystanie z władzy politycznej i handlowej. George poznał kobietę – otaczały go kobiety – wszędzie roіło się od kobiet – a skutkiem tej sytuacji było zachwianie się równowagi jego świata. Niestabilność, brak wiarygodności, niepokój, lęk, zazdrość, zwycięstwo, sukces i klęska, ekscytacja. Chwilami przypominał sobie swoje życie z Elizabeth, lecz nie czuł gniewu ani goryczy z powodu straty. Był samotny, choć sam tego nie rozumiał. Spotkał Harriet Carter w odpowiednim momencie.

Przez pewien czas, jak przystało na człowieka odznaczającego się naturalną ostrożnością, nie robił absolutnie nic. Nie był pewien, jak się zachować, nawet gdyby postanowił wykonać jakiś ruch. Wdowa to nie stara panna. Decyduje o sobie. Wydawało się jednak nieprawdopodobne, że zgodzi się na jakikolwiek związek bez akceptacji rodziny. A niełatwo było liczyć na jej uzyskanie.

A jednak, jednak... Małżeństwo z siostrą księcia! Nawet wielkie rody nie lekceważą pieniędzy. Jeśli lady Harriet jest rzeczywiście tak uboga, jak wynika z plotek, księżę mógłby być rad, że się jej pozbędzie. Wiele zależy od podejścia. Tak czy inaczej, George nie zamierzał zbyt szybko kłaść kart na stół. Czy można ocenić kobietę po jednej rozmowie? Jak spotkać się z nią znowu, nie deklarując zainteresowania w sposób zbyt oczywisty? W końcu postanowił się poradzić swojego starego przyjaciela sir Christophera Hawkinsa.

Sir Christopher się roześmiał.

– Na Boga, nie ma nic łatwiejszego, mój drogi. W tej chwili gości u ciotki we dworze Godolphinów. Zaproszę ją na kolację i możesz z nią porozmawiać.

W końcu spotkali się po raz drugi i mimo dużej liczby gości zdołali zamienić kilka słów sam na sam. Lady Harriet szybko zrozumiała, o co chodzi. Wydało się jej to ważne. Lśniące ciemne

oczy stały się nieco rozkojarzone, jakby leniwie rozważała konsekwencje obecności George'a. Odnosiła się do niego grzecznie, lecz z lekką ironią, która sprawiała, że czuł się niezręcznie. Jednak nie zachowywała się nieprzyjaźnie: gdyby uznała, że zaloty George'a są nie do przyjęcia, z pewnością by to okazała.

Ciotka lady Harriet, blada, niska kobieta, która wyglądała, jakby stale przystawiano jej pijawki, również rozumiała, o co chodzi, i wyraźnie jej się to nie spodobało. Rodzina Osborne'ów miała duże posiadłości w Kornwalii i panna Darcy dobrze znała historię Warlegganów.

Drugie spotkanie również niczego nie rozstrzygnęło, jednak George nie dostał kosza. Kiedy usiłował zdobyć kobietę albo kopalnię cyny, opór zawsze dodawał mu energii.

We wrześniu interesy przywiodły go do Manchesteru i był nieobecny przez miesiąc. Wcześniej tylko raz wyjechał na północ od Bath, gdy w tysiąc osiemset ósmym roku odwiedził Liverpool i kilka miast przemysłowych. Nowe miasta w Lancashire, powstające jak grzyby po deszczu, wzbudziły w nim ekscytację: dymy buchające z kominów, gwarne ulice wypełnione tłumami wesołych robotników o szarych twarzach, którzy podążali po brudnych kocich łbach w stronę fabryk i manufaktur. To tu rodziły się nowe fortuny. Wszędzie wznoszono nowe fabryki, czasem zatrudniające dwudziestu, a czasem tysiąc robotników – ich liczby znacznie się wahały. Witalność miast takich jak Manchester przyciągała najbardziej przedsiębiorczych ludzi, którzy przybywali z miasteczek i wsi z nadzieją, że dzięki ciężkiej pracy, inteligencji i oszczędności staną się pracodawcami, a nie pracownikami. Tylko nieliczni osiągnęli sukces i w ciągu kilku lat z nędzarzy stawali się bogaczami, jednak to wystarczało, by inspirować innych. Był to optymistyczny obraz, lecz George nie zauważał drugiej strony medalu, a przynajmniej nie robiła na nim żadnego wrażenia. Straszliwe warunki, w których żyli i pracowali robotnicy fabryczni, stanowiły naturalny rezultat uprzemysłowienia i postępu. Ludzie stawali się częścią urządzeń, elementem napędzającym i obsługującym krosna, przędzarki, wrzeciona, maszyny dziewiarskie, osnową i wątkiem przemysłu bawełnianego, który tworzył bogactwo w miejscu, gdzie wcześniej panowała nędza.

Naturalnie George zdawał sobie sprawę, że połowa robotników nie ma jeszcze osiemnastu lat, że irlandzcy rodzice sprzedają dzieci do fabryk, że angielskie przytułki dla ubogich również handlują dziećmi, że wiele dziesięcioletnich lub jeszcze młodszych dzieci pracuje szesnaście godzin na dobę. Niektórzy sentymentalni wigowie, jak Whitbread, Sheridan i Brougham, wygłaszali na ten temat mowy w Izbie Gmin i zwracali szczególną uwagę na te kwestie, więc nie mógł nie znać statystyk. Chociaż w teorii nad nimi ubolewał, akceptował je w praktyce i nie widział sposobu zmiany sytuacji, którą wytworzyła dynamika rozwoju przemysłu.

Jednak w czasie drugiej wizyty na północy zobaczył więcej nędzy i nieszczęść, o których mówili jego koledzy i które prowadziły do wieców protestacyjnych i rozruchów w nowych

miastach. W tej chwili nieszczęścia spotykały nie tylko wyzyskiwanych robotników, lecz również samych fabrykantów. Przyczyną była nadprodukcja i zamknięcie europejskich portów na podstawie nowego edyktu Napoleona, który zlikwidował nawet przemyt towarów przemysłowych przez wyspę Helgoland i porty śródziemnomorskie. Z wielu kominów fabrycznych nie buchał już dym, w miastach panował straszliwy głód. Na ulicach roiło się od żebraków i nieletnich prostytutek.

George zatrzymał się u posła o nazwisku John Outram, który reprezentował niewielki okręg wyborczy w Wiltshire, lecz miał nieruchomości na północy. Outram był przekonany, że tylko zawarcie pokoju z Francją może uchronić przemysł przed katastrofą. Jednak wydawało się, że perspektywy pokoju są równie odległe jak zawsze. Uparta grupa pozbawionych polotu torysów rządzących krajem, popierana nie tylko przez króla, ale także przez większość Anglii, nie chciała podjąć rokowań z wielkim Korsykaninem. Obstawali przy złudzeniu, że jeśli wgrzyzą się w niego jak pobity buldog, w końcu w jakiś sposób go pokonają – albo on pokona sam siebie, umrze lub zdarzy się inny cud, który wydobędzie ich z kłopotów. A tymczasem czwarta część angielskiego przemysłu upadała.

Outram powiedział, że w tej chwili w Manchesterze można kupić za grosze cenne fabryki i zdobyć fortunę, pod warunkiem że w ciągu najbliższego roku zapanuje pokój. Sam znał kilkanaście dużych przedsiębiorstw stojących na krawędzi bankructwa. Pięć już splajtowało, nie wspominając o losie wielu mniejszych manufaktur. Gdyby zainwestować w tej chwili sto tysięcy funtów, w przyszłym roku miałyby się majątek wart milion funtów – oczywiście jeśli zapanuje pokój. Ale jakie są na to szanse?

George obliznął wargi.

– Gdyby stary król umarł...

– Tak, księżę Walii wszystko by zmienił, wiem. Jest zdeterminowany pozbawić urzędu te zera. Za pół roku podpisałibyśmy traktat pokojowy. Król skończył siedemdziesiąt trzy lata, ale jest żywotny i zdrowy jak pięćdziesięciolatek. Szczerze mówiąc, wydaje się nawet bardziej energiczny od swojego najstarszego syna!

– To skutek bardziej moralnego życia – odparł chłodno George.

– Nie wątpię – rzekł Outram, zerkając z ukosa na Warleggana. – Nie wątpię. Jednak muszę przyznać, że nie miałbym nic przeciwko temu, aby być na miejscu księcia Walii. Na pewno się pan zgodzi, że zawsze spija całą śmietankę, na każdym polu! Ha! Ha!

W czasie pobytu na północy George dokładnie przeanalizował nadarzające się okazje. Nie miał najmniejszego zamiaru inwestować pieniędzy w tym regionie w chwili, gdy przyszłość nie dawała się przewidzieć, lecz z przyjemnością obejrzał niektóre fabryki i nieruchomości. Choć nie zostały jeszcze oficjalnie wystawione na sprzedaż, można je było obecnie tanio kupić. Interesował się sposobem działania fabryk i manufaktur, stosunkiem cen towarów do kosztów

produkcji, płacami robotników, wydatkami na zakup obsługiwanych przez nich maszyn. Jego bystry umysł znajdował podniecie w obmyśleniu sposobów poprawy organizacji, a wszechobecna prymitywna księgowość czasem budziła jego rozbawienie. Cary byłyby nią wstrząśnięty.

Za każdym razem dziękował zatroskanym właścicielom za fatywę i poświęcony mu czas, obiecywał rozważyć sprawę i napisać. Naturalnie nigdy nie pisał. Ale siedząc w wykuszu swojej sypialni w Knutsford, oświetlonym przez jesienne słońce, sporządzał dokładne notatki na temat tego, co zobaczył, gromadził uzyskane informacje. Nigdy nie wiadomo, kiedy takie dane mogą się przydać.

Wrócił do Truro wieczorem tego samego dnia, gdy Ross Poldark spotkał swojego kuzyna na zalesionych wzgórzach za klasztorem w Buçaco.

## II

Jednym z późniejszych nabytków koterii George'a był niejaki Hector Trembath, notariusz, który jedenaście lat wcześniej przejął resztki zrujnowanej praktyki Nathaniela Pearce'a i próbował ją uporządkować. Okazało się to trudnym zadaniem, bo kiedy w kancelarii notarialnej pojawia się oszustwo i nieuczciwość, klienci zaczynają jej unikać, choć praktykę prowadzi zupełnie inna osoba. George dostrzegł w młodym człowieku użytecznego sojusznika, a także potencjalne narzędzie – zaprzyjaźnił się z nim i pomógł mu stanąć na nogi. W rezultacie Trembath stał się wiernym stronnikiem Warleggana. Był wysoki i szczupły, lekko seplenił i chodził drobnym, kobiecym krokiem, więc niektórzy wyrażali zdziwienie, że ma żonę i dwoje dzieci. Otrzymał staranne wykształcenie i wyglądał jak dżentelmen, toteż mógł się pojawiać w towarzystwie, w którym Garth i Tankard, faktorzy George'a, byliby nie na miejscu. I zawsze chętnie wykonywał zlecenia związane ze zdobywaniem informacji lub z rokowaniami. To właśnie on zebrał plotki na temat lady Harriet Carter.

Rankiem po powrocie George'a złożył mu wizytę i dostarczył następne wiadomości. Wydawało się, że lady Harriet wróciła do domu w Hatherleigh: planowano sprzedać na licytacji gospodarstwo oraz zwierzęta, w tym konie jej i męża. Licytacja miała się odbyć za tydzień. Kiedy George wyraził wątpliwość, czy ta wiadomość jest prawdziwa, Trembath pokazał mu w gazecie obwieszczenie o licytacji.

– Wszystko odbywa się na podstawie nakazu komorniczego – powiedział Warleggan. – To znaczy... cóż, oczywiście wie pan, co to znaczy!

– Przymusowa sprzedaż, sir George. Na polecenie szeryfa. To znaczy, że wszystko pójdzie pod młotek.

George obrócił monety w kieszonce na zegarek. Dotykanie złota zawsze sprawiało mu

przyjemność.

– Nie mogę uwierzyć, że księżę pozwoliłby na coś takiego! Jego własna siostra... Potworne!

– Niewykluczone, że odmówiła przyjęcia pomocy, sir George. Tak zrozumiałem.

– Kto tak twierdzi?

– Przypadkiem zawarłem znajomość z zarządcą farmy... – Trembath spojrział z zażenowaniem na George'a, który z aprobatą skinął głową. – Podobno sir Toby Carter miał tak ogromne długi, że niczego nie da się uratować. Najgorsze wyszło na jaw dopiero po sprzedaży majątku w Leicestershire. Myślę, że lady Carter nie chce przyjąć od nikogo pomocy, dopóki nie spłaci wszystkich długów.

George czytał obwieszczenie o licytacji.

– Ale na liście są także jej własne rzeczy. A przynajmniej muszą do niej należeć...

– Myślę, że lady Carter... – Trembath zakasłał – pozbywa się również wspomnień. Chyba można to tak określić.

– Te konie – ciągnął George. – „Tobago, Centurion, Lombardia, własność sir Toby'ego Cartera. Dundee, Przeorysza, Karola, własność lady Harriet Carter. Dundee to ośmioletnia klacz we wspaniałej formie, zdobywczyni nagród w biegach z przeszkodami, jeden z najlepszych koni myśliwskich kiedykolwiek wyhodowanych w hrabstwie Devon”. Co to jest bieg z przeszkodami?

– Rodzaj gonitwy – wyjaśnił Trembath. – Trzeba przeskakiwać żywopłoty, strumienie, furki i tak dalej, stale mając w polu widzenia wieżę kościelną. Przyznaję, że sam bym nie wiedział, gdybym nie spytał. Ten sport stał się modny w hrabstwie Devon i...

– Tak, tak – przerwał George. Podszedł do okna z rękami splecionymi na plecach i wyjrzał na ulicę. W dole dwie Cyganki ciągnęły po kocich łbach ręczny wózek, szło za nimi kilka parszywych psów. George wyjątkowo nie znosił Cyganów i psów. Najchętniej wygnałby Cyganów z miasta, a psy oddał w ręce raka. Nie miał nic przeciwko koniom. W beznamiętny sposób nawet je lubił, ponieważ były jedynym środkiem transportu na lądzie: bez koni trzeba by chodzić na własnych nogach. Lubiał ich potężne, umięśnione zady, ciepły zwierzęcy zapach, to, jak chętnie godzą się służyć człowiekowi. Zastanawiał się leniwie, czy Harriet Carter lubi nie tylko konie, ale też psy. Była to straszliwie częsta przypadłość ziemian, może najpospolitsza choroba całego narodu angielskiego.

Zdawał sobie sprawę, że młody Trembath ciągle mówi. Czasem miewał skłonność do paplania. W wieku trzydziestu ośmiu lat powinien wyrosnąć z tego zwyczaju.

– Co pan powiedział?

Trembath lekko się zachnął.

– Eee... Walter, zarządca farmy, powiedział, że lady Harriet długo się zastanawiała, czy pozwolić sprzedać Dundee. Była bardzo smutna, ale w końcu uznała, że nie ma wyboru. Ludzie

mówią, że sprzedaż przyniesie sporo grosza.

– Ile?

Trembath zrobił zaskoczoną minę.

– Sir?

– Za ile może pójść ta klacz? Ma pan jakieś wyobrażenie?

– Dundee, sir? Nie wiem. Oczywiście będzie to licytacja. Cena zależy od liczby uczestników.

– Tak się składa, że o tym wiem. Niech mi pan przypomni: kiedy kupowałem ostatnio konia?

To powinno dać mi jakieś pojęcie.

– Myślę, panie Warleggan, że cena może być wyjątkowa.

– Cóż, niech będzie wyjątkowa. Czy pan... czy pana przyjaciel wie, co zamierza zrobić lady Harriet po sprzedaży majątku?

– Nie, sir George. Chce pan, bym zasięgnął informacji?

– Tak, ale dyskretnie. Proszę mi powiedzieć, czy kiedy przeprowadza się taką licytację – na mocy decyzji szeryfa – to uczestniczy w niej właściciel?

– Och, myślę, że to zależy od jego decyzji, chyba można tak powiedzieć. Byłem w zeszłym roku na licytacji w Tresillian. Odbywała się według tych samych zasad, sir, i właściciel przez cały dzień stał obok licytanta. Ale w przypadku delikatnej damy...

– Cóż, zobaczymy – odparł George.

### III

Licytacja odbyła się we wtorek drugiego października. Nie ustalono żadnych cen minimalnych i w konsekwencji wiele rzeczy sprzedano za półdarmo. Jednak nie Dundee, która poszła za sto pięćdziesiąt gwinei. Kupił ją chudy, zniewieściały, dość młody człowiek przedstawiający się jako Smith. Lady Harriet Carter pojawiła się na krótko w trakcie sprzedaży koni i nie widziano jej przez resztę dnia. Sir George Warleggan, naturalnie, był nieobecny.

Kiedy w końcu spłacono długi ciężące na majątku, William Frederick Osborne ofiarował siostrze dwór Polwendron w pobliżu Helston i zasugerował, że gdyby Harriet postanowiła zamieszkać w Londynie, co, jak sądził, jest wielce prawdopodobne, powinna wprowadzić się do domu przy Lower Grosvenor Street numer sześćdziesiąt osiem, który dzielił obecnie z matką. Harriet podziękowała i przeprowadziła się do Polwendron. Napisała, że niespecjalnie lubi południowo-zachodnią część Anglii, bo nie ma tak dobrych terenów do polowań. William powinien wiedzieć, że jego siostra nie jest również miłośniczką Londynu, gdzie wśród poczerniałych kocich łbów rośnie nędzna trawa i gdzie panuje straszliwy fetor.

W połowie października do Polwendron przyjechał masztalerz, któremu kazano



przyprowadzić do dworu karą kłacz i oddać list.

Brzmiał on następująco:

*Droga Lady Harriet!*

*Nasz wspólny znajomy poinformował mnie, że wskutek bolesnych okoliczności, o których nie musimy teraz wspominać, niedawno rozstała się Pani z Bliską Przyjaciółką. Jestem pewien, że to wielka przykrość dla obu stron. Chcąc uczcić kilka naszych uroczych spotkań, chciałbym zwrócić Pani Przyjaciółkę, by złagodzić przykry moment. Mam nadzieję, że troskliwie się nią opiekowano i że jest w dobrym zdrowiu. Rozstaję się z nią z obawy, że mógłbym mimo woli znaleźć się wśród uczestników wyścigów z przeszkodami, sportu, którego jak dotąd nie zdołałem się nauczyć.*

*Mam honor pozostawać, Lady Harriet,  
Pani pokornym i posłusznym sługą  
George Warleggan*

George pisał ten list przez prawie cały dzień, niszcząc kolejne szkice. W końcu, pochlebiając samemu sobie, uznał, że brzmi właściwie. W ostatniej chwili w przypływie natchnienia dodał ostatnie zdanie. Czuł, że bez niego list nie byłby tak wymowny.

Masztalerz wrócił z pustymi rękami. Nie zastał lady Harriet w domu. Jednak nazajutrz po południu obszarpany młody człowiek bez liberii przyniósł odpowiedź.

*Drogi Sir George!*

*Kiedy wróciłam wczoraj wieczorem do domu, Dundee skubała trawę na murawie przed wejściem. Przeczytałam Pański list i nie wiem, czy podziwiać Pańską wspaniałą hojność, czy odczuwać gniew z powodu Pańskiej niestosownej zuchwałości. Muszę przyznać, że moje spotkanie z ulubioną kłaczką miało wzruszający charakter i uroniłam nawet kilka łez, choć nikt ich nie widział. Moja decyzja o sprzedaży Dundee wynikała w dużej mierze z pragnienia pozbycia się nieprzyjemnych wspomnień, które ta kłacz zawsze będzie wywoływać. Z pewnością był to ważniejszy motyw niż chęć zaspokojenia wierzycieli mojego byłego męża.*

*Pana czyn niewątpliwie płynął z dobroci serca, a ja natychmiast zaczęłam żałować sprzedaży Dundee, toteż jestem Panu bardzo wdzięczna, sir George, że pozwolił mi Pan odzyskać mojego najlepszego konia w taki miły, niekłopotliwy sposób. Naturalnie mogę być Pana dłużniczką pod względem moralnym, lecz nie finansowym, toteż załączam tratę na bank Coode'ów w Penzance na kwotę stu pięćdziesięciu gwinei. Gdyby musiał Pan zapłacić prowizję anemicznemu, gadatliwemu jegomościowi, który zakupił Dundee na aukcji, proszę mnie o tym poinformować, a ja pokryję różnicę.*

*Jeszcze raz składając podziękowania,  
pozostaję etc.  
Harriet Carter*

George czytał list lady Harriet prawie tak często, jak czyłował swój. Po upływie dnia odpisał:

*Droga Lady Harriet!*

*Otrzymałem Pani list z dziewiętnastego i jestem szczęśliwy, że choć ośmieliłem się zwrócić kłacz bez Pani uprzedniej zgody, trafnie przypuszczałem, że chciałaby ją Pani odzyskać. To, że odgadłem Pani uczucia, jest dla mnie wielkim komplementem.*

*Jednak miał to być podarunek, drobny podarunek bez znaczenia, i czuję żal, że znacznie umniejsza Pani moją satysfakcję, wprowadzając kwestię zapłaty. Dawanie jest większym dobrodziejstwem niż branie, toteż proszę nie sądzić, że pozbawię się większej części błogosławieństwa. Ośmielam się odesłać tratę bankową i mam zaszczyt przekazać pozdrowienia.*

*Pani uniżony sługa  
George Warleggan*

Po tygodniu nadszedł następujący list:

*Drogi Sir George!*

*Czy w pierwszym liście nie wspomniałam o Pana niestosownej zuchwałości? Istota Pańskiego występkę polega na znacznej wartości подарunku przekazanego damie po bardzo krótkiej znajomości. Przymykanie oka na taką zuchwałość byłoby wyjątkowo niewłaściwe. Z tego powodu ponownie przesyłam tratę bankową i bardzo proszę po raz drugi mi jej nie odsyłać, jeśli ceni Pan naszą przyjaźń.*

*Kiedy jechałam wczoraj na Dundee, miałam wrażenie, że zmiana właściciela, choć krótkotrwała, a później nagły powrót w jakiejś mierze sprawiły, że przestała być źródłem niemiłych wspomnień, więc moje zobowiązania wobec Pana są jeszcze większe. Niechaj tak pozostanie. Najważniejsza jest myśl.*

*Sir, proszę przyjąć wyrazy uszanowania etc.*

*Harriet Carter*

George odczekał kilka dni. Nie próbował realizować traty ani nie miał takiego zamiaru – w tej chwili. Przyszło mu jednak do głowy, że mógłby się zabezpieczyć na obie strony i odnieść podwójną korzyść.

W końcu znów napisał.

*Droga Lady Harriet!*

*Niechaj tak pozostanie. Najważniejsza jest myśl. Ale skoro przyczyna mojej zuchwałości to nasza krótka znajomość, czy nie można by tego naprawić, kontynuując tę znajomość? Po każdym kolejnym spotkaniu skala mojego występkę nieco by się zmniejszała. Z czasem znajomość może się zmienić w przyjaźń, a skoro jesteśmy sąsiadami – albo bylibyśmy w hrabstwie, gdzie majątki ziemskie są większe – to dość naturalny krok do przodu, prawda? Czy mógłbym Panią odwiedzić?*

*Droga Lady Harriet, pozostaję Pani pokornym sługą i admiratorem*

*George Warleggan*

George czytał list wiele razy, nim go wysłał. Myślał: Co za sformułowania, zrobiłem ogromne postępy! Dwadzieścia lat wcześniej nie wiedziałbym, od czego zacząć! Dziesięć lat temu, mimo ogłady, którą wyrobiła we mnie Elizabeth, w dalszym ciągu bym sobie nie poradził. Oto dowód mojej dojrzałości, elegancji przejawiającej się w sposobie myślenia. Wnuk kowala stał się dworzaniem! Nawet przyjaciele lady Harriet nie potrafiliby napisać lepszego listu.

W końcu wysłał pismo, choć do końca nie miał ochoty się z nim rozstać. Kiedy masztalierz wyruszył w przeszło dwudziestokilometrową podróż, do salonu wszedł Cary Warleggan z wiadomością niedawno otrzymaną z Londynu. Król zwariował.

## Rozdział piąty

### I

Był dziesiąty listopada. Demelza właśnie skończyła piec ciasto z szafranem, przygotowywane raz w tygodniu, i zastanawiała się, kiedy Ross wróci do Nampary i go spróbuje. Przez wszystkie lata małżeństwa tylko raz spędził Boże Narodzenie poza domem. W tysiąc osiemset siódmym roku wyjechał z hrabią Pembroke w specjalnej misji do Austrii. Nawet nie dotarł do Wiednia, gdyż z Kopenhagi odesłano go do kraju z wiadomością, że Francja zamierza zmusić Danię do przyłączenia się do wojny z Anglią. Kiedy znalazł się w Londynie, natychmiast znów wysłano go do Portugalii z misją, by skłonić rodzinę królewską do opuszczenia Lizbony i szukania schronienia w Brazylii.

Demelza nie miała wtedy nic przeciwko temu. Wiedziała, że Ross jest bezpieczny w Londynie, i dokładnie знаła naturę drugiej misji – uczestnictwo w niej było zaszczytem, a niebezpieczeństwa nie wydawały się zbyt wielkie. Jednak ostatnie zaproszenie dotarło do niego w Kornwalii. Chociaż nie wchodził w szczegóły, jego zachowanie sugerowało, że tym razem misja jest bardziej sekretna i niebezpieczna, o takim charakterze, że wahał się nieco, czy ją przyjąć. Mimo wszystko wyjechał, później poinformował listownie Demelzę, że przybył do Londynu, po czym zapadła cisza. Domyślała się, że w dalszym ciągu jest w Portugalii. Niedawno nadeszła wiadomość, że Brytyjczycy odnieśli tam zwycięstwo, lecz wycofali się z wyzwolonych obszarów. Demelza nie mogła się w tym wszystkim połapać i czuła niepokój.

Naturalnie Ross nie był wojskowym, tylko cywilem, gościem, obserwatorem, a nie uczestnikiem walk. Jednak w czasie bitwy różnice łatwo się zacierają. Tak czy inaczej, zdawała sobie sprawę, że unikanie konfliktów nie leży w naturze Rossa. Jeśli przypadkiem znajdzie się na polu walki, może wziąć w niej udział z przyczyn patriotycznych.

Wszystko zatem sprowadzało się do tego: w każdej chwili, każdego dnia, gdy Demelza ustawiała słoje w spiżarni, gdy ozdabiała ciasto rodzynkami, gdy strofowała Isabellę-Rose za to, że się złości, albo gdy czyściła zęby korzeniem prawoślazu – Ross mógł właśnie umierać z powodu ran gdzieś na suchych stokach portugalskich gór, chorować na febrę w szpitalu, nie móc utrzymać w ręku pióra. Ale mógł też niedawno wrócić bezpiecznie do Londynu i pisać do niej list lub jechać dyliżansem z St Austell do Truro, pokonując ostatni etap drogi do domu.

Musiała żyć normalnie, koncentrować się na prozaicznych, codziennych sprawach

związanych z domem, kopalnią, życiem okolicznych wiosek. Musiała gotować posiłki, dbać, by nie zabrakło piwa, zamawiać węgiel i drewno na zimę – i, jako pani domu, słuchać skarg, rozwiązywać drobne konflikty, pomagać potrzebującym, zajmować się przygotowaniami do Bożego Narodzenia zarówno w kościele, jak i w całej okolicy.

Zachowywała się niemądrze, kiedy serce biło jej mocno, ilekroć niespodziewanie rozlegał się stukot końskich kopyt na kamieniach.

Dziesiąty listopada był cichym, pochmurnym dniem. Jeremy znów poszedł na ryby z Pauliem Kellowem i Benem Carterem. W zimie nie zostawali nad morzem do kolacji, tylko zwykle wracali o zmroku, więc Demelza postanowiła zejść do zatoki w nadziei, że ich spotka.

Upłynął zaledwie miesiąc od jedenastej rocznicy śmierci Elizabeth i Demelza czuła, że lata te minęły bardzo szybko. Wcześniej, w najciemniejszym okresie swojego życia małżeńskiego z Rossem, zeszła do zatoki w zaawansowanej ciąży i wypłynęła na ryby, po czym o mało nie straciła Jeremy'ego i sama nie zginęła. Miała wrażenie, że działo się to wczoraj. Teraz to Jeremy wybierał się na ryby, wysoki, szczupły, dziewiętnastoletni, tajemniczy, mający w sobie coś z artysty, nietraktujący życia poważnie, znacznie trudniejszy do zrozumienia niż Clowance.

Pierwsza dekada nowego stulecia okazała się dobra. Relacje Demelzy z Rossem wróciły do stanu z początku małżeństwa: często się śmiali, niekiedy budziła się w nich namiętność, zawsze traktowali się po przyjacielsku. Atmosfera panująca w domu udzieliła się dwojgu starszym dzieciom, więc mimo drobnych nieporozumień, które czasem się zdarzały, wszyscy żyli w zgodzie, niczego przed sobą nie ukrywali i darzyli się miłością. Dopiero niedawno, w ciągu ostatniego roku, pojawiły się elementy niezrozumienia między Rossem a Jeremym.

Demelza uważała, że Ross również jest szczęśliwy – a przynajmniej na tyle bliski szczęścia, na ile możliwe w przypadku człowieka o tak niespokojnym charakterze. Po tragedii, jaka się wydarzyła w czasie pierwszej wizyty Demelzy w Londynie, i po śmierci Elizabeth chciał zrezygnować z mandatu w Izbie Gmin. Uważał się za skompromitowanego pojedyńkiem, w którym zabił Monka Adderleya. Powiedział lordowi Falmouth, że czuje się bezużyteczny w Westminsterze, miejscu, gdzie tylko się gada, gdzie słowa są ważniejsze od czynów. Lord Falmouth nie potraktował jego słów zbyt poważnie, a kiedy Ross wrócił do domu, Demelza dodała swoje argumenty na rzecz zachowania mandatu.

Była to słuszna decyzja, ponieważ wkrótce nadarzyła się możliwość podróży i oddania nietypowych usług Koronie. Ross nie zawdzięczał tej misji lordowi Falmouth, lecz wpływowi swojej niespokojnej osobowości na kolegów w parlamencie. „Dlaczego nie wysłać Poldarka?” – w ciągu następnych kilku lat wiele razy słyszano to pytanie w kręgach rządowych. Na początku zaproszono go do udziału w misji mającej ocenić warunki, w jakich żyją angielscy żołnierze w Indiach Zachodnich. Spędził pół roku poza Anglią. W następnym roku znów wyjechał za granicę, tym razem do Norwegii. Później nadeszły kolejne misje, portugalska była piąta.

Odpowiadało to Rossowi. Choć był żarliwie przywiązany do Kornwalii i chciał żyć tylko w Namparze, prowadzić kopalnię, kochać żonę, patrzeć, jak dorastają dzieci, nie potrafił się wyzbyć niespokojnych, awanturniczych cech swojej natury. Większość misji w czasie wojny wiązała się z jakimś niebezpieczeństwem, i to również mu odpowiadało. Poza tym czuł, że jest użyteczny dla kraju.

Nie zdobył fortuny, ale był dostatecznie zamożny, by prowadzić wygodne życie. Jak powiedział kiedyś Demelzie, najważniejsze to zachować równowagę: nędza i bogactwo są przyczynami nieszczęść. Sposób na osiągnięcie szczęścia to posiadanie wystarczających zasobów finansowych, by zaspokajać ważne potrzeby.

Gdy Demelza dotarła na brzeg morza, nie zauważyła śladu łodzi. Na jej dłoń spadła kropla deszczu, w górze piszczały mewy. Nad oceanem wisiała chmura przypominająca worek kartofli. Później zauważyła w oddali dwa żagle częściowo skryte za horyzontem.

Zabawne, że prawie nigdy nie można osiągnąć całkowitego spokoju, całkowitej satysfakcji, pomyślała. W ciągu ostatnich kilku lat w okolicy wiele się zmieniło. Zmarł sir John Trevaunance, a Unwin Trevaunance, w końcu odziedziczywszy majątek, natychmiast sprzedał Place House. Dwór nabył bogaty kupiec nazwiskiem Pope, który zbił majątek w Ameryce, chudy, pompatyczny człowiek, który nosił niezwykle wysokie kołnierzyki i mówił piskliwym głosem przypominającym skrzywienie zawiasów. Kiedy Jeremy zobaczył nowego właściciela, zaczął nazywać Place House Watykanem.

Pope, przeszło pięćdziesięcioletni, miał ładną, młodą drugą żonę imieniem Selina i dwie córki z pierwszego małżeństwa, Letitię i Maud. Osiemnastoletnia Letitia nie odznaczała się szczególną urodą, lecz Maud, o rok młodsza, była dość ładna. Pope rządził twardą ręką wszystkimi trzema kobietami.

Zmarł doktor Choake, a Polly Choake wróciła do Truro, gdzie życie było ciekawsze i dawało się znaleźć partnerki do wista. Nie sprzedała Fernmore, tylko wynajęła je swoim kuzynom o nazwisku Kellow. Charlie Kellow, ojciec, zajmował się budową dylizansów i zaangażował się w dwa nowe przedsiębiorstwa, które prowadziły linie dylizansowe w Kornwalii, toteż często przebywał poza domem. Enid Kellow była ciemnowłosą, przygarbioną kobietą o rozbieganych oczach; nigdy nie miało się pewności, na co patrzy. Mieli troje dzieci – Violet, jasnowłosą, ładną i chorowitą; Paula, przystojnego, szczupłego dziesięcioletnia, zbyt dojrzałego jak na swój wiek, i Daisy, ciemnowłosą, wesołą i rozbajającą.

Demelza przekonywała samą siebie, że ona i Ross są szczęściarzami, bo teraz, gdy najstarsze dzieci dorosły, w okolicy pojawiają się nowi młodzi ludzie – Jeremy i Clowance nie są więc już skazani na towarzystwo dzieci Ruth Treneglos lub górników i wieśniaków. Przekonywała samą siebie trochę na siłę, ponieważ czuła, że przybysze nie pasują do standardów jej rodziny.

Niewątpliwie było to dziwne uczucie jak na kogoś, kto przeżył pierwsze czterdzieści lat życia

w skrajnej nędzy. Lecz wydaje się oczywiste, że wszyscy rodzice uważają podobnie. (Nikt nie jest dostatecznie dobry dla naszych dzieci). Przybysze... cóż, Pope'owie byli pretensjonalni – uważał tak nawet Ross – w odróżnieniu od Trevaunance'ów, Bodruganów i Treneglosów, którzy mimo swoich wad zachowywali się naturalnie i rozsądnie. Nigdy nie chcieli nikomu celowo imponować, gdyż byli święcie przekonani, że z natury rzeczy są doskonali.

Kellowowie wydawali się chorowici. Najstarsza córka zmarła na suchoty i groziło to również Violet. Daisy była urocza, ale miała w sobie coś gorączkowego. Odnosiło się wrażenie, że chce żyć dwa razy szybciej od innych, na wypadek gdyby jej życie okazało się o połowę krótsze. Paul był nieco zniewieściały, przywiązywał zbyt wielką wagę do swojego wyglądu i wygłaszanych przez siebie opinii, a poza tym miał zbyt duży wpływ na Jeremy'ego.

Po rocznym pobycie w okolicy Paul Kellow, wówczas szesnastoletni, odkrył stary szyb kopalni na klifie między Namparą a Trenwith. Miał on głębokość dwudziestu metrów i dochodził do plaży oraz kamienistej zatoczki. (Znajdował się niedaleko jaskini w Foczej Zatoce, która w dalszym ciągu budziła w Demelzie niespokojne wspomnienia). Paul z pomocą ojca zbudował w szybie drabinę, toteż w każdej chwili można było zejść do zatoczki. Miejsce to nazwano Drabiną Kellowa – nazwa się przyjęła – i w zatoczce Paul trzymał własny statek: stary ługier kupiony dla niego przez ojca z piątej ręki w St Ives. Wykorzystywał go do wypraw przemycniczych do Irlandii lub Francji.

Do brzegu szybko zbliżał się gig. Miał poszycie zakładkowe i był idealną łodzią na plażę zalewaną przez przypływy. Ross zbudował go pięć lat wcześniej w swoim zakładzie szkutniczym w Looe. Jeremy i Drake pływali nim w czasie dwóch pięknych letnich dni w czerwcu, gdy morze było równie gładkie jak jezioro Dozmary. Refleksy słońca tańczyły na pluskającej fali dziobowej, a brzydota wojny wydawała się nieskończenie daleka. Później Ross pływał gigiem zaledwie kilka razy, lecz Jeremy stale z niego korzystał.

Dziwne, że tyle łowią ryby, pomyślała Demelza. Ale to nieszkodliwa rozrywka. Jeremy dobrze się uczył w gimnazjum w Truro – lepiej niż ojciec – jednak nie chciał studiować w Oksfordzie ani Cambridge. Nie chciał również wstąpić do armii lub marynarki wojennej, choć oczywiście dwa razy w miesiącu uczestniczył w ćwiczeniach ochotników i zamierzał walczyć ramię w ramię z innymi, by odeprzeć inwazję. Ale wydawało się, że na razie brakuje mu przedsiębiorczości. Nie zdecydował jeszcze, jaką drogę wybrać.

Demelza pomyślała, że syn dorasta w cieniu zdecydowanego, aktywnego, dominującego ojca. Chociaż Ross nigdy nie był surowy ani wymagający i traktował dzieci łagodniej od Demelzy, pozostał sobą. Sama jego obecność wpływała na całe otoczenie.

Postanowiła nie stać i nie czekać na brzegu morza jak niespokojna matka. Wspięła się kamienistą ścieżką prowadzącą do porośniętego kolcolistem przylądka łączącego się z długim polem. W połowie drogi udała, że dopiero teraz widzi gig „Nampara Girl”. Pomachała ręką,

a chłopcy jej odmachali. Stała i patrzyła, jak wpływają powoli do zatoczki, po czym zwijają żagiel lugrowy, a później grot. Za pomocą wiosł skierowali łódź w stronę tej części brzegu, gdzie było więcej piasku, a mniej kamieni. Później Demelza powoli ruszyła w ich stronę.

Kiedy dobili do plaży, Ben Carter wskoczył do wody i popchnął gig o metr do przodu, aż dziób osiadł na piasku. Jeremy podążył za przyjacielem i pobiegł truchtem w stronę Demelzy. Ben Carter, dawniej znany jako Benjy Ross Carter, miał bliznę na twarzy, dość podobną do blizny Rossa – pewnej nocy ćwierć wieku wcześniej, w czasie marcowej wichury, zranił go oszalały Reuben Clemmow. Był drugim z miejscowych chłopców podkochujących się w Clowance i trzeba przyznać, że Clowance traktowała go poważniej od Matthew Martina. Był smukły, miał wyrazistą, skupioną, szczupłą twarz o ciemnych brwiach i nosił krótką, niemodną bródkę. Wiele wiejskich dziewcząt chętnie by się za niego wydało, ale na razie żadnej nie udało się go złapać, choć wkrótce kończył dwadzieścia sześć lat.

– Mamo – powiedział Jeremy, zbliżywszy się do Demelzy – wolelibyśmy, żeby w tej chwili cię tu nie było, bo mamy na pokładzie ładunek, niespodziewany ładunek, który ci się nie spodoba. Czy mogłabyś grzecznie odejść, gdy wyniesiemy go na brzeg?

Demelza instynktownie spojrzała na łódź. Chociaż Jeremy mówił lekkim tonem, był nieco blady i zasłaniał gig.

– Co to takiego?

– Coś, co wyłowiliśmy z morza. Nic ważnego.

– Powiedz, o co chodzi.

Wzruszył ramionami.

– Dwa trupy.

– O Boże... Gdzie je znaleźliście? Unosiły się... na wodzie?

– Nie. Leżały na tratwie. Prąd powoli znosił ją w stronę łądu. W pobliżu Trevaunance.

– Widywałam już martwych ludzi – powiedziała.

– Domyślałam się. Chciałem ci oszczędzić przykrego widoku.

Minęła syna i zbliżyła się do łodzi. Na plaży Hendrawna, po drugiej stronie Damsel Point, morze stale wyrzucało coś na brzeg. Ta skalista część wybrzeża była od wieków cmentarzyskiem statków. Nawet jeśli rozbijały się w odległości trzydziestu kilometrów, prądy niekiedy niosły szczątki do jednej z największych, najbardziej płaskich plaż wybrzeża. Największe, tragiczne katastrofy wydarzyły się w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku, nie licząc węglowca, który rozbił się w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym siódmym roku i stał się dobrodziejstwem dla wieśniaków. Długotrwała wojna niewiele zmieniła, choć morze wyrzucało na brzeg więcej zwłok – wszyscy oprócz najbardziej zahartowanych wieśniaków woleliby, żeby było ich mniej. Świeże trupy, których twarze dawało się rozpoznać, czasem chowano na cmentarzu, lecz najczęściej zwłoki zakopywano na wydmach na tyle głęboko, by nie dobrały się tam mewy.

Demelza podeszła do łodzi, zde gustowana na myśl o tym, co może zobaczyć, chociaż zdrowy rozsądek podpowiadał, że gdyby trupy były zbyt opuchnięte, chłopcy nie wciągnęliby ich na łódź.

Benjy Carter wskoczył do gigu i wraz z Paulem Kellowem pochylał się nad ciałami leżącymi na rufie. Widziała nogi w postrzępionych granatowych spodniach, bosc stopy. Zdjęła buty i pończochy, rzuciła je na piasek poza zasięg fal, po czym weszła do łodzi, mocząc sobie sukienkę. Jeden mężczyzna był ciemnowłosy, śniady, z raną na głowie; wyglądało na to, że odgryzł sobie język... Drugi wydawał się młodszy, z bujnymi jasnymi włosami; podarta koszula ledwo okrywała muskularny blady tors.

Paul Kellow wyprostował się i odgarnął włosy z oczu.

– Cóż, pani Poldark, wydaje mi się, że ten ciągle żyje! – rzekł, wskazując jasnowłosego rozbitka.

## II

George Warleggan czekał dwa tygodnie na odpowiedź na ostatni list do lady Harriet. Odpowiedź nie nadeszła, więc uznał, że musi wracać do stolicy, gdzie doszło do kryzysu konstytucyjnego. Pojechał dyliżansem do Londynu i dotarł tam w trzecim tygodniu listopada.

Okazało się, że w londyńskich kręgach politycznych wrze. Przed pięcioma laty, realizując nową politykę zacieśniania związków z przyszłą partią, która miała rządzić Anglią, zrezygnował z członkostwa klubu White's i wstąpił do klubu Brooks's, tradycyjnego miejsca spotkań wigów. W tej chwili było to gniazdo plotek i domysłów. Z jednej strony prowadzono poważne negocjacje i dyskusje, trwały zawzięte targi o funkcje i stanowiska w nowym rządzie, którego powstanie wydawało się możliwe, a nawet prawdopodobne. Jednak ludzie bez osobistych ambicji uważali kryzys za wspaniałą rozrywkę i rodzaj loterii. Każdego ranka oczekiwano na najświeższe wiadomości o zdrowiu króla i zakładano się o wysokie kwoty, za ile dni zostanie umieszczony w kaftanie bezpieczeństwa. Kiedy bywalcy klubu grali w karty i kładli na stole króla, żartowali: „Wychodzę w wariata!”. Jeden ze starszych członków, gdy sobie podpił, naśladował nawet księcia Walii przedrzeźniającego przed dwudziestoma laty najgłupsze wypowiedzi ojca.

George wiedział, że w Londynie przebywają lordowie Grey i Grenville, których wezwano z majątków w północnej części Anglii. Sheridan, Moira i Adam nie odstępowali ani na krok księcia Walii – tym razem zachowywał się znacznie oględniej. Spencer Perceval i jego niekompetentni torysowscy ministrowie w dalszym ciągu uporczywie trzymali się władzy w nadziei, że sytuacja się zmieni.



W ciągu ostatnich tygodni nadeszła tylko jedna wiadomość. Francuzi dowodzeni przez marszałka Masséne doznali poważnej porażki koło miejscowości o nazwie Buçaco, o której nikt nigdy nie słyszał. Brytyjczycy odparli atak dwukrotnie liczniejszego nieprzyjaciela i zmusili go do odwrotu, eliminując z walki sześć lub siedem tysięcy żołnierzy. (Wigowie starali się minimalizować znaczenie tej wiadomości, a późniejsza informacja, że Wellington znów się cofa, pozwoliła im z satysfakcją głosić, że zwycięstwo znacznie wyolbrzymiono).

Wszystko to było interesujące dla George'a. Informacje o niepowodzeniach Wellingtona sprawiały mu szczególną osobistą przyjemność, ponieważ przed trzema laty, gdy szukał sposobu, by zdobyć mandat posła do Izby Gmin, specjalnie starał się wkraść w łaski Wellingtona. Księżę przez kilka miesięcy reprezentował wówczas okręg wyborczy w St Michael, po czym zrezygnował z mandatu. Bardzo wyraźnie okazywał George'owi, że nie chce mieć z nim nic wspólnego, co wywarło złe wrażenie na Warlegganie.

George myślał o otwierających się przed nim perspektywach. Gdyby kryzys konstytucyjny doprowadził do objęcia władzy przez Greya lub Grenville'a, przy odrobinie szczęścia on sam mógłby otrzymać tytuł barona, który odziedziczyłby Valentine. Jednak nie był to jedyny ani nawet główny powód chwilowej rezygnacji z zalotów do Harriet Carter. Najważniejsza była pokusa związana z fabrykami Manchesteru.

George zdobył informację, że królem opiekuje się trzech lekarzy: sir Henry Halford, doktor Baillie i doktor Heberden. Czwartym, który przychodził dwa razy na tydzień i którego rad słuchała królowa, był David Dundas, aptekarz z Windsoru. Nie było nikogo innego, ponieważ w tysiąc siedemset osiemdziesiątym ósmym roku, odzyskawszy władzę umysłową, Jerzy III kazał rodzinie przysiąc, że nigdy więcej nie wezwą „zwariowanych konowałów”, jak ich nazywał, ponieważ źle go traktowali i wsadzili w kaftan bezpieczeństwa. Głównym dręczycielem był doktor Francis Willis, który prowadził prywatny zakład dla obłąkanych w Lincolnshire. Król nie musiał się już obawiać tego dżentelmena, ponieważ odszedł on z tego świata, lecz niestety pozostawił dwóch synów, Johna i Roberta Willisów, którzy kontynuowali nikkczemną profesję ojca. Królowa przez kilka tygodni opierała się naciskom rządu, ale wreszcie ustąpiła.

Tych sześciu dżentelmenów stało się teraz najważniejszymi ludźmi w państwie. Ich raporty i prognozy były podstawą najpoważniejszych decyzji o daleko idących konsekwencjach. Kiedy król nie jest w stanie podpisywać ustaw przygotowanych przez gabinet, rząd angielski po prostu nie może funkcjonować. Nie da się nawet odroczyć wyborów do parlamentu, który z przerażeniem wyobrażał sobie, że będzie obradował w nieskończoność. Gdyby jednak utworzono regencję i władzę przejąłby księżę Walii, a następnie król odzyskałby zdrowie, regencja natychmiast by się zakończyła, a król, śmiertelnie nienawidzący najstarszego syna, odkąd skończył on siedem lat, byłby wściekły, co mogło wywołać ponowny atak choroby. Poza

tym Jerzy III cieszył się w Anglii wielką popularnością, częściowo ze względu na zaawansowany wiek, a częściowo z powodu upartych, staroświeckich poglądów podzielanych w tamtej epoce przez pospólstwo. Prowadził przykładowy tryb życia, dbał o żonę, stał się symbolem zasad moralnych, które ludzie podziwiali, choć sami ich nie przestrzegali. Księżę Walii był natomiast wyjątkowo niepopularny i budził powszechną pogardę. Z tego powodu żadna z partii politycznych nie chciała działać pochopnie lub tworzyć wrażenia, że usuwa prawowitego króla bez ważnych przyczyn, gdyż w przeciwnym wypadku nie mogłaby prowadzić skutecznej kampanii wyborczej.

Oficjalnie lekarze wyrażali nadzieję, że monarcha szybko wróci do zdrowia. Spencer Perceval uznał, że jako premier ma obowiązek poinformować o tym parlament. Dlaczego wszystko nie może się powtórzyć? – pytali ludzie. Dwadzieścia dwa lata wcześniej gorączkowo przygotowywano ustawę o regencji, a Pitt szykował się do dyskretnego odejścia z polityki, po czym król nagle odzyskał zdrowie. Tym razem na pewno zdarzy się to samo. Czy rzeczywiście? Prawie ćwierć wieku później? W przypadku starca zbliżającego się do osiemdziesiątki?

Oficjalne raporty lekarzy budziły irytację George'a. Brała w nim górę wrodzona podejrzliwość. Uważał za oczywiste, że Perceval i jego koledzy wykorzystują opinie lekarzy, by odwlec dzień, gdy stracą urząd, ponieważ nastąpiłoby to natychmiast po wprowadzeniu regencji. A nieoficjalne opinie? Księżę Walii był członkiem klubu Brooks's, lecz przestał się tam pojawiać, gdy informacje o chorobie ojca wyszły na światło dzienne. W klubie plotkowano, że księżę Walii odwiedził ojca i że król go nie poznał. Mówiono, że król ściska poduszkę i nazywa ją księciem Oktawiuszem, że uważa żonę za uzurpatorkę i twierdzi, że królową jest lady Pembroke.

Jak uzyskać pewność? A jeśli nie pewność, to przynajmniej wyższy stopień pewności, niż ma większość ludzi, na tyle duży, by postawić duże sumy na ostateczny rezultat? Gdyby księżę Walii został regentem, wartość fabryk w Manchesterze z dnia na dzień wzrosłaby czterokrotnie.

## *Rozdział szósty*

### I

Przed nadejściem Bożego Narodzenia Stephen Carrington stał się znaną osobą w Namparze, Mellin i Sawle.

Demelza widziała dwóch rozbitków niesionych do dworu drogą obok strumienia. Jeden z nieznanomych był martwy, a drugi tak bliski śmierci, że nie dawała mu większych szans. Pobieгла do domu i posłała Gabby Martin po doktora Enysa. Szczęśliwym trafem Dwight znajdował się w pobliżu i mógł udzielić pierwszej pomocy. Marynarza zaniesiono na piętro dworu w Namparze, rozebrano i przykryto ciepłymi kocami; przyłożono mu do stóp ogrzewacze, nacierano ręce alkoholem i wiano do ust kilka kropel brandy. Dwight powiedział, że rozbitek słabo oddycha, i został na miejscu, aż oddech stał się widoczny dla wszystkich. Później zszedł na dół, wypił z Demelzą kieliszek porto, pogładził ją po dłoni i obiecał przyjechać nazajutrz po śniadaniu.

Rankiem uratowany marynarz odzyskał przytomność i mógł mówić. Po południu zjadł coś lekkiego i wypił trochę kordiału. Następnego dnia wstał z łóżka.

Stephen Carrington, dżentelmen. Z Gloucestershire, gdzie prowadził interesy żeglugowe i handlowe z Irlandią. Opuścił Bristol na pokładzie barku płynącego do Corku. Statek stracił maszty w czasie gwałtownego sztormu i zatonął. Fale przewróciły jedną z szalup ratunkowych i Stephen przedostał się na tratwę z pomocnikiem bosmana i majtkiem laskarem. Pomocnik zmarł. Laskar żył prawie tak długo jak Stephen.

Był dość młody. Demelza nie dałaby mu więcej niż trzydzieści lat. Akcent z zachodniej Anglii, lecz inny od kornwalijskiego. Odznaczał się wyjątkowo silną konstytucją fizyczną. Dwight stwierdził, że Stephen ma dwa złamane żebra. Mimo to młody człowiek wkrótce zaczął chodzić po domu i gospodarstwie, jakby nic mu nie dolegało. Miał szeroką twarz, szerokie czoło, a bujna grzywa jasnych włosów i roziskrzone, błękitne oczy sprawiały, że wydawał się przystojny. Było oczywiste, że uważają tak wszystkie młodsze służące. Podobnie Clowance. Nosił jeden ze starych surdutów Rossa, bo ubrania Jeremy'ego okazały się za małe. Starzał się pomagać we wszystkim, w czym mógł. Był przyjacielski, wesoły, powszechnie lubiany.

Miał pieniądze – trzymał je w pasie w talii – i zaproponował Demelzie dwie gwinee na pokrycie kosztów utrzymania. Odmówiła. Wydał je w szynkach, zaprzyjaźniając się z częścią

okolicznych górników.

Demelza od dwudziestu pięciu lat obracała się wśród ziemian, choć nie urodziła się w rodzinie ziemiańskiej (towarzystwo przedstawicieli wyższych sfer sprawiało jej przyjemność – czasami – a poza tym podziwiała ich zwyczaje i naśladowała je, gdy jej się podobały). Wskutek tych doświadczeń nabrała doskonałej umiejętności oceny ludzkich charakterów, której nie miał Ross, niezwracający uwagi na wiele rzeczy. Jednak zupełnie nie wiedziała, co sądzić o Stephenie Carringtonie.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem spytał, czy może zostać do końca roku.

– Doktor Enys mówi, że moje żebra jeszcze się nie zrosły. Przyjemnie byłoby spędzić jeszcze kilka dni w tak uroczym towarzystwie.

– Święta będą ciche, bo mąż wyjechał, ale będzie pan miłym gościem.

Stephen podrapał się po głowie.

– Prawdę mówiąc, pani Poldark, chociaż jestem już prawie zdrowy, katastrofa bardzo mną wstrząsnęła. O mało nie zginąłem. Byłbym wdzięczny, gdybym mógł jeszcze trochę wypocząć i dojść do siebie. Jestem dozgonnie wdzięczny.

Nadeszło Boże Narodzenie. Zorganizowano kilka przyjęć: jedno u Treneglosów, drugie u Pope'ów i trzecie, nieco mniejsze, u Kellowów. Stephen Carrington uczestniczył we wszystkich. Rok wcześniej Demelza również zorganizowała przyjęcie, lecz tym razem wymówiła się z powodu nieobecności Rossa. Caroline Enys, impulsywna jak zwykle, najpierw postanowiła nie zapraszać gości, a później nagle wydała przyjęcie z okazji Nowego Roku.

– Moje dwie córki są jeszcze za małe, by cenić cokolwiek oprócz galaretek i słodczy – powiedziała. – Więc położymy je spać, a sami urządzimy Saturnalia. Albo będziemy jeść owsiane ciastka, jeśli wolicie.

Skończyło się na jednym i na drugim. W Killewarren nie było naprawdę wielkiej sali recepcyjnej i między czwartą a piątą goście rozeszli się do różnych pomieszczeń. W jednym grano w kości, w drugim tańczono przy akompaniamencie skrzypiec Mynera, w trzecim jedzono gęsi, kapłony, bażanty, syllabuby i tort czekoladowy, a w czwartym goście siedzieli wokół wielkiego kominka i opowiadali anegdoty. Kiedy nadeszła północ, masztalerz uderzył w dzwon w stajni, zgaszono świece i wszyscy uczestnicy przyjęcia, przy wtórze pisków i okrzyków, wyciągali rodzynki z wielkiej płaskiej misy z płonącej brandy.

Kiedy zabawa się skończyła, Caroline pocałowała Dwighta i Demelzę.

– Dlaczego twój mąż ciągle wyjeżdża? – spytała. – Bardzo go kocham, ale wystawia nas na ciężką próbę.

– Ma to we krwi – odpowiedziała Demelza. – Nie wiem dlaczego, bo mam wrażenie, że pozostali Poldarkowie spędzali większość życia w domu. Wydaje się, że wcześniej poznał smak przygód i nie może tego zapomnieć.

– Jako cywil nie jest narażony na wielkie niebezpieczeństwo – zauważył Dwight. – Może lada dzień wróci do domu.

– Sama sobie to powtarzam – odparła Demelza lekko drżącym głosem. Była podekscytowana przyjęciem, wypła trochę brandy, a szczególnie wzruszyła ją serdeczność dwojga najbliższych przyjaciół.

– Gdzie mieszka teraz Verity? – spytała Caroline, starając się złagodzić emocje, które wywołała.

– W domu. Przyjedzie do niej jej pasierbica Esther.

– Będzie z nimi Andrew?

– Senior? O tak. Przed czterema laty przeszedł na emeryturę, ku wielkiej uldze Verity.

Caroline zdjęła włos z surduta Dwighta.

– A ten młody człowiek, którego wyłowił z morza Jeremy? Może złapał go na wędkę? Moim zdaniem pan Carrington jest wyjątkowo przystojny. Gdyby się lepiej ubrał i modnie ostrzygł, pasowałby do londyńskiej sali balowej.

– Nosi ubrania Rossa.

– Ach, cóż, Ross jest sam w sobie tak wybitną postacią, że może się ubierać skromnie, jeśli ma na to ochotę. Podobnie Dwight, ale mu na to nie pozwalałam.

– Powinnaś wpłynąć na Rossa.

– Nigdy bym się nie ośmieliła! Jak długo tu zostanie?

– Stephen? Nie jestem pewna.

– W przyszłym tygodniu możemy wyjechać do Londynu, Demelzo.

– Naprawdę? Oboje? Wróciliście dopiero w październiku! Wszystkie te podróże... Wolę mieszkać w jednym miejscu.

– Podjęliśmy decyzję dość nagle – odparła Caroline. – Dwight otrzymał zaproszenie związane z medycyną i zastanawia się, czy je przyjąć.

Demelza spojrzała na Dwighta, a on na nią. Uśmiechnął się.

– Do tego czasu Ross wróci – powiedział.

– Miejmy nadzieję. Inaczej pomyślę, że opuścili mnie wszyscy przyjaciele.

– Dlaczego nie pojedziesz z nami do Londynu?

– A jeśli minę się z Rossem po drodze? On pojedzie w jedną stronę, a ja w drugą? Nie, dziękuję. Ale dziękuję za propozycję.

Goście rozchodzili się do swoich pokoi. Opuszczając salę, Stephen Carrington splótł mały palec z małym palcem Clowance. Dalej szli Jeremy i Maud Pope. Młoda, jasnowłosa pani Pope stała niechętnie obok starszego męża, ukrywając niezadowolenie pod maską grzeczności.

– Powiedz mi, co zamierzasz począć z Clowance – odezwała się Caroline, kładąc dwa palce w rękawicze na nadgarstku Demelzy, która zrobiła zaskoczoną minę.

– Z Clowance? Przecież nic jej nie jest, prawda?

– Z wyjątkiem jednej dolegliwości atakującej wszystkie młode kobiety w jej wieku. Dorasta, ładnie. To dość częste zjawisko.

– Co miałybyśmy zrobić? Posłać po oddział wojska?

– Nie *en masse*. Prawdę mówiąc, ja również będę kiedyś miała ten sam problem, lecz dopiero za dziesięć lat. Urodziłam dzieci dość późno. I dla mnie nie będzie to takie trudne. Zabiorę obie córki do Londynu, ubiorę w piękne jedwabie i zobaczę, czy w okolicy są jacyś dobrzy tancerze. Mówiąc „dobrzy”, nie mam na myśli genealogii ani bieli żabotów.

– Cieszę się – odpowiedziała Demelza. – Och... jeśli chodzi o Clowance... czego mogę dla niej pragnąć? Życia w połowie tak szczęśliwego jak moje własne? Z mężczyzną, którego sama wybierze. Niech wybierze, Caroline. Musi to zrobić sama.

– Mam nadzieję, że to samo zrobią Sophie i Meliora, gdy przyjdzie czas. Gdybym tak nie postanowiła, domagałby się tego Dwight. Jednak najważniejsza jest skala wyboru. Chcę, żeby moje córki obejrzały pięćdziesięciu mężczyzn, nim wreszcie rzucą kotwicę. Niepokoi mnie trochę to, moja droga, że jeśli nie poprawimy sytuacji, Clowance będzie musiała dokonać wyboru z pół tuzina, a nawet mniej. Mówisz, że nie interesują jej przyjęcia i bale w Truro?

– Była na dwóch czy trzech, lecz jej się nie podobały. Woli galopować po plaży na Neronie... Ale, Caroline, jeśli Clowance ma kłopoty, to wskutek niezdecydowania rodziców. Rossa nie interesują bale – i często wyjeżdża, gdy powinien być w domu. A ja... nie widzę siebie w roli niespokojnej matki ciągnącej córkę za rękę na kolejne *soirées*, bale, przyjęcia. Chociaż jestem już od dawna panią Poldark, chyba zabrakłoby mi śmiałości... Na pewno bez Rossa. – Umilkła i spojrzała w ogień, marszcząc brwi. – Ale nawet gdybym miała dość pewności siebie, czy chciałabym to robić? Absolutnie nie. Moja córka nie jest... nie jest krową na wiejskim jarmarku z różową wstążką na szyi wystawioną na licytacji. Zasługuje na coś lepszego!

Dwight wybuchnął śmiechem.

– Widzisz, Caroline!

– Widzę tylko uparte niezrozumienie tego, co mam na myśli – odpowiedziała jego żona. – Oczywiście Poldarkowie to niezwykła rodzina, inna niż reszta ludzi. Nie, nie mówię ironicznie. Nikt nie wyobraża sobie, że ty albo Ross będziecie uczestniczyć w konwencjonalnym życiu towarzyskim. Byłoby to sprzeczne ze wszystkim, co symbolizujecie w tym hrabstwie. Mimo to córki – a także synowie – powinny mieć okazję obejrzenia większej liczby przedstawicieli płci przeciwnej, nim dokonają wyboru. Ponieważ widzę, że oboje jesteście przeciwko mnie, mogę tylko dodać, że to właśnie moja dobra znajomość młodych ziemian okolic Oksfordu sprawiła, że natychmiast dostrzegłam wspaniałe zalety doktora Enysa.

– Nie miałem majątku ziemskiego i byłem bez grosza – rzekł Dwight. – Moim zdaniem żadne z nas nie robiło kalkulacji i nie zastanawiało się głębiej nad sytuacją, Caroline. Poznaliśmy się,

a później nie chcieliśmy patrzeć na nikogo innego.

– Trafiłeś w sedno – powiedziała Demelza. Nalała sobie kieliszek porto i próbowała sama siebie przekonać. – Oczywiście lepiej, by córki i synowie spotkali jak najwięcej rówieśników. Tylko kto może mieć pewność, że dwudziesta trzecia osoba okaże się lepsza od trzeciej? Jeśli ktoś pokocha trzecią osobę, nic nie ugasi ognia namiętności. A gdy ma się do wyboru tylko sześć osób... czy wybór musi być gorszy? Nie wiem. Znałam tylko jednego mężczyznę. Ale byłam inna. Miałam niewiarygodne szczęście.

– Pomyśl o Rossie – rzekła Caroline. – On także miał szczęście.

Demelza pogładziła ją po dłoni.

– Można dyskutować na ten temat.

– Cóż, starzy przyjaciele powinni mieć powód do dyskusji za dwadzieścia pierwsza w nocy pierwszego stycznia tysiąc osiemset jedenastego roku – odparła Caroline. – Jestem zmęczona toastami „Na pohybel Francuzom!”, bo wznoszę je już od dwudziestu lat. Dlatego wypijmy za nas – i nieobecnych przyjaciół.

## II

W Kornwalii na początku stycznia panowała ładna pogoda. Ziemia była miękka i wilgotna, a w powietrzu nie czuło się mrozu. Morze i wichury, zdolne do bezlitosnej wściekłości, uspokoiły się i nie wydawały się poważnym niebezpieczeństwem. Nie świeciło słońce: niebo pokrywały szare chmury. Popołudnia stały się nieco jaśniejsze niż dwa tygodnie wcześniej.

Pewnego dnia Stephen Carrington spytał Clowance:

– Gdzie jest dwór w Trenwith? Podobno dość blisko i należy do państwa krewnych.

– Tuż za wioską Grambler. Jakies sześć kilometrów stąd.

– Moglibyśmy tam iść? Słyszałem, że ma przeszło dwieście lat. Interesuję się starymi budowlami.

Clowance się zawahała.

– Oficjalnie należy do mojego kuzyna Geoffreya Charlesa Poldarka, ale zarządza nim jego ojczym, sir George Warleggan, który nie lubi nieproszonych gości.

– Mieszka we dworze?

– O nie. Majątkiem opiekuje się dwóch gajowych. Sir George nie lubi naszej rodziny i matka zabroniła mi tam chodzić.

Stephen pogładził dłonią gęste włosy.

– Mam wielki szacunek i podziw dla pani Poldark. Pod żadnym pozorem nie chcę pani namawiać do nieposłuszeństwa. To bardzo piękna kobieta.

– Moja matka? Tak, chyba tak...

– Nie zauważyła pani? Może nie, bo jesteście bardzo podobne.

– Moim zdaniem jestem zupełnie niepodobna: różny kolor włosów, grubsze kości, inny zarys twarzy...

– Nie, nie, źle mnie pani rozumie, panno Clowance. Chodzi mi o to, że pani Poldark jest piękną kobietą, lecz jeszcze nie spotkałem osoby tak mało zarozumiałej z tego powodu. Jakby w ogóle o tym nie wiedziała. Nawet po tylu latach życia wydaje się zdziwiona, kiedy mężczyźni patrzą na nią z zachwytem. Właśnie to mam na myśli. Pani też ma tę cechę. Jest pani... równie nieświadoma własnej urody.

– Jeśli to komplement, czuję się zobowiązana – odparła Clowance.

– Im bardziej walczę ze słowami, tym trudniej mi wyrażać myśli – rzekł Stephen. – Proszę pozwolić mi powtórzyć. Nie chcę pani namawiać do okazywania nieposłuszeństwa matce. Czy mogę ją poprosić o zgodę, żeby pani ze mną poszła? W moim towarzystwie nic pani nie grozi.

– Nawet gdybym poszła sama, nic by mi się nie stało – powiedziała Clowance. – Zwracanie się do mamy nie przyniesie panu żadnej korzyści. Zaprowadzę pana do bramy, jeśli ma pan ochotę, a gdyby okazała się otwarta, moglibyśmy dojść do zakrętu podjazdu, skąd zobaczy pan dwór.

Była już jedenasta i po raz pierwszy od kilku dni chmury się przerzedziły. Ukazało się blade słońce przypominające srebrną sześćcioszylingową monetę leżącą na zakurzonej podłodze. Szli wzdłuż klifu, ponieważ Clowance wiedziała, że gdyby ruszyli doliną i minęli kopalnię, zobaczyłyby ich pracujące tam dziewczęta i zaczęły plotkować. W dawnych czasach, nim Warlegganowie ogrodzili swoją posiadłość, ludzie często chodzili tą drogą, ale teraz rzadko była używana, choć płot już się rozpadł. Ścieżkę porastał kolcolist, a część klifu się obsunęła.

Tego dnia morze było gładkie jak cynowy talerz. Nawet mewy nie skrzeczały. Wszystko było ciche, jakby na coś czekało.

– Ojciec raz mi wspomniał, że istnieje wejście do Trenwith, którego nikt nie zna – odezwała się Clowance. – Bawił się tam z kuzynem, który zginął w kopalni.

– Mówił, gdzie to jest?

– Gdzieś przy drodze: stary tunel kopalniany. Biegnie pod kuchnią, a wyjście znajduje się przy studni na dziedzińcu. Kilkanaście lat temu George Warleggan, gdy mieszkał tam z żoną, zabronił mojemu ojcu przychodzić do Trenwith, a ten kilka razy nieprzyjemnie go zaskoczył.

– Co się później stało?

– Zdaje się, że parę razy doszło do bijatyki.

– To dlatego pani ojciec ma bliznę?

– Skąd pan wie, że ma bliznę?

Stephen wyciągnął dłoń, by pomóc Clowance przejść przez głąz.



– Z rysunku Jeremy’ego. Przedstawia pani ojca, prawda?

Nie przyjęła wyciągniętej ręki i szybko wspięła się za młodym człowiekiem.

– Przed ślubem papa walczył w Ameryce. Stąd blizna.

– Ben Carter ma podobną.

– Tak... trochę. Czemu pan o tym wspomniał?

Stephen nie odpowiedział od razu. Odwrócił twarz w stronę morza. Pod powierzchnią sunęła w kierunku klifów fala, cienka linia widoczna na wodzie.

– Ben Carter szaleje na pani punkcie, prawda?

Clowance nie odwróciła wzroku.

– Chyba mnie lubi.

– A pani?

Lekko się uśmiechnęła.

– Co pan ma na myśli? Co ja?

– Czy pani też go lubi?

– Gdybym go lubiła albo nie lubiła, czy musiałabym się z tego spowiadać?

– Nie... nie powinienem pytać. Nie...

Szli dalej i dotarli do kilku zbutwiałych słupków, jedynej pozostałości solidnego ogrodzenia George’a.

– Czyje to owce? – spytał Stephen, gdy dotarli do pierwszego pola. – Hodują je Warlegganowie?

– Nie. Należą do Willa Nanfana albo Neda Bottrella. Dzierżawią te pola od zarządcy sir George’a.

– Owce są kotne i niedługo urodzą się jagnięta. Wychowałem się na farmie, wie pani?

– Nie, nie wiedziałam.

– Często pomagałem farmerowi, gdy rodziły się młode.

– Czy pan...

– Tak... Farma znajdowała się w pobliżu Stroud.

Ruszyli dalej.

– Kiedy pojawią się jagnięta, trzeba je będzie zabrać z tych pól – powiedziała Clowance.

– Dlaczego?

– Podziobią je mewy.

– Co takiego? Te mewy?

– Nie, duże, z czarnymi grzbietami. Są wielkie jak gęsi. Jagnięta nie będą bezpieczne nawet w pobliżu wsi...

Widzieli teraz w dolinie szare kominy Trenwith.

– Dotarliśmy na miejsce – powiedziała Clowance, przystając.

- Przecież to nie front dworu, tylko tył.
- Tak. Zmieniłam zdanie.
- Spoglądali kilka sekund na budowlę.
- Świetnie jeździ pani na swoim karym koniu – powiedział Stephen.
- Neronie? To stary przyjaciel.
- Codziennie rano. Na plaży. Pędzi pani jak wiatr. Dziwne, że się pani nie boi. Koń mógłby się potknąć.
- Stąpa pewnie.
- To wspaniały widok.
- Papa nazywa to ćwiczeniem kondycyjnym.
- Co to znaczy?
- Nie jestem pewna. Nauczył się tego zwrotu w Londynie.
- Zapadło milczenie.
- Z kominów nie leci dym – powiedział Stephen.
- Już panu mówiłam. Bracia Harry, którzy opiekują się posiadłością, mieszkają w oficynie.
- Mogę panią prosić o przysługę? – spytał.
- To zależy.
- Chciałbym zobaczyć ten dwór. Poczeka tu pani na mnie dziesięć minut, gdy się rozejrzę?
- Nie – odpowiedziała zdecydowanie. – Ale mogę iść z panem, jeśli pan chce.
- Co na to powie pani Poldark?
- Nie musi wiedzieć.

### III

Weszli do dworu w Trenwith. W drzwiach nie było zamka ani skobla. W środku czuło się wilgoć i stęchliznę. W wielkiej sieni na kamiennych płytach posadzki i stołach leżała gruba warstwa popiołu wywianego z kominka. Stephen podziwiał ogromne okno złożone z setek szybek. Przeszli do salonu zimowego, w którym stały meble. Było tam mniej pajęczyn, jakby rodzina Harrych dbała o porządek tylko w jednym pomieszczeniu.

- Gdzie przebywa pani kuzyn? – spytał Stephen.
- Służy w wojsku w Portugalii.
- Po wojnie obejmie swoje dziedzictwo, jeśli przeżyje... Niektórzy ludzie to prawdziwi szczęściarze, na Boga!

Clowance zdjęła pelerynę. Nosila pod nią jasnożółtą sukienkę o barwie podobnej do odcienia jej włosów. Usiadła w fotelu i wyjęła cierń wbity w podeszwę trzewika.

– Nie ma pan... nie odziedziczył pan żadnego majątku?

– Nie... niczego, panno Clowance...

– Tak?

– Może pani wie... może się pani domyśla, dlaczego pozwoliłem sobie spytać o pani uczucia do Bena Cartera.

– Czy się domyślam?

– Miałem nadzieję, że tak. To dlatego, że bardzo panią lubię.

Patrzyła na kratkę cieni rzucanych przez zimowe słońce na wytarty dywan. Na ścianach w dalszym ciągu wisiały dwa obrazy.

– Słyszała pani? – spytał.

– Tak, słyszałam.

– Okłamałem pani matkę – powiedział.

– W jaki sposób?

– Jeśli mówię pani o swoich uczuciach, nie mogę tego robić w cieniu kłamstwa. Muszę wszystko wyznać. Powiedziałem pani Poldark, że prowadziłem interesy w Bristolu, że mój statek – mój statek, niech pani zwróci uwagę – zatonął w czasie sztormu i że pomocnik bosmana, ja i Budi Halim weszliśmy na tratwę, a potem wyciągnął nas Jeremy. To nieprawda.

– Nie?

– Nie. To nie był mój statek. Nie miałem w nim udziałów. Rzeczywiście pochodzę z Bristolu, ale jestem tylko prostym marynarzem. Dzięki Elwynom, którzy mnie adoptowali, zdobyłem trochę lepsze wykształcenie. „Unique” nie wiozł towarów do Irlandii i nie zatonął podczas sztormu. Nie było żadnego sztormu. Był statkiem korsarskim z Bristolu należącym do kilku kupców, a ja służyłem na nim jako artylerzysta. Popłynęliśmy do wybrzeży Francji w poszukiwaniu łupu. Zdobyliśmy przyz, jednak nim zdążyliśmy odpłynąć, spotkaliśmy dwa francuskie okręty wojenne, podobne do słupów, tylko mniejsze... Nasz statek był szybszy od większości okrętów wojennych, ale nie od tych. Ścigały nas i zatopiły statek „Unique” w pobliżu wysp Scilly. Nie okazały żadnej litości. Zniszczyły nas.

Clowance poprawiła klamerkę trzewika.

– Dlaczego powiedział pan mojej matce nieprawdę?

Wzruszył ramionami.

– Wstydzilem się swojego zajęcia. Chciałem się wydać kimś lepszym, ważniejszym. Tego też powinienem się wstydzić, prawda? Przyszło mi to do głowy w czasie pierwszego spotkania, działałem pod wpływem impulsu. A później, oczywiście, musiałem się trzymać tej historii... – Popatrzył na nią. – Przepraszam, Clowance. Nie mógłbym cię okłamać.

– Cieszę się.

Wstała, sprawdziła, czy trzewik jest wygodny, podeszła do okna i spojrzała ze

zmarszczonymi brwiami na bujne chwasty porastające dziedziniec.

– Cieszę się – powtórzyła.

Podszedł do niej od tyłu, dotknął dłonią ramienia. Twarz zasłaniały jej włosy i pocałował ją przez nie w policzek. Odwrócił ją w swoją stronę i pocałował w usta. Stali naprzeciwko siebie, a później Clowance bez słowa się uwolniła.

– To było miłe – powiedział.

– Tak – przyznała z prostotą.

Roześmiał się, znów przyciągnął ją ku sobie i pocałował. Na początku się uśmiechał, lecz po chwili uśmiech zniknął. Jego dłonie przesuwaly się w górę i w dół po sukience, lekko, lecz zdecydowanie: dotykał jej ud, talii, ramion, piersi. Zachowywał się jak człowiek odkrywający nieznaną, piękną krainę, którą wkrótce zamierza podbić.

Odsunęła usta i powiedziała:

– Chyba pora wracać do domu.

– Obiad będzie dopiero za dwie godziny.

– Nie myślałam o obiedzie.

– Nie. Ani ja...

Jej sukienka miała duży dekolt i dwoma palcami zsunął ją z barków. Pocałował ramię i miękkie ciało między obojczykiem a szyją. Usłyszał, że Clowance głęboko wzdycha. Zsunął suknię jeszcze niżej, obnażając część piersi, która uniosła się wraz z oddechem. Pocałował ją.

Już miał zamiar znów unieść ręce do sukienki, gdy dotknęła palcami swojej twarzy, poprawiła suknię i wygładziła ją.

– Dostyc.

Puścił ją, zadowolony z sukcesu, zdając sobie sprawę, że zbyt szybkie posuwanie się za daleko może być niebezpieczne.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

– Nie uraziłeś mnie.

– Więc się cieszę, że nie muszę przeproszać.

Zadygotała i podciągnęła suknię, jakby nagle zrobiło jej się zimno. Wzięła pelerynę, a on pomógł jej ją włożyć, zbliżając twarz do jej twarzy. Potem znów pocałował ją w szyję.

Odsunęła się.

– Co to było?

Nasłuchiwali.

– Może szczur? – zasugerował. – W takim pustym domu błyskawicznie zagnieżdżają się szczury.

– Nie chciałabym spotkać braci Harrych. Nie ośmieliliby się mnie tknąć, ale mogliby brutalnie potraktować obcego.

– Niech spróbują... Clowance?

– Tak?

– Możemy znowu tu przyjść?

– To zależy.

Wrócili do wielkiej sieni. Stephen otworzył drzwi frontowe i wyjrzał.

– Od czego?

– Od wielu rzeczy.

Wyszli. Kiedy zamykał drzwi, szcęknęła wielka klamka.

– Pani Poldark na pewno szybko się mną zmęczy, a wtedy planuję przenieść się do wioski i może znaleźć jakąś pracę – powiedział. – Nic nie ciągnie mnie do domu. Matce na mnie nie zależy. Nigdy nie znałem ojca, choć, co dziwne, wzięli ślub. Zginął na morzu. Czuję się tu szczęśliwy, dla odmiany na łodzi i wśród takich cudownych ludzi. – Obliznął wargi.

– Nie możesz zjeść nas wszystkich – zauważyła Clowance.

– Moje ambicje ograniczają się do jednej osoby.

Wokół ciągle było pusto. Rzucali na ziemię długie, blade cienie. Opuścili pola i dotarli do klifów. Na zamglonym morzu pojawiły się trzy kutry rybackie.

– Zostanę tu na chwilę – powiedziała.

– Po co?

– Nieważne. – Zdawała sobie sprawę, że jej twarz w dalszym ciągu zdradza targające nią uczucia, i nie miała ochoty wracać do Nampary, dopóki nie będzie spokojniejsza.

– Obchodzi cię, czy odejdę, czy zostanę? – spytał.

– Ciągłe pytania, Stephen, ciągle pytania... Mogę zadać ci jedno?

– Oczywiście.

– Ile dziewcząt tęskni za tobą w Bristolu?

Roześmiał się, bo pytanie sprawiło mu przyjemność.

– Cóż mogę odpowiedzieć? Są, a raczej były dziewczęta: mam dwadzieścia osiem lat, Clowance. Jak mogłoby ich nie być? Tylko jedna była ważna, ale to się skończyło przed pięciu laty. Tylko ona była ważna – do dziś.

Spojrzała na niego niezwykle szczerym wzrokiem.

– Mówisz prawdę?

– Musisz o tym wiedzieć, najdroższa, ukochana, piękna. Nie mógłbym cię oszukiwać.

Odwróciła się, czując, że wracają emocje, nad którymi próbowała zapanować.

– W takim razie, Stephenie, czy mógłbyś być tak miły i iść przodem? – spytała. – Pójdę za tobą... za chwilę.

## Rozdział siódmy

### I

Ross dotarł do Chatham wczesnym rankiem w sobotę dwunastego stycznia tysiąc osiemset jedenastego roku. W czasie krwawej bitwy pod Buçaco został zaledwie draśnięty w ramię, lecz po przyjeździe do Lizbony zaraził się szalejącą tam influencją i w związku z tym nie mógł natychmiast popłynąć do Anglii. Napisał do Londynu, a kiedy przybył do Anglii, wysłał do Demelzy list skreślony w kajucie statku na burzliwych wodach Zatoki Biskajskiej.

Przespawszy dziewięć godzin w wygodnym łóżku, zjadł śniadanie i poszedł w padającym śniegu na spotkanie z George'em Canningiem w Brompton Lodge, nowym domu polityka. Dom znajdował się w wiosce Old Brompton, niespełna pół godziny drogi od Hyde Park Corner, wśród sadów i ogrodów warzywnych, choć na okolicznych polach i pustych drogach grasowali opryszkowicze i rozbójnicy. Canning był u siebie i chętnie przyjął Rossa, wysłuchał jego raportu i od razu poprosił, by Ross powtórzył go ministrowi spraw zagranicznych, lordowi Wellesleyowi, i pozostałym członkom gabinetu. Ross zgodził się to zrobić, lecz wyraził życzenie, by nastąpiło to szybko, ponieważ przede wszystkim pragnął wrócić do domu.

Jego przyjaźń z George'em Canningiem zacieśniała się z upływem lat, aż wreszcie Ross uważał go za swojego najlepszego przyjaciela w Londynie. Wiedział, że to właśnie Canning jest pomysłodawcą większości misji, które mu proponowano. W tej chwili Canning był w trudnej sytuacji, stracił urząd i popadł w niełaskę zarówno wśród członków własnej partii, jak i opozycji, ale brak popularności nie zmniejszył jego wpływów: był wybitnym oratorem i mężem stanu. Dziesięć lat młodszy od Rossa, wychował się w zupełnie innym środowisku i miał talent polityczny, któremu Ross nie mógł dorównać, jednak brakowało mu doświadczenia wojskowego starszego przyjaciela (kiedy ostatnio toczył pojedynek z lordem Castlereagh, sekundant musiał mu odwieść kurek pistoletu, ponieważ nigdy wcześniej nie trzymał w ręce broni palnej).

Mimo to mieli ze sobą wiele wspólnego: nonkonformistyczny Kornwalijszyk z blizną na twarzy i dowcipny mąż stanu o ciętym języku, z domieszką krwi irlandzkiej. Obu cechowała pewna arogancja – nie byli w stanie znieść w milczeniu głupców, więc narobili sobie wrogów. Odznaczyli się głębokim, wręcz obsesyjnym poczuciem lojalności wobec przyjaciół, które trwało mimo zmiennych kolei losu. Z temperamentu byli reformistami i radykałami, lecz z konieczności należeli do partii torysów. Gorąco popierali Pitta, wierzyli w emancypację katolików i cieszyli

się, gdy trzy lata wcześniej w koloniach angielskich zniesiono niewolnictwo. Współczuli doli pospółstwa, lecz uważali, że najważniejsze jest w tej chwili prowadzenie wojny.

Była niedziela. Piękna żona Canninga przebywała w letnim domu w Hinckley wraz z chorym synem, więc Canning nalegał, by Ross spędził z nim dzień. Opowiedział przyjacielowi o szaleństwie króla, o tym, że dziewiętnastego grudnia – przeszło miesiąc wcześniej – Spencer Perceval musiał wreszcie zaproponować ustawę o regencji. Chociaż wszyscy utrzymywali, że stan zdrowia króla się poprawia, rząd nie mógł podjąć żadnej decyzji bez jego zgody, a trudno uzyskać podpis człowieka uważającego się za zwierzę, które wyszło z arki Noego.

Od tamtej pory w Izbie Gmin i poza nią toczyły się gwałtowne spory, ponieważ torysi pragnęli ograniczyć prerogatywy księcia Walii, przynajmniej na dwa lata. Było oczywiste, że książę nie znosi rządu powołanego przez ojca, a po otrzymaniu wiadomości od premiera powiedział: „Na Boga, kiedy zostanę regentem, nie przetrwają nawet godziny!”. Wigowie wysuwali cztery postulaty: pokój z Francją, zakończenie sporu ze Stanami Zjednoczonymi, emancypacja Irlandii i zniesienie dziesięcin. Tekę ministra spraw zagranicznych miał prawie na pewno objąć Samuel Whitbread, syn piwowara, obecnie mąż stanu; przewidywano, że premierem zostanie lord Grenville.

Canning oznajmił gorzko, że oznaczałoby to zawarcie pokoju, kolejnego pośpiesznego rozejmu jak pokój w Amiens przed dziesięciu laty. Układ ten zwrócił Francji połowę jej imperium kolonialnego i dał Bonapartemu chwilę oddechu, której potrzebował przed rozpoczęciem nowej fali podbojów. Zdyskredytowany Wellington musiałby się wycofać z Portugalii i pozostawić kraj Francuzom.

– Nie wolno do tego dopuścić – rzekł Canning. – Nie wiem, jak można to powstrzymać... Widziałem Percevala zaledwie wczoraj. W dalszym ciągu oficjalnie wierzy w powrót króla do zdrowia, ale między nami mówiąc... cóż...

– Uważasz, że książę okaże się niewzruszony? – spytał Ross.

– Niewzruszony w swojej pogardzie dla obecnego rządu, tak. Przez jakiś czas pokładałem pewne nadzieje w lady Hertford. Sądzę, że skłania go do spokojniejszego trybu życia. Jak wiesz, książę uważa mnie za persona non grata, jednak skorzystałem z okazji i rozmawiałem na ten temat z lady Hertford. Uważa, że nie może nic zrobić dla obecnego rządu, ponieważ jest on całkowicie skompromitowany.

– Książę w dalszym ciągu popiera wszystkie postulaty wigów? Nawet zawarcie pokoju?

– Tak się wydaje. Oprócz samych wigów opowiadają się za tym wszyscy jego prywatni doradcy, Adams, Moira, książę Cumberland, Sheridan, Tyrwhitt...

– Sheridan?

– Może jest w tym promyk nadziei. Jak wiesz, to jeden z moich starych przyjaciół, choć ostatnio rzadko się widzimy. Jest bliskim przyjacielem księcia, ale Hertfordowie nie lubią

Sheridana i mogą nastawić księcia przeciwko niemu. Poza tym, oczywiście, rzadko jest w tej chwili trzeźwy...

Zapadło milczenie. Rossa bolała kostka. Poruszył stopą.

– Nie możesz jeszcze wracać do domu, Ross – powiedział Canning.

– Najwyższa pora.

– Przynajmniej nie do zakończenia kryzysu. Piekielnie trudno zatrzymać w Londynie posłów z różnych stron kraju, gdy piękna mroźna zima sprawiła, że są idealne warunki do polowań. Obecna pogoda sprawia nam kłopoty. Jeśli w ciągu najbliższych kilku tygodni będę mógł liczyć na twój głos, liczba posłów, na których mogę absolutnie polegać, wzrośnie do piętnastu. W wielu sprawach panuje delikatna równowaga, taka grupa może mieć dużą siłę przetargową.

– Co zdołamy dzięki temu osiągnąć? – spytał niecierpliwie Ross. – Nie wpłyniemy na to, co zależy od choroby króla i kaprysów księcia Walii. Gdybym uważał, że moja obecność w Westminsterze może wpłynąć na kwestię wojny lub pokoju, zostałbym w Londynie. Ale straciliśmy nad tym kontrolę.

– W takim razie zostań jeszcze tydzień. Dwa tygodnie. Wspieraj nas. Gdyby Joan tu była, również by tego chciała. Musimy dopilnować, by ustawa przeszła przez parlament. Powinieneś opowiedzieć swoją historię ludziom sprawującym funkcje ministerialne. Proszę. To twój obowiązek. Inaczej nie spełnisz celu swojej misji.

## II

Minęło Boże Narodzenie i Nowy Rok. George Warleggan przeżywał katusze. Nie miał natury hazardzisty – ryzykował pieniądze tylko wtedy, gdy był prawie pewny sukcesu – i właśnie na tym polegał problem. Jeśli będzie zbyt długo zwlekał, z pewnością straci okazję. Jeśli nie kupi fabryk w Manchesterze, sprzętną mu je sprzed nosa inni spekulanci, widzący możliwość zrobienia świetnego interesu. Mogły już zostać sprzedane. Nikt w Londynie nie wiedział, co się dzieje w ośrodkach przemysłowych na północy.

Oficjalne komunikaty lekarzy w dalszym ciągu brzmiały optymistycznie. Spencer Perceval oświadczył w Izbie Gmin, że niedawno odwiedził króla i że prowadzili zupełnie normalną rozmowę: monarcha nie zachowywał się dziwnie, nie było widać niczego, co świadczyłoby o jego zaburzeniach psychicznych. Mimo to powoli, lecz nieuchronnie zbliżał się termin uchwalenia ustawy o regencji. Politycy nie mogli się sprzeczać w nieskończoność. Nie mogli również czekać. Podobnie jak George.

Później przypadkowo usłyszał, że ktoś mógłby mu pomóc podjąć decyzję, udzielić rady. Kornwalijczyk, który niespodziewanie pojawił się w Londynie o tej porze roku. Nawet nagłość



jego przybycia wydawała się znacząca.

Kiedy wkrótce po wybuchu wojny doktor Dwight Enys znalazł się jako jeniec we francuskim więzieniu, szczególnie zainteresował się chorobami psychicznymi. Obserwował, jakie skutki wywierają głód i złe warunki na zdrowych ludzi o różnych konstytucjach fizycznych, i ze zdumieniem zauważył, że część z nich odznacza się niezwykle odpornością – potrafili znosić straszliwe warunki, choć inni natychmiast się załamywali, co było równie zdumiewające. Wielu pozornie silnych mężczyzn umierało, a słabsi jakimś cudem przeżywali. Dwight doszedł do wniosku, że decydują o tym predyspozycje psychiczne: determinacja, zdolność ducha, by pokonać słabość organizmu. Kiedy Ross uwolnił Dwighta z więzienia, młody lekarz zastosował swoje odkrycia do samego siebie i, ku irytacji niedawno poślubionej żony, nieustannie nadwierał własne siły.

Wszystko to należało już do przeszłości, lecz w tysiąc osiemset drugim roku, w czasie krótkiego pokoju, Dwight pojechał do Francji ze swoim wielkim przyjacielem Rossem Poldarkiem, który próbował odnaleźć żyjących krewnych hrabiego Charles'a de Sombreuila, straconego po nieudanym desancie w Quiberon w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym roku. W czasie pobytu we Francji Dwight poznał doktora Pinela, kierownika zakładu dla obłąkanych o nazwie Bicêtre. Pinel powiedział, że w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku, wierząc w ideały wolności, równości i braterstwa, postanowił wypuścić kilkunastu szaleńców z brudnych cel i zobaczyć, co się stanie. Dwóch zmarło z powodu gangreny, która rozwinęła się w wyniku odmrożeń stóp, a pozostałych dziesięciu nie sprawiało kłopotów, sześciu z nich wręcz wyzdrowiało i wróciło do normalnego życia. Od tamtej pory doktor Pinel dawał swoim pacjentom jak największą swobodę i w tej chwili regularnie jadał z nimi obiady. Było to nowe podejście do leczenia chorób psychicznych i po powrocie do Anglii Dwight opublikował na ten temat artykuł, w którym opisał swoje spostrzeżenia i płynące z nich wnioski.

Po ukazaniu się artykułu dowiedział się o istnieniu kwakra Williama Tuke'a – kupca z Yorku – który przed dziesięciu laty otworzył zakład psychiatryczny i choć miał bardziej chrześcijańskie ideały niż doktor Pinel, w końcu doszedł do tych samych wniosków. Ograniczono do minimum przymus fizyczny, pensjonariusze pracowali i odbywali zdrowe ćwiczenia fizyczne. Dwight pojechał do Tuke'a i zwiedził jego zakład. Zrobił on na nim ogromne wrażenie. Dwa lata później poznał braci Willisów i obejrzał ich przytułek. George doskonale wiedział, że w tej chwili Dwight prowadzi kampanię na rzecz budowy w Kornwalii nowoczesnego zakładu dla obłąkanych, może w Truro, w pobliżu Królewskiego Szpitala Kornwalijskiego otwartego w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku.

Dlaczego Enys przyjechał w tej chwili do Londynu? George chciał się tego dowiedzieć. Enys był znany z tego, że niechętnie opuszcza Kornwalię i swoich wiejskich pacjentów. Mógł ulec namowom żony, ponieważ Caroline zawsze spędzała część jesieni w Londynie wraz z ciotką,

panią Pelham. Ale teraz był styczeń. Dwight lubił się zajmować sprawami związanymi z medycyną; inaczej nie czuł się dobrze.

George zawsze miał dość dobre stosunki z Enysami, lecz nigdy nie były one bardzo bliskie. Przed wielu laty nie znosił Dwighta, gdy ten jako młody człowiek, bez praktyki lekarskiej i pieniędzy, bez wahania zaprzyjaźnił się ze stojącym na skraju bankructwa Rossem Poldarkiem, choć Warlegganowie dali mu jasno do zrozumienia, że musi dokonać wyboru. Jednak Caroline zawsze przyjaźniła się z Elizabeth, a po zawarciu małżeństwa z Dwightem obie pary często się spotykały. Caroline, z właściwą sobie uroczą arogancją, zupełnie nie chciała przyjąć do wiadomości, że jej serdeczna przyjaźń z Rossem i Demelzą może w jakikolwiek sposób wpłynąć na częstotliwość wizyt w Trenwith. Dwighta wezwano do Elizabeth w chwili przedwczesnego porodu, asystował przy narodzinach Ursuli, a później wraz z doktorem Behenną bezradnie obserwował jej śmierć.

W późniejszych latach George'a zapraszano czasem na obiady w Killewarren. Od czasu do czasu spotykali się w Truro. Raz, gdy Ursula, zwykle ciesząca się dobrym zdrowiem, nagle zachorowała, doktor Enys kurował ją w zastępstwie doktora Behenny. Mieli na tyle dobre stosunki, że George mógł bez przeszkód odwiedzić dom pani Pelham. Wizyta była niezwykła tylko dlatego, że przez te wszystkie lata nigdy tego nie zrobił, lecz wydawało się to drobnostką.

Kiedy George przyjechał konno do Hatton Garden, szczęśliwym zbiegiem okoliczności przed domem zatrzymała się lektyka i pojawiła się Caroline z najstarszą córką Sophie. George szybko zsiadł z konia i zarzucił wodze na słupek. Ulica była zatłoczona i Caroline początkowo nie spostrzegła gościa.

Kiedy się odwróciła i ujrzała Warleggana, uniosła brwi i powiedziała:

– Sir George, cóż za niespodzianka! Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? Wydarzyło się coś szczególnego?

– Moja droga Caroline, przyjechałem do Dwighta. Bardzo się cieszę, że wyglądasz tak uroczo jak zawsze. A twoja córka... Jest w dobrym zdrowiu, prawda? Widać to na pierwszy rzut oka.

– Dziękuję. Wszyscy jesteśmy w dobrej formie. Czy twoja wizyta oznacza, że jesteś chory? Inaczej...

Nie zareagował na ironiczny ton Caroline.

– Nie, nie. Po prostu przejeżdżałem i postanowiłem wpaść.

Weszli do domu. Dwight przebywał w niewielkim gabinecie przylegającym do głównego salonu i czytał artykuł na temat medycyny. Rozmawiali przez chwilę. Caroline kazała podać herbatę. zaproponowała, by George zjadł kolację, on zaś przyjął zaproszenie. Przy herbacie dyskutowali o kryzysie konstytucyjnym, przebiegu wojny, najnowszych sztukach teatralnych, brutalności sierżantów prowadzących brankę do wojska, ostrych mrozach panujących w ciągu ostatnich dwóch dni i potrzebie uporządkowania brudnych ulic Londynu.

Zaproszenie Caroline dało George'owi trochę czasu i był zadowolony, że nie musi natychmiast poruszać tematu będącego przyczyną wizyty. Ale kiedy udali się na kolację, pojawiła się straszliwa komplikacja. W jadalni była nie tylko ciotka Caroline, pani Pelham, lecz również wysoki, chuderlawy mężczyzna o nazwisku Webb oraz dwaj wojskowi (George natychmiast zapomniał ich nazwisk), żółci jak Chińczycy po febrze przebytej w Indiach. A ponadto dziewczyna... Ostatni raz widział ją w...

– Czy znasz pannę Clowance Poldark? – spytała Caroline. – Córka Rossa. Przyjechała do nas na kilka dni.

– Ja... eee... – wyjąkał George. – Tak, raz, przelotnie...

– O mało nie pokłóciliśmy się o naparstnice – odparła z uśmiechem dziewczyna.

– Rzeczywiście. – Skłonił się sztywno i ruszył do swojego miejsca przy stole.

W trakcie kolacji prowadzono banalne rozmowy, a George zastanawiał się, pod jakim pretekstem porozmawiać z Dwigthem sam na sam. Dziewczyna miała na sobie szarą sukienkę i wydawała się bledsza, niż zapamiętał, ale długie jasne włosy, szare oczy i młode wydatne piersi były te same. Przypominała wyglądem inną dziewczynę, która niegdyś skrycie działała na George'a: Morwennę Chynoweth, później panią Whitworth, teraz panią Carne. Jednak była od niej ładniejsza.

– Znasz księcia Leeds? – spytał półgłosem Caroline, gdy druga rozmówczyni George'a, pani Pelham, wymieniała uwagi z pułkownikiem Webbem. Zadał to pytanie pod wpływem nagłego impulsu. Nie lubił zdradzać swoich poglądów na jakikolwiek temat większej liczbie osób, niż było to konieczne, lecz pomyślał, że ujawnienie zainteresowania lady Harriet może sprytnie zamaskować prawdziwą przyczynę wizyty.

– Nie mogę twierdzić, że dobrze go znam – odparła Caroline. George wolałby, by mówiła ciszej. – Spotkałam go kilka razy. Moja ciotka prawdopodobnie zna go lepiej.

– Poznałem niedawno w Kornwalii jego siostrę.

Caroline spojrzała na George'a znad krawędzi kieliszka.

– Masz na myśli Harriet Carter?

– Ach... więc ją znasz?

– O tak. Dość dobrze. Polowałyśmy razem.

– Od śmierci męża mieszka w Helston.

– Nie wiedziałam. Słyszałam, że niewiele odziedziczyła.

– Tak – potwierdził George.

Służący ponownie napełnił kieliszki, a pani Pelham przerwała dyskurs ze swoim sąsiadem i rozmowa przybrała charakter ogólny. Głównie dyskutowano o tym, czy książę Walii stanie na wysokości zadania, gdy zostanie regentem. Później Caroline sama wróciła do poprzedniego tematu.

– Harriet Carter to rodzona siostra księcia Leeds czy siostra przyrodnia? Nigdy nie mogę tego zapamiętać.

– Ani ja – odparł George, nie mając pojęcia, która wersja jest prawdziwa.

– Och, podejrzewam, że są dziećmi tej samej matki. Willy ma zaledwie trzydzieści pięć lat. Ale są też młodsze dzieci.

– Rzeczywiście – rzekł George.

Caroline spojrzała na masywnego, groźnego mężczyznę siedzącego obok niej. Trudno było lubić George'a, lecz wydawał się interesujący. Miała w sobie cechy stryja, potrafiła docenić osiągnięcia George'a, skalę jego sukcesu. Nigdy nie obserwowała takich jego działań, które świadczyły o bezwzględności lub mściwości; czasem uważała, że w głębi duszy jest dobrym człowiekiem, który pragnąłby dać temu wyraz. Nawet za życia Elizabeth wydawał się samotny, choć niewątpliwie przyczyną tej samotności był jego zgryźliwy charakter.

Oczywiście George i Ross nie mogli się spotykać na gruncie towarzyskim, nawet po śmierci Elizabeth. Byli jak ogień i woda. Czasami, gdy alkohol dodawał jej odwagi, strofowała Rossa za jego lekceważący stosunek do pieniędzy, który jej zdaniem wydawał się przesadnie pogardliwy. Przypomniła sobie te chwile z ironią.

– Więc chciałbyś poznać księcia, prawda? – spytała.

Szyja George'a lekko się zaróżowiła.

– Słucham? Cóż... zdaje się, że zna go twoja ciotka.

– Tak sądzę.

– W takim razie byłbym zaszczycony...

Służący chciał postawić przed Caroline talerz ze słodyczami, lecz odmówiła gestem dłoni.

– Lubisz Harriet?

– Wydaje mi się sympatyczna.

– Jeździ konno jak szatan. Wiesz o tym?

– Tak.

– Masz poważne intencje?

– Poważne? Nie wiem, co przez to rozumiesz.

– Nieistotne. Żartowałam. Chciałbyś poznać księcia z jakichś innych powodów?

– Nie – odparł George.

– Podziwiam szczere odpowiedzi – powiedziała Caroline.

Kolacja dobiegła końca i damy wstały od stołu. Clowance zachowywała się bardzo cicho i skromnie odpowiadała na galanteryjne pytania jednego z młodych wojskowych, lecz od czasu do czasu zerkała na George'a, jakby starała się ocenić, kim jest i co tu robi. On również na nią patrzył, choć w taki sposób, że miał nadzieję, iż tego nie zauważa. Podziwiał jej świeżą urodę, krągłość ramion, złocistych w świetle świec, a poza tym dojrzałe młode ciało i pełne,

zdecydowane usta, których smak niewątpliwie poznał już jakiś mężczyzna.

Dżentelmeni pili porto i rozmawiali o zakładach zawieranych w klubie Brooks's w związku z perspektywami powołania nowego rządu. Po dłuższym czasie wstali, by dołączyć do dam. George pozwolił trzem mężczyznom odejść, po czym zwrócił się do Dwighta:

– Czy obecność Clowance... czy jej obecność oznacza, że coś się przydarzyło Rossowi?

– Nie. Jest w Portugalii w misji z ramienia rządu.

– Wiem. Jeszcze nie wrócił?

– Nie. Zwłoka może mieć wiele powodów. Caroline doszła do wniosku, że Clowance powinna zobaczyć londyńskie towarzystwo.

– Nie ma tu jej matki ani brata?

– Nie. Przyjechała z nami.

– Długo zostanieie w stolicy?

– Może dwa tygodnie.

– Czy to prawda, Dwight, że przyjechałeś do Londynu zbadać króla? – spytał George.

Dwight uniósł brwi i przez chwilę się nie odzywał.

– Nie mam pojęcia, kto mógł ci coś takiego powiedzieć.

– Mój informator twierdzi, że wie to z dobrego źródła.

– Z pewnością zdajesz sobie sprawę, George, że Londyn to wylęgarnia plotek. Zwłaszcza w takiej chwili.

– Tak czy inaczej, byłem zdziwiony, że jesteś w Londynie, bo wiem, jak bardzo go nie lubisz. Zwykle nie przyjeżdżasz w styczniu do stolicy.

– To prawda.

– Cóż, to nie moja sprawa – ciągnął George. – Mam jednak nadzieję, że jeśli spotkasz Jego Wysokość, potraktuje cię łaskawie. Mogłoby to pomóc otworzyć szpital dla obłąkanych w Kornwalii, o którym myślisz. Gdyby sprawa stała się znana...

– Gdyby stała się znana... Nie wiem, czy to kiedyś nastąpi.

– Oczywiście. Jeden z moich przyjaciół wspomniał, że Willisowie to twoi bliscy przyjaciele.

– Bliscy przyjaciele? Raczej nie. Co najwyżej koledzy. Nie apróbuję ich metod.

– Jednak mogłeś z nimi rozmawiać o chorobie króla.

– Rozmawiałem o chorobie króla z niektórymi ze swoich kolegów. Można tak powiedzieć.

– Czy ich prognozy są optymistyczne? Mówi się, że król wyzdrowieje.

– Nie wiedziałem, że krążą takie opinie, lecz z pewnością wszyscy mają nadzieję, że król wyzdrowieje.

– Amen – dodał George.

– Ale...

– Ale co?

– Nieważne – rzekł Dwight.

Ruszyli w stronę drzwi.

– Muszę jechać – powiedział George. – Nie chcę zawracać głowy pozostałym domownikom, więc podziękuj małżonce i pani Pelham za uprzejmą gościnę. Przekaż również podziękowania Caroline za łaskawą propozycję, którą złożyła w czasie kolacji. Z przyjemnością ją przyjmę.

– Nie wiem, o co chodzi, ale naturalnie.

Dwight zadzwonił, by służący przyniósł kapelusz i pelerynę George’a.

– Jakie są twoim zdaniem szanse na to, że król wyzdrowieje, Dwight?

Enys obrócił gałkę drzwi.

– Dlaczego tak cię to interesuje?

– Może to wpłynąć na przyszłość Anglii.

– Masz na myśli wojnę?

– Wojnę, warunki panujące na północy. Nawet przyszłość Europy.

– Prywatnie sądzę, że król nie wyzdrowieje – rzekł Dwight.

George obliznął wargi.

– Choć wcześniej trzy razy odzyskiwał zmysły?

– Wtedy był młodszy. Szanse pełnego wyzdrowienia z wiekiem stają się coraz mniejsze.

– Czy częściowe wyzdrowienie pozwoli mu nie dopuścić do uchwalenia ustawy o regencji?

– Musi to ocenić parlament.

– Podobno w dalszym ciągu czasem zachowuje się rozsądnie.

– O tak. Takie okresy zdarzają się od początku, ale nie trwają długo. Naturalnie mogę się mylić, ale byłbym bardzo zdziwiony, gdyby trwały na tyle długo, by mógł znowu się zająć sprawami państwowymi.

George usłyszał kroki służącego.

– Sądzisz to na podstawie opinii innych lekarzy czy własnych obserwacji?

– Moim zdaniem to choroba dziedziczna – odparł Dwight. – Sugerują to różne objawy. Częściej występuje u mężczyzn, choć podejrzewam, że kobiety przekazują ją w formie utajonej. Ach, Chambers, odprowadź sir George’a do jego konia.

## Rozdział ósmy

### I

Nazajutrz George wyjechał do Manchesteru. Gdyby w czasie jego nieobecności pani Pelham zdołała zaaranżować spotkanie z księciem Leeds, byłaby to niefortunna okoliczność. Sprawy finansowe mają pierwszeństwo przed sprawami serca. Zwłaszcza gdy obie kwestie są ze sobą związane.

Należało działać błyskawicznie. Chociaż George nie lubił Dwighta Enysa i nie podobało mu się jego zamiłowanie do tajemnicy lekarskiej – w głębi serca postanowił, że po rozpoczęciu zbiórki pieniędzy na szpital dla obłąkanych, który planowano otworzyć w Kornwalii, nie okaże przesadnej hojności – to jednak Dwight tak często miał rację w kwestiach medycznych, że uwierzył w jego wypowiedź na temat króla. Był absolutnie przekonany, że Enys widział króla – choć udawał, że to nieprawda. Bez osobistego kontaktu nie sformułowałby przecież tak stanowczej opinii.

W Manchesterze okazało się, że sytuacja nie zmieniła się od wizyty George'a we wrześniu. Jedynymi rynkami zbytu były Indie Zachodnie i Ameryka Południowa, toteż towary wytworzone w fabrykach zalegały w magazynach. Rynek angielski był nasycony i w kraju nie dawało się sprzedać artykułów przemysłowych, choć jednocześnie w całej pogrążonej w wojnie Europie rozpaczliwie ich brakowało. W zeszłym miesiącu, w grudniu, doszło do dwustu siedemdziesięciu trzech bankructw; cztery lata wcześniej nastąpiło zaledwie sześćdziesiąt pięć. Płace tkaczy były przeszło o połowę niższe od wynagrodzeń wiejskich parobków. Wykwalifikowani maszyniści przędzarek bawełny pracowali dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo i otrzymywali osiem szylingów.

Oczywiście istniała nadzieja na zmianę. Ale nikt nie miał pieniędzy, by inwestować w nadzieję.

Oprócz George'a.

Zakupił za bezcen znakomitą przędzalnię bawełny Fleminga. Dwa inne przedsiębiorstwa – Ormroda, specjalizującego się w drukowaniu perkalu, oraz Frasera i Greenhowa, budowniczych i konstruktorów – otrzymały duże kredyty z banku Warlegganów, które pozwoliły im uniknąć plajty. Nie były to zwykłe pożyczki, lecz zakup dużej części udziałów na nazwisko George'a, który stał się współwłaścicielem obu firm. Zainwestował również w trzy mniejsze

przedsiębiorstwa i kupił znacznie poniżej kosztów produkcji artykuły przemysłowe, których wartość musiała wzrosnąć po zawarciu pokoju. Łącznie wydał siedemdziesiąt dwa tysiące trzysta czterdzieści cztery funty, prawie całą gotówkę, którą mógł szybko zebrać.

Niestety, spotkanie z księciem Leeds, które nastąpiło trzy dni po powrocie, nie zakończyło się sukcesem. Jego lordowska mość wyraźnie uważał sir George'a za podstarzałego parweniusza. Warleggan wspomniął o lady Harriet, co sprawiło, że jego intencje zbyt szybko stały się oczywiste, a książe zareagował negatywnie. Księżna, roztargniona, ładna młoda kobieta, była bardziej łaskawa, lecz może dlatego, że nie chodziło o jej siostrę i nie przywiązywała wagi do całej sprawy. Wchodziła i wychodziła z salonu w towarzystwie dwóch służących, którzy szukali zgubionego przez nią kluczyka.

George postawił czarny krzyżyk przy nazwisku księcia z powodu jego wyniosłości – nawiasem mówiąc, nigdy później o niej nie zapomniał – ale nie był zbyt zniechęcony. Zdawał sobie sprawę, że pieniądze potrafią przekonać także członków najwyższej arystokracji. Kiedy inwestycje dokonane w Manchesterze przyniosą odpowiednie zyski, co musi nastąpić w ciągu najbliższego roku, będzie dysponował majątkiem wartym pół miliona funtów. Nie mogli tego ignorować nawet księżęta Leeds, mimo ich wspólnych koneksji. Przysięgłby, że nie zignoruje tego Harriet. W końcu go poślubi, za zgodą brata, której niechętnie udzieli, lub bez niej.

## II

Ross pozostał w Londynie. Zachowywał się kurtuazyjnie, lecz coraz bardziej się niecierpliwił. Naturalnie znowu napisał do Demelzy. Pragnął wrócić do domu, a poza tym nudził się w Westminsterze, gdzie wszyscy przede wszystkim interesowali się tym, jakie można wyciągnąć korzyści z kryzysu konstytucyjnego – i nie przejmowali się przebiegiem wojny ani głodem panującym wśród tkaczy na północy. Ross przyznawał, że te trzy kwestie ściśle się ze sobą wiążą, ale czuł niesmak, że wojna i głód są mniej ważne od walki o władzę.

Umówiono go na spotkanie z ministrem spraw zagranicznych, które okazało się delikatne i trudne. Przede wszystkim Ross nie przepadał za Wellesleyem. Jego brat, od niedawna wicehrabia Wellington, zachowywał się wyniośle i surowo, brakowało mu ciepła, lecz miał w sobie magię niezwykle utalentowanego generała. Wellesley, dziesięć lat starszy, dobrze sobie radził w Indiach, ale był zbyt autorytarny jak na Anglię; niektórzy ludzie uważali, że jest leniwy i pompatyczny. Pewien dowcipny dżentelmen zauważył, że kiedy Wellesley wychodzi z domu, spodziewa się, że będzie go poprzedzać procesja słoni.

Większość ludzi sądziła, że stanowisko ministra spraw zagranicznych powinien objąć Canning, jednak uniemożliwiły to jego własne błędy i rywalizacja między partyjnymi frakcjami.



Rozmowa okazała się delikatna z wielu powodów. Ross udał się do Portugalii jako nieoficjalny obserwator, za zgodą rządu, lecz nie na jego rozkaz. Misję Rossa zaaranżowali Canning, Dundas i Rose. Wellesley z początku się jej sprzeciwiał, gdyż uważał, że istnieje mnóstwo oficjalnych źródeł informacji o Portugalii i nie ma potrzeby wysyłać tam szpiegów.

Chociaż Ross wiedział o obiekcjach Wellesleya, na szczęście nie słyszał, że ktoś nazywa go szpiegiem, toteż zachowywał się wyjątkowo godnie. Złożony przez niego raport wyrażał taki podziw dla postawy i dzielności wojsk brytyjskich, że lord Wellesley przyjął go z zadowoleniem i obiecał, że przed upływem tygodnia otrzymają go wszyscy członkowie gabinetu.

Perceval również prawił komplementy i przesłał list gratulacyjny, lecz Canning w dalszym ciągu nie był pewien.

– Przekonujemy ludzi, którzy już są przekonani, przyjacielu. Powinieneś wygłosić na ten temat mowę w Izbie Gmin.

– Nie mogę tego zrobić – odparł Ross. – I nie chcę.

– Dlaczego?

– Przed uchwaleniem ustawy o regencji nikt nie jest tym zainteresowany. Nawet gdybyś przekazał ten raport wszystkim posłom, czy naprawdę myślisz, że zmieniliby ich poglądy? Przekonał ludzi, którzy mają inne zdanie? Nawet by go nie przeczytali. Gdybym wstał i poprosił o głos przewodniczącego Izby, ilu zostałoby na sali, by posłuchać? Czy przypuszczasz, że moje słowa wpłynęłyby na Wilberforce'a albo Northumberlanda? Czy uznaliby za bardziej prawdopodobne, że Anglia przegra wojnę na Półwyspie Iberyjskim?

Canning przygryzł kciuk.

– Dręczyłem się tymi pytaniami przez cały tydzień. Problem polega na tym, co robić.

– Daj temu spokój i pozwól mi wracać do domu.

– Przekonywanie ludzi, których nie da się przekonać, jest nieco bardziej użyteczne niż przekonywanie ludzi, którzy już zostali przekonani. Najważniejsi są ci, którzy się wahają. Od jakiegoś czasu myślę, że powinieneś opowiedzieć swoją historię lady Hertford, która niewątpliwie da się przekonać, by powtórzyła ją księciu Walii. Ale nie mam wcale pewności. Może byłby to błąd z mojej strony? Wiadomości otrzymane z drugiej ręki nie są przekonujące, prawda?

– Tak, chyba tak.

– A zatem trzeba to zrobić bezpośrednio. Czy nie mam racji? Twój raport powinna usłyszeć jedna osoba, czyli sam następca tronu.

Pod koniec stycznia nadeszły mrozy i Tamiza zamarzała. Drzewa wokół Brompton pokrywał szron. Konie ślizgały się i parskały na oblodzonych ulicach, a z ich chrapów buchały kłęby pary. Z jabłoni spadały na ziemię martwe ptaki, lisy szukały schronienia w zakamarkach stodół, nad wschodnimi przedmieściami Londynu rozciągał się całun miejskich dymów, którego nie rozwiewał wiatr.

Ross spędzał większość czasu na poprawianiu i szlifowaniu raportu, by dobrze się czytał i nie zawierał niejasności. Napisał po raz trzeci do Demelzy, przeprasząc za zwłokę, lecz nie wyjaśniając jej przyczyny. Był to niezwykle długi list, najdłuższy, jaki kiedykolwiek wysłał do żony. Zawierał dużą część raportu z Portugalii, opowiedzianego bardziej potocznie. Okazało się, że wyjaśnianie tych spraw Demelzie pomaga mu formułować myśli.

Na próżno usiłował przekonać George'a Canninga, że nawet jeśli uda się zaaranżować to niezwykle spotkanie, księżę Walii i tak już dawno wyrobił sobie pogląd na temat argumentów przemawiających za wycofaniem się z Półwyspu Iberyjskiego i przeciwko wycofaniu się, ponieważ ma wiele własnych źródeł informacji. Ross wskazywał również, że monarcha (lub zastępujący go regent) może zlecić sformowanie rządu politykom, z których poglądami ogólnie się zgadza, jednak po powołaniu gabinetu nie byłby w stanie sprawować kontroli nad wszystkimi bieżącymi zagadnieniami. Canning ripostował, że jest zupełnie inaczej: dziesięć lat wcześniej Pitt musiał się podać do dymisji, ponieważ popierał plany emancypacji katolików, czemu król gwałtownie się sprzeciwiał. Innymi słowy, żaden mąż stanu, nawet Grey lub Grenville, nie może wynegocjować pokoju z Francją, jeśli księżę sobie tego nie życzy. Przekonanie księcia, wpłynięcie na jego poglądy, mogłoby jeszcze zapobiec ostatecznej katastrofie.

Ross pytał, czy są jakiegokolwiek szanse, że relacja praktycznie nieznanego posła do Izby Gmin wysłanego, by obserwować przebieg wojny, przekonała następcę tronu. Czy można to sobie wyobrazić? Canning z ironią przyznał mu rację. Ale odparł, że tonący brzytwy się chwytą. Czy nie warto chwycić się brzytwy w imię tego, w co obaj niezachwianie wierzą? Jest jeszcze jedno przysłowie: ostatnia kropla przelewa czarę. Sheridan, mimo wszystkich swoich sojuszy, stoi po ich stronie. Podobnie lady Hertford. Wielkie masy zwykłych ludzi byłyby głęboko niezadowolone z pokoju z Bonapartem po wielu latach zacieklej walki. Czy objęcie urzędu premiera przez Greya lub Grenville'a coś by zmieniło, gdyby mieli związane ręce w sprawie pokoju?

Kto przygotowałby takie spotkanie, pociągając za odpowiednie sznurki? – pytał z ironią i niesmakiem Ross. Nie Wellesley, nie Canning, który jest zbyt zaangażowany. Musi to być Sheridan. Nikt inny nie zdoła tego dokonać. Trzeba to zrobić dyskretnie. Mogą o tym wiedzieć tylko najbliżsi przyjaciele księcia.

W ciągu kilku ostatnich dni miesiąca mrozy zelżały, a skute lodem pola podmiejskie zmieniły się w grzęzawiska. Ross kilkakrotnie pojechał do Izby Gmin, gdy odbywały się ważne

głosowania, i słuchał przemówień Canninga, obdarzonego zdumiewającą zdolnością przykuwania uwagi posłów, co było wyjątkowo trudne, oraz potrafiącego tę uwagę utrzymać. Kiedy miał przemawiać wybitny lub wpływowy mówca, w hałaśliwej sali zapadała nagle cisza, lecz jego słowa analizowano, jakby był szeregowym posłem. Jeśli temat nie wydawał się interesujący albo mówca nie przemawiał ciekawie, wkrótce na sali rozlegał się gwar. Tym razem Canning mówił przez siedemdziesiąt minut i na zakończenie posłowie zgotowali mu owację. Później, gdy Ross przepchnął się przez tłum parlamentarzystów, by pogratulować przyjacielowi, Canning się uśmiechnął i rzekł półgłosem:

- Niedawno otrzymałem wiadomość, drogi przyjacielu. Jutro wieczorem o siódmej.
- Gdzie?
- W Holland House. Najpierw spytaj o Sheridana.

Nazajutrz był dwudziesty dziewiąty stycznia. Ross ponuro skinął głową i zamierzał odejść, lecz Canning zaprowadził go do swoich przyjaciół – Smitha, Warda, Huskissona, Bowne'a i innych – jakby chciał go ochronić przed niebezpieczeństwami pesymizmu i wątpliwości. W ostatnich latach Ross dwukrotnie spotkał następcę tronu na przyjęciach i miał o nim bardzo niskie mniemanie. Uważał, że Anglię czekają złe czasy, jeśli będzie nią rządził ten gruby, pompatyczny dandys albo powołany przez niego rząd. Księżę był powszechnie wyśmiewany i pogardzany, krążyły wyjątkowo szydercze i złośliwe wierszyki na jego temat:

*Nie ma chyba grubszej ryby w morzu pod biegunem.*

*Ile tłuszczu wokół pyska! Pije niczym smok!*

*Mniejsze ryby uciekają, gdy ją tylko ujrzą,*

*Otaczają ją jedynie szkaradne potwory.*

*Jaki tytuł może nosić? Czy to regent morza?*

*Jeśli sędzić po ogonie i obwodzie talii,*

*To na pewno nie kto inny, tylko księżę Walii!*

Oczywiście nieliczni mieli przeciwne zdanie. W arbitralny sposób księżę faworyzował architektów, aktorów i pisarzy bardziej niż jakikolwiek inny następcę tronu, ale jego rozrzutne, rozpustne życie pozbawione jakiegokolwiek celu i nieustanne dogadzanie samemu sobie raziły Rossa równie mocno jak resztę Anglików. Przekazywanie raportu takiemu człowiekowi wydawało mu się absolutnie bezsensowne.

Ustawa o regencji musiała wejść w życie do piątego lub szóstego lutego. Canning słyszał plotki, że w obozie wigów nie ma pełnej jedności. Lordowie Grey i Grenville przygotowali dla księcia szkic odpowiedzi na rezolucję Izby Gmin, po czym ich elegancki, efektowny projekt odrzucono. Zamiast niego nadesłano zupełnie nowy, niemal niegrzeczny tekst, z pewnością przygotowany przez niepożądanych przyjaciół księcia, Sheridana i lorda Moirę. Grey i Grenville wysłali do księcia dostojny list z wymówkami, w którym zauważyli, że w przeddzień objęcia przywództwa kraju nie wypada mu ignorować ich rad i korzystać

z podpowiedzi sekretnych doradców.

Nie ucieszyło to księcia, który był zupełnie nieprzyzwyczajony do wymówek. Jednak nie miał w tej chwili wyboru. Musiał zdymisjonować obecny rząd i oprzeć się na Greyu i Grenville'u. Canning mówił, że Lansdowne jest za młody i nie ma doświadczenia w sprawowaniu urzędów państwowych, na Tierneyu nie można polegać, Sheridan to pijak, a Ponsonby jest zerem. Księżę musi znieść reprimendę i położyć uszy po sobie.

– Chciałbym, żebyś został do chwili, aż ustawa wejdzie w życie – rzekł Canning. – Niezależnie od tego, jak przebiegnie twoja rozmowa z księciem. Doszło do kryzysu, Ross, i małość niektórych jego uczestników przestaje być ważna. Król ma jeszcze tydzień, by wyzdrowieć! Kiedy wszystko się skończy, kiedy ustawa wejdzie w życie, kiedy przegramy bitwę, możesz wracać do swojego majątku w Kornwalii i przyrzekam, że przez najbliższy rok nie będę cię niepokoił! Zgadzasz się?

Ross się uśmiechnął.

– Nie tęsknię za swoim kornwalijskim majątkiem, tylko za kornwalijską żoną.

– Cóż, możesz do niej pojechać w połowie lutego, za niespełna trzy tygodnie. Wybierasz się w przyszły piątek do księżnej Gordon?

– Po co, u licha?

– Na *soirée* w hotelu Pulteney. Będą tam wszyscy najważniejsi politycy, zarówno członkowie rządu, jak i gabinetu cieni.

– Nie jestem czołowym politykiem.

– Moim zdaniem to ważne, abyś się pojawił. Przyjęcia towarzyskie mogą być niemiłe, lecz odgrywają istotną rolę w rządzeniu krajem.

– Mogę być wtedy w niełasce – odparł Ross.

– Z jakiego powodu?

– Któż to wie? Za niegrzeczną uwagę wypowiedzianą do Jego Księżęcej Wysokości? Pobicie jednego z jego lokajów? Noszenie halsztuka o niewłaściwej barwie?

– To ostatnie to najstraszliwsza zbrodnia – odrzekł Canning. – Widziałem ludzi wtrącanych do Tower za mniejsze przestępstwa.

## IV

Siódma wieczór wydawała się niezbyt odpowiednią porą, lecz prawdopodobnie uznano, że będzie lepiej, gdy Ross pojawi się o zmroku. Bóg jeden wie, skąd ta tajemniczość, pomyślał: nie przekazywał sekretne posłania od cara Rosji. Prawdopodobnie w czasie kryzysu wszyscy są oceniani i sprawdzani, nawet rzeźnik dostarczający mięso wejściem dla służby.

Skoro już o tym mowa, rzeźnik jest prawdopodobnie znacznie ważniejszy, ponieważ zaspokaja królewskie potrzeby kulinarne, dodał w duchu.

Punktualnie o siódmej lokaj w niebieskiej liberii ze złotym szamerunkiem wprowadził Rossa do wspaniałej poczekalni. Odebrał od niego pelerynę i kapelusz, po czym przyniósł kieliszek madery. Wielka sala była pusta. Ross spoglądał obojętnie na rokokowe ozdoby. Księżę, prowadzący barwne życie, wyraźnie lubił krzykliwą architekturę. Podobnie jak ostatni królowie Francji. Czy ma to jakieś głębsze znaczenie?

Rozległo się skrzypienie otwieranych drzwi i do sali wszedł niepewnym krokiem tęgi, starszy mężczyzna. Jego obcasy postukiwały na wypolerowanej posadzce.

– Kapitan Poldark? Miło mi pana widzieć. Wprowadzę pana za kilka minut. Księżę dyktuje sekretarzowi odpowiedź na niedawno otrzymany list.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Kiedy tron jest tak blisko, liczba listów znacznie wzrasta.

– Naturalnie.

– Mróz nieco zelżał, chwała Bogu. Zimno źle działa na moje zdrowie.

Stali w milczeniu. Starszy mężczyzna zakasłał, jakby był chory.

– Jeszcze kropelkę madery? A może woli pan brandy?

– Dziękuję. Wino jest doskonałe, lecz nie mam ochoty na więcej.

Kolejna chwila ciszy.

– Jak się pan domyśla, księżę ma mnóstwo zajęć. Byłby bardzo zadowolony, gdyby jego ojciec wyzdrowiał, zapewniam pana.

– Podobnie jak my wszyscy, panie Sheridan.

– Cóż... Ach, cóż... Tak czy inaczej, nie radziłbym panu wygłaszać w tym domu takich poglądów, zwłaszcza z nutą szczerości. – Sheridan oparł się o fotel. – Najważniejszy jest takt, kapitanie Poldark. Takt. Wyrobiłem już panu markę genialnego stratega militarnego i mam nadzieję, że okaże się pan również genialnym strategiem politycznym!

Ross się uśmiechnął.

– Zupełnie nie zasługuję na miano genialnego stratega militarnego i nie wiem, czy sprodam wymaganiom w drugiej sferze... Jeśli jest pan zajęty, proszę się nie trudzić. Zaczekam samotnie na wezwanie.

– Nie, nie. Nie, nie, nie. Z przyjemnością wypiję z panem kieliszek madery.

Rossa wprowadzono przed oblicze księcia Walii dopiero po dziesięciu minutach. Następca tronu przebywał w mniejszym pomieszczeniu. Siedział przy bogato intarsjowanym stole i oglądał tabakierkę. Miał na sobie oliwkowozielony jedwabny szlafrok haftowany złotą nicią, biały halsztuk, kanarkową kamizelkę i białe bryczesy. Chociaż był rok lub dwa młodszy od gościa, wydawał się starcem w porównaniu z Rossem. Przypominał przy nim starą kurę siedzącą

obok orła. Pomarszczona twarz z podkrążonymi oczyma i niezdrowa cera świadczyły o wygodnym życiu i dogadzaniu sobie.

Ross pochylił się nad upierścienioną ręką. Księżę odchrząknął.

– Mój ojciec to wielki kolekcjoner tabakerek – rzekł. – Zastanawiam się, czy mu podarować tę sztukę. Mogłaby go pocieszyć w chorobie. Podobno należała do Henryka IV Burbona, króla Nawarry.

Ross nie wiedział, co odpowiedzieć, więc milczał.

– Niczego pan nie kolekcjonuje, kapitanie Poldark? A może tylko informacje?

– Wasza Wysokość?

– Rozumiem, że niedawno wrócił pan z Portugalii, dokąd postanowili pana wysłać pewni ministrowie rządu mojego ojca, by uzyskać niezależny obraz panujących tam warunków.

– To prawda, sir.

– I chciałby pan złożyć raport?

– Myślałem, że Wasza Wysokość już go czytał.

Księżę Walii po raz pierwszy spojrział na Rossa. Jego oczy, choć mętne, były przebiegłe i taksujące. I niezbyt przyjazne.

– Jest pan przede wszystkim żołnierzem, Poldark, człowiekiem czynu, a nie literatem, prawda? Pana raport jest ciekawy, lecz niezbyt dobrze napisany. Pochlebiam sobie, że dobrze potrafię ocenić styl literacki. Jednak mówiono mi, że łatwiej się pan wypowiada, może z lepszym wyczuciem znaczenia wyrazów.

– Nie jestem również oratorem, sir. Mam tylko nadzieję, że dodam kilka spostrzeżeń do tego, co napisałem. I oczywiście odpowiem na wszelkie pytania, które Wasza Wysokość zechce mi zadać.

Księżę w dalszym ciągu obracał w palcach tabakierkę.

– Przynajmniej nie obiecuje pan zbyt wiele. To już coś. Im jestem starszy, tym więcej otacza mnie ludzi, którzy obiecują zbyt wiele. To choroba dworaków, przekleństwo królów i książąt.

Ross znów powstrzymał się od komentarza.

– Wie pan, że ja także wolałbym być człowiekiem czynu? Niestety, nie pozwala na to mój status. Zdaje pan sobie z tego sprawę? Ta wojna... ta wojna ciągnie się od wielu lat. Kiedy wybuchła, byłem młodym człowiekiem. Byłbym zachwycony, gdybym mógł dowodzić armią walczącą w polu, wziąć aktywny udział w kampanii. – Z zadowoleniem zastanawiał się nad swoimi słowami, kiwając wielką głową w takt słów. – Nie jestem tchórzem. Wielki Boże, naprawdę nie jestem! Moi przodkowie dowodzili armiami. Lecz ponieważ jestem następcą tronu, nie mogę aktywnie uczestniczyć w wojnie! Tkwię w kokonie niczym cenny jedwabnik, którego nie da się niczym zastąpić. Mam zająć miejsce ojca po jego śmierci, podpisywać dokumenty, mianować ministrów, podtrzymywać ustrój Anglii! Ale osobiście, jako człowiek, jestem

pozbawiony możliwości odnoszenia sukcesów dla dobra – a przynajmniej stabilności – narodu. Chociaż może mi pan zazdrościć luksusu i wygodnego życia, Poldark, ja zazdroszczę panu swobody bycia tym, kim pan jest: żołnierzem, politykiem, człowiekiem czynu. Można nawet powiedzieć, że jest pan swego rodzaju awanturnikiem, jeśli użyjemy tego słowa w mniej obraźliwym znaczeniu.

– Moja skłonność do awanturnictwa i hazardu przejawia się w działalności górniczej, sir – odparł sucho Ross. – Jeśli chodzi o resztę, w życiu pojawiały się okazje.

Książę ziewnął i wyciągnął grube nogi. Nosił trzewiki ze srebrnymi sprzączkami i białe fildekosowe pończochy z ażurowymi wstawkami.

– A teraz przedstawiono pana mnie, co? Kiedy poznał pan lorda Wellingtona?

Książę zadał to pytanie ostrym tonem. Ross zawahał się na moment.

– Wellingtona? Po Buçaco, sir. Rozmawiałem z nim tylko chwilę. Miał wiele pilnych zajęć.

– Musiał się pan z nim spotkać wcześniej.

– Nie, sir.

– A z Wellesleyem?

– Widywałem go na przyjęciach. Raz zamieniliśmy kilka słów w parlamencie. W zeszłym tygodniu przedstawiłem mu swój raport.

– A Canning?

– Och, Canninga znam dobrze, sir. Poznałem go siedem lub osiem lat temu.

– Tak myślałem. Tak myślałem. Wydaje się, że wymyślił to Canning.

– To, Wasza Wysokość?

– Tak. Proszę nie gapić się na mnie w ten sposób. Wie pan, co mam na myśli. Canning jest przebiegły, powinien się nazywać Cunning! Uważa się za ważną osobistość, nie jest członkiem rządu, ale nieustannie próbuje się wtrącać i pociągać za sznurki zza kulis. Jaki był cel pańskiego wyjazdu do Portugalii, skoro gabinet otrzymuje bardzo dokładne relacje o tym, co się tam dzieje?

– Zadałem to pytanie przed wyjazdem, sir.

– Doprawdy? I co panu powiedziano?

– Że niezależny raport może być wartościowy, jeśli sporządzi go ktoś, kto nie ma nic do stracenia ani do zyskania i kto, słusznie lub niesłusznie, w ciągu lat zyskał opinię człowieka bezstronnego.

Książę obrócił tabakierkę i przesunął palcem po podstawie.

– Była naprawiana, lecz zrzęcznie. Ojciec nic nie zauważył, prawda?

Ross znów nie odpowiedział.

– Ma pan sztywny kark, kapitanie Poldark.

– Sir?

– Mówię, że ma pan sztywny kark. Proszę nie udawać, że pan nie rozumie... A zatem?

– Sir?

– Zatem, sir, niech pan powie to, co ma pan do powiedzenia. Proszę przedstawić raport. Niech pan powie, co pan widział, czego się pan dowiedział i co pan wydedukował. Czekaam na próbkę pańskiej elokwencji.

Ross przełknął ślinę. Przez chwilę zamierzał złożyć ukłon, przeprosić i wyjść. Niech diabli porwą tego grubego dandysa, jego napuszone maniery, fildekosowe pończochy i tabakierki. Jeśli to przyszyły król Anglii, niechaj Bóg ma w opiece Anglię. Rozmowa przybrała przewidywalny obrót.

Jednak... nie otrzymał audiencji w prywatnej sprawie. Jeśli wyjdzie, to nie on poniesie klęskę. Jeśli zostanie i przedstawi raport mimo nieuprzejmego powitania, niczego nie zyska, bo z pewnością gruby książę nie uzna jego argumentów, lecz Ross spełni swój obowiązek. Później nie będzie mógł robić sobie wyrzutów, co zdarzało się już kilkakrotnie w jego życiu, gdy duma – może fałszywa duma – skłaniała go do działań, które sprawiały, że znikala nadzieja na sukces. Nie powinien zwracać uwagi na osobistą urazę. Chodziło o problemy dotyczące całego kraju.

Mówił około dziesięciu minut, rzadko przerywając. Przez ostatnie pięć minut miał wrażenie, że temat go wciągnął. W końcu umilkł i spojrzał na księcia. Następca tronu odłożył tabakierkę i spuścił głowę na pierś. Oddychał powoli, a Ross spoglądał na niego z narastającym gniewem i pogardą. Książę uniósł ciężkie powieki, westchnął i powiedział:

– To koniec?

– Tak, koniec...

– Mieli rację, Poldark, potrafi pan dobrze mówić. Ukołysał mnie pan do snu.

– W takim razie, sir, poniosłem fiasko, jak się tego spodziewałem. Gdyby Wasza Wysokość pozwolił mi odejść...

– Nie, nie pozwalam.

Ross czekał. Francuski zegar wybił godzinę.

– Spodziewał się pan ponieść fiasko? – spytał książę. – Co pan ma na myśli?

– Spodziewałem się, że Wasza Wysokość nie będzie zainteresowany.

Książę ziewnął.

– Powiedziano mi, że w Buçaco generał Merle dotarł do szczytu wzgórz, nie napotykając prawie żadnego oporu. Dlaczego Wellington na to pozwolił?

– Jego siły były zanadto rozciągnięte, sir. Francuzom stawiono opór, lecz zaatakowali nagle, we mgle, i w tym momencie nie mieliśmy dostatecznej siły ogniowej, by ich odeprzeć.

– Dlaczego linia obrony była tak rozciągnięta?

– Bo w innym przypadku by nas oskrzydłono.

– Więc na początku bitwy o mało nie doszło do katastrofy?



– Nie, sir. Wellington trzymał wojska w rezerwie na wypadek takiej sytuacji. Ze swojego stanowiska widział wszystkie grzbiety wzgórz, lecz nie równinę w dole. Kiedy tylko zauważył Francuzów docierających na szczyty, rzucił do walki osiemdziesiąty ósmy regiment piechoty – i chyba część czterdziestego piątego. Wywiązała się krwawa bitwa, po czym francuskie bataliony szturmowe zepchnięto ze wzgórza. Stracili około dwóch tysięcy ludzi.

– Brał pan udział w tym starciu?

– Nie, sir. Przyłączyłem się do kompanii swojego bratanka, która należała do czterdziestego trzeciego regimentu piechoty pod komendą generała Craufurda.

– Czterdziestego trzeciego... – rzekł książę i znów ziewnął. – W takim razie w późniejszej fazie bitwy nie był pan tylko obserwatorem.

– Nie, sir. Brałem udział w ataku prowadzonym później na dywizję generała Loisona. Przyznaję, że nigdy nie widziałem, by żołnierze byli lepiej dowodzeni lub bardziej zażarcie walczyli z nieprzyjacielem. Kiedy generał Craufurd wydał rozkaz natarcia, krzyknął, że powinni pomścić sir Johna Moore'a.

– Moore'a... – mruknął książę. – Kolejna klęska!

– Wszyscy, którzy walczyli pod jego komendą, uważają inaczej. Mówią, że otrzymał z Londynu rozkazy niemożliwe do wykonania.

– To mnie nie dziwi. Wcale nie dziwi. Tak czy inaczej, został pokonany. Wellington w tej chwili również przyznaje się do porażki.

– Nie porażki, sir. To taktyczny odwrót. Atakują go przeważające siły, które wkrótce by go oskrzydliły i odcięły nasze linie zaopatrzenia.

Książę wyjął własną tabakierkę i włożył do obu dziurek nosa po szczypcie tabaki.

– Otrzymałem inne meldunki, kapitanie Poldark. Doniesiono mi, że armia brytyjska zmieniała się w zgraję maruderów, którzy zmieszali się z tłumem francuskich uchodźców. Podobno wszyscy uciekają w stronę Lizbony przed triumfującymi Francuzami. Normalna historia: niekompetencja generałów, źli oficerowie, obdarte, pijane żołdactwo, które plądruje wszystko po drodze!

– Może Wasza Wysokość ma późniejsze, bardziej szczegółowe raporty niż ja – rzekł Ross.

– Niewątpliwie. Z pewnością.

– Mimo to przed powrotem do kraju widziałem stanowiska obronne przygotowywane wokół Torres Vedras. Znam bohaterstwo naszych żołnierzy, a także Portugalczyków, którzy po raz pierwszy są właściwie dowodzeni i wyszkoleni – i nie wyobrażam sobie, by Francuzi zdobyli te umocnienia. Daję głowę, że Lizbona jest bezpieczna.

Książę Walii w końcu wstał z fotela. Był to gwałtowny, nieskoordynowany ruch, zwały tłustego cielska poruszały się niemal osobno. Można było pomyśleć, że stawy nie wytrzymają ciężaru i książę runie na posadzkę. Jednak po chwili odzyskał równowagę i stanął prosto, po

czym zaczął spacerować po pokoju, sapiąc. Podeszwy trzewików stukały w posadzkę: klap-klap, klap-klap.

– Obrona, obrona... Nasi generałowie nie myślą o niczym innym nawet w chwili największych sukcesów! Potrafimy tylko wylądować w jakimś dalekim zakątku na kontynencie, odnosić krótkotrwałe sukcesy dzięki patriotyzmowi mieszkańców, dać Francuzom kilka prztyczków w nos, a później haniebnie wycofać się do przygotowanych stanowisk obronnych albo na okręty! Jak można pokonać w ten sposób Napoleona, pytam pana?!

Ross wstał i spoglądał na księcia.

– Nie jest to łatwe pytanie, sir. Rzeczywiście, może najlepiej pogodzić się z nieuniknionym i ukorzyć przed Napoleonem.

– Ach, więc zgadza się pan z opiniami większości rozsądnych ludzi!

– Nie znam opinii większości rozsądnych ludzi, Wasza Wysokość.

– Niech pan nie uprawia ze mną szermierki słownej, sir.

– Cóż, jesteśmy tylko małą wyspą, która ma zbyt duże ambicje, prawda? Rozrzutnie szafujemy swoimi zasobami, marnujemy krew i pieniądze, próbując powstrzymać ekspansję wielkiego narodu francuskiego, który podbił już większość Europy. Bez naszych prztyczków w nos wkrótce podbije resztę... Ponieważ Wasza Wysokość zaszczyił mnie, prosząc o moją opinię...

Ross umilkł. Księżę się nie odezwał.

– Ponieważ Wasza Wysokość wielce zaszczyił mnie, prosząc o moją opinię, osobiście czułbym głęboki żal, gdyby w pierwszej dekadzie nowego wieku Anglia doznała całkowitego upokorzenia i zrezygnowała z odpowiedzialności za los wielu narodów Europy, które liczą na naszą pomoc. To właśnie Wasza Księżęca Wysokość musi wziąć na siebie odpowiedzialność za przyszłość naszego kraju, a my, poddani, zaakceptujemy decyzję Waszej Wysokości. Podobnie jak historia.

Księżę otarł nos koronkową chusteczką z Gandawy, teraz niedostępnej dla kupców angielskich.

– Bezczelność może przybierać różne formy, kapitanie Poldark – powiedział. – Musi pan zdawać sobie z tego sprawę jako żołnierz. Czy przedstawił pan swoje poglądy w Izbie Gmin?

– Rzadko przemawiam w parlamencie, sir.

– Nie dziwi mnie to. Powinien pan brać przykład ze swojego przyjaciela Sheridana. Kiedy był w świetnej formie – co, niestety, należy do przeszłości, potrafił... Nieważne. Niewątpliwie uważa pan, że spełnia swój obowiązek. Proszę mi zatem pozwolić, bym również spełnił swój.

– Właśnie to miałem na myśli, sir.

Księżę znów zaczął chodzić po pokoju, ciężko powłócząc nogami. Ross poruszył obolałą stopą. Chrapliwy oddech się zbliżył, po czym znów oddalił.

– Poldark.

– Sir?

– Proszę tu podejść.

Następca tronu stał przy biurku. Kiedy Ross się zbliżył, książkę otworzył szufladę, wyjął arkusz pergaminu o rozmiarach sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów i rozłożył go na blacie. Na drżących palcach iskrzyły się brylanty.

– Proszę spojrzeć. Przysłano mi plan umocnień wokół Torres Vedras. Proszę mi je objaśnić.

Ross zmrużył oczy.

– Wellington to beznadziejny fuszer – ciągnął książkę. – Tak twierdzą moi najlepsi doradcy. Torysi uważają inaczej, lecz to nic dziwnego, skoro mianowali go dowódcą, a minister spraw zagranicznych jest jego bratem. Czekam, by mnie przekonano, że Wellington nie jest beznadziejnym fuszerem.

– Jeśli wszystko, co dotąd powiedziałem, sir... – zaczął Ross.

– Nieważne. Proszę mi objaśnić plan. Może pan tego nie wiedzieć, ale otrzymałem meldunki, że Masséna nie oblega już Lizbony. Sprawdził siłę umocnień i zarządził odwrót. Niektórzy zapewniają mnie, że tylko po to, by zająć lepsze pozycje od wojsk brytyjskich. Inni twierdzą, że Wellingtona wyręczają zima i głód – prawdopodobnie właśnie na to liczył. Nie jestem zupełnym ignorantem w kwestiach wojskowych. Jeśli chce pan coś powiedzieć na ten temat, proszę to zrobić przed wyjściem.

## Rozdział dziewiąty

### I

Księżna Gordon nie miała domu w mieście i w czasie pobytów w Londynie mieszkała w sławnym hotelu Pulteney, gdzie zamierzała wydać przyjęcie. „Piękna księżna”, jak ją nazywano, pochodziła z rodu Monteith i była podziwiana zarówno ze względu na dowcip, jak i urodę, lecz w tysiąc osiemset jedenastym roku miała przeszło sześćdziesiąt lat, co częściowo tłumaczyło, dlaczego księżę mieszka osobno przy New Norfolk Street.

Tak czy inaczej, była skoligacona z najwyższą arystokracją brytyjską, toteż na przyjęciu miały się pojawić wszystkie ważne osobistości – co według Rossa oznaczało, że będą panowały nieznośny tłok i gorąco. Poza tym, choć przechowywał trochę ubrań w swoim starym mieszkaniu przy George Street, nie miał eleganckiego nowego fraka nadającego się na taką okazję. George Canning stwierdził, że ponieważ Ross wrócił niedawno z wojny w Portugalii, może włożyć skromny, stonowany strój – może nawet z plamami krwi po bitwie! Dzięki temu będzie się odróżniać od modnych dżentelmenów z parlamentu i dworu. Sam nie starał się ubierać zgodnie z najnowszą modą. Kobiety... ach, kobiety... to zupełnie inna sprawa. Gdyby jego ukochana żona przebywała w Londynie...

Był piątek, pierwszy lutego. Mrozy ustąpiły, a woda i błoto pokrywające kocie łby częściowo wyschły. Na Piccadilly przed hotelem ulicę wyłożono słomą, rozwinięto dywan i rozwieszono markizę. Na ozdobnych słupach migotały latarnie, a lokaje w białych perukach i czerwonych surdutach odpychali napierający tłum. Kiedy Ross i Canning przybyli na miejsce, zgromadziło się już mnóstwo ludzi. Na ulicy czuć było dziwną mieszankę zapachów brudnych ciał, koni, łajna, mokrej słomy i kopających latarni. Goście wchodzili do ciepłego foyer pachnącego świecami i perfumami. Służący odbierali peleryny, damy pośpiesznie poprawiały włosy, przeglądając się w podłużnych, złożonych lustrach, po czym wszyscy dołączali do długiej kolejki przed salonem, gdzie księżę i księżna czekali na przybywające osoby.

Kiedy Ross pochylił się nad rękawiczką księżnej Gordon, jego spojrzenie napotkały przez chwilę piękne, lecz dość chłodne szkockie oczy. Na nieco pomarszczonej skórze zamigotała tiara i kolia. Ross usłyszał swoje nazwisko i odszedł. Zaproponowano mu kieliszek trunku i przyjął go, nim zdał sobie sprawę, że to słodkie białe wino.

– Chodź – powiedział Canning. – Znam ten dom. W sali muzycznej będzie chłodniej i ciszej.

Spędzili godzinę na banalnych rozmowach. Canning na chwilę odszedł, po czym wrócił. Trzy osoby rozmawiały z Rossem na temat jego raportu i złożyły mu gratulacje. Wydawało się, że nikt nie wie o jego spotkaniu z księciem Walii – nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo ze spotkania nic nie wynikło.

– Jest niewielu członków opozycji – powiedział po powrocie Canning. – Krążą plotki, że pozwolono im wreszcie sformować nowy rząd i że zajmują się tym dziś wieczorem. Niestety, popsulo to *soirée* księżnej i nie mam wątpliwości, że nie będzie to korzystne dla kraju.

Ross prawie nie słuchał, ponieważ zauważył w drzwiach znajomą postać, której nie miał ochoty widzieć ani tu, ani nigdzie indziej: sir George’a Warleggana. Towarzyszyła mu elegancka dama w wieku około czterdziestu lat, której Ross nigdy wcześniej nie widział. Spytał o nią drugiego, znacznie sympatyczniejszego George’a, stojącego w tej chwili obok niego.

– To lady Grenville – powiedział Canning. – Sympatyczna kobieta, nie tak nonsensownie surowa jak jej mąż. Ale zwraca uwagę to, że przybyły bez małżonków: lady Grey, w czerwonej sukni, siedząca przy fortepianie, pani Whitbread, rozmawiająca z Plumerem Wardem, i lady Northumberland, która stoi na końcu sali z prawej strony.

Ross popatrzył w prawo, lecz nie na kobietę wskazaną przez Canninga. Zauważył wysoką, jasnowłosą dziewczynę w białej sukni, ze splecionymi włosami. Sukienka miała duży dekolt, bufiaste rękawy sięgające do łokci, a na brzuchu jedwabną kokardę z długimi, powiewnymi wstążkami. Spozrzegł szare oczy i grzywkę opadającą na czoło. Rozmawiała z barczystym młodym człowiekiem w srebrzystym fraku o doskonałym kroju i jakości – a raczej to on do niej mówił. Ross widział już gdzieś tego mężczyznę. Młoda kobieta wydawała się dziwnie podobna do starszej córki Rossa. Popatrzył na nią, zamrugał, odwrócił wzrok i znów spojrzął. Zlustrował resztę grupy i spostrzegł dwie osoby, które rzeczywiście znał.

– Na Boga! – zawołał, przełknął ślinę i uśmiechnął się do zdziwionego Canninga. – Wybacz mi, George! Muszę się przywitać ze starymi przyjaciółmi.

Ruszył wśród grupek rozmawiających ludzi, ominął kelnera z tacą z winem, przeprosił sir Unwina Trevaunance’a, który próbował go zatrzymać, i w końcu podszedł do jasnowłosej dziewczyny w białej sukni.

– Miło mi panią widzieć, panno Poldark – rzekł.

Odwróciła się, w dalszym ciągu uśmiechnięta po jakiejś uwadze młodego człowieka. Przez chwilę jej twarz wyrażała wahanie i zaskoczenie, a potem nagle się rozpromieniła.

– Papa!

Ujął ją za łokcie, lecz oparł się pokusie chwycenia jej w objęcia. Zamiast tego trzymał ją w pewnej odległości od siebie, po czym pocałował w oba policzki i delikatnie w usta.

– Papo! Papo! Nie wiedzieliśmy, że wróciłeś do Anglii! Kiedy przyjechałeś? Dlaczego nas nie zawiadomiłeś? Jak się czujesz? Czy mama wie? Jak cudownie! W ogóle się tego nie

spodziewałam!

– A czy ja mogłem się spodziewać? – odparł. – Że zastanę cię w Londynie? Jest tu twoja matka? Jak to się stało? Dwight! Caroline!

Nastąpiły powitania, zadawano wiele pytań, ledwo słuchano odpowiedzi. Młody człowiek w srebrzystym surducie miał zamiar odejść, gdy Caroline powiedziała:

– Ross, czy znasz lorda Edwarda Fitzmaurice’a?

Złożyli sobie ukłon.

– Znam pana brata, sir – rzekł Ross. – Henry’ego Lansdowne’a.

– Tak, sir. I chyba spotkaliśmy się w Izbie Gmin.

– W zeszłym roku przemawiał pan na temat emancypacji katolików.

Młody człowiek miał surową twarz.

– Między innymi! Brat twierdzi, że stanowczo zbyt często przemawiam. Teraz, gdy odziedziczył tytuł wicehrabiego, chyba żałuje, że nie jest już w Izbie Gmin!

– Jest tu dziś?

– Nie. Miał przybyć, ale uczestniczy w jakichś rozmowach politycznych, które właśnie się toczą.

– Rzeczywiście – odparł sucho Ross.

– Spotkanie z pańską córką sprawiło mi wielką przyjemność, sir – rzekł lord Edward.

– Mnie także – odparł Ross.

– Tak, ale nie widzi pan jej po raz pierwszy w życiu!

Rozmawiali jeszcze kilka minut i poczuli do siebie sympatię. Później Caroline ujęła Rossa pod rękę i delikatnie odprowadziła go na bok. Opowiadała o Kornwalii i pytała o Portugalię. Powiedziała, że wraca z Dwightem w czwartek: może pojechaliby razem? Ross był zdumiony, że spotkał w Londynie Clowance, i do tego na takim przyjęciu. Clowance, która uwielbiała chodzić boso, galopowała na wielkim koniu i zachowywała się jak chłopczyca. Demelza się zgodziła? Czy Clowance pragnęła przyjechać do Londynu? A może to sugestia Caroline? Co, na litość boską, robi w stolicy Dwight w połowie lutego?!

– Spokojnie – przerwała mu Caroline, a Dwight się uśmiechnął i pokręcił głową. – Spokojnie – powtórzyła. – Kiedy wrócimy do domu, Demelza wytłumaczy ci, jak to się stało. Nie ma się czym martwić, wszyscy są zdrowi, a jeśli teraz wrócisz z nami do domu i zajmiesz się sprawami majątku...

– Majątek – sprostował Ross.

– Jeśli poświęcisz się rodzinie oraz kopalni i pozostawisz te awanturnicze wyprawy innym ludziom, wszyscy będziemy szczęśliwi.

– Fitzmaurice – rzekł Ross, rozglądając się po sali.

– Tak, Fitzmaurice – odparła Caroline. – Wyraźnie spodobała mu się twoja urocza córka. To

z pewnością nic złego.

– Clowance? – powiedział Ross i zmarszczył brwi. – Nie nazywa się naprawdę Petty-Fitzmarurice?

– To stary ród, więc niewątpliwie mogą wybierać spośród kilku nazwisk. Zanim jego brat odziedziczył tytuł, nazywał się po prostu Henry Petty. Lord Edward ma dwadzieścia siedem lat. Dość przystojny i przyzwoity, podobnie jak jego brat. Ma dobrą opinię. Czego jeszcze można wymagać?

– Od kogo? – spytał zaskoczony Ross.

– Od przyjaciela twojej córki. Czy to takie niezwykle? Niech ich sympatia dojrzewa.

– Dopóki wszystko zmierza we właściwym kierunku.

– Odczuwasz ojcowski niepokój, Ross? Nic dziwnego, wszyscy rodzice są tacy! Ale moim zdaniem Clowance ma zbyt jasny umysł, by tytuł robił na niej przesadne wrażenie.

W tym samym momencie Clowance, obdarzona jasnym umysłem, dyskutowała o lisach.

– Nie wierzę! – zawołał ze śmiechem Fitzmaurice. – Jak to możliwe?!

– Nie wiem, sir. Może żyję bliżej ziemi od pana.

– W tej chwili, panno Poldark, wydaje się pani zbyt anielska, by znajdować się blisko ziemi! Bardzo proszę, błagam, by nie tytułowała mnie pani sir.

– Więc jak mam pana nazywać, sir?

– Mój brat nazywa się teraz Lansdowne i twierdzi, że trudno mu się przyzwyczaić. Ale ja urodziłem się jako Fitzmaurice i zamierzam umrzeć jako Fitzmaurice, bo na szczęście mój brat jest żonaty i ma dzieci, które odziedziczą tytuł. Rodzice nadali mi na chrzcie imiona Edward John Charles. Jeszcze nie ośmielałem się prosić, by nazywała mnie pani jednym z nich, ponieważ sugerowałoby to niestosowną bliskość, ale ufam, że nasza znajomość wkrótce nabierze odpowiedniej głębi, by na to pozwolić.

Clowance otworzyła szeroko oczy, słuchając elokwentnej przemowy w stylu Westminsteru.

– Ja nazywam się Clowance – odpowiedziała. – Zdaje się, że nie mam innych imion.

– Clarence – powtórzył Fitzmaurice. – Czy to nie nazwisko?

– Nie, Clowance. C-L-O-W... – Uśmiechnęła się. – W pobliżu naszego dworu w Kornwalii mieszka pewien stary człowiek, który uparcie nazywa mnie Clarence, ale zapewniam pana, że moje imię to Clowance.

Kiedy wypowiadała te słowa, uśmiechnęła się jeszcze szerzej, ponieważ przypomniała sobie Juda Payntera. Prawie przestał chodzić i siedział niczym zdychający żuk przed brudną chatą w Sawle, pluł i nie chciał przyjąć do wiadomości, że córce Rossa nie nadano na chrzcie imienia Clarence. Rozbawił ją kontrast z tym wykwintnym, eleganckim towarzystwem.

– Cóż, ten stary człowiek, panno Poldark, nie popełni w przyszłości tego błędu! – rzekł Fitzmaurice. – Ale i tak jest to dość dziwne imię, jeśli wolno mi zauważyć. Czy jest pospolite

w pani hrabstwie?

– Nie. Nie znam innych osób o tym imieniu.

– Ma jakieś znaczenie? W języku Kornwalii?

– Tak mi się zdaje. Matka wspominała, że znaczy „echo doliny”.

– „Echo doliny” – powtórzył lord Edward, spoglądając na Clowance. – To rzeczywiście odpowiednie imię.

## II

– Drogi Rossie – powiedziała Caroline. – W takich chwilach nie wyglądasz jak ryba wyjęta z wody, ale jak kot wrzucony do wody. Co mogę zrobić, by cię rozerwać?

Ross wytarł twarz i się roześmiał.

– Wy tłumacz mi, dlaczego moja najdroższa przyjaciółka ma całkowicie inny gust niż ja.

– Och... to trudne, prawda? Powiedzmy, że widzimy wokół siebie grupę ludzi, którzy są próżni, egoistyczni, aroganccy, zbyt elegancko ubrani, chciwi i płytki. Nie różnią się pod tym względem od reszty społeczeństwa, choć mają więcej pieniędzy. Może to one ich deprawują?

– Stój! Przestań mówić! – zawołał Ross. – Po raz pierwszy w życiu słyszę cię wygłaszającą radykalne poglądy!

– Oczywiście, że nie przestanę mówić! Nie dotarłam nawet do połowy wykładu. To prawda, że wśród biedoty można spotkać większą prostotę, a nawet większą hojność. Ale wśród biedoty istnieje mnóstwo brutalności, ignorancji, niższa świadomość tego, co jest w życiu naprawdę ważne. Wielu ludzi jest ubogich, bo nie miało szans na poprawę swego losu, lecz przeważająca część jest uboga z powodu braku intelektu, uczuć, gustu, zrozumienia. To fakt, którego nie da się zanegować!

Ross uśmiechnął się do Caroline.

– Podejrzewam, że ćwiczysz swoje umiejętności dialektyczne w dyskusjach z Dwightem. Masz umysł ostry jak brzytwa.

– I tępię go w czasie rozmów z tobą, mój drogi, wiem.

– Powiedz mi: to Demelza zasugerowała, by Clowance z tobą pojechała? – spytał Ross. – Czy tak?

– Niech sama wytłumaczy, mam nadzieję, że wkrótce się spotkacie. I przestań się gapić nad moim ramieniem. W towarzystwie tego nienagannie wychowanego młodego człowieka Clowance jest całkowicie bezpieczna. Zdaje się, że to kawaler. Czy mógłbyś się sprzeciwić, gdyby zapragnął uczynić Clowance utytułowaną damą?

– To mało prawdopodobne. Bardziej się martwię, że ona... – Urwał.



– Że obracanie się w takim arystokratycznym towarzystwie zburzy jej spokój? Chciałbyś zatem, by przebywała tylko w towarzystwie górników, którzy golą się raz na tydzień i nie potrafią się podpisać?

– Czasem, Caroline, mam ochotę cię zbić.

– Wiem. Chyba podobałoby mi się to. Ale mówmy poważnie... – Caroline również umilkła.

– Możesz mówić poważnie?

– Z tobą rzadko. Dziewczęta – wszystkie dziewczęta – potrzebują szerszej gamy doświadczeń, czego często im się odmawia. Clowance na to zasługuje. Gdyby nie miała głowy na karku i jasnego, klarownego umysłu, nie byłaby córką Demelzy ani twoją.

Innym mężczyzną spoglądającym w tej chwili nad czyimś ramieniem na Clowance był sir George Warleggan. Zauważył Rossa i z niezadowoleniem doszedł do wniosku, że jego śmiertelny wróg musiał szczęśliwie wrócić z przekłętej awantury w Portugalii. Później spostrzegł jego córkę.

– Moja droga lady Banks, to noc decyzji. Słyszałem od lady Grenville, że jej mąż, baron, wraz z lordem Greyem i resztą przyjaciół właśnie w tej chwili tworzą historię! Jutro pojawi się informacja o sformowaniu nowego rządu.

– Ciągnie się to w nieskończoność – odrzekła lady Banks, dotykając kędzierzawych włosów.  
– Sir William nie może się doczekać powrotu do swojej posiadłości, złości się i martwi. Nie obchodzi mnie, co państwo o tym sądzą, ale pod nieobecność dziedzica wszystko wygląda inaczej, a sir William jest w tej chwili dosłownie uwięziony w Londynie. Wszystko przez przesadne poczucie obowiązku! Marnujemy najlepszy okres na polowania!

George, który wiedział, że sir William został w Londynie w nadziei na synekurę i że zaledwie wczoraj odnosił się wyjątkowo grzecznie do Samuela Whitbreada, kiwnął głową.

– Państwa posiadłości znajdują się daleko od Londynu, podobnie jak moje, co pogarsza sytuację – powiedział. – Nie można pojechać do domu na dwa dni, a następnie wrócić. Ile czasu zabiera państwu podróż do Yorkshire?

Kiedy zaczął mówić, Clowance przypadkiem się odwróciła i ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się do George'a, który uciekł wzrokiem. Po chwili zmienił zdanie, popatrzył na córkę starego wroga i skinął głową. Zauważył, kto jej towarzyszy, i spostrzegł, że młody arystokrata z wpływowej rodziny wydaje się nią zainteresowany. A zatem Ross, choć obłudnie twierdzi, że nie interesuje go pozycja ani majątek, ściągnął swoją starszą córkę z Kornwalii do Londynu i ubrał w suknię odsłaniającą kobiece wdzięki, by nie pozostały niezauważone, po czym przedstawił ją człowiekowi będącemu jedną z najlepszych partii w Wielkiej Brytanii. Gdyby jakimś cudem córka Demelzy wżeniła się w taką rodzinę, nic nie powstrzymałoby arogancji Poldarków. Jednak Edward Fitzmaurice nie urodził się wczoraj, pomyślał ze złością George. Bardzo prawdopodobne, że pomimo swojej znakomitej opinii postanowi skosztować

specjałów, lecz za nie nie zapłaci. Jeśli tak, należy życzyć mu szczęścia.

– Droga lady Banks – powiedział, pośpiesznie starając się wyrzucić z wyobraźni specjały, których miał kosztować Fitzmaurice – obecne metody budowy gościńców są coraz nowocześniejsze. Ci dwaj Szkoci – jak oni się nazywają? – budują drogi, jakich dotychczas nie było. Może za kilka lat podróże nie będą takie męczące.

Ktoś przyjaźnie poklepał go po ramieniu. Wachlarzem – kobiecym wachlarzem. W ciągu lat sukcesów George nabrał godności i powagi. Odwrócił się z lekkim niezadowoleniem, choć starał się z nim nie zdradzać, na wypadek gdyby osoba, która go dotknęła, okazała się na tyle ważna, by usprawiedliwiało to bezceremonialny gest.

– Sir George, prawda? Nie mogłam nie rozpoznać swojego dobroczyńcy...

Wysoka dama z kruczoczarnymi włosami, które w migotliwym blasku świec miały ciemnogrnatowy połysk. George niełatwo się rumienił, ale kiedy pochylił się nad dłonią w rękawiczce, poczuł, że czerwienieje.

– Lady Harriet! Co za przyjemność! Co za radość! I niespodzianka! Myślałem, że jest pani w Kornwalii!

– Wolałabym w dalszym ciągu tam przebywać. A jeszcze bardziej w hrabstwie Devon, gdzie lepiej się poluje. Sprowadziły mnie tu interesy związane z majątkiem zmarłego męża – lub raczej brakiem majątku.

George zająknął się, po czym przypomniał sobie o dobrych manierach i przedstawił lady Banks, tęgą kobietę w średnim wieku. Prowadził uprzejmą konwersację, rozglądając się po sali, by sprawdzić, czy wśród gości jest brat lady Harriet. Poczul ulgę, gdy okazało się, że książe jest nieobecny, a przynajmniej nie znajduje się w pobliżu, po czym znów spojrzął na Harriet. Od ich ostatniego spotkania minęły dwa miesiące, więc patrzył na nią chciwym, taksującym wzrokiem. Poczynił już wstępne kroki, by iść z tą młodą kobietą do łóżka. By ją zdobyć – kusząc lepszą sytuacją finansową – zainwestował połowę swojej fortuny w spekulacyjnych, lecz mądrych przedsięwzięciach na północy. Zdobyć, posiąść. Naga siostra księcia leżąca obok niego w łóżku. Nieprawdopodobne! Obrzucił wzrokiem jej sylwetkę. Zapewne ma grubsze nogi i kostki niż Elizabeth, choć trudno mieć pewność. Jest mocniej zbudowana, o bujnych piersiach i udach: widział jej wspaniałe barki, nie szerokie, lecz silne, ponętnie krągłe, podkreślane teraz przez światło świec. Pyszna kobieta...

Wziął się w garść, wrócił na ziemię, uśmiechał się do lady Harriet, rozmawiał z nią z szacunkiem. Skąd się wziął ten nagły pociąg erotyczny? To nie w jego stylu. Powinien postępować ostrożnie, z umiarem. Czy wywołała to pokusa związana z córką tych przeklętych Poldarków?

A może – czy tego nie zauważył? – dziś wieczorem lady Harriet odnosi się do niego milej, a przynajmniej z mniejszą rezerwą niż w Kornwalii? Naturalnie spotkali się po raz pierwszy od

chwili, gdy odkupił jej klacz i gdy wymienili kilka listów. Nie tylko ten gest, lecz również wcześniejsze spojrzenia George'a sprawiały, że jego intencje były oczywiste. Miała czas – mnóstwo czasu – by wszystko przemyśleć, zastanowić się nad perspektywami związanymi z jego propozycją. Wydawało się, że nie uznała ich za nieprzyjemne. Myśl o małżeństwie z wnukiem kowala najwyraźniej nie budziła w niej odrazy. Również on sam, George Warleggan, mógł jej się w jakiś sposób podobać. Ta myśl sprawiła mu satysfakcję. Ale co z księciem?

– Lady Harriet, czy na przyjęciu jest pani brat, książę?

– Miał przybyć, ale toczą się zakulisowe rozmowy i musiał się w nie zaangażować. Nie jest urodzonym politykiem jak mój ojciec, lecz wplątał się w te sprawy. Dlatego przyszedłem z bratową. Na tym przyjęciu bardzo brakuje mężczyzn.

Do lady Harriet odezwała się inna dama i rozmowa przybrała charakter ogólny. Harriet miała na sobie długą turkusową suknię z jedwabiu z odkrytymi ramionami, a kolia i kolczyki z pewnością były pamiątką rodzinną. George pomyślał, że to jedna z najdziwniejszych cech arystokratów. Byli „zubożali”, „zbankrutowani” albo „przeżywali trudne chwile”, ale zawsze posiadali drogocenne precjoza odziedziczone po krewnych. George nigdy nie był ubogi – ponieważ jego ojciec zaczął zbijać majątek tuż po narodzinach syna – jednak znał ten rodzaj biedy, którą teraz cierpiała lady Harriet. Nie czyniło jej to mniej atrakcyjną.

Nagle druga kobieta i lady Banks się odwróciły, a lady Harriet znów się do niego odezwała.

– Słucham? Co pani powiedziała? – spytał.

– Sir George, jest pan roztargniony w mojej obecności. To grzech, którego nie można wybaczyć.

– Mimo to proszę o wybaczenie. Nie zapomniałem o pani. Co pani powiedziała?

– Powiedziałam, że, jak rozumiem, w zeszłym miesiącu odwiedził pan mojego brata.

– To prawda, lady Harriet.

– I w rozmowie padło moje imię?

– Miałem wielki zaszczyt poznać panią w zeszłym roku w Kornwalii, toteż nie mogłem nie wspomnieć o tak przyjemnym wydarzeniu.

– Miał pan inne interesy do mojego brata?

– Interesy, madame? Nie, żadnych.

Na chwilę przestała spoglądać mu w oczy i rozejrzała się po sali, jednak nie była zainteresowana gośćmi.

– Sir George, mój ojciec nie żyje. Podobnie mój mąż. Brat nie zastępuje mi rodziców, nie działa *in loco parentis*.

– Miło mi to słyszeć.

Na wargach lady Harriet pojawił się lekki, cyniczny uśmiech.

– To wszystko, co na razie mogę powiedzieć, sir George.

- Wszystko?
  - W tej chwili. Spotkajmy się znowu w Kornwalii.
- George oblizwał wargi.
- To może nastąpić za wiele tygodni. Proszę mi pozwolić odwiedzić panią w Londynie.
- Zastanawiała się przez chwilę.
- Zgoda.

### III

– Nie, mieszkam na farmie, w niewielkim majątku, jeśli woli pan go tak ładnie nazywać, z ojcem, matką, bratem i siostrą – powiedziała Clowance. – Większość naszych dochodów pochodzi z kopalni cyny Wheal Grace, nazwanej imieniem mojej babki. Ojciec zajmuje się również bankowością i skutnictwem. Powinniśmy być bogaci, ale ojciec tak często wyjeżdża, że nie jest w stanie wszystkiego dopilnować. Żyjemy wygodnie, choć nie w luksusie.

– Podejrzewam, że pani ojciec jest rzadkim typem radykała, który żyje w zgodzie ze swoimi zasadami – odparł lord Edward. – Wiem, że zgadza się z moim bratem co do większości problemów, z jakimi boryka się kraj. Tak się złożyło, że dzięki urodzeniu uzyskałem dość wysoką pozycję, a brat, oczywiście, jeszcze wyższą. Cóż, pozycja rodzi obowiązki i moim zdaniem Henry nie zamierza się od nich uchylać. Ja również, jako jego młodszy brat. Panno Poldark...

– Tak?

– Przyjdzie pani jutro do nas na herbatę? Chciałbym, by poznała pani moją ciotkę, lady Isabel Fitzmaurice. Moja matka zmarła, gdy miałem dziewięć lat, więc ciotka Isabel ją zastępowała. W soboty około szóstej przyjmuje nielicznych wybranych gości. Naturalnie ja również tam będę.

– To bardzo miło z pana strony, lordzie Edwardzie, ale obawiam się, że nie mogę przyjąć zaproszenia – odpowiedziała Clowance. – Obiecałam pojechać z panią Enys do teatru. Mamy obejrzeć...

– W takim razie może w niedzielę? Wizyta miałaby nieco inny charakter z powodu dnia świątecznego, ale można ją podobnie zaaranżować.

Clowance nerwowo dotknęła ramiączka sukni.

– Lordzie Edwardzie, przed chwilą spotkałam ojca. Nie widziałam go trzy miesiące, ponieważ wyjechał w niebezpiecznej misji państwowej. Uważałby za dziwne, gdybym nagle opuściła dom. Oczywiście powinien pan rozumieć, że nie jestem przyzwyczajona do londyńskiego życia towarzyskiego...

– Naturalnie – odparł nieco sztywno Edward Fitzmaurice. – Doskonale rozumiem.

Doktor Dwight Enys prowadził żywą rozmowę z jasnoookim, przystojnym, niskim mężczyzną, a gdy nadarzyła się okazja, skinął na Rossa i przedstawił swego znajomego jako Humphry’ego Davy’ego. Był to jeden z najwybitniejszych uczonych Anglii, Kornwalijszyk i członek Royal Society, odkrywca podtlenku azotu; jako pierwszy uzyskał w czystej postaci sól i potas. Dwight nawiązał z nim korespondencję przed dziesięcioma laty, po czym kilkakrotnie się spotkali. Davy miał maniery dandysa, co raziło Rossa; mówił bez śladu akcentu kornwalijskiego i przeciągał samogłoski. W końcu przeprosił i odszedł, a dwaj przyjaciele zostali na pewien czas sami. Ross i Dwight niczego przed sobą nie taili (choć Dwight miał jedną tajemnicę ukrywaną przed Rossem od ciemnego grudnia tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku) i całkowicie ufali swojej dyskrecji, więc ich rozmowa była szczerą i otwartą. Najpierw mówili o Portugalii, potem Ross opowiedział przyjacielowi o audiencji u księcia Walii, a Dwight wyjaśnił przyczynę przyjazdu do Londynu.

– Jak na swój wiek król jest obdarzony wielką energią – energią fizyczną. Ale umysł kontrolujący tę energię w smutny sposób się zdegenerował. Jednym z objawów jest prawie całkowita ślepotą. Uważam, że jego szaleństwo to dziedzictwo po przodkach.

– Jak to?

– Może jakaś wada dziedziczna, sięgająca nawet Stuartów? Pojawia się z pokolenia na pokolenie: bóle rąk i nóg, napady dzikiego podniecenia, głęboka melancholia. Symptomy są bardzo podobne, choć mają różne nasilenie. Naturalnie niewielu jego przodków dożyło tak zaawansowanego wieku... To nie tylko medycyna, ale i historia.

– Nie spodziewasz się wyzdrowienia?

– Nie...

– Cóż... musimy stawić temu czoło... Ale to smutny dzień dla Anglii. Regentem zostanie gruby dandys.

– Prowadzi taki tryb życia, że prawdopodobnie nie dożyje starości – rzekł Dwight. – I co potem?

– Królowa Charlotte? Mówią, że ma dobre serce i jest impulsywna. Dużo zależy od tego, za kogo wyjdzie za mąż.

Ktoś grał na fortepianie Broadwooda, lecz muzyki słuchali tylko ci stojący najbliżej. Caroline przeszła szybko przez salę, jej kasztanowe włosy falowały. Pito wino i brandy, towarzystwo coraz bardziej się ożywiało. Elegancko przemykała się między uniesionymi kieliszkami, wielobarwnymi surdutami, nagimi ramionami, spoconymi lokajami noszącymi tace.

– Słyszycie? – spytała. – W całym tym hałasie... Drogi Alexander, choć jest już dość stary, zawsze prosi, by na każdym *soirée* jego żony ktoś zagrał wspaniały utwór. Jaki nosi tytuł? *Cauld Kail in Aberdeen*. Podobno w Szkocji jest to ciągle bardzo popularna pieśń.

Próbowali słuchać.

– Widzisz, Ross? – odezwała się Caroline. – Clowance i lord Edward Fitzmaurice się rozstali. Nie musisz się niczego obawiać, nie ma niebezpieczeństwa, że zostanie skażona.

– Z kim teraz rozmawia?

– Obawiam się, że znowu z arystokratami! To Susan Manchester, jedna z córek księżnej Gordon. Może tym razem ryzyko jest mniejsze?

– Ładna kobieta – zauważył Ross, nie dając się sprowokować.

– Podobnie jak wszystkie córki księżnej. Znakomicie wydała je za mąż. Charlotte, najstarsza, jest księżną Richmond, Susan to księżna Manchester, Louisa została margrabiną Cornwallis, a Georgiana księżną Bedford. Jedyną porażką okazała się Madelina, która zdołała poślubić tylko baroneta.

– Nie ma syna dla Clowance? – spytał Ross.

– Jednego, i do tego kawalera, ale niestety nie ma go tu dziś wieczorem.

Ross przerwał ironiczną wymianę zdań, gdy zauważył ruch koło drzwi.

– Przepraszam, Caroline... Kogo ja widzę... Dość niespodziewany gość... – Urwał i zmarszczył brwi.

– Co się stało?

Ross skinął głową w stronę tęgiego dżentelmena rozmawiającego z księżną Gordon.

– Whitbread. Niedawno przybył. Towarzyszy mu Northumberland... Czy to znaczy, że tworzy się nowy rząd?

– Gdzie jest twój przyjaciel Canning? Powinien wiedzieć.

– Nie przypuszczam, że ktoś coś wie, oprócz tych dwóch panów.

Clowance podeszła do ojca i wzięła go za rękę. Uśmiechnął się do córki.

– W czwartek pojedę z tobą do domu – powiedział.

– Cieszę się.

– Będziemy się ścigać na plaży.

– Może.

– Obiecuję, że zostanę w domu co najmniej tydzień i będę opowiadał bajki Isabelli-Rose.

– Ja też mam ochotę posłuchać bajek.

– Myślałem, że jesteś na to za stara.

– To zależy od bajek.

– Może zamiast tego ty mi coś opowiesz – odparł.

Popatrzyła na ojca.

– Dlaczego to mówisz?

– Kiedy cię tu zobaczyłem, była to dla mnie wielka niespodzianka. Zastanawiałem się, jaka jest przyczyna.

– Kiedyś ci powiem.

- Kiedyś?
- Wkrótce...
- Co sądzisz o lordzie Edwardzie?
- Bardzo... miły. Zaprosił mnie na herbatę.
- Co powiedziałaś?
- Odmówiłam. Dobrze zrobiłam, papo?
- Jeśli chciałaś odmówić, to dobrze.
- Tak... chyba chciałam.

Od tyłu cicho zbliżył się do nich George Canning i Ross przedstawił go Clowance.

Canning wziął Rossa na bok i powiedział:

– To koniec. Rano Spencer Perceval otrzyma dymisję. Nie możemy zrobić nic więcej. Możesz jechać do swojej ukochanej Kornwalii. Perceval niewątpliwie wróci do praktyki prawniczej – zarabia na niej znacznie więcej niż jako premier. Jeśli chodzi o mnie, cóż... nie sprawowałem jak dotąd żadnych funkcji publicznych, więc nie odczuję wielkiej straty, choć będę atakował nowy rząd z większym poczuciem misji... Jestem urodzonym politykiem, Ross, w odróżnieniu od ciebie. Będziesz szczęśliwszy, gdy znajdziesz się z dala od tego wszystkiego.

– Nie szczęśliwszy – odparł Ross. – Postępuję jak zdrajca.

– Więcej złe wiatry. Boginie przeznaczenia będą miały mniej roboty. Może jakoś nauczymy się współżyć z korsykańskim bandytą. Biedny Wellington!

– A także Nelson – dodał Ross. – Nie wspominając o Johnie Moorze i dziesięciu tysiącach żołnierzy.

– Sam nie wiem – rzekł gorzko Canning. – Zginęli, lecz może zdobyli chwałę. To, że walczyli w imię przegranej sprawy, nie powinno mieć znaczenia.

Stali w szerokich dwuskrzydłowych drzwiach pokoju muzycznego i patrzyli na wielki salon. Nastrój gości ledwo dostrzegalnie się zmienił. Kilka minut wcześniej panował taki gwar, że ludzie musieli podnosić głos, by ich usłyszano. Teraz było inaczej. Pojawiły się nowiny. Przynieśli je Whitbread i Northumberland. Goście w dalszym ciągu rozmawiali, ale nie z takim ożywieniem. Zerkano na siebie, obserwowano najważniejsze osobistości – zza wachlarzy, znad krawędzi kieliszków. Whitbread z ożywieniem rozmawiał z dwoma zaprzyjaźnionymi wigami, nieustannie podkreślając swoje słowa ruchami rąk. Czy mówi o rządzie, czy o bitwie? Lady Grenville słuchała lorda Northumberlanda. Nagle podała mu dłoń. Skłonił się. Ruszyła przez salę – nie w stronę pokoju muzycznego, lecz drzwi hotelu. Wydawało się, że zamierza wyjść. Towarzyszył jej Abbot, przewodniczący Izby Gmin. Pośpieszył za nimi lord Holland.

Głośne rozmowy całkowicie zamarły. Zamiast nich słychać było przyciszone głosy. Lord Fitzwilliam podszedł do Whitbreada, który natychmiast odwrócił się w jego stronę i powtórzył swoją historię. Twarz Whitbreada, blada, gdy wszedł do salonu, była teraz zaczerwieniona.

Wydawało się, że nie tylko z powodu gorąca. Księżna Gordon, zaniepokojona, że jej *soirée* zakończy się fiaskiem, zadała pytanie barczystemu, hałaśliwemu lordowi Kensingtonowi, który postawił w klubie Brooks's duże pieniądze w zakładach dotyczących zmiany rządu.

– Wypadli za burtę! – krzyknął. – Na Boga, są za burtą!

Miało się wrażenie, że jego krzyk w jakiś sposób rozładował napięcie. Jeszcze więcej gości skupiło się wokół Whitbreada, by wysłuchać jego relacji. Whitbread gniewnie pokręcił głową i ruszył w stronę wyjścia. Przybył na *soirée* z różnych powodów, lecz na pewno nie po to, by plotkować.

Robert Plumer Ward nagle odłączył się od grupki otaczającej Northumberlanda i ruszył w kierunku Canninga. Plumer Ward był sympatycznym mężczyzną, zaprzyjaźnionym ze wszystkimi, i bardzo lubił znać wszystkie sekretne nowinki.

– No i co? – spytał nerwowo Canning, gdy Plumer Ward się zbliżył. – Co to wszystko znaczy? Wielka niespodzianka? Perceval musi już wiedzieć, co go czeka.

– Wypadli za burtę – rzekł Plumer Ward. – Są za burtą. Możesz w to uwierzyć? Po tych wszystkich awanturach... To wiadomość z pierwszej ręki, więc na pewno nie doszło do pomyłki. Według Northumberlanda on, Grey, Grenville, Whitbread i reszta ich zwolenników naradzali się na Park Street, gdy nagle pojawił się William Adam, z wiadomością, jak powiedział. Lordowie Grey i Grenville we właściwy sobie świątoszkowaty sposób kazali poinformować Adama, że nie mogą go w tej chwili przyjąć. Adam odpowiedział, że przynosi wiadomość od księcia Walii. Lordowie Grey i Grenville oświadczyli, że nie wolno im przeszkadzać, ponieważ pracują właśnie dla księcia Walii, tworząc nowy rząd, który będzie pierwszym gabinetem regencji. Adam przekazał wtedy wiadomość, że niepotrzebnie się trudzą, ponieważ książę zdecydował, że nie należy tworzyć nowego rządu. Postanowił w dalszym ciągu współpracować z ministrami ojca! Co panowie o tym sądzą, he? Co panowie o tym sądzą?!

Zapadło milczenie.

– Czy to znaczy... – zaczął Ross.

– To z pewnością nieprawda! – szepnął Canning. – Kłamstwo szerzone po to, by nas oszukać!

– W jakim celu? Kto by na tym skorzystał?

– Przecież książę od trzydziestu lat jest zagorzałym, zadeklarowanym wigiem...

– Mimo wszystkich swoich ekscesów książę nie jest głupcem – rzekł Plumer Ward. – W ciągu ostatnich tygodni musiał się zastanawiać. Kto wie, o czym myślał? Może... może doszedł do wniosku, że istnieje ogromna różnica między zasiadaniem na tronie a rolą niezadowolonego następcy?

– Nie wierzę w to – powiedział Canning. – Chyba że... dopóki...

– Podobno Grey i Grenville ubiegają się w tej chwili o audiencję – ciągnął Plumer Ward. – Ale jeśli książę się zdecydował, nic to nie da.



- To znaczy... – zaczął Ross i urwał.
- To znaczy... to może znaczyć, że nasza sprawa nie jest całkowicie przegrana – dokończył Canning.

#### IV

- W Tower jest biały lew przywieziony przez sir Edwarda Pellewa – powiedziała lady Harriet Carter. – Zastanawiam się, czy źle się czuje w twierdzy, gdzie więziono połowę skazanych na ścięcie angielskich lwów. Moim zdaniem to oznaka postępu, że ani lord Grenville, ani Perceval nie są narażeni na niebezpieczeństwo uwięzienia w Tower, choć drugi jest ministrem skarbu...
- Tak – odrzekł George. Wyjął chusteczkę i wytarł dłonie.
- Dobrze się pan czuje? Poblądł pan.
- Tak, dobrze się czuję. Jest tu bardzo gorąco.
- Jeśli ta historia jest prawdziwa – powiedziała Harriet – jeśli te pogłoski się potwierdzą, niejeden człowiek straci nadzieję na wysokie stanowisko. Liczy pan na jakieś?
- Słucham? – odparł George. – O co pani pytała?
- Czy ma pan nadzieję na objęcie urzędu? Jest pan zagorzałym wigiem, prawda?
- Tak – odpowiedział George.
- Liczył pan na jakiś urząd?
- Nie, nie liczyłem.
- W takim razie ma pan mało do zyskania lub stracenia. Osobiście nie byłabym zadowolona z posady, która zatrzymywałaby mnie w metropolii, kiedy na prowincji jest tyle pięknych miejsc. Kornwalia mnie przygnębia: jest surowa, szara, wietrzna. Moja ciotka stale podkreśla, że w ciągu roku jest tylko kilka ładnych dni.
- Lady Harriet... – zaczął George i przełknął ślinę.  
Spojrzała na niego wielkimi ciemnymi oczami.
- Proszę tego nie mówić, sir George... Na razie.
- Lady Harriet, zamierzam powiedzieć coś zupełnie innego. Okazuje się, że niespodziewanie powinienem prawie natychmiast opuścić Londyn. Jeśli pani mi wybaczy, muszę wyjechać.
- Wyjechać? Dokąd?
- W interesach.
- To takie ważne?
- Niestety, decyzja księcia Walii ma implikacje nie tylko polityczne. Obawiam... obawiam się, że muszę dopilnować pewnych spraw.
- Spoglądali na siebie dłuższą chwilę.

– Nawet nie odprowadzi mnie pan do szwagierki, która jest w sąsiedniej sali, prawda? – odrzekła chłodno lady Harriet. – Dobranoc, sir George.

– Dobranoc, lady Harriet. Może...

Uśmiechnęła się. Pochylił się nad jej dłonią. Jego dłoń była gorąca i niepewna, lecz nie z powodu miłości.

Odwrócił się i przepchnął bezceremonialnie w stronę drzwi.

## ***KSIĘGA DRUGA***

## Rozdział pierwszy

### I

Jeremy Poldark był sympatycznym młodym człowiekiem dorastającym w wygodnym domu rodzinnym, gdzie swobodne maniery skrywały głębokie uczucia, a kłótnie prawie zawsze kończyły się śmiechem. W rezultacie jak dotychczas nie ujawniał głębokich emocji, które mogły w nim drzemać. Chociaż rodzice poczęli go w chwili, gdy ojciec oczekiwał na proces, w którym mógł otrzymać wyrok śmierci, a urodził się w okresie ogromnych kłopotów finansowych, nie odziedziczył mrocznego, radykalnego pesymizmu Rossa ani impulsywnej witalności Demelzy. Może bardziej niż inni członkowie rodziny miał prawdziwe celtyckie poczucie *laissez-faire*.

Nienawidził okrucieństwa wobec zwierząt i zaniedbywania ich. Oprócz talentu do rysowania miał jedno szczególne zainteresowanie.

Zainteresowanie to narodziło się, gdy miał dziesięć i pół roku. Rankiem dwudziestego ósmego grudnia tysiąc osiemset pierwszego roku Jeremy pojechał z ojcem na nowym kucu, którego dostał na Boże Narodzenie, z wizytą do lorda de Dunstanville'a w Tehidy. Ojciec był współnikiem Banku Kornwalijskiego, w którym głównym udziałowcem był lord de Dunstanville; w przedsięwzięciu uczestniczyli również pan Stackhouse, Harris Pascoe i Davies Giddy.

Jeremy pierwszy raz jechał z ojcem tak daleko i był z siebie bardzo dumny. Miał na sobie brązowy strój do jazdy konnej, prezent na Boże Narodzenie, oraz trójgraniasty kapelusz ze sznurkiem pod brodą, by nie porwały go podmuchy silnego wiatru. Był piękny, słoneczny dzień. Z północnego zachodu w stronę Francji sunęły fale obłoków. Słońce, niczym roztargniony malarz, zabarwiało wszystko kolorami. Kiedy dżentelmeni udali się do salonu, by porozmawiać, lady de Dunstanville przeszła na taras ze swoją córką Frances i panem Giddy, który nie przybył w sprawach związanych z bankowością. Rozmawiali, śmiali się i spoglądali wyczekująco w stronę bramy. Frances Basset, niezbyt ładna, lecz miła dziewczyna w wieku dziewiętnastu lat, wyjaśniła Jeremy'emu, na co czekają.

Młody inżynier pracujący w jednej z kopalni w Camborne, niejaki Trevithick, wymyślił dziwaczne urządzenie o nazwie wysokoprężna maszyna parowa. Następnie dorobił koła do jednej z owych maszyn, których głównym przeznaczeniem było wypompowywanie wody z kopalni, i twierdził, że może ona jeździć po drogach!

Wszyscy byli sceptyczni. Wiedzieli, że jedyny środek transportu drogowego to czworonożne zwierzęta pozostawiające nieregularne ślady kopyt. Dlatego większość twierdziła, że nawet gdyby dziwaczne urządzenie zaprojektowane przez Trevithicka mogło się poruszać, przyczepność kół do powierzchni drogi nie byłaby wystarczająca. Koła obracałyby się w miejscu. Zresztą powątpiewano, czy w ogóle by się obracały.

W towarzystwie wybitnych osobistości, wśród których w tej chwili znalazł się młody Jeremy, wierzono w umiejętności Trevithicka nieco bardziej, ponieważ pan Giddy od początku zachęcał młodego inżyniera do pracy nad wynalazkiem. Poza tym na miejscu była lady de Dunstanville, która osobiście poruszała miechami, gdy jeden z modeli jeździł po salonie.

Wszyscy zatem czekali na tarasie, ponieważ Trevithick obiecał, że tego dnia rozpali ogień pod kotłem i przejedzie maszyną pięć kilometrów z Camborne Church Town do Tehidy, gdzie będą mogli ją podziwiać pan Giddy oraz lord i lady de Dunstanville'owie.

Kiedy mijał czas i nie pojawiło się żadne cudaczne urządzenie, wszyscy zgodzili się ze smutkiem, że istnieje wielka różnica między półmetrowym modelem a prawdziwym pojazdem o wysokości przeszło trzech metrów. Lord de Dunstanville, kapitan Poldark i inni goście po zakończeniu spotkania również wyszli na taras, po czym uznano, że eksperyment zakończył się fiaskiem. Kapitana Poldarka zaproszono na obiad, lecz odmówił, twierdząc, że w domu czeka na niego żona. Z uśmiechem poklepał Jeremy'ego po ramieniu, a następnie, po wypiciu kieliszka madery, odjechali w stronę bramy.

Kuc Jeremy'ego był ożywiony po odpoczynku i chociaż młody człowiek próbował rozmawiać z ojcem i zrelacjonować to, co mu powiedziano, stale wyprzedzał go o kilka kroków. Kiedy przejechali półtora kilometra od bramy dworu, ich oczom ukazał się widok, którego Jeremy nigdy nie zapomniał.

Coś sunęło w ich stronę po nierównym gościńcu. Przypominało poruszającego się na kołach konika polnego z wysoko uniesionym pyszczkiem, z którego od czasu do czasu buchały kłęby dymu. Pojazd miał cztery koła, lecz w jego wnętrzu obracało się wiele innych kół, niektóre zębate, inne gładkie. Trząśł się, terkotał i sapał; z każdego połączenia znajdujących się w nim rurki wylatywała para lub obłoczki dymu. Najdziwniejsze było to, że na machinie znajdowało się kilkunastu usmolonych mężczyzn niezwracających uwagi na gorąco i niebezpieczeństwo, a kilkudziesięciu podążało z tyłu. Wszyscy darli się na całe gardło.

Hałas był tak straszliwy, że Ross musiał zsiąść i trzymać za uzdy swojego konia i kuca Jeremy'ego, czekając, aż procesja ich minie. Wielu pasażerów pojazdu machało do nich rękami, w tym wysoki, gruby wynalazca oraz jego pomocnik Andrew Vivian. Jeremy siedział na kucu jak skamieniały. Nigdy nie wyobrażał sobie podobnej maszyny. Miał wrażenie, że widzi nowy świat.

Poldarkowie niedawno minęli gospodę. Po jakimś czasie Ross zajął miejsce w siodle i wraz

z Jeremym spoglądał na odjeżdżającą maszynę, która terkotała, brzęczała i wyrzucała z siebie obłoki dymu i pary. Przed gospodą pojazd stanął z głośnym zgrzytem, po czym mężczyźni zeskoczyli na ziemię i weszli do budynku. Po kilku minutach na drodze widać było tylko syczącą i dymiącą maszynę.

Ross ściągnął wodze.

– A więc im się udało. Wielkie osiągnięcie. Jedźmy.

– Papo, moglibyśmy zawrócić i popatrzeć...

– Jeśli to naprawdę sukces, zobaczymy ten pojazd znowu. Możesz się nie obawiać.

Ruszyli do domu, a tymczasem na niebie zebrały się zimowe chmury. Jednak nigdy więcej nie zobaczyli maszyny Trevithicka. W gospodzie podawano znakomitą pieczoną gęś i przednie piwo, toteż hałaśliwa kompania postanowiła zjeść posiłek przed podróżą do Tehidy. Nikt nie pamiętał, że należy wygasić ogień pod kotłem maszyny. Woda wyparowała, kocioł rozżarzył się do czerwoności i drewniany szkielet urządzenia zajął się ogniem. W końcu do drzwi gospody podbiegł jakiś człowiek i zaczął walić pięścią w drzwi. Konstruktorzy i towarzysząca im kompania wypadli na dwór, po czym zobaczyli, że wspaniały pojazd doszczętnie spłonął. Zostało z niego tylko poskręcane żelastwo, kilka przekrzywionych kół i stos żarzących się węgla.

## II

Ross nie chciał się zatrzymać między innymi dlatego, że między nim a Trevithickiem doszło do niewielkich animozji. Kiedy Trevithick miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, wraz z pomocnikiem o nazwisku Bull zbudował maszynę parową dla kopalni Wheal Grace, lecz w późniejszych latach nie pojawił się w Namparze, by ją konserwować. Dwaj inżynierowie w końcu się rozstali, a Ross skorzystał z pomocy Bulla, który okazał się bardziej wiarygodny. Trevithickowi nie przypadło to do gustu, co powiedział bez ogródek. Po śmierci Bulla Ross radził sobie z pomocą Henshawe'a i miejscowych rzemieślników. Nie miał pretensji do Trevithicka za jego uwagi, ale ponieważ później nigdy więcej się nie spotkali, czuł się trochę zażenowany na myśl, że miałby zeskoczyć z konia i gratulować mu nowego osiągnięcia.

Inaczej zareagował Jeremy. Przez wiele dni nie myślał o niczym innym. Dziwna machina, którą zobaczył, nie była dla niego tylko konstrukcją złożoną ze śrub, cylindrów, tłoków i kół zębatych. Wydawała się żywą istotą, równie żywą jak koń albo człowiek. Miała osobowość, kapryśny charakter, zasługiwała na indywidualne, zaszczytne imię. Dowiedział się, że aby ją uruchomić, należy rozpaścić ogień pod kotłem i sypać węgiel. Wtedy zaczyna kipieć i syczeć woda, wszystkie skomplikowane przeguby ożywają, pojawia się cud życia. Sam sposób poruszania się maszyny, która kolebała się w obie strony, sprawiał, że wyglądała, jakby

usiłowała chodzić. Para wydobywająca się ze szczelin i przegubów kojarzyła się z potem lub smoczym oddechem. Pojazd toczył się po drodze niczym żywa istota kierująca własnymi ruchami.

Wszystko to zapierało dech w piersiach. Jeremy ujrzał wizję przyszłości.

Później starannie przeglądał „Sherborne Mercury”, szukając wzmianek o swoim bohaterze, lecz Trevithick często przebywał poza Kornwalią i rzadko ją odwiedzał. Wiadomość o praktycznym zastosowaniu jego nowej zabawki nadeszła z Walii, gdzie Trevithick skonstruował lokomotywę jeżdżącą po szynach. Wielki wynalazca James Watt, zbliżający się do siedemdziesiątki, przewidywał katastrofę, ponieważ sam w dalszym ciągu budował maszyny parowe, w których ciśnienie wewnątrz kotła nie przekraczało dwóch atmosfer. Natomiast Trevithick budował kotły, w których panowało ciśnienie przeszło czterech atmosfer, mówił wręcz o siedmiu atmosferach! Watt przewidywał, że prędzej czy później nastąpi eksplozja, która spowoduje wiele ofiar śmiertelnych. Wystarczy przylutować pokrywkę do garnka pełnego wody i postawić go na ogniu. Zawory bezpieczeństwa to za mało.

Jeremy poznał Trevithicka dopiero siedem lat później, w czasie swojej pierwszej wizyty w Londynie z rodzicami. W owym czasie Trevithick, który wcześniej, w tysiąc osiemset trzecim roku, skonstruował wóz pożarniczy jeżdżący po ulicach Londynu z brzękiem i posapywaniem, wraz z kilkoma przyjaciółmi otoczył palisadą pole na północ od Londynu między Upper Gower Street a Bedford Nurseries, po czym ułożył za ogrodzeniem tor kolejowy w kształcie koła. Reklamował w ten sposób zbudowaną przez siebie lokomotywę noszącą nazwę Spróbujcie Mnie Złapać! i pobierał szylinga za możliwość jej obejrzenia – najbardziej nieustraszeni śmiałkowie mogli za darmo przejechać się przyczepionym do niej, chybotliwym wagonikiem. Był to pokaz obliczony na przyciągnięcie uwagi opinii publicznej.

Ross był wtedy bardzo zajęty, ponieważ miał zamiar – lub przynajmniej nadzieję – wygłosić jedną ze swoich rzadkich mów parlamentarnych, tym razem na temat reformy Izby Gmin, ale Jeremy tak bardzo nalegał, że ojciec zgodził się obejrzeć lokomotywę. Demelza, zawsze zafascynowana nowinkami, miała równie wielką ochotę pojechać, więc spędzili tam cały ranek, po czym wszyscy odbyli przejażdżkę z prędkością prawie dwudziestu kilometrów na godzinę. Trevithick przypadkiem znajdował się na miejscu i powitał ich jak drogich przyjaciół – tak daleko od Kornwalii rzeczywiście się nimi wydawali. Zapomniawszy o dawnych animozjach, z nieskończoną cierpliwością tłumaczył siedemnastoletniemu Jeremy’emu, jak działa maszyna.

Jednak w tym czasie, jak przewidywał Watt, doszło do kilku śmiertelnych wypadków. W Greenwich eksplodował jeden z kotłów, zabijając czterech ludzi i raniąc wielu innych. Rankiem, gdy odwiedzili kolejkę Trevithicka, było tam zaledwie dwunastu gości i tylko dwie osoby zdecydowały się na przejażdżkę. Przed odejściem Ross oznajmił:

– To wspaniały wynalazek, ale nie chciałbym, aby mój syn lub brat uczestniczyli

w podobnych eksperymentach.

– Pan Trevithick mówi, że wszystkie jego kotły są w tej chwili wyposażone w dwa zawory bezpieczeństwa zamiast jednego – zauważył Jeremy.

– Sama nie wiem, czy chciałabym jeździć takimi pojazdami – powiedziała Demelza. – Chyba galopowałam szybciej na koniu, jazda tym wagonikiem nie wydaje się wcale szybka. Na koniu człowiek przynajmniej się nie boi, że odpadnie koło!

– Pan Trevithick mówi, że z powodu wojny brakuje koni – rzekł Jeremy. – Uważa, że pojazdy parowe mają wielką przyszłość.

– Możliwe – odparł Ross. – Ale moim zdaniem nie nadszedł jeszcze właściwy czas. Myślę, że ludzie nie będą chcieć takich pojazdów.

Jeremy westchnął. Nawet ojciec, taki inteligentny i mądry, nie rozumie hipnotyzującego potencjału nowego wynalazku. Jeremy, choć teraz znacznie starszy, znów poczuł, że we wnętrzu dymiącego potwora otoczonego kłębamii pary kryje się życie. Nie była to po prostu machina zbudowana przez człowieka. Człowiek tworzy coś nowego, istotę mającą służyć ludziom, lecz obdarzoną kapryśną, indywidualną naturą. Żadne dwie maszyny parowe nie są do siebie podobne.

Zastanawiał się nawet, czy Trevithick myśli tak samo, odczuwa podobną fascynację. Tak czy inaczej, w następnych latach okazało się, że ojciec miał rację. Niezależnie od możliwości wynalazku na razie nikt nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany jego wykorzystaniem. Eksperymenty Trevithicka straciły impet. Kiedy Jeremy ostatni raz o nim słyszał – w tysiąc osiemset dziesiątym roku, tuż przed wyłowieniem z morza Stephena Carringtona – wynalazca chorował, tonął w długach i myślał o powrocie do Kornwalii.

Tymczasem Jeremy'ego interesowała inna sprawa. Stephen opuścił Namparę dwudziestego stycznia, po czym zamieszkał w izbie wynajętej od Nanfanów w pobliżu kościoła w Sawle. Po kilku dniach przyszedł do Jeremy'ego z propozycją.

Oznajmił – przyznał to bez odrobiny wstydu – że opowieść o tym, że jest drobnym kupcem handlującym między Bristolem a Irlandią, nie jest prawdziwa. W istocie pływał na okręcie korsarskim, który zatopili Francuzi, ale później, znalazłszy się we dworze kulturalnych, szanowanych ludzi, pod opieką pani Poldark i panny Poldark, wstydził się do tego przyznać. Służba na statku korsarskim nie jest niczym nielegalnym, ale nie wiedział, jak potraktują to Poldarkowie. Oznajmił, że wyznał już prawdę pannie Poldark, lecz nie pani Poldark.

To nie wszystko. Statek korsarski, o nazwie „Unique”, przed zatopieniem zdołał zdobyć niewielki lugier z kilkoma beczkami brandy na pokładzie. Kapitan Fraser uznał, że nie jest to dostatecznie wielki łup, by wysłać go do Anglii, więc pozostawił statek w Tresco na wyspach Scilly, by zabrać go w drodze powrotnej z innymi przyzami, które uda mu się zdobyć. Zamiast tego natknął się na francuski okręt wojenny. Przeżył tylko Stephen i chciałby odebrać lugier. Czy



Jeremy może pomóc?

– Chcesz, żebym cię zabrał na wyspy Scilly? – spytał Jeremy.

– Tak. Uratowałeś mi życie dzięki swojemu ładnemu, małemu gigowi. Gdybyś teraz mi pomógł poprawić finanse, byłoby to bardzo miłe i szlachetne z twojej strony.

– Masz papiery? Mógłbyś odzyskać lugier?

– Nie, nie mam żadnych dokumentów. Statku pilnują dwaj bracia Hoskinowie, starsi ludzie. Kapitan Fraser wcześniej robił z nimi interesy i ja też będę korzystał z ich pomocy, jeśli przeżyję. To normalny handel.

Siedzieli na łóżku Jeremy'ego w jego pokoju w Namparze. Stephen przyszedł, by się dowiedzieć, czy są jakieś wiadomości od panny Clowance albo o niej, ale nie zastał Demelzy, bo udała się do Sawle. Jeremy zajmował się na dziedzińcu chorym cielęciem. Do domu zapędziła ich burza gradowa. Na parterze hałasowały Isabella-Rose i Sophie Enys, więc Stephen poprosił o chwilę rozmowy na osobności.

– Jakiej załogi potrzebujesz, by doprowadzić lugier do Anglii? – spytał Jeremy.

– Dwóch ludzi. Lepiej trzech, ale dam sobie radę z dwoma.

– „Nampara Girl” też wymaga dwóch ludzi. To znaczy, że potrzeba czterech.

– Na to wygląda. Myślałem, że Paul Kellow miałby ochotę popłynąć. I może ten drugi, który mnie wyłowił. Ben Carter, prawda?

Jeremy się zawahał. Wiedział, że Ben nie przepada za Stephenem Carringtonem. Przyczyna była oczywista: Stephen zalecał się do Clowance, a jeśli Jeremy się nie mylił, Clowance czuła sympatię do Stephena. Ben, choć sam nie miał wielkich nadziei, nie mógł nie czuć zazdrości.

Stephen źle zrozumiał wahanie Jeremy'ego.

– Dobrze ci zapłacę za pomoc. Lugier zbudowano we Francji, ale moim zdaniem w każdej chwili można go sprzedać za osiemdziesiąt funtów. Poza tym jest jeszcze ładunek.

– Och... – Jeremy machnął ręką na znak, że to bez znaczenia. Wstał. – Nie o to chodzi. Chętnie pomogę... Kiedy zamierzasz popłynąć?

– Im szybciej, tym lepiej. Nie ufam Hoskinom, nie wytrzymają dłużej niż trzy miesiące. Miałyby udział w zyskach z brandy. Co o tym myślisz?

– Myślę, że pozostali dwaj też chcieliby coś zarobić – odparł Jeremy. – Ale to może poczekać.

– Mam nadzieję, że nie za długo – rzekł Stephen i wybuchnął śmiechem.

Jeremy spojrział na kulki gradu odbijające się od parapetu. Zbierały się na skraju, tworząc cienką linię, i topiły się.

– Musiałbym powiedzieć matce.

– Naturalnie. Jak uważasz. Mogłaby się sprzeciwić?

– To nie kwestia sprzeciwu, Stephenie. Nie mogę wyjechać z domu na jeden lub dwa dni, nic nikomu nie mówiąc. W naszej rodzinie tak się nie robi. Matka nie miałaby nic przeciwko

wyspom Scilly.

– Twój ojciec wrócił bezpiecznie do Anglii?

– Tak, dzięki Bogu. Dowiedzieliśmy się dziś rano. Matka pojechała powiedzieć o tym kilku przyjaciółom.

– W takim razie może trzeba porozmawiać z nią, kiedy wróci?

– Dlaczego? – Jeremy był szczerze zdziwiony.

Stephen znów się roześmiał i poklepał go po plecach.

– Szczęściarz z ciebie – oznajmił. Kiedy Jeremy się odwrócił, dodał: – Mieć taką matkę, taki dom. Żadnych konfliktów, sporów... Zawsze tak było?

– Nie... nie zawsze.

– Po powrocie twojego ojca jest lepiej?

– Tak, o tak. Tak myślę... Wtedy jesteśmy kompletną rodziną.

– Nie zawsze tak było? – dopytywał Stephen.

– Pamiętam, że gdy byłem mały, czasem czułem się... rozdarty. Targany namiętnościami i emocjami. Nie rozumiałem ich, ale potrafiłem je wyczuć. Moi rodzice nigdy się nie kłócą, nigdy sobie nie dokuczają, jak to się często dzieje w innych domach. Mają odmienne zdanie, tylko jeśli chodzi o coś ważnego. Naprawdę ważnego.

Stephen wziął kapelusz.

– Bardzo chciałbym poznać kapitana Poldarka. Ale ufam, że... wcześniej popłyniemy?

– Chyba tak – odparł Jeremy.

### III

Wieczorem powiedział matce. Uśmiechnęła się olśniewająco.

– Naprawdę chcesz popłynąć?

– Tak myślę.

– Co to jest statek korsarski, Jeremy? Nie jestem pewna.

– Statek należący do kilku prywatnych inwestorów... W czasie wojny otrzymuje... zdaje się, że to się nazywa list kaperski... Może atakować statki innego kraju, z którym prowadzi się wojnę.

– Zastanawiam się, co powie twój ojciec.

– O korsarstwie?

– Tak. I o Stephenie. Jest wyjątkowo czarujący, ale wiem, że nie powiedział nam prawdy.

– Jak to?

– Zanim go wyłowięś, przez dwa tygodnie nie było sztormu.

– To było dawno i nie pamiętam pogody. A ty pamiętasz? Ledwo sobie przypominam, jaka była wczoraj.

Demelza naląła sobie kieliszek porto. Wpadła w wesoły, beztroski nastrój.

– Pisz, że musi spędzić jeszcze kilka dni w Londynie – mam na myśli twojego ojca – ale postara się jak najszybciej wrócić. Ciekawe, czy spotka Clowance. Nie wiedzą, że bezpiecznie wrócił do Anglii, bo nie zatrzymał się tam, gdzie zwykle. Mieszka u pana Canninga. Czy Canning ma żonę? Mam nadzieję, że Clowance i twój ojciec ją poznają. Niestety, mogą się minąć po drodze. Chwała Bogu, że Ross jest znowu w kraju. Stale się o niego martwię. Nie umiem się uwolnić od lęku. Słyszałam o człowieku, który przeżył największe niebezpieczeństwa, a potem poślizgnął się na skórce banana.

– Matko... – zaczął Jeremy.

– Tak, kochany?

– Czy wysłałaś Clowance, bo...

– Nie wysłałam Clowance – odparła Demelza. – Sama pojechała.

– To do niej niepodobne.

– Tak, niepodobne. Ale ludzie często robią rzeczy, które są do nich niepodobne. Zastanawiam się, co to znaczy być wiernym samemu sobie. Nigdy nie wiem. Czasami są we mnie trzy osoby i każda chce czegoś innego. Która jest naprawdę mną? Jaki jesteś w środku, Jeremy? Taki, na jakiego wyglądasz? Nigdy nie wiem. Czasem martwisz się o ojca. Czy masz jakieś plany życiowe?

– Może.

– Naprawdę? Wiesz jakie?

– Niezupełnie. Nie jestem pewien... Czy sprawiamy ci kłopoty, mamo?

– Tylko troszeczkę. Bardzo niewielkie kłopoty. O Boże, właśnie na tym polega posiadanie dzieci! Jeśli chodzi o Clowance, musisz jej pozwolić na kaprysy. Dorasta.

– Wszyscy dorastamy.

– Niestety.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego niestety?

– Myślę, że wszyscy wyrosliście. Jak malwy, nim pojawia się rdza.

– Cóż, dziękuję, mamo. Twoje komplementy są wspaniałe.

Płomyki świec zadrżały, gdy w drzwiach pojawiła się głowa pani Kemp.

– Isabella-Rose chce iść spać, pani. Czeka, by powiedzieć dobranoc.

– Bardzo dobrze, pani Kemp. Dziękuję, pani Kemp. Proszę jej powiedzieć, że przybiegnę, gdy tylko będę mogła. Za jakieś półtorej minuty.

Pani Kemp zamrugała, słysząc potok słów, po czym wyszła. Demelza dopiła porto, wyciągnęła dłoń w stronę ognia i poruszyła palcami.

– Mam ochotę zagrać na szpinecie. Mam wielką ochotę zagrać na szpinecie. Oczywiście jeśli Bella go nie zniszczyła. Moim zdaniem potrzebujemy nowego instrumentu, Jeremy, wiesz? Poproszę ojca, gdy wróci do domu.

– O nowy szpinet?

– Nie, fortepian. Ma piękniejszy dźwięk. Muzyka cichnie i potężnieje. Stary szpinet, choć go kocham, jest już zużyty.

– Bella byłaby zachwycona, gdyby mogła grać na fortepianie.

– Powinna przestać walić w klawisze. Pani Kemp uważa, że w ogóle nie ma talentu muzycznego... Styczeń to nie pora na żeglowanie po morzu, Jeremy. Czy ten rejs nie może poczekać na lepszą pogodę?

– Stephen mówi, że nie.

– Nie polegaj na nim za bardzo, kochany.

– Na Stephenie? Dlaczego przypuszczasz, że na nim polegam?

– Po prostu miałam ochotę to powiedzieć. Nie zwracaj uwagi.

– Zawsze zwracam uwagę na to, co mówisz. Zwłaszcza gdy za dużo wypijesz.

– Co takiego?!

– Przepraszam, mam. Nie chciałem cię urazić. Mam poczucie, że bardzo często miewasz rację. Jest w tym coś nadprzyrodzonego.

– Cóż... staram się za szybko nie osądzać ludzi. Moim zdaniem zawsze należy zachować ostrożność. Wszystko sprawdzić, przekonać się, że się zgadza. Wtedy człowiek nie przeżywa niespodzianek – przyjemnych albo nieprzyjemnych.

Jeremy poruszył butem jedno z polan w kominku.

– Jeśli Paul będzie mógł opuścić dom, chyba powinniśmy wypłynąć około środy, pod warunkiem że będzie znośna pogoda i że mi pozwolisz. Chciałbym wrócić przed przyjazdem ojca.

– Skoro musisz płynąć, płyn teraz – odpowiedziała Demelza. – Hura! Ja też miałabym ochotę na przygodę!

## Rozdział drugi

### I

Wypłynęli w środę o świcie. Paul Kellow mógł wziąć udział w wyprawie, a po pewnym wahaniu zgodził się również Ben Carter. Demelza czasami mawiała, że w Kornwalii prawdziwa zima niekiedy zaczyna się osiemnastego stycznia, lecz w tym roku, z wyjątkiem porywistych wiatrów wiejących od czasu do czasu i opadów gradu, nie nadeszły takie mrozy jak w środkowej Anglii. Stale napływało powietrze z północnego zachodu, co zapobiegało mrozom; pojawiły się pierwiosnki i przebiśniegi.

Chociaż morze było wzburzone, trzymali się z dala od skalistego wybrzeża. Kiedy minęli Hell's Mouth i przepłynęli przez ujście rzeki Hayle, Paul Kellow z ironią pomachał rybakom z St Ives. Wypłynęli w morze, a ich łódzie zajmowały całą zatokę, kołysząc się na falach jak mewy. W górze wznosiły się groźne klify zasłonięte obłokami białego pyłu wodnego, dalej widać było piaszczyste plaże Sennen, a jeszcze dalej głębokie wody Land's End.

Jeremy owijał linę wokół knagi przy grotmaszcie. Podszedł do niego Stephen.

– Płynąc w tym tempie, powinniśmy dotrzeć na miejsce przed zmrokiem! – krzyknął. – Jeremy...

– Tak?

– Jeszcze nie ustaliliśmy, jak się podzielimy w drodze powrotnej. Popłyniesz ze mną ługrem?

– Myślałem, że może zrobi to Paul. Czy to ważne?

– Nie, nieważne. Paul musi wrócić najpóźniej w piątek. Nie wiem, jak długo...

– Moim zdaniem dotrzemy do Anglii znacznie wcześniej. Ale mogę zastąpić Paula, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej.

Stephen wsunął do ust ostatni kawałek pasztetu zabranego na pokład.

– Ta brandy to kontrabanda – powiedział, kiedy skończył jeść.

– Oczywiście.

– Przypuszczam, że „Philippe” nie da się bezpiecznie wprowadzić do waszej zatoczki. Poza tym to przyz, a twój ojciec ma wkrótce wrócić do domu. Nie mam pojęcia, jak zareaguje. Przede wszystkim nie chcę sprawiać mu przykrości.

Jeremy zakończył mocowanie liny i pociągnął za nią.

– Co proponujesz?

– Na początku myślałem, że mógłbym zabrać lugier do Bristolu, choć wolałbym pozbyć się ładunku u was. Wątpię, czy ty lub któryś z twoich przyjaciół chcielibyście mi pomóc doprowadzić statek do Bristolu, a potem wracać do domu łodem!

– Przyjąłem, że wszyscy przy płyniemy do Nampary... Cóż, zgadzam się, że w St Ann's niewiele się zarobi.

– Tak właśnie pomyślałem. Mówili mi o tym Nanfanowie. Ale jest jeszcze St Ives, Penzance, Falmouth, Mevagissey.

– W Falmouth mieszka kuzynka mojego ojca – powiedział Jeremy. – To żona emerytowanego kapitana statków pocztowych, który może wiedzieć, kto chciałby kupić przyz... A zatem sugerujesz, że...

– Powinniśmy doprowadzić statek do jednego z portów nad kanałem La Manche. Zajmie to więcej czasu niż dopłynięcie do Nampary. Jeśli będziemy mieć szczęście, sprawę da się załatwić w ciągu kilku dni. Gdybyś chciał wrócić do domu i zostawić mnie w porcie, niewątpliwie dam sobie radę.

Od tyłu nadpłynęła fala większa od poprzednich i mały gig szarpał się i ciskał jak wierzgający koń. Ben Carter poruszył rumplem, by wiatr wiał stale od prawej burty.

– Masz jakieś kontakty na łądzie?! – krzyknął Jeremy. – Nie można nagle zawinąć do portu z dwudziestoma beczkami szmuglowanej brandy.

– Myślałem o Mevagissey – odparł Stephen. – Znam tam kilku ludzi, choćby tylko z imienia, którzy chętnie wezmą towar. Jacy są celnicy w tamtym rejonie?

– Nie mam pojęcia.

– A w St Ann's?

– Niezbyt łatwe miejsce. Mieszka tam celnik nazwiskiem Vercoe. Pilnuje brzegu od lat. Z wiekiem staje się coraz bardziej złośliwy.

– Nie dorabia sobie na boku? Robi to większość celników.

– Nic o tym nie wiem. Oczywiście handel trwa, ale nigdy nie słyszałem, by Vercoe i jego ludzie przymykali na niego oko.

– Cóż... w takim razie rozsądnie jest spróbować w Mevagissey lub w okolicy. Miałbyś na to ochotę?

Tuż przed wczesnie zapadającym zmrokiem dostrzegli wyspy Scilly. Niebo było tylko lekko zachmurzone, a słońce zachodziło dopiero o czwartej pięćdziesiąt, toteż zmierzch trwał długo i zdołali znaleźć drogę między niebezpiecznymi rafami i wysepkami Crow Sound, po czym zacumowali w niewielkiej zatoce przy wyspie Tresco naprzeciwko wyspy Bryher. Z powodu przyływów i odpływów, prądów morskich i burz trudno było tam wprowadzać większe jednostki, ale dla małego stateczku takiego jak „Nampara Girl” niewielka granitowa nisza przy nabrzeżu stanowiła wystarczającą osłonę. Trwał przyływ i szeroki pas wody oddzielający dwie

wyspy wydawał się głęboki i groźny.

– W czasie odpływu przechodziłem na drugą stronę po dnie – powiedział Stephen. – Jesteś w stanie w to uwierzyć? – Odwrócił się. – To mój przyz.

– Och, ładny lugier – zauważył Paul. – Na miejscu kapitana bym się nim zadowolił i nie szukał większej zdobyczy.

– Nasza załoga składała się z ośmiu ludzi – wyjaśnił Stephen. – Po podziale przyzowego na każdego przypadałaby niewielka kwota. Właśnie tak myślał dowódca, niech go Bóg ma w swojej opiece.

– Gdzie mieszkają twoi przyjaciele? – spytał Jeremy.

– W chacie, w której pali się światło. Posłuchajcie: pozwolicie mi iść samemu? Jeśli pojawimy się we czterech pod drzwiami, Hoskinowie mogą wyciągnąć muszkiet, bo pomyślą, że to Francuzi!

Trzej członkowie załogi zacumowali gig na noc, pamiętając o ostrzeżeniu Stephena, że do północy osiadzie na piasku. Następnie zeszli na brzeg i siedzieli na kamiennym nabrzeżu, palili fajki i rozmawiali z mieszkańcami wyspy, którzy wyszli z cienia, chcąc się dowiedzieć, po co nieznajomi przyплыли. Na prośbę Stephena nie ujawniali, że przybyli po lugier. Po jakimś czasie wyspiarze odeszli, a członkowie załogi włożyli kurtki dla ochrony przed zimnym wiatrem. Stephen wrócił po godzinie, niosąc latarnię sztormową.

– Wszystko w porządku. Spędzimy noc u tych sukinsynów i odpłyniemy o świcie. Uważajcie na ziemię, zdaje się, że nadepnąłem na żmiję.

– O tej porze roku nie napotyka się żmij – rzekł Jeremy.

– W porządku, w porządku. – Stephen mówił szorstko, z lekką złością, jakby spotkanie z Hoskinami nie przebiegło zbyt gładko. Wrażenie minęło, gdy dotarli do chaty. W drzwiach stał brudny starzec z siwymi włosami o barwie cyny i obserwował ich podejrzliwie, kiedy jeden po drugim wchodził do izby. W świetle skwierczącej łożówki zauważyli innego starca, który miał na czole narośl wielkości gęsiego jaja i liczył pieniądze. Nikt nie odezwał się do przybyszów. Pierwszy z braci zatrzasnął za nimi drzwi i zamocował je belką. Izba cuchnęła moczem i starym tytoniem. Jeremy doszedł do wniosku, że na pewno są tu pluskwy. Rankiem wszyscy będziemy pogryzieni, pomyślał.

– Cóż, siadajcie, siadajcie – rzekł serdecznie Stephen, odzyskując humor. – Możemy spać w tej izbie, ale nie mają nic do jedzenia. Trudno ich winić, bo się nas nie spodziewali. Zostało nam coś, Ben?

– W tej torbie są dwa bochenki chleba i trochę masła, które nam dała pani Poldark – odpowiedział Carter. – Trzy wędzone sardynki. Jabłko i kawałek sera.

– Dobrze, dobrze. A teraz nas zostawcie, starzy, co? Nie ukradniemy wam domu ani pieniędzy. Obudzimy was przed świtem, żebyście mogli policzyć łyżeczki, nim wyjdziemy. –

Stephen się roześmiał. – Ciepłej tu niż na wietrze. Mam nadzieję, że nie zamarzniecie. W porządku, Nick i Simon, to wszystko.

Mężczyzna z naroślą zawiązał sakiewkę. Zabrzęczały monety.

– Wątpię, czy masz prawo – powiedział.

– Nie przejmuj się, nie przejmuj, wszystko załatwione – odparł Stephen. – Dobranoc, Nick.

Siwowłosa mężczyzna, który wpuścił ich do domu, począł w stronę drugich drzwi.

– Dobra, wszystko ustalone. Na dobre czy na złe, ale ustalone. Chodź, Simon.

Dwaj bracia powoli wyszli. Kiedy opuścili izbę, Simon odezwał się jęklonie:

– Wątpię, czy ma prawo, Nick. Wątpię, czy ma prawo.

## II

Starcy wrócili, gdy na niebie pojawił się ołowianoszary świt. Jeremy i jego towarzysze całą noc drapali się przez sen. Nadszedł odpływ, po którym nastąpił kolejny przypływ, tak że można było odnieść wrażenie, że nic się nie zmieniło. Tylko spostrzegawczy obserwator zauważyłby, że na piaszczystej plaży wodorosty leżą kilkadziesiąt centymetrów wyżej niż poprzedniego wieczoru.

Najpierw odpłynęli Paul Kellow i Ben Carter na pokładzie gigu „Nampara Girl”, a następnie Jeremy i Stephen Carrington na pokładzie lugra „Philippe”, obserwowani przez dwóch ponurych braci Hoskinów, którzy zeszli na nabrzeże, by ich pożegnać.

– Sukinsyny! – rzucił Stephen. – Brakuje dziesięciu baryłek brandy. Pytałem ich, ale nie chcą się do niczego przyznać.

Jeremy nie słuchał. Najbardziej interesowało go to, jak zbudowany we Francji lugier reaguje na żagle i ster. Nie obawiał się o gig, ponieważ prowadził go Ben, najlepszy żeglarz w całej grupie. Dla niego samego doprowadzenie lugra do Anglii było wielkim wyzwaniem, co sprawiło, że natychmiast przystał na propozycję Stephena.

Mniej więcej godzinę po wschodzie słońca niebo się zachmurzyło, a wiatr zmienił kierunek na północno-wschodni i się wzmógł. Był dla nich idealny; wkrótce spadł deszcz i morze nieco się uspokoiło. Niebawem stracili z oczu gig i nie widzieli żadnych innych statków aż do pojawienia się skał Manacles. Później spostrzegli kilka łodzi rybackich z Newlyn, które od czasu do czasu ukazywały się między falami za rufą, gdy wpłynęli do kanału La Manche.

Stephenowi udało się w jakiś sposób wycygnąć kilka jajek od ponurych braci Hoskinów. Ugotowali je przed wyjściem, a teraz zjedli na zimno i popili kapką białej brandy – mieli jej mnóstwo. Lugier reagował na ster ciężiej, niż powinien, i ledwo dawali sobie radę w przybierającym na sile wietrze.

– Kiedy go rozładujemy, wszystko będzie dobrze! – zawołał Stephen. – Modłę się, by to



szybko nastąpiło.

Na wysokości Falmouth spostrzegli brytyjską fregatę, która dała im jakiś sygnał, lecz udali, że go nie widzą. Jeremy wiedział, że powinni wywiesić flagę lub inne oznaczenie narodowości. Jednak wiatr stopniowo zmieniał się w wichurę i było mało prawdopodobne, że ktoś zacznie ich ścigać. W południe chmury prawie dotykały powierzchni morza, muskając szczyty fal. „Philippe” ciężko nurzał się w wodzie i nabierał jej przez rufę. Stephen zmienił kurs, próbując oddalić się od lądu.

Obaj młodzi mężczyźni byli przemoczeni do suchej nitki, a w zęzie między baryłkami brandy wzbierała woda. Stephen gestem nakazał Jeremy’emu zrefować żagle.

– Nie chcę dotrzeć do Mevagissey długo po zmroku! – krzyknął.

– Jeśli szybko tam nie dopłyniemy, nie wiem, czy w ogóle dopłyniemy! – odparł Jeremy.

– Patrzyłem na mapę. – Stephen wyciągnął spod peleryny kawałek mokrego pergaminu, który natychmiast podarł wiatr. Złożył go w niewielki kwadrat, oparł się o rozkołysany maszt i próbował wskazać palcem linię brzegu. – Popatrz tutaj. To przylądek Dodman. Widać go przed dziobem. Musimy go minąć, jeśli chcemy dotrzeć do Mevagissey, a ta wichura wieje prosto w stronę lądu... Wcześniej jest kilka małych zatoczek. Wiesz, czy jest jakieś bezpieczne miejsce, gdzie można rzucić kotwicę?

– Nigdy wcześniej nie pływałem w tej okolicy. Lepiej zmieńmy kurs i spróbujmy się wślizgnąć do Portloe. Byłoby to jakieś schronienie.

– Nie da rady. Lugier za słabo reaguje na ster. Moim zdaniem musimy zaryzykować.

Znajdowali się w innej części wybrzeża niż ta, z której wyruszyli w rejs na wyspy Scilly. Nie było tu ogromnych, przepaścistych klifów opadających do morza. Nad wodą wznosiły się łagodne pagórki pokryte zielonymi polami, lecz żegluga w tym miejscu wiązała się z równie wielkim niebezpieczeństwem, ponieważ podwodne skały mogły rozpruć kadłub każdego statku, który na nie wpadł. Zamiast miecza groził im sztylet.

Przez pewien czas płynęli pod wiatr, zbliżając się do lądu. Widzieli już wyraźnie zatoczki, ale wybór właściwej był loterią. Jeśli wpłyną do miejsca, gdzie znajdują się podwodne skały, nic ich nie uratuje.

Weszli do zatoki. Po lewej stronie znajdowała się duża plaża pokryta w większości piaskiem, w którą uderzały fale. Na sterburcie widzieli mniejszą plażę z głazami, spośród których tryskały fontanny wody. Przed dziobem znajdowały się trzy niewielkie odnogi: żadnego śladu nabrzeża czy mola, zaledwie kilka metrów głębokiej wody częściowo osłoniętej od wiatru. Stephen wybrał trzecią odnogę, wcinającą się najgłębiej w ląd. Jeremy stał przy sterze i starał się omijać wystające głazy, a tymczasem Stephen opuścił grot i żagiel lugrowy. Przez chwilę kołysały nimi fale odbite od brzegu, które zderzały się z przybojem; wydawało się, że tracą kontrolę nad lugrem. Stephen chwycił wiosło i odepchnął ich od skały wystającej z wody na lewej burcie.

Minęli ją i wpłynęli do odnogi.

Mieli szczęście: zobaczyli resztki nabrzeża zniszczonego przez sztormy i upływ czasu, kamienną chatę z dachem z łupku, w połowie zawalonym, oraz kamienistą plażę z kilkoma kosztami do połowu homarów. Lugier podskakiwał i kołysał się na falach, sunął bokiem w stronę nabrzeża. Jeremy wziął drugie wiosło. Rozległ się okropny zgrzyt, gdy burta uderzyła w kamienie; po chwili statek znów zakołysał się na wodzie. Stephen rzucił cumę, spudłował, ponowił próbę i zarzucił pętlę na granitowy słupek. Pociągnął z całych sił i rufa się obróciła. Jeremy wsadził wiosło do wody, wbił je w dno, popchnął. Lugier, ostatnio tak ciężki na otwartym morzu, zachowywał się teraz jak narowisty koń bez jeźdźca. Opadł w dolinę fali, a Jeremy, który stracił równowagę, musiał puścić wiosło i ucześcić się burty, by nie wypaść do wody. Kolejne mocne uderzenie kila w skały, po czym Jeremy zdołał zarzucić na ląd jeszcze jedną cumę. Lugier przybił do nabrzeża, opierając się o korkową matę, którą Stephen zdążył wrzucić między burtę a kamienie.

Carrington zdjął czapkę, otarł z twarzy pianę i krople wody. Bujne, jasne włosy były mokre i przylepione do czaszki.

– Jesteśmy bezpieczni, Jeremy. Chociaż trafiliśmy do piekielnej dziury.

Młody Poldark próbował wyłowić zgubione wiosło różkiem skutniczym. Każda nadpływająca fala przynosiła je zwodniczo blisko, po czym znów odpływało i znajdowało się poza zasięgiem. W końcu jedna z fal rzuciła je w stronę lugra i zdołał pochwycić wiosło. Ociekało wodą i zwisały z niego wodorosty.

– Kiedy nadejdzie przypływ, kadłub osiadzie na dnie.

– Wygląd skał wskazuje, że poziom wody się podniesie. Wątpię, czy te zatoczki kiedykolwiek wysychają.

Przycumowali lugier do zrujnowanego nabrzeża. Nie było idealnym portem, lecz ofiarowało schronienie.

Nagle znaleźli się w zacisznym miejscu, zupełnie innym niż otwarte morze, gdzie w ostatnich godzinach miały nimi fale. W dalszym ciągu wiała wichura, lał deszcz, morze było wzburzone, jednak tutaj panował spokój, nie docierały do nich fale. Otaczały ich niskie drzewa, których gęste konary zapewniały osłonę, skrzypiąc i świszcząc na wietrze. Nie zauważyli żadnej istoty ludzkiej.

Stephen wyskoczył na nabrzeże.

– Musimy poczekać kilka godzin, może dłużej. W nocy będziemy bezpieczniejsi. Nie podobała mi się fregata, którą minęliśmy.

– Nie wydestaniemy się stąd, dopóki wiatr nie ustanie. – Jeremy podążył na brzeg za przyjacielem.

Stephen w zamyśleniu popatrzył na kamienną chatę.

– Nikogo tu nie ma, a jednak ktoś tu czasem przychodzi. Spójrz na te kosze. Na Boga, jestem głodny jak wilk! Nie zostało nic do jedzenia?

– Ani kęsa.

Ruszyli powoli w stronę chaty.

– Gdyby ktoś nam pomógł, byłoby to świetne miejsce do wyładowania brandy, prawda? – odezwał się Stephen. – Ciekawe, jak daleko stąd jest Mevagissey.

– Moim zdaniem jakieś osiem kilometrów.

– Mam niezły pomysł.

Jeremy wiedział już, że nastroje Stephena szybko się zmieniają, że często przychodzi mu do głowy jakaś myśl, którą natychmiast uznaje za świetną.

– O czym mówisz? – spytał ostrożnie.

– Moglibyśmy tu zostać. Jeden z nas zejdzie na brzeg, skontaktuje się z odpowiednimi ludźmi, a potem rozładujemy brandy w tej zatoczce. Wiem, że w Mevagissey działa grupa przemytników, ale jestem pewien, że nie przywożą wszystkich towarów do portu. Może wykorzystują również to miejsce. Gdybyśmy wyładowali tu towar, byłoby to łatwiejsze i bezpieczniejsze; potem łatwiej byłoby wszystko sprzedać. Później wpłyniemy lugrem do portu bez ładunku – niewinny przyrząd przeznaczony na sprzedaż, wszystko uczciwe i legalne. Kto mógłby to zakwestionować?

– Dajmy sobie spokój z brandy, Stephen – rzekł Jeremy. – Ile tego jest: dwadzieścia baryłek? Lugier to nasz przyrząd. Alkohol był w ładowni, gdy go zdobyliśmy. Popłyniemy do Mevagissey, powiedzmy celnikom, co się stało, niech zdecydują, co robić. Toczmy wojnę. Zdobyliśmy francuski przyrząd wraz z ładunkiem. Dostaniesz jedną trzecią ceny, prawda? Czy to o wiele mniej, niż zapłacą przemytnicy? Lugier sprzedaje się za podobną kwotę.

– Czy tam, na wzgórzu, za drzewami, widać chatę? – spytał Stephen. – Tak mi się zdaje. Zobaczmy, czy są w niej jacyś ludzie, którzy mogliby dać nam coś do jedzenia.

Chata nie miała części strzechy, a prowadzącą do niej ścieżkę porastały chwasty i młode drzewa, ale kiedy zapukali, odsunięto płótno zasłaniające okno i popatrzyła na nich stara kobieta. Ujrzeni za nią artretyczną rękę trzymającą garłacz, kołysała się w obie strony. Poprosili o jedzenie i zaproponowali zapłatę. Kiedy Jeremy wyjął srebrną monetę, starzec stojący w głębi opuścił broń i pozwolił im wejść do środka. Usiedli na skrzynkach na podłodze, której nie szorowano piaskiem od roku, śliskiej od mysich bobków. Zjedli z apetytem trochę królika na zimno, wodnisty kapuśniak, cztery nadpsute jabłka i wypili po kieliszku cydru.

Podczas posiłku Stephen zwrócił się do Jeremy'ego:

– Posłuchaj, w ładowni są baryłki, a nie duże beczki. Ile waży jedna baryłka? Dwadzieścia pięć kilogramów. O połowę mniej niż beczka. Baryłki łatwiej sprzedać. Jest ich nie dwadzieścia, tylko czterdzieści osiem. Każda zawiera mniej więcej osiemnaście litrów białej brandy. Po

rozcieńczeniu i zabarwieniu karmelem z jednej baryłki można uzyskać pięćdziesiąt pięć litrów trunku. Nie jestem zbyt dobry w arytmetyce, ale moim zdaniem to w sumie jakieś dwa tysiące sześćset litrów. Przemytnczy sprzedadzą go szynkarzom po cztery szylingi i sześć pensów za litr. Myślę, że powinni nam zapłacić ponad dwa szylingi za litr. Możemy zarobić prawie trzysta funtów. Chcesz zmarnować tyle pieniędzy?

– Nie, wielki durniu! Bardzo by mi się przydał w tej chwili mój udział. Ale po co ryzykować dla dodatkowego zarobku? Lepiej być bezpiecznym.

Stephen czknął.

– Myślę, że i tak jesteśmy bezpieczni, Jeremy. Względnie bezpieczni. Dopóki wieje wiatr, nie odpłyniemy z tej zatoki – sam to powiedziałeś. Mógłbym cię tu zostawić, żebyś pilnował lugra, i zejść na ląd. Ci starzy na pewno wskażą drogę do Mevagissey. Jeśli będę miał szczęście, jeśli spotkam odpowiednich ludzi i uda się sformować karawanę mułów, mógłbym z nimi wrócić. Rozładowaliby statek w ciągu nocy, a my odpłynęlibyśmy przed świtem.

Jeremy potarł dłonią schnące włosy i ziewnął. Dwoje starszków krzątało się gdzieś z tyłu, słyszał ich szuranie, lecz nie wiadomo było, czy coś słyszą. A jeśli nawet, czy rozumieją, o co chodzi? Jeremy widywał takich ludzi w wioskach rozsianych wokół Nampary: starych, bezzębnych, ledwo trzymających się na nogach. Mimo to jakoś udawało im się przeżyć. Żywili się owocami leśnymi, zbierali drewno wyrzucone na brzeg, zebrali i udawało im się uniknąć przeniesienia do przytułku dla ubogich.

– Nie wiem, czy dobrze znasz ludzi zajmujących się przemytem, Stephen – rzekł. – Są podejrzliwi; muszą być podejrzliwi. Już ci o tym mówiłem. Jeśli w wiosce pojawi się obcy, do tego nie Kornwalijczyk, i zacznie szeptać o brandy przywiezionej do pobliskiej zatoczki, dokładnie mu się przyjrzą, nim coś zrobią. Mogą się nawet okazać niebezpieczni. Skąd mają pewność, że nie jesteś agentem celników, którzy chcą wciągnąć ich w pułapkę?

– Znam dwa nazwiska, Stoa i Pengelly. Podał mi je pomocnik bosmana, który już nie żyje, niechaj Bóg ma go w swojej opiece. Mówił, że to ważni przemytnczy i że znają jego nazwisko. To wszystko, co mogę zrobić. Masz lepszy plan?

– Jeśli chcesz sprzedać brandy, uważam, że lepiej najpierw ją wyładować i ukryć w jakichś krzakach – odparł Jeremy. – Wtedy przynajmniej nic nie groziłoby lugrowi, gdyby przypadkiem pojawili się celnicy.

Stephen zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Masz rację, chłopcze, ale jeszcze na to nie pora. Moglibyśmy to zrobić po zmroku. W Kornwalii wszędzie są ciekawe oczy. Sam lugier wygląda niewinnie, niech stoi przy nabrzeżu, nikt nie wie, co jest w ładowni... Która godzina?

Jeremy wyjął zegarek i zbliżył go do ucha, by sprawdzić, czy ciągle tyka.

– Tuż po czwartej.

– A zatem do zmroku została tylko godzina. Jeśli teraz zejść na ląd, dotrę do Mevagissey niedługo po zachodzie słońca. Nie, coś sobie przypominam. Wiem, że przemytnicy nigdy nie pracują przy księżycu, bo to za duże ryzyko. Przy odrobinie szczęścia wrócę o północy z ludźmi, którzy wyładują baryłki! Zostaniesz tutaj? Ci nędzarze z pewnością pozwolą ci się przespać w chacie za drobną monetę.

– Nie. Zostanę w ługrze. Lepiej mieć na niego oko.

– Dobrze. – Stephen wstał. – W takim razie ruszam. Ale najpierw poproś tych starych, by mi powiedzieli, jaka jest najkrótsza droga. Rozumiesz ich, Jeremy? Ja za żadne skarby nie rozumiem.

## *Rozdział trzeci*

### I

Jeremy zdawał sobie sprawę, że Stephen w dużej mierze nie docenia podejrzliwości kornwalijskich rybaków, zwłaszcza zajmujących się kontrabandą. Żyli w zwartej społeczności, zawierali małżeństwa między sobą, toteż prawie wszyscy byli kuzynami i doskonale się znali. Człowiek pochodzący z wioski leżącej pięć kilometrów dalej był uważany za obcego. Czy nieznajomy z innej części Anglii, z portu, o którym połowa z nich nigdy nie słyszała, miał jakieś szanse na zdobycie ich zaufania? Gdyby wielu z rybaków nie było metodystami, zwłoki Stephena Carringtona prawdopodobnie wyrzuciłby na plażę następnego przyływu.

Zabójstwo to grzech, a większość wieśniaków jest z natury raczej dobrodusznymi, więc Stephen mógł się spodziewać pustych spojrzeń, niejasnych obietnic, które nie zostaną dotzymane, odsyłania do innych, udawania głupoty. Wszystko to musiałyby go rozżłościć.

Po wyjściu Stephena Jeremy pozostał w chacie około pół godziny. Usiłował rozmawiać z dwojgiem starych ludzi, lecz posuwało się to powoli. Dowiedział się, że mieszkają w parafii St Michael Caerhays, że miejscowy dziedzic nazywa się Trevanion, że najbliższa wioska to Boswinger, ale kosze do połowu homarów należą do rybaków z Tregavarras i Treveor, którzy trzymają łódź w zrujnowanej chacie koło nabrzeża, lecz teraz wszyscy są chorzy na gardłowe choróbko, więc od tygodnia nie wypływają w morze. Jeremy poprosił o wyjaśnienie, co to za choroba, i doszedł do wniosku, że gardłowe choróbko to po prostu influenza. Spytał, gdzie jest najbliższe miasto i najbliższy gościniec, którym kursują dylizanse. Nie mieli pojęcia. Wspomniał o Grampound, ale nie wiedzieli, w którym kierunku się znajduje. Ich świat kończył się na Mevagissey.

Około piątej trzydzieści opuścił chatę i wrócił do lugra. Deszcz przestał padać, a zachodzące słońce zabarwiło chmury nad łądem na krwistoczerwony kolor. Nad morzem w dalszym ciągu wiał silny wiatr, ale w tej chwili był suchy i nie wydawał się taki zimny.

Jeremy wskoczył do lugra i zszedł pod pokład. Miał przed sobą długie, nużące oczekiwanie, lecz nie zamierzał spać. Przed zapadnięciem zmroku obejrzał statek. Znalazł w szufladzie dokumenty i dziennik okrętowy, żałował, że uczył się w szkole łaciny, a nie francuskiego. Większość brandy znajdowała się w ładowni przed fokmasztem. Na dnie chlupotało sporo wody i miał nadzieję, że kadłub jest cały. Jeśli w poszyciu jest dziura, tłumaczyłoby to ciężkie

zachowanie statku. Byłoby głupio, gdyby Stephenowi udało się sprowadzić karawanę mułów, po czym okazałoby się, że „Philippe” leży na dnie na głębokości dwóch metrów.

Jeremy z rozbawieniem pomyślał, że po zawarciu znajomości ze Stephenem stał się ostrożniejszy. Bristolczyk był święcie przekonany, że wszystko potoczy się zgodnie z jego życzeniami. Wierzył, że wydobędzie się z każdej opresji – przekonując, pracując, walcząc. Że zawsze da sobie radę. Jeremy instynktownie reagował zupełnie inaczej, nie miał ślepego optymizmu Stephena. A jednak – musiał to przyznać z podziwem – tylko Stephen ma szansę dokonać czegoś mało prawdopodobnego i przybyć o północy z grupą przyjaznych przemytników.

Jeremy wyszedł na pokład i się rozejrzał. Nie miał nic więcej do roboty. Zapadła ciemność. Na niebie płynęły pierzaste chmury, między którymi lśniło kilka wilgotnych gwiazd. Trwał odpływ, ale jak powiedział Stephen, wydawało się mało prawdopodobne, by okolice nabrzeża zmieniły się w suchy ląd. Gdyby lugier osiadł na piasku, nic by się mu nie stało. Wrócił do kajuty. Znajdowała się w niej latarnia sztormowa, lecz uznał, że lepiej jej nie zapalać. Usiadł przy bulaju, czekał i obserwował.

Mijały godziny. W pewnej chwili zapadł w drzemkę, nagle się ocknął, znów zasnął. Miał powieki jak z ołowiu.

Obudził się, słysząc czyjeś ruchy na pokładzie nad swoją głową. Zmarzł. Wokół panowała całkowita ciemność. Przez chwilę siedział bez ruchu. Czasem na początku jesieni na słomiany dach dworu w Namparze wspinał się szczur i w środku nocy wędrował w ciepłym miejscu, w którym się znalazł. Ten odgłos był bardzo podobny. Ostrożny, ukradkowy, badawczy. Krok, szuranie, zgrzyt, prawdopodobnie niesłyszalne dla tego, kto robił hałas, lecz wyraźne pod pokładem. Jeremy nie miał pistoletu, jedynie nóż, zresztą zaledwie scyzoryk przywieziony z Ameryki przez ojca ćwierć wieku wcześniej. Wyjął go z kieszeni i otworzył.

Później usłyszał głos, szept, szorstki i nieprzyjemny. Ktoś odpowiedział. Znów rozległo się szuranie i kroki.

Ktokolwiek chodził po pokładzie, mógł ukraść jedynie żagle, wiosła, bosak, korkową tratwę. Normalnie Jeremy szybko wszedłby po drabince na pokład i spytał intruzów, czego szukają, ale nalegania Stephena, by sprzedać brandy, sprawiły, że stracił pewność siebie – obawiał się, że lugier postanowili zrewidować celnicy. Jeśli intruzi zejną pod pokład, stawi im czoło. Jeśli usłyszy, że wyciągają baryłki z przedniej ładowni, natychmiast spróbuje ich powstrzymać. Ale na razie powinien czekać. Przyczaić się i czekać.

Mijały minuty, po czym szuranie i przytłumione kroki ucichły. Zapadła cisza. Spojrzał na zegarek, lecz nie widział cyferblatu. W pewnej chwili miał wrażenie, że lugier lekko się zakołysał, jakby ktoś przeskoczył z pokładu na nabrzeże, ale może to sobie tylko wyobrażał, może myślał to, co chciał myśleć.

Stephen wrócił godzinę przed świtem. Zagwizdał, cicho, lecz wyraźnie, i Jeremy wspiął się po drabince, by go powitać. Niebo się rozchmurzyło i pokrywały je gwiazdy.

– No i co?

– Piekielnie bolą mnie stopy! Moje buty nie nadają się do chodzenia! Przeszedłem chyba piętnaście kilometrów, a nie osiem. Te dwa stare szkielety pokazały mi złą drogę! Mimo to... wszystko załatwiłem.

– Załatwiłeś?!

– Miałeś rację, Jeremy, ci rybacy są jak małże: trzeba otwierać im szczęki nożem. Mevagissey okazało się koszmarem. Nie mogłem znaleźć ani Stoata, ani Pengelly'ego. Ale w końcu... dzięki mądrymu wykorzystaniu srebrnej monety... Przyjdą jutro wieczorem.

– Jutro?!

– Powiedzieli, że jest za późno, by sformować dziś w nocy karawanę mułów, i muszę przyznać, że ich rozumiem. Trudno w jednej chwili znaleźć dwadzieścia mułów. Poza tym powiedzieli, że nie można tego robić jawnie, publicznie. W porcie jest komora celna i posterunek celników na Nare Head. Przyjdą jutro o jedenastej wieczór. Rozmawiałem z mężczyzną, który nazywa się Roach, Septimus Roach. Jest gruby, twardy, podły i cholernie skąpy, ale moim zdaniem będzie grał uczciwie. Wie, że go dopadnę, jeśli nas oszuka... Obiecał mi co najwyżej sześć szylingów i sześć pensów za galon, ale najpierw musi zobaczyć baryłki i spróbować brandy. Cóż, zarobimy sporo grosza, choć sami nie musieliśmy wydać ani pensa!

Jeremy potarł zmęczone oczy.

– A co z dzisiejszym dniem?

– Najlepiej wyładujmy baryłki. Miałeś rację, że trzeba je ukryć. Powinniśmy znaleźć odpowiednie miejsce. Bóg wie, że nie powinno być to trudne; las sięga aż do morza. To dobry sposób, bo jeśli ukryjemy baryłki, będziemy w lepszej sytuacji. Możemy zaprowadzić przemytników do jednej, pozwolić spróbować trunku, a kiedy zapłacą, pokażemy, gdzie schowaliśmy resztę.

– Ta zatoka nie jest taka pusta, na jaką wygląda – powiedział Jeremy. – Po twoim odejściu na pokład weszło dwóch ludzi. Wczesną nocą, gdy siedziałem w kajucie. Przyczałem się i nie odezwałem.

Stephen przestał pocierać piętę i wybałuszył oczy.

– Kto to był? Mężczyźni? Dzieci?

– Nie widziałem ich, ale słyszałem, jak chodzą po pokładzie. Trwało to jakieś dziesięć minut. Moim zdaniem nie mieli latarni.

Wstawał świt. W dali ukazał się niewyraźny zarys Nare Head.

– Nie przyśniło ci się? – spytał Stephen. – A może to mewy?

– Słyszałem, jak rozmawiają. To nie były głosy dzieci.



– Matko Boska, nie podoba mi się to... Ale czy mamy jakiś wybór? Wiatr trochę zelżał, więc moglibyśmy wyjść w morze i przeczekać dzień tuż za horyzontem. Tylko że ta stara balia ma przeciek, prawda?

– Gdzieś tuż przed sterem. Moim zdaniem to nic poważnego, jednak pompa nie działa. Moglibyśmy wyczerpywać wodę ręcznie.

Stephen włożył but.

– Nie rozumiem, dlaczego żabojady pływają takimi dziurawymi baliami i pozwalają je zdobywać Anglikom... Mimo to nie jest w najgorszym stanie. Jeśli wyładujemy półtorej tony brandy, znacznie łatwiej będzie prowadzić! Moim zdaniem powinniśmy zacząć wyciągać baryłki.

– Zaczynamy – powiedział Jeremy. – Trzeba je schować, a potem coś zjeść!

## II

Wyładowali baryłki. Ranili sobie przy tym dłonie, w które wbijały się drzazgi, ponieważ drewno nie było oheblowane. Wybór kryjówki okazał się z konieczności ograniczony, bo nie mogli dźwigać baryłek bardzo daleko. Ponadto wstawał już świt. Gęsta roślinność wokół małej zatoki z początku dawała im poczucie bezpieczeństwa, izolacji, ale wszystko się zmieniło po tym, co powiedział Jeremy. Może ktoś ich obserwuje?

Na początku zastanawiali się, czy schować baryłki w częściowo zrujnowanej chacie. Znajdowała się dość blisko, drzwi można by łatwo wyważyć. Jeśli właściciele koszy na homary chorują, jest mało prawdopodobne, że spróbują ukraść lugier. Ale kiedy ustawili baryłki przed drzwiami i rozejrzeli się po okolicy, znaleźli wgłębienie w ziemi. Wyglądało tak, jakby kiedyś wykopano tam dół, a nawet próbowano wydobywać rudę. Wtoczyli do dołu baryłki, których nie można było dostrzec z kamienistej ścieżki prowadzącej z zatoki.

Gdy skończyli, słońce stało wysoko na niebie. Jaskrawe promienie oświetlały z ukosa zatoczkę, a „Philippe” żywo kołysał się na falach, jakby pozbył się ciężaru fizycznego i moralnego. Wiatr wiał z południa na północ, skręcił o kilka rumbów, lecz w dalszym ciągu był silny. Przez pół godziny wyczerpywali wodę z ładowni i szukali miejsca przecieku. Kiedy wyszli na pokład, z nabrzeża spoglądało na nich dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka. Oboje trzymali kciuki w ustach.

– To oni weszli w nocy na pokład? – spytał Stephen.

– Wątpię. Są za mali. Tamci ludzie wydawali się dorośli.

Jeremy przemówił do dzieci, uśmiechnął się, spytał, jak się nazywają, skąd pochodzą. Chłopiec wyjął palec z buzi tylko po to, by splunąć. Okrywały je łachmany, były bosa, na

barkach i kolanach przeświecała goła skóra. Lepiły się od brudu. Dziewczynka, wyraźnie młodsza, cierpiała na jakąś chorobę skórą, jej usta i podbródek pokrywał liszaj. Kiedy Jeremy podszedł do dzieci, natychmiast się cofnęły.

– Chyba powinniśmy je zostawić i poszukać jedzenia – oznajmił Stephen. – Nie są groźne.

– Dlaczego nie przyniosłeś czegoś z wioski? – spytał Jeremy.

– Nie mogłem niczego zdobyć. Chyba że ukradłbym kurczaka.

– Zjadłbym konia z kopytami – powiedział Jeremy. – Boję się, że ci starzy ludzie niczego nam nie dadzą. Nawet za pieniądze nie można kupić mięsa tam, gdzie go nie ma.

Zostawili dzieci, które dalej ssały kciuki i spoglądały za nimi. Stara kobieta na pewno ukradkiem ich obserwowała. Upiekła ciemny chleb jęczmienny i wyjęła trochę konfitury jabłkowej. Przyniosła również dwie makrele, które zdobył gdzieś starzec, ale odmówili, gdy je powąchali. Wypili słabą herbatę. Starzec siedział w kącie maleńkiej izby obok okna zasłoniętego szmatą i bacznie ich obserwował. Jeremy doszedł do wniosku, że ich sytuacja niewiele się różni od tego, z czym mieli do czynienia w chacie w Tresco. Zapłacił za posiłek dziesięć razy więcej, niż się należało, i stara kobieta stała się przyjazna. Skoro tak, wysłał Alfa do Mevagissey, by kupił ryby i kartofle. („Matko Boska, naprawdę dojdzie tak daleko?” – mruknął pod nosem Stephen). Odpowiedzieli, że chcieliby odpłynąć rankiem i woleliby dostać kilka jajek i trochę masła, może z jednej z pobliskich farm, by nie narażać męża starej kobiety na tak długą wędrówkę. Starucha skinęła głową, zamrugnęła zaropiałymi oczami i wymamlała:

– Dobrze, dobrze, wyślę go tylko do Trevor.

Zjedli posiłek, po czym wrócili do lugra. Stephen zapalił fajkę. Dzieci zniknęły. Wiatr przez cały czas słabł, świeciło dość ciepłe słońce. Stephen odłożył fajkę, wyciągnął się na pokładzie i zasnął.

Jeremy siedział oparty o klapę luku i wyciągał drzazgi z dłoni. „Nampara Girl” powinna już być w domu, chyba że musiała szukać schronienia w St Ives albo St Ann’s. Zastanawiał się, czy ojciec wrócił z Londynu, czy spotkał Clowance, czy Enysowie również wkrótce się pojawią. Wiedział, że Clowance wyjechała z powodu młodego człowieka śpiącego w tej chwili na pokładzie. Zastanawiał się też, czy chciałby, żeby Stephen został jego szwagrem, gdyby nawiązał romans z siostrą. Wydawał mu się sympatyczny, podobnie jak większości ludzi. Zwłaszcza kobietom. W ciągu ostatniego tygodnia mieszkał u Nanfanów i zaczęto już plotkować o nim i Beth Nanfan, dwudziestodwuletniej blondynce o szarych oczach odziedziczonych po matce. (Jeremy doskonale wiedział, że w Sawle i wiosce Gambler nie można się nawet uśmiechnąć do żadnej z ładniejszych dziewcząt, nie wywołując plotek, a nawet skandalu). Otwarta natura Stephena w paradoksalny sposób utrudniała nawiązanie bliskiej przyjaźni. Wesoło opisywał życie na morzu, chętnie odpowiadał na luźne pytania na temat dzieciństwa i młodości spędzonej w pobliżu Bristolu – wymawiał jego nazwę jako Bristow – oraz

przyznawał, że prowadził awanturniczy żywot. Hojnie szafował pieniędzmi i czasem, stał się dobrze znany w Sawle i cieszył się sympatią – co było sukcesem w społeczności prawie tak samo hermetycznej jak Mevagissey.

Mijały godziny. Niewyspany Jeremy w końcu się zdrzemnął. Nagle się obudził i zobaczył kogoś idącego ścieżką nad strumieniem. Dotknął Stephena, który natychmiast ocknął się z głębokiego snu i ujął rękojeść noża w pochwie przy pasie. Jeremy wyciągnął dłoń.

– To chyba ta starucha.

– Daje jakieś znaki. Idź zobaczyć, czego chce, Jeremy. Nie, pójdę z tobą.

Wyskoczyli na brzeg i wspięli się na wzgórze. Była to rzeczywiście stara kobieta z głową obwiązaną brudną jedwabną chustką. Stała za powykęcanyim głogiem i coś mówiła. Kiedy się zbliżyli, wypowiedziała kilka słów, lecz żaden nic nie zrozumiał. Jednak spostrzegli, że unosi palec do ust. Znaczenie tego gestu było jasne.

– O co chodzi? – spytał cicho Jeremy, pochylając się w stronę kobiety.

– ...icy – wymamlała bezzębnymi dziąsłami.

– Przemytncicy?

Pokręciła niecierpliwie głową, zerkając na boki.

– Celnicy? – spytał Jeremy.

– Tak...

Wyprostowali się i rozejrzeli, napięci i pełni niepokoju.

– Gdzie?

Pokazała głową przez ramię.

– W twojej chacie?

– Tak...

– Wielki Boże! Powinniśmy...

Jeremy poklepał staruchę po dłoni na znak podziękowania. Odwrócili się, by znów zejść do zatoki, lecz było już za późno. Rozległ się grzechot kamienia potraconego butem. Stephen i Jeremy dali nura w krzaki i skulili się. Stara kobieta znów ruszyła w górę wzgórza, a zza zakrętu wyłoniło się dwóch mężczyzn. Nosili podniszczzone granatowe bluzy z grubego płótna, barchanowe spodnie w jeszcze ciemniejszym odcieniu i czarne kapelusze. Każdy miał muszkiet i bandolet.

– Co tu robisz? – zwrócił się do staruchy wyższy celnik. – Wyszłaś odetchnąć świeżym powietrzem, co? Masz coś do ukrycia?

Baba skuliła się i próbowała dać nura obok mężczyzn, lecz wysoki celnik chwycił ją za chustkę na głowie.

– Skąd to masz? Miejscowi nie noszą jedwabnych chustek. Może sama się zajmujesz szmuglem, co?

Starucha wiła się, szarpała i jęczała.

– Co takiego? Ktoś ci to dał?! Nie gadaj bzdur! Kto podarowałby ładny kawałek jedwabiu takiej wstrętnej starej jędy jak ty?! Co? Co mówisz? Chętnie skonfiskowałbym tę chustkę w imieniu Jego Królewskiej Mości.

– Chodź, Tom – wtrącił niższy, starszy celnik. – Mamy ważniejsze sprawy.

Puścili staruchę i ruszyli w stronę lugra. Kobieta spoglądała za nimi, a kiedy się oddalili, splunęła na ziemię w miejsce, gdzie stali, i nakreśliła w plwocinie dziwny znak. Nie zwróciła uwagi na Stephena i Jeremego i wspięła się na wzgórze w stronę chaty, ściskając podejrzaną chustkę.

Jeremy wyprostował zdrętwiałą nogę. Stephen chwycił go za ramię.

– Do licha, jeśli znajdą brandy, jesteśmy załatwieni! Musimy za nimi iść, bo inaczej mogą skonfiskować lugier.

– Przejdźmy na drugą stronę ścieżki. Tam jest więcej krzaków.

Przemknęli przez otwartą przestrzeń i wolno podążyli za dwoma celnikami. Kryjąc się w zaroślach, zobaczyli, że mężczyźni wychodzą na nabrzeże i zbliżają się do lugra. Jeden z nich krzyknął, licząc, że wywoła spod pokładu członka załogi. Kiedy nikt nie odpowiedział, wysoki celnik zrobił ruch, jakby chciał przeskoczyć na statek, lecz niższy go powstrzymał. Dyskutowali kilka minut. Z gestów starszego mężczyzny można było wywnioskować, że jego zdaniem nie wolno wchodzić na pokład pod nieobecność właściciela.

Później wyższy celnik spojrział na nabrzeże i wskazał kamienną chatę. Nie można wyładować czterdziestu ośmiu baryłek brandy, nie zostawiając żadnych śladów, więc w miejscu, gdzie młodzi ludzie dzwigali trunek, wilgotna trawa była pognieciona i rozdeptana. Było oczywiste, że przed drzwiami chaty niedawno stały skrzynie lub beczki. Celnicy podeszli i usiłowali wejść do środka, lecz drzwi okazały się zamknięte. Później zauważyli, że błotniste ślady nie kończą się przy chacie, tylko przechodzą przez trawiastą polanę, na której w dalszym ciągu znajdowały się kałuże po deszczu, i biegną w stronę połamanych jeżyn i zaschniętych paproci po lewej stronie.

Stephen zaklął pod nosem.

– Co za pech! Co za paskudny, diabelski pech! Niech smażą się w piekle całą wieczność! Ktoś musiał ich tu sprowadzić. Ta starucha...

– To nie starucha – przerwał Jeremego. – Zdążyła nas ostrzec.

– Pewnie któryś z jej znajomków! Wczoraj w nocy ktoś tu węszył – sam o tym mówiłeś. Może obserwowali nas dziś rano? Te dzieciaki...

– Ostrożnie! – szepnął Jeremego. – Nie wstawaj, bo cię zobaczą.

– Nie, są zbyt zajęci szukaniem naszych śladów! Popatrz tylko: wyglądają jak dwa przekłete psy, które podjęły trop...

Za ich plecami rozległ się szczełk. Obrócili się gwałtownie. Mężczyzna z muszkietem w ręku,

w podniszczonej, zbyt obszernej kapocie, okrągłej czapce bez daszka, z sumiastym wąsem. Na rękawie kapoty miał opaskę.

– Nie ruszajcie się, moi kochani – odezwał się piskliwym głosem. – Po prostu dla własnego bezpieczeństwa. Zobaczymy, co tu robicie, dobra?

Po chwili Stephen przełknął ślinę i powiedział:

– Co robimy? Nic nie robimy, po prostu patrzymy na dwóch pana przyjaciół, którzy szperają w krzakach. Spacerowaliśmy po lesie i zauważyliśmy dwóch podejrzanych ludzi. Zastanawialiśmy się, czym się zajmują. To wszystko, rozumie pan?

– Tak? Oj, oj, moi drodzy, nie powinniście tak kłamać. Nie, nie, mówcie prawdę, dobrze? – Wsunął palce między połamane zęby i gwizdnął piskliwie. – Nick! Tom! Chodźcie na górę, kochani! Wykurzyłem dwa ptaszki z gniazdka!

Jeremy zauważył, że dwaj celnicy nieruchomieją i spoglądają w stronę stoku. Odwrócili się i ruszyli ścieżką pod górę. Ze swojego miejsca trzeci celnik nie widział, czy jego towarzysze go usłyszeli, toteż znów przyłożył palce do ust i gwizdnął. W tym samym momencie Stephen kopnął go w rękę, wytrącając z niej muszkiet.

Broń upadła z trzaskiem na kamienie. Stephen skoczył, celnik z wściekłością zamierzył się na niego pięścią, lecz Stephen uderzył go w twarz i mężczyzna runął na plecy w krzaki. Próbował wstać, ale Stephen uderzył go kolbą muszkietu. Głowa celnika opadła na ziemię.

– Wiejemy!

Rzucili się do ucieczki, ponieważ dwaj pozostali celnicy znajdowali się zaledwie czterdzieści metrów dalej. Rozległ się huk i świsnęła między nimi kula.

– Tędy!

Wbiegli między gęste drzewa otaczające zatokę. Po kilku krokach Stephen stanął i strzelił z muszkietu w stronę celników.

– Będą ostrożniejsi. – Cisnął muszkiet w zarośla, bo nie mieli prochu ani kul.

Ruszyli prawie dokładnie na zachód wśród nagich drzew oświetlonych promieniami słońca. W ich spodnie i ręce wbijały się kolce jeżyn, zaczepiali głowami o gałęzie. Robili zbyt wiele hałasu, by zgubić pościg, i słyszeli za sobą celników, a między drzewami czasem migały ich granatowe kapoty. Lecz już do nich nie strzelano.

Ziemia była nierówna. Nagle Stephen jęknął, uklęknął na jedno kolano, znów wstał.

– Co się stało? – spytał z niepokojem Jeremy.

– Moja kostka... Jakaś cholerna królicza nora... Chyba ją skręciłem! Wszystko będzie dobrze. – Biegł przez chwilę, po czym powiedział: – Ruszaj przodem.

– Niech mnie diabli porwą, jeśli to zrobię! – odparł Jeremy, zwalniając.

– Niech cię diabli porwą, jeśli tego nie zrobisz! Patrz! – Stephen odgarnął włosy z czoła. – Najlepiej, żebyśmy się rozdzielili. Nie mogą ścigać nas obu... Nie rozdzielą się... Za bardzo się

boją. Pójdą za mną albo za tobą, to równie prawdopodobne, ale moim zdaniem raczej za mną. Dam sobie radę, jestem przyzwyczajony do brutalnego traktowania, a ty nie... – Drzewa stały się rzadsze i musieli przejść przez niewielki strumień, by dotrzeć do następnej partii lasu. –

Posłuchaj, Jeremy. Jeśli cię złapią, podaj im fałszywe nazwisko i powiedz, że to ja jestem winny! Jeśli uda ci się uciec, wracaj do domu najkrótszą drogą... *Adios!*

Stali obok siebie jeszcze chwilę, po czym Jeremy przeskoczył strumień, a Stephen skręcił w prawo i pobiegł, kulejąc, wśród coraz rzadszych drzew. Jeremy spodziewał się, że lada moment w plecy trafi go kula z muszkietu; miał nieprzyjemne poczucie, że są zbyt szerokie. Nie rozległ się strzał. Jeden z celników upadł, a drugi pomógł mu wstać. Więcej drzew, dzięki Bogu.

Za bardzo zbliżył się do morza, by się bezpiecznie ukryć. W czasie ostatniego skoku wykręcił sobie nogę, brakowało mu tchu. Nie miał wątpliwości, że celnicy też są u kresu sił.

Kilka minut później dotarł do plaży. Widzieli ją poprzedniego dnia, gdy zbliżali się do lądu. Piasek i niskie, ostre głazy. Gdyby próbował uciekać w tę stronę, byłby łatwym celem – mogliby trafić go w nogi nawet z dużej odległości. Nad plażą znajdowały się drzewa i częściowo zasłonięty dom. Wielki dwór z wieżyczkami, ogrodzony zrujnowanym murem. Obejrzał się, dysząc ciężko. Nie widział celników, ale od czasu do czasu słyszał trzask łamanych gałązek. Również zwolnili, lecz nie byli daleko. Wydawało się, że postanowili ścigać jego, nie Stephena. Może należało się tego spodziewać, ponieważ pobiegł prosto. Mogli nie wiedzieć, że się rozdzielili. Zorientują się dopiero wtedy, gdy las się przerzedzi.

Kiedy celnicy wyjdą spośród drzew, może uda mu się iść za przykładem Stephena i również zniknąć. Mur otaczający dwór znajdował się w odległości czterystu metrów od budynku. Aby dotrzeć do muru, musi przebiec sto metrów na otwartej przestrzeni – najlepiej, by nikt go wtedy nie zauważył. Duże ryzyko, lecz poza tym może tylko próbować przebiec osiemset metrów po plaży lub skręcić na pola na północy, gdzie pasie się bydło.

Zaryzykował, zapominając o bólu w nodze i pękających płucach. Mur okazał się wyższy, niż przypuszczał. Próbował się wspiąć, ale nie zdołał się niczego uchwycić. Pobiegł w stronę bramy i zauważył zrujnowaną część ogrodzenia, która nie miała więcej niż półtora metra. Udało mu się przejść na drugą stronę, wpadł do płytkiego rowu i leżał na ziemi, dysząc ciężko i próbując odzyskać siły przed następnym wysiłkiem.

Mijały sekundy. Rozejrzał się. Rów nie był dobrą kryjówką. Kilka krzaków jeżyn, nieliczne młode drzewka bez liści, kawałki cementu i popękane cegły. To za mało. Wystarczy, że celnicy wspną się na mur i rozejrzą. W pobliżu znajdowały się gęste zarośla. Poczłogał się w ich stronę. Kiedy do nich dotarł, zauważył skraj spódnicy.

Spoglądała na niego dziewczyna.

– Co tu robisz, chłopcze? – spytała.

Nim zdążył odpowiedzieć, rozległ się tupot stóp. Celnicy zatrzymali się pod murem, ruszyli

wzdłuż niego i podążyli do bramy. Dziewczyna wyszła im na spotkanie.

– Tak? – powiedziała.

– Och, przepraszam, panienko... Ścigamy... ścigamy dwóch ludzi, dwóch szubrawców, bandytów... – Był to głos niższego celnika, który ciężko dyszał.

– Dwóch czy sześciu? – spytała.

– Dwóch, panienko. Eee... panno Trevanion. Widziała ich pani?

– Nie widziałam w tej okolicy dwóch mężczyzn, Parsons. Dlaczego ich ścigacie?

– Za przemyt brandy, panienko. Atak na celników wykonujących obowiązki służbowe, panienko, a poza tym odmowę zatrzymania się po wezwaniu. Za posiadanie, nielegalne posiadanie, francuskiego lugra.

– Mój Boże, to poważne zarzuty, Parsons – odpowiedziała dziewczyna. Była bardzo młoda. – Mam nadzieję, że złapiesz wszystkich sześciu.

– Dwóch, panienko – sprostował wyższy celnik, zaglądając przez bramę. – Kiedy ich schwytamy i staną przed sądem, niewykluczone, że zapłacą za to głową!

– Mam nadzieję, że tak się stanie – odparła dziewczyna.

Zapadło milczenie. Niższy celnik zakasłał i zrobił ruch, jakby zamierzał odejść.

– Czy panienka mogłaby nam pozwolić przeszukać teren posiadłości? – spytał wyższy.

Dziewczyna spojrzała na horyzont.

– Myślę, że nie spodobałoby się to mojemu bratu.

– Nie, panienko? Chcielibyśmy po prostu...

– Nie wierzycie moim zapewnieniom, że nie widziałam dwóch uciekających bandytów?

– Nie, panienko, ale...

– Parsons, jak się nazywa ten człowiek? Chyba go nie znam.

– Nie mamy nic złego na myśli, panienko – rzekł niepewnie wysoki celnik. – Ścigaliśmy tych ludzi do granicy państwa plaży i moim zdaniem musieli się przedostać na teren posiadłości. Panienka ich nie zauważyła, ale na pewno gdzieś się schowali.

– Ty jesteś starszy rangą, Parsons? – spytała dziewczyna.

– Tak, panno Trevanion.

– Więc pozwól mi postąpić tak, jak uważam za stosowne. Przeszukajcie plażę i inne miejsca w okolicy, lecz nie wchodźcie do majątku. Tymczasem wezwę zarządcę i każę służbie dokładnie przeszukać teren. Jeśli za pół godziny nikogo nie znajdziecie, wróćcie tutaj. Służący zakończą wtedy poszukiwania. Jeśli znajdą dwóch ludzi, których opisaliście, zostaną oni wam przekazani. Czy to was satysfakcjonuje?

Zapadła chwila milczenia. Celnicy byli wyraźnie niezadowoleni, zwłaszcza wyższy, ale nie mogli nic zrobić. Skinęli głowami i unieśli dłonie do skroni – obaj stracili kapelusze w czasie pościgu – po czym odwrócili się i odeszli. Gdy dotarli do wilgotnej, piaszczystej ziemi za bramą,

odgłos ich kroków ucichł. W końcu dziewczyna się odwróciła.

– I co teraz, chłopcze? – spytała.



## Rozdział czwarty

### I

Siódmego lutego Ross opuścił Londyn z Clowance i Enysami, po czym dwunastego dotarł do Nampary. Demelza spodziewała się jego przyjazdu, bo otrzymała list napisany po balu, zawierający informacje o planach męża. Jednak podróż mogła się okazać dłuższa lub krótsza, toteż nie mogła przewidzieć pory ani nawet dnia przybycia męża. Zorientowała się, że Ross wrócił, dopiero gdy usłyszała stukot podków na kamieniach.

Zastanawiała się, czy nadejdzie kiedyś czas, gdy już jako stara, gruba, brzydka kobieta przestanie reagować na widok męża stojącego w drzwiach. Czy nie będą jej się pocić ręce i przestanie czuć ściskanie w żołądku? Jeśli tak, ten czas jeszcze nie nadszedł. Ross był wciąż wysoki, chudszy po trudnej misji, nieco posiwiwały, blade po przejściu portugalskiej grypy. Spoglądał na nią bez uśmiechu, gdy tymczasem Gimlett wnosił do domu bagaże, a Jeremy pomagał wysiąść Clowance z karety.

– Cóż, Ross... Spodziewałam się ciebie dziś wieczorem.

– Dostałaś list?

– O tak, dostałam.

Zbliżyli się do siebie. Ujął jej dłonie, pocałował ją w policzek, a później jakby mimochodem w usta. Odwzajemniła pocałunek.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak... Wszystko w porządku. – Rozejrzał się, przypominając sobie znajome otoczenie. – Przyjechalibyśmy wcześniej, ale dyliżans złamał oś w Grampound. Naprawa trwała dwie godziny.

Przez chwilę zachowywali się jak obcy ludzie.

– Isabella-Rose?

– Śpi.

– Zdrowa?

– Tak. Zobaczysz, jak urosła.

– Clowance też urosła. Dojrzała. W czasie balu nie wierzyłem własnym oczom.

– Wyglądała ładnie?

– Ślicznie. Nie chciałaś pojechać z nią do Londynu?

- Bałam się, że minę się z tobą po drodze.
- Nie pomyślałem o tym. Przykro mi, że tak długo mnie nie było.
- Tak. Minęło dużo czasu.

Puścił ją. Jeremy i Clowance jeszcze nie weszli do domu. Zastanawiał się, czy starają się być taktowni.

- Jadłeś kolację? – spytała.
- Lekko. Nie jestem głodny.
- Trzeba coś przygotować. Clowance na pewno zechce coś zjeść.
- Więc dobrze. Jedzenie twoich potraw będzie dla mnie odmianą.
- Mam nadzieję, że nie na gorsze.
- To ty powinnaś o to zadbać.

Zapadło krótkie milczenie. Demelza uśmiechnęła się promiennie.

- W takim razie powiem Jane.
- Nie ma wielkiego pośpiechu.

Demelza się zatrzymała. Ross podszedł do niej od tyłu, przyłożył twarz do jej policzka, powąchał i odetchnął głęboko.

- Ross, ja...
- Nic nie mów – odpowiedział i przytulił ją.

W czasie kolacji dużo rozmawiano, lecz na początku mówili tylko Jeremy i Clowance, głównie Jeremy, który beztrąsko relacjonował nowiny o kopalni i gospodarstwie, jakby nic innego nie miało znaczenia. Effie, młodsza maciora, urodziła w zeszłym tygodniu dziewięcioro prosiąt, a Carrie, starsza, miała się oprosić lada dzień. W poniedziałek rozkopali stóg zboża i znaleźli dziesiątki myszy. Nie lubi zabijania, więc szybko odszedł, ale Bella okazała się małym potworem, bo patrzyła przez cały czas i wydawało się, że sprawia jej to przyjemność. Powinni już skończyć orkę, ale Moses Vigus i Dick Cobbledick zachorowali na influencję, a Ern Lobb na anginę.

W trakcie luźnej rozmowy Jeremy nagle umilkł i popatrzył na rodziców.

- Widziałeś Geoffreya Charlesa, ojczy?

Ross opisał spotkanie z bratankiem.

Był to początek nowej rozmowy, podczas której przede wszystkim mówił Ross. Opowiadał o bitwie pod Buçaco, o Lizbonie, o powrocie i kryzysie wywołanym szaleństwem króla. Wszyscy członkowie rodziny słuchali i komentowali – dokładnie tak samo jak za dawnych czasów. Brakowało tylko prywatnej wymiany zdań między Rossem a Demelzą. Wydawało się, że w dziwny sposób skamieniali, że czują się zażenowani w swojej obecności. Minęło to dopiero po pewnym czasie.

Raz – tylko raz – Ross popatrzył na Demelzę inaczej, ona zaś pomyślała: Czy nasze dzieci

wiedzą? Czy zastanawiają się, co się stanie, gdy pójdziemy na górę? Czy rozumiem samą siebie? Czy Ross jest taki sam jak zawsze?

Później, znacznie później, prawie w środku nocy, kiedy leżeli blisko siebie i jeszcze nie spali, Demelza powiedziała:

– Twoje długie wyjazdy to dla mnie ciężka próba, Ross. Naprawdę. Spędziłam w tym łóżku tyle długich, samotnych nocy... Czułam się prawie jak wdowa.

– A potem mąż mimo wszystko wraca jak zły szeląg... Och, wiem. Wierz mi, ja czuję to samo... Jednak spotkanie po długim rozstaniu jest wyjątkowo przyjemne. Dziś wieczorem...

– Och, ja też to rozumiem. Dziś wieczorem byłam naprawdę szczęśliwa. Ale czy nie istnieje ryzyko – po prostu ryzyko – że kiedyś twoja nieobecność sprawi, że nasze uczucia się ochłódzą?

– Skoro teraz to się nie dzieje, zajmijmy się tym problemem, gdy się pojawi... – odpowiedział Ross.

W pokoju w dalszym ciągu tliła się świeca. Powinna się palić jeszcze dziesięć minut, jeżeli knot nie wpadnie do roztopionego wosku.

– Życie to równowaga, nierównowaga, kontrast, prawda? – powiedział Ross. – Jeśli to brzmi moralizatorsko, przykro mi, ale tak niestety wygląda prawda. Każde celowe działanie sprawia, że coś zyskujemy i coś tracimy. Nikt nie potrafi oszacować zysków i strat. Kiedy w tysiąc siedemset osiemdziesiątym trzecim roku zostałem ranny w bitwie nad rzeką James, zaniecono mnie do czegoś na kształt lazaretu, a człowiek będący kimś w rodzaju chirurga postanowił odczekać dzień lub dwa z amputacją stopy, po czym zalecił mi ścisły post. Żadnego jedzenia, puszczenie krwi, lewatywy, rozwodnione wino do picia. Kiedy po pięciu dniach nie pojawiła się gorączka, doszedł do wniosku, że nie dostanę gangreny i że mogę znowu normalnie jeść. Na początku przynieśli mi ugotowane jajko. Smakowało jak ambrozja... Nigdy wcześniej nie jadłem czegoś tak pysznego. Sama widzisz, po długim poście...

– Chyba rozumiem, o co ci chodzi – odparła Demelza. – Chcesz powiedzieć, że dziś wieczorem jestem twoim gotowanym jajkiem.

Drżenie łóżka świadczyło, że Ross się śmieje.

– Nie – odrzekł wreszcie. – Jesteś moim kurczakiem. – Wsunął palce we włosy Demelzy. – Puszystym, gładkim, okrągłutkim...

– Jeśli się wyklułam wtedy, kiedy przypuszczam, że się wyklułam, jestem już starą kurą i mój grzebień szerniał z powodu braku opieki.

– Obiecuję, że teraz to się zmieni. Przysięgam, że znowu staniemy się jednym ciałem i duszą...

– Bardzo niewygodne.

Ujął jej dłoń.

– Czy uważasz mnie za ponuraka?

– Tak, zwykle taki jesteś.

– Po co się smucić w czasie takiego spotkania?

– Bo jest za dobrze?

– W pewnym sensie. Umysł ludzki nie jest przystosowany do całkowitego zadowolenia. Gdyby dzisiejszy wieczór był szczególnie przyjemny, co łatwo mogło się zdarzyć, jak na początku... nigdy nic nie wiadomo...

– Czułeś to?

– Wcześniej, tak. Ale potem...

– Potem nic takiego się nie zdarzało.

– Nie zdarzało. A zatem – przewrotnie – człowieka dławi melancholia.

– Niech więc będzie melancholia.

Ross poruszył się obok Demelzy.

– Kiedy gościłem u George’a Canninga, znalazłem zbiór wierszy napisanych przez niejakiego Herberta. Pamiętam jeden fragment: „Dniu, w którym Ziemia przyjmuje Niebiosą, tyle spokojny przecie, ile jasny...”<sup>2</sup>. – Wpatrywał się w migoczącą świecę. – Dziś wieczorem nie było w nas niczego spokojnego i jasnego, ale myślę, że staliśmy się Ziemią i Niebiosami...

– Mój Boże, to chyba najładniejsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedziałeś.

– O nie, na pewno były inne...

– Były. Trzymam je w specjalnej szkatułce pamięci, a kiedy czuję się zaniedbywana, wydaję je i zastanawiam się nad nimi. – Urwała. Zapadła cisza.

– Co teraz? – spytał.

– Masz rację. To, co się między nami dzieje dziś w nocy, nie jest naturalne. Powinno się przekształcić w coś innego. Zamiast tego czuję do ciebie to samo, co czułam, gdy po raz pierwszy wzięłaś mnie do łóżka w tym pokoju. Pamiętasz? Włożyłam suknię twojej matki.

– Uwiodłaś mnie.

– Nie miałam takiego wrażenia. Zapaliłaś dodatkową świecę.

– Chciałem cię lepiej poznać.

Demelza umilkła.

– Więc może melancholia to właściwe określenie... Działo się to dwadzieścia cztery lata temu. Teraz mamy dorosłe dzieci i po tych wszystkich latach nie powinniśmy się zachowywać jak kochankowie, tylko zachować rozsądek. Miewam złe chwile...

– A mnie boli kostka...

– Dolega ci?

– Ani więcej, ani mniej. A twoje bóle głowy?

– Modliłam się do świętego Piotra, żebyś nie wrócił w zeszłym tygodniu.

– Wysłuchał cię, prawda? Możemy się martwić dopiero za dwadzieścia dni.

- Na pewno jesteś zmęczony po dzisiejszej nocy.
- Jestem zmęczony... Nie uważasz, że ja również coś wspominam, gdy wyjeżdżam?
- Mam nadzieję.
- Sądzisz, że nie pamiętam nocy, kiedy wróciliśmy po połowie sardynek w Sawle? Wtedy było inaczej. Wtedy się w tobie naprawdę zakochałem. Przestałem myśleć tylko o twoim ciele... Bez uczuć nie ma niczego, co warto wspominać. Byłoby to przykre. Dzięki Bogu między nami nie ma czegoś takiego.
- Dziękujemy Bogu, że nie jesteśmy tacy jak inni ludzie.
- Czytasz Biblię?
- Pamiętam, kim byli faryzeusze.
- Można ich bronić na wiele sposobów. – Ross uniósł dłoń Demelzy i dotknął nią swojego policzka.
- Słuchasz czegoś? – spytała po chwili.
- Zaśmiał się cicho.
- Rozbrajasz mnie... Tak, słucham. Bicia twojego serca.
- To niezbyt dobre miejsce, by je usłyszeć.
- Pochylił się powoli i przyłożył ucho pod lewą pierś żony.
- Ciągłe bije. – Puścił jej rękę i ujął palcami pierś.
- Świeca gaśnie – powiedziała.
- Wiem. Czy to ważne?
- Oprócz ciebie nic nie jest ważne – odparła.

## II

Znacznie później, gdy wstał księżyc i na niebie pojawił się fałszywy świt, Ross rzekł:

- Muszę ci wiele opowiedzieć.
- Mów. Nie zamierzam dziś w ogóle spać.
- Zanim spotkałem Geoffreya Charlesa...
- Tak?
- Natknąłem się na twojego starego adoratora, kapitana McNeila.
- Boże! To było tak dawno temu. Dobrze się miewa?
- Tak. Jest teraz pułkownikiem.
- Geoffrey Charles... Niewiele o nim mówiłeś dziś wieczorem.
- Nie chciałem, by Jeremy czuł, że za bardzo go chwalebę lub podziwiam... Trochę schudł na twarzy, ale nie wygląda źle.

- Troszczysz się o Geoffreya Charlesa bardziej niż o Jeremy’ego?
- Oczywiście, że nie. To coś zupełnie innego.
- Ale widać, że coś cię łączy z Geoffreym Charlesem...
- Często myślimy to samo, czujemy to samo.
- A Jeremy?
- Jeremy jest znacznie młodszy.

Demelza czekała, by Ross powiedział coś więcej, lecz tego nie zrobił. Mimo jego zapewnień wyczuwała myśli, które nie zostały wyrażone słowami, lekką rezerwę.

- A Clowance? – spytał Ross. – Podobno ma jakieś kłopoty sercowe.
- Kto ci powiedział?
- Ona sama. W drodze do domu. Kiedy nocowaliśmy w Marlborough. Dałem jej trochę więcej wina, przyszła do mojego pokoju i usiadła na łóżku.
- Może powiedziała ci więcej niż mnie.
- Wątpię. Clowance jest szczerą i ze mną, i z tobą.
- Myślę, że się zaangażowała, Ross. Czasem nie można być szczerym z innymi ludźmi, bo samemu nie zna się prawdy.
- Mówiła, że z tobą rozmawiała i że doradziłaś jej wyjechać na kilka tygodni.
- Zaproponowałam to. Zgodziła się. Chyba się obawiała – ja na pewno się tego bałam – że to za szybko zajdzie za daleko.
- Nie lubisz tego człowieka?

Demelza się poruszyła.

- Nie mogę tego powiedzieć tak kategorycznie... Może mam chłopski brak zaufania do obcych...
- Cóż za dziwny sposób opisywania samej siebie! Czy to nowy przypływ pokory?

Przynajmniej raz nie dała się sprowokować.

- To rozbitek... Jeremy, Paul i Ben znaleźli go prawie martwego. Najpierw powiedział, że płynął własnym statkiem, który zatonął w czasie sztormu. Później mówił, że to nieprawda, że był artylerzystą na statku korsarskim zatopionym przez dwie francuskie fregaty, że kapitan zginął. Potem...

- To też nie wygląda na prawdę – przerwał Ross.
- Dlaczego?
- Francuskie fregaty nie zatapiają statków korsarskich. Biorą je do niewoli i zabierają do portów jako przyzy. Francuscy kapitanowie nie są takimi głupcami, by tracić przyzowe.
- Nawet jeśli załoga walczy do końca?
- Nikt nie walczy do końca. Nie od czasów Grenville’a.

W górze piszczała mewa, obudzona przez księżyc. Jej głos brzmiał tak rozpaczliwie, jakby

znikła wszelka nadzieja.

Demelza dotknęła ramienia Rossa.

– Schudłeś. Chorowałeś na influencę? Podobno często występuje w Portugalii.

– Kilka kilogramów. Drobnostka. Twoja kuchnia sprawi, że szybko będę miał duży brzuch.

– Nigdy nie miałaś brzucha. Nie możesz utyć, bo za bardzo się martwisz.

– Martwię się? Mógłbym się martwić, gdybym przypuszczał, że Clowance zakochała się w draniu.

– Nie sądzę, że Stephen to drań. Jestem prawie pewna. Może jednak nie powinniśmy się niepokoić.

– Dlaczego?

– Zniknął prawie tak samo nagle, jak się pojawił. Powiedział, że jego statek korsarski zdobył niewielki przyz i zostawił go na wyspach Scilly, a potem poprosił Jeremy'ego, Paula i Bena, by go tam zabrali na pokładzie gigu „Nampara Girl”. Zrobili to. Paul i Ben wrócili gigiem, a Jeremy pomógł Stephenowi Carringtonowi sprowadzić przyz. Popłynęli do Mevagissey, ponieważ Stephen chciał go tam sprzedać, ale rozpętał się sztorm i schronili się w zatoce Veryan. Tak mi się przynajmniej wydaje. Byli tam uwięzieni cały dzień, po czym Stephen Carrington wysłał Jeremy'ego na ląd i odpłynął. Później nikt go nie widział ani o nim nie słyszał.

– Clowance wie?

– Myślę, że Jeremy już jej powiedział.

– Więc może jej wyjazd miał pozytywne skutki?

– Niewykluczone. Oczywiście Stephen może w każdej chwili się pojawić.

Byli senni, opadały im powieki.

– Clowance odniosła wielki sukces w Londynie – powiedział Ross. – Zdobyła adoratora.

– W Londynie? Kogo?

– Lorda Edwarda Fitzmaurice'a, brata lorda Lansdowne'a, bardzo bogatego arystokraty, utalentowanego polityka. Myślę, że młodszy brat również jest uzdolniony, choć może nie w polityce.

– Jak to się stało?

– Poznali się na przyjęciu wydanym przez księżnę Gordon. Wydawało się, że Clowance mu się spodobała. Zaprosił ją na podwieczorek, by poznała jego rodzinę.

– No i?

– Odmówiła.

– Och... Nie szkoda?

– Tak uważała Caroline. Kiedy się o tym dowiedziała, była bardzo wzburzona i oświadczyła, że odrzucenie takiego zaproszenia jest nie do przyjęcia w towarzystwie. Clowance była pod takim wrażeniem, że uwierzyła. Naturalnie podejrzewam, że to nieprawda. Caroline stosowała

swoje stare sztuczki.

– I co dalej?

– Caroline nalegała, by nazajutrz wysłać wiadomość do rezydencji Lansdowne'ów przy Berkeley Square. Wyraziła chęć złożenia wizyty lady Isabel Petty-Fitzmaurice. Spytała, czy mogłaby przyprowadzić pannę Poldark. Wyrażono zgodę.

Demelza głęboko odetchnęła.

– Dla Clowance, jaką znamy z Nampary, to zupełnie inny świat. Z rozwianymi włosami galopuje po plaży na Neronie...

– To prawda.

– I pozwoliłeś ją sterroryzować w taki sposób?

Ross się roześmiał.

– Pozwoliłem ją sterroryzować. Caroline to kobieta o najsilniejszym charakterze, jaką kiedykolwiek spotkałem, nie licząc ciebie. Początkowo nie zgadzałem się na ten pomysł, ale doszedłem do wniosku, że z taką damą do towarzystwa Clowance nic nie grozi i że podwieczorek w wyrafinowanym gronie pozwoli jej nabrać doświadczenia.

– Mam nadzieję, że tak się stało. Słyszałeś, co się wydarzyło?

– Wypito herbatę.

– Nie, Ross. Jest za późno, by się droczyć.

– Moim zdaniem Fitzmaurice był naprawdę urażony odmową Clowance, lecz Caroline wymyśliła honorowe rozwiązanie. Clowance wyraźnie spodobała się jego ciotce i Fitzmaurice powiedział, że latem, kiedy rodzina będzie spędzać kilka tygodni w siedzibie rodowej w Bowood w Wiltshire, może panna Poldark mogłaby ich odwiedzić – naturalnie w towarzystwie członka rodziny.

Demelza się rozbudziła.

– Mam nadzieję, że nie chciałbyś, abym jej towarzyszyła?! Wielki Boże!

– Kto, jeśli nie ty? W Marlborough Clowance zasugerowała, że nie jest zbyt entuzjastycznie nastawiona do tego pomysłu, nawet jeśli zaproszenie zostanie złożone ponownie i nie będzie tylko formułką grzecznościową.

Demelza zastanawiała się nad słowami Rossa.

– Moim zdaniem powinna przyjąć to zaproszenie... Nie sądzisz? Caroline na pewno tak by uważała.

Ross pocałował Demelzę w bark.

– Teraz śpij. Niedługo zacznie świtać.

– Och, cóż... tak...

Zapadło milczenie.

– A wojna? – spytała po chwili.



– Będzie trwała dzięki całkowitej zmianie frontu księcia regenta. Mówiłem o tym w czasie kolacji.

– Zastanawiam się, co sprawiło, że w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Nie mam pojęcia.

– Twoi przyjaciele wiedzą?

– Spekulują, oczywiście.

– Uczestniczyłeś w tym w jakiś sposób? – spytała Demelza po krótkiej przerwie.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Po prostu stale odwlekałeś powrót do domu. Nie przypuszczam, żebyś został w Londynie tylko po to, by głosować, i intuicyjnie czuję, że mogłeś się w coś zaangażować. Twój wyjazd do Portugalii i...

– Podejrzewam, że za chwilę intuicja podpowie ci, że byłem osobistym doradcą Wellingtona – powiedział Ross.

– Jestem wstrząśnięta – odparła Demelza.

– Niesłusznie... Jeśli chodzi o zmianę zdania księcia regenta, prawdopodobnie wywołało ją wiele czynników, powodów... Naturalnie w każdej chwili znów może zmienić zdanie... Ale mam nadzieję, oczywiście w granicach rozsądku, że przez jakiś czas tak się nie stanie.

– Chcesz, żeby wojna trwała?

– Chcę honorowego pokoju. W tej chwili każdy pokój byłby niehonorowy.

– Więc Geoffrey Charles nie wróci jeszcze do domu, by przejąć majątek.

– Mógłby wrócić w każdej chwili. Pisał, że ma zaległy urlop, ale wątpię, czy z niego skorzysta. Ponieśliśmy duże straty.

– Właśnie tego się obawiam – odparła Demelza.

Ross leżał na plecach z rękami pod głową, patrząc na okna wypełniające się światłem.

### III

– Znasz Trevanionów, ojczy? – spytał Jeremy, gdy wracali razem z kopalni. Ross po raz pierwszy od przyjazdu odwiedził Wheal Grace.

– Kogo? Trevanionów? – Ross ciągle myślał o tym, co widział i słyszał w kopalni, oraz o zawartości ksiąg rachunkowych.

– Mieszkają w Caerhays.

– Spotkałem kilka razy Johna Trevaniona. Majora Trevaniona. Dlaczego pytasz?

– Stephen Carrington wysadził mnie na brzeg w pobliżu ich dworu. Grzecznie mnie zaprosili...

– Trevanion był kiedyś szeryfem Kornwalii – odpowiedział po chwili Ross. – Później reprezentował Penryn w Izbie Gmin, lecz szybko zrezygnował z mandatu. Poznałem go lepiej dwa lata temu. W Bodmin i innych miastach odbywały się spotkania w sprawie reformy parlamentu. Był ich zwolennikiem. Mieliśmy identyczne poglądy w tej kwestii.

– Lubieś go?

– Tak, lubiełem. Chociaż jest arogancki jak typowy wig i zachowuje się znacznie wynioślej niż torysi.

– Nie było go w domu – powiedział Jeremy. – Zaprosiła mnie jego... jego rodzina i miło mnie potraktowała. Pożyczyli mi konia. Mają ogromny dwór, prawda? Prawdziwy zamek!

– Nigdy go nie widziałem.

– Pamiętasz, jak pięć lat temu zabrałeś nas do Windsoru? Dwór w Caerhays przypomina zamek Windsor.

– Pamiętam, jak de Dunstanville wspomniał, że Trevanion buduje wspaniałą rezydencję zaprojektowaną pod patronatem księcia Walii przez drogiego londyńskiego architekta... Podobno jest trochę za wielka jak na Kornwalię.

– Z pewnością wygląda imponująco.

Ross przystanął, zaczerpnął tchu i się rozejrzył. W szarym lutowym dniu teren wydawał się jeszcze bardziej jałowy niż zwykle, ponieważ drzewa i krzewy zrzuciły liście. Kręciło mu się w głowie z powodu niewyspania i nadmiaru miłości. Byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby nie to, czego się dowiedział w kopalni. Ale właśnie takie jest życie. Rzadko wyrzuca się trzy szóstki. Tego ranka Jeremy wyraźnie wolał rozmawiać o rzeczach pozbawionych większego znaczenia.

– Jak często schodziłeś do kopalni pod moją nieobecność, Jeremy?

– Do Grace? Dwa razy w tygodniu, jak mi kazałeś.

– Północna część jest prawie wyeksploatowana.

– Wiem.

– W dalszym ciągu znajdujemy rudę, ale jakość jest tak marna, że prawie nie opłaca się jej wyciągać na powierzchnię.

– Dużo zarobiliśmy na tej kopalni.

– O tak. Dzięki niej żyliśmy tak dobrze. I mamy teraz kilka niewielkich, ale dobrych inwestycji w różnych przedsięwzięciach... Jeśli zamkniemy Grace, nie umrzemy z głodu.

– Nie chciałbym, byśmy ją zamknęli.

– Myślisz, że ja bym chciał? Utrzymuje nie tylko nas, ale także przeszło stu ludzi. Niech Bóg broni, bym zaczął postępować jak Warlegganowie, jednak kiedy kopalnia przynosi straty, błyskawicznie pożera kapitały.

– Potrzebujemy nowej maszyny parowej, ojcze. Wielka Beth działa dobrze, ale jest okropnie przestarzała.

Ross popatrzył na syna.

– Niewątpliwie możemy ją jeszcze ulepszyć. Twoja propozycja, by wymienić cylinder i zastąpić go większym, wymontowanym z zużytej maszyny, okazała się świetnym pomysłem. Utrata ciepła gwałtownie się zmniejszyła. Beth nie jest jeszcze taka stara. Ile ma lat? Dwadzieścia?

– Moglibyśmy ją sprzedać. Pokryłoby to część kosztów zakupu nowej maszyny.

– Gdyby perspektywy były lepsze, mógłbym się zgodzić. Ale w tej chwili dodatkowe wydatki na Wheal Grace nie mają żadnego uzasadnienia.

– Nawet na ulepszenia Beth?

– Och, wszystko zależy od ceny.

– Nowy kocioł wytrzymujący większe ciśnienie zwiększyłby jej wydajność.

– I narażałby ją na szybkie zużycie.

– Można by wydać trochę pieniędzy na różne udoskonalenia. Pompa działałaby płynniej, bez przeciążenia ściany nośnej. Naturalnie zmniejszyłoby to zużycie węgla.

– Gdybyś kazał komuś zrobić kalkulację kosztów, chętnie rzuciłbym na nią okiem – powiedział Ross.

– Sam mogę ją przygotować – odparł Jeremy.

Ross uniósł brwi, lecz milczał. Szli dalej.

– Słyszałem, że pan Trevithick wrócił do Kornwalii, ojczcie.

– Tak? Mógłbyś poprosić go o radę. Niestety, tylko projektuje maszyny parowe, a nie szuka rudy.

– Jest jeszcze jeden człowiek, który niedawno przyjechał z Londynu, choć moim zdaniem urodził się w Kornwalii. Arthur Woolf. Ogłaszał się w zeszłym miesiącu w „Gazette”. Ma znakomitą opinię i mnóstwo nowych pomysłów.

Zatrzymali się na chwilę i patrzyli, jak dwa wronczyki walczą z dwoma krukami. W końcu, jak zawsze, kruki zwyciężyły, a wronczyki się wycofały, trzepocząc skrzydłami w bezsilnej złości.

– Twoje zainteresowanie praktycznymi aspektami działania maszyn parowych może być pożyteczne. Ale w przypadku Grace to stawianie sprawy na głowie. Najlepiej prowadzona kopalnia na świecie nie przyniesie zysków, jeśli brakuje rudy dobrej jakości.

Jeremy spojrział na wzburzone morze.

– Wheal Leisure nigdy nie miała maszyny parowej?

– Nie.

– Wydobywano tam miedź?

– Głównie czerwoną miedź. Doskonałą rudę. Jednak żyła stała się cienka i Warlegganowie zamknęli Leisure, by uzyskiwać lepsze ceny za rudę z innych kopalni.

– Ciągłe należy do nich?

Ross zerknął na kilka zrujnowanych budynków na najbliższym przylądku przy plaży Hendrawna.

– Możliwe. Nie ma prawie żadnej wartości.

– Kompania Wschodnioindyjska złożyła w tym roku ofertę zakupu tysiąca pięciuset ton miedzi – powiedział Jeremy. – Cena metalu musi wzrosnąć.

– Nie dla Kompanii. Kupują miedź poniżej ceny rynkowej. Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć. Tak... popyt może przewyższać podaż. Miedź ma lepszą przyszłość niż cyna.

Demelza pomachała do nich z ogrodu. Oni również do niej pomachali. Po stosownej przerwie Jeremy wrócił do poprzedniego tematu.

– Rodzina Trevanionów...

– Tak?

– Przypuszczam, że major Trevanion ciągle jest dość młody. Niedawno stracił żonę i ma dwoje małych dzieci. Poza tym brata i dwie siostry. Oraz matkę. Panią Bettsworth. Może znowu wyszła za mąż.

– Nie... Jak pamiętam, męska linia Trevanionów wygasła. Ostatnia potomkini tego rodu poślubiła Bettswortha, ale było to kilka pokoleń temu. Obecny dziedzic – twórca rezydencji w Caerhays – urodził się jako Bettsworth, lecz po osiągnięciu pełnoletności zmienił nazwisko na Trevanion. Rozumiem, że pozostali jego krewni w dalszym ciągu noszą nazwisko Bettsworth.

– Jedna osoba nie – odparł Jeremy. – Jego siostra. Ona również nazywa się Trevanion. Panna Cuby Trevanion.

## IV

Powiedziała do niego: „I co teraz, chłopcze” i jego życie się zmieniło.

Patrzyła spod czarnych brwi zaskakująco brązowymi oczami. Jej twarz o barwie jasnego miodu, okrągłą, a nie owalną, okalały ciemnobrązowe włosy, proste i nieco szorstkie. Miała na sobie fioletową pelerynę narzuconą na prostą suknię o barwie lawendy; kaptur peleryny opadał na plecy. Wyraz jej twarzy był arogancki.

Powiedziała: „I co teraz, chłopcze”, on zaś szybko wstał z ziemi. Próbował otrzepać z ubrania zaschnięte błoto i piasek.

Chciał wyrzeć przez mur, ale nie mógł.

– Dziękuję, panienko. To bardzo uprzejmie z pani strony.

– Proszę wytłumaczyć, o co chodzi, bo moja uprzejmość może się skończyć.

Uśmiechnął się.

– Gonili mnie celnicy. Nie chciałem, by mnie złapali.

Widziała jego uśmiech, lecz go nie odwzajemniła.

– Chyba pana nie zdziwi, że sama doszłam do tego wniosku. Jak się pan nazywa?

Stephen sugerował, by Jeremy nie podawał prawdziwego nazwiska, lecz w tej chwili sytuacja zupełnie się zmieniła.

– Poldark. Jeremy Poldark.

– Nigdy o panu nie słyszałam – powiedziała.

– Nie pochodzę z tych stron.

– A zatem co pan robi w tych stronach, panie Jeremy Poldark? Mój brat by mnie nie pochwalił, gdybym ukryła jakiegoś bandytę – czy nie tego słowa użył Parsons? – bandytę, który przemycał brandy i zaatakował celników wykonujących swoje obowiązki służbowe. Gdzie jest pańskich pięciu kolegów bandytów? Mógłby pan wskazać krzaki, w których się ukryli?

– Nie pięciu, tylko jeden. Nie ma go tu, panienko. Przed kwadransem rozdzieliliśmy się między tamtymi drzewami. Celnicy pobiegli za mną, więc chyba udało mu się uciec.

Wsunęła kosmyk włosów za ucho.

– Mówi pan jak dżentelmen. Od razu się tego domyśliłam, gdy pana zobaczyłam. W jaki sposób? Może po włosach. Chociaż większość dżentelmenów, których znam, ma zwyczaj się golić.

– Opuściłem dom przed trzema dniami i od tamtej pory prawie bez przerwy pływałem po morzu. Mój przyjaciel... chciał odebrać lugier na wyspach Scilly.

Jeremy wyjaśnił. Jeśli Cuby Trevanion zamierza go oddać w ręce wymiaru sprawiedliwości, może poznać prawdę, bo i tak nic go nie uratuje. Zdawał sobie sprawę, że wyjaśnienia nie brzmią najlepiej, ale za każdym razem, gdy na nią patrzył, zaczynał mu się plątać język i słowa nie układały się w sensowne zdania.

Cierpliwie słuchała. W końcu umilkł, a ona rzekła:

– Więc teraz straciliście i brandy, i lugier. To skutek nadmiernej chciwości.

– Tak, rzeczywiście. Gdyby nie pani wyjątkowa dobroć, siedziałbym teraz w areszcie.

– To niezbyt przyjemna sprawa, panie Jeremy Poldark. Celników jest niewielu, co sprawia, że łatwo się denerwują, gdy kogoś łapią. Nawet sędziowie nie są dziś tak wyrozumiali jak dawniej.

– Co sprawia, że jestem pani jeszcze bardziej zobowiązany.

– Och, niech pan pochopnie nie myśli, że jest wolny! Teraz ja trzymam pana w areszcie.

– Jestem szczęśliwy, że mogę być do pani całkowitej dyspozycji – odparł Jeremy.

Wypowiedział te słowa żartobliwie, próbując pobić Cuby jej własną bronią, ale kiedy już padły, nabrały poważnego znaczenia. Poczuli, że się rumieni.

Odwróciła wzrok i spjrzała w stronę bramy. Po dłuższym milczeniu spytała:

– Pański lugier jest brązowy i ma czerwone żagle?

Zrobił kilka kroków, aż zobaczył plażę. „Philippe” żeglował ostro do wiatru dość blisko brzegu, tuż poza zasięgiem muszkietów dwóch celników, którzy stali i patrzyli na statek z gniewem i bezsilnością.

– Musiał wrócić do lugra! – zawołał Jeremy. – Wymknął im się i przedostał na pokład! Bogu dzięki, wiatr słabnie. Na pewno mnie szuka!

– Jeśli pan się pokaże, nie będę mogła nic więcej zrobić – odpowiedziała sucho panna Trevanion. – Spotka pana to, na co pan zasłużył.

Lugier zmienił hals i znów popłynął wzdłuż plaży. Chociaż Stephen był sam, dobrze dawał sobie radę. Huk i obłoczek dymu świadczyły, że jeden z celników oddał strzał. Kiedy statek dotarł do wschodniego skraju plaży, Stephen znów zmienił kurs i ruszył w stronę morza. Musiało być dla niego oczywiste, że nawet jeśli Jeremy go widzi, nie może dotrzeć na pokład, nie zwracając uwagi celników.

Morze, oświetlone zimowym słońcem, wyglądało jak pognieciona cynfolia. Lugier oddalał się od brzegu.

Jeremy się odwrócił.

– Panno Trevanion, mój dom, jak wyjaśniłem, znajduje się na północnym wybrzeżu. Najbliższy gościniec, którym kursują dyliżanse, znajduje się piętnaście kilometrów stąd. Gdyby mogła mi pani zwrócić wolność, musiałbym przejść około czterdziestu kilometrów i z łatwością pokonałbym je w ciągu jednego dnia...

– Panie Poldark, nazywam się Cuby Trevanion. Okłamałam celników i uważam, że nie powinnam panu więcej pomagać. Mój brat wyjechał, więc jestem mniej narażona na jego wymówki. W naszej kuchni powinno być jedzenie. Jest pan głodny? Tak pan wygląda! W stajni na pewno znajdę jakąś chabetę. Pójdzie pan za mną?

– Naturalnie. Bardzo dziękuję.

– Mój drugi brat również wyjechał – dodała, ruszając przodem. – Mógłby pan nawet dostać brzytwę.

Podążył za nią żwirową ścieżką prowadzącą pod górę. Ścieżka przechodziła przez las, który niedawno ścięto, a teren wyrównano.

– Chcieliśmy mieć lepszy widok na morze – wyjaśniła Cuby.

Kiedy zbliżali się do dworu, coraz bardziej przypominał on bajkowy zamek, z wieżyczkami, bastionami, blankami i okrągłymi wieżami. Jeremy podziwiałby go, lecz w tej chwili interesował się tylko falującą spódnicą i zabłoconymi żółtymi bucikami z kozłej skórki. Całkowicie zagubiony, podążyłby jak zahipnotyzowany za tymi bucikami na koniec świata.

## Rozdział piąty

### I

Między Stippy-Stappy Lane, gdzie chaty, chociaż ubogie, wyglądały przyzwoicie, a brudem i nędzą Guernsey, pełnej zrujnowanych bud skupionych wokół plaży i zatoki, w wiosce Sawle znajdował się jeden mały sklepik. Mieścił się w budynku nie większym od zwykłej chaty, lecz wyróżniał się niewielkim oknem wykuszowym, a frontowe drzwi były pomalowane. Sklepik ciotki Mary Rogers. Wielu ludzi w dalszym ciągu tak go nazywało, choć ciotka Mary już od trzynastu lat spoczywała na cmentarzu w Sawle. Od tamtego czasu sklepik prowadziła rodzina Scoble'ów.

Przed dwudziestu laty mężczyzna o nazwisku Scoble, noszący przydomek „Biała Głowa”, poślubił Jinny Carter. W owym czasie pracował jako górnik w kopalni Wheal Leisure i był bezdzietnym wdowcem o pulchnej, rumianej twarzy. Chociaż skończył zaledwie trzydzieści lat, miał włosy białe jak mleko. Dwudziestotrzyletnia Jinny, najstarsza córka Zacky'ego Martina, była wdową z trojgiem dzieci. Jej mąż zmarł na zakażenie krwi w więzieniu w Launceston. Scoble zakochał się w Jinny – nie odwzajemniała jego uczuć, lecz posłuchała rad rodziców, którzy przekonywali, że dzieci potrzebują ojca. Poza tym sama chciała opuścić Namparę i Mellin. Scoble miał własną chatę w wiosce Grambler, a termin jej dzierżawy upływał za dziesięć lat. Małżeństwo układało się dobrze do chwili zamknięcia kopalni Wheal Leisure. Później Scoble imał się dorywczych prac i zaczął pić. Ross zaproponował pomoc, lecz Jinny odmówiła – miała własne powody, by to zrobić. Jednak w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym siódmym roku, kiedy ciotka Mary Rogers niechętnie sprzedała ostatnie dziesięć deko bakalii, po czym pochowano ją na cmentarzu przy kościele w Sawle, Ross podstępnie namówił Zacky'ego Martina, by wziął udział w licytacji sklepiku i jego skromnej zawartości. Zacky, bezczelnie kłamiąc, przekonał córkę, że jako zarządca majątku Poldarków zarobił dość pieniędzy, by kupić sklepik i pozwolić jej go przejąć.

Wkrótce potem Scoble Biała Głowa wrócił do żony, skruszony po pobycie w więzieniu. W następnych latach zgodnie pracowali i prowadzili spokojne, wygodne życie. Klepisko z odpadów z cegielni zastąpiono deskami, zamontowano drewniane półki, w oknie powieszono czystą koronkową zasłonę. Przy drzwiach umieszczono dzwonek, wymieniono wagi na uczciwe i zamówiono przyzwoite towary. W tej chwili przychodzili tu nawet mieszkańcy St Ann's, gdzie

sklep nie był tak dobrze zaopatrzony.

W drugim małżeństwie Scoble znowu nie miał dzieci. Bardzo to przeżywał, nie pojawiał się w pracy i pił, ale po skończeniu pięćdziesiątki pogodził się z losem. Był ojcem trojga dzieci Jinny, choć nigdy nie miały nosić jego nazwiska. Starsza córka, Mary, wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu. Młodsza, Katie, służyła we dworze w Trevaunance. Syn, Benjy Ross, obecnie nazywany Benem, w dalszym ciągu mieszkał z rodzicami.

Ben był dziwakiem. Skończył dwadzieścia pięć lat i jeszcze się nie ożenił. Nosił brodę, choć mieszkańcy okolicznych wiosek uważali, że brody miewają tylko żebracy i ubodzy starcy. Był muzyczny, lecz nie śpiewał w chórze ani nie grał na żadnym instrumencie, co byłoby konwencjonalnym sposobem wyrażania takich zdolności. Zamiast tego zbudował własne organy w sypialni na pięterku od strony podwórza i grał na nich, gdy był w nastroju. Otworzył również prywatną kopalnię półtora kilometra w głąb łądu od wioski Gambler; znalazł kilka aluwialnych złóż cyny i wydobywał rudę samodzielnie, aż złoża się wyczerpywały lub wykopy zalewała woda. Ponieważ miejsce znajdowało się na stoku wzgórza, Benowi udawało się zejść dość głęboko pod ziemię. Zarabiał niewiele, lecz żył skromnie, a gdy nadchodziły złe miesiące, utrzymywał się z oszczędności.

Dzięki temu trybowi pracy mógł mieć wolne, kiedy chciał, i wybierał się na ryby z Jeremym Poldarkiem. Jinny była równie zdziwiona tymi tajemniczymi wycieczkami jak Demelza. Nie podobało jej się również, że Ben spędza dużo czasu w Namparze, ale jej milcząca dezaprobatą nie robiła wrażenia na synu.

Sprzeciw Jinny był częściowo rezultatem starych, złośliwych plotek, które niegdyś przytoczył w jej obecności Jud Paynter. Szeptano, że Ben jest w istocie synem Rossa i że podobna blizna na jego policzku to piętno, diabelski znak pokrewieństwa. Z upływem czasu większość ludzi zapomniała o plotkach, zwłaszcza gdy Ben zapuścił brodę i blizna stała się mało widoczna. Jednak Jinny zdawała sobie sprawę, że pomarszczone staruchy siedzące przed chatami ciągle szepczą: „Nie wiecie, dlaczego zapuścił brodę? Cóż, to proste, zaraz wam powiem”. Z biegiem lat uczyniło to Jinny ostrożną w relacjach z dworem w Namparze, czasem wręcz wrogą wskutek nadmiernej ostrożności – nie chciała przyjmować pomocy od Rossa, by złośliwe plotki nie przybierały na sile.

Drugą przyczyną niechęci Jinny do wizyt Bena w Namparze była jego obsesja na punkcie Clowance. Wiedziała o niej i rozumiała, że syn nie ma szans na małżeństwo z córką dziedzica. Chociaż Bena i Clowance nie łączyło pokrewieństwo, dzieliła ich nieprzekraczalna bariera klasowa. Naturalnie pani Poldark była córką górnika, prostą wiejską dziewczyną, ale to nie znaczy, że patrzyłaby przychylnie na związek córki z synem górnika. Podobnie kapitan Poldark. Poza tym jako mężczyzna z biednej rodziny był z góry na straconej pozycji. Jeśli uboga dziewczyna wychodzi za mąż za dżentelmena, ma szansę, że jego sfera ją zaakceptuje. Jeśli



bogata panna poślubia robotnika, z reguły się deklasuje. Tak działa świat.

Panicz Jeremy Poldark sam szukał przyjaźni Bena. Paradoksalnie byli do siebie podobni, choć dorastali w dwóch różnych światach. Jeremy, wysoki, szczupły młodzian wychowany w komfortowych warunkach, darzył naturalną sympatią chudego, żyłastego górnika z krótką brodą, który, choć nigdy nie zaznał głodu, zawsze prowadził ciężkie, pracowite życie.

Wczesnym popołudniem na początku marca, gdy chwilowo nie wiał wiatr (w marcu jest to w Kornwalii zjawisko nietypowe), Jeremy zatrzymał się osiemset metrów od młyna Jonasa, zsiadł z kuca i zarzucił wodze na pieńek starego głogu. Rozciągający się przed nim teren wyglądał, jakby przekopał go kret, choć nie była to zielona łąka, tylko porośnięty trawą ugór z kępami wrzosów i kolcolistów. Ziemia rozkopana przez kreta nie była żyzna, składała się z kamieni zmieszanych z gliną i piaskiem.

Jeremy gwizdnął dwa razy i po chwili z jednej z dziur w ziemi wyszedł Ben, osłaniając oczy przed zamglonym słońcem. Obejrzeni razem ostatni kopczyk ziemi. W tej chwili, po zimowych deszczach, większość głębszych wyrobisk była zalana.

– Widzę ślady cyny, ale czy opłaca się ją przemycić? – spytał Jeremy.

– Nie muszę tego robić, bo na razie po prostu szukam drogi do złoża. Kopię niewielkie doły wokół wzgórza i patrzę, jak układają się bryłki rudy. Ich układ przypomina ogon indyka. Mogę dzięki temu określić, gdzie znajduje się główna żyła.

Przykucnęli i spoglądali na wzgórze.

– Ben, chciałbym, żebyś mi pomógł – powiedział Jeremy.

– Jak, chłopcze?

– Niedługo, może dziś albo jutro, chciałbym zejść do Wheal Leisure i obejrzeć kopalnię. Pójdiesz ze mną? Jesteś doświadczonym górnikiem, a ja nie.

Ben zważył kamień w ręce.

– W majątku Treneglosów? Do kopalni należącej do Warlegganów?

– Treneglosowie nie mieliby nic przeciwko temu. Młody Horrie to mój przyjaciel, a jego ojca to nie obchodzi.

– A Warlegganowie?

– Nie pojawiają się tam od lat. To dziesięć kilometrów od ich najbliższej kopalni w St Ann's. Kiedy zamknęli Wheal Leisure, sprzedali każdy kamień i stempel.

– Pamiętam, jak ją zamykali – powiedział Ben. – Byłem wtedy dzieckiem. Wpadliśmy w tarapaty, bo pracował tam ojciec. Mam na myśli pana Scoble'a, nie swojego prawdziwego ojca. Ja też miałem pracować w Wheal Leisure jako jego pomocnik. Zarabiałbym szylinga tygodniowo. Wszystko uzgodniono i nie mogłem się doczekać – moja pierwsza praca i pierwsze prawdziwe pieniądze. Później Warlegganowie ogłosili, że zamierzają zamknąć kopalnię. –

Wstał, wytarł błoto z kwadratowej łopaty, rozwiązał luźną barchanową kurtkę. – Czego chcesz

tam szukać?

– Tego, czego wszyscy szukamy.

– Kopalnia jest zrujnowana. Pewnie w większości zalana.

– Nie na klifie.

– W takim razie jutro. Rano?

– Ben, znasz złoża cyny w Wheal Grace. Poldarkowie stali się dzięki nim bogaci, wszyscy sobie jakoś radzili, okoliczne wioski. Były z tego pieniądze, ludzie mieli pracę, dostawali zapłatę. Ale teraz żyły schodzą coraz głębiej, nikt nie mówi tego otwarcie, choć wszyscy o tym szeptają. Południowa żyła jest wyczerpana, doskonale o tym wiemy. Północną eksploatujemy od półtora roku. Nie można liczyć na więcej. To nie wina mojego ojca, już od bardzo dawna co miesiąc przeznaczają sto funtów miesięcznie na poszukiwanie nowych złóż. Pogłębiają szyby, drążą chodniki, połączyli stare wyrobiska – pamiętasz, co się stało, gdy kopalnię zalała woda z Wheal Maiden i dwóch ludzi się utopiło. Robimy wszystko, co możliwe. Jak długo jeszcze Wheal Grace będzie przynosić zyski? Rok, może dwa, jeśli wzrośnie cena cyny. Wiem, że ojciec jeszcze przez rok lub dwa będzie tracił pieniądze. Moim zdaniem pora szukać innych możliwości.

– W Wheal Leisure?

– Przypuszczam, że moglibyśmy odkryć zupełnie nowe złożo. Na tyłach chaty w Reath jest niezłe miejsce, kopali tam Viguse'owie i Baragwanathowie. Nie znalazłeś niczego, co usprawiedliwiłoby otwarcie dużej kopalni?

– Nie można być pewnym bez wyposażenia i pieniędzy – odpowiedział ostrożnie Ben.

– Poza tym w okolicy jest kopalnia Gambler – rzekł Jeremy. – Jej otwarcie kosztowałoby fortunę. A także Wheal Penrose, za młynem Jonasa, która po roku zbankrutowała.

– Co kapitan Poldark sądzi o Wheal Leisure?

– To jego pierwsza kopalnia, prawda? Nie było mnie jeszcze na świecie. Wierzył w nią i przynosiła duże zyski. Ale kiedy przejęli ją Warlegganowie, przestał o niej myśleć, skupił się na Wheal Grace, która była wtedy tak zrujnowana jak teraz Leisure. Pytałem go wczoraj o Leisure. Wiesz, że nigdy nie była głębsza niż trzydzieści sążni?

– Wiem, że nigdy nie miała dobrej maszyny parowej.

– Co znaleźlibyśmy w Wheal Grace, gdybyśmy nie zeszli poniżej trzydziestu sążni?

Kuc Jeremy'ego zarżał. Ben podszedł do niego i poklepał go po chrapach.

– A Warlegganowie? – spytał.

– Będę musiał to sprawdzić, ale prawdopodobnie rozliczyli się z Treneglosami i nie mają żadnych udziałów. Byłoby dziwne, gdyby każda kopalnia w hrabstwie na zawsze pozostawała własnością inwestorów.

– Miejmy nadzieję, że nie są już zaangażowani. Pal ich diabli.

## II

Kiedy Jeremy rozmawiał z Benem Carterem, Ross odwiedził Tregothnan i poinformował swojego patrona, że w następnych wyborach nie będzie się ubiegał o reelekcję. Edward, czwarty wicehrabia Falmouth, przyjął tę deklarację bez komentarza i powąchał pąk magnolii, który niedawno się zaróżowił. Kiedy się wyprostował, Ross spojrzął mu w oczy i uśmiechnął się ponuro.

– Pańska rodzina zbyt długo musiała znosić moje kaprysy, milordzie.

– Czy to my tak uważamy, czy pan?

– Wielokrotnie głęboko irytowałem pańskiego ojca i jestem pewien, że miał ochotę wysłać mnie do diabła.

– Rzadko się zdarza, by między przyjaciółmi nie pojawiały się rozbieżności poglądów. Przynajmniej jeśli ich przyjaźń ma jakąś wartość.

Ross znał nowego wicehrabiego od czasu, gdy Edward skończył dziesięć lat, lecz po odziedziczeniu przez niego tytułu rzadko się widywali. Edward Boscawen był wyższy, mocniej zbudowany od ojca, miał świeżą cerę, niedawno się ożenił, ale w dalszym ciągu zachowywał się jak młodzieniec. Jednak w trakcie krótkich spotkań Ross wyczuwał w nim determinację i ambicję, niezachwianą wierność ideałom torysów, co nie zgadzało się z jego własnymi poglądami. Lubił tego chłopca – raczej młodego człowieka (wicehrabia miał teraz dwadzieścia cztery lata) – lecz nie wierzył, że w chwili sporu łatwo będzie uznać, że każda ze stron powinna pozostać przy swoim zdaniu, jak bywało z ojcem Edwarda. Zmarły trzeci wicehrabia był zaledwie dwa lata starszy od Rossa, z upływem lat zaczęli się wzajemnie szanować. Tym razem z pewnością wszystko się zmieni.

– Piętnaście lat w parlamencie to długi okres – rzekł Ross. – Poza tym, jak wasza lordowska mość wie, nie jestem bogaty, a moje ciągłe wyjazdy z Kornwalii sprawiły, że zaniedbałem własne interesy.

– W jaki sposób?

– Przede wszystkim nie dbam o kopalnię, od której zależy dobrobyt mojej rodziny. Są również inne kwestie...

– Ma pan kompetentnego zarządcę, faktora?

Ross lekko się uśmiechnął.

– Próbowałem osobiście zarządzać majątkiem, ale nie daje się tego robić in absentia. – Zapadło milczenie. Ross miał wrażenie, że Falmouth czeka na dalsze wyjaśnienia. – Najgorsze rzeczy wydarzyły się w tysiąc osiemset drugim i tysiąc osiemset trzecim roku. Były też inne

sprawy.

– Proszę kontynuować. Jestem zainteresowany.

– Tuż po narodzinach mojej ostatniej córki wyjechałem na dłuższy czas – najpierw przebywałem z doktorem Dwightem Enysem we Francji, szukając jego przyjaciół lub ich zmarłych krewnych, a później, kiedy zrozumiałem, że pokój, pokój podyktowany przez Napoleona, to fałsz, udałem się do Londynu, by przekonać Pitta do powrotu, nim będzie za późno... W czasie mojego wyjazdu w Wheal Grace doszło do oszustw. Moja żona była zajęta dzieckiem, syn miał zaledwie dwanaście lat, zarządca chorował, a grupa górników wymyśliła podstępny plan, by okradać kopalnię z wydobywanej cyny.

– Nie musieli jej wytopić?

– Nie, wysyłali rudę do Francji statkami, które szmuglowały jedwab i brandy. Przemysłowcy często wożą ładunki w obie strony.

Falmouth ponuro się roześmiał.

– Nigdy nie słyszałem, by tych nikczemników postawiono przed sądem. Może byłem za młody.

– Nie. Wolałem nie wnosić oskarżenia.

– Dlaczego? Nikt nie powinien czuć, że może bezkarnie łamać prawo. To błąd.

– Zgadzam się co do zasady. Ale był to trudny okres, wasza lordowska mość pamięta. Pozbyłem się czterech prowodyrów, a reszta się uspokoiła. Niektórzy ludzie łatwo dają sobą kierować, choć nie wszyscy... Wie pan, co powiedział do mnie jeden z nich? „Uważaliśmy, że teraz, gdy zawarliśmy pokój z Francją, nie ma w tym nic złego”.

Młody mężczyzna znów się roześmiał, bardziej swobodnie.

– Kapitanie Poldark, zawsze sam pan decydował, kiedy opuścić Kornwalię. I tak przebywał pan w Londynie znacznie dłużej, niż można od pana wymagać. Nie muszę mówić, że wielu pańskich kolegów, posłów do Izby Gmin, to prowincjonalni ziemianie, którzy traktują parlament jak kluby White's i Boodle's – wpadają, gdy mają ochotę, lecz zwykle mieszkają w swoich hrabstwach.

– Och, to prawda. Później pojawiła się możliwość wyjazdów za granicę i wydawało mi się, że w ten sposób lepiej przysłużę się krajowi w czasie wojny niż...

– Rzeczywiście tak się stało. Nie ma co do tego wątpliwości... Chodźmy do domu. Wieje zimny wiatr.

Weszli do dworu i pili maderę wśród starych zbroi i sztandarów bitewnych.

– Zauważyłem rusztowania, cegły i kamienie – rzekł po chwili Ross. – Czy wasza lordowska mość coś buduje?

– Będzie to prawie nowy dom – odparł Falmouth. – Ten jest mały i niewygodny. Architektem jest pan Wilkins.

Ross uniósł brwi. Rezydencja Falmoutha, choć wyjątkowo ponura, z pewnością nie była mała – chyba żeby porównywać ją z pałacem. Wydawało się, że bogaci sąsiedzi Rossa są zainteresowani nowymi pracami budowlanymi. Również młodszy, którzy niedawno zawarli związki małżeńskie. Trevanion wznosił swój zamek, mając dwadzieścia kilka lat.

– Jak się czuje lady Falmouth?

– Bardzo dobrze, dziękuję. W przyszłym tygodniu pojedę do niej do Woolhampton House. Wie pan, że spodziewa się pierwszego dziecka?

Ross nie miał o tym pojęcia i złożył gratulacje. Przez jakiś czas rozmawiali o Portugalii, po czym Ross rzekł:

– Z biegiem lat zrozumiałem również, że sprawowanie przeze mnie mandatu przysparza strat finansowych ojcu waszej lordowskiej mości. Patroni okręgów wyborczych spodziewają się odnosić korzyści z wyboru posłów.

– To część obecnego systemu. Zdaje się, że chciałby go pan zmienić.

– Tak. Zwłaszcza gdy dochodzi do takich sytuacji jak wtedy, gdy sir Christopher Hawkins pozbawił mandatu Daviesa Gilberta, ponieważ John Shelley zaproponował większą kwotę.

Młody człowiek zmarszczył nos.

– Hawkins kompromituje cały system. My – to znaczy mój ojciec, ja i inni ludzie o podobnych poglądach – rozróżniamy patronat od korupcji. Staramy się wspierać uczciwych posłów z pokolenia na pokolenie, korzystając z ich talentów. Nie próbujemy sprzedawać mandatów każdemu, kto proponuje większe korzyści lub pieniądze.

Ross przypomniał sobie wydarzenia, które rozegrały się w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym szóstym i dziewięćdziesiątym siódmym roku, lecz powstrzymał się od komentarzy.

– To subtelne rozróżnienie. Chyba można utrzymywać, że nawet jeśli nie płaci się gotówką, płaci się obietnicami.

– Nasza rodzina pozwoliła panu zachować mandat, lecz sądzę, że nie powinien się pan przejmować naszymi stratami z tego tytułu – rzekł lord Falmouth. – Kiedy wszedł pan do Izby Gmin, wyrobił pan sobie markę w Westminsterze, zwłaszcza w ciągu ostatnich lat – och, wiem, że nie przemówieniami w parlamencie – i mój ojciec czuł satysfakcję, że reprezentuje pan jego okręg wyborczy, co pozwala panu działać dla dobra kraju. W pewnym sensie przynosiło mu to korzyści. Podobnie jak mnie.

– To bardzo miło ze strony waszej lordowskiej mości – odparł Ross.

– Jednak zgadzam się, że czasami mój ojciec nie podzielał pana poglądów na różne kwestie – ciągnął arystokrata. – Zdaje się, że przede wszystkim chodziło o pana poparcie dla emancypacji katolików.

– W dalszym ciągu jestem jej zwolennikiem – rzekł Ross.

Lord Falmouth popijał maderę i spoglądał na postrzępione sztandary.

– Ma pan jakieś związki rodzinne z katolikami? Na przykład małżeństwo...

– Żadnych.

– I pochodzi pan z rodziny hugenotów? Ktoś mi o tym wspominał.

– To było dawno temu – odparł z uśmiechem Ross.

– Jednak sprawia, że pańskie poglądy są jeszcze dziwniejsze.

– Nie... Po prostu mam wrażenie, że obecne prawa częściowo pozbawiają możliwości rozwoju dużą grupę utalentowanych obywateli, którzy są równie lojalni wobec Korony jak wasza lordowska mość i ja.

– Remedium leży w ich własnych rękach!

– Oni tak nie uważają, milordzie. Ośmielam się twierdzić, że wielu angielskich protestantów też tak nie sądzi.

– Cóż... Muszę panu powiedzieć, Poldark, że jestem równie stanowczym przeciwnikiem jakiegokolwiek rozluźnienia obecnych praw jak ojciec. A nawet większym. Uważam, że przyznanie tym ludziom pełnych praw obywatelskich byłoby wielkim błędem i katastrofą dla kraju. W istocie rzeczy są oni lojalni wobec Rzymu.

Ross znów się uśmiechnął.

– W takim razie może lepiej, bym zrezygnował, dopóki wybór należy do mnie.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Proszę się nie śpieszyć. Na razie nie zbliżają się wybory, więc proponuję, by pozostał pan posłem do końca kadencji parlamentu. W odpowiednim czasie podejmiemy stosowne decyzje.

Zapadło milczenie.

– Jeszcze kieliszek madery?

– Dziękuję, nie. Chciałbym wrócić przed zmrokiem do domu.

Młody wicehrabia wstał.

– Skoro mówimy o wyborach, co pan sądzi o pojedynku między sir Christopherem Hawkinsem a lordem de Dunstanville'em?

– Co takiego?! Między Hawkinsem a Bassetem?! Nic nie słyszałem! Kiedy się odbył?!

– W czasie pana nieobecności. Myślałem, że już pan o tym wie ze względu na swoją przyjaźń z de Dunstanville'em. Chociaż, ogólnie rzecz biorąc, taka awantura nie przynosi nikomu zaszczytu.

– Kiedy się pojedynekowali?

– W listopadzie. W Londynie. Byłem wtedy w stolicy, lecz wówczas nic o tym nie słyszałem. Doszło do scysji na jakimś przyjęciu wigów. Już od pewnego czasu ich stosunki były bardzo napięte: oczywiście chodziło o Penryn. Słyszał pan o ich rywalizacji. I nagle doszło do kłótni. Podobno Hawkinsowi towarzyszył Warleggan. Rozmawiała z nimi pani domu, gdy na widok

przechodzącego de Dunstanville'a Hawkins wygłosił uwagę na temat „kornwalijskich karzełek w zielonych strojach”. Wszyscy wiedzieli, że to aluzja do niskiego wzrostu de Dunstanville'a i jego butelkowitzelonego surduta. De Dunstanville natychmiast wyzwiał Hawkinsa na pojedynek, a ten przyjął wyzwanie. W następnym tygodniu spotkali się w ogrodach kaplicy Savoy.

– A rezultat?

– Nie domyśla się pan? Obaj spudłowali, wymogom honoru stało się zadość – do pewnego stopnia – po czym sztywno uściśnęli sobie ręce, skłonili się i sprawa się zakończyła. Ta kłótnia nie przynosi zaszczytu żadnemu z nich, więc nic dziwnego, że obaj próbują ją zatuszować.

Ross podążył za gospodarzem do drzwi.

– Pojedynki rzadko przynoszą zaszczyt ich uczestnikom.

Wicehrabia spojrzął na gościa.

– Ojciec opowiadał mi o okolicznościach pojedynku, w którym brał pan udział. Wtedy sytuacja była zupełnie inna. Obrażono pana żonę... ale ta awantura...

– Tak, były pewne różnice. Ale wtedy ktoś zginął.

Słowo „zginął” towarzyszyło im w drodze przez sień, w której odbijał się echem odgłos ich kroków, gdy stąpali po dębowej podłodze. Słowa Rossa wydawały się mimowolną aluzją do jego buntowniczej i krnąbrnej natury. Młody arystokrata milczał, gdy wkładali peleryny podane przez lokaja. Mocne kości policzkowe Rossa z upływem lat stały się jeszcze bardziej wyraziste, bardziej posępne.

– Jak się czuje pani Poldark? – spytał łżejszym tonem Falmouth. – Kiedy wrócimy – pod koniec lipca lub w sierpniu, jeśli wszystko pójdzie dobrze – muszą państwo przyjechać na chrzciny. Moja ciotka, pani Gower, również nas odwiedzi. Wiem, że bardzo lubi pana małżonkę.

– Dziękuję, milordzie. Będziemy zaszczytzeni.

Edward Falmouth spojrzął na swoją posiadłość.

– Z nowej części dworu będziemy mieć lepszy widok na rzekę. Ale to kwestia przyszłości. Roboty zajmą kilka lat. Myślę, że za młodu mój ojciec miał podobny pomysł, jednak stracił motywację po śmierci mojej matki.

– Dawno temu to samo przydarzyło się mojemu ojcu, oczywiście na znacznie mniejszą skalę. Budowę Nampary rozpoczęto w tysiąc siedemset sześćdziesiątym piątym roku i zakończono dopiero w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym siódmym, gdy moja kopalnia przynosiła największe zyski i stać mnie było na coś więcej niż zaspokajanie podstawowych potrzeb życiowych.

Masztalerz przyprowadził konia Rossa.

– Bank Kornwalijski z pewnością dobrze sobie radzi? – spytał Falmouth.

– O tak. Ale wasza lordowska mość musi rozumieć, że chociaż jestem pełnoprawnym

wspólnikiem, zainwestowałem stosunkowo niewielką kwotę. Dlatego mój udział w zyskach również jest niewielki.

– Słyszałem, że bank Warlegganów ma kłopoty.

Ross spojrział ze zdziwieniem na młodego człowieka.

– Mówi pan poważnie, milordzie?

– Tak mi powiedziano, choć nie w Kornwalii.

– Przecież... przecież słyną z tego, że nigdy nie popełniają błędów.

– Podobno sir George wpadł w tarapaty finansowe. Spekulował w środkowej Anglii w nadziei na poprawę koniunktury. Zamiast tego kryzys się nasilił i chyba nieprędko coś się zmieni.

– Zupełnie nie poznaję George'a.

– Krążą plotki, że nieustannie brakuje im gotówki. W Truro Warlegganowie udają, że nic się nie dzieje, i większość ludzi zdaje się im wierzyć.

– Na ich miejscu ja również bym wierzył.

– Rozumiem, że dobrze pan zna sir George'a.

– Można tak powiedzieć.

– Spotkałem go tylko kilka razy. Uważałem go za parweniusza i dość niesympatyczną personę. Oczywiście mój ojciec go nie znosił.

– Cóż, tak. Niechęć pana ojca do George'a Warleggana to jedna z przyczyn, które spowodowały, że zostałem posłem z okręgu wyborczego waszej lordowskiej mości.

– Och, proszę tak nie mówić. Jest pan niesprawiedliwy wobec samego siebie. Ale wiem, co pan ma na myśli. W odróżnieniu od wielu synów...

Ross czekał.

– Co pan chciał powiedzieć, milordzie?

– Chciałem powiedzieć, że w odróżnieniu od wielu synów słuchałem ojca i dużo z nim rozmawiałem. Dobrze się rozumieliśmy. Dużo mi opowiadał o okręgach wyborczych, które kontrolujemy, i o miejscowych posłach. Chociaż często przebywał w Londynie, bacznie obserwował to, co się dzieje w Truro. Mówił na przykład o bankructwie banku Pascoe.

– Tak.

– Właśnie. A także o plotkach i pamfletach, które rozpowszechniano, by doprowadzić go do plajty.

– Och, to prawda.

Zapadło znaczące milczenie. Wicehrabia odprowadził Rossa do drzwi, lecz nie zęgnął gościa.

– Harris Pascoe nie żyje?

– Tak. Niestety, zmarł w zeszłym roku.

– Szkoda.

– Zgadza się. Czemu pan pyta, milordzie?



– Rozumiem, że zajmował wpływowe stanowisko w pańskim banku. Banki – wszystkie dobre banki – dysponują niszczącą siłą. Może Pascoe chciałby jej użyć?

Ross popatrzył na murawę i lśniąca rzekę.

– Co pan sugeruje, milordzie?

– Sugeruję? Niczego nie sugeruję.

– A zatem na co pan wskazuje?

Młody Boscawen lekceważąco skinął dłonią.

– Pański przyjaciel Pascoe mógłby chcieć wyrównać stare porachunki. To wszystko.

Na widok Rossa jego koń zarżał, gotowy do drogi.

– A pan, milordzie?

– Co ja?

Ma pan ochotę wyrównać stare porachunki?

– Nie mam starych porachunków z Warlegganami. Nie wiem, jak traktowałby to ojciec. To dawne czasy. Tak czy inaczej, dla mnie to tylko kwestia teoretyczna. Moja rodzina ma niewielkie udziały w kornwalijskich bankach, a nasze zaangażowanie w miejscowy handel nie pozwala wywierać wpływu na tę kwestię, gdybyśmy chcieli to zrobić.

– Takie działania mógłby podjąć Bank Kornwalijski.

– To on musi zdecydować, prawda?

– Rzeczywiście. Tak, owszem. – Ross wsiadł na konia i uchylił kapelusza. – Życzę waszej lordowskiej mości miłego dnia. To, co pan powiedział, skieruje moje myśli w zupełnie nową stronę w czasie jazdy do domu.

## Rozdział szósty

### I

Tydzień później sir George Warleggan odwiedził swojego stryja w kantorze za rezydencją Warlegganów w Truro. Przez ostatnie dziesięć lat Cary prawie się nie zmienił. Jako mężczyzna w średnim wieku był dosyć dobrze zbudowany, lecz bardzo schudł z powodu bradypepsji. Bez ubrania wyglądał jak model ludzkiego ciała przedstawiający budowę anatomiczną człowieka, choć na szczęście nikt nigdy nie oglądał go nago. Krótko ostrzyżone siwe włosy zasłaniała mycka, a czarne ubranie wisiało, jakby przed chwilą wyszedł z morza. Jednak oczy, spoglądające zza grubych okularów, były jak zawsze czujne, a umysł, przyzwyczajony do nieustannego dodawania i odejmowania liczb, działał sprawnie jak automat. W ciągu ostatniego miesiąca Cary zaczął odczuwać głęboką antypatię do swojego wybitnego bratanka.

– Otrzymałeś odpowiedzi, stryju? – spytał George.

– Mam je, jeśli zadawałem pytania – odparł Cary. – Reakcje nie były pozytywne.

– Jeśli zadawałeś pytania? Co to znaczy?

– To znaczy, że im mniej ludzi wie, że potrzebujemy pieniędzy, tym jesteśmy bezpieczniejsi. To podstawowa sprawa. Można się jej dowiedzieć z książek dla dzieci. Pisanie do innych banków, zwracanie się do nich powoduje, że wiadomości się rozprzestrzeniają. Napisałem tylko do trzech, w najbardziej ogólny sposób: do Carne'a z Falmouth, do Robinsa, Fostera i Coode'a z Liskeard i do Bolitha z Penzance. Zgodnie z oczekiwaniami wszyscy udzielili podobnych odpowiedzi.

– Jakich?

– Wymówki. Najróżniejsze. Wojna z Francją się przeciąga, eksporterzy ponoszą rujnujące straty, zmniejsza się emisja skryptów dłużnych, trudno o kredyt, wszyscy próbują ograniczyć wielkość swoich zobowiązań. Czy można się spodziewać czegoś innego? Czy kiedykolwiek próbowaliśmy zjednać sobie tych ludzi? Nie. Uważaliśmy, że ich nie potrzebujemy, że nigdy nie będziemy potrzebować. Myśleliśmy, że jesteśmy bezpieczni, mamy odlewnie, kopalnie cyny i miedzi, młyny, szkunery, walcownie! Kto mógłby przypuszczać, że jedyny syn Nicholasa Warleggana – wnuk Luke'a Warleggana – oszaleje i wyda fortunę na zakup zbankrutowanych fabryk w Manchesterze!

– Najgorsze mamy już za sobą – odparł sucho George.

– Najgorsze jeszcze nie minęło. Wcale. Kiedy przeszło dziesięć lat temu zmarła twoja żona, zaangażowałeś się w kilka niemądrych spekulacji – ale wynikało to z niestaranności, co rozumiałeś, bo byłeś wytrącony z równowagi. Przywiązywałeś zbyt wielką wagę do tej kobiety, nie wiedziałeś, co robisz. Ale teraz?! Gdy jesteś u szczytu potęgi?!

– Nie straciłem wszystkiego, co zainwestowałem. W odpowiednim czasie musi nastąpić poprawa.

– Co z farbiarnią perkalu, którą kupiłeś? Jak ona się nazywa? Ormrod? Plajta! To nie poprawa, tylko strata całego kapitału, George, całego! Utrzymujesz przy życiu fabrykę Fleminga, marnując na to pieniądze. A towary, których jesteś właścicielem? Równie dobrze mógłbyś inwestować pieniądze w odpady z hałd kopalnianych! Co się z tobą dzieje?!

– Gdyby książę regent pozostał lojalny wobec swojej partii, wojna by się skończyła... Czy mogłem przewidzieć, że w ostatniej chwili zmieni front?!

Cary wertował papiery leżące na biurku. Wszystkie dotyczyły inwestycji George'a na północy. Cary uważał je za zbrodnię przeciwko rodzinie.

– Książę jest próżny i chwiejny – rzekł George. – Jeśli wojna przybierze zły obrót, książę może się zwrócić w stronę wigów i mimo wszystko zawrzemy pokój z Francją. Wtedy moje straty zmieniłyby się w zyski. Oczywiście dopóki będę w stanie zachować to, co kupiłem.

Cary zacisnął wargi, aż przypominały cienką szczelinę między deskami podłogi.

– Czasami ludzie stają się zbyt zadufani, zbyt pewni siebie, zaczynają robić interesy z dala od okolic, które znają, inwestują w branże, których nie rozumieją, próbują ekspansji w nieznanych dziedzinach. Nie spodziewałem się tego po tobie, George. Twoja matka wie?

– Oczywiście, że nie. Jest zbyt chora, by ją martwić takimi sprawami.

– Jeśli to wszystko źle się skończy, będzie musiała się dowiedzieć. – Cary spojrzął znad okularów na bratanka. – Nigdy nie byłeś hazardzistą, George. Co cię skłoniło do hazardu? Czy następna kobieta?

George odetchnął głęboko.

– Uważaj, stryju. Możesz się posunąć za daleko.

– Słyszałem plotki. Nie myśl, że nic nie wiem, bo prawie nie wychodzę z domu. Tak nie jest. Krążą plotki. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– I nie zamierzam odpowiadać. Nie rządysz światem z tego kantoru, nie rządysz również mną. Powiedz mi, jak wygląda w tej chwili sytuacja, a potem zostawię cię z twoimi obliczeniami, stryju.

Cary gwałtownym ruchem przesunął papiery na bok, po czym otworzył rejestr skryptów dłużnych emitowanych przez bank. Odkąd George otrzymał tytuł szlachecki, coraz trudniej było przywoływać go do porządku. Chociaż obaj mężczyźni często miewali identyczne poglądy, w razie różnicy zdań George częściej stawiał na swoim. Ale oczywiście jeszcze nigdy nie doszło

do takiej sytuacji.

– Gdyby jutro zaczął się kryzys i wybuchła panika, a tłumy ludzi zaczęły szturmować kasy i domagać się pieniędzy, mielibyśmy pokrycie dwudziestu procent naszych skryptów dłużnych!

– To zaledwie pięć procent więcej niż w zeszłym tygodniu!

– Nie da się zdobyć gotówki z dnia na dzień! Jeśli rzucimy aktywa na otwarty rynek, natychmiast zbijemy ich kurs.

George podszedł do szuflady, otworzył ją i wyjął teczkę. Znajdowała się w niej lista wszystkich jego inwestycji.

– Były dziś jakiegokolwiek oznaki paniki?

– Więksi depozytariusze jak dotąd się nie pojawili. Brewer Michell przyszedł prolongować weksle. Musiałem odmówić. Robi to złe wrażenie, bo niewątpliwie może je zdyskontować w innym banku. Symons wypłacił więcej, niż ma w zwyczaju, przeszło połowę swojego wkładu, ale to płotka.

– Cóż, a zatem...

– W mieście panuje nerwowość, możesz mi wierzyć. Czuję ją. Widzę w oczach ludzi. To jak pole kolcolistu po suchym lecie – po prostu czeka na pierwszą iskrę.

– Mamy trochę akcji Kompanii Wschodnioindyjskiej – powiedział George, spoglądając na listę. – Moglibyśmy je szybko sprzedać z niewielką stratą... Ale idealny byłby inny bank – jeden z większych – który zdyskontowałby skrypty na dwadzieścia tysięcy funtów. Wtedy bylibyśmy bezpieczni.

– A Bank Kornwalijski?

– Co z nim?

– Byłeś kiedyś w dość przyjacielskich stosunkach z de Dunstanville'em. Byłby to z jego strony miły sąsiedzki gest.

– Wykluczone.

– Dlaczego?

– Od lat prawie nie utrzymujemy kontaktów, a w listopadzie zeszłego roku uczestniczyłem, zupełnie niewinnie, w kłótni między nim a sir Christopherem Hawkinsem. Skończyło się na pojedynku. Byłem jednym z sekundantów Hawkinsa. W tej chwili taka prośba nie wchodzi w grę.

– Zawsze jest coś...

– Tak czy inaczej, gdybyśmy się zwrócili do Banku Kornwalijskiego, zrobilibyśmy to, czego starałeś się uniknąć. To nasi najwięksi konkurenci w Truro...

– A Hawkins? Jest właścicielem wielkiej kopalni Hallamannin i kopalni galeny w dolinie Chiverton.

– Och, to miły człowiek, przyznaję. Nie można jednak oczekiwać, że spełni taką prośbę.

Zapadło milczenie.

– Czy mogę na tobie polegać, Cary? – spytał George.

– Polegać?

– Jesteś bogatym człowiekiem. Powinno ci zależeć na wypłacalności banku tak samo jak mnie.

Cary potarł czoło pod myką. Na księgę rachunkową posypał się łupież.

– Większość moich funduszy jest zainwestowana. Nie można ich natychmiast uruchomić.

– Trzymasz w sypialni na piętrze tysiąc funtów w złocie. Mówił mi ojciec.

– Nie powinien wtrącać nosa w cudze sprawy. Teraz jest mniej.

George popatrzył na stryja.

– Przypuśćmy, że stanie się najgorsze i ktoś rzuci iskrę na pole kolcolistu. Ile byśmy potrzebowali?

– W razie prawdziwej paniki? Nie mniej niż trzydzieści tysięcy.

– Możemy liczyć na dwanaście. Może jeszcze dwa tysiące, jeśli doliczyć wolne aktywa i gotówkę. Zgadza się?

– W przybliżeniu.

George zamknął teczkę, starannie umieścił w szufladzie, zamknął na klucz i obrócił go w palcach.

– Nie zamierzam dopuścić do bankructwa banku. Sprzedaż odlewni w Bissoe dostarczyłaby niezbędnego kapitału.

– Nie możesz się pozbyć odlewni! To fundament, na którym zbudowaliśmy cały nasz majątek! Przypominam ci, że mam jedną trzecią udziałów.

– A ja pięćdziesiąt pięć procent. Mogę sprzedać odlewnię, gdyby doszło do najgorszego.

– Za bezcen, pośpiesznie... To szaleństwo!

– Bankierzy czasem nie mają wyboru...

– Jest jeszcze Cardew – odezwał się Cary.

George spojrzał z niechęcią na stryja.

– Chciałbyś wyrzucić z domu szwagierkę, bratanka, bratanicę?

Cary zacisnął pięści, po czym wrzucił ramionami, jakby strząsał z siebie koszmar, który wymagał pozbycia się części prywatnego majątku w imię lojalności wobec rodziny.

– Cóż, sam powiedziałeś, że najważniejszy jest czas. Posiadamy duże aktywa, ale nie możemy urządzić licytacji kopalni lub odlewni – dać ogłoszenia do gazety i tak dalej – gdy ludzie będą krzyczeć przy kasie, żądając gotówki! To wykluczone, George. Ludzie z ulicy, mimo plotek i szeptów, nie uwierzą tak łatwo, że bank Warlegganów może mieć kłopoty, bo zawsze był solidny. Powinniśmy działać zdecydowanie, pokazać nasze aktywa, chętnie iść na rękę klientom. Teraz rozumiem, że popełniłem błąd, gdy dziś rano nie prolongowałem weksli

Brewera Michella. Musimy postępować odważnie, nie ostrożnie. Sprzedaż Bissoe albo Cardew byłaby zbrodnią, samobójstwem. Stanowczo ci radzę, George, natychmiast spieniężyć swoje inwestycje w Manchesterze, choćbyś otrzymał niewielką cenę. Muszą być coś warte, zapewne parę tysięcy. Zdobądź gotówkę – ile możesz – i wyślij złoto dylizansem do Truro. Stracisz osiemdziesiąt procent, to przykre, ale kilka dodatkowych tysięcy w ciągu najbliższych tygodni, schowanych pod ładą, gotowych do użycia, może wystarczyć, by powstrzymać panikę... Wtedy nie musielibyśmy mówić o innych poświęceniach.

## II

Ross jeszcze nie odwiedził Francisa Basseta, barona de Dunstanville'a. Powtarzał sobie, że sprawy domowe są pilniejsze, a mimo to znalazł czas na złożenie wizyty lordowi Falmouth.

W istocie rzeczy chodziło o to, że w ciągu ostatniego roku ich stosunki się ochłodziły. Zbiegło się to w czasie ze skandalem kochanki księcia Yorku, pani Clarke, która handlowała zamówieniami dla wojska. Stało się to *cause célèbre*, która zbyt długo zajmowała Izbę Gmin w czasie, gdy należało podjąć wiele ważniejszych decyzji. Jeden z posłów, pułkownik Gwyllym Wardle, z uporem podtrzymywał swoje oskarżenia i wiązał je z kwestią skorumpowanych okręgów wyborczych. Ross stanął po jego stronie i wygłosił jedną ze swoich rzadkich mów w Izbie Gmin. Później, gdy sprawa zyskała rozgłos, opowiedział się po stronie reformatorów, którzy organizowali spotkania w całym hrabstwie, domagając się zmian i wytepienia korupcji. Basset był temu zdecydowanie przeciwny, również przemawiał na spotkaniach i z całych sił starał się pokrzyżować szyki reformatorom. Chociaż w końcu emocje opadły i z pozoru wszyscy pozostali najlepszymi przyjaciółmi, arystokrata nigdy nie zapomniał Rossowi poparcia dla ludzi uznawanych przez siebie za jakobinów.

Nie był to zatem szczególnie szczęśliwy moment, by omawiać sprawy hrabstwa, a zwłaszcza Warlegganów. Ross nie wiedział również, czy Basset byłby skłonny wyrazić swoją niechęć do George'a i jego stryja w sposób, jaki zasugerował Falmouth. W ciągu ostatnich dziesięciu lat w Banku Kornwalijskim zaszło wiele zmian. Obecnie głównymi udziałowcami byli Mackworth Praed, Stackhouse, Rogers, Tweedy, Poldark i Nankivell. De Dunstanville postanowił wycofać swoje nazwisko, choć wszyscy zdawali sobie sprawę, że dysponuje pakietem kontrolnym akcji. W następnym tygodniu miało się odbyć w Truro spotkanie wspólników. Niewątpliwie odbędzie się dyskusja o sytuacji banku Warlegganów, ponieważ dwa banki działające obok siebie w niewielkim mieście z natury rzeczy są wrażliwe na zmiany w swojej kondycji finansowej. Gdyby doszło do dyskusji na ten temat, jakie stanowisko powinien zająć Ross?

Pewnego ranka na niebie nagle pojawiło się jasne słońce – zwiastowało to deszcz przed

zmrokiem – i Ross wyszedł do ogrodu, w którym pracowała Demelza. Dziesięć lat wcześniej, zainspirowana wizytą w Strawberry Hill i niezadowolona z pozostałości prac górniczych wokół dworu, namówiła Rossa, by kazał zbudować wokół ogrodu mur z kamieni układanych bez zaprawy. Mur był podłużny i łączył się z dworem w rejonie biblioteki, gdzie budynek przybierał kształt litery L. W miejscu osłoniętym od wiatru przepięknie kwitły żonkile, tulipany i inne kwiaty pojawiające się wiosną i wczesnym latem. Ale po lipcu sytuacja się pogarszała, ponieważ gleba była zbyt lekka, by zachowywać wilgoć. Poza tym w zimie, często również wiosną, ogród niszczyły wichury, przed którymi nie mógł go ochronić nawet mur. Niekiedy wszystkie rośliny były połamane i czarne jak po pożarze. Jednak w okresach lepszej pogody barwne kwiaty hojnie wynagradzały wysiłki Demelzy i jej przypadkowych pomocników. Już dawno zrezygnowała z prób sadzenia w ogrodzie drzew. Trudno było hodować nawet malwy.

Tego ranka, jakby przez szczególny zbieg okoliczności, okopywała prezent otrzymany od Hugh Armitage’a dziesięć lat wcześniej, zasadzony pod ścianą biblioteki. Wyprostowała się na widok nadchodzącego Rossa i odgarnęła włosy z czoła czystym przedramieniem.

– Dwie magnolie Falmouthów, które przyplłynęły z Karoliny w tym samym czasie co nasze, mają sześć i pół metra wysokości i jedna wypuściła pąki.

– Ta biedna roślina nigdy nie czuła się tu dobrze. I przeżyła ciężką zimę. Moim zdaniem nigdy ładnie nie wyrośnie. Gleba jest nieodpowiednia.

Stali, patrząc na magnolię. Rozmawiali lekkim tonem, prawie nie pamiętając o Hugh Armitage’u.

– Może powinna wrócić tam, gdzie jest jej miejsce – powiedziała Demelza.

– Dokąd? Do Tregothnan?

– Roślina, która ani nie więdnie, ani nie rośnie... znajduje się w niewłaściwym środowisku.

– Nie, zachowaj ją.

Demelza uniosła wzrok i spojrzała z uśmiechem na męża. W jej oczach zalśniło słońce.

– Dlaczego?

– Po co mamy ją zachować? Cóż, stała się częścią naszego życia. – Przypominała o dawnych błędach zarówno Rossa, jak i Demelzy, lecz nie powiedział tego otwarcie. Było to oczywiste. W jego głosie nie było urazy.

W tej samej chwili do ogrodu wbiegła, wrzeszcząc, Isabella-Rose. Pędziła po trawie. Nieznajomy mógłby pomyśleć, że się poparzyła, ale rodzice rozumieli, że to po prostu oznaka doskonałego humoru, radość z życia. Obok niej pędził w podskokach Farquahar, seter angielski. Oboje wypadli przez furtkę prowadzącą na plażę.

Demelza spojrzała za nimi, lecz zniknęli z pola widzenia. Prawdopodobnie turlali się na piasku poniżej muru otaczającego ogród.

– Jest bardziej podobna do ciebie niż pozostali dwoje – zauważył Ross.

– Przysięgam, że nigdy tak nie wrzeszczałam!

– Nie znałam cię, gdy miałaś osiem lat, ale nawet w wieku osiemnastu lat zdarzały ci się szalone chwile.

– Bzdury.

– I później. I później. W wieku dwudziestu jeden lat wypłynęłaś sama na ryby przed urodzeniem Jeremy'ego.

– I w końcu się urodził. Może to właśnie z powodu mojej wyprawy tak bardzo lubi żeglować! Skąd on się wziął, Ross? Jest niepodobny do żadnego z nas.

– Zgadzam się z tą opinią!

– Ostatnio się zmienił – odparła niepewnie Demelza. – Od kilku tygodni jest w doskonałym humorze.

– To nie tylko nonszalancja?

– Nie tylko.

– Tak czy inaczej, zanim do nas dołączy, powiem ci coś o George'u, o czym w zeszły piątek mówił mi lord Falmouth... – rzekł po chwili Ross.

Jeremy, który wyszedł z kopalni i zauważył rodziców zatopionych w poważnej rozmowie, skręcił w bok, przeszedł przez furtkę i podążył na plażę, gdzie Isabella-Rose rzucała patyk Farquaharowi, który go aportował. Zbliżanie się do siostry było ryzykowne, ponieważ brała patyk, robiła zamach i rzucała, a chociaż celowała w morze, kij mógł polecieć w dowolnym kierunku.

– Trudno w to uwierzyć – powiedziała Demelza. – Nigdy nie przypuszczałam, że George zajmie się spekulacją... Ale skoro to prawda... I co zamierzasz zrobić?

– Nie wierzę, by de Dunstanville nic o tym nie słyszał. Niewątpliwie ma na ten temat jakąś opinię.

– Ty też będziesz musiał wyrazić opinię, Ross, prawda?

Potał stopą ślad po dżdżownicy widoczny wśród trawy.

– Zemsta bywa gorzka. Jednak trudno nie pamiętać, że Warlegganowie celowo doprowadzili do bankructwa bank Harrisa Pascoe – nie tylko niezbyt uczciwymi metodami, ale także rozpowszechnianiem paszkwili i kłamliwych plotek. Wcześniej George wiele razy próbował nas zrujnować.

– Nie tylko finansowo.

– Nie należy zapominać o władzy, jaką zdobył w Kornwalii, o wielu prostych ludziach, których doprowadził do ruiny. Trzeba pamiętać o jego złych wpływach. Zastanawiam się, czy w tym przypadku nie należałoby go zniszczyć nie z zemsty, lecz dla dobra publicznego...

– Mógłbyś to zrobić, gdybyś chciał?

– Wątpię, czy trzeba by podejmować takie haniebne kroki jak wszczynanie kampanii



oszczerstw. Konkurencyjny bank może wykonać pewne posunięcia i panika zaczyna się samoistnie.

– Więc wiele zależy od lorda de Dunstanville’a?

– I pozostałych współników. Rogers nie ma powodów, by lubić Warlegganów. Podobnie Stackhouse, jak sądzę.

Demelza skierowała twarz w stronę słońca.

– Caroline mówi, że George adoruje jakąś utytułowaną damę, lady Harriet coś tam. Zastanawiam się, co z tego wyniknie.

– Niczego mi nie doradziłaś – rzekł Ross.

– W jakiej sprawie?

– Co powinienem zrobić.

– Z pewnością decyzja nie należy do ciebie.

– Oczywiście nie podejmę jej samodzielnie. Ale mam na nią wpływ. Teraz, po śmierci Harrisa Pascoe, jestem uważany za jego sukcesora.

– I prosisz mnie o radę? Powinam jej udzielić? Czy to właściwe?

– Najzupełniej właściwe. Wycierpiałaś ze strony George’a prawie tyle samo, ile ja.

– Czy tej decyzji nie powinien podjąć mężczyzna?

– Nie wykręcaj się, moja droga.

Demelza popatrzyła na Rossa.

– Więc nie będę się wykręcać, mój drogi. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Nie chcesz mieć nic wspólnego z próbą zniszczenia George’a? Wywarcia presji na bank Warlegganów?

– Chyba nie, skoro o to pytasz.

Na plaży Isabella-Rose śmiała się na całe gardło. Wysoki, głośny dźwięk miał w sobie coś ptasiego: przypominał śpiew pijanego szczęściem słowika.

– Kiedy stanąłem przed sądem i mogłem zawisnąć na szubienicy, Warlegganowie robili wszystko, by mnie skazano. Bez ich pieniędzy, machinacji...

– George i jego krewni mają na sumieniu to, za co są odpowiedzialni. My mamy na sumieniu własne czyny. Kiedy nie ma cię w domu, Ross, i nie mam z kim rozmawiać, często przypominam sobie swoje życie. Nie przypominam sobie wielu rzeczy, których musiałabym się wstydzić. Może czegoś nie pamiętam?! Ale im mniej złych rzeczy pamiętam, tym lepiej się czuję. Kiedy mówię, że nie chcę w tym uczestniczyć, nie mam na względzie George’a, tylko nas.

– Uważasz, że jeśli Mackworth Praed, Rogers albo sam Basset zaproponują takie posunięcie, powinienem się sprzeciwić?

Demelza potarła dłonie, by usunąć wilgotną ziemię.

– Nie uważam, że powinieneś pomagać Warlegganom, Ross. Ale jeśli pojawi się taki

problem, możesz stanąć z boku i nie brać w tym udziału.

– Umyć ręce jak Piłat.

– Wiem. Zawsze współczułam Piłatowi... ale nie Kajfaszowi... Ani Judaszowi.

– Kiedy przeklinasz, często wymieniasz jego imię.

– Naprawdę? – Demelza uniosła wzrok. – Droczysz się ze mną.

– Tylko dlatego, że jesteś moim sumieniem. Muszę o nie dbać.

– Mówmy poważnie... Nie zgadzasz się?

– Wiem, że powinienem to zrobić. Ale żałuję, że pojawiła się taka pokusa. Wyrównalibyśmy rachunki nie tylko z George'em. Jest jeszcze jego odrażający stryj.

– To starzec – odparła Demelza. – Wkrótce umrze. Wszystko się kończy. George też jest już starszy, Ross. Ludzie łagodnieją, prawda? Może George złagodniał? Mam wrażenie, że Clowance nie uznała go za potwora.

– Clowance? Kiedy go spotkała?

– Przypadkiem – odpowiedziała Demelza, zdając sobie sprawę, że zdradziła sekret. – W pobliżu Trenwith. Jakiś czas temu.

– Nie wiedziałem, że Warleggan w ogóle tu bywa.

– Ani ja. Słusznie zrobiłeś, uprzedzając Geoffreya Charlesa, że dwór jest zaniedbany. Bardzo chciałabym, aby przyjechał na jakiś czas do domu, może wziął urlop. Z Portugalii nadeszły złe wieści, prawda?

Ross nie chciał zmieniać tematu.

– Rozmawiali ze sobą? George wiedział, że Clowance to moja córka?

– Chyba mu powiedziała. To się zdarzyło wiele miesięcy temu, w lecie zeszłego roku, jeszcze przed twoim wyjazdem.

– I nikt mi nie powiedział?

– Pomyślałam, że możesz się zmartwić. Nie chciałam cię denerwować.

– W przyszłości pozwól, bym to ja zdecydował.

– Byłeś zaabsorbowany zbliżającą się podróżą do Portugalii. Chciałam ci oszczędzić dystrakcji.

– Tak naprawdę chciałaś oszczędzić bury Clowance. Boże, jaka z ciebie podstępna kobieta!

Z plaży wracał Jeremy. Zbliżał się do furtki.

Ross ujął rękę żony i ostrzegawczo ją uściśnął.

– Tak czy inaczej, to pokazuje, jak wątlą podstawę mają moje dobre intencje. Mówisz, że trzeba przebaczyć i zapomnieć, a ja raczej się zgadzam... A potem okazuje się, że George przyjeżdża do Trenwith, niewątpliwie z radością obserwuje, jak dwór popada w ruinę, podburza braci Harrych do robienia nowych złośliwości, a poza tym rozmawia z Clowance! Jeż mi się od tego włosy na karku i jestem gotów, jestem gotów...

– Dlaczego jeżą ci się włosy, ojciec? – spytał Jeremy, zbliżając się do rodziców. – Kto powinien teraz drzeć ze strachu?

– Gdyby moje dzieci trochę częściej drżały ze strachu przed ojcem, w Namparze panowałyby większa dyscyplina – odpowiedziała Demelza.

– Och, daj spokój, mamo! – zawołał Jeremy. – Za bardzo kochasz swoje dzieci, by nie dawać im trochę swobody. Doskonale o tym wiesz!

– Nigdy w to nie wierz – odparł Ross, zaciskając pięść. – Jeśli...

– Ależ wierzę – przerwał Jeremy. – Robię to właśnie w tej chwili. Poważnie. Możemy być przez chwilę poważni?

– Byliśmy całkowicie poważni, dopóki nie przyszedłeś – rzekł Ross.

Jeremy spoglądał na rodziców, zastanawiając się, czy popełnił taktyczny błąd, rozmawiając z nimi jednocześnie. W przeszłości często okazywało się, że łatwiej osiągał cel, jeśli zwracał się do każdego z osobna. Naradzali się ze sobą i zwykle jedno popierało plany Jeremy'ego. Przynajmniej tak przypuszczał.

Jednak tym razem sprawa była zbyt ważna, by podchodzić do niej w ten sposób.

– Wczoraj rano, ojciec, nie zszedłem jak zwykle do Wheal Grace – powiedział. – Poszedłem w drugą stronę, wzdłuż klifów. Są tam piękne widoki. W tej chwili piasek jest bardzo czysty – żadnego drewna wyrzuconego na brzeg, żadnych wodorostów. Niestety zaczęło mżyć, pamiętasz? Około dziesiątej. Pomyślałem sobie: Do licha, dobrze. Moknę, to nie ma żadnego sensu, trzeba się gdzieś schować. Dlatego postanowiłem zejść do Wheal Leisure. Była w pobliżu, na klifie. Zszedłem na dół.

Słoneczny ranek prawie się zakończył. Z południowego zachodu nadpływały smużyste obłoki przypominające dym. Na razie nie wydawały się groźne, lecz w południe stanę się gęste i ciemne.

– Zdawało mi się, że zabraniałem ci schodzić do Wheal Leisure!

– Nie tak to pamiętam, ojciec. Przypominam sobie, że po prostu mnie zniechęcałeś.

W spojrzeniu Rossa pojawił się ironiczny błysk.

– I co znalazłeś na dole? Złoto?

– Wszystko jest zrujnowane. Część sztolni się zapadła. Dwa razy musiałem wracać i szukać innej drogi. Poziom trzydziestu sążni jest częściowo zalany, w chodnikach jest pół metra wody, która szybko płynie w stronę najniższego kanału odpływowego.

– Niebezpiecznie schodzić tam samotnie – powiedziała Demelza, przypominając sobie tragiczny wypadek Francisa.

– Nie byłem sam, mamo. Towarzyszył mi Ben Carter.

– Który przypadkiem również spacerował po klifie?

– Tak... Cóż, spacerowaliśmy razem.

– Nie wątpię. A zatem zeszliście na dół i zmoczyliście się bardziej niż na deszczu. I co sądzisz o Wheal Leisure?

– Ben zna się na tym lepiej, na pewno ma dziesięć razy więcej doświadczenia. Uważa, że można by pogłębić kilka sztolni, powiedzmy o dwadzieścia sążni. Byłoby to opłacalne.

– Opłacalne dla kogo?

– Zastanawialiśmy się nad tym razem. W tym okręgu żyły rudy zwykle biegną ze wschodu na zachód, co oznacza, że moglibyśmy się przebić do pokładów cyny eksploatowanych w Wheal Grace, a nawet dotrzeć do starych wyrobisk kopalni Trevorgie. Tak czy inaczej, miedź wyczerpano tylko na obecnym poziomie.

– Nie można kopać głębiej bez zainstalowania pomp – rzekł po chwili Ross.

– Za kilka miesięcy, jeśli wiosna okaże się sucha, można by pogłębić kilka sztolni i tymczasowo osuszyć ręcznymi pompami, by się przekonać, czy są jakieś ślady dobrej rudy.

– A jeśli są?

– Moglibyśmy zbudować maszynę parową.

– Przecież Wheal Leisure na pewno należy do Warlegganów – powiedziała Demelza.

– Po wyjściu z kopalni poszliśmy porozmawiać z Horriem Treneglosem. Kiedy zamykano kopalnię, dziadek Horriego oczywiście jeszcze żył. Horrie spytał swojego ojca. Przypuszczaliśmy, że Warlegganowie mogli się pozbyć udziałów, ale wydaje się, że jednak tego nie zrobili. W tym czasie kupili już udziały większości wspólników, więc sprzedali tę część wyposażenia, którą dało się spieniężyć, po czym ogłosili, że kopalnia zawiesza działalność. I tak już zostało. W tej chwili jedna siódma należy do Johna Treneglosa, a siedem ósmych do Warlegganów, choć pan Treneglos uważa, że jeden z krewnych nadsztygara Henshawe'a nie sprzedał sześćdziesiątej czwartej części... Obecnie kopalnia nie ma żadnej wartości; kilka kamiennych budynków i dziura w ziemi.

– Warlegganowie zachowają udziały w każdej dziurze w ziemi, możesz mi wierzyć – powiedział Ross.

– Więc to nierealne – zauważyła Demelza.

– Cóż... – Jeremy odchrząknął i popatrzył na rodziców. – Zaproponowałem Horriemu, by namówił ojca do odwiedzenia banku Warlegganów, gdy następnym razem pojedzie do Truro. Mógłby powiedzieć, że chciałby otworzyć z nimi Wheal Leisure. Na pewno odpowiedzą, że warunki nie są sprzyjające, a wtedy John Treneglos mógłby zaproponować, że odkupi ich udziały. Wtedy miałby wolną rękę. Warlegganowie mogliby sprzedać mu udziały, choć nam by odmówili.

– Jeremy nabiera smykałki do interesów – rzekł Ross do Demelzy. – Te podstępny to stara tradycja kupiecka... Proponujesz, by John Treneglos został kimś w rodzaju figuranta?

– Niezupełnie, ojciec. Uważamy, że jeśli cena nie będzie zbyt wysoka, mógłby sfinansować

jedną trzecią.

– Moim zdaniem to nie pasuje do Johna Treneglosa, o ile go znam.

– Inwestycja może się okazać opłacalna. Jego ojciec sporo zarobił na Wheal Leisure. Ponieważ kopalnia znajduje się na terenie posiadłości Treneglosów, John jest właścicielem praw górniczych. I tak otrzymałby swój udział w razie otwarcia kopalni, podobnie jak my z Wheal Grace.

– W dawnych czasach Horace Treneglos sfinansował tylko jedną ósmą, a i to niechętnie.

– Cóż, tak wygląda sytuacja... Odkąd Vincent zatonął w swoim słupie, Horrie mówi, że ojciec i matka koniecznie chcą go zatrzymać w domu. Uważa, że byliby zadowoleni, gdyby ofiarowali mu udziały w kopalni.

– A pozostałe dwie trzecie?

– Myślałem, że mógłbyś wykupić jedną trzecią, ojciec, a na resztę zorganizowalibyśmy subskrypcję. Przypuszczam, że skoro głównymi udziałowcami bylibyście ty i pan Treneglos, nie zabrakłoby nowych inwestorów.

– Nagle stałeś się bardzo praktyczny i przedsiębiorczy – rzekł po chwili Ross. – To pewna odmiana.

Jeremy się zarumienił.

– Po prostu uznałem to za dobry pomysł, ponieważ Wheal Grace jest bliska wyeksploatowania... – Urwał i wymamrotał coś. Demelza spojrzała na syna.

– Dwadzieścia lat temu, gdy kuzyn Francis i ja otwieraliśmy Wheal Grace, kosztowało to nas około tysiąca dwustu funtów. Dziś niewątpliwie potrzeba tysiąca pięciuset funtów, nie licząc ceny wykupu kopalni. Wiem, że wydatki należy pokrywać stopniowo, ale sama maszyna parowa, która z pewnością byłaby niezbędna, pochłonęłaby mniej więcej tysiąc funtów.

Słońce zasłoniła pierwsza większa chmura. Nieco się ściemniło, po czym znów zrobiło jasno.

– Studiowałem budowę pomp parowych – powiedział Jeremy. – W czasie twojej nieobecności. Uważam, że mógłbym zaprojektować odpowiednią maszynę z Aaronem Nanfanem i jednym z braci Curnowów, którzy by mi doradzali. Nie zmniejszyłoby to kosztów materiałów, lecz i tak przyniosło spore oszczędności.

Ross spojrzał na syna, a później na żonę.

– Jeremy studiował budowę pomp parowych?

– Skoro mówi, że studiował, to studiował, Ross.

– Jeremy, nie można wszystkiego się nauczyć w ciągu kilku miesięcy – rzekł w końcu Ross. – Niezależnie od zakresu studiów. Plany to nie wszystko.

– Nie zajmowałem się tylko planami.

– Musiałbyś mnie przekonać. Tak czy inaczej, zmniejszyłoby to koszty nie więcej niż o piętnaście procent, prawda?

– Uważam, że o dwadzieścia, ojcze.

– Mimo to nie warto budować maszyny, której drobny błąd konstrukcyjny narażałby pozostałe osiemdziesiąt procent. Zastanowimy się nad tym później – dodał Ross, gdy Jeremy zamierzał się odezwać. – Gdybyśmy rzeczywiście chcieli zrealizować pomysł ponownego otwarcia Wheal Leisure, najpierw trzeba pokonać dwie przeszkody. Kwestia maszyny to sprawa późniejsza. Po pierwsze, czy perspektywy kopalni rzeczywiście są tak dobre, jak sądzi Ben? Nie mam ochoty schodzić do kopalni należącej do Warlegganów, ale chciałbym zobaczyć ją na własne oczy. Z Zackym Martinem, jeśli będzie zdrowy. Po drugie, jeśli uznamy, że perspektywy są niezłe, czy Warlegganowie sprzedadzą udziały?

– Tak – zgodził się Jeremy, zadowolony z dotychczasowych postępów. – W takiej kolejności należy się tym zająć.

Ross zmarszczył brwi. Przyczyną był wzmagający się wiatr i może również ton głosu syna.

– Przerwaliśmy ci pracę w ogrodzie, moja droga.

– Och, jeszcze trochę popracuję.

– Pomogę ci – oznajmił Jeremy.

– Możesz spróbować wyrwać ten chwast pomiędzy fuksji – powiedziała Demelza. – To okropna praca, ranię sobie palce... – Uniosła wzrok i odgarnęła włosy. – Myślisz, że George naprawdę sprzeda udziały, Ross?

Popatrzyli na siebie.

– W tej chwili to niewykluczone – odparł. – Możemy nawet je kupić dość tanio.

– W stylu Kajfasza? – spytała.

– W piątek spotkam się z Johnem Treneglosem. Porozmawiam z nim o tej sprawie.

Kiedy Ross odszedł, Jeremy powiedział:

– Macie sekretny język, którego zupełnie nie rozumiem. Do licha, co ma znaczyć ta uwaga na temat Biblii? Mówiłaś o Kajfaszu?

– Nieważne – odparła matka. – Czasem lepiej wyrażać się niejasno...

– Zwłaszcza w obecności dzieci... Matko.

– Tak?

– Chciałbym wyjechać w przyszłą sobotę wieczorem.

– Mam nadzieję, że nie na wyspy Scilly, jak poprzednio?

– Nie. Chociaż ma to pewien związek. Trevanionowie, którzy odnosili się do mnie bardzo miło, gdy wylądowałem obok ich domu, wydają w sobotę wieczorem niewielkie przyjęcie i zaproponowali, bym u nich przenocował.

– Jak to miło... Nie zaprosili Clowance?

– Nie... Nie jestem pewien, czy wiedzą, że mam siostrę.

– Wspomnij o tym kiedyś. Potrzebuje odmiany.

– Tak, wiem. Czy mógłbym zaprosić jedną osobę – pannę Cuby Trevanion – by spędziła u nas noc pod koniec miesiąca? Nie urządzaliśmy przyjęcia na Boże Narodzenie, bo ojciec wyjechał, więc może dobrze byłoby teraz coś zorganizować? Nic wielkiego, na przykład dla dwunastu lub piętnastu osób?

– W tym roku Wielkanoc zaczyna się wcześniej. Moglibyśmy coś urządzić tuż po Wielkim Poście. Poznałeś rodziców panny Trevanion?

– Jej ojciec od dawna nie żyje. Poznałem jej matkę. Brat – starszy brat – major John Trevanion był nieobecny, gdy ostatnio tam pojechałem. Jest głową rodziny, ale niedawno stracił żonę, która bardzo młodo zmarła. Drugi brat, kapitan George Bettsworth, zginął w Holandii. Jest również trzeci brat, Augustus, którego jeszcze nie znam, i siostra Clemency.

Demelza przykucnęła i obserwowała syna szarpiącego z roztargnieniem perz.

– W takiej sytuacji mogą nie mieć ochoty na wesołą zabawę.

– Och, to przyjęcie muzyczne. Clemency gra na klawesynie i zdaje się, że przyjadą sąsiedzi.

– Cuby też gra?

Spojrzał na matkę i znów się zarumienił.

– Nie. Trochę śpiewa.

– To miło – rzekła Demelza. – Powiedz jej, że chętnie bym ją poznała.

Wiedziała już, co się działo z Jeremym w ciągu ostatnich tygodni – dobrego lub złego. Stąpał sztywno, jakby porażony jednym z ładunków elektrycznych, o których można przeczytać w gazetach. Poza tym – czy nie jest to prawda? – wydawało jej się, że przed chwilą słyszała, jak krzyczał na całe gardło na plaży z Isabellą-Rose. Wzmianka o pannie Cuby Trevanion z pewnością wszystko wyjaśnia.

## Rozdział siódmy

### I

Dziewczyna o twarzy podobnej do świeżo rozkwitłego pąka margerytki, jak niegdyś opisała ją matka, nie była szczególnie otwarta wobec swojej rodziny. W piątek, zauważywszy młodego Lobba – syna starego Lobba – zjeżdżającego w dolinę z pocztą, podeszła do niego, nie po raz pierwszy, by spytać, czy są do niej jakieś listy. Tym razem okazało się, że są.

Kiedy otworzyła i przeczytała list, nie oznajmiła przy obiedzie – choć mogłaby to zrobić – że otrzymała przed chwilą wiadomość od Stephena Carringtona. Gdyby to zrobiła, wszyscy obecni przy stole byłiby nią zainteresowani. Zamiast tego wsunęła list do kieszeni sukienki, owinęła chusteczką i w ogóle o nim nie wspomniała. Brzmiał następująco:

*Panno Clowance! Kochana Clowance!*

*Na pewno się zastanawiasz, co się ze mną stało. Ponieważ o mało nie schwytali nas celnicy, nawet teraz nie jestem pewien, czy Jeremy'emu udało się uciec. Spędziłem większość czasu w Bristow. Miałem kłopoty ze swoim lugrem Phillipe'em, ponieważ mówili, że nie mam praw do przyzu i że nie mogę ich dowieść. Jestem pewien, że nikt nie ma większego prawa do przyzowego ode mnie. Kiedy wszystko będzie załatwione, wrócę do Nampary, gdzie mieszka moja prawdziwa miłość. Panno Clowance, przykładam czubki palców do Twojej chłodnej skóry. Pozostaję z szacunkiem Twoim najwierniejszym przyjacielem*

*Stephen Carrington*

Dziwny list od dziwnego człowieka. Wyobraźmy sobie, że wpadłby w ręce ojca! Clowance targały sprzeczne uczucia, ale gdzieś w głębi poruszał się czarny cień.

Nazajutrz, w sobotę, gdy Jeremy miał pojechać do Caerhays, Clowance znała list na pamięć. Powtarzała niektóre zdania, idąc w stronę Sawle w rozproszonym przez wilgotną mgłę świetle słońca; niosła kilka ciastek dla Paynterów. „Wrócę do Nampary, gdzie mieszka moja prawdziwa miłość”. „Gdzie mieszka moja prawdziwa miłość”. „Panno Clowance, przykładam czubki palców”. „Panno Clowance! Kochana Clowance!”, „Przykładam czubki palców do Twojej chłodnej skóry”. „Wrócę do Nampary”. „Wrócę do Nampary, gdzie mieszka moja prawdziwa miłość”.

Kiedy zbliżyła się do pierwszej odrapanej chaty wioski Grambler, potrząsnęła buntowniczo głową, niemal zrzucając różowy słomkowy kapelusz, który miała na głowie. Ruch bardziej



pasowałyby do pływaka przedzierającego się przez fale niż do młodej damy odwiedzającej ubogich w celach dobroczynnych. Jednak Clowance miała wrażenie, że strąca z siebie dziwny ciężar, wczepioną w nią mroczną bestię, która mrozi jej krew w żyłach i sprawia, że serce bije jak oszalałe. Zapomnijmy o tym na chwilę. „Wróć do Nampary, gdzie mieszka moja prawdziwa miłość”.

Zauważyła, że Juda Payntera wyniesiono na powietrze. Wyniesiono dosłownie, ponieważ obecnie, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, prawie się nie poruszał. Prudie, dziesięć lat młodsza od męża, w dalszym ciągu była aktywna, jeśli można w ogóle użyć tego określenia. W tej chwili rządziła całym domem, ponieważ Jud był w stanie przejść zaledwie kilka kroków o lasce, rozpaczliwie ściskając jej ramię. Schudł, lecz jego twarz stała się pełniejsza wskutek długich lat szaleństw i pijaństwa. Tego marcowego dnia było dość ciepło, ale Juda okręcono wieloma warstwami starych worków, przez co przypominał ogromną ropuchę siedzącą na kamieniu. Clowance odetchnęła z ulgą, widząc go przed chatą, bo przy odrobinie szczęścia miała szansę przekazać przyniesione rzeczy, nie wchodząc do domu, gdzie straszliwie śmierdziało. Kiedy się zbliżyła, Jud splunął i spojrzał na nią przekrwionymi oczyma otoczonymi mnóstwem zmarszczek.

– Panna Clowance, aha... Gdzie jest dziś pani mama, co? Chyba ma nas dosyć. Chyba chce, cobyśmy się od niej odczepili. Nie dziwota. Jak człek stary i schorowany, dopiero widzi, jakie so przyjaciele...

– Przyniosłam trochę ciastek, Jud – powiedziała beztrząsowo Clowance. – I kropelkę wina. Poza tym kilka rzeczy dla Prudie.

Głosy musiały być słyszalne w środku chaty, bo przez otwarte drzwi wyszła szeroko uśmiechnięta Prudie, wycierając ręce o brudny fartuch. Szła za nią kaczka z ośmioma małymi kaczątkami.

– A więc się wykluły! – zawołała Clowance. – Wszystkie są zdrowe? Kiedy się urodziły?

– Ach, już będzie jakiś czas. Czubatka nie mogła wysiadywać wszystkich ośmiu jajek naraz. Była niespokojna jak łabądek, kręciła się w te i nazad. No to jej pomogłam i wysiedziałam trzy!

– Co masz na myśli?

– Ano patrz tutaj – powiedziała Prudie i wskazała swój gruby brzuch. – Trzymałam tu jajka dzień i noc, dzień i noc. Za dnia wszystko szło dobrze, zaś w nocy lękałam się, że je rozbije.

– Wyglądała jak prawdziwa nioska – wychrypiął Jud. – A co ze mno? Co ze mno? Wcale nie zwracała na mnie uwagi. Caluśki czas myślała jeno o jajkach. „Nie popychaj mnie, bo potłukę jajka” – mówiła. Abo: „Nie kręć się, bo zbije jajka”. „Nie moge dzisiaj wyjść na dwór, bo musze siedzieć na jajkach”. Gruba z niej baba!

– Żeby cie pochowano w kamiennej skrzyni, i to żywego, staruchu! Właśnie to powinni zrobić dwadzieścia lat temu, jak prawie zdychałeś! Niech panna Clowance wejdzie do środka,

zrobie dla pani herbate.

– Idę do kuźni Pally’ego – odpowiedziała Clowance. – Ale dziękuję.

– Patrz jeno na te maleństwa! – ciągnął Jud. – Stale srajo. Kwoki nie so takie brudne. Kwoki srajo jak dżentelmeny, so dobrze wychowane. Kaczki majo sraczkę. Patrzcie jeno na podłogę w naszymy kuchni, cała zasrana!

– Zamknij dziób! – zawołała zirytowana Prudie. – Bo zostawie cie przed domem, cobyś zamarzył w nocy! Panna Clowance ma lepsze rzeczy do roboty, niż słucać twojego jazgotu!

– To naprzeciw naturze! – wrzasnął Jud. – To nieuczciwe, brzydkie! Wszystkie kaczki srajo tam, gdzie majo ochotę! To nieprzyzwoite!

Obie kobiety, widząc wściekłość Juda, odeszły na pewną odległość i Clowance wręczyła Prudie pół suwerena przekazanego przez Demelzę. Uszczęśliwiona Prudie zaczęła natychmiast obliczać, ile litrów ginu zdoła za to kupić. Później odprowadziła pannę Poldark do końca wioski, wygłaszając po drodze komentarze o życiu wsi.

Głównym tematem byli jej najbliżsi sąsiedzi, trzech bracia Thomasowie, którzy nie tylko popełnili zbrodnię polegającą na tym, że trzy lata wcześniej przybyli do Sawle z Porthtowan, ale również zamknęli szynk istniejący w wiosce od niepamiętnych czasów, gdyż byli abstynentami i metodystami. Jednak religijność i niechęć do mocnych trunków nie usprawiedliwiały ich pozostałych grzechów, zwłaszcza, jak twierdziła Prudie, zwykłego cudzołóstwa.

John, najstarszy z braci, który często wywoływał rubaszne komentarze, codziennie odwiedzał Winky Mitchell w jej chacie na drugim końcu Sawle. Kiedy nie wypływał w morze, z regularnością zegarka o piątej wieczór przechodził przez wrzosowisko i wracał do domu o dziewiątej. Prudie nawet nie chciała sobie wyobrazić, co się dzieje w chacie, ponieważ Winky Mitchell, ślepa na jedno oko, głucha i mająca męża przykutego do łóżka, była znana z bezwstydnego rozwiązłości. Art Thomas w skandaliczny sposób zalecał się do ciotki Edie Permewan, która była od niego trzydzieści lat starsza, gruba i okrągła jak ciastko z szafranem. Oczywiście wszyscy wiedzą, o co mu chodzi, ponieważ po śmierci męża, Joego, owdowiała Edie Permewan nie ma dzieci mogących prowadzić garbarnię, toteż potrzebuje silnego młodego mężczyzny, by postawił zakład na nogi. Nie byłoby to takie złe, gdyby Art nie był znany z uganiania się za dziewczuchami – mógłby się ożenić z ciotką Edie, ale czy na pewno by na niej poprzestał? Music Thomas, najmłodszy, stajenny w Place House, był zdaniem Prudie najgorszy ze wszystkich, bo nikt nigdy go na niczym nie przyłapał. Miał osiemnaście lat, w dalszym ciągu śpiewał piskliwym głosem w chórze i przez cały czas chodził na palcach jak mucha...

– Niektóre ludzie myślo, że podgląda baby w kąpieli – powiedziała Prudie, drapiąc się. – Jakby go przyłapali, szybko by go wytarzali w smole i pierzu!

Prudie gadała i gadała, aż wreszcie poskarżyła się na ból nóg, po czym odwróciła się i powlokła do domu. Clowance ruszyła dalej sama, zdając sobie sprawę, że paplanina starej

kobiety to tylko część mrocznych tajemnic wioski. Słyszała już o większości miejscowych skandali. Chociaż mieszkała w Namparze, dość daleko od wioski Grambler, osobiście znała okolicznych wieśniaków. Kapitan Poldark – teraz, po opuszczeniu Trenwith przez Warlegganów, jedyny ziemianin w okolicy – zawsze utrzymywał z nimi bliższe stosunki niż inni członkowie jego sfery. Można by się spodziewać, że jego żona – córka górnika – postara się stworzyć większy dystans między sobą a wieśniakami, by nie odnosili się do niej zbyt poufale, ale tak się nie stało. Jeden z jej braci był kaznodzieją metodystycznym i poślubił dziewczynę z Sawle, co tylko wzmocniło przyjacielskie stosunki z miejscowymi.

Clowance znała ich wszystkich. Obok Thomasów mieszkała panna Prout – o której Prudie mówiła z ponurą miną: „Jej matka nazywała się panna Prout i babka tak samo” – gruba, bezzębna kobieta o rubasznym usposobieniu. Później liczna rodzina Triggsów, których odziane w łachmany dzieciaki bawiły się w błocie. Przy pompie nabierały wodę dwie dziewczyny, chichocząc do siebie. Były to Annie Coad i Nell Rowe, córki farmera. Pierwsza dziobata i chuda, druga szeroka w biodrach, o krótkich nogach. Uśmiechnęły się do Clowance, dygnęły i zaczęły szeptać między sobą. Po drugiej stronie drogi stała w drzwiach chaty Jane Bottrell (szwagierka Neda) z rozczochranymi czarnymi włosami, dziwnymi brwiami i dużymi żółtymi zębami – jej mąż zmarł w czasie wyprawy z przemytnikami, a z pięciorga dzieci przeżyło jedno, które pracowało w Wheal Grace. W sąsiedniej chacie nic się nie działo, choć wszyscy wiedzieli, że jest pełna Billingów. Dalej znajdowały się chaty Stevensów, Bice’ów, garbarnia Permewana oraz pastwisko kóz dochodzące do pierwszych opuszczonych zabudowań kopalni Grambler. Wokół stały inne chaty. Clowance znała wszystkich mieszkańców, znała zapach kóz i świń, inny od smrodu gnijących ryb w Sawle, i oczywiście widywała otwarte doły kloaczne, z których wydobywał się wyjątkowo ohydny fetor. Na szczęście prawie zawsze wiał chłodny, czysty wiatr.

Stephen Carrington zamieszkał w tej wiosce po opuszczeniu Nampary. Chata Nanfanów znajdowała się nieco dalej, w pobliżu stawu. Prudie i jej podobni nawet po latach odnosili się podejrzliwie do Thomasów, jednak Stephena Carringtona przyjęto przyjaźnie. Był kimś innym – żeglarzem ocalonym przed śmiercią i wracającym do zdrowia. Nikt nie oczekiwał, że zamieszka tu na stałe, więc budził sympatię i współczucie, a nie podejrzliwość i niechęć. Wkrótce zaczął pić w szynku z mężczyznami i flirtować z dziewczętami. Clowance słyszała plotki na ten temat. Żadna wioska nie może istnieć bez plotek. A jeśli wróci i zamieszka tu na stałe? Jak wtedy zareagują? Jak zareaguje ona sama? Na myśl o tym przebiegł ją dreszcz. Z listu wynikało jasno, że zamierza wrócić.

Jeremy wyszedł trochę wcześniej i wziął ze stajni Malwę, drobną klacz kupioną niegdyś w Truro przez Demelzę i Samuela, oraz pożyczonego kuca. Pojechał przez Marasanvoise, Zelah, St Allen i St Erme, przeciął w Tregony główny gościniec z Truro do St Austell, po czym ruszył cienistymi drogami i ścieżkami w stronę południowego wybrzeża.

Był piękny, wilgotny dzień, przez lekką mgłę świeciło słońce. Po ulewnym deszczu wszędzie widać było ogromne kałuże wody i wezbrane strumyczki spływające ze zboczy pagórków. Na nagich gałęziach drzew i krzewów wisiały pajęczyny z roziskrzonymi kropelkami wody. Demelza zawsze mówiła, że pająki przeżywają wtedy ciężkie chwile, ponieważ żadna mucha nie jest na tyle głupia, by wpaść w dobrze widoczną sieć.

Poszła z Jeremym w górę doliny, a następnie odprowadziła go aż do Wheal Maiden i domu modlitwy, chcąc jak najdłużej cieszyć się jego ekscytacją i szczęściem. Chociaż zdawała sobie sprawę, że sama nie ma z tym nic wspólnego, z przyjemnością patrzyła na syna, który wydawał się pełen niezwyklej energii i napięcia. Gwałtownie reagował na najdrobniejsze bodźce, a jego nastrój zmieniał się jak w kalejdoskopie. Zupełnie nie przypominał dawnego Jeremy'ego, który, choć w dzieciństwie bywał zanadto nerwowy i łatwo zapadał na niegroźne choroby, wyrósł na beztronskiego młodego człowieka wolącego obserwować życie niż się w nie angażować.

Spoglądała za nim ze szczytu wzgórza, gdy odjeżdżał. Cóż, teraz wreszcie się zaangażował, niezależnie od tego, co go czeka. Udręka i radość. Miała nadzieję, że panna Cuby okaże się godna jej syna. Miała również nadzieję, że okaże się dobra. Dziewczęta często potrafią zadawać głębokie rany, nawet nie mając takiego zamiaru. W tym wieku chłopcy są bardzo wrażliwi. Co sądzi o tym wszystkim Ross? Mówił niewiele, odpowiadał tylko na pytania. Jego starsza córka straciła głowę dla przystojnego żeglarza o wątpliwej reputacji, a jednocześnie była świadoma, że interesuje się nią lord Edward Fitzmaurice – niedawno nadszedł list od niego. Syn Demelzy pojechał na spotkanie ze swoją pierwszą dziewczyną, która byłaby świetną kandydatką na żonę, mieszkała w pięknym dworze i pochodziła ze starego rodu. Wszystko działo się w tym samym czasie. Może zawsze tak jest. Clowance, choć młodsza od brata, szybciej dojrzała i w tym samym roku oboje jednocześnie wkroczyli w wiek, w którym młodzi ludzie zaczynają mieć problemy sercowe.

Sylwetka Jeremy'ego zmalala w oddali, a później zniknęła za pagórkiem. Demelza spojrzała w stronę wioski Grambler i zobaczyła córkę wracającą z ciotką. Szwagierka Demelzy prowadziła na sznurku młodego byczka, a Clowance podążała z tyłu i po przyjacielsku popychała zwierzę, gdy próbowało się zatrzymać, co zdarzało się dość często.

Dawno temu, gdy Drake, brat Demelzy, wpadł w melancholię po utracie Morwenny, która poślubiła wielebneho Osborne'a Whitwortha (jej małżeństwo okazało się nieszczęśliwe), Demelza postanowiła mu pomóc i poznała go z młodą, ładną Rosiną Hoblyn, zaskakująco inteligentną i kulturalną córką Jacki Hoblyna. Wkrótce po tym, jak Drake zgodził się poślubić

Rosinę, Whitworth niespodziewanie zginął. Przysporzyło to smutku Rosinie, lecz stało się źródłem szczęścia Drake'a – planowane małżeństwo nie zostało zawarte. Później Demelza w dalszym ciągu przyjaźniła się z Rosiną i bardzo dbała, by Rosina nie miała kontaktu z Samuelem, drugim bratem Demelzy, który cierpiał wskutek własnej nieszczęśliwej miłości. Nie chciała popełnić kolejnego błędu. Swatki mogą być niebezpieczne. Sparzyła sobie palce.

Samuel, podtrzymywany perspektywą zbawienia, szczęśliwie zajął się swoimi sprawami, z pozoru nie myśląc o innych kobietach, oprócz utraconej Emmy. Kiedy Drake i Morwenna przeprowadzili się do Looe, by zarządzać zakładem szkutniczym Rossa, ten zaproponował Samuelowi kuźnię Pally'ego. Samuel poprosił Boga o radę i odmówił. Jego wierni mieszkali wokół Nampary, w wioskach Mellin i Sawle, a dom modlitwy stał na ziemi Poldarków. Przeprowadziłby się zbyt daleko. Lepiej pozostać skromnym górnikiem niż pracować jako samodzielny rzemieślnik o wyższym statusie społecznym od większości członków zgromadzenia. Poza tym nie był kołodziejem i nie miał talentu do ciesielstwa.

Dlatego przez pewien czas kuźnia Pally'ego stała pusta, a pola leżały odłogiem.

Perspektywa zbawienia i chwały w niebiosach budzi zrozumiałą radość, jednak człowiek musi przeżyć życie na tym świecie, a Samuel, choć podtrzymywała go wiara, cierpiał z powodu swojej straty bardziej, niż przypuszczano. Samotne przebywanie w ponurej chacie w Reath często było dla niego wielkim ciężarem. Pewnego dnia, idąc do Sawle, by głosić słowo Boże, spotkał Rosinę Hoblyn i jej zamężną siostrę Parthesię, mimo woli dostrzegając, że bardzo się od siebie różnią. Parthesia, młodsza, hałaśliwa i szczerbata, niosła na rękach dwoje młodszych dzieci, a z tyłu podążało trzecie, gdy tymczasem Rosina wydawała się cicha, grzeczna i inteligentna – jej mądre uwagi zrobiły na Samuelu wielkie wrażenie. Wiedział już, że Rosina nie jest metodystką, ale regularnie uczęszcza do kościoła. Niemal bezwiednie zauważył, że jest ładna, że ma ciemne oczy, delikatne rysy, gładkie policzki i ujmujący uśmiech.

Bardzo powoli pojawiła się między nimi nić sympatii. Demelza wstrzymywała oddech i krzyżowała palce, lecz pilnowała się, by w żaden sposób nie pomagać. Rosina, dwukrotnie porzucona przez narzeczonych, w tysiąc osiemset trzecim roku miała trzydzieści lat. Była zbyt kulturalna na żonę zwykłego górnika, ale pochodziła ze zbyt prostej rodziny, by wyjść za dżentelmena. Wydawała się jednak idealną żoną dla kaznodziei metodystycznego, również pochodzącego z nizin społecznych, ale spowinowaconego z Poldarkami. Nie wspominając o specjalnych relacjach Samuela z Bogiem. Chociaż posługiwał się napuszonym językiem, który ocierał się o pretensjonalność, był w głębi serca dobrym człowiekiem. Zawarli małżeństwo po dwuletnich zalotach, jesienią tysiąc osiemset piątego roku, na miesiąc przed bitwą pod Trafalgarem.

Ross znów zaproponował Samuelowi kuźnię Pally'ego, obecnie zrujnowaną, jako prezent ślubny i tym razem oferta została przyjęta. Tak więc, ku radości Demelzy, która zawsze liczyła

na taki rozwój sytuacji, bratowa zamieszkała w gospodarstwie. Było to bardzo dziwne i niezwykle przyjemne. Od tamtej pory minęło pięć i pół roku. W owym czasie Samuel odbudował interes – choć nie miał takiej zręczności jak Drake – a Rosina, której prawdziwy charakter i energia wreszcie znalazły ujście, przekształciła niewielkie gospodarstwo o powierzchni dwóch i pół hektara w krainę obfitości pełną zboża, warzyw i trzody.

Stąd dzisiejsza procesja. Samuel i Rosina nie mieli dzieci – było to dla nich obojga przykrym rozczarowaniem – lecz ostatnio w gospodarstwie narodził się byczek i Ross postanowił go kupić. Prowadzono go teraz do Nampary.

Byczki są z natury krnąbrne, więc zwierzę często się zatrzymywało. Z oddali wydawało się, że Rosina, łagodniejsza z dwojga kobiet, ciągnie go z mniejszą determinacją niż Clowance, która popychała go z tyłu. Kiedy wspięły się po stoku wzgórza do kępy sosen, Demelza zauważyła, że Rosina i Clowance wymieniają ze śmiechem uwagi. Zastanawiała się przez chwilę, czy takie życie nie jest idealne zarówno dla Rosiny, jak i dla Clowance: proste, wypełnione ciężką pracą, nieskomplikowane, związane z ziemią i morzem, rządzone przez rytm dni i nocy, wiatr, pogodę, zbiory, żniwa, zmiany pór roku. Rosina miała ciężkie życie, nim zamieszkała we własnym gospodarstwie. Może Clowance będzie miała więcej szczęście? Trzeba się o to modlić.

– Mamo, myślałam, że dziś pieczesz! – zawołała córka. – Nie boli cię głowa?

– Nie, nie boli – odpowiedziała Demelza i pocałowała Rosinę. – To wy prowadzicie Eddiego czy Eddie was?

– Więc pamiętasz jego imię! – zdziwiła się Rosina. – Chętnie się go pozbędę. Jest taki krnąbrny, że nie wiadomo, co za chwilę zrobi.

Rosina nie była gruba, ale zadowolenie z życia i ciężka praca przynosząca efekty sprawiły, że stała się krzepka i silna. Trudno było zauważyć, że utyka, cera świadczyła o zdrowiu, piękne oczy stały się mniej rozmarzone, a bardziej praktyczne. Demelza nigdy nie podejrzewała, że Rosina i Samuel pobrali się z miłości, jednak małżeństwo okazało się udane.

– Jak się czuje Samuel? – spytała.

– Dobrze, dobrze. Miał przyprowadzić Eddiego, ale odwiedziła nas Clowance, więc postanowiłam pójść, bo Samuel ma inne zajęcia.

Rosina została „zbawiona” przed sześciu laty, a chociaż nigdy nie przemawiała takim uduchowionym językiem jak Samuel, zapożyczyła od niego niektóre słowa i zwroty. Trzy kobiety odwróciły się i poprowadziły byczka do Nampary. W drodze zwierzę trąciło Demelzę pyskiem, a następnie polizało ją miękkim, wilgotnym językiem po dłoni i przedramieniu. Przez chwilę czuła się bardzo dziwnie i zrobiło jej się trochę słabo, bo przypomniała sobie dzień sprzed dwudziestu pięciu laty, gdy doszła do wniosku, że jedyny sposób pozostania w Namparze, skąd chciał zabrać ją do domu ojciec, to skłonić Rossa, by poszedł z nią do łóżka. Działo się to wieczorem, karmiła cielęta w zastępstwie Prudie, stojąc na końcu obory otoczona napierającymi

na nią zwierzętami. Trącały jej sukienkę i ręce wilgotnymi, ciepłymi pyskami, a jej nagle przyszła do głowy ta myśl. Ross pojechał do Truro, by ratować Jima Cartera przed skazaniem na więzienie. Kiedy wrócił, poszła do niego i dość jasno dała do zrozumienia, o co jej chodzi.

Zrealizowała swój plan, a kilka miesięcy później Ross ją poślubił. Mieli czworo dzieci – jedno zmarło – i teraz dwoje starszych przeżywało te same przytłaczające emocje, które Demelza odczuwała tamtego wieczoru. Może były to na razie lekkie, powolne ruchy smoka morskiego kryjącego się w głębinie. Zасыpia dopiero na starość – choć czasem, jak opowiadali ludzie, nawet wtedy czasem się budzi. Ale w młodości jest niepohamowanym impulsem, który przekracza granice rozsądku. Przyczyną połowy tragedii i połowy radości świata.

– Na pewno dobrze się czujesz, mamó? – spytała Clowance. – Nie wyglądasz zbyt dobrze.

– Wszystko w porządku, dziękuję – odparła Demelza. – Po prostu przeszły mnie ciarki.

### III

W Caerhays odbywało się niewielkie przyjęcie, w którym uczestniczyli tylko członkowie rodziny, Jeremy oraz Joanna Bird, przyjaciółka Clemency, mieszkająca od pewnego czasu w rezydencji Trevanionów. Pochlebilo to Jeremy'emu.

W środku dwór nie wydawał się tak wielki jak z zewnątrz, okazał się wręcz dość ciasny, choć imponujące mury obronne tworzyły iluzję ogromu. Nie przypominał również zwykłego domu, gdzie ludzie gawędzą przy posiłkach, żartują, podają sobie potrawy, a każdy, w granicach obowiązujących konwenansów, zachowuje się w sposób zależny od swojego aktualnego humoru. Wydawało się, że w Caerhays o nastroju panującym w czasie posiłków decyduje major Trevanion. Zajmował miejsce u szczytu stołu i nie było to jedynie nominalne wyróżnienie. Major miał rumianą twarz i choć dopiero niedawno skończył trzydzieści lat – przekrwione błękitne oczy i włosy przerzedzone nad czołem. Nosił prosty czarny surdut i obcisłe jasnożółte spodnie zwężone w kostkach. Wydawał się niezbyt rozmowny albo chwilowo nie był w nastroju do rozmowy, co udzieliło się wszystkim obecnym z wyjątkiem Cuby, najmłodszej z dziewcząt, która chętnie się odzywała. Starsza pani Bettsworth, matka majora Trevaniona, mimo że nie wyglądała bardzo staro, rzadko zabierała głos i nie próbowała ożywić posiłku. Podano różnorodne potrawy: grochówkę, dorsza w sosie ogórkowym z krewetkami, pieczone ostrygi, pieczoną gęś, a na deser jabłka, pomarańcze, orzechy i rodzynki.

Po obiedzie było jeszcze jasno i Jeremy odważnie zaproponował Cuby spacer nad morze.

– Pada deszcz – odpowiedziała.

– Zdaje się, że prawie ustał.

– Cóż, lubię deszcz. – Pani Bettsworth uniosła oczy znad robótki. – Pójdą z wami Joanna

i Clemency. Świeże powietrze dobrze im zrobi.

Pozostałe dziewczęta zdawały się nie mieć ochoty na spacer, ale kiedy Augustus Bettsworth oświadczył, że również pójdzie, szybko zmieniły zdanie. Po chwili pięcioro młodych ludzi opuściło zamek i ruszyło w dół w stronę morza błotnistą ścieżką obok stawu. Jeremy miał rację, krótki deszcz ustał i w świetle wczesnego zmroku na ziemi lśniły kałuże wody. Księżyc w pierwszej kwadrze zasłoniła mglista chmura. W porównaniu z północnym wybrzeżem Kornwalii morze wydawało się łagodne, oswojone.

– Czym się pan zajmuje, Poldark? – spytał Augustus. Miał około dwudziestu ośmiu lat. Przystojny młody człowiek z piękną grzywą jasnych włosów związanych w kucyk. Nosił buty, które skrzypiały nawet na wilgotnej ziemi. Wydawało się, że ma płaskostopie.

– Pomagam ojcu – odparł Jeremy. – Głównie w kopalni.

– Przed kilku laty pana ojciec cieszył się w Kornwalii znakomitą opinią. Przypuszczam, że dziś również. Jest mnóstwo posłów do Izby Gmin, ale niewielu mieszka w tym przeklętym hrabstwie. „Gazette” pisała, że niedawno wrócił z misji zagranicznej. Z jakiej misji? Dokąd wyjeżdżał?

– Chyba do Portugalii – odparł Jeremy. – Na zlecenie rządu.

– Dzięki Bogu ciągle walczymy z żabojadami. Myślałem, że gdy księżę regent przejmie władzę, wszystko się zmieni. Szkoda, że nie mamy dobrych generałów.

– Ojciec ma wysokie mniemanie o Wellingtonie.

– Generał sipajów! Wątpię, czy rozumie angielskich żołnierzy. Jeśli chodzi o Chathama, jest równie dobrym dowódcą jak kamienny posąg pokryty odchodami gołębi! Niech pan pomyśli o katastrofie pod Walcheren, gdzie zginął mój brat! To jego dzieło. Nigdy nie pokonamy korsykańskiego karła, dopóki nie pojawi się kilku ludzi takich jak Marlborough.

– Interesuję się także parą wodną – powiedział Jeremy.

– Parą wodną? Co ma pan na myśli, młody człowieku? Jak w czajniku?

Dziewczęta się roześmiały.

– Dokładnie taką samą jak w czajniku – odparł Jeremy, nie dając się sprowokować. – Można ją wykorzystać do lepszych celów. Jak w maszynach w naszej kopalni. Wierzę, że kiedyś pojawią się pojazdy napędzane parą.

Augustus przystanął i zamieszał laską kałużę.

– Drogą Poldark, nie może pan mówić poważnie. Ma pan na myśli pojazd drogowy z dużym kotłem i płonącym pod nim ogniem?

– Coś w tym rodzaju.

– Napędzającym koła?

– Tak.

– To niemożliwe. Należałoby wybudować tak wielki kocioł, że koła załamałyby się pod jego



ciężarem!

Następne śmiechy.

– To, co pan mówi, byłoby prawdą, gdyby wykorzystać tylko kotły niskociśnieniowe – odparł Jeremy. – Stosowano je przed dwudziestu laty. Ale jeśli zwiększyć grubość ścianek kotła, tak żeby wytrzymały ciśnienie siedmiu atmosfer zamiast trzech, wtedy moc maszyny niewiarygodnie wzrasta.

– Ha! – zawołał Augustus. – Niewiarygodnie! Dla mnie to rzeczywiście niewiarygodne! – Ruszył w stronę morza.

– Już to zrobiono – zwrócił się do Cuby Jeremy. – Dziesięć lat temu.

– Hej, co mówisz, młody człowieku? – Augustus znów się zatrzymał. – Zrobiono, powiadasz? Masz na myśli tego przekłętą szaleńca – jak on się nazywa? Tak, Trevithick. Słyszałem o tym. O mało nie wysadził się w powietrze, prawda? Zabił kilku ludzi. Nic dziwnego, prawda? Jeśli poddamy czajnik – albo kocioł, nazwa nie ma znaczenia – tak ogromnemu ciśnieniu, wtedy wybucha jak ładunek prochu, na który padła iskra! Bum! Taki wniosek dyktuje rozsądek, chyba że ktoś jest pozbawiony rozsądku.

– W kotle jest zawór bezpieczeństwa – rzekł Jeremy. – Jeśli ciśnienie nadmiernie wzrasta, zawór się otwiera i nadmiar pary ulatuje z kotła.

– Ale zginęli ludzie, prawda? Prawda?

– Tak, w Londynie. Człowiek opiekujący się maszyną zablokował zawór przez niedbalstwo. Później pan Trevithick dodał drugi zawór bezpieczeństwa i nie było więcej kłopotów.

– W Kornwalii również ginęli ludzie! To szaleństwo, którym zajmują się tylko szaleńcy!

– Dziękuję panu za komplement – odparł Jeremy, unosząc dłoń do czoła.

– Augustus nie mówi poważnie – odezwała się Cuby. – Augustus zamknąłby w Bedlam połowę Anglii za najdrobniejsze wykroczenie przeciwko jego poglądom.

– I dużą część Kornwalii – dodał Augustus. W końcu dotarli do bramy, gdzie Jeremy ukrył się w czasie ucieczki przed celnikami. Później przeszli na plażę. Zapadał zmrok. Cuby pobiegła w podskokach w stronę morza. Wkrótce zmieniło się to w wyścig i długonogi Jeremy wyraźnie wygrał. Zdyszani, ruszyli w stronę niskich klifów po prawej stronie. Szli dwójkami lub trójkami.

– Północne wybrzeże jest zupełnie inne – powiedział Jeremy. – Pola są tu bardziej zielone, bydło tłustsze, drzewa... Cóż, nie ma u nas takich drzew.

– W zeszłym roku wybierałam się do Padstow – odparła Cuby. – Ale padało i wiała taka wichura, że zrezygnowaliśmy z wizyty.

– Musi pani przyjechać i zobaczyć nasz fragment wybrzeża. Matka powiedziała, że chciałyby panią poznać. Urządzimy niewielkie przyjęcie. Przyjedzie pani?

– Co, sama?

– Przywiózłbym panią.

- Nie jestem pewna, czy moja matka by to zaaprobowała.
- Może przyjechałaby pani z Clemency? A nawet Augustusem.

Cuby się roześmiała.

– Augustus lubi szczeakać, czasem nawet warczy, ale nie ma ostrych zębów. Przepraszam, jeśli pana uraziłam.

– Jestem bardzo zadowolony z wizyty w Caerhays – powiedział Jeremy. – I szczęśliwy. Chyba nikt nie mógłby mnie urazić.

- Cieszę się, że dziś rano się pan ogolił. Wygląda pan znacznie lepiej.
- Myśli pani, że celnik Parsons by mnie poznał?
- Mój Boże, nie pomyślałam o tym! Czy powinniśmy zawrócić do domu?
- Wkrótce się ściemni. Warto zaryzykować.
- Panie Poldark, czy musimy iść tak szybko? Nie uważam, że mam krótkie nogi albo że jestem nieproporcjonalnie zbudowana, ale...

Natychmiast zwolnił.

- Proszę wybaczyć. Zrobiłem to instynktownie.
- Instynktownie?
- Chciałem wyprzedzić pani brata i siostrę, żebyśmy mogli rozmawiać sam na sam.
- Cóż, są daleko z tyłu. Powinniśmy na nich poczekać?
- Nie mam na to wielkiej ochoty.

Dotarli do klifów w bocznej części niewielkiej zatoczki, po czym zawrócili łukiem w stronę zamku. W zapadającym zmroku ślady ich kroków odcinały się czarno od piasku.

– Dlaczego nic pan nie mówi, skoro zostaliśmy sami? – spytała Cuby.

– Jestem skrępowany.

– Zawsze uważałam, że to głupie słowo. Czy jest pan związany sznurem, panie Poldark? Może rzemieniem albo wstążką? Kompletny nonsens.

– Przede wszystkim: czy mógłbym prosić, by nie nazywała mnie pani panem Poldarkiem?

– Kiedyś nazwałam pana chłopcem, prawda? Ale byłoby to niegrzeczne, bo wiem, że jest pan dżentelmenem. A może Jeremy?

- Tak, mówmy sobie po imieniu.
- Moja matka uznałaby, że jestem zbyt otwarta.
- Więc może wtedy, gdy jesteśmy sam na sam?

Popatrzyła na Jeremy'ego.

- Uważasz, że będziemy prowadzili wiele rozmów sam na sam?
- Modłę się o to.
- Do kogo, chłopcze?
- Chyba do Amora.

Dotarli do skał. W przyćmionym świetle Cuby wyprzedziła Jeremy'ego i zwinnie skakała z głazu na głaz w długiej sukni. Usiłował dotrzymać jej kroku i wyprzedzić, lecz poślizgnął się na skale pokrytej wodorostami i wpadł do wody. Roześmiał się i wyszedł z rozlewiska, usiadł na kamieniu, chwycił się za stopę i zaczął ją masować.

Wróciła i spojrzała na niego oskarżycielsko.

– Znowu skręciłeś kostkę! Bez przerwy ci się to przytrafia!

– Wygląda na to, że bez przerwy przed kimś uciekam albo kogoś gonię.

– A tym razem?

– Goniłem kogoś.

W jej oczach odbiło się światło nieba, które wcześniej odbijało się w wodzie.

– Chyba cię lubię, chłopcze – powiedziała.

## Rozdział ósmy

### I

Pozostałymi gośćmi zaproszonymi na wieczór muzyczny było młode małżeństwo z Carvossy w Truro: kapitan Octavius Temple, przebywający na urlopie, wraz z małżonką. Poza tym lady Whitworth z piętnastoletnim wnukiem Conanem. Przybył także John-Evelyn Boscawen, a wraz z nim Nicholas Carveth, brat pani Temple. Resztę gości stanowili sir Christopher Hawkins, sir George Warleggan i jego syn Valentine.

Clemency grała na klawesynie, Joanna Bird na gitarze angielskiej, Nicholas Carveth na klarnecie o zmodernizowanej konstrukcji wprowadzonej niedawno przez Iwana Müllera. John-Evelyn Boscawen zaśpiewał kilka pieśni i akompaniował Cuby, kiedy ta śpiewała. Było to odrobinę za wysokie towarzystwo dla Jeremy'ego, który, z obolałą kostką starannie zabandażowaną przez Cuby (w trakcie tej czynności wpadł w ekstazę), siedział, bił brawo i kręcił z uśmiechem głową, gdy ktoś spoglądał w jego stronę, oczekując popisu talentów muzycznych.

Wyraźnie zauważył, że major Trevanion miewa zmienne humory. W trakcie obiadu był ponury i milczący, lecz później stał się rozmowny, czarujący i wesoły – idealny gospodarz, któremu zależy, by goście dobrze się czuli, jedli smaczne potrawy i pili dobre wina. Bardzo troszczył się o wszystkich, w tym własne siostry.

Jeremy był dalekim powinowatym i sąsiadem Valentine'a Warleggana, ale nie widział go od trzech lat i nie rozmawiał z nim od sześciu. Valentine, wysoki młody człowiek w wieku siedemnastu lat, miał ciemne włosy, wyraziste rysy twarzy, długi, wąski nos i blisko osadzone oczy, które nieco go szpeciły. Wydawało się, że zawsze trzyma wzrok wbity w ziemię. Jedna z jego nóg była wyraźnie krzywa, a szerokie barki kontrastowały z cienkimi kostkami i nadgarstkami. Ubierał się elegancko jak na tak młodego człowieka i wyraźnie nie żałowano pieniędzy, by zaspokoić jego zamiłowanie do pięknych strojów.

Jeremy i sir George widzieli się jeszcze rzadziej i spoglądali na siebie z ukosa. George, snujący w myślach podstępne plany, czuł irytację na widok niezgrabnego młodego człowieka, przedstawiciela następnej generacji nieznośnych Poldarków, na takim przyjęciu – Jeremy nie miał w sobie erotycznego uroku Clowance, który mógłby złagodzić złość Warleggana. Jeremy, ze swojej strony, uznał, że George się postarzał i że niezdrowo przytył. Młody Poldark był na

tylę dorosły, że rozumiał przypadkowe uwagi rodziców na temat Warlegganów, i dlatego czuł do niego zakorzenioną niechęć. Widział w George'u właściciela kopalni, którą zamierzał kupić, przeszkodę wymagającą obejścia lub pokonania, nim Wheal Leisure zacznie znowu działać.

Z upływem wieczoru irytacja George'a wzrastała, ponieważ nabrał przekonania, że widział już wcześniej tego młodego człowieka, gdy jeszcze się nie znali. George szczyił się, że doskonale zapamiętuje twarze, ale tym razem nie mógł sobie przypomnieć, kiedy to było.

Z kolei Jeremy czuł niepokój na widok lady Whitworth. Z pewnością nigdy jej nie spotkał, lecz nazwisko wydawało się znajome. Była to bardzo stara, bardzo gruba kobieta nosząca brązową, kędzierzawą perukę, z oczami jak palone orzechy włoskie i obwisłymi policzkami pokrytymi grubą warstwą pudru – można by się obawiać, że jeśli poruszy głowę, puder obsypie jej całą suknię. Mówiła tubalnym głosem i nie rozstawała się z wachlarzem, który stał się przyczyną kłopotów. Machała nim tak zawzięcie w trakcie koncertu, że John-Evelyn Boscawen musiał ją poprosić, by przestała, ponieważ mylił mu się takt. Gdyby tego życzenia nie wyraził brat wicehrabiego, wprost trudno sobie wyobrazić, jaka mogłaby być reakcja lady Whitworth, lecz w tej sytuacji w końcu niechętnie opuściła fałszywą batutę.

Jej wnuk był rosły jak na swój wiek, niezgrabny i tęgi. Miał grube wargi, cienkie ciemnobrązowe włosy przylegające do czaszki, przypominające mysie futerko, i małe, krótkowzroczne oczy o orzechowej barwie, które sprawiały wrażenie jeszcze mniejszych z powodu otaczających je fałd tłuszczu. Błada twarz chłopca wydawała się wymodelowana z ciasta, którego jeszcze nie włożono do pieca. W trakcie całego koncertu obgryzał paznokcie, może dlatego, że nie miał nic innego do jedzenia.

Jeremy obserwował to wszystko z roztargnieniem, ponieważ wytrącało go z równowagi wiele innych rzeczy. Nie dość, że młody Boscawen akompaniował śpiewającej Cuby, to później towarzyszył jej jeszcze w czasie antraktu – siedział obok niej na kanapie pod oknem, na której zmieściłyby się zaledwie trzy osoby. I wyraźnie było widać, że bliskość Cuby nie sprawia mu przykrości. Tego wieczoru miała na sobie prostą sukienkę z jasnozielonego haftowanego muślinu ze szmaragdowymi kokardami na ramionach, a do tego zielone aksamitne trzewiki i niewielki diadem z brylantami na prostych, ciemnych włosach. Zwykle wydawała się nadąsana lub arogancka, lecz gdy się uśmiechała, jej twarz stawała się olśniewająco piękna. Przypominało to sztuczkę magiczną, cud. Oblicze Cuby nagle wypełniało się światłem. Kilkakrotnie napotkała wzrok Jeremy'ego i z rozbawieniem zmarszczyła brwi, ale nie potrafił powiedzieć, czy bawi ją atencja młodego Boscawena, czy wyraźny niepokój młodego Poldarka.

Valentine podszedł do Jeremy'ego z ciastkiem tortowym w jednej ręce i kieliszkiem madery w drugiej.

– Cóż, Jeremy, jeszcze nie walczysz z żabojadami?

– Nie... na razie pozostawiam to Geoffroyowi Charlesowi.

– Domyślam się, że w dalszym ciągu jest w Portugalii albo Hiszpanii. Głupiec z niego. Kiedy wszystko się skończy, nikt mu nie podziękuje.

– Nie sądzę, by zależało mu na podziękowaniach... Nie powinienes być w Eton?

– Powiniennem, ale zostałem zawieszony na pół roku. Zrobiłem dziecko ulubionej pokojówce swojego opiekuna. Chyba nie miałbym z tego powodu kłopotów, gdyby tak jawnie nie okazywała, że woli mnie od niego.

– Kiedy jedziesz do Cambridge?

– W przyszłym roku. Do St John's College. Ciekawe, jakie są tam pokojówki.

– Większość służby to mężczyźni.

– Niech Bóg broni... Nawiasem mówiąc, Cuby, która tam stoi, ma bardzo ładną cerę i figurę. Nie miałbym nic przeciwko temu, by zawrzeć z nią naprawdę bliską znajomość.

– Moim zdaniem to mało prawdopodobne.

Valentine zerknął na kuzyna.

– A, tu cię mam! Podoba ci się, prawda?

Jeremy wziął kieliszek i wypił łyk wina.

– Popatrz, jak oddycha – ciągnął Valentine. – Człowiekowi przychodzą do głowy miłe myśli, co? Wystarczyłoby pociągnąć za tę wstążkę...

Cuby uśmiechała się ołsniewająco, rozmawiając z Johnem-Evelynem.

– Studiowałaś kiedyś historię? – spytał Valentine.

– Czemu pytasz?

– Kiedy książę lub księżniczka osiągną wiek odpowiedni do małżeństwa – często nawet wcześniej – król usiłuje zaaranżować ich małżeństwo z synem lub córką innego króla: scementować sojusz, rozszerzyć posiadłości, załagodzić spór, różne takie bzdury. Cóż, mój ojciec – o, tam stoi – zorientował się, że jego ukochany syn ma już siedemnaście lat i może dokonywać podbojów miłosnych. W związku z tym zaczął się zastanawiać, jak mnie ożenić dokładnie w tym samym celu. Szkoda tylko, że syn ma inne poglądy!

– Jakie?

Valentine dotknął palcami halsztuka.

– Zamierzam nie dać się złapać jeszcze przez kilka lat. Złota obrączka i łożo małżeńskie to tylko konwencja, a kiedy wyobrażam sobie, że w domu czeka na mnie skwaszona pani Warleggan, która potem zamierza gapić się na mnie z przeciwległej strony salonu, tracę na to ochotę. Może to pokrzyżować mi szyki. Dobre dziewczęta – niektóre są atrakcyjne mimo dobroci – mogą nie przyjmować tak chętnie amatorów, gdy będą wiedzieć, że jestem żonaty. Zgadzasz się?

– Zgadzam – odparł Jeremy. – Małżeństwo to kula u nogi.

– Opowiedz mi o sobie, kuzynie. Masz jakąś przyjaciółkę? Czy twój ojciec planuje dla ciebie

korzystne małżeństwo? Przystojny z ciebie jegomość i sądzę, że większość dziewcząt z Sawle i Mellin rozłożyłaby dla ciebie nogi.

– Najlepsze są sianokosy – odpowiedział Jeremy. – Mięciutki stogi...

– Czy tamtejsze dziewczuchy nie są za bardzo przysadziste i nie mają grubych nóg? Tak mi się zdaje. Cóż, przypuszczam, że załatwiasz to gdzie indziej. Poldarkowie zawsze trzymali takie rzeczy w sekrecie. O Boże, zaraz znów zaczną grać. Zastanawiam się, czy uda mi się usiąść obok panny Cuby.

## II

Jeremy wyjechał następnego dnia po nabożeństwie, przed obiadem. Godzinę wcześniej Cuby pokazała mu resztę dworu i posiadłości. Budowa zachodniego skrzydła zamku nie była jeszcze ukończona, więc elegancki, dystyngowany wygląd frontowej elewacji kontrastował z widokiem od tyłu, gdzie znajdowało się morze błota, stosy kamieni i drewna, wozy, taczki, wiadra i przyzmy łupku. Nie było żadnych robotników, co nie dziwiło w niedzielę, lecz wydawało się, że ostatnio nikt tam nie pracował. Jeremy nie zauważył świeżo wykopanej ziemi ani śladów niedawnych robót, a część żelaza pokrywała rdza.

– Czy robotnicy przychodzą codziennie? – spytał, spoglądając na kałuże żółtej wody.

– Nie tej zimy. Mój brat uważa, że przy złej pogodzie to strata czasu. Wznovimy prace w maju.

– Kiedy rozpoczęto budowę zamku?

– Przed czterema laty. Naturalnie dwór stał tu wcześniej.

– Pani brat rozpoczął to przedsięwzięcie w bardzo młodym wieku.

– Chyba czasem żałuje, że w ogóle zaczął! Ale teraz dom wygląda elegancko.

– Wspaniale!

– Pan Nash, projektant, popełnił kilka błędów, które zwiększyły koszty. Jak pan widzi, zamek wzniesiono na stoku wzgórza, a Nash zaproponował budowę wielkiego muru. W lecie można by po nim spacerować i podziwiać widok na staw oraz park – mur ten miał również wspierać fundamenty gmachu. Niestety, zeszłej wiosny spadły ulewne deszcze i z powodu braku odpowiedniego drenażu ziemia przesiąkła wodą, po czym mur się zawalił! Pewnej nocy obudził mnie straszliwy huk. Myślałam, że to trzęsienie ziemi! Ściany zamku zadrżały, a rankiem zobaczyliśmy, że mur jest zrujnowany. Później trzeba było zbudować dwa razy grubszy mur.

Zakończyli spacer przy kościele, w którym wcześniej wysłuchali modlitw i krótkiego kazania. Teraz był pusty.

– Wytłumacz mi coś, proszę – powiedziała Cuby. – Wczoraj wieczorem mówiłeś o parze

wodnej. Wydawało się, że bardzo cię to interesuje.

– Naprawdę? – spytał, pamiętając jej ironiczny śmiech.

– Wiesz o tym. Żywo opowiadałeś, a Augustus kwestionował twoje opinie.

– Tak. Ostatnie udoskonalenia dowodzą, że maszyny parowe to z pewnością jeden z najbardziej ekscytujących wynalazków w historii ludzkości, prawda?

– Nie wiem. To ty tak mówisz. Ale co to dla ciebie znaczy?

– Co to znaczy dla nas wszystkich?! Z czasem para zmieni całe nasze życie.

– W jaki sposób?

Spojrzał na Cuby. Dołeczki w jej policzkach miały nieco smutny, sierpowaty kształt. Ale gdyby wyraz twarzy się zmienił i pojawił się na niej uśmiech... Jeremy patrzył na Cuby i na chwilę zapomniał o całym świecie.

– W jaki sposób? – powtórzyła. – Wyjaśnij, proszę.

– Cóż... – Przełknął ślinę i wrócił z obłoków na ziemię. – Para stanie się źródłem potęgi. Dotychczas korzystaliśmy z koni, wołów, wiatru i wody, nad którymi nie zawsze możemy zapanować. Maszyny parowe to urządzenia stworzone przez człowieka. Kiedy je odpowiednio udoskonalimy, będziemy mogli ogrzewać domy, budować pojazdy jeżdżące po drogach, młócić zboże, napędzać statki. Para może zostać nawet wykorzystana na wojnie zamiast prochu.

– Para jest wykorzystywana od lat...

– Nie w wysokociśnieniowych kotłach. To ogromna różnica.

– Czy nie ma niebezpieczeństw, o których wspominał wczoraj wieczorem Augustus?

– Zawsze istnieje ryzyko, podobnie jak w przypadku wielu nowych wynalazków. Trudności udało się prawie przewyciężyć.

– Będziemy świadkami tych zmian za swojego życia?

– Myślę, że to możliwe. Uważam również, że rozwój maszyn parowych złagodzi los ubogich, ponieważ umożliwi tanią produkcję wielu towarów, na które ich obecnie nie stać...

Szli wokół kościoła. Jeremy zatrzymał się przy jednym z pomników nagrobnych.

CHARLOTTE TREVANION  
ZM. 20 LUTEGO 1810 ROKU  
W WIEKU 27 LAT

*Pamięci ukochanej Żony, której szczątki spoczywają w krypcie rodzinnej. Pomnik ten, jako wyraz hołdu, miłości i podziwu męża, wznosił John Bettesworth Trevanion, dżentelmen. Odeszła z tego świata po długich cierpieniach wywołanych ciężką chorobą, opuszczając kochające dzieci i męża na wezwanie Wszechmogącego Stwórcy.*

*Ku pamięci małej Charlotte Agnes, jedynej córki Charlotte i Johna Betteswortha Trevaniona, zmarłej 8 maja 1809 roku w wieku dwóch lat i ośmiu miesięcy.*



– To żona i dziecko twojego brata? – spytał Jeremy.

– Tak.

– Taka młoda... Na co umarła?

– Lekarz nazwał to *fungus haematodes*. Jej śmierć... nie była ładna.

Cuby ruszyła naprzód, jakby nie miała ochoty stać przy nagrobku.

– Nic dziwnego, że twój brat jest smutny, przynajmniej czasami.

– Przed śmiercią Charlotte zawsze był pełen optymizmu, ambitny, wesoły. Teraz jego dobry humor – widziałeś to zeszłej nocy – nie pochodzi z serca. Ma w sobie coś wymuszonego, niecierpliwego. Jakby próbował schwytać coś, co zawsze umyka.

– Myślisz, że znowu się ożeni?

– Nie, nigdy.

– I będzie samotnie wychowywał dwoje dzieci?

– Pomożemy mu.

– Jesteście bardzo ze sobą związani jako rodzina.

– Nie wiem, jak się zachowują inne rodziny. Chyba to prawda... Może w obliczu przeciwności losu.

– Bardzo się kochacie.

– O tak. Tak, na pewno.

Przeszli kilka kroków.

– Cuby...

– Tak?

– Skoro mówimy o sympatii... To, co powiedziałaś wczoraj wieczorem...

– Co powiedziałam?

– Musisz pamiętać. Tak niewiele to dla ciebie znaczy?

– Na plaży?

– Tak.

– Powiedziałam: „Chyba cię lubię, chłopcze”. Czy to takie ważne?

– Dla mnie bardzo ważne.

– Och, cyt, chłopcze... – Zerknęła na Jeremy’ego i ruszyła naprzód. Podążył za nią.

– Czy...

– Nie powinieneś tak się tym przejmować.

– Nie mówiłaś szczerze?

– Nie, mówiłam szczerze – odpowiedziała.

– Nie wierzę, że mówiłaś to samo wielu mężczyznom.

Zaśmiała się lekko.

– Myślisz, że bardzo dobrze mnie znasz!

Jeremy przełknął ślinę.

– Myślę, że bardzo cię kocham.

Zatrzymali się w nawie. Cuby popatrzyła na jeden z witraży.

– To niebezpieczna deklaracja, Jeremy – rzekła po chwili.

– Dlaczego?

– Bo mogłabym czuć pokusę, by ci uwierzyć.

Dotknął jej dłoni.

– Nie miej co do tego wątpliwości, nawet jeśli wątpisz w inne rzeczy.

Cofnęła rękę.

– Popatrz, są tu pochowani inni przodkowie mojej rodziny. Kolejny John Trevanion. William Trevanion i Anne Trevanion...

– Interesuje mnie tylko Cuby Trevanion.

– Tak... ale, Jeremy... nie żyjemy w izolacji... żadne z nas. Nie jesteśmy pustelnikami. A szkoda! – Spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok, lecz zauważył w jej oczach błysk emocji. – Nie – rzekła z naciskiem. – Powiedzieliśmy wszystko, co można powiedzieć – w tej chwili. Na razie... Popatrz, wychodzi słońce. Czeka cię miła jazda do domu.

– Wcale nie chcę wracać do domu. Ja... trochę się boję.

– Och, w obecnych czasach na drogach nie ma wielu opryszków.

– Nie boję się spotkać opryszków w drodze do domu. Boję się opryszków, którzy grasują w waszej posiadłości. Boję się, że mogliby mi coś ukraść.

– Co mogliby ukraść?

– Wczoraj wieczorem cierpiałem męki, ponieważ młody Boscawen stale ci nadskakiwał! Czuję zazdrość i rozpacz!

– Powiesiłbyś go za to, że mu się podobam?

– Jeśli jego spojrzenia oznaczają to, co moim zdaniem oznaczają, tak!

– Och, mój drogi... Mam przez ciebie zamęt w głowie. – Dołeczki w policzkach straciły smutny charakter. – Pochlebiasz mi. Spotkaliśmy się zaledwie trzy razy! Znamy się bardzo słabo, prawda?

– Dostatecznie dobrze.

– Nie znam twojej rodziny, a ty mojej. Nikogo! To nie takie proste. Nic nie jest proste. Posuwajmy się do przodu powoli. Teraz dość.

– A Boscawen?

Dotknęła srebrnej klamerki peleryny.

– Myślę, że możesz się go nie obawiać.

– Daj mi jakiś dowód.

– Jaki?

Pochylił się, by ją pocałować. Nadstawiła policzek i przez chwilę muskał wargami wonną skórę. Później, gdy zamierzał unieść głowę, odwróciła się i pocałowała go w usta. Po kilku sekundach odeszła.

Dogonił ją przy drzwiach kościoła.

– Dość już na dziś – powtórzyła szorstko, mimo woli zarumieniona.

– Cuby, Cuby, Cuby, Cuby, Cuby...

– Dobrze pamiętasz moje imię.

– Będę o tym myślał każdego ranka. I wieczorami przed zaśnięciem.

Wyszli na dziedziniec kościoła.

– Popatrz, jak zza chmur wychodzi słońce – powiedziała. – Mamy więcej szczęścia niż ludzie, których tu pochowano, prawda? Idzie wiosna, jesteśmy młodzi! Młodzi! Jedź do domu, drogi Jeremy, i nigdy źle o mnie nie myśl.

– Jak mógłbym... Dlaczego miałbym kiedykolwiek...

– Nigdy źle o mnie nie myśl. I odwiedź nas kiedyś.

### III

Kilka tygodni później grupa dżentelmenów jadła obiad w hotelu Pearce'a w Truro. U szczytu stołu siedział lord de Dunstanville z Tehidy, dawniej sir Francis Basset, jeden z najbogatszych ludzi w Kornwalii – zwłaszcza po ponownym otwarciu kopalni Dolcoath – i również jeden z najbardziej oświeconych. Obecni byli także jego szwagier John Rogers z Penrose, Mackworth Praed, Ephraim Tweedy, Edward Stackhouse, Arthur Nankivell i kapitan Ross Poldark.

Posiłek spożywano w jadalni na piętrze zarezerwowanej dla specjalnych gości. Z okien rozciągał się widok na odnogę rzeki Truro, która w czasie przyprływu dochodziła do tylnych ścian dużych prywatnych domów przy Prince's Street za nabrzeżem portowym. Zakurzone pomieszczenie zawsze pachniało kamforą. Na ciężkich, wzorzystych tapetach o czerwonej barwie wisiały spłowiałe akwarele przedstawiające polowania na jelenie.

Obiad się zakończył i wokół stołu krążyła karafka z porto.

– Jak wspomniałem pod koniec spotkania, pozostała nam tylko jedna kwestia, panowie – powiedział lord de Dunstanville. – Zasugerowałem, że powinniśmy omówić ją po obiedzie, gdyż da nam to trochę czasu do namysłu. Czy mogliby panowie przedstawić swoje opinie?

Nikt się nie odezwał. Stackhouse, który trzymał okrągłą karafkę z porto, napełnił swój kieliszek i podał ją dalej.

– Nie patrz na mnie, Francis – rzekł John Rogers. Był niskim, grubym mężczyzną, któremu

potężny brzuch utrudniał siedzenie blisko stołu. Poza tym był głuchy i zwykle starał się mówić na tyle głośno, by słyszeć własne słowa. – Nie mam nic do dodania. Jak panowie wiedzą, nie należę do zwolenników ludzi pokroju Warlegganów, ale na szczęście nigdy nie wyrządzili mi żadnej szkody, więc nie jestem osobiście zainteresowany decyzją w tej sprawie.

– Cóż, nie wiem, czy między mną a Warlegganami istnieją osobiste konflikty – powiedział Tweedy, adwokat z Falmouth, który stał się bogaty, pracując dla jeszcze bogatszych klientów – ale nieustannie słyszy się ich nazwisko. Jakaś niewielka firma bankrutuje, bo Warlegganowie mają zbyt wiele jej weksli i likwidacja przyniesie im korzyść. A jeśli właściciel protestuje, Warlegganowie dbają, by nigdy więcej nie otworzył żadnego interesu w Kornwalii! Poza tym uważam – jest to powszechne przekonanie – że to oni stali za działaniami Kornwalijskiej Kompanii Miedziowej, która próbowała odciąć firmie Harvey & Company dostęp do ujścia rzeki w Hayle. Proces sądowy między dwiema kopalniami ze Scorrier – United Partners i Wheel Tolgus – to zapewne również ich robota. Nie wiem, co o tym myśleć. Stale się o nich słyszy. Wygląda to tak, jakby mieszały się w różne sprawy w niezbyt uczciwy sposób!

Pojawił się kelner, aby zebrać część brudnych talerzy. Po chwili lord de Dunstanville skinął dłonią, by odszedł. Rozległ się pisk butów na posadzce i szcęk zamykanych drzwi.

– Jest pan zatem zwolennikiem podjęcia jakichś działań?

Tweedy niespokojnie się poruszył. Stał się przywódcą społeczności religijnej w okolicach Falmouth i wielkim propagatorem dobroczynności, co pomagało mu w prowadzeniu prywatnych interesów.

– Trudno określić, co w dzisiejszych czasach jest zgodne z zasadami kupieckiego honoru – rzekł sucho de Dunstanville. – To smutne, ale zasady moralne się zmieniają... A pan, Stackhouse?

– Nie lubię Warlegganów – odparł Stackhouse. – Jednak nie podobają mi się środki, które mogłyby pomóc ich wyeliminować. Nie podejmowałbym żadnych działań, tylko pozostawiłbym sprawę naturalnemu biegowi. Niech zdecydują normalne procesy handlowe i finansowe.

Karafka z porto znalazła się w przeznaczonym dla niej wgłębieniu w blacie stołu. Nie mogła stać na równej powierzchni, więc nikt nie zapomniał przekazać jej sąsiadowi. Ze swojego miejsca Ross widział żagiel wciągany na maszt, który pochylił się pod naciskiem wiatru. Wolałby być na zewnątrz. Czuł się lepiej w Buçaco niż w tym pomieszczeniu.

– Nie powinniśmy się przejmować moralnością – powiedział Mackworth Praed, pociągając długim, zakrzywionym arystokratycznym nosem. – Nie ma w tym niczego, co mogłoby nas niepokoić. Jak rozumiem, propozycja sprowadza się po prostu do tego, by wyeliminować konkurencyjny bank. Albo podjąć taką próbę. Wielu ludzi stosuje podobne metody, czasem na niewielką skalę, lecz stosowano je również w historii, gdy chodziło o losy dynastii i państw. Założę się o gwineę, że kiedy Warlegganowie zniszczyli bank Pascoe, nie mieli z tego powodu

żadnych wyrzutów sumienia.

– Więc głosowałby pan za wnioskiem?

– Naturalnie. Oczywiście. Proste działanie handlowe. Nie należy się wahać. Amen. Czy mógłbym prosić o karafkę?

Arthur Nankivell, który poślubił dziedziczkę rodu Scobellów i stał się dzięki temu właścicielem majątku ziemskiego i nieruchomości w pobliżu Redruth, był żywym, bladym, niskim mężczyzną z dziobami po ospie wokół ust i na podbródku. Zabrał głos, choć nie nadeszła jeszcze jego kolej:

– Wielka szkoda, że Harris Pascoe już nie żyje. Warto by poznać jego poglądy, milordzie... Kapitanie Poldark, był pan najbliższym przyjacielem Pascoe i bankructwo jego banku najbardziej pana dotknęło. W czasie zebrania wydawało się, że nie ma pan ochoty wyrażać własnego zdania. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Czy mógłby pan przedstawić nam swoje poglądy?

Ross obracał w dłoni kieliszek. Ostatnim razem napełnił go niezręcznie, toteż na stole został półkolisty ślad.

– Może jestem zbyt zaangażowany w całą sprawę. Powinien to być interes, a nie sposób na wyrównanie starych porachunków.

– Warlegganowie nie mają nic przeciwko wyrównywaniu starych porachunków – zauważył Tweedy.

– To prawda. Moim zdaniem doprowadzili Pascoe do ruiny zarówno ze złości, jak i dla zysku.

Lord de Dunstanville zadzwonił dzwoneczkiem. Gdy pojawił się kelner, wicehrabia powiedział:

– Bądź łaskaw przynieść przybory do pisania.

– Tak jest, milordzie.

Kiedy przybory do pisania pojawiły się na stole, jego lordowska mość zmarszczył z niezadowoleniem nos na widok plamy na gęsim piórze i powiedział:

– Przeprowadźmy nieformalne głosowanie i zanotujmy wyniki. John?

Rogers splótł ręce na brzuchu i poruszył nimi.

– Tak czy nie?

– Tak lub nie.

– A zatem nie. W tym roku w kraju panuje kryzys. Bankructwo Warlegganów może doprowadzić do plajty inne banki.

– Tweedy?

– Tak, jeśli można to zrobić dyskretnie.

– Praed?

– Oczywiście tak. Panuje kryzys, co daje nam większą szansę na sukces. Moim zdaniem całe

hrabstwo odetchnęłyby z ulgą, gdybyśmy się ich pozbyli.

– Nankivell?

– Jak zamierza pan głosować, milordzie?

– Ponieważ nie jestem już czynnym udziałowcem Banku Kornwalijskiego, nie czuję się uprawniony do udziału w głosowaniu. Chyba że beze mnie pozostałe głosy rozłożą się po równo.

Niski mężczyzna podrapał się po dziobatym podbródku.

– W takim razie głosuję przeciw. Kilka razy spotkałem sir George’a Warleggana i wydał mi się dość miły. Gdybyśmy skrzyżowali szpady w związku z jakimś przedsięwzięciem, moja ocena naturalnie mogłaby być inna.

Ross zdawał sobie sprawę, że teraz jego kolej. Usprawiedliwił się, wstał i podszedł do okna. Przyptyw niemal osiągnął najwyższy poziom. Na brzegu rzeki stały krowy zanurzone po kolana w wodzie. Rzeka prawie otaczała stary most, którym można było wyjechać z miasta. Podobno wkrótce zamierzano zbudować nowy most, co pozwoliłoby łatwiej dotrzeć do gościńca prowadzącego do Falmouth. Wokół budowano nowe domy, ładne, kwadratowe, trwałe – widać je było przy ulicy biegnącej na szczyt wzgórza. W połowie jego wysokości znajdowały się kwatery oficerów milicji z Brecon i Monmouth, którzy w tej chwili stacjonowali w Truro i Falmouth, by utrzymywać porządek.

Ross słyszał, że radnym miejskim niedawno udało się odrzucić propozycję nazwania tej nowej ładnej ulicy Warleggan Street.

– Poldark? – odezwał się de Dunstanville.

George, parweniusz, który prawie stał się właścicielem Francisa Poldarka, a później, po śmierci Francisa, poślubił Elizabeth, piękną wdowę po Francisie, niegdyś przyrzeczoną Rossowi. George szydził z niego w gospodzie Pod Czerwonym Lwem po bankructwie Carnmore Copper Company, a później doszło między nimi do bójki. Ross chwycił George’a za halsztuk. Warleggan spadł ze schodów, łamiąc stół i o mało nie łamiąc sobie karku. George, wybrany na posła do Izby Gmin z Truro przewagą jednego głosu – ich spotkanie z Bassetem, lordem Devoranem i sir Williamem Molesworthem, znów w gospodzie Pod Czerwonym Lwem, gdy wściekła wrogość omal nie doprowadziła do kolejnej bójki. Prześladowanie Drake’a Carne’a, brata Demelzy. Ludzie George’a brutalnie go pobili i pozostawili, by umarł. George i Monk Adderley szydzący na przyjęciu w Londynie. Można było podejrzewać, że George namówił Adderleya, by nastawał na cnotę Demelzy, co doprowadziło do pojedynku zakończonego śmiercią Adderleya.

Śmiertelny wróg Rossa. Jedyne wróg. Stale się pojawiał, tutaj, w Kornwalii, na przyjęciach i spotkaniach. Sąsiad Rossa, zawsze zbyt potężny, zbyt bogaty. Wyjątkowo dziwny zbieg okoliczności sprawił, że teraz los George’a leżał w rękach Rossa.

Co powiedziała Demelza? Musimy się pogodzić z tym, co zrobili George i jego krewni.

Musimy się pogodzić z tym, co sami robiliśmy. Nie chcę w tym uczestniczyć.

Jednak Mackworth Praed uważa to za normalną operację handlową, której nie trzeba się wstydzić, która nie powinna powodować wyrzutów sumienia.

Rogers powiedział, że w kraju panuje kryzys (co było prawdą). Jeśli Warlegganowie zbankrutują, może to doprowadzić do upadku innych banków (co również może być prawdą).

– Poldark? – powtórzył de Dunstanville.

Bryg odpływał od nabrzeża, zmierzając w stronę szerokich rozlewisk rzeki. Łabędzie leniwie usuwały się z drogi.

Ludzie łagodnieją, prawda?

Ross się odwrócił i zmarszczył brwi.

– Jestem przekonany, milordzie, że nie powinienem uczestniczyć w głosowaniu.

## IV

Ross spędził noc w Truro, więc wrócił do domu dopiero nazajutrz o jedenastej. Zastał Demelzę samą w kuchni nad moździerzem.

– Ach, Ross, nie spodziewałam się ciebie tak prędko! Przerwałeś post?

– O tak. Wczesnie wstałem... Co robisz?

Demelza kichnęła.

– Kury mają robaki. Bardzo mi się to nie podoba.

– To częsty przypadek.

– Cóż, tłukę czarny pieprz. Kiedy zmieni się w puder, wrzucę go do ciepłej wody i umyję nią kury. To zabije wszystkie robaki.

– Skąd wiesz?

– Nie pamiętam. Dziś rano przypomniałam sobie ten sposób.

– Czasem zastanawiam się, czy prowadziłaś jeszcze inne życie. Nie tylko jako córka górnika i pani w Namparze. Skąd wiedziałabyś te wszystkie rzeczy? Potrafisz leczyć krowy z postrzału i często wiesz tyle samo co Dwight na temat drobnych dolegliwości domowych.

Demelza wytarła nos.

– Czy to, co robię, nie jest rozsądne? Robakom na pewno się to nie spodoba.

– A kurom?

– Nie zabije ich.

– W ciągu tych lat nie nauczyłaś się jednej rzeczy: zlecenia brudnych prac służącym.

Demelza się uśmiechnęła.

– Gdybym się nie zajmowała pracą w gospodarstwie, co miałabym robić? Poza tym lubię to.

Jak poszło wczorajsze spotkanie?

– Jak większość z nich. Nie jestem urodzonym bankierem, Demelzo. Rozmowy o akcjach kanałów żeglugowych, wekslach grzesnościowych i udziałach w Kompanii Wschodnioindyjskiej sprawiają, że wkrótce zacznym ziewać, choć z grzesności połykam ziewnięcia i nie pozwalam im ujrzeć światła dziennego.

– Tak. Działo się coś jeszcze?

– Masz na myśli Warlegganów?

– Naturalnie.

– Doskonale wiedzieli, że Warlegganowie mają kłopoty. Wszyscy bankierzy o tym plotkują. Nie wiem, czy również kupcy, ale domyślam się, że trudno powstrzymać rozchodzenie się takich pogłosek.

– Jaka jest opinia twoich współników?

– Rozmawialiśmy o tym na początku spotkania, po czym przerwaliśmy na prośbę Francisa de Dunstanville'a, by podjąć decyzję po obiedzie. Niektórzy byli za podjęciem działań, inni nie.

– Jakich działań?

– Mniej więcej tego, co zasugerował lord Falmouth. Wydanie instrukcji urzędnikom, co mają mówić, gdy otrzymują skrypty Warlegganów lub wypłacają pieniądze. Kilka komentarzy w obecności niedyskretnych osób na temat wzrostu emisji ich skryptów dłużnych i tego, że posiadają ogromnie dużo zastawionych akcji... Później, w razie potrzeby, anonimowe ulotki, podobnie jak przed bankructwem banku Pascoe.

– A lord de Dunstanville? Zgodził się?

– Jego lordowska mość oznajmił, że nie jest już czynnym współnikiem, więc nie opowie się po żadnej ze stron. Powiedział, że odda decydujący głos, jeśli głosy pozostałych współników podzielą się pół na pół.

– Podzieliły się pół na pół?

– Nie.

Demelza czekała.

– A zatem?

– Rogers był przeciwny. Uważał, że ewentualne bankructwo banku Warlegganów miałyby negatywny wpływ na wszystkie banki i przedsiębiorstwa, zwłaszcza w czasie obecnego kryzysu.

– Ross usiadł na skraju stołu. – Praed poparł plan. Mówił, że powinniśmy wykorzystać wszystkie możliwości Banku Kornwalijskiego, by zaszkodzić Warlegganom. Stackhouse się sprzeciwił, co mnie zaskoczyło. Nankivell również, lecz tym razem mnie to nie dziwiło, bo ma udziały w niektórych przedsięwzięciach Warlegganów. Tweedy był za. Pozostał mój głos.

– I co powiedziałaś?

– Postąpiłem dokładnie według twoich instrukcji.



– Instrukcji?!

– Cóż, sugestii. Ponieważ my – to znaczy Poldarkowie – jesteśmy zbyt głęboko zaangażowani w tę sprawę, a nawet spowinowaceni z Warlegganami przez małżeństwo, nie chciałem głosować. Postąpiłem jak Piłat, jak to określiłaś.

– A zatem... Nie podjęto żadnej decyzji?

– Naturalnie, że podjęto. Trzech aktywnych wspólników głosowało przeciw, a dwóch za. Ja wstrzymałem się od głosu. Wiem, że de Dunstanville czuł wielką ulgę, że nie musiał oddać decydującego głosu.

Zapadło milczenie. Po chwili Ross kichnął.

– Ten przeklęty pieprz!

– Jesteś wyjątkowo beznadziejnym mężem – rzekła Demelza.

– Słucham? Co takiego zrobiłem?

– Wymyśliłeś to – wymyśliłeś swoją historię – i zrzuciłeś na mnie całą odpowiedzialność za ocalenie banku Warlegganów! Jeśli znowu dojdzie między wami do konfliktu, jeśli George użyje swojej władzy i pieniędzy w nikczemny sposób, w przyszłości będzie to moja wina!

– Nie, nie. Właśnie tak to uzgodniliśmy.

Demelza rozgniałała pieprz.

– Prosiłeś mnie o radę, więc jej udzieliłam. Ale to ty podejmujesz ostateczną decyzję, nie ja! Nie zgadzam się ponosić za to odpowiedzialności!

Zbliżył się i chciał ją objąć.

– Więc nie będziesz jej ponosić.

Strząsnęła jego rękę.

– Pamiętaj o tym.

– Już ci powiedziałem.

– Obiecuj.

– Obiecuję. – Ross kichnął.

– Nie masz chusteczki?

– Używam rękawa.

– Stale mnie prowokujesz! Masz moją.

Wziął ją.

– Musiałem zgubić tę, którą mi dałaś.

– Zawsze je gubisz.

– Cóż, po co mi chusteczki? Kicham może raz w roku. I nie spodziewam się obłoków pieprzu we własnym domu.

– Kuchnia zaraz się przewietrzy. – Demelza także kichnęła. – Posiedź w salonie. Przyjdę do ciebie z herbatą.

Ross wstał od stołu, lecz nie wyszedł. Mimo żartobliwego tonu w głosie oburzonej Demelzy wiedział, że żona ma rację. Wczoraj podjęto w Truro decyzję, która może nie mieć dla nich żadnego znaczenia, ale nieprzewidziane konsekwencje równie dobrze mogą się okazać niezwykle ważne. W przeszłości długi cień George'a Warleggana tak często padał na ich życie, że trudno lekceważyć okazję pozbycia się go na zawsze. To prawda, że w ciągu ostatniej dekady udawało im się unikać kontaktów, a zatem nie dochodziło do konfliktów. To prawda, że wszyscy stają się starsi. To prawda, że zemsta to niechrześcijańskie zachowanie i może wywoływać wyrzuty sumienia. Może za kilka miesięcy Ross poczuje szczęście i ulgę, że nie skorzystał ze sposobności odpłacenia Warlegganom pięknym za nadobne. W tej chwili miał wiele wątpliwości, a reakcja Demelzy świadczyła, że ona również je ma.

Naturalnie wszystko powinno się jakoś ułożyć. Po śmierci Elizabeth znikła przyczyna otwartego konfliktu. Złość – tak, George zawsze czuł do nich złość, a Ross darzył go gwałtowną niechęcią. Jednak upływ lat sprawił, że nawet te instynktowne reakcje nieco złagodniały. Życ i dać innym żyć – dopóki nigdy się nie spotykają...

– Demelzo... – zaczął.

– Tak, Ross?

– Oczywiście, że podjęliśmy słuszną decyzję.

– A jeśli popełniliśmy błąd? – spytała sucho.

– Nie powinniśmy niczego żałować.

Uśmiechnęła się lekko.

– To jedyny sensowny sposób na życie.

Stał przy drzwiach i obserwował żonę. Wyjmowała łyżką z moździerza rozgnieciony pieprz i wsypywała do koszyka.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział Ross, rad, że może zmienić temat. – Spotkałem koło Wheal Grace Horriego Treneglosa. Chciał odwiedzić Jeremy'ego, który znów wybrał się na ryby.

– Tak, mówiłam o tym Horriemu.

– Powiedział ci, dlaczego przyszedł?

– Nie.

– Zdaje się, że John, jego ojciec, odwiedził w Truro George'a i zaproponował ponowne otwarcie Wheal Leisure. George, jak się spodziewaliśmy, odmówił jakiegokolwiek udziału w projekcie. Powiedział, że warunki są niesprzyjające i że nie widzi możliwości zainwestowania kapitału, więc John zaproponował wykup kopalni. George udał, że się waha, i po krótkich targach oznajmił, że mógłby ją sprzedać za pięćset funtów. Treneglos zaoferował trzysta pięćdziesiąt i na razie się rozstali.

– I co dalej?

– Cóż, John okazał się sprytniejszy, niż myślałem. Z pewnością nie wolno stwarzać wrażenia, że nam na tym zależy, bo George wyczuje podstęp i podniesie cenę albo nie zgodzi się na sprzedaż.

– Nie jestem ciągle pewna, czy jest w tym jakiś podstęp.

– Ja też. Oczywiście mam sentyment do Wheal Leisure, ale nie wiadomo, co tam znajdziemy. Propozycja Jeremy'ego poruszyła strunę w moim sercu.

– Zacky Martin popiera ten plan?

– Na podstawie tego, co widział. Miał kłopoty z oddychaniem, więc nie ciągnąłem go zbyt daleko. Część starych żył z pewnością nie jest jeszcze wyeksploatowana, ale biegną między warstwami twardych skał i mają zaledwie kilka centymetrów grubości. Podążenie w dół za jedną z nich mogłoby nas doprowadzić do lepszego złoża. Inne, poziome, nie wyglądają zbyt obiecująco. Musimy czekać na suchą pogodę. W tej chwili nie da się nic zrobić.

– Jeśli John kupi udziały Warleggana za, powiedzmy, czterysta funtów, uruchomisz tę kopalnię?

– Nie jestem pewien.

– To duży wydatek, gdybyś nie zamierzał rozpocząć robót.

– Nie ma innego sposobu.

Demelza powiesiła imbryk nad ogniem.

– Moim zdaniem to rozsądne ryzyko – powiedział Ross. – Wszystko zależy od okoliczności. Jeśli otworzymy kopalnię, możemy sporo zaoszczędzić, kupując maszynę parową z drugiej ręki. Oczywiście pod warunkiem, że znajdziemy odpowiednie urządzenie o właściwej mocy i w rozsądnej cenie.

– Jeremy byłby bardzo rozczarowany.

– Wiem.

– Pomysł otwarcia Wheal Leisure i konstrukcji maszyny dał mu nowy cel w życiu, Ross.

– To też wiem.

– Moim zdaniem jest coś jeszcze – powiedziała Demelza. – Jedno towarzyszy drugiemu.

Ross spojrzął na żonę.

– Naprawdę uważasz, że się zakochał?

– Już ci mówiłam.

– Sądzisz, że to poważna sprawa?

– Tak.

– W takim razie życzę mu szczęścia. Kiedy poznamy tę dziewczynę?

– Napisałam do jej matki w zeszłą środę. Jeremy chce wydać skromne przyjęcie zaraz po Wielkim Tygodniu.

Woda w imbryku zawrzała. Kiedy Demelza go zdjęła, Ross powiedział:

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz sama myć wszystkich kur. Nawet jeśli nie chcesz zawracać głowy służącym, możemy poprosić Clowance, by ci pomogła.

– Sarkazm zupełnie do ciebie nie pasuje, Ross. Może chciałbyś trzymać kury, gdy je będę myła?

– Chętnie. Jeśli mi wyjaśnisz, dlaczego mój syn marnuje jeden dzień w tygodniu na wyprawy na ryby. Zwłaszcza przy tej pogodzie.

– Dlaczego sam go nie zapytasz?

– Pytałem. Wykręca się od odpowiedzi. Proponowałem nawet, że mogę mu towarzyszyć, ale powiedział, że woli chodzić z Benem albo Paulem.

Do kuchni weszła Ena Daniel.

– Och, bardzo przepraszam, sir. Nie wiedziałam, że są tu państwo oboje. Przed chwilą przysłała poczta, pani. I gazeta. Mam je przynieść?

– Nie, kapitan Poldark zamierza wrócić do salonu. Wszystkie listy na pewno są do niego.

– Nie, pani. Przynajmniej tak sądzę. Zdaje mi się, że na jednym jest napis „Pani Poldark”.

Demelza wytarła ręce fartuchem.

– W takim razie przynieś ten list do kuchni, Eno.

– Nie pozwól jej uciec – rzekł Ross, gdy wyszła.

– Co masz na myśli?

– Spraw służącym przyjemność i pozwól im łapać i myć kury.

Było za późno, by wymyślić ripostę. Demelza odwróciła się plecami, gdy Ena znów weszła do kuchni.

– Eno.

– Sir?

– Pani potrzebuje pomocy.

– Tak, sir.

Ross kichnął i wyszedł.

List zaadresowano dużymi, ładnymi literami. Demelza złamała pieczęć. Wysłała go Frances Bettesworth.

*Droga Pani Poldark!*

*Otrzymałam Pani łaskawe zaproszenie dla mojej córki Cuby Trevanion, by odwiedziła Pani dom w Namparze i spędziła w nim dwa dni.*

*Niestety, w tej chwili Cuby ma tyle zajęć i zobowiązań wobec niedawno owdowiałego brata, że moim zdaniem muszę odmówić w jej imieniu, choć rozumiem, że stanie się to przyczyną zawodu dla wszystkich zainteresowanych.*

*Droga Pani Poldark, przesyłam szczerze wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia*

*Frances Bettesworth*

## Rozdział dziewiąty

### I

– Tak, chyba zrobiliśmy wszystko, co można w tej chwili zrobić – powiedział Jeremy. – Nie ma wątpliwości, że przedłużenie podstawy o sześćdziesiąt centymetrów umożliwi montaż kotła. Mamy wyjątkowe szczęście.

– Jeśli nam się uda – odparł Paul Kellow.

Jeremy spojrział na Simona Pole'a, który zacisnął wargi i zrobił obojętną minę.

– Wspominałeś o tym znowu panu Harveyowi?

– O tak. Powtórzyłem mu twoje słowa.

– I co on na to?

– Nie powiedział wiele. Chyba nie był pewny.

Patrzyli na kocioł stojący na drewnianych podpórkach, na których umieścili go przed dwoma tygodniami. Czwarty młody człowiek nazywał się Ben Carter. Stali w rogu odlewni Harveya, która znajdowała się przeszło dwadzieścia kilometrów na południe od Nampary.

– Nie ma wątpliwości, że właśnie takiego kotła potrzebujemy – powiedział Jeremy. – Trudno uwierzyć, że leżał tu zapomniany przez tyle lat... Jeszcze raz wszystko omówmy. Masz wymiary, Simonie?

– Metr trzydzieści średnicy i dwa metry czterdzieści długości.

– Mów dalej.

Pole rozwinął pergamin, który zaszeleścił mu w palcach.

– Ściany mają trzydzieści osiem milimetrów grubości, a kołnierz jest przymocowany dwudziestoma sześcioma śrubami z kutego żelaza. Średnica wewnętrzna to sto dwadzieścia dwa centymetry.

Jeremy wytarł dłonie kawałkiem szmaty. Monotonny huk młota ucichł, bo robotnik pracujący w pobliżu przerwał pracę, by rozluźnić mięśnie.

– Z tego, co mówisz i czego się nauczyłem, wynika, że kwadratowy pręt żeliwny o przekroju sześciu i pół centymetra kwadratowego ulega rozerwaniu po zastosowaniu siły sześciu tysięcy ośmiuset kilogramów. A zatem... – Jeremy wyjął ołówek i arkusz papieru z obliczeniami sporządzonymi w domu. Popatrzył na nie. – Aby ten kocioł eksplodował, potrzebne jest wewnętrzne ciśnienie sześćdziesięciu trzech atmosfer. Kiedy otwiera się zawór bezpieczeństwa?

– Przy ciśnieniu trzech i pół atmosfery.

– Boże drogi! To znaczy, że kocioł wybuchnie, gdy ciśnienie będzie prawie dwadzieścia razy wyższe od ciśnienia otwierającego zawór bezpieczeństwa.

– Tak, jego część cylindryczna – odparł Paul. – A co ze śrubami kołnierza i rurami?

– Trzeba zwracać szczególną uwagę na rury – powiedział Jeremy. – Przygotowałem obliczenia. Może powinienes porównać wyniki ze swoimi.

Paul zaniósł papier na stół i zaczął sam liczyć.

– Uważam, że to za dużo – zauważył Ben. – Wydaje mi się, że mamy ogromny margines bezpieczeństwa.

Pole się rozejrzał.

– Kocioł jest znakomity. Ale myślę, że trudno będzie to osiągnąć.

– Musimy to jakoś osiągnąć – odparł Jeremy. – Nie można sobie pozwolić na odrzucanie darów niebios!

Jeremy dołączył do Paula i wrócili po długiej naradzie.

– Wyniki są w przybliżeniu takie same. Pięć szóstych średnicy śruby to lite żelazo. Dlatego wydaje się, że potrzeba ciśnienia pięćdziesięciu dwóch atmosfer, by rozsadzić ten koniec kotła. Piętnaście razy więcej niż punkt krytyczny zaworu bezpieczeństwa. Margines bezpieczeństwa jest znacznie większy, niż nakazują normalne zasady ostrożności... Moglibyśmy przestawić zawór na ciśnienie ośmiu i pół atmosfery i zwiększyć ciśnienie w kotle do siedmiu atmosfer.

– Ta maszyna ma pięć lat. W tym czasie Trevithick nie pojawił się tu ani razu, żeby ją obejrzeć.

– Nie jest już jego własnością – powiedział Jeremy. – Najpierw muszę się spotkać z Harveyem. Zrobię wszystko, by go przekonać.

– Myślisz, że jest szansa? – spytał Paul.

– Tak... Mam asa w rękawie, którego brakowało mi poprzednim razem.

Paul, Simon i Ben pozostali w odlewni. Byli zgodni, że negocjacje należy powierzyć Jeremy'emu, dżentelmenowi z urodzenia.

Siąpiła mżawka i wiał lekki wschodni wiatr. Jeremy okrążył kuźnię, warsztat, w którym wiercono otwory, montownię, składowisko węgla, po czym ruszył w stronę piętrowego drewnianego budynku służącego jako biuro. Zapukał do drzwi i zaproszono go do środka.

Henry Harvey, trzydziestosześcioletni korpulentny mężczyzna o prostych włosach opadających na czoło, miał na sobie ciemny surdut z serży i kremowy jedwabny halsztuk. Kiedy spostrzegł, kto go odwiedził, nie wydawał się zbyt zachwycony.

Jeremy Poldark, przedstawiony przez Andrew Viviana, już od prawie roku odwiedzał odlewnię Harveya. Pojawiał się mniej więcej dwa razy w tygodniu. Nazwisko kapitana Poldarka znaczyło w hrabstwie bardzo wiele, dlatego inżynier serdecznie powitał jego syna, a następnie

z przyjemnością i zdziwieniem patrzył, jak chłopiec zajmuje się pracą praktyczną. Nie było to typowe. Kiedy Harvey zaakceptował pomysł budowy kotła, spodziewał się, że młody Poldark, podobnie jak większość dżentelmenów, będzie zainteresowany jedynie teorią i nie zechce brudzić sobie rąk. Niech inżynier i konstruktor wykona brudną robotę, a panicz z ziemiańskiego rodu będzie patrzył i od czasu do czasu rzucał słowa zachęty. Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Poldark pracował w kuźni i warsztatach ramię w ramię z robotnikami Harveya, cały czas łącząc teorię z praktyką.

Przybyło wraz z nim dwóch młodych ludzi, którzy również uczyli się i pracowali – choć wydawali się bardziej typowi. Szczupły Kellow unikał ciężkiej roboty, a brodaty Carter mówił i ubierał się jak wieśniak. Pracowali z robotnikami Harveya, który, zaangażowany w wiele procesów sądowych i prześladowany przez kłopoty, był zadowolony z bezpłatnej pomocy. Współpraca młodych ludzi z załogą kuźni Harveya układała się dobrze, co nie było bez znaczenia. Harvey miał w perspektywie kolejny proces, a brakowało mu wpływowych przyjaciół, toteż przychylność Poldarka mogła się przydać. Jeremy prosił, by nie wspominać ojcu o wizytach w odlewni, lecz Harvey uznał to za przejaw młodzieńczej skromności, która szybko minie.

Jednak ostatnio młody Poldark rozwinął skrzydła. Przyznał w rozmowie z Harveyem, że górnicze maszyny parowe nie są głównym przedmiotem jego zainteresowań – fascynowały go pojazdy napędzane parą wodną. Wydawało się, że od początku śledził karierę Trevithicka i podekscytowany jego osiągnięciami w ogóle nie zwracał uwagi na porażki.

Dlatego chciał zbudować w kuźni Harveya – i poprosił o pozwolenie na realizację swojego planu – prosty czteroślupowy pojazd napędzany parą, który dałoby się przekształcić w lokomotywę podobną do stworzonej przez Trevithicka. Obiecał pokryć koszty metalu, drewna i innych materiałów. Henry Harvey wyraził zgodę i zajrzał kilkakrotnie do warsztatu, by sprawdzić postęp robót.

Budowa pojazdu parowego w dalszym ciągu była daleka od ukończenia, ale dwa tygodnie wcześniej, kręcąc się po zakładzie, Jeremy odkrył kocioł, który po pewnych modyfikacjach mógłby się nadawać. Od kilku lat leżał w kącie odlewni, brudny, zabłocony i pokryty grubą warstwą rdzy, lecz młodzi ludzie prawie nie wierzyli w swoje szczęście, gdy go wyciągnęli i zaczęli czyścić. Był to potężny kocioł parowy, którego rury przypominały bryczesy – prawdopodobnie zaprojektowany przez samego Trevithicka jako część młockarni. W tej chwili leżał na koźle jak gruby, nowo narodzony wieloryb, który stracił matkę.

Jeremy spotkał się tydzień wcześniej z Henrym Harveyem i spytał, czy zechciałby „wydzierżawić” kocioł trzem młodym ludziom w celu przeprowadzenia eksperymentu, ponieważ nie mają dość pieniędzy, by go kupić. Harvey nie był szczególnie zachwycony. Prywatnie uważał, że cała ta tajemnica nie ma większego uzasadnienia i że kapitan Poldark, gdyby go

poproszono, mógłby bez trudu sfinansować kaprysy syna.

– Czy zechciałby mi pan poświęcić kilka minut, panie Harvey?

– Panie Poldark, mam do załatwienia pilne sprawy, ale mogą one poczekać. Proszę usiąść.

Jeremy przycupnął na skraju fotela.

– Jak przypuszczam, wie pan, że kilka dni temu Pole oczyścił i znacznie dokładniej obejrzał kocioł. Spełnia on nasze wymagania i wręcz trudno uwierzyć w nasze szczęście, że go odkryliśmy.

– Pole wspomniał mi o tym – rzekł ostrożnie Harvey. – Mimo to w dalszym ciągu pozostaje główna przeszkoda...

– Właściwie przyszedłem do pana w innej sprawie, sir – powiedział Jeremy. – Naturalnie ma to związek z naszymi planami, ponieważ jak pan wie, chcemy zbudować pojazd parowy, a jednym z naszych największych problemów był brak wysokoprężnego kotła. Gdyby udało się usunąć tę przeszkodę, moglibyśmy... – Jeremy urwał i ostatnie zdanie zawisło w powietrzu.

Harvey zmienił pozycję w fotelu.

– Tak, cóż... Chcę powiedzieć, że rozumiem pana stanowisko, ale to wszystko. Jednak mówi pan, że przyszedł do mnie w innej sprawie...

Jeremy wyjrzał przez okno. Widział z tego miejsca bryg o nazwie „Henry” krzywo oparty o nabrzeże, z dwoma żaglami wciąż zwisającymi z masztów jak skrzydła martwego motyla. Statek rano wpłynął do portu w czasie przypływu, lecz morze się cofnęło, pozostawiając wielką łąkę piasku z kilkoma ogromnymi jezorami wody wcinającymi się w łąd. W jednym z tych kanałów kotwiczyła „Nampara Girl”, która mogła w każdej chwili wyjść w morze. Gdyby bryg nie opuścił portu w czasie porannego przypływu, zostałby uwięziony w tym miejscu aż do nowiu za dwa tygodnie. W dali widać było wielkie wydmy Towans, wznoszące się sześćdziesiąt metrów nad poziomem morza. Naturalna zatoka, najbezpieczniejsza na północnym wybrzeżu, była zapiaszczona i nie nadawała się do użytku. Wielka szkoda.

– W pobliżu kopalni mojego ojca znajduje się nieczynna kopalnia zamknięta przed wielu laty – powiedział Jeremy. – Myślimy o jej uruchomieniu. Chociaż przedtem samoistnie się odwadniała, teraz będziemy potrzebowali maszyny parowej...

– Ach tak.

– Moim zdaniem, na podstawie tego, czego się tutaj dowiedziałem, przeczytanych książek i własnej wiedzy o kopalni, którą zamierzamy uruchomić, mam dość dobre pojęcie o tym, jakiej maszyny potrzebujemy. – Ross byłby zaskoczony pewnym siebie tonem głosu Jeremy’ego.

– Możliwe – odparł Harvey.

– A ponieważ mam zobowiązania wobec pana odlewni, jest dla mnie oczywiste, że powinniśmy zbudować maszynę właśnie tutaj.

Henry Harvey dotknął gęsim piórem swojego policzka. Miał taki zwyczaj w czasie rozmów



o interesach.

– Co pan ma na myśli?

– Myślałem o dziewięćdziesięciocentymetrowym tłoku o posuwie dwóch metrów siedemdziesięciu centymetrów, pod warunkiem że zgodzą się na to mój ojciec i pozostali udziałowcy. Kocioł z kutego żelaza powinien mieć pięć i pół metra długości i półtora metra szerokości. Przy palenisku zwęzałby się do metra, a przy kominie do jakichś dziewięćdziesięciu centymetrów. Domyślałem się, że ważyłby około siedmiu ton.

Harvey zanotował wymiary.

– A belki pompowe?

– Z pomorskiej sosny masztowej. Jest najwytrzymalsza.

– A żuraw?

– Chciałbym, by odlano go z żeliwa.

Harvey uniósł wzrok.

– To odstępstwo od normalnej praktyki, panie Poldark. Wiem, że zdarzały się takie konstrukcje, ale nie jestem pewien, czy w przypadku maszyny tych rozmiarów można zalecić żeliwo.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim z powodu trudności wykonania odlewu. Jeśli użyje się dobrego, zdrowego dębu, jest spory margines bezpieczeństwa. W przypadku odlewu z żeliwa wymiary będą miały decydujące znaczenie.

Jeremy przygryzł kciuk.

– Odlew żeliwny wydaje się znacznie lepszy. Drewniany żuraw kurczy się i rozszerza, wymaga nieustannej regulacji, jak wszyscy wiemy. Śruby często się luzują. Jeśli raz prawidłowo dobrać wymiary żeliwnego żurawia...

– Tak, o ile uda się to zrobić. Rozumiem pańską ideę, ale rozmiar i waga takiego odlewu bardzo utrudnią jego sporządzenie.

– Ma pan w odlewni odpowiednie maszyny przywiezione na początku tego roku – odparł Jeremy.

Harvey wstał i podszedł do okna z rękami splecionymi z tyłu pod połami surduta.

– Trafna uwaga, panie Poldark. Cóż, porozmawiam o tym z panem Westem... Czy ma pan zgodę ojca na złożenie zamówienia?

– Nie, sir. Jak wspomniałem, musiałyby to zaaprobować. Mam nadzieję, że w ciągu kilku następnych tygodni przygotuję komplet planów i przedstawię je ojcu, a także pozostałym udziałowcom. Kiedy uzyskam zgodę, przyniosę panu rysunki i poproszę o radę. Wtedy moglibyśmy porozmawiać o kosztach.

– Kto miałby pełnić funkcję inżyniera?

– Mam nadzieję, że ja sam.

– Pan? – Harvey zakasłał, zasłaniając usta dłonią, by ukryć zaskoczenie. – Hm, tak, muszę przyznać, że wykazał się pan niezwykleymi zdolnościami...

– Oczywiście nie będę działał sam. Ale rezygnacja z wykwalifikowanego inżyniera znacznie ograniczyłaby koszty. Zaangażowanie dobrego konstruktora prawdopodobnie zwiększyłoby koszty o dwadzieścia procent – wliczając w to projekt i nadzór nad budową. Uważam, że moglibyśmy się obejść bez inżyniera, gdyby wszystkie części wykonano w pańskiej odlewni.

Henry Harvey skinął głową, biorąc to za komplement.

– Czy pana ojciec wie, że pan nas odwiedza?

– Jeszcze nie. Spodziewam się, że wkrótce się dowie.

– Naturalnie, naturalnie...

– A tymczasem mam nadzieję, że nie sprzeda pan kotła Trevithicka, nad którym pracujemy, a przynajmniej da mi pan znać, gdyby ktoś się nim interesował – powiedział Jeremy.

– Zgoda – odparł Harvey.

– Mam nawet nadzieję, że w razie wybudowania pompy parowej do kopalni spojrzysz pan przychylniej na plan wdzierzawienia kotła i innych części niezbędnych do konstrukcji naszego pojazdu...

Poły surduta Henry'ego Harveya kołysały się regularnie jak metronom.

– Uważam, panie Poldark, że dzierżawa nie byłaby korzystna dla obu stron. Jeśli maszyna do kopalni powstałaby w moim zakładzie, byłbym gotów sprzedać kocioł za połowę ceny, jaką zapłaciłem Trevithickowi przed sześciu laty. Otrzymałby pan także materiały i siłę roboczą po niskiej cenie. Czy byłoby to pomocne?

– Bardzo pomocne – odparł Jeremy. – Wolno spytać, jaką kwotę otrzymał pan Trevithick za kocioł?

– Cóż, zbudowałem ten kocioł dla pana Trevithicka na podstawie jego licencji. Później przejąłem go tytułem długu. Był to... gest dobrej woli. Jest przecież moim szwagrem. Uważam, że nie miałby nic przeciwko temu, gdybym teraz sprzedał go panu za trzydzieści funtów.

– Byłaby to dla nas wielka pomoc – powiedział Jeremy.

Harvey odwrócił się bokiem, tak że było widać jego brzuch i profil.

– Nigdy nie wyjaśnił mi pan, dlaczego utrzymuje to wszystko w tajemnicy przed ojcem. Dlaczego udaje pan, że wypływa w morze na ryby? Tak to wygląda, prawda? Gdyby raz na sześć tygodni przyjechał pan do Hayle i zatrzymał się tu na tydzień, pańskie studia trwałyby o połowę krócej. Czy pańska matka wie, że nas pan odwiedza?

– Nie wtajemniczyłem jej. Przyczyna jest taka, że ojciec zabronił mi się zajmować kotłami wysokoprężnymi.

– Och... Ale dlaczego?

– Przede wszystkim z powodu pańskiego starszego brata, panie Harvey.

Konstruktor wybałuszył oczy.

– Francisa? Ach, ma pan na myśli niebezpieczeństwo. Tak, to prawda, że zginął w wyniku wybuchu kotła, ale był to jeden z wczesnych eksperymentów.

– Mój ojciec znał pana brata. Później doszło do eksplozji w Woolwich, w której zginęło czterech ludzi, a kilku innych odniosło ciężkie rany. A mniej więcej przed rokiem doszło do tragedii w Wheal Noah, gdy gorąca para poparzyła wielu górników...

Harvey spojrział na gościa.

– To wszystko prawda. Mimo to... Można spaść z konia i złamać kark, ale nikt nie rezygnuje z tego powodu z jazdy konnej.

– Posłużyłbym się tym argumentem w razie sporu z ojcem. Uznałem jednak, że należy unikać sporu. Przynajmniej do czasu, gdy będę miał coś do zademonstrowania.

Henry Harvey wrócił na fotel.

– Tak, cóż... – Przyszło mu do głowy, że gdyby kapitan Poldark dowiedział się o nieposłuszeństwie syna, właściciel odlewni mógłby się znaleźć na cenzurowanym, zamiast liczyć na przychyłność, której się spodziewał. – Cóż, muszę już iść, panie Poldark. Zamierzamy robić odlewy aż do rana. Oznacza to konieczność pracy przez całą noc, ale na szczęście świeci księżyc. Proszę łaskawie przynieść plany, kiedy je pan sporządzi i zostaną zaaprobowane, a wówczas oszacuję koszty.

Jeremy wstał.

– Mam nadzieję, że przygotuję je za kilka tygodni. To zależy od tempa innych przygotowań.

– Jak się nazywa państwa nowa kopalnia?

– Eee... Wheal Maiden. – Jeremy przypomniał sobie w samą porę, że widział raz w odlewni w Hayle sir George'a Warleggana, a Wheal Leisure oficjalnie nie zmieniła jeszcze właściciela.

## II

Wkrótce potem opuścili Hayle. Słońce miało zejść około wpół do siódmej, a płynąc z lekkim wiatrem, powinni dotrzeć do Nampary w jakieś dwie godziny, toteż zostało im jeszcze dużo czasu do zmroku. Zrobili to, po co przyjechali, i byli gotowi do powrotu.

Jeremy był w znakomitym nastroju. Budowa pojazdu parowego postępowała. Jeśli kopalnia ruszy, pojawią się nowe, ciekawe wyzwania – trzeba będzie skonstruować maszynę parową i dotrzeć do starych wyrobisk. Jednak spieszył się do domu głównie dlatego, by sprawdzić, czy matka Cuby odpowiedziała na zaproszenie Demelzy i zgodziła się, by córka przyjechała na kilka dni do Nampary. Była to wyjątkowo ekscytująca perspektywa.

Kiedy opuścili ujście rzeki Hayle i przestali słyszeć dźwięki z lądu, Jeremy otworzył beczułkę piwa i śpiewał z przyjaciółmi rubaszne piosenki. Później, gdy ich repertuar się wyczerpał, Ben zmienił tonację na poważniejszą i przez pół godziny intonowali hymny. W końcu Jeremy, który wpadł w sentymentalny nastrój po wypiciu niewielkiej ilości piwa, zaśpiewał ulubioną piosenkę matki:

*Dla kochanego zerwę róży kwiat,  
Zerwę czerwoną różę.  
To od kochania zmienił mi się świat,  
W moim sercu wichry i burze.*

*Skaleczę palec o róży cierni,  
Niechaj serdeczną krwią spłynie.  
O tobie myślę w nocy i w dzień,  
Godzina, ach, po godzinie.*

*Dotknę wargami kropelki krwi,  
Marząc, że smutek się skończy.  
Niechaj me serce o tobie śni,  
Aż z twoim sercem się złączy.*

Przyjaciele również zaczęli śpiewać. Niewielki gig płynął po spokojnym morzu, a na pasażerów łodzi padała drobna mżawka.

## ***KSIĘGA TRZECIA***

## *Rozdział pierwszy*

### I

Na początku maja do Anglii dotarły zaskakujące wieści. Wojska brytyjskie i portugalskie nie tylko wyrwały się z ciasnych fortyfikacji otaczających Lizbonę, lecz po serii manewrów i kontrmanewrów przedzielonych kilkoma bitwami, najkrwawszymi w tej wojnie, zdołały wręcz całkowicie wyprzeć Francuzów z portugalskiej ziemi. Masséna, jeden z najwybitniejszych francuskich generałów dowodzący największą armią, jaką Napoleon kiedykolwiek powierzył któremuś ze swoich podwładnych, został rozgromiony. W ciągu czterech tygodni Brytyjczycy przebyli pięćset kilometrów i wyeliminowali z walki dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy wroga, tracąc zaledwie cztery tysiące swoich. W typowo oschłej proklamacji lord Wellington oznajmił Portugalczykom, że okrutny nieprzyjaciel wycofał się za Águedę i że mieszkańcy kraju mogą wrócić do swoich domów.

Przeciwnicy wojny wreszcie się uciszeli. Nawet najbardziej zagorzali wigowie, którzy od dawna przewidywali katastrofę i wskazywali na brak dyscypliny wśród żołnierzy oraz niekompetencję dowódców, nagle zmienili front. W obu izbach parlamentu uchwalono adresy dziękczynne za zwycięską kampanię, a mówcy rzadko byli tak jednomyślni. Canning napisał do Rossa: „Gdyby nie zmiana poglądów – i uczuć – księcia Walii, wszystko byłoby stracone”.

Kilku zagorzałych pesymistów, jak wielbny doktor Halse z Truro, przewidywało, że sam Napoleon stanie na czele oddziałów francuskich na Półwyspie Iberyjskim i zepchnie Anglików do morza, lecz nic nie zdołało powstrzymać eksplozji dumy i optymizmu. Powszechnie krytykowany generał Wellington stał się z dnia na dzień sławny w całej Europie.

Sir George Warleggan nie miał zwyczaju cieszyć się z rzeczy, które nie dotyczyły go osobiście, ale kiedy przejechał High Cross w swojej karecie i zauważył płonące ognisko, poczuł, że nabiera otuchy na widok tańczących iskier. Zatrzymał się przed drzwiami rezydencji Warlegganów w Truro i wszedł szybko po schodach, witany przez lokaja we fraku i peruce.

Tym razem szczególnie brakowało mu Elizabeth. Tęsknił za nią nawet po tylu latach. Ostatnio ktoś wypowiedział przy nim pewne zdanie – był to niedawno owdowiały mężczyzna, podobnie jak niegdyś George: „Majątek jest bezużyteczny, jeśli ma się go tylko dla siebie”. Warleggan rozumiał gorzką prawdę tych słów. Po dwóch miesiącach straszliwego niepokoju czuł ogromną potrzebę podzielenia się z kimś myślami o swoich kłopotach finansowych. Jednak

matka, Valentine i mała Ursula przebywali w Cardew, a zresztą matka chorowała i nie miała głowy do interesów. Niekiedy George zastanawiał się, jak to możliwe, że jest jej synem. Valentine był zbyt młody, aby ojciec opowiadał mu o swoich lękach i radościach; poza tym wyrósł na nonszalanckiego, wyrafinowanego i sardonicznego młodzieńca.

George tęsknił za smukłą, piękną kobietą, która od dawna spoczywała na cmentarzu – zmarła w połogu przed jedenastu laty. Mimo patrycjuszowskiego wychowania doskonale by go zrozumiała. Czuli by się razem dobrze. (Pomyślał, że jeśli taka będzie wola Boga, któregoś dnia, może już wkrótce, znajdzie inną kobietę, której będzie mógł zaufać. Nie widział Harriet Carter od *soirée* u Gordonów. Nie miał prawa ubiegać się o jej rękę, gdyż w tej chwili w intercyzie małżeńskiej mógłby jej zaoferować jedynie perspektywę bankructwa).

Jedynym członkiem jego rodziny przebywającym w rezydencji w Truro był stryj Cary Warleggan, starzec przypominający mumię. Z pewnością doskonale zrozumiałby przyczynę zadowolenia George'a, jednak nie należało się po nim spodziewać żadnej reakcji – rozmowa z nim przypominała mówienie do księgi rachunkowej.

George wszedł do salonu i rozgrzał sobie ręce przy kominku. Czuł niesmak na myśl, że miałby szukać stryja. Pociągnął za sznur dzwonka.

– Sir?

– Przynies mi brandy, rocznik tysiąc osiemset pierwszy. W moim gabinecie jest do połowy napełniona karafka. Poza tym, Baker, spytaj mojego stryja, czy zechciałby tu przyjść. Jeśli udał się już na spoczynek, poproś, by wstał.

– Tak, sir.

George czekał odwrócony plecami do ciepłego kominka. Nawet po powstaniu nowoczesnych gościńców, na których pobierano myto, długa jazda kareta była katuszą. Nadszedł inny lokaj z brandy. Wszyscy służący rezydencji Warlegganów zdawali sobie sprawę, że nie wolno podkraść trunków, bo sir George doskonale pamięta poziom brandy w karafce i zna dokładną liczbę butelek w piwnicy.

George wziął kieliszek i wypił. Do salonu wszedł Cary, powłócząc nogami. Jeszcze nie udał się na spoczynek, ale noszony przez niego czarny surdut z alpaki przypominał szlafrok.

– Więc wróciłeś. Najwyższy czas. – Starzec pociągnął nosem. – Cztery dni latania za kobietami. W cztery dni straciliśmy sześć tysięcy. W środę prawie wybuchła panika. Rolnicy przyjechali na targ. Trzeba sprzedać resztę twoich aktywów na północy – nawet za bezcen.

– Nigdy nie wybuchła panika – sprostował George. – Z kasy stale wypływają pieniądze. Utrata zaufania, nic więcej. To trudne czasy dla wszystkich banków.

– Gdyby nie twoje szaleństwa, nie byłyby dla nas takie trudne! Czy wiesz, że w ciągu ostatniego tygodnia klienci nieustannie odmawiają przyjmowania naszych skryptów dłużnych i proszą o złoto! I muszę cię poinformować, że sklepikarze, sklepikarze z Truro, wołają, gdy

klienci płacą skryptami Banku Kornwalijskiego niż naszymi!

– Teraz to się skończy.

– Słyszałem – ciągnął Cary, a skrzydełka jego długiego nosa zadrżały – o przypadkach, gdy sklepikarze się wykręcali i mówili, że nie mają dość bilonu, byle tylko nie wypłacać srebra i miedzi po otrzymaniu naszego skryptu! Co to znaczy, że się skończy? Co masz na myśli?

– Spędziłem trzy ostatnie wieczory w towarzystwie sir Humphry’ego Willyamsa w jego domu w Saltash – odpowiedział George. – To główny udziałowiec Banku Devonu i Kornwalii w Plymouth, człowiek o ogromnym majątku. Doszliśmy do porozumienia.

– Doskonale wiem, kim jest Willyams. – Cary umilkł i szarpał palcami skraj surduta. George miał wrażenie, że słyszy odgłos trybików obracających się w jego głowie. – Jakiego porozumienia?

– O współpracy, luźnej, lecz wiążącej. Udzielimy sobie wzajemnych gwarancji finansowych, choć oczywiście ich górna granica pozostanie tajemnicą handlową.

– Ile wynosi?

– Na początek dwadzieścia tysięcy funtów.

– Jak możemy zagwarantować taką kwotę w obecnej sytuacji?

– Częściowo pokryje je reszta moich... aktywów na północy, jak je nazywasz. Kazałeś mi je sprzedać i już to zrobiłem. Wszystkie! Czy to cię satysfakcjonuje? Przyniosę ci kieliszek brandy.

Cary machnął ręką, jakby odganiał natrętnego komara.

– Jednak aby wywarło to jakieś wrażenie na opinii publicznej...

– Należy podać coś do wiadomości. Naturalnie. To najważniejsza część umowy. Takie obwieszczenie natychmiast przywróci zaufanie. Bank Devonu i Kornwalii jest dobrze znany nawet w zachodniej części hrabstwa.

Zapadło milczenie. George podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Nie widział stąd ogniska, ale od wieży kościoła Matki Boskiej odbijało się pełgające światło.

– Co na tym zyskają? – spytał Cary.

– Sir Humphry od dawna chce rozszerzyć swoje interesy. Współpraca z naszym bankiem pozwoli mu działać na terenie prawie całej Kornwalii.

Przed domem rozległy się wiwaty.

– Można by pomyśleć, że wygraliśmy wojnę – mruknął Cary. – Wojska francuskie w dalszym ciągu są dwadzieścia razy liczniejsze. Założyłbym się, że znów nas pokonają, gdybym nie zaczął pokładać pewnych nadziei w Wellesleyu.

– Wellingtonie.

– Wellesleyu. Tak się na początku nazywał. Więc w końcu uwolniłeś się od tych szalonych inwestycji?

– Jeszcze tego pożałuję, wiem. Nawet ta wojna nie może trwać wiecznie. W dłuższym



terminie można było liczyć na ogromne zyski. Ale teraz nasze fundamenty są bezpieczne. Odzyskamy zaufanie klientów.

Cary podrapał się po głowie pod mycką.

– Jak przypuszczam, oczekujesz, że będę zadowolony. Mimo to coś mi się w tym nie podoba. Podejrzewam, że zaczną się wtrącać w nasze interesy.

– Nic z tych rzeczy. Uzgodniłem to z Willyamsem. Działamy osobno, łączą nas tylko wzajemne gwarancje. – George nalał sobie drugi kieliszek brandy. Czuł już działanie pierwszego, który działał rozgrzewająco na serce i żołądek. Ciepło kominka sprawiło, że mięśnie pleców się rozluźniły. – Nie podjęliśmy jeszcze decyzji w jednej kwestii, czyli zmiany nazwy banku.

– Co takiego?!

George powoli wypił łyk trunku, potarł dłonią podbródek i wyjrzał przez okno. Po chwili zgarbił plecy i odwrócił się w stronę stryja.

– Decyzja jeszcze nie zapadła. Sir Humphry zasugerował, że względu na to, że jego nazwisko nie figuruje w nazwie jego własnego banku, który odgrywa w hrabstwie dużą rolę – nie mogłem tego kwestionować – a zatem zasugerował nazwę Warleggan i Willyams.

Cary oddychał szybko przez nos.

– Na Boga, George, gdyby twój ojciec żył!

– Ale nie żyje, stryju. Przypuszczam, że w tych szczególnych okolicznościach nie byłby zdecydowanie przeciwny. Kiedyś – nie zapominaj o tym – dodanie nazwiska Willyamsa do nazwy naszego banku byłoby dla nas zaszczytem!

– Twój ojciec był dumny z nazwy naszego banku, dobrze o tym wiesz! Doskonale wiesz, George! Myślałem, że czujesz to samo! Nicholas był dumny z nazwiska Warleggan, pragnął, by było szanowane i budziło lęk!

– Jak z pewnością zauważyłeś, nie proponuję usunięcia naszego nazwiska z nazwy banku – odparł George. – Sugeruję, byśmy je połączyli z innym, do tego powszechnie znanym. Nasze nazwisko będzie pierwsze... Nadeszła pora, by połączyć siły z inną firmą, niezależnie od tego, że dokonałem kilku pochopnych inwestycji. Czasy małych banków odchodzą w przeszłość. W tym roku doszło w Kornwalii do co najmniej czterech bankructw. Robinson z Fowey, kapitan Cudlipps w Launceston...

– Płotki! – warknął Cary. – Płotki! Nie jesteśmy taką drobnicą. Gdyby nie twoje potworne błędy... Poza tym... Należało się ze mną skonsultować. Muszę się rozpoznać w sprawie, nim to połączenie dojdzie do skutku!

– Mówisz tylko o naszym nazwisku – odparł George. – Ale kto poprowadzi firmę w przyszłości? Masz siedemdziesiąt jeden lat. Ja wkrótce skończę pięćdziesiąt dwa. Jest tylko Valentine. Za pięć lat może wyrazić chęć zaangażowania się w interesy rodziny, jednak na razie

nie widzę żadnych oznak, że tak się stanie. Nie jestem nawet pewien, czy jego temperament kiedykolwiek pozwoli mu przejść ster. Często muszę przywoływać go do porządku. Tak naprawdę mam więcej zaufania do małej Ursuli, ale nie będzie nosiła przez całe życie nazwiska Warleggan. Nie nauczyliśmy nikogo podejmowania strategicznych decyzji w sprawie firmy – tak postanowiliśmy, nie chcąc cedować odpowiedzialności na podwładnych – i teraz potrzebujemy świeżej krwi. Ta fuzja, porozumienie, to pierwszy krok.

Cary zakasłał i splunął w ogień. Ślina zaskwierczała na żelaznych prętach paleniska.

– Złapałem katar – mruknął. – Stale łapię katar. Przypomina mi się twój ojciec.

– Powinieneś wypoczywać, spacerować. Przydałoby ci się więcej wolnego czasu.

– Kto potrzebuje wolnego czasu? – odparł z irytacją Cary. – Będę miał go mnóstwo po śmierci. Długo nie pożyję, jak słusznie przewidujesz. Wtedy nazwisko Warlegganów może iść do diabła. Przystanie mnie to obchodzić!

– Może tak się stanie – odparł półgłosem George.

– Słucham? Co powiedziałaś? Co powiedziałaś?

– Cokolwiek w tej chwili czujesz, stryju, jestem pewien, że z czasem przyzwyczaisz się do myśli o takiej fuzji. Nie tylko uspokoi ona nerwowość panującą w hrabstwie, ale też da nam większą swobodę inwestowania pieniędzy. Nie będziemy słyszeć za plecami gróźb. Zauważyłeś, że Bank Kornwalijski próbuje podsycać nerwowość? Ja to widzę!

– Z pewnością nie zrobił nic, by nam pomóc. Wcale mnie to nie dziwi. W końcu jednym z udziałowców jest twój przyjaciel Poldark.

George nalał sobie następny kieliszek. Nie lubił za dużo pić, nawet dla uczczenia takich okazji, ale tym razem miał co świętować. Cokolwiek mówił Cary, George czuł się tak, jakby udało mu się wyjść na światło dzienne z mrocznego, przerażającego tunelu. Nie odzyskał pieniędzy utopionych w nieudanej inwestycji, lecz mógł znowu pomnażać majątek. Kiedy myślał o swoich kornwalijskich przedsiębiorstwach handlowych i zakładach przemysłowych, wiedział, że dziewięćdziesiąt procent z nich stoi na solidnych podstawach i ma dobre perspektywy rozwoju. W ciągu kilku ostatnich straszliwych miesięcy często się zastanawiał, podobnie jak stryj Cary, co za piekielna nieostrożność skłoniła go do zainwestowania ogromnych kwot w fabryki, na których się nie znał, i dlaczego nie pozwolił, by lady Harriet przyjęła lub odrzuciła jego prośbę o rękę, biorąc pod uwagę ówczesny stan jego majątku.

Teraz, ponownie stojąc na mocnych podstawach, mógł rozpocząć odbudowę.

Cary coś skomentował, wypowiedział słowo, które zwróciło uwagę George'a. Była to drobna przykrość, prawie niewarta namysłu, lecz mimo to nie należało jej całkowicie ignorować. Po chwili zrozumiał, o co chodzi.

– Szkoda – powiedział.

– Co takiego?

– Sprzedałem Johnowi Treneglosowi udziały w Wheal Leisure za czterysta funtów. Gdybyśmy nie mieli kłopotów finansowych, wolałbym wszystkie zatrzymać.

– Nie miały żadnej wartości – odparł zgryźliwie Cary. – Kto inny zapłaciłby czterysta funtów za zrujnowaną kopalnię?!

George dopił brandy.

– Proponuję ostatni kieliszek przed pójściem spać, stryju.

– Och, dobrze. Skoro nalegasz. Ale ostrzegam cię, że mam zgagę po brandy.

– Czterysta funtów za dziurę w ziemi. Wątpię, czy ktoś dałby więcej. Jednak Wheal Leisure leży w pobliżu majątku Poldarka i słyszałem, że Wheal Grace radzi sobie nie najlepiej. Podejrzewam, że za Treneglosem stoi Poldark. Wolałbym zablokować ten projekt.

## II

List od kapitana Charlesa Geoffreya Poldarka z czterdziestego trzeciego regimentu piechoty z Monmouthshire do kapitana Rossa Poldarka z Nampary w Kornwalii:

*Okolice Almeidy, 18 kwietnia 1811 roku*

*Drogi Stryju Rossie!*

*Dopiero w czasie przerwy w bitwie, kiedy staliśmy wśród gradu kul na spowitym mgłą wzgórzu w Buçaco, przyszło mi do głowy, że z formalnego punktu widzenia Stryj nie jest moim Stryjem, tylko kuzynem – ściśle biorąc, bratem stryjecznym mojego ojca. Jednak pozostaniemy przy określeniu Stryj, skoro się przyjęło.*

*Czy Stryj pamięta nasze miny w tamten wrześnieowy ranek po natarciu? Było to chyba nieposłuszeństwo rozkazom, wręcz bunt, gdy Stryj włączył się do walki, odgryzał ładunki, przeskakiwał jak chłopiec głazy i martwych Francuzów, dzielnie robił szpadą. Szczęście, że znalazłem Stryjowi nasz mundur pułkowy – później odkryłem, że okazał się tak ciasny, że popękały w nim szwy – bo inaczej nasi podeksycytowani chłopcy mogliby dźgnąć Stryja w plecy! Tego dnia pomyślałem sobie: W tej bitwie walczymy ramieniem w ramię dwóch Poldarków i niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem, który jest bardziej zmęczony! Zadawanie śmierci i umieranie nie są eleganckie, ale tego dnia było w nas natchnienie!*

*Kilkakrotnie czytałem list Stryja z Londynu i jestem rad, że Stryj wrócił bezpiecznie do domu. Czuję wstyd, że nie odpisałem. Zima była dla nas wszystkich bardzo ciężka, wielu naszych najlepszych oficerów zachorowało lub odniosło rany, a niektórzy z najsłabszych wystąpili o pozwolenie na powrót do Anglii – i otrzymali je! Chwilowy spokój i choroby były wyjątkowo męczące, ale od początku marca dzień po dniu nacieramy i walczymy, nacieramy i walczymy, zażarcie, z polotem i wyjątkowym poświęceniem.*

*Niestety, nie jest to szczęśliwy czas, ponieważ nasze nieustanne zwycięstwa są zatrutowane okropnymi widokami, jakie zastajemy w odbitych wioskach i miastach. Czy wiesz, Kuzynie – ach, nazwałem Cię dla odmiany Kuzynem! – czy wiesz, że zawsze uważałem naszych przeciwników za dzielnych, rycerskich, choć zażartych wrogów? Wiele razy widziałem, jak Anglicy i Francuzi okazują sobie przyjaźń i szacunek. Często nie dawało się zapobiec, by prości żołnierze fraternizowali się przed bitwą i po niej. Jak pięściarze na ringu bokserskim po zakończeniu walki... Podobnie generałowie.*

To, że Soult zbudował Moore'owi pomnik w La Coruñi, to tylko jeden z przykładów. Ale wojna w Portugalii to coś innego! Wiele kilometrów maszerowaliśmy przez kostnicę: wszędzie gnijące trupy, torturowane i zgwałcone kobiety, dzieci wiszące głowami w dół, zbezczeszczone kościoły, okaleczeni księża, mężczyźni z wyłupionymi oczami... Wtedy moje uczucia się zmieniły. Czy sprawiedliwa wojna może się zmienić w wojnę zemsty? Z pewnością tak się stało w Portugalii.

W tej chwili obozujemy przed Almeidą. Francuzi pozostawili w mieście garnizon i piekielnie trudno będzie ich wykurzyć. Jak Stryj widzi, znów znalazłem się nad rzeką, gdzie straciłem kawałek kości szczęki. Szczęśliwie przeżyłem zimę, choć straciłem dobrych przyjaciół Saundersa i Partridge'a. Temu ostatniemu pewnego ranka, tuż po zakończeniu śniadania, pocisk urwał głowę. Stryj ich poznał i na pewno ich pamięta. Partridge miał długie jasne włosy.

Nawiasem mówiąc, Ministerstwo Wojny nieco złagodziło zasady awansów. Malcolm McNeil przestał być pułkownikiem czasu wojny i otrzymał patent podpułkownika armii regularnej! Spotkałem się z nim kilka razy po wyjeździe Stryja. To godny szacunku człowiek, lecz nieustannie opowiada historie o dawnych czasach, gdy uważał każdego Kornwalijszczyka za przemytnika!

Niech Stryj przekaze ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia Ciotce Demelzie, Jeremy'emu, Clowance, Isabelli-Rose, Drake'owi, Morwennie, Samowi, Zacky'emu Martinowi, Benowi Carterowi, Jacce Hoblynowi, Judowi i Prudie Paynterom – jeśli jeszcze żyją – i reszcie przyjaciół Stryja, którzy wciąż o mnie pamiętają.

Gdybym w tej chwili poprosił o urlop, również bym go otrzymał. Nie poproszę jednak – częściowo dlatego, że wojna w Hiszpanii zdaje się wchodzić w zwycięską fazę, a częściowo dlatego, że nie wydaje się stosowne – biblijne słowo to „godne”! – abym teraz wracał. Wiem, że powitałoby mnie wielu przyjaciół, ale nie jest to jeszcze słuszne ani zgodne z moimi obowiązkami.

Tak czy inaczej, niechaj płynie czas!

Z serdecznymi pozdrowieniami  
Twój bratanek stryjeczny (kuzyn? kuzyn drugiego stopnia?)  
Geoffrey Charles

### III

Ogłoszenie, które ukazało się w „Royal Cornwall Gazette” w sobotę osiemnastego maja tysiąc osiemset jedenastego roku:

*Informujemy, że w poniedziałek, 20 maja 1811 roku bank Warlegganów połączy się z Bankiem Hrabstw Devon i Kornwalii z oddziałami w Plymouth, Saltash, Bodmin i Liskeard. Działalność banku Warlegganów z Truro i emisja skryptów dłużnych nie ulegną żadnym zmianom, depozyty klientów będą jeszcze bezpieczniejsze, a działalność firmy obejmie znacznie większy obszar, co powinno być dużym udogodnieniem. Od tej chwili bank Warlegganów zacznie działać pod firmą Warlegganowie i Willyams. Udziałowcami banku będą następujące osoby: sir George Warleggan, sir Humphry Willyams, Cary Warleggan i Rupert Croft.*

### IV

List od lorda Edwarda Fitzmaurice'a do panny Clowance Poldark, szesnastego czerwca tysiąc osiemset jedenastego roku:

*Droga Panno Poldark!*

*Ośmielam się znowu do Pani pisać, doszedłszy do wniosku, że mój pierwszy list musiał zaginąć po drodze. Pragnę odnowić, choćby za pomocą listu, naszą przyjaźń zawartą w lutym i wyrazić nadzieję, że dotarła Pani bezpiecznie do domu i że cieszy się niezliczonymi, różnorodnymi przyjemnościami wiosny i lata. Kornwalia znajduje się tak bardzo daleko, że choć pochodzę z zachodniej części Anglii, nigdy nie byłem w Pani hrabstwie i tylko raz odwiedziłem Exeter.*

*Tą samą pocztą albo zaraz potem dotrze do Pani list mojej ciotki, która zaprasza Panią do Bowood pod koniec lipca. W naszej rodzinie panuje tradycja, że spędzamy większą część sezonu towarzyskiego w Londynie, następne kilka tygodni w Wiltshire, po czym udajemy się do naszego dworu w Szkocji, by polować na pardwy. Pobyt w Bowood jest bardzo przyjemny, gdyż zbiera się tam większość rodziny. Ja i moja ciotka z radością Panią powitamy. Choć jest to daleko od Kornwalii, podróż jest o połowę krótsza niż do Londynu i ufam, że zdołam Panią przekonać, iż warto ją odbyć.*

*List mojej ciotki będzie naturalnie zaadresowany do Pani Matki. Ona również otrzyma zaproszenie, by nie czuła się Pani samotna.*

*Proszę mi wierzyć, Droga Panno Poldark, że byłoby mi bardzo miło, gdyby mogła Pani przyjechać.*

*Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia*

*Edward Petty-Fitzmaurice*

## Rozdział drugi

### I

W ostatni piątek maja Jeremy powiedział matce, że zamierza pojechać z wizytą do panny Trevanion.

– Dostałeś od niej list? – spytała Demelza.

– Nie.

– A ty pisałeś?

– Tak, raz. Nie odpowiedziała.

Demelza spojrzała na swojego wysokiego syna. Miał beznamiętny wzrok, na ile to możliwe w przypadku młodego człowieka zmagającego się z problemami sercowymi.

– List pani Bettsworth zirytował twojego ojca.

– Wiem. Ale minęło już dziewięć tygodni. Moim zdaniem mam prawo złożyć wizytę.

– Naturalnie. Powiedzieć ojcu?

– Po moim odjeździe.

– Moim zdaniem nie miałyby nic przeciwko temu.

– Czy on czekałby dziewięć tygodni? – spytał Jeremy.

Demelza lekko się uśmiechnęła.

– Nie.

Poszli do stajni.

– Miałś kiedyś konia, który nazywał się Caerhays – powiedział Jeremy. – Przed moim urodzeniem, prawda?

– Tak, zanim staliśmy się zamożni. Sprzedaliśmy go, gdy potrzebowaliśmy pieniędzy.

– Skąd się wzięło jego imię? Znałaś wtedy Trevanionów?

– Zdaje się, że już się tak nazywał, gdy go kupiliśmy. Musisz spytać ojca.

– Przy okazji.

Jeremy zaczął siodłać swojego najlepszego konia, kasztanowo-tarantowatego deresza o imieniu Colley (skrócone nazwisko Collingwood). Kupiono go dla Jeremy'ego na polowania, lecz z biegiem lat młody człowiek coraz mniej je lubił i w tej chwili najczęściej galopował po wrzosowiskach. Demelza zauważyła, że jest dziś ubrany wyjątkowo dobrze. Jeszcze nigdy nie widziała, by był taki elegancki.

– Jeremy...

– Tak?

Pomogła mu zapiąć popręg.

– Wiem, że byłeś... byłeś bardzo wytrącony z równowagi. Nie mogę ci pomóc. Smuci mnie to. Nie mogę nawet niczego doradzić!

– Nikt nie może.

– Bo nie słuchasz niczyich rad. Bardzo słusznie. Nie ma sensu, by starsi mówili młodszym – zwłaszcza własnym dzieciom – że przeżyli to samo. To całkowicie bezużyteczne! Nie można zrozumieć cudzego smutku, zazdrości, rozpacz. Wszyscy jesteśmy z natury podobni, ale i wyjątkowi. Przeżywamy udręki, których nikt wcześniej nie doznał.

Jeremy pogłaskał matkę po dłoni.

– Jeszcze jedno, Jeremy – powiedziała Demelza. – Nigdy nie zapominaj, że jesteś Poldarkiem.

Colley zaczął się denerwować, czując, że niedługo opuści dwór. Jeremy poklepał konia po chrapach.

– To mało prawdopodobne.

– Powinieneś... – Demelza się zawahała. – Powinieneś myśleć o rodzinie ojca, nie mojej. Byłoby mi przykro, gdyby to, że jestem córką górniką, pokrzyżowało ci szyki. – Wreszcie to powiedziała.

Jeremy spojrział na stajnię. Jego oczy w dalszym ciągu były puste.

– Zabieracie mnie czasem do kościoła. Jeździmy tam całą rodziną kilka razy w roku, prawda?

– No i?

– Powtarza się tam przykazanie: „Czcij ojca twego i matkę twoją”<sup>3</sup>. Przestrzegam go, rozumiesz? Nie mam z tym kłopotów. Nie połowę, tylko całe. Nie sprawia mi to trudności. Gdyby ktoś chciał mnie uczyć czegoś innego, nie powinnaś być to ty, mamó.

– Chcę tylko powiedzieć...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Teraz zajmij się swoimi sprawami, mamó, i pozwól mi się zajmować moimi. Żadna dziewczyna... – Urwał.

– Niekoniecznie dziewczyna. Mogą to być jej rodzice.

Jeremy spojrział na matkę i uśmiechnął się ironicznie.

– Przekonamy się, prawda?

## II

Zamek otaczało morze dzwonek. Nad kwiatami wisały gałęzie młodych buków i białych

brzóz, przypominające delikatną koronkę. W zatoce połyskiwało przejrzyste morze.

Jeremy'ego wpuścił do gmachu stary lokaj, który, jak się wydawało, zawsze miał pomarszczone pończochy.

– Pójdę sprawdzić, sir. Nie jestem pewien, gdzie dokładnie jest w tej chwili panna Cuby, sir. Proszę łaskawie usiąść, sir.

Jeremy nie przyjął zaproszenia. Zamiast tego spacerował po wielkim salonie podobnym do sali balowej, gdzie w marcu odbył się koncert. Klawesyn Clemency był otwarty, bezładnie leżały na nim nuty. W kominku suszyły się buty, a nad żarzącymi się polanami unosiły się spiralne smużki dymu. O ścianę oparto cztery strzelby myśliwskie. Na drewnianej ławie leżały otwarte dwie londyńskie gazety, „Times” i „Morning Post”. Z portretów na ścianach spoglądali z roztargnieniem przodkowie Trevanionów.

Jeremy czekał dłuższy czas. Wreszcie drzwi się otworzyły i do sali wbiegły dwa spaniele, które zaczęły obwąchiwać jego stopy i nogi.

– Drogi pan Poldark! – W drzwiach pojawił się major John Trevanion. Powitał go uśmiechem z zaciśniętymi wargami. – Miło, że nas pan odwiedził. Jak się pan miewa? Wszędzie szaleją piekielne choroby. Proszę za mną. Mój pokój jest przytulniejszy.

Zaprowadził Jeremy'ego do swojego gabinetu, mniejszego, jaśniejszego pomieszczenia z widokiem na taras. Jak zwykle panował w nim bałagan. W rogu przy kominku siedziała pani Bettsworth, pochylona nad robótką. Uśmiechnęła się z zaciśniętymi wargami podobnie jak syn i wyciągnęła rękę, a Jeremy się nad nią pochylił.

Rozmawiali o pogodzie, influenzy, braku koni spowodowanym wojną, trudności znalezienia dobrych murarzy do pracy na zamku, zbliżających się wyścigach konnych w Bodmin – wydawało się, że major Trevanion dysponuje dużą wiedzą w tym zakresie. Nie był to temat, który wybrałby Jeremy. Wydawał się wręcz najgorszy z możliwych, lecz chłopak nie dał się onieśmielić ani przegadać.

W końcu powiedział:

– W istocie przyjechałem spytać, jak się miewa panna Cuby. Nie widziałem jej od dziewięciu albo dziesięciu tygodni.

– Cuby czuje się bardzo dobrze – odparł po chwili milczenia Trevanion. – Jednak w tej chwili przebywa poza domem. Pojechała odwiedzić kuzynów w Tregony. Ale powiem jej, że pan nas odwiedził. Przekażę jej każdą... eee... wiadomość, jaką zechce pan zostawić.

– Proszę powiedzieć panie Cuby, że byłem rozczarowany, iż zabroniono jej pojechać na północne wybrzeże, by odwiedziła moją rodzinę na Wielkanoc.

– Zabroniono?! – Major Trevanion zamrugał i spojrzał przekrwionymi oczyma na swoją matkę, która w ogóle nie zwróciła na to uwagi. – Zdaje się, że już wcześniej była umówiona, prawda? Ach, cóż, przykro mi z tego powodu, Poldark. Wszystkim nam jest przykro. Szczerze



mówiąc, moja matka rządzi dziećmi twardą ręką i nie daje im takiej swobody, jakiej pragnie wiele współczesnych dziewcząt.

– Czy panna Cuby mogłaby przyjechać w innym terminie, na przykład z Augustusem?

– Augustus jest w Londynie – odparł major Trevanion. – Znalazł posadę w Ministerstwie Skarbu, gdzie, jak sądzę, jego talenty zostaną dobrze wykorzystane. Przysyła zabawne listy.

– Panie Poldark, czy mógłby mi pan podać zielony jedwab? – spytała pani Bettesworth.

Jeremy natychmiast spełnił prośbę.

– Przysyła zabawne listy – powtórzył Trevanion i roześmiał się z dowcipu, zanim go opowiedział. – Napisał, że jechał dorożką, w której na podłodze była słoma zamiast dywanu. Poszedł na nabożeństwo do opactwa westminsterskiego, a oprócz niego pojawiła się tylko jedna osoba. Podobno w sklepach można kupić obraźliwe karykatury wszystkich ważnych osobistości. Francuzów, Anglików, Amerykanów...

Zapadło krótkie milczenie.

– Ufam, że panna Clemency dobrze się czuje? – spytał Jeremy.

– Bardzo dobrze, dziękuję. W zeszłym tygodniu pojechała ze mną do Newton Abbot, gdzie moja młoda klacz wygrała nagrodę królowej Charlotty... Kiedy wracaliśmy, okazało się, że drogi wokół Plymouth są zapchane żołnierzami piechoty i wozami zmierzającymi w stronę statków. Były to posiłki wysyłane do Portugalii i do Indii. Dzięki Bogu wojna przybrała lepszy obrót. Najwyższy czas, by to się stało.

– Rzeczywiście – powiedział Jeremy.

– Czy pan wie, że z powodu tej niekończącej się wojny bardzo trudno o pracowników? Muszę płacić rocznie trzydzieści funtów służącemu, który coś potrafi. Kobiety też są drogie. Płacę kucharce trzynaście funtów rocznie. Jak sobie z tym radzi pana ojciec?

– Szczerze mówiąc, nie pytałem go o te sprawy – odparł Jeremy. – Większość służących pracuje u nas od niepamiętnych czasów. Nie zatrudniamy lokajów, lecz przede wszystkim kobiety pomagające matce i dwóch mężczyznom wykonujących różne zadania.

– Ile hektarów ma posiadłość?

– Chyba około czterdziestu.

– My mamy czterysta, z czego połowa to uprawy. Jest jeszcze dwieście pięćdziesiąt wokół przylądka Roseland, dobra ziemia orna. Ale oczywiście moje oczko w głowie to czterysta hektarów gruntu wokół zamku. Jesteśmy w dużej mierze osłonięci od wiatru i możemy hodować rzadkie, oryginalne krzewy. Pokazałbym je panu, gdybym miał trochę czasu.

– Zdaje się, że panna Cuby pokazała mi niektóre z nich w czasie mojej ostatniej wizyty.

– Doprawdy? Tak, naturalnie.

Pani Bettesworth uniosła wzrok.

– Mam nadzieję, że wybaczy nam pan, jeśli nie zaprosimy pana na obiad, panie Poldark.

Powinien pan rozumieć, że z powodu niewielkiej liczby domowników wybór potraw jest ograniczony i że trudno byłoby nakazywać kucharzowi gotowanie o tak późnej porze.

Jeremy wstał.

– Oczywiście, rozumiem. – Popatrzył na gospodarzy. – A może niezupełnie rozumiem. Pochodzę z rodziny szcycącej się szczerością. W rezultacie mogę niedostatecznie cenić grzeczność, która ledwo maskuje nieprzychylność. Podanie przyczyny tej nieprzychylności byłoby dla mnie znacznie większą kurtuazją niż zawołane stwierdzenia, które niewiele znaczą. Pani Bettsworth... majorze Trevanion, życzę państwu miłego dnia.

Skłonił się i ruszył w stronę drzwi. Ujął klamkę dłonią drżącą z gniewu.

– Niech pan zaczeka, Poldark. – John Trevanion kopnął jednego ze spanieli, który plątał mu się pod nogami. – Mamo, te zwierzęta potrzebują spaceru. Odprowadzę pana Poldarka do konia.

– Naturalnie – odrzekła pani Bettsworth i przerwała na chwilę haft. – Do widzenia, panie Poldark. Życzę wszystkiego najlepszego.

Jeremy przeszedł przez sień i ganek, nie zwracając uwagi na otoczenie. Za frontowymi drzwiami, które znajdowały się w miejscu osłoniętym od wiatru, z dala od morza, wznosił się wysoki kamienny łuk. Przywiązał tam Colleya do słupka.

Trevanion szedł nieco wolniej, ale dogonił Jeremy'ego, gdy młody człowiek zamierzał usiąść w siodle. Wiatr rozwiewał rzadkie, kasztanowe włosy majora.

– Jest pan nieodpowiedni.

– Słucham?

– Pytał pan o przyczynę. Czy to nie oczywiste? Uważamy, że jest pan nieodpowiednim mężem dla Cuby. Trevanionowie mieszkają w tym okręgu, prawie dokładnie w tym samym miejscu, od pięciuset lat, ściśle biorąc od tysiąc trzysta trzynastego roku. Jest pan miłym młodym człowiekiem, Poldark, o ujmującym sposobie bycia. Od czasu do czasu chętnie powitamy pana w naszym domu jako gościa. Ale jako mąż mojej siostry – a jest oczywiste, że o to panu chodzi – nie spełnia pan warunków. Rozumie pan? Czy nie jest to jasne? Mamy większe ambicje. Przykro mi.

– A Cuby?

– Och, Cuby... Lubi flirtować. Nie zauważył pan? Lubi młodych ludzi. W jej wieku to naturalne, prawda? Uważa, że powinna mieć wiele kart w rękawie. Nie budzi to naszego sprzeciwu. Pozwalamy jej na młodzieńcze romanse. Kiedy młodzi ludzie deklarują poważne zamiary, my również stajemy się poważni. Rozumie pan? Cuby jest wciąż bardzo młoda. Za rok lub dwa wspólnie wybierzemy dla niej męża: Cuby, jej matka i ja. Kandydat musi być odpowiedni.

Dwa spaniele, wypuszczone na powietrze, biegały po żwirze w pobliżu Colleya, który tupnął niespokojnie kopytem, gdy się zbliżyły.

– Jakie niebezpieczeństwo dostrzega pan w moich poważnych zamiarach, skoro pana siostra nie traktuje tej sprawy poważnie? – spytał Jeremy.

– Moja siostra ma poważne romanse dwa lub trzy razy do roku – odparł Trevanion. – Zeszłej jesieni był to murarz, w którym się zadurzyła, lecz poznała innego młodego człowieka i natychmiast jej przeszło. – Zaśmiał się. – Było to tak absurdalne, że nawet się nie sprzeciwiliśmy. Ale pan jest dżentelmenem, a zatem pańskie zaloty muszą być traktowane inaczej. Jeśli uważa pan, że postępujemy niegrzecznie, proszę wziąć pod uwagę naszą skomplikowaną sytuację.

– Trudność – rzekł Jeremy, ledwo panując nad głosem – polega na tym, by wprost powiedzieć innemu Kornwalijszykowi, że jest nieodpowiedni, bo jest zbyt drobnym ziemianinem, choć to dżentelmen. Mamy znacznie mniejszą posiadłość i nieco krótszy rodowód. – Wsiadł na konia. – To prawda. Lecz proszę się zastanowić. Nazywał się pan Bettsworth i przyjął nazwisko Trevanion. Ja w ogóle nie musiałem zmieniać nazwiska.

Chuda, czerwona twarz mężczyzny jeszcze spurpurowiała. W wieku dwudziestu czterech lat został szeryfem Kornwalii i od dawna nikt nie ośmielił się odezwać do niego w ten sposób.

– Radziłbym panu już jechać, panie Poldark – rzucił.

### III

Była piąta po południu. Jeremy nie odjechał. Siedział na koniu i czekał na polnej drodze na wzgórzu kilkaset metrów od zamku. Znalezienie tego miejsca zajęło trochę czasu. Nie widział stąd łuku znajdującego się przed głównym wejściem do rezydencji, dostrzegał jednak wszystkie prowadzące do niej ścieżki. Stał na wzgórzu już od dwóch i pół godziny. Colley zaspokoił głód, skubiąc liście z żywopłotów przy drodze. Jeremy nie był głodny, choć nic nie jadł. Czuł, że w razie potrzeby mógłby tu spędzić następną dobę.

Dwa razy minęli go ponurzy wieśniacy. Słońce skryło się za chmurami płynącymi po niebie. Po drugiej stronie wzgórza zaczęto sianokosy. Widział cztery osoby na ogromnym polu: dwie kobiety w czepkach i dwóch chłopców. Zaraz po odjeździe Jeremy'ego major Trevanion obszedł zamek od tyłu i dotarł do części, która nie została jeszcze ukończona. Nie było tam robotników. Od Wielkanocy nic się nie zmieniło. Trevanion wkrótce wrócił i wszedł do zamku. Około trzeciej guwernantka zaprowadziła dwóch małych chłopców na spacer po plaży. Byli poza domem prawie godzinę. Poza tym tego popołudnia nikt nie wchodził do zamku ani go nie opuszczał.

Jeremy pomyślał, że pani Bettsworth mówiła z walijskim akcentem. Czy kłamali na temat Cuby? Czy naprawdę przebywała poza domem, a może – pomyślał rozpaczliwie – zamknęli ją

w pokoju na piętrze? Nie mogli tego zrobić, nie zauważyliby go odpowiednio wcześniej. Cuby, choć najmłodsza w rodzinie, nie wydawała się osobą, która zniosłaby bez protestu takie traktowanie. Kopałaby w drzwi. Jednak Jeremy wiedział, że w większości podobnych rodzin przestrzega się surowej dyscypliny. Cuby nie znała swojego ojca, który przed jej urodzeniem poległ w czasie służby w gwardyjskim regimencie dragonów, po czym jego rolę przejął starszy brat. Czy pani Bettsworth jest tak bezwolna, jak się wydaje, czy to ona wszystkim kieruje?

Colley zaczął się w końcu denerwować, zmęczony długim postojem z panem na grzbiecie, ale gdyby Jeremy zeskoczył na ziemię, niewiele by widział.

Obłok pyłu na stoku wzgórza. Na szczycie drogi, którą przyjechał. Wysokie żywopłoty pokryte były majowymi pąkami, lecz po chwili zauważył konie przejeżdżające przez bramę. Trzy. Obrócił Colleya i przejechał kilka metrów. Dwie kobiety i mężczyzna. Poczł mocne bicie serca. Poznał jedną z kobiet i prawie na pewno drugą. Mężczyzna miał na sobie mundur.

Ruszył drogą, zsiadł z konia, otworzył drewnianą bramę i przeprowadził Colleya na następne pole. Kolejna brama i znalazł się na drodze. Nie zajął miejsca w siodle.

Głosy, dziewczęcy śmiech. Nie widział ich, a oni mogli go zobaczyć dopiero po wyjściu z zakrętu znajdującego się na stoku wzgórza dwadzieścia metrów wyżej.

Mimo suchej pogody w pobliżu drogi pluskał niewielki strumyk. Żywopłot miał w tym miejscu patriotyczne barwy: czerwone lepnice, białe burchardie i niebieskie dzwonki. Wokół rosły ogromne paprocie.

Zobaczył Clemency i Cuby. Dzięki Bogu okazało się, że mężczyzna to lokaj w liberii.

Zatrzymały się. Droga była i tak za wąska, by się minąć. Jeremy zdjął kapelusz.

– Dzień dobry paniom.

Śmiała się Clemency. W odróżnieniu od Cuby była dość brzydką dziewczyną, choć niezwykle sympatyczną. Nagle przestała się śmiać i ożywienie na jej twarzy zmieniło się w zaskoczenie. Cuby powoli się zarumieniła.

– Chciałem panie odwiedzić, lecz niestety nie zastałem pań w domu – powiedział Jeremy. – Mam nadzieję, że są panie w dobrym zdrowiu.

Clemency ściągnęła wodze.

– Pan Poldark! Cóż za niespodzianka! Czy to nie niespodzianka, Cuby? Moim zdaniem ogromna niespodzianka!

– Wielka niespodzianka – zgodziła się Cuby.

– Spotkałem pani matkę i brata – rzekł Jeremy. – Rozmawialiśmy jakiś czas o bieżących sprawach. Jak się miewa Augustus?

– Jest w Londynie. – Clemency zerknęła na siostrę. – Wracamy na herbatę. Może... zechciałby pan się do nas przyłączyć?

– Dziękuję, już się pożegnałem. Niestosownie byłoby wracać.

Konie były trochę nerwowe, cofały się i ruszały do przodu na wąskiej drodze.

– Wharton, jedź ze mną – odezwała się Clemency. – Chcę zamienić kilka słów z panią Clark na farmie. Panna Cuby dołączy za kilka minut.

– Tak, panienko.

Clemency pochyliła się i wyciągnęła dłoń.

– Życzę miłego dnia, panie Poldark. Przykro mi, że nie zastał nas pan w domu. Może innym razem...

Jeremy pocałował jej rękawiczkę.

– Naturalnie...

Przeprowadził Colleya na pobocze, by dwa pozostałe konie mogły przejść. Cuby siedziała nieruchomo w siodle. Miała smutną, niemal nadąsaną twarz.

Kiedy Clemency i Wharton znikli za zakrętem, Jeremy powiedział:

– Ocaliłaś mnie przed celnikami, a teraz mnie nie chcesz.

Cuby zerknęła na niego, po czym spojrzała na morze.

– Prawo przewiduje, że wszystkie rzeczy wyrzucone na brzeg należą do właściciela dworu – dodał.

Cuby wsunęła kosmyk włosów pod trójrożny kapelusz i skierowała konia w bok, by mógł skubać trawę.

– Albo właścicielki, jeśli tak się zdarzy – ciągnął Jeremy.

– Nie żartuj ze mnie, proszę.

– Miałem w szkole kolegę, który zawsze się śmiał, gdy go najbardziej bolało.

– Dlaczego dziś przyjechałeś? Nie wystarczył list?

– Od twojej matki? Nie. Dlaczego nie odpowiedziałaś na mój?

– Co by to dało?

– Nie sądzisz, że jesteś mi winna osobiste wyjaśnienie? Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, pocałowałaś mnie i...

– To nie ja! To był twój...

– Pocałowałaś mnie. Nie ma co do tego wątpliwości! I nazwałaś mnie „drogim Jeremym”. Poprosiłaś, żebym znowu przyjechał. Niezależnie od tego, jak lekko to traktowałaś – a nie wierzę, że traktowałaś to lekko – należy mi się twoje wyjaśnienie, nie sądzisz?

Znowu na niego spojrzała, znów krótko. W jej oczach widać było zakłopotanie.

– Postąpiłam głupio. Przyjmij po prostu, że mam skłonność do flirtu...

– Wspomniał o tym twój brat.

– Naprawdę?!

– Tak. Rozmawiałem z nim. Przy twojej matce prowadziliśmy uprzejmą, chłodną konwersację. Po wyjściu poprosiłem, by powiedział mi szczerze, co myśli, więc powiedział.

Oświadczył, że jego zdaniem jestem dla ciebie nieodpowiednim kandydatem do małżeństwa. Chociaż może sam to czuję, czy ty też tak uważasz?

– Chyba muszę już jechać.

– Czy tak sądzisz?

Zamierzała przejechać obok niego, ale ujął wodze jej konia.

– Nie, oczywiście, że nie – odparła gniewnie. – To, co myśli mój brat, to jego prywatna sprawa.

– A twoja matka?

– Naturalnie słucham tego, co mówią.

– Wydaje się, że twoja matka zgadza się z bratem.

– Mam własne zdanie.

– Tak przypuszczałem. – Przełknął ślinę i próbował uporządkować myśli. – Poznałem kilka młodych dam w twoim wieku w różnych częściach Kornwalii. I widziałem, jak starannie większość z nich jest obserwowana i kontrolowana. „Tak, mam”, „nie, mam”, nigdy nie wolno wykroczyć poza zasady dobrego wychowania. Często poślubiają mężczyzn wybranych przez rodziców... Ze wszystkich osób, które spotkałem, jesteś najmniej podobna do takich dziewcząt. Nie wierzę, by ktoś mógł ci dyktować, co masz lubić, a czego nie. W najgorszych snach nie wyobrażam sobie, że mogłabyś z zimną krwią naradzać się z matką i bratem, kogo poślubić!

– Kto tak powiedział?

– Twój brat.

Zapadło milczenie i słychać było tylko skubanie trawy, odgłosy przeżuwania, od czasu do czasu skrzyp uzdy i brzęk wędzidła.

– Poślubię tego, kogo sama wybiorę, w granicach rozsądku – powiedziała Cuby. – Czy to wszystko nie dowodzi, że mówiłam prawdę? Że niezbyt mi na tobie zależy? Flirtowałam z tobą dla zabawy. Rozrywki.

– Na moją duszę, prawie jestem gotów ci uwierzyć! – odparł gorzko Jeremy.

– Teraz możesz pozwolić mi odjechać! – rzekła Cuby. – Ty głupcze! Nie mówiłam ci tamtego popołudnia, że nic nie jest proste?! Nie kazałam ci, nie prosiłam, żebyś źle o mnie nie myślał?!

– Mówisz jak ktoś, kogo nic nie obchodzi.

– Obchodzi mnie, że cię zraniłam! Czy to nie wystarczy?

– Zraniłaś! Jestem taki nieszczęśliwy, że mógłbym umrzeć!

Cuby westchnęła, po czym roześmiała się przez łzy, które napłynęły jej do oczu.

– Nikt nigdy nie umarł z miłości. Wiem to z dobrego źródła. Wymyślili to wszystko poeci, żeby było nad czym płakać.

– Ty też płaczesz – odparł Jeremy, unosząc dłoń do swojej twarzy.

Pociągnęła za wodze, ręką ręką szpicruty dotknęła końskiego łba, a potem minęła

Jeremy'ego. Spoglądali na siebie przez ły.

– Do widzenia, chłopcze – powiedziała. – Może mnie obchodziło. Ale nie dostatecznie. To nie ty jesteś nieodpowiedni, tylko ja. Przypomnij sobie tamtych ludzi na cmentarzu – mamy więcej szczęścia. Oddaliby wszystko, by mieć złamane serce!

Odjechała. Kapelusz i smukłe młode ciało kołysały się, gdy koń schodził niezgrabnie stromą drogą. Już miała obrócić głowę, lecz w końcu rozmyślnie nie spojrzała za siebie.

## Rozdział trzeci

### I

Noc świętojańska – wigilia świętego Jana Chrzciciela – to czarodziejska pora. Letnie przesilenie, kiedy słońce, stojąc w zenicie na szerokości zwrotnika Raka, znajduje się najdalej od równika i zdaje się tkwić w miejscu. Pora ofiar z ludzi, kultu słońca, łapania węży, łamania gałęzi, proroctw śmierci.

Wśród celtyckich plemion Kornwalii już w czasach prehistorycznych była to magiczna noc, lecz najpierw purytanie, a później metodyści uznawali ją za kultywowanie tradycji pogańskich, toteż stopniowo zmieniała się w zwykłe święto, czas palenia ognisk, zalotów i wesołych zabaw.

Mimo to w radosnych festynach, śmiechach i tańcach ludzie wyczuwali obecność czegoś starszego od chrześcijaństwa, starszego niż ateizm, starszego niż niewiara. Kiedy noc była pogodna, co bardzo często się zdarzało, chwilami zapadała dziwna cisza. Ludzie szeptali, wpatrywali się w mrok, spoglądali na przelatujące robaczki świętojańskie i czasami dostrzegali coś kryjącego się w mroku.

W wigilię świętego Jana nigdy oczywiście nie było całkowicie ciemno, nie przez całą noc, ponieważ słońce znajdowało się tuż za horyzontem, a morze lśniło srebrzyście w świetle księżycy. Zachęcało to ludzi do siedzenia do świtu i czekania na pojawienie się dusz przyjaciół.

Demelza nie wierzyła w pogańskie przesady i praktyki, choć uważała, że na świecie mogą się zdarzać dziwne rzeczy i że nie należy traktować ich dogmatycznie. Jeśli rozsypała sól, natychmiast rzucała szczyptę do tyłu przez lewe ramię – komu to szkodzi? Nigdy nie przynosiła do domu majowych kwiatów ani nie sadzała przy stole trzynastu osób. Pewne zaklęcia, o których opowiadała jej w dzieciństwie Meggy Dawes, działały zadziwiająco skutecznie. Trzeba mieć po prostu otwarty umysł i brać życie takie, jakie jest.

Kiedy postanowiła zorganizować specjalne przyjęcie w wigilię świętego Jana i wskrzesić część starych zwyczajów, zdawała sobie sprawę, że większość mieszkańców okręgu chciałaby znów obchodzić święto, które prawie popadło w zapomnienie. Z powodu groźby inwazji francuskich wojsk Napoleona na wybrzeżu już od lat nie palono ognisk, z wyjątkiem tysięcy osiemset drugiego roku, gdy panował krótki pokój. Podobnie jak dwieście lat wcześniej, kiedy Anglii zagrażała hiszpańska Wielka Armada, płonące ogniska miały być sygnałem alarmowym.

W dalszym ciągu stanowiły taki sygnał, lecz po wielkim zwycięstwie Nelsona pod



Trafalgarem niebezpieczeństwo się zmniejszyło. Nianie wciąż straszyły niegrzeczne dzieci krwiożerczym karłem z Korsyki, cesarz Francuzów był jak zawsze niepokonany, pomijając fakt, że podbił jedynie Europę, ale nie morze i panującą na nim flotę brytyjską. W tym roku świętowano inne zwycięstwo, tym razem na lądzie. Pierwsze zwycięstwo na lądzie, jakie pamiętała Europa. Zaledwie siedem lub osiem tygodni wcześniej palono z tej okazji ogniska. Dlaczego nie zrobić tego znowu?

W dawnych czasach pierwsze ognisko rozpalano na skale Garrack Zans w pobliżu Sennen na przylądku Land's End, później na wzgórzu Trencrom i na grzbiecie Chapel Carn Brea, aż w końcu w całej Kornwalii pojawiał się łańcuch świateł. W tej chwili nie dawało się zorganizować święta na taką skalę, lecz nie było nic złego w rozpaleniu tu i tam kilku ognisk. Najwyższe wzgórze w pobliżu Nampary znajdowało się na południe od zrujnowanych zabudowań kopalni Wheal Maiden w pobliżu nowego domu modlitwy za kępą sosen pochylonych od wiatru. Kiedy Ben Carter przyszedł do Demelzy, by spytać, czy wolno tam rozpalic ognisko, wpadło jej do głowy, że można by zorganizować festyn dla całej wioski.

Prawie wszyscy przyjaciele i członkowie rodziny Demelzy byli akurat w domu, co zdarzało się dość rzadko.

Ale nie podchwyciła pomysłu wieśniaków tylko ze względu na siebie, Rossa i sąsiadów. Trzeba było też rozruszać dwoje starszych dzieci, pozwolić im zapomnieć o kłopotach. Nic nie wyszło z przyjęcia na Wielkanoc, podobnie jak z późniejszych planów Demelzy. Kiedy pod koniec maja Jeremy wrócił o zmroku do domu, zastał matkę w ogrodzie i po kilkuminutowej zdawkowej rozmowie nagle wybuchnął płaczem, ona zaś oparła jego głowę na swojej piersi, jakby znów był małym chłopcem. Wkrótce się uspokoił, wytarł nos jej chusteczką i żadne z nich nigdy nie wspomniało o tym wydarzeniu. Była zadowolona i dumna, że okazał przy niej emocje, ale rozumiała głębię jego cierpienia.

W ciągu następnych czterech tygodni zachowywał się w miarę normalnie, lecz często wychodził z domu. Czasem odwiedzał Wheal Leisure i zapominał o jedzeniu, jednak częściej jeździł na Colleyu. Nikt nie miał pojęcia dokąd – wiadomo było tylko, że ma to coś wspólnego z kopalnią i maszyną parową, którą zamierzał zbudować. Zamknął się w sobie, skupił na pracy, próbując zapomnieć o Cuby. Nagle dorósł, choć w niewłaściwy sposób. Niemal pragnęła, by znów się zainteresował Violet lub Daisy Kellow, a nawet dostrzegł coś w ekscentrycznej Agnecie Treneglos o blisko osadzonych oczach.

Jeśli chodzi o Clowance, po wyjeździe Stephena Carringtona nic jej się nie układało. Drugi list lorda Edwarda minął się po drodze z jej spóźnioną odpowiedzią na pierwszy, po czym nadeszło spodziewane zaproszenie od lady Isabel Petty-Fitzmaurice. Stało się ono tematem rozmów, lecz później o nim nie wspomniano. Nie można było długo zwlekać z odpowiedzią.

Penetracja starej kopalni sprawiła, że Ben Carter częściej pojawiał się w Namparze i miał

teraz przewagę nad innymi konkurentami ubiegającymi się o względy Clowance, ponieważ regularnie ją widywał. Można by jednak się zastanawiać, czy to rzeczywiście przewaga. Clowance nie traktowała nikogo niegrzecznie; nie leżało to w jej naturze. Odnosiła się do Bena swobodnie – jak do brata albo kolegi górnika, ponieważ sama zeszła cztery razy do Wheal Leisure.

Demelza w rozmowie z Rossem ironicznie zauważyła, że wielbiciele Clowance są zadziwiająco różni. Młodszy brat jednego z najbogatszych arystokratów w kraju, trzydziestokilkuletni żeglarz i awanturnik o uderzająco przystojnej twarzy i podejrzaną przeszłości oraz brodaty górnik bez grosza przy duszy, syn chrzestny Poldarków.

– Wszystko się zmieni – odparł Ross. – Nagle Clowance dojrzeje i poślubi kogoś zupełnie innego.

– Nie martwię się – rzekła Demelza. – Raczej spekuluję.

– Podejrzewam – i mam nadzieję – że w przypadku Clowance trochę to potrwa. Wierzę w jej umiejętność osądu ludzi.

– Też bym chciała wierzyć.

– A nie wierzysz?

– W jej zdrowy rozsądek, tak. Ale czasem kobiety ulegają gwałtownym emocjom.

– Podobnie jak mężczyźni, na litość boską!

– Masz na myśli Jeremy'ego?

– W tej chwili tak, bo uważa, że Cuby to jego wielka miłość. Naturalnie w końcu przyjdzie do siebie. Chętnie kopnąłbym jej brata w jego pretensjonalny tyłek. Ohydna, mała ropucha. Powiedzieć Jeremy'emu, że Trevanionowie mieszkają w Kornwalii od tysiąc trzysta trzynastego roku!

– Pięćset lat to kawał czasu. Kiedy przybył z Francji do Anglii pierwszy Poldark?

– W tysiąc pięćset siedemdziesiątym drugim. To nonsens, Demelzo. Nonsens. Już ci o tym mówiłem. Ludzie pyszniący się swoimi przodkami są jak buraki albo cebule. Wszystko, co najważniejsze, znajduje się pod ziemią.

– Tak, ale...

– Czy to ma jakieś znaczenie? Może twoi przodkowie mieszkali w Kornwalii przed moimi? Liczy się tylko to, kim jest człowiek. Zastanów się: czy ktokolwiek ma dłuższą genealogię od innych? Przecież wszyscy pochodzimy od Adama, prawda?

– Świat patrzy na to inaczej.

– W takim razie jest w błędzie! Przywiązuje wagę do nazwiska. Wszyscy mamy nazwiska! Poldark, Boscawen, de Dunstanville, Trevanion i inni to ziemianie, a Carne, Smith, Carter, Martin, Nanfan i Paynter nie, tylko co z tego? Wszyscy pochodzimy z tego samego pnia. To, że niektórzy mieli więcej szczęścia, sprytu albo talentu i zdołali się wspiąć wyżej od innych,

a później zachowali przez wieki swój status, nie oznacza, że bardziej zasługują na szacunek, pochwały i cześć.

– Oczywiście masz rację. To wszystko prawda. A jednak... Jestem dumna, że noszę nazwisko Poldark, choćby dzięki małżeństwu. Ty również jesteś z tego dumny, Ross. Inaczej nie byłbyś taki wściekły, że Trevanionowie obrazili naszego syna.

– Byłbym wściekły, gdyby ktokolwiek obraził naszego syna – odparł Ross.

Jeremy ze zdziwieniem przyjąłby słowa ojca. Nie był pewny, czy ojciec jest z niego dumny.

Poranek wigilii świętego Jana był pochmurny. Przez jakiś czas siąpiła mżawka, ale nie lało i nawet pesymiści tacy jak Jud, który siedział przed drzwiami swojej chaty i wydmuchiwał kłęby dymu jak wygasły wulkan, byli zgodni, że zapowiada się ładny wieczór. I rzeczywiście, okazał się ładny. Słońce utonęło w morzu przypominającym niebieskawe mleko, a w pobliżu Wheal Maiden zgromadził się tłum wieśniaków. Panowała atmosfera radosnego oczekiwania. Dezaprobatę wyrażał tylko brat Demelzy, Samuel, który nie uznawał wigilii świętego Jana za święto chrześcijańskie, lecz go przekupiono – jeśli można było użyć tego słowa w odniesieniu do Sama. Obiecano mu, że odmówi modlitwę przed rozpaleniem ogniska.

Paul Kellow przyprował swoją siostrę Daisy. Violet musiała pozostać w domu. Przybyły siostry Pope, którym towarzyszył masztalerz, ale młoda, ładna pani Pope, blondynka o rozbieganych oczach, została z mężem. Resztę okolicznych ziemian stanowili Horrie i Agneta Treneglosowie wraz z dwoma chłopcami oraz Enysowie z dwiema córkami. Wokół ogniska zebrało się około trzydziestu starych wieśniaków z Mellin, Sawle i wioski Grambler; młodszy i zdrowsi mieli przybyć jako procesja ze starej kopalni Grambler.

Rozstawiono stoły, na których piętrzyły się stopy drożdżówek, szafranowych bułeczek, kruchych ciast, pierników i makowców; poza tym przygotowano dwa kołaczki wielkie jak koła młyńskie. I trzy baryłki piwa. I kopiec kartofli do pieczenia w popiele po wygaśnięciu ogniska. W odpowiednim momencie za stołami miały stanąć najbardziej szanowane matrony z okolicznych wiosek – żona Zacky'ego Martina, Char Nanfan i Beth Daniel – pilnując, by każdy dostał należną porcję i czekał na swoją kolej.

– Inaczej poprzewracają stoły – powiedziała Demelza. – Najsilniejsi przepchną się do przodu i wszystko zabiorą.

– Nie może być gorzej niż u burmistrza Londynu w czasie bankietu, w którym kiedyś uczestniczyłem – zauważył Ross. – Przy głównym stole goście zachowywali się z pewną dozą godności, ale reszta dosłownie szalała i po pięciu minutach opróżniono wszystkie półmiski. Dziesięciu ludzi rozdzierało na strzępy gęś albo steki wołowe. Kiedy podano trunki, butelki i kieliszki dosłownie latały w powietrzu. Hałas i gorąco były większe niż na polu bitwy.

Demelza się roześmiała.

– Cóż, tu przynajmniej jesteście na świeżym powietrzu.

O dziesiątej rozpoczął się marsz z pochodniami. Na początku szedł ekscentryczny młody człowiek o nazwisku Sephus Billing. Towarzyszył mu Music Thomas, śpiewający na całe gardło falsetem. Za nimi podążało trzech skrzypków, dwóch z kościelnego chóru, a następnie grupa śpiewających młodych kobiet. Otaczali je młodzi mężczyźni, którzy skakali i machali pochodniami, tworząc kręgi. Niektórzy ludzie twierdzili, że owe kręgi symbolizują orbitę Słońca, lecz chodziło głównie o to, by pochodnie robiły jak największy efekt. Za mężczyznami z pochodniami szło około pięćdziesięciu wieśniaków, którzy gadali, śmiali się i próbowali śpiewać.

Przy ognisku stały trzy cynowe beczki. Wokół wzniesiono coś w rodzaju namiotu, wykorzystując stare stemple górnicze, reje, połamane maszty i deski wyrzucone na brzeg przez morze. Było to marnotrawstwo; za cztery lub pięć miesięcy każda rodzina chętnie zużyłaby to drewno na opał. Ale w tej chwili wszystko wyglądało inaczej. Nikt nie miał ochoty brać drewna. Ponieważ zwyczaj wymagał, by wokół ogniska wisały zielone gałązki, młodzi mężczyźni poszli kilka kilometrów w głąb lądu, gdzie zebrali gałęzie jodeł, głogów, jaworów i wiązów. Ozdobili nimi namiot, aż wyglądał jak ogromny szałas.

Kiedy o zmierzchu zauważono – i usłyszano – procesję z pochodniami, Daisy Kellow, trzymająca pod rękę Clowance, odezwała się do Jeremy'ego:

– Możemy później iść na cmentarz przy kościele?

– Po co? – spytał Jeremy.

– To stary zwyczaj, prawda? Jeśli staniemy koło wejścia do kościoła, zobaczymy dusze ludzi, którzy umrą w ciągu najbliższego roku. Ich cienie po kolei zastukają do drzwi kościoła i wejdą do środka w takiej kolejności, w jakiej umrą.

– Mielibyśmy jakąś korzyść, gdybyśmy ich zobaczyli?

– Nie, ale dodałoby nam to idealnego *frisson*.

Ben Carter stał obok Clowance, lecz nie ośmielał się wziąć jej pod rękę.

– Jest jeszcze jeden przesąd – powiedział. – Podobno dusze wszystkich ludzi wychodzą z ciał i podążają do miejsca, gdzie umrą, na morzu i na lądzie.

– Wydaje mi się to makabryczne – zauważyła Clowance. – Czy nie powinniśmy się zajmować żywymi?

– To dusze żywych ludzi – odparła Daisy. – Właśnie dlatego to takie ekscytujące. Myślę, że gdybym zobaczyła samą siebie przy drzwiach kościoła, zaraz bym zemdlą!

– Zaraz by zemdlą, gdyby zobaczyła samą siebie wchodzącą do kościoła z niewłaściwym chłopakiem! – wtrącił jej brat.

– Paul! Nie wiedziałam, że tu jesteś! To okropne, że się podkradasz i podsłuchujesz! Prowadzimy poważną rozmowę!

– Kiedy Jud był grabarzem, zawsze się skarżył, że przypadkowo wykopuje kości albo czaszki

– powiedział Jeremy. – Mam nadzieję, że po śmierci będę mieć przynajmniej dość miejsca, by się obrócić, gdy ktoś powie o mnie coś złego.

– Po śmierci starszej siostry przez wiele nocy nie mogłam spać, bo wyobrażałam sobie, że leży w zimnej glinie w St Erme – odezwała się Daisy.

– Na jej pogrzebie proboszcz był pijany jak bela – odezwał się Paul. – Zataczał się przed ołtarzem jak marynarz w czasie sztormu.

– Paul, proszę, nie!

Zbliżała się procesja, w mroku widać było żółte półokręgi zakresłane przez pochodnie.

*Raz Robin Hood i Mały John  
Poszli na jarmark – ho-ho!  
A my do lasu pójdziemy dziś  
Spotkać się z nimi – ho-ho!*

– Cóż za piękny widok! – zawołała Daisy. – Szkoda, że nie ma z nami Violet. Uwielbia takie uroczystości.

– Znowu zachorowała?

– Och, ten sam kaszel jak zwykle, lekka gorączka. Ale się kuruje i mama o nią dba. Straciła jedną pasierbicę i boi się o drugą. Nocne powietrze jest takie ciepłe i rześkie, że chyba jej nie zaszkodziło.

*A święty Jerzy rycerzem był  
W chrześcijańskich krajach największym.  
Niech ześle Anglii pokój – ho-ho!  
Niech ześle radość i szczęście...*

Śpiewacy zbliżyli się do ogniska i otoczyli je, niepewnie kołysząc pochodniami. Głosy cichły, przechodząc w pokasływania i chichoty, bo wszyscy zdali sobie sprawę z obecności ziemian. Ross dał znak Samuelowi, który wystąpił i odmówił modlitwę:

– O Panie nasz, Jezusie Chrystusie, dawco prawdziwego światła, który oświecasz każdego człowieka przychodzącego na ten świat, pobłogosław to ognisko. Zapalamy je w pokorze, by uczcić narodziny świętego Jana Chrzciciela. Spraw, by światło Twojej łaski i ogień Twojej miłości przywiodły nas ku Tobie. Twój święty poprzednik ogłosił światu, że przybędziesz jako Zbawiciel, by na zawsze królować w Niebie wraz z Ojcem, jedynym Bogiem. Amen.

Demelza przekonała Caroline Enys, w dużej mierze wbrew jej woli, by została Damą Kwiatów. Kiedy Samuel skończył modlitwę, Ross skinął głową, po czym Music Thomas oraz Sephus Billing przyłożyli pochodnie do zielonej piramidy. Kilkunastu innych wieśniaków poszło za ich przykładem z radosnymi okrzykami, które zdawały się pochodzić z wcześniejszej epoki

niż niedawno odmówiona chrześcijańska modlitwa. Zaniepokojony Samuel zgarbił plecy, ciesząc się, że czuje na ramieniu uspokajający dotyk dłoni Rosiny.

Zanim płomienie dotarły do cynowych beczek, Caroline ruszyła naprzód i wrzuciła do ognia naręczce kwiatów i ziół. Składało się ono z dobrych i złych roślin. W tym przypadku dobrymi były dziurawiec, bez, dąb, koniczyna i naparstnica, a złymi bluszcz, pokrzywa, jeżyna, szczaw i kąkol. Caroline przysięgała, że żadna siła nie zmusi jej do wypowiedzenia dziwnego kornwalijskiego zaklęcia, jednak istniała taka siła na ziemi, która potrafiła ją do tego skłonić. Demelzie udało się załagodzić protesty przyjaciółki, która z ociąganiem nauczyła się zaklęcia na pamięć, choć miała blade pojęcie, co może oznaczać:

*,Otta kelmys yn-kemysks  
Blesyow, may fons-y cowl leskys,  
Ha'n da, ha'n drok.  
Re dartho an da myl egyn,  
Glan re bo dywres pup dregyn  
Yn tan, yn mok!*

Kiedy recytowała zaklęcie, panowała cisza, ale gdy się cofnęła – w samą porę, bo ogień nagle przybrał na sile – widzowie wydali radosny okrzyk i zaczęli tańczyć wokół ogniska. Wysokie, czerwone płomienie upodabniały ich do demonów. Wcześniej już trochę wypito.

Jeremy odetchnął głęboko i spojrzał zmrużonymi oczami na tłum poruszający się w migotliwym świetle. Jedna z osób odchodząca w stronę starej kopalni bardzo przypominała... Wyciągnął rękę, by zwrócić uwagę Clowance, lecz siostra z ożywieniem rozmawiała z Benem i po chwili cofnęła dłoń...

Do tańczących przyłączyło się wiele dziewcząt w najlepszych letnich sukienkach. Trzydziestu lub czterdziestu wieśniaków wzięło się za ręce i utworzyło krąg wokół ogniska. Jeremy ponownie zauważył mężczyznę, lecz po chwili roztopił się on w mroku. Czyżby, jak powiedział Ben, fantom pojawiający się w miejscu swojej śmierci?

Po chwili Ross dotknął ramienia Jeremy'ego i powiedział:

– Ognisko przygasa...

Sztuczne ognie były rzadką atrakcją, której wieśniacy się nie spodziewali, i przez następne dwadzieścia minut Jeremy, Ben, Paul Kellow i Horrie Treneglos odpalali rakiety, race, petardy, ogniste fontanny i węże, czemu towarzyszyły okrzyki i śmiechy zgromadzonych. W środku przedstawienia ognisko się zapadło i w nieruchomym nocnym powietrzu w górę trysnęła fontanna iskier.

Jeremy i Paul sami przygotowali część sztucznych ogni. Umieścili w metalowych miskach mieszaninę chloranu potasu, azotanu strontu, siarki i sadzy, która płonęła jasnym światłem

o demonicznie czerwonej barwie. Kiedy zgasła, zapalono inne miski, w których znajdowała się mieszanka chloranu potasu, chlorku ołowiu, azotanu baru, siarki i żywicy, po czym okolice oświetliło jaskrawe zielone światło. Publiczność oglądała widowisko z zapartym tchem i nagrodziła je huczną owacją.

– Jesteś cudowny! – odezwała się Daisy do Jeremy’ego. – Jak to się nazywa?

– Bengalskie ognie, ale chyba nie są dokładnie takie, jak trzeba.

– Paul mówi, że jesteś geniuszem. Opowiadał mi o eksperymentach w kuźni Harveya.

– Chyba się upił. Nasza praca to ciągle tajemnica! Nie powinien ci nic mówić!

– Clowance wie?

– Nie.

– Więc znam teraz ważny sekret! Cudownie! Nie obawiaj się: nikt się o nim nie dowie.

– Myślę, moje dziecko, że wkrótce ktoś będzie się musiał dowiedzieć, ale na razie, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Naturalnie. Ojciec otwiera nową linię do Penzance, ale Paul jest zafascynowany parą. Uważa, że w przyszłości maszyny parowe zastąpią konie. Ty też tak sądzisz?

– Może za dziesięć lat. Dlaczego nie? – Jeremy nie miał ochoty rozmawiać teraz z Daisy o technice.

– Zamierzasz zostać wynalazcą?

Jeremy znów popatrzył zmrużonymi oczyma na tańczące postacie.

– Och, nie... Jestem człowiekiem praktycznym. Nie wynalazcą. Próbuję zobaczyć przyszłość – ukraść innym ludziom najlepsze pomysły.

– Zabierzesz mnie kiedyś?

– Gdzie?

– Na połów ryb...

– Masz na myśli... nasze wyprawy?

– Oczywiście.

– Cóż, ja...

– Kiedy się dowiedziałam, kilka razy prosiłam Paula, ale się nie zgadza. Mówi, że to nie dla kobiet. Zastanawiam się dlaczego. Twoja matka opowiadała, że w Londynie jeździła maszyną parową – jak ona się nazywała? Uważam, że kobiety mają prawo się interesować nowinkami technicznymi.

Jeremy spojrział Daisy w oczy. Oblizła wargi czubkiem języka i uśmiechnęła się do niego.

– W Hayle jest jeszcze mało do oglądania – powiedział.

– Co tam jest?

– Po prostu części maszyny.

– Powiedz mi.

– Kocioł, kilka kół i tłoków. Stelaż w kształcie łoża. Wysoki komin, z którego w końcu będzie buchać para: puf, puf, puf, puf!

– Jakie to niezwykle!

– Tak. To pomysł Trevithicka. Mówiłem ci, że go ukradłem. Zamiast kondensować parę, maszyna ją wyrzuca, pozbywa się jej.

– Pojazd nie jest jeszcze zmontowany?

– Nie. To trochę potrwa. Odłożyliśmy to na pewien czas i rozmawiamy o normalnej maszynie parowej.

– Ale mogłabym przyjść?

– Jeśli chcesz. Teraz odwiedzam kuźnię oficjalnie, by rozmawiać o maszynie. Nie muszę już łowić ryb. Jediną przeszkodą jest trzydziestopięciokilometrowa podróż.

– Nie mogę się doczekać... – powiedziała. – Nie myśl, że nie potrafię jeździć konno równie szybko jak ty.

– Och, wiem, wiem. Widziałem ciebie i Clowance, jak pędziłyście na złamanie karku po plaży. Dziwne, że nie wpadłyście do wody.

Podeszli do nich Ben i Clowance.

– Pora na ostatnią procesję przed kolacją. Chodźcie!

Wieśniacy wokół ogniska wzięli się za ręce, a Music Thomas i Sephus Billing zawołali: „Oko! Oko!”. Ben i Clowance pociągnęli Jeremy’ego i Daisy w stronę końca korowodu, a troje Treneglosów podążyło za nimi. Procesja oddaliła się od dogasającego ogniska, posuwała się między drzewami, dotarła do Wheal Maiden i do domu modlitwy metodystów, zeszła ze wzgórza w stronę świateł Wheal Grace, gdzie przez cały czas zgrzytała i sapała maszyna parowa. Wieśniacy minęli maszynownię widoczną na tle rozgwieżdżonego nieba, podążyli w dół do Nampary, zeszli na plażę, przedzierając się przez osty i wysokie ślazówki, w dalszym ciągu krzyząc: „Oko! Oko!”. Przeszli plażą niemal do klifów pod Wheal Leisure, a później zatoczyli półokrąg i ruszyli w stronę ogniska dymiącego na wzgórzu.

Dalej koło Nampary, przez strumień, drogą przez las, pozostawiając Wheal Grace po lewej stronie. Na szczycie wzgórza, kilkaset metrów od ogniska, piwa i stołów z jedzeniem, dwaj przywódcy zatrzymali się i utworzyli łuk – „oko” – łącząc ręce nad głowami. Przez to oko musiała przejść cała procesja złożona z sześćdziesięciu kilku ludzi. Znalazszy się po drugiej stronie, rozpierzchli się jak szpaki i pobiegli ku stołom, za którymi czekały matrony.

Enysowie wypili z Poldarkami szklanek piwa i spróbowali szafranowych bułeczek, po czym odjechali z dwiema córkami i guwernantką. Przed odejściem Caroline powiedziała do Demelzy:

– Mam złe wiadomości. Moja ciotka Sarah w końcu przezwyciężyła długoletnią skłonność do omdleń na myśl o odwiedzeniu mnie w dzikiej Kornwalii. Napisała, że przyjedzie za dwa lub trzy tygodnie. Będzie jej towarzyszyć cała świta, moja droga! Przywiezie ze sobą nie tylko



służącego i pokojówkę, ale też pułkownika Hectora Webba, by wokół niej skakał! Clowance poznała pułkownika, gdy mieszkała u nas w Londynie. Moja ciotka, choć wyraźnie się starzeje, nie może się obejść bez dworzanina.

– Pani Pelham to cudowna kobieta – odpowiedziała Demelza. – Z radością znów się z nią spotkam.

– Cóż, możesz być pewna, że się spotkasz. Postaramy się, żebyście mogli gościć tę cudowną – zgadzam się z tą opinią – lecz bezlitośnie światową damę. Nie przypuszczam, by choć raz w życiu dotarła na zachód od Basingstoke... Ale zaczekaj: mam nadzieję, że nie będzie to kolidować z twoją wizytą w Bowood. Kiedy się tam wybierasz?

– Pod koniec lipca. Nic nie jest jeszcze postanowione, Caroline. Nie wiem nawet, czy Clowance naprawdę chce jechać. Jeśli tak, nie miałabym kogo z nią wysłać. Bardzo nam brakuje bliskich krewnych.

– Myślałam, że sama pojedziesz.

– Byłabym poza domem przeszło trzy tygodnie! Co zrobiłby Ross?

– To samo, co robi, gdy cię opuszcza na wiele miesięcy. Clowance nie mówiła, co sądzi o tym zaproszeniu?

– Na razie nie.

– Więc ją spytaj. To przywilej matki.

– Nie drażnij się ze mną. Nawet gdyby zgodziła się przyjąć zaproszenie, jak mogłabym pojechać do dworu wielkich arystokratów? Przecież jestem córką prostego górnika!

– Moja droga, w przeszłości dzielnie zniosłaś wiele ciężkich obowiązków towarzyskich. Jeśli nie pojawisz się przed drzwiami w metalowym kasku z przymocowaną świecą, chyba niczego się nie domyślą, prawda?

– Uważasz to za zabawne, Caroline, ale to wcale nie jest zabawne. Mogłabym popełnić wiele gaf. I bardzo nie chciałabym, by Clowance świeciła za mnie oczami.

– Znacznie bardziej prawdopodobne, że to ty będziesz świecić oczami za Clowance, która ma zwyczaj nie owijać niczego w bawełnę! Mówiąc poważnie, musisz się dowiedzieć, co naprawdę o tym sądzi. Jeśli ma ochotę jechać, powinnaś ją tam zabrać.

– Nie mogłabyś jej towarzyszyć, Caroline?

Tłumy przy długich stołach na kozłach zachowywały się coraz hałaśliwiej. Niektórzy młodzi mężczyźni urządzili zawody w skakaniu przez ognisko.

– Uniemożliwi mi to pani Pelham – odpowiedziała Caroline. – Jeśli Clowance pojedzie, powinnaś jej towarzyszyć, zarówno ze względu na nią, jak i na siebie.

– Przecież lubisz życie towarzyskie!

– Jeśli pojedziesz, ty również będziesz się dobrze bawić. Obiecuję wypożyczyć wam Enid.

– Enid?! Twoją pokojówkę?!

– Tak. Kogóż innego? Nie możecie jechać bez pokojówki. Jestem pewna, że z radością się zgodzi.

– Caroline, wiesz, że nie lubię siedzieć beczynnym, zajmować się robótkami, spacerować po parku i prowadzić uprzejmej konwersacji o ostatniej powieści Waltera Scotta! Teraz, gdy żyjemy w znacznie lepszych warunkach materialnych, podejrzewam, że Ross czasem wolałby, żebym była bardziej wyrafinowana, ale pozostałam taka, jaka się urodziłam. Jest za późno na zmianę.

– Cieszę się, że to słyszę – odparła Caroline.

## II

Festyn dobiegał końca. Zjedzono wszystkie ciastka i kołaczki, opróżniono baryłki z piwem, a stoły i ławy ustawiono pod murem starej kopalni, by znieść je ze wzgórza w świetle dnia. Ognisko, niekiedy podsycane kilkoma gałęziami jodeł albo kawałkami drewna wyrzuconego na brzeg przez morze, wygasło i zmieniło się w masę czarnych węgli. Upieczono większość kartofli (trzy czwarte niecierpliwie wyciągnięto zbyt wcześnie i zjedzono prawie na surowo przy wtórce okrzyków wywołanych poparzeniem palców). Starcy, dzieci i ziemianie poszli spać, lecz część młodzieży, nastolatków i dwudziestokilkulatków w dalszym ciągu kucała wokół ogniska i wygrzebywała ostatnie kartofle. Inni spacerowali w coraz gęstszej ciemności, trzymając się pod rękę: kochankowie, narzeczeni, mężczyźni i kobiety, którzy nagle poczuli do siebie pożądanie. Naturalnie nie robili tego mieszkańcy wioski dbający o opinię i metodyści, a młodzi ludzie byli bacznie obserwowani przez starszych, którzy wskazywali ich sobie, kiwali głowami, szeptali i trącali się w bok ze złośliwymi uśmiechami. Nazajutrz rozejdą się plotki, że Nellie Bunt się puszcza, że Will Parsons wreszcie zainteresował się dziewczętami i że Katie Carter srodze się myli, jeśli sądzi, że zdoła zdobyć Musica Thomasa – powinna jeszcze to przemyśleć.

Grupa przyjaciół Jeremy'ego i Clowance siedziała przy ognisku aż do świtu. Jeremy wypił kilka kufli piwa, wspominał ostatnie spotkanie z Cuby, a później ogarnęły go mdłości. Chętnie poszedłby spać, lecz przyjaciele, śmiejąc się i żartując, skłonili go do pozostania. Horriemu Treneglosowi przypadła do gustu propozycja Daisy i po pewnym czasie poszli przed bramę kościoła w Sawle. Siedzieli na trawie, opowiadali historie o duchach i wprawiali się w nastrój bardziej pasujący do Halloween niż do wigilii świętego Jana. Z miejsca, gdzie przykucnęli, ledwo widzieli kwadratową, pochyłą wieżę kościoła. Niebo nad morzem, pokryte nielicznymi gwiazdami, miało barwę indygo i kobaltu.

W jakiś sposób dobrze się dobrali. Ben promieniał szczęściem, ponieważ towarzyszył Clowance przez całą noc. Jeszcze nigdy nie odnosiła się do niego tak ciepło: subtelnie okazywała, że uważa go za mężczyznę. Jeremy był z Daisy, która robiła postępy. Ból, piwo

i długotrwały smutek sprawiły, że Jeremy zainteresował się wesołą dziewczyną – doskonale rozumiał, że natychmiast by mu się oddała, gdyby tylko wykonał pierwszy krok. Horrie Treneglos przygruchał sobie Letitię Pope, niezbyt urodziwą, ale wyraźnie się tym nie przejmował. Paul Kellow wybrał ładną Maud. Paul, pozujący na ziemianina – choć nie należał do tej sfery – słono zapłacił masztalerzowi, by czekał przy bramie Trevaunance House i „zabrał jego podopieczne do domu”. Agnecie Treneglos towarzyszył syn zarządcy jej ojca. Dwaj młodszy bracia Agnety zniknęli z dwiema dziewczętami z wioski.

Nikt nie wiedział, która jest godzina, nikogo to jednak nie obchodziło. Paul świetnie się bawił, strasząc Maud i przyprawiając ją o gęsią skórę. W końcu zaprowadził swoją partnerkę na przykościelny cmentarz. Usiedli na omszałym nagrobku i Paul zaczął szeptać jej do ucha okropną historię. Odepchnęła go, później się roześmiała, po czym oświadczyła, że wcale się nie boi – po prostu połaskotały ją jego wargi, które dotknęły jej policzka. Reszta towarzystwa również chciała usłyszeć okropną historię; po chwili siedzieli na nagrobkach, rozmawiali i szepotali.

– Tak naprawdę nie wierzę w stare bajki o zgniłych trupach powracających do życia – rzekł Ben do Clowance. – Nie jestem zupełnie przekonany, że po śmierci znajdziemy się w innym świecie, ale na pewno różniłby się od naszego. Nie wierzę, że martwi powstaną z grobów.

– Niedowiarę z ciebie, Ben. A jednak to ty, nie kto inny, mówiłeś, że w wigilię świętego Jana ludzkie dusze opuszczają ciała i pojawiają się w miejscach, gdzie ich właściciele mają umrzeć.

– Mówiłem o tym, ale to nie znaczy, że w to wierzę. Tak samo jak nie wierzę w opowieść panny Daisy, że widma pojawiają się przed wejściem do kościoła, by pokazać, kto w tym roku umrze. Moim zdaniem to gadki starych bab. Uważasz, że to prawda?

– „O Horacy, więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie...”<sup>4</sup> – odezwała się Clowance.

– Co masz na myśli?

– To cytat ze sztuki, którą przerabialiśmy w szkole, Ben. Wszystkie dziewczęta okropnie się myliły, gdy go przytaczały.

– Nigdy cię nie pytałem, czy podobało ci się w Londynie – rzekł po chwili.

– Raczej tak. Ale brak tam powietrza. I jest zbyt wielu ludzi, którzy chcieliby nim oddychać. Za dużo domów, sklepów, zbyt wiele wozów, karet, koni i... och, wszystkiego.

– Chciałabyś tam mieszkać?

– To bardzo dziwny świat – odparła Clowance. – W Londynie ludzie nie piją mleka, tylko dodają je do kawy i herbaty w bardzo małych ilościach. Wczesnym rankiem przychodzą mleczarki. Mają nosidła na barkach, dzwonią do każdych drzwi i sprzedają mleko i śmietankę. Chociaż wszyscy się budzą, nie wstają z łóżek aż do dziesiątej i nawet wtedy w domu panuje prawie całkowita cisza. Zamożni ludzie zaczynają życie o trzeciej lub czwartej po południu, po

czym nie śpią prawie do rana.

– Robią z nocy dzień – zauważył Ben.

– Tak, jeśli w ogóle jest jakiś dzień. Byłam tam w najzimniejszej porze roku i nad miastem wisiała wielka chmura dymu z pieców i kominków. W południe czasem trudno dostrzec drugi koniec ulicy, a jeśli jakimś cudem pokazuje się słońce, jest złotożółte jak gwinea. W powietrzu latają płatki sadzy i błyskawicznie brudzą ubrania.

– Chyba lepiej się czujesz w Namparze – powiedział Ben.

Clowance ziewnęła.

– Sama nie wiem, co czuję. Z wyjątkiem tego, że jestem śpiąca, oto co czuję. Niedługo zacznę chrapać. A jednak doczekam do świtu. Ile jeszcze czasu zostało, jak myślisz?

– Może godzina – odparł z zadowoleniem Ben. – Słońce wstanie za jakieś dwie godziny. W tej chwili jest najciemniej.

Jeremy siedział po turecku na dalszym wzgórku i słuchał, jak Daisy wesoło opowiada o zabawie w Redruth, na którą wszyscy przyszli przebrani za zwierzęta. Jeremy'ego i Daisy oddzielał od reszty grupy wysoki prostokątny pomnik wzniesiony w roku bitwy pod Trafalgarem na grobie sir Johna Trevaunance'a; w istocie znajdowali się najbliżej zarośniętej ścieżki prowadzącej do kościoła. Ciemność, odosobnienie i magiczny urok święta podziały na Jeremy'ego. Daisy była ubrana na białą, na lekką wełnianą sukienkę narzuciła długą płócienną mantylkę, co nadawało jej eteryczny wygląd. Jej oczy lekko lśniły nawet w ciemności, miała smukłą, owalną twarz, mówiła wesołym, miłym tonem. Wyglądała znacznie ładniej niż Cuby. Była bystrzejsza, radosna, ożywiona. Do diabła z Cuby!

W sercu Jeremy'ego nagle rozpętało się piekło. Uklęknął obok Daisy, objął ją i zaczął całować. Na początku, zdziwiona, wydała cichy okrzyk, lecz później odwzajemniła pocałunek młodego Poldarka i przytuliła się do niego. Piękne czarne włosy rozsypały jej się na ramionach. Oboje przeżyli wyjątkowo przyjemne doświadczenie seksualne.

Po minucie lekko odepchnęła Jeremy'ego, on zaś przestał ją przyciągać ku sobie, ale w dalszym ciągu byli dość blisko.

– Jeremy! – odezwała się. – Ach, Jeremy! Zaskoczyłeś mnie! Zupełnie się tego nie spodziewałam! Nie przypuszczałam, że o tym myślisz! Zdziwiłeś mnie, zaniepokoiłeś!

– Noc świętojańska – odparł Jeremy. – Dlaczego zostawiać wszystko duchom?

Popatrzyła na niebo.

– Jest już dzień świętego Jana. Od godziny albo dłużej.

Czuł miękką krągłość ramion Daisy. Lekki wiatr ustał i powietrze było nieruchome.

– Przestraszyłeś mnie, Jeremy... – szepnęła. – Byłeś taki... namiętny. O mało nie posiniaczyłeś mi warg.

– Mam nadzieję, że tego nie zrobiłem.

– Bardzo mnie przestraszyłeś. Ciągłe mocno bije mi serce. Sam zobacz.

Ujęła jego rękę i przyłożyła do dekoltu. Niby przypadkiem spoczęła ona na piersi. Daisy roześmiała się cicho.

– Nie, niżej. Chyba nie wiesz, gdzie mam serce...

– Czuję, jak bije, ale bardzo słabo – odparł Jeremy.

Delikatnie przysunęła się do niego, nadstawiając usta. W zupełnej ciszy nagle poczuli chłodny powiew. Znieruchomieli. Daisy spojrzała nad ramieniem Jeremy’ego i w jej oczach pojawił się strach. Odwrócił się powoli i popatrzył. Chociaż jedynym źródłem światła były gwiazdy i lśniące morze, mieli oczy przyzwyczajone do ciemności i widzieli cmentarz.

Zbliżała się do nich Violet Kellow, chora siostra Daisy, prawie płynąc w powietrzu. Szła bezgłośnie po trawie obok ścieżki. W odróżnieniu od Daisy nosiła ciemny strój i ciemną pelerynę. Ale nie można było nie poznać jej chodu, twarzy, długiej, smukłej dłoni przyłożonej do szyi. Minęła ich w odległości dziesięciu metrów i podążyła w stronę ganku kościoła.

Szedł za nią równie cicho Stephen Carrington z jasną głową widoczną na tle gwiazd.

## *Rozdział czwarty*

### I

Wielu mieszkańców wiosek Sawle i Grambler miało nazajutrz ciężkiego kaca. Młodzież wolałaby się czuć lepiej, a starsi byli niezadowoleni z życia z bardziej prozaicznych powodów. Mimo to wszyscy się zgadzali, że zabawa była znakomita i że jeszcze nigdy nie spędzili tak udanej nocy świętojańskiej.

W wioskach plotkowano o powrocie Stephena Carringtona do Sawle. Pojawił się w szynku wdowy Tregothnan około ósmej wieczorem dwudziestego trzeciego czerwca. Rozmawiał z właścicielką, Tholly Tregirlsem i pozostałymi klientami, poznał najświeższe plotki. Odpowiadając na pytania wieśniaków, oznajmił, że dwa dni wcześniej wylądował w St Ives. Wyraził nadzieję, że znów zamieszka u Willa Nanfana, aż znajdzie stałe lokum. Dowiedziawszy się o nocnym festynie przy ognisku, spytał, czy może przyjść. Jak zwykle szastał pieniędzmi w szynku Sally-Na-Rozgrzewkę. Choć mógł mieć rozmaite wady charakteru, z pewnością nie był skąpy.

Na nieszczęście dla jego zalotów – jeśli zamierzał je kontynuować – Clowance również zauważyła jego pojawienie się na cmentarzu. Chociaż wszystko miało dziwaczny, fantasmagoryczny charakter, nie wierzyła, że to duch Stephena podąża za duchem Violet do drzwi kościoła.

Był to ogromny wstrząs dla Clowance – nie w sensie moralnym ani nadprzyrodzonym, bo przerażenie szybko ustąpiło miejsca palącemu gniewowi – lecz po prostu fizycznym. Widok Stephena przyprawiał ją o szybsze bicie serca. Ta reakcja była dla niej czymś w rodzaju objawienia, dość przerażającego, zwłaszcza w kontekście niewłaściwych zachowań Stephena. Jeśli kobieta uważa, że się zakochała, a jej fizyczne reakcje to potwierdzają, nie jest to przykre, niezależnie od przeszkód i komplikacji. Jeżeli jednak mężczyzna nie jest nią zainteresowany i stara się o względy innej kobiety, a ciało zakochanej dziewczyny i tak drży na jego widok, to znalazła się w dolinie mroku. Udręczona, śmiertelnie go nienawidzi, nie może znieść jakiegokolwiek wzmianki na jego temat, nie chce go oglądać. Jej miłość przypomina wypatroszone zwierzę i życie staje się prawie niemożliwe do wytrzymania.

Tej nocy Daisy o mało nie zemdląła. Mniej sceptyczna od Clowance, najpierw uznała siostrę za widmo zapowiadające jej przedwczesną śmierć. Nawet później nie była w stanie zapomnieć

o przesądzie, że jeśli stanie się koło wejścia do kościoła, zobaczy się dusze ludzi, którzy umrą w ciągu najbliższego roku. Chociaż bardzo pragnęła zdobyć Jeremy'ego, jej zdaniem dwoje ludzi idących między zrujnowanymi nagrobkami zniweczyło szansę, by wypowiedział oczekiwane słowa. Jeremy, który nie był głupcem, jeśli chodzi o dziewczęta (nie licząc Cuby), częściowo to rozumiał i czuł sympatię do Daisy. Gdy myślał o całej sytuacji, doskonale rozumiał, że nastrój wigilii świętego Jana mógłby go skłonić do nierozważnych zachowań, z których później trudno byłoby się wycofać. Odpowiednia chwila minęła, lecz współczuł Daisy; wydawała mu się miła.

Późnym wieczorem dwudziestego czwartego czerwca Jeremy pojechał z ojcem do Truro na spotkanie z Johnem i Horriem Treneglosami i podpisali umowę, która sprawiła, że Wheal Leisure znów stała się czynną kopalnią. W ciągu ostatniego miesiąca, gdy nie padał deszcz, pogłębili kopalnię o dziesięć sążni, korzystając z prowizorycznych pomp napędzanych przez muły, by obniżyć poziom wody. Wyraźnie widzieli oznaki dobrych złóż miedzi, ale nie można było odsłonić złoża bez stopniowego rozbijania kolejnych żył.

Przed podjęciem ostatecznej decyzji o kontynuowaniu prac dwaj młodzi ludzie odbyli kilka spotkań z ojcami. Konsultowano się z doświadczonymi górnikami, takimi jak Zacky Martin i Ben Carter – choć Ross kilka razy zastanawiał się przesądnie, czy, mimo pozornej ostrożności, nie zdecydował się rozpocząć przedsięwzięcia zbyt szybko po tym, jak mu je zaproponowano. Widok nieczynnej kopalni na szczycie klifu w pobliżu Nampary irytował go nieco mniej niż wtedy, kiedy działała pełną parą jako własność Warlegganów. Kości zostały rzucone.

Notariusz, młody człowiek o nazwisku Barrington Burdett, dopiero niedawno wywiesił mosiężną tabliczkę na Pydar Street, ale Ross zdążył go już poznać i polubić, więc poszli właśnie do niego. Kapitał spekulacyjny zainwestowany w Wheal Leisure podzielono na trzydzieści sześć części. Ross i John Treneglos objęli po pięć udziałów, Jeremy i Horrie tyle samo, a pozostałe szesnaście udziałów zamierzano sprzedać zainteresowanym inwestorom. John uważał, że należy rzucić na rynek jeszcze więcej akcji, lecz Ross miał przykre wspomnienia z czasów, gdy stał się mniejszościowym udziałowcem, i nalegał, by zachowali pełną kontrolę. W tej chwili kupujący mieli płacić dwadzieścia funtów za każdą akcję i za trzy miesiące dopłacić kolejne dwadzieścia funtów. Ponieważ ani Jeremy, ani Horrie nie dysponowali własnymi pieniędzmi, inwestycja oznaczała duży wydatek dla ich rodziców. Warlegganowie w końcu rozstali się z kopalnią za czterysta funtów. Przyziemny pan King z Banku Kornwalijskiego zauważył, że będzie musiał pokryć koszty inwestycji pana Treneglosa, ponieważ John, chociaż posiada majątek ziemski, zawsze tonie w długach, ale Ross był udziałowcem banku i King nie mógł być tak przyziemny, jak by sobie tego życzył.

Zjedli obiad w gospodzie Pod Białym Jeleniem. Jeremy i Horrie próbowali nie zasnąć, a John wypił za dużo. Ross lubił wino i brandy, jednak zwykle zachowywał wstrzemięźliwość, gdy

przebywał poza domem i czekała go dwugodzinna jazda do Nampary. W istocie niezbyt przepadał za Johnem Treneglosem. W młodości wraz z Francisem toczył bójki z Johnem i jego braćmi, była to długotrwała chłopięca waśń. Stary Horace, ojciec Johna, odznaczający się serdecznością i dobrocią, studiował literaturę grecką, lecz jego synowie okazali się grubiańskimi pijakami i miłośnikami polowań. Dwadzieścia cztery lata wcześniej niezgrabny John, który zawsze poządlwie zerkał na Demelzę, poślubił Ruth Teague, zawsze poządlwie zerkającą na Rossa, co nie ułatwiło stosunków obu rodzin. Ruth odnosiła się złośliwie do Demelzy, a John przysięgał, że niegdyś, podczas osławionego balu u Bodruganów, o mały włos nie skłonił Demelzy do pójścia do łóżka, lecz w ostatniej chwili pokrzyżowali mu szyki stary Hugh Bodrugan oraz przekłety Szkot McNeil, obaj mający taki sam zamiar.

W tysiąc osiemset drugim roku odbył się pamiętny obiad, gdy nocowali w tym samym domu, a John zaproponował Rossowi, by zamienili się żonami. Oświadczył, że w Kornwalii z trudem można znaleźć apetyczną kobietę, z wyjątkiem nielicznych wiejskich dziewczuch lub ladacznic z Truro. Chociaż nigdy nie zawiódł swojej małej Ruthie, każdy człowiek ma czasem prawo do odmiany, czegoś nowego, co jest zupełnie nieszkodliwe. Jeśli idzie o Ruth, byłby gotów się założyć, że nie będzie miała nic przeciwko takiej zamianie. Kiedyś przed laty doszło między nim a Ruth do kłótni, prawdziwej awantury, bo położył się do łóżka w bryczesach do jazdy konnej. Ruthie oświadczyła wtedy, że już nigdy więcej nie chce widzieć męża, bo zaledwie kilka kilometrów dalej, za polami i wydmami, mieszka Ross. A pani Poldark kilkakrotnie jasno dawała do zrozumienia, że uważa Johna za przystojnego, jurnego mężczyznę, on zaś gwarantuje, że dostarczy jej ogromnego zadowolenia. Niektóre kobiety mówią, cóż, mogę ci to zdradzić, stary przyjacielu, że jestem gorący jak pogrzebacz...

Ross odrzucił ofertę, po czym wspiął się po schodach, by opowiedzieć o niej Demelzie. Była oburzona.

– Przecież wiesz, że zawsze bardzo mi się podobał, Ross. Jak mogłeś odmówić?! Moglibyśmy jutro wszystko porównać, pomyśl tylko!

Jednak z upływem czasu namiętności słabły, dzieci dorastały, a ponieważ w okolicy było niewiele sąsiadów, Poldarkowie i Treneglosowie stopniowo spędzali coraz więcej czasu w swoim towarzystwie. Piaskowe włosy Johna posiwiały, zrezygnował z uprawiania sportów na wolnym powietrzu, jego głęboko osadzone oczy rzadko były całkowicie otwarte, jakby spędził zbyt wiele czasu na wypatrywaniu lisów pod słońce. Ruth, otoczona gromadką dzieci, czasami odwiedzała Demelzę i nawet zapraszała ją na herbatę, by prosić o rady w sprawie Agnety, która sprawiała kłopoty.

A teraz wznowiła działalność Wheal Leisure, kopalnia założona przez Rossa przeszło ćwierć wieku wcześniej. Sporządzono oficjalny dokument opisujący podział akcji i wysokość kapitału zakładowego, po czym czterech mężczyzn pojechało konno do domu. Było wietrzne, pochmurne



popołudnie, choć o wschodzie słońca panowała piękna pogoda. Podążali dwójkami, Horrie i Jeremy sto metrów z przodu.

Młodzi ludzie zjedli solidny posiłek i wypili sporo piwa. Byli zadowoleni z porannych dokonań, lecz nie mieli sobie nic do powiedzenia. Instynktownie odnajdywali drogę, starając się nie zasnąć. Ojcowie byli bardziej rozmowni, zwłaszcza John, choć czasami chwiał się w siodle i dwa razy o mało nie zgubił kapelusza.

– Do licha, co za bezczelne kreatury! – rzekł. – Ten cały King w twoim banku! Zastanawiam się, po co go trzymasz. Zachowywał się, jakby wypłacał własne pieniądze wydobyte spod łóżka. Myślałem, że masz w swoim banku grzeczniejszych zarządców, którzy znają swoje miejsce.

– Nie jestem jedynym udziałowcem banku, John – odparł Ross. – Gdyby zaufanie klientów zależało tylko ode mnie, natychmiast wybuchłaby panika i jutro musielibyśmy zawiesić wypłaty.

Trenglos prychnął i zakołysał się w siodle.

– Co to za plotki o Warlegganie? Na Boga! Warlegganowie w kłopotach finansowych?! Wydaje się to niemożliwe. Niech mnie diabli, oczywiście nie miałbym nic przeciwko temu, bo skrzywdzili wielu prostych ludzi.

– George zaangażował się w niebezpieczne spekulacje, bo miał nadzieję, że wojna szybko się skończy. Moim zdaniem niewiele brakowało, by zbankrutowali. Bankowość opiera się głównie na zaufaniu i panika wybuchła za późno. Skutkiem jest ich fuzja z bankiem z Plymouth. Są teraz względnie bezpieczni.

– Przypuszczam, że dlatego kupiliśmy tanio kopalnię. Nigdy nie sądziłem, że to się uda. Pojechałem tylko dlatego, że Ruth i Horrie bez przerwy mnie zamęczali.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Masz kłopoty ze swoim synem? – spytał John, kiwając głową w stronę jeźdźców na przedzie. Kapelusz opadł mu na oczy.

– Kłopoty?

– Mam na myśli romanse z dziewczętami. Nigdy nie miałem romansów przed poznaniem Ruth. Horrie romansuje w całym hrabstwie. – Trenglos poprawił kapelusz. – Mam nadzieję, że nie zainteresuje się poważnie córką Pope'ów. Brak im klasy, a ojciec jest zadufany w sobie i wygląda, jakby miał za chwilę pęknąć. Horrie był z nią wczoraj wieczorem, prawda?

– Nie wiem. Wszyscy siedzieli przy ognisku. Zdaje się, że Jeremy rozmawiał głównie z Daisy Kellow.

– Hm... Też niezbyt dobra partia, prawda? Choć przynajmniej ładna i miło byłoby ją pomacać.

Ross spojrział na towarzysza i nowego współnika. Szkoda, że to nie kuzyn Francis. Przed wielu laty Francis zginął w Wheal Grace, co stało się przyczyną nowych konfliktów między Rossem a George'em Warlegganem.

– Jeremy ostatnio bardzo się interesował jedną z córek Trevanionów, ale nic z tego nie wyszło – rzekł pod wpływem impulsu.

– Trevanionów? Tych z Caerhays?

– Tak.

John popatrzył na niebo.

– Do licha, będzie padać. Nigdy nie da się przewidzieć pogody w tym przeklętym hrabstwie. Jest kapryśna jak kobieta... Coś poszło nie tak?

– Jeremy się zakochał, ale sprzeciwił się brat dziewczyny. Major Trevanion, znasz go.

– Oczywiście, że go znam. Jesteśmy spokrewnieni.

– Tak?

– Dość odległa koligacja. Moja kuzynka Betty poślubiła jego stryja. Mają dwór w pobliżu Callington. Betty Bettsworth. Głupie nazwisko, prawda? – John serdecznie się roześmiał, a jego kapelusz znów się zakołysał.

– Cóż, twój major Trevanion wyraził sprzeciw, a wygląda na to, że to on rządzi całą rodziną.

– O tak, rządzi, naturalnie. Ale nie jest żadnym moim majorem. Widuję go zaledwie dwa razy do roku. Częściej spotykałem jego brata, gdy służyłem w milicji. Nigdy nie byłeś w milicji, prawda? Służył w niej jego brat, więc się stykaliśmy. Większość tej zabawy to głupia farsa.

Za kilka minut powinni dojechać do rozstajów dróg. Gdyby Ross zaprosił Johna na herbatę, Treneglos prawdopodobnie by nie odmówił, ale doprawdy, w jego obecnym stanie...

– Cóż, oczywiście – rzekł Treneglos. Zgubił strzemień i znów je odnalazł. – Rozumiem, o co chodziło Johnowi.

– Słucham? Co masz na myśli?

Treneglos uniósł brew, słysząc ton głosu Rossa.

– Twojemu synowi niczego nie brakuje. Po prostu nie chcę wydać córki za Poldarka.

– Jak rozumiem, ten dżentelmen uświadomił mojemu synowi, że genealogia Trevanionów sięga tysiąc trzysta trzynastego roku – rzekł lodowato Ross. – Na szczęście Jeremy miał dość przytomności umysłu...

Treneglos przerwał, śmiejąc się chrapliwie.

– Nie o to chodzi, człowieku... Znasz mnie i znasz moją rodzinę. Wywodzi się od Roberta z Mortain i sir Henry'ego de Tyes. Nie mamy informacji o wcześniejszych przodkach. Nic o nich nie wiadomo! Myślisz, że Trevanion chciałby, by Horrie został jego zięciem? Naplułby mu w twarz! Nie potrzebuje genealogii, tylko pieniędzy!

– Cóż, obie rzeczy są ważne...

– Nie, nie, nie o to chodzi. Ten szaleniec jest bliski bankructwa. Wydał fortunę na ten przeklęty zamek – nie jest w stanie go wykończyć, nie stać go na płacenie robotnikom ani zakup materiałów budowlanych. I gra na wyścigach konnych. Od lat sprzedaje ziemię. Dwa lub trzy

lata temu mój szwagier, bankier z St Austell, kupił od niego trzy parcele w pobliżu Tregony, w St Erme i Veryan. Zaciąga na prawo i lewo pożyczki hipoteczne, pozbywa się majątku należącego do rodziny od bitwy pod Bosworth. W tej chwili zupełnie nie wie, co dalej robić. Gdyby zdołał wydać jedną z siostr za bogacza, który udzieliłby mu pomocy, nie interesowałby się jego pochodzeniem. Daj Jeremy'emu dwadzieścia tysięcy funtów i będzie najbardziej pożądanym kandydatem na męża w Wielkiej Brytanii!

Z przodu dwaj młodzi ludzie zatrzymali się przy rozstajach dróg. W lewo skręcało się do Killewarren, gdzie mieszkali Dwight i Caroline Enysowie, w prawo biegła droga prowadząca wzdłuż posiadłości Bodruganów, która omijała szerokim łukiem Mellin i docierała do dworu Mingoose.

John Treneglos niezręcznie ściągnął wodze i wybuchnął śmiechem.

– Tak czy inaczej, Jeremy ma do wyboru mnóstwo innych dziewcząt. Nie powinien się zenić za wcześnie. Kiedy Ruth mnie złapała, miałem prawie trzydzieści lat. Gdybyś doszedł do wniosku, że jedna z moich córek się nadaje – Agneta, Faith albo Paula – po prostu daj mi znać! Może Jeremy z czasem dorobi się majątku? Horrie mówi, że to geniusz.

– Kto, Jeremy?

– Tak mówi Horrie. Jeździ dwa razy w tygodniu do kuźni Hayle'a uczyć się o maszynach parowych. Zaproponował, że zbuduje maszynę, prawda? To znaczy zaprojektuje. Horrie twierdzi, że Jeremy ma mnóstwo pomysłów. Czy ty albo ja dokonaliśmy czegoś podobnego? Masz jakieś pojęcie o kotłach parowych? Niech mnie diabli porwą, jeśli coś z tego rozumiem. Wątpię, czy Horrie się na tym zna, ale jeździł do Hayle'a z Jeremym, Paulem Kellowem i młodym Benem Carterem. Cztery razy korzystali z twojej przeklętej łodzi rybackiej. Zdaje się, że Jeremy odwiedza kuźnię od przeszło roku. Na pewno doskonale o tym wiesz. Powtórz ode mnie chłopakowi – powtórz ode mnie chłopakowi, że na świecie jest wiele frymuśnych spódniczek i że można się obejść bez bladych siostr Trevaniona.

## II

Z rozstajów nie było drogi biegnącej bezpośrednio do Nampary, ale po przeskoczeniu kilku niskich żywopłotów i przejściu pluskającego strumienia można było dotrzeć do nierównego wrzosowiska, następnie do stróżówki i do posiadłości Poldarków.

Jeremy na pewien czas otrząsnął się z senności i poczuł się trochę lepiej. Żał z powodu Cuby znalazł się po drugiej stronie muru, który pracowicie zbudował wokół siebie. Był on kruchy i mógł pęknąć pod najlżejszym naciskiem, ale w tej chwili młody człowiek myślał o kopalni, swoich udziałach i pracy czekającej po porannym podpisaniu dokumentów w obecności

Barringtona Burdetta. Kiedy myślał o kwestiach bardziej osobistych, przypominała mu się wczorajsza noc i ogromne podniecenie, gdy całował i tulił inną dziewczynę. Wiedział, że w każdej chwili znów mógłby to zrobić. Może następnym razem nie pojawiłoby się widmo, które powstrzymałoby ich od posunięcia się trochę dalej. I jeszcze dalej. I jeszcze dalej. Mógłby poznać ciało młodej kobiety.

Ojciec jechał obok w milczeniu, ale ponieważ nigdy nie był zbyt rozmowny, chyba że w obecności żony, Jeremy nie uważał tego za dziwne.

– Często wspominałeś o możliwości zaprojektowania maszyny do kopalni – odezwał się nagle Ross.

– Tak, ojcze.

– A ja zawsze odkładałem tę sprawę na później, mówiąc, że to trzecia kwestia, którą trzeba się zająć, i że nie ma sensu o niej mówić przed rozwiązaniem pozostałych dwóch problemów. Cóż, teraz się z nimi uporaliśmy.

– Tak, ojcze.

Ross spojrział na syna. Obserwował go długo i uważnie.

– Rozumiem, że prowadziłeś praktyczne studia nad budową maszyn parowych, nie tylko teoretyczne.

– Kto ci to powiedział?

– Ty sam. Kiedy pierwszy raz o tym rozmawialiśmy.

– Naprawdę? – odparł nieszczerze Jeremy. – O tak, naturalnie. Zapomniałem.

– Pamiętasz, wspomniałem wtedy, że muszę wierzyć w twoją umiejętność zaprojektowania odpowiedniej maszyny, nim się na to zgodzę. Jest oczywiste, że jeden błąd może nas kosztować więcej niż wszystkie oszczędności wynikające z rezygnacji z usług jakiegoś uznanego inżyniera.

– Owszem. Tak mówiłeś.

– I?

– Całkowicie się z tobą zgadzam, ojcze. Problem polega na tym, czy, gdy już zbadałeś sprawę, uważasz, że warto podejmować ryzyko.

– Potrafisz mnie o tym przekonać?

– Mogę próbować... – Jeremy się zawahał. – Moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli przyniosę ci plan, projekt. Możesz nie chcieć podejmować decyzji, nie zasięgając czyjejś opinii. Jestem gotów się na to zgodzić.

Jechali dalej.

– Jak zdobyłeś tak dużą wiedzę? – spytał Ross.

Jeremy się zawahał.

– Widuję górnicze maszyny parowe od chwili, gdy nauczyłem się chodzić.

– O tak, ogólnie. Ale...

– Doradzał mi Peter Curnow. A także Aaron Nanfan, który, jak wiesz, był przez dwadzieścia lat mechanikiem w Wheal Anna. I oczywiście omawiałem projekt z Henrym Harveyem z Hayle. Przedstawił swoje sugestie. Nie jest to tylko... kaprys.

– Nie uważam tego za kaprys.

Jeremy zmagał się z niechęcią do mówienia o rzeczach, które wcześniej utrzymywał w sekrecie.

– Pomagał mi też doktor Enys... wuj Dwight.

– Dwight? W jaki sposób, u licha?!

– Kupił *Encyklopedię Reesa*, gdy się ukazała. Regularnie ją od niego pożyczałem.

– Słyszałem o niej, ale nie wiem nic więcej.

– Wydaje ją doktor Abraham Rees. Nie jest jeszcze kompletna, ale opublikowano wiele użytecznych artykułów.

– Nigdy nie widziałem, żebyś ją czytał.

– Robiłem to w sypialni, w łóżku. Łatwiej było mi się skupić.

Ross uważnie spojrzał na syna.

– Oczywiście czytałem również inne prace – ciągnął Jeremy. – *Traktat o mechanice*. Kilka lat temu opublikowano osobno jego część, *O maszynach parowych*. Napisałem do autora, doktora Gregory'ego. Od tamtej pory regularnie korespondujemy. Kilka razy pisałem również do doktora Trevithicka.

– Trzymałeś to wszystko w wielkiej tajemnicy – powiedział Ross.

– Przepraszam...

– Widziałeś Trevithicka po jego powrocie do Kornwalii?

– Nie. Jeździłem dwa razy, ale niestety nie zastałem go w domu. Za to rozmawiałem z Arthurem Woolfem.

– Woolfem?

– Wspominałem o nim, pamiętasz. Odwiedziłem go i okazał się... bardzo pomocny. Udzielił mi wielu rad. Początkowo... Mam mówić dalej?

– Naturalnie.

– Kilka miesięcy temu zamierzałem zaprojektować maszynę opartą na nurniku Trevithicka. Wydaje się upraszczać konstrukcję i znacznie zmniejszać liczbę części. W dalszym ciągu uważam to za znakomity pomysł, ale Woolf przekonał mnie – podobnie jak pan Sims z Gwennap, którego również odwiedziłem i który ma chyba największe doświadczenie praktyczne – że to konstrukcja nadmiernie uproszczona. Obaj mają podobne zdanie. Tłok zbyt szybko się zużywał wskutek działania warunków atmosferycznych, a brak kondensatora wywołuje nadmierną utratę pary. Biorąc to wszystko pod uwagę... Rozumiesz mnie, ojcze?

– Trochę, tak.

– Woolf i Sims są rywalami Trevithicka, lecz ich argumenty wydają mi się zbyt przekonujące, by je ignorować. Dlatego mam nadzieję zaprojektować tradycyjną maszynę z wysokociśnieniowym kotłem i wszelkimi udoskonaleniami, które wypróbowano i przetestowano.

– Ci dwaj dżentelmeni zdradzali ci wszystkie swoje sekrety.

Jeremy krótko się zaśmiał.

– Wręcz przeciwnie. Starają się trzymać je w tajemnicy, lecz obaj mają działające maszyny parowe, które można obejrzeć, i wykorzystałem twoje nazwisko jako wpływowego właściciela kopalni.

– Innymi słowy, myśleli, że zamierzasz im zlecić zaprojektowanie maszyny?

– Nie jestem pewien, co myśleli. Nigdy nie złożyłem żadnej propozycji. Rozstaliśmy się w przyjaźni.

– Nie dojdzie do naruszenia patentu?

– Nie... Zgodziłem się zapłacić Woolfowi honorarium za konsultację. Ale prawdopodobnie nie będzie zbyt wysokie.

Jechali w stronę Nampary. Padał coraz silniejszy deszcz.

– Kiedy przyjdzie pora złożyć zamówienie – rzekł ostro Jeremy – zgadzam się nie forsować swoich projektów, jeśli po ich przeanalizowaniu uznasz, że są niedobre, albo postanowisz nie ryzykować. Mnie również zależy na sukcesie przedsięwzięcia.

– Kto idzie od strony Wheal Grace? – spytał Ross.

– Boże... to Stephen Carrington. Pojawił się zeszłego wieczoru. Pamiętasz, wspominałem o tym.

– Doskonale pamiętam.

– Ciekawe, czy wraca z Nampary.

Stephen szybko podążał w ich kierunku. Deszcz nie popsuł mu humoru. Uśmiechnął się, pomachał ręką, przeskoczył przez murek i zbliżył się do dwóch jeźdźców.

– Jeremy! Cieszę się, że cię widzę! Myślałem, że zastanę cię w kopalni.

– Miło, że się spotykamy, Stephen. – Uścisnęli sobie dłonie. Jeremy zsiadłby z konia, lecz Stephen zbyt szybko stanął obok niego. – Nie, byliśmy w Truro. Ojciec, chciałbym ci przedstawić Stephena Carringtona. To mój ojciec, kapitan Poldark.

Ross i Stephen uścisnęli sobie ręce. Carrington miał mocny uścisk dłoni, niemal za mocny.

– Wiele o tobie słyszałem od członków swojej rodziny – rzekł przyjaźnie Ross.

– Wszystko dzięki pana synowi – odparł Stephen. Kiedy Ross spojrział na niego pytająco, dodał: – Jeremy uratował mi życie. Wyciągnięto mnie z morza jak zdychającą rybę.

– Dramatyczne, lecz niezbyt ściśle – rzekł Jeremy. – Byłeś w kiepskim stanie, ale leżałeś na tratwie, którą zalewały fale. Po prostu przenieśliśmy cię na lepszą łódź i przewieźliśmy na brzeg.

– A dwie damy z Nampary tak dobrze się mną opiekowały, że wróciłem do zdrowia. Jakkolwiek na to patrzeć, jestem państwa wielkim dłużnikiem, sir.

– Niewątpliwie znajdziesz jakiś sposób, by spłacić dług – odparł Ross. – Znów odwiedziłeś nasz okręg?

– Obiecałem, że wrócę, sir. Przyrzekłem to sobie i innym. Ale czy na krótko, czy na długo, to się okaże.

– Wracasz z Nampary? – spytał Jeremy.

– Nie. Dowiedziałem się, że głowa rodziny przebywa w domu, i doszedłem do wniosku, że stosowniej byłoby poprosić o pozwolenie, skoro się nie znamy.

– Dobry Boże, bardzo to taktowne z twojej strony – rzekł Ross. – Naturalnie możesz odwiedzać Namparę, kiedy chcesz. Ale doceniam twoje dobre maniere. – Czy rzeczywiście je doceniał? Cóż, mówił szczerze. A może młody człowiek próbuje dyskretnie wysondować, czy może się zalecać do Clowance?

– Dziękuję, sir. Słyszałem, że otwieracie drugą kopalnię, Jeremy. Mógłbyś mi ją pokazać, gdybym przyszedł jutro przed południem?

– Widać ją z tego miejsca. W tej chwili oczyściliśmy stare wyrobiska i wykuliśmy kilka sztolni poszukiwawczych o większej głębokości. Następny krok to budowa maszyny parowej.

Stephen popatrzył na deszcz. Na jego gęstych włosach lśniły krople wody, których większość spływała bez śladu jak po piórach kaczki.

– Nie znam się na górnictwie, więc nie mam nic do powiedzenia na ten temat, ale zawsze interesuję się tym, co nowe.

– Przyjdź o jedenastej – powiedział Jeremy. – Potem zjesz coś u nas.

Stephen spojrział wyczekująco na Rossa, który uśmiechnął się, spiął konia i pojechał dalej.

– Chętnie przyjdę – rzekł Stephen.

### III

Mniej więcej w tym samym czasie Demelza weszła do pokoju i zastała Clowance cerującą halkę, którą poprzedniej nocy rozdarła na krzaku jeżyn. Rozmawiały kilka minut o nocy świętojańskiej, starając się nie wspominać o powrocie Stephena Carringtona. W końcu Demelza powiedziała:

– Clowance, muszę odpowiedzieć na list lady Isabel Petty-Fitzmaurice. Niegrzecznie byłoby odkładać to o kolejny tydzień...

Córka w dalszym ciągu szyła.

– Clowance...

– Słyszałam cię, mamó. Co zamierzasz napisać?

– Ty musisz zdecydować.

– Przynajmniej możesz mi pomóc. Co oznaczałoby przyjęcie zaproszenia? Że traktuję poważnie zaloty lorda Edwarda? W takim wypadku...

– Moim zdaniem znaczy to tylko, że spędzisz dwa tygodnie we dworze Lansdowne'ów. Wyobrażam sobie, że nie znaczy to nic więcej. Jeśli lord Edward czuje do ciebie sympatię, niewątpliwie pomoże mu to zdecydować, czy jest naprawdę szczerą. Może ci to również pomóc się przekonać, czy go lubisz, czy nie lubisz. Jak wiesz, nigdy wcześniej nie znajdowałam się w takiej sytuacji, więc nie mogę ci udzielić rozsądnych rad. To przyjacielska wizyta. Możesz ją traktować w ten sposób.

Clowance odwróciła głowę.

– Wiesz, że prawie nie używam wymyślnych ściegów, których nauczyłam się u pani Gratton? Jodełka, ścieg krzyżkowy, stebnówka. Mogłabym się bez nich obejść. – Uniosła oczy. – Może być?

– Jest dobrze. Ale zrobiłaś błąd na drugim rąbku.

– Niech to diabli! – mruknęła Clowance.

– Nie powinnaś się posługiwać takimi wyrażeniami w Bowood – zauważyła Demelza.

– Właśnie tego się obawiam! Mamo, uważam, że nie powinnam jechać. Lord Edward jest miłym młodym człowiekiem. Niezbyt przystojnym, ale bardzo sympatycznym. Moim zdaniem ma dobre serce. I jest bardzo honorowy. Tata ceni jego rodzinę, a jak sama wiesz, tata nie ceni zbyt wielu rodów ziemiańskich. Przeciwko mojemu wyjazdowi przemawiają dwa argumenty i powinnaś je znać! Po pierwsze, dlaczego młodszy brat markiza zaleca się do nieznannej młodej kobiety z głębi dalekiej Kornwalii, skoro nie ma ona majątku, ziemi ani pozycji? Cała jego rodzina będzie przeciwna! Jeśli pojedę do Wiltshire, będą mnie oceniać, obrzucać chłodnymi spojrzeniami, szydzić ze mnie za moimi plecami! Po drugie, nie wiem, czy podoba mi się w ten sposób...

Demelza podeszła do okna sypialni i obserwowała krople deszczu gromadzące się na skraju parapetu. Ustawiały się w szyku jak żołnierze gotujący się do ataku, a później spadały jak żołnierze ginący pod ostrzałem nieprzyjaciela.

– Myślę, że przede wszystkim powinnaś o tym wszystkim zapomnieć. O wszystkim. Jeśli chodzi o naszą pozycję, pamiętaj, że twój ojciec jest znaną osobą. Może nawet jest bardziej szanowany w Londynie albo w Izbie Gmin niż w Kornwalii. – Demelza myślała przez chwilę z wściekłością o skandalicznej arogancji majora Johna Trevaniona. – Twój ojciec to bliski znajomy Canninga, Percevala, wielu innych polityków. Nie jest nikim, więc ty także nie jesteś nikim. Zastanów się: kto przysłał zaproszenie? Nie ubiegaliśmy się o nie. Napisała je ciotka lorda Edwarda, która zastępuje jego zmarłą matkę. Sama mi o tym mówiłaś. Więc uważam, że powinnaś zapomnieć o różnicach społecznych, całkowicie. Mogłybyśmy dyskutować, czy lord



Edward ci się podoba jako kandydat na męża. Można przyjąć, że skoro teoretycznie nie masz żadnych szans, powinnaś się cieszyć z tej wizyty bardziej, niż gdybyś miała jakieś szanse. Albo należy uznać, skoro jesteś tak uczciwa, jaka jesteś, że nie potrafiłabyś ukrywać swoich uczuć i że szybko byś mu okazała, że ci się nie podoba. Jeśli tak uważasz, nie powinnaś jechać – w istocie nie wolno ci tego robić, bo takie zachowanie byłoby niegrzeczne i niezgodne z dobrymi obyczajami.

– Chciałabyś, żebyśmy pojechała? – spytała Clowance.

– Nie!

– Możesz mi towarzyszyć?

– Tak...

– Będziemy ładną parą.

– Wczoraj wieczorem próbowałam przekonać Caroline, by mnie zastąpiła.

– I co powiedziała?

– Że tylko ja mogę jechać.

Clowance przygryzła nitkę.

– To będzie bardzo dużo kosztować. Zbyt wiele. Nie możemy przecież iść boso.

– Cieszę się, że przynajmniej raz włożyłaś dziś pończochy... Clowance, nie zastanawiaj się nad drugorzędnymi sprawami. Czy ja chcę pojechać, co będziemy nosić. Decyduj o tym, czego ty chcesz.

Clowance westchnęła.

– Tak, chyba tak. A zatem, mammo...

– Tak?

– Daj mi czas do jutra. Jeden dzień. Uroczycie przyrzekam, że w ciągu dwudziestu czterech godzin powiem tak albo nie.

– Bardzo dobrze.

– I jeszcze jedno, mammo...

Demelza zmierzała w stronę drzwi, lecz się odwróciła. Clowance uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

– Dziękuję.

## IV

Stephen pojawił się nazajutrz w Namparze i poszedł z Jeremym do Wheal Leisure. Mżawka ustała, było ciepło i parno, a zza białych chmur przypominających wielkie peruki świeciły snopy promieni słonecznych. Szli po plaży, słuchając szumu morza.

Stephen powiedział, że pierwszy raz w życiu wchodzi do kopalni, i wkrótce miał dość.

– Boże, nigdy nie chciałbym być górnikiem, nawet za całe złoto Indii Zachodnich! Człowiek czuje, że ze wszystkich stron otaczają go skały. Mogą w każdej chwili runąć! Właśnie to mnie przeraża. Wydaje się, że gdyby ziemia raz odetchnęła, znaleźlibyśmy się w pułapce pod tonami wilgotnych skał!

– Tak jest dopiero po śmierci – odparł Jeremy i nagle przypomniał sobie dziewczynę, którą całował dwie noce wcześniej na cmentarzu.

– Cóż, nie chcę przeżyć tego za życia, bardzo dziękuję. Wolę morze, wiatr i deszcz. Wolałbym walczyć ze sztormem w dziurawym szkunerze.

– Co się w końcu stało z lugrem?

– Musiałem się podzielić przyzowym z wdową po kapitanie Fraserze. Okazała się starą jędzą. Próbowwała mnie oskarżyć o grabież. Gdyby mogła, powiedziałaaby, że to ja zabiłem starego, a nie Francuzi! Ale w końcu dostałem trochę pieniędzy. Na razie ukryłem je pod podłogą w sypialni Willa Nanfana. Teraz szukam dobrej okazji, która podwoiłaby kapitał.

– I po to tu wróciłeś? – spytał Jeremy.

Stephen się roześmiał.

– Cóż, tak, może. Słyszałeś o jakiejś dobrej inwestycji?

– Nie w tej chwili.

– Szczerze mówiąc, Jeremy, wróciłem dlatego, że chciałem. Bardzo mi się tu podoba. Kornwalijszczyki są serdeczni i przyjaźni. Jeszcze nigdy nie spotkałem tak gościnnych ludzi. Zwłaszcza twoja rodzina...

Siedzieli na skraju klifu, który w tym miejscu nie był wysoki. Na plażę biegła kręta ścieżka wijąca się między wydrami i skałami. Chociaż nie wiał wiatr, morze pokrywały wielkie spienione fale.

– Lubię otwartą przestrzeń, to oczywiste – powiedział Stephen. – Popatrz na morze! Czy nie jest piękne? Wiesz, w co powinienem zainwestować pieniądze?

– W następny statek?

– Zgadłeś. Ale nie lugier jak „Philippe”. Coś wielkości szkunera, na którym płynąłem, gdy natknęliśmy się na Francuzów.

– Musiałby sporo kosztować.

– Wiem. Znacznie więcej, niż mam w tej chwili. Opowiadałeś mi o kopalni, o Wheal Leisure, w której pełzaliśmy jak ślepe krety. Wszyscy kupujecie akcje. Twój ojciec, ty, Treneglosowie i inni. Chciałbym kupić statek w podobny sposób. Wspólnie. Ja miałbym jedną czwartą, ty jedną czwartą, Paul, jeśli ma pieniądze...

– Nie ma. Ja także nie mam!

– Ach... szkoda. A chciałbyś trochę zdobyć?

– Jasne, że tak.

– Mówię ci, Jeremy, właśnie tak działają statki korsarskie. Szanowani kupcy wykładają pieniądze, angażują kapitana, on werbuje załogę. Statek wypływa w poszukiwaniu łupu. Poluje na cudzoziemskie jednostki. Jeśli zdobędzie bogaty przyz, załoga otrzymuje swój udział, a kupcy zgarniają resztę. Znałem kapitana, który w końcu zarobił dość pieniędzy, by spłacić inwestorów.

– Korsarstwo. Hmm...

– W czasie wojny dozwolone są wszystkie metody. Wiesz o tym. Tak czy owak, właśnie tym chciałbym się zajmować. Jeśli mi się nie uda, może zostanę górnikiem!

Jeremy się roześmiał.

– A poważnie? Skoro szukasz inwestorów, łatwiej znalazłbyś ich w Bristolu, prawda?

– Próbowałem, ale się nie udało. Ta suka, wdowa po kapitanie Fraserze... Zatrwała ludziom umysły. Opowiadała o mnie kłamliwe plotki. Niektórzy uwierzyli, uznali, że nie należy mi ufać. Dlatego zrezygnowałem i przypomniałem sobie o przyjaciółach w Kornwalii.

– Odpowiednie miejsce to Falmouth, a nie okolice Nampary. Tu nie ma nawet portu.

– Można na tym dobrze zarobić, Jeremy – powiedział Stephen. – Duże pieniądze, przyzowe. Dopóki toczy się wojna. Nie będzie trwała wiecznie.

– Mam nadzieję.

– Ja również. Ale musisz przyznać, że chociaż wojna jest koszmarna, pojawiają się wtedy różne okazje. Można awansować, zarobić trochę grosza. W czasie pokoju zostałbyś powieszony, a na wojnie nazywają cię bohaterem...

Jeremy nie odpowiedział, zastanawiając się nad przyczynami własnego głębokiego niezadowolenia. W ciągu ostatnich kilku tygodni marzył, że nagle zdobędzie sławę – wedrze się do twierdzy we Francji jak niegdyś ojciec – albo wstąpi do wojska i błyskawicznie awansuje. Może stanie się ogromnie bogaty dzięki Wheel Leisure i kupi sobie tytuł szlachecki. Któregoś dnia pojechałby do Caerhays i poprosił o rozmowę z Cuby...

– Stephen... – zaczął.

– Tak?

– Czy celowo zacząłeś kuleć, gdy tamtego dnia gonili nas celnicy?

Stephen się zawahał, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Trochę udawałem, Jeremy. Choć naprawdę skręciłem sobie kostkę. Uważałem, że może to być jedyny sposób uratowania lugra.

– Ach...

– Szukałem cię wzdłuż brzegu.

– Tak, wiem... Czy po powrocie na statek widziałeś trzeciego celnika, tego, którego ogłuszyłeś?

– Tak. – Stephen się roześmiał. – Znów go ogłuszyłem. Pilnował lugra.

– Och, doprawdy... – Jeremy spojrzął kątem oka na przyjaciela.

– Nie było innej możliwości – rzekł po chwili Stephen. – Stał przy szopie na łodzie. Nie znalazł muszkietu – pamiętasz, że rzuciłem go w krzaki – ale miał nóż i wypatrywał towarzyszy. Zauważyłem go pierwszy, gdy obszedłem szopę. Kiedy odpływałem, już się poruszał.

– Ach... – powtórzył Jeremy.

Stephen spojrzął na przyjaciela.

– Tak czy inaczej, zaryzykowałem, prawda? Nie mogłem przewidzieć, czy zdołam uciec. Mogli ruszyć za mną, a nie za tobą, gdy zawróciłem.

Jeremy się roześmiał.

– Chyba tak.

Znów zapadło milczenie.

– Wiem, na co mam w tej chwili ochotę – powiedział Stephen. – Chciałbym popływać.

– Nie będę ci tego odradzał, ale dziś powinieneś się trzymać blisko brzegu. Te fale są niebezpieczne.

Zeszli po stromej, śliskiej ścieżce, weszli do jaskini i rozebrali się. Stephen miał dość krótkie nogi jak na swój wzrost, lecz poza tym jego ciało odznaczało się idealnymi proporcjami. Piers porastały delikatne jasne włosy, które zwęziały się w okolicy pępka. Jeremy zauważył dwie blizny: jedną na prawym udzie, drugą w okolicy żeber. Ta ostatnia wydawała się świeża.

– To pamiątka po celniku? – spytał Jeremy, wyciągając rękę.

– Słucham? O tak. Zdążył mnie ukąsić.

Wbiegli nago do morza i otoczyła ich woda. Nie zważając na ostrzeżenie Jeremy'ego, Stephen dał nurka w nadchodzącą falę i wynurzył się za nią. Popłynął ku drugiej fali, która obróciła go do góry nogami. Wydostał się na powierzchnię, plując i śmiejąc się. Zalała go kolejna fala. Jeremy najpierw się przewrócił, lecz później z łatwością popłynął za przyjacielem; wspinał się na szczyty wielkich fal i zapadał w dolinach. Nagle poczuł zadowolenie z powrotu Stephena. Chociaż odczuwał silny pociąg erotyczny do Daisy Kellow, w jego sercu pozostał mroczny ból. Nic go nie cieszyło: praca, zabawa, jedzenie, picie. Może Stephen potrafi go uleczyć? Jego stosunek do życia, przedsiębiorczy i pozbawiony ostrożności, działał łagodząco. Przebywanie w towarzystwie człowieka, którego absolutnie nic nie obchodzi, pomagało rozwinąć w sobie podobne cechy.

Pływali w morzu dwadzieścia minut. Woda była w dalszym ciągu zimna jak na tę porę roku, ale gwałtowne fale sprawiły, że wyszli zaróżowieni. Kiedy wysuszyli się na powietrzu, przebiegli po plaży półtora kilometra tam i z powrotem. Upadli bez tchu na ziemię przed wejściem do jaskini i wybuchnęli śmiechem, ponieważ w ostatniej chwili udało im się nie spotkać Beth i Mary Daniel, które szły wzdłuż brzegu i zbierały drewno wyrzucone przez przypływ. Obie damy byłyby nieco urażone widokiem dwóch nagich mężczyzn.

Promień słońca przebił pokrywą chmur i padł na Jeremy'ego i Stephena, którzy szybko wciągnęli spodnie i leżeli na piasku, wygrzewając się w upale.

– Masz tu wspaniałe życie, Jeremy – powiedział Stephen. – Jesteś najszczęśliwszym z ludzi, wiesz?

– Naprawdę?

– Urodziłeś się nad morzem, w rodzinie, która ma dość pieniędzy. Nie jesteś bogaczem, ale niczego ci nie brakuje. Codziennie rano od urodzenia budzisz się, patrzysz na morze, piasek, klify. Wokół nie ma niczego brudnego, brzydkiego ani oszukańczego. Wszystko jest czyste: słońce, deszcz, wiatr, chmury pędzące po niebie. Gdybym miał przed sobą siedemdziesiąt lat życia, chętnie bym je tu spędził!

– Po upływie kilku mógłbyś się znudzić i zapragnąć czegoś nowego. Sam wiesz, że jesteś niespokojnym duchem. Chciałbyś walczyć z całym światem.

Stephen wsparł się na łokciu.

– Kto wie? Może. Ale kiedy myślę o swoim życiu... Och, mogło być gorzej. Pracowałem na wsi, nauczyłem się pisać i czytać. Nie sądzisz, że to życie kształtuje naturę człowieka? Ja zawsze walczyłem – walczyłem, by przetrwać; czasem musiałem kłamać lub oszukiwać. Kto chciałby kłamać albo oszukiwać w tym miejscu?

– Jednak i tu ludzie kłamią i oszukują, choć nie za często.

– Może z natury nie chcą być szczęśliwi. Na Boga, gdybym miał taką możliwość, spróbowałbym znaleźć tu szczęście.

W głębi jaskini ćwierkały małe ptaszki.

– Jak się miewa panna Clowance? – spytał po chwili Stephen.

– Moim zdaniem dość dobrze.

– Źle o mnie myśli?

– Dlaczego?

– Z powodu tego, co się stało przedwczoraj w nocy.

– Na pewno będziesz mógł się przekonać przy obiedzie.

– Wspominała o mnie?

– Od czasu do czasu.

– To znaczy... odkąd się dowiedziała, że wróciłem.

Jeremy strzepnął z piersi kilka ziaren piasku.

– Stephen, nie wiem, co czujesz do Clowance ani co ona czuje do ciebie. Nie wiem nawet, czy miałyby pretensje, gdyby cię zobaczyła z Violet Kellow w dniu twojego powrotu. Przepraszam, jeśli brzmi to niezbyt miło. Dlaczego...

– A więc mnie widziała. Ktoś jej powiedział?

– Widziała cię. Ja też cię widziałem.

Stephen westchnął.

– Szkoda... Znasz mnie, Jeremy. Jestem trochę impulsywny. Wypłynąłem w morze. Niczego nie ukrywam. Może za mało myślę, ale tak już jest. Później przeklinam sam siebie, że jestem impulsywnym głupcem. To szczerza prawda. Kiedy dotarłem dwa dni temu do wioski Grambler, od razu pomyślałem, że na początku muszę zobaczyć Poldarków. To naturalne, prawda? Jesteście moimi prawdziwymi przyjaciółmi. Ale później pomyślałem: jak mogę się pojawić w waszym domu, skoro nie mam żadnego miejsca do spania? Wyglądałoby to, jakbym oczekiwał, że mnie przenocujecie. Dlatego najpierw poszedłem do Nanfana i dowiedziałem się o ognisku. Dobrze, powiedziałem sobie, pójdę do Nampary, zobaczę, czy są tam Jeremy i Clowance, a potem spytam, czy mogę iść z nimi na festyn. Przyłączyłem się do procesji, ale odszedłem, gdy was zauważyłem. Ty byłeś z Daisy Kellow, a panna Clowance z Benem Carterem, dobrze do siebie pasowaliście, więc pomyślałem, że nie mam się po co wpychać, że nikt mnie tam nie chce. Spostrzegłem wysokiego mężczyznę. Ktoś powiedział, że to kapitan Poldark. Uznałem, że są lepsze momenty niż wigilia świętego Jana, by powracać jak zły duch. Trwał festyn, wszyscy się bawili, więc może lepiej było poczekać do świtu. Wróciłem do Nanfana i szybko poszedłem spać.

Umilkł. Dwie kobiety zrównały się z nimi na plaży i Jeremy pomachał im ręką. Odwzajemniły jego pozdrowienie.

– Już ci wspominałem, że jestem z natury impulsywny – rzekł Stephen. – Musiałem minąć bramę Fernmore, paliły się tam światła. Pan Kellow wyjechał, a pani Kellow i panna Kellow, obie w pelerynach, sprzeczały się, ponieważ panna Violet najpierw powiedziała, że nie czuje się na tyle dobrze, by iść na ognisko, lecz potem nagle zmieniła zdanie. Wtedy odezwałem się do pani Kellow: „Jeśli pani pozwoli, zaprowadzę pannę Violet na festyn, by dołączyła do swojej siostry. Nie musi pani wychodzić”. Po krótkiej dyskusji tak się stało.

Jeremy sięgnął do kieszeni bluzy i wyjął zegarek.

– Ale nie zaprowadziłeś jej do siostry.

– Podejrzewam, że znasz pannę Kellow lepiej ode mnie, Jeremy. Czy potrafisz zapanować nad obiema siostrami? Są jak narowiste konie. Kiedy byliśmy blisko ogniska i panna Violet zamierzała tam iść, powiedziałem do niej: „Ta ścieżka prowadzi na plażę”, a ona na to, na swój zwykły irytujący, prowokacyjny sposób: „Zamknij się, człowieku, i ruszaj za mną”.

Jeremy włożył koszulę.

– Zbliża się pora obiadu. Możesz najpierw iść do mojego pokoju i doprowadzić się do porządku.

– Znasz mnie – rzekł Stephen. – Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Może powinienem to zrobić, ale to nie leży w mojej naturze. Violet to ładna dziewczyna i szuka przygód. Dobrze wiesz, jakie są obie siostry Kellow.

– Tak – odparł z zażenowaniem Jeremy. – Myślę, że powinniśmy już iść.

## V

W czasie obiadu Stephen zachowywał się idealnie. Grzecznie włączał się do rozmowy, lecz w niej nie dominował. Odpowiadał na pytania Rossa na temat lugra, podając niezbędne szczegóły. Wyjaśnił, że jego statek korsarski walczył podczas sztormu z dwoma francuskimi okrętami wojennymi. Kapitan Fraser poległ, bezpośrednio trafiony strzałem z jednej z francuskich jednostek, a reszta załogi natychmiast postanowiła się poddać. Ale kula armatnia, która zabiła kapitana Frasera, uszkodziła fokmaszt i zanim Francuzi zdołali przyjść z pomocą Anglikom, okręt tych ostatnich wylądował na brzegu w rejonie Western Rocks na wyspach Scilly. Stephen przypuszczał, że reszta załogi utonęła, ponieważ odpłynął na tratwie tylko z Harrisonem i Mordu.

Żywo interesował się również kopalnią Wheal Leisure, prawdopodobnym przebiegiem żył, sposobami eksploatacji, problemem wody i metodą jej wypompowywania. Okazywał inteligencję i natychmiast rozumiał, co do niego mówiono.

Ross pomyślał, że to prawdopodobnie jeden z tych młodych mężczyzn, którzy intensywnie się koncentrują na tematach budzących ich zainteresowanie i zdobywają wiedzę znacznie szybciej od ludzi zajmujących się daną kwestią od lat. Uważał jednak, że czasami takie zainteresowanie to jedynie słomiany ogień.

Zauważył, że długie palce Jeremy'ego nie są już tak delikatne jak dawniej, a kiedy syn odpowiadał Stephenowi i wyjaśniał różne rzeczy, na jego twarzy pojawiał się błysk namietności. Co powiedział John Treneglos? „Horrie mówi, że twój syn to geniusz”. Horrie, niezbyt bystry młody człowiek, oczywiście mógł się mylić. Mimo to jego opinia miała jakieś znaczenie. Dlaczego on sam, Ross, nie widzi w synu niczego więcej poza pozorną niedbałością, nieodpowiedzialnością, lekkim traktowaniem życia? Po powrocie do domu rozmowa z Jeremym powinna nasunąć mu przypuszczenie, że syn ma jakieś szczególne plany. Był krótkowzroczny. Krótkowzroczny jak często ojcowie, którzy wpadają w pułapkę. Ross wręcz się szczycił, że mu to nie grozi.

Siedział i słuchał dwóch młodych ludzi, przyznając, że popełnił błąd, jednak nie potrafił stłumić w sobie złości, że Jeremy był taki diabelnie tajemniczy i że postawił własnego ojca w trudnym położeniu.

Ross nie powiedział Demelzie o „wyprawach na ryby”. Musi najpierw sam porozmawiać z Jeremym...

Obiad był udany, choć nie dla Stephena. Clowance oświadczyła, że boli ją brzuch, i nie zeszła

na dół. Pół godziny przed obiadem powiedziała matce, że przyjmie zaproszenie, by spędzić wakacje w Bowood u Lansdowne'ów.



## *Rozdział piąty*

### *I*

Budowa maszynowni kopalni Wheal Leisure rozpoczęła się na początku lipca. Długo zastanawiano się nad jej najlepszą lokalizacją. Dotychczas wszystkie zabudowania kopalni znajdowały się na szczycie klifu, ale umieszczenie maszyny na niższym poziomie pozwoliłoby wykorzystać naturalny odpływ wody, a maszyna wyczerpywałaby ją z mniejszej głębokości. Z tego powodu wybrano niższą część klifu, znajdującą się około stu metrów od kopalni, i wyrównano teren, wysadzając skały za pomocą materiałów wybuchowych. Miejsca było niewiele, lecz powinno wystarczyć. Ustaliwszy dokładnie położenie maszyny i kotła, w skałach wykuto piwnicę o głębokości trzech metrów, a następnie otoczono ją rowem o głębokości niespełna metra na fundamenty maszynowni.

Znów uruchomiono stary kamieniołom za młynem Jonasa i przez trzy tygodnie przed położeniem kamienia węgielnego po wrzosowiskach, pustkowiach i wydmach całymi dniami krążyły tam i z powrotem karawany mułów. Transportowały łupki ilaste i kwarcowe, najlepsze kamienie budowlane znajdujące się w okolicy. Rozebrano również resztki murów Wheal Maiden, ponieważ były częściowo wykonane z granitu. Ross prowadził negocjacje z zarządcą kamieniołomu granitu w pobliżu St Michael, by zdobyć więcej materiału, gdyż do wybudowania ściany nośnej, najbardziej narażonej na wibracje lub obciążenia, potrzebne było około czterystu ton granitu. Otwarcie kopalni wyposażonej w maszynę parową i maszynownię jest o tyle trudne, że wszystko musi być solidne i trwałe na wypadek sukcesu przedsięwzięcia, gdyż wtedy wydobywanie trwa wiele lat. Zdarzało się, że maszynownie się zawały, ponieważ nie miały wystarczająco solidnych fundamentów albo nie wytrzymały wibracji pracującej maszyny. Nikt nie wiedział, czy za dwa lata Wheal Leisure nie zostanie znowu porzucona, lecz budowlę należało wznosić tak, jakby miała przetrwać dziesięciolecie.

Z tego powodu, zapewniwszy odpowiedni drenaż, przystąpiono do budowy murów, wykorzystując do tego celu wielkie granitowe bloki. Układano je warstwami spojonymi zaprawą murarską i wzmacniano żelaznymi kłami. Ponad nadprożem mury połączono żelaznymi szynami długości przeszło trzech metrów; powstała w ten sposób kratownica zapobiegająca rozjeżdżaniu się ścian. Nieco wyżej należało zostawić w murach otwory na belki podtrzymujące kocioł. Potrzebny był również duży otwór na żuraw i wielką przeciwwagę. Jeszcze wyżej

znajdowało się trzecie piętro, dach z łupku i wysoki ceglany komin.

Nawet gdyby nie pojawiły się komplikacje i panowała dobra pogoda, budowa maszynowni miała zająć co najmniej dwa miesiące. Należało również zbudować dużą szopę na węgiel, a Jeremy usiłował znaleźć pochyłość na wydmach za domem, gdzie mógłby powstać cementowy zbiornik na wodę deszczową na potrzeby kopalni, bo inaczej wodę należałoby transportować w beczkach ze strumienia Mellingley, oddalonego o przeszło półtora kilometra. Wśród skał, klifów i wydm nie znaleziono jak dotąd żadnego źródła, a doprowadzenie wody ze strumienia Mellingley nie było możliwe – wymagałoby wykopania wielokilometrowego kanału, Wheal Leisure znajdowała się bowiem na wzniesieniu. Paradoks polegał na tym, że chociaż cała kosztowna i skomplikowana operacja miała na celu odwodnienie kopalni, uzyskanej w ten sposób wody nie dawało się użyć w maszynie parowej, ponieważ zawarte w niej minerały szybko doprowadziłyby do korozji kotła. Naturalnie wodę tę można by wykorzystać w procesie kruszenia i przemywania rudy, gdyby udało się odnaleźć większe pokłady cyny. Pierwotne zabudowania kopalni można by wykorzystać na pomieszczenia biurowe.

Ross postanowił maksymalnie ograniczyć nabór nowych pracowników, więc przeniósł do Wheal Leisure dwudziestu górników pracujących na akord i murarzy z Wheal Grace. Górnicy akordowi byli mniej wykwalifikowani i gorzej opłacani niż sztygarzy zmianowi. Zajmowali się w większości drążeniem szybów, łączeniem tuneli, tworzeniem nowych wyrobisk i ogólnym utrzymaniem kopalni. Byli mrówkami górniczego świata.

Kiedy tylko wiadomość o ponownym otwarciu Wheal Leisure rozeszła się po okolicy, Namparę oblegli górnicy szukający pracy. Ross przyjął kilku, informując, że większy nabór nastąpi po uruchomieniu maszyny parowej i sprawdzeniu zasobności kopalni. W tej chwili oprócz budowy maszynowni zajmowano się przede wszystkim kopaniem szybu odwadniającego.

Nazajutrz po rozpoczęciu prac Stephen powiedział Jeremy'emu, że chciałby pomóc. Może robić wszystko: prowadzić muły, mieszać cement, układać kamienie, kopać rowy odpływowe. Chce w ten sposób wypełnić czas w trakcie szukania stałego zajęcia. Kiedy Jeremy się wahał, dodał:

– Oczywiście nie chcę pieniędzy.

– Dlaczego?

– Traktowaliście mnie bardzo dobrze w Namparze. Chciałbym się odwdziżyć. Mam silne mięśnie: nie przejmuj się tym.

Jeremy popatrzył na robotników pracujących na platformie w dole.

– Nie ma powodu, żebyś się odwdzięczał.

– Sam pracujesz rękami, pomagasz – odpowiedział Stephen. – Bierzesz za to pieniądze?

– Nie, ale...

– Ale jesteś synem właściciela, tak? Cóż, ja jestem przyjacielem syna właściciela. Czy nie

brzmi to rozsądnie? Poza tym...

– Co poza tym?

– Szczerze mówiąc, chyba nie mam ochoty pracować sześć dni w tygodniu. Chciałbym się rozejrzeć w okolicy, czasem pożyczyć od ciebie kuca, sprawdzić, czy jest tu coś ciekawego. Przydałoby mi się trochę wolnego czasu, może dwa dni w tygodniu. Wtedy zostałbym w wiosce, a może pojechałbym do Falmouth, kto wie? Ale skoro już tu jestem, nie mam ochoty siedzieć beczynnie. Najlepiej pomóc w otwarciu nowej kopalni, prawda?

Jeremy w dalszym ciągu się zastanawiał.

– Przychodź, kiedy chcesz – rzekł w końcu. – Zawiadomię Bena i Zacky’ego Martina, więc będą wiedzieć, jeśli mnie nie zastaniesz. Płace są niestety niewielkie, otrzymasz wynagrodzenie dniówkowe, kilka szylingów. Moim zdaniem tak będzie lepiej. Każdy potrzebuje pieniędzy.

Stephen się zawahał, po czym wzruszył ramionami.

– Skoro nalegasz, w takim razie ustępuję. Mogę zacząć jutro? O szóstej rano ze wszystkimi?

## II

Sir George Warleggan był zaskoczony, gdy doktor Dwight Enys i jego małżonka zaprosili go na obiad o czwartej po południu we wtorek dwudziestego trzeciego lipca. Odkąd odwiedził ich w styczniu w Londynie, czuł głęboką niechęć do Dwighta za udzieloną radę. Przeklinał w myślach wszystkich ludzi mających związek z katastrofalnymi spekulacjami. Odzyskał obiektywizm dopiero po kilku miesiącach i musiał przyznać, że Dwight miał całkowitą słuszność. Stary król, choć ciągle żył, nie wrócił do zdrowia i nie był w stanie sprawować obowiązków monarchy – późniejsze wydarzenia potwierdziły opinię Dwighta. Sposób wykorzystania tej opinii to prywatna sprawa George’a, jego własny błąd. Jednak było to jeszcze bardziej irytujące i niechęć do Dwighta pozostała.

Po przeczytaniu listu zastanawiał się, jaki pretekst wymyślić, by usprawiedliwić odmowę, lecz odwrócił arkusz i zauważył, że Caroline napisała na drugiej stronie: „Jeśli Valentine jest w domu, proszę, przywieź go ze sobą. Zatrzymała się u nas na dwa tygodnie moja ciotka, pani Pelham, i stąd to przyjęcie w czasie kanikuły”.

Dotarł do Killewarren tuż przed czwartą w towarzystwie syna i masztalerza. Zauważył, że mimo bogactwa i młodości Caroline nie starała się przebudować starego dworu, w którym mieszkał jej skąpy stryj Ray. Dziwne, że Dwight Enys, tak nowoczesny w kwestiach medycznych, w dalszym ciągu młody, energiczny i utrzymujący kontakty z najlepszymi lekarzami i naukowcami Anglii, nie przebudował skrzydła dworu w bardziej nowoczesnym stylu lub nawet nie wyburzył całej tej rudery, by zacząć wszystko od początku. George’owi nie

przychodziło do głowy, że Killewarren mogłoby się komukolwiek podobać.

Kiedy wszedł do dużego salonu, na początku zauważył dwoje Poldarków. Nie, chwała Bogu, Rossa i Demelzę – nawet Caroline nie popełniłaby takiej „fałpy”, jak nazywał *faux pas* sir Hugh Bodrigan – lecz ich syna i córkę, co również było skandalem. I z kim rozmawiali? George był człowiekiem zrównoważonym, którego rzadko coś głęboko poruszało. Jednak w tej chwili miał wrażenie, że targa nim wichura.

Do Clowance uśmiechała się lady Harriet Carter, ukazując olśniewająco białe zęby. Miała na sobie suknię w kolorze szafranu z kremowymi koronkowymi mankietami i kołnierzykiem. Do tego broszkę z topazem i kolczyki. Jej kruczoczarne włosy jak zawsze połyskiwały, podobnie jak włosy Elizabeth, choć żona George’a była blondynką. Warleggan zauważył innych gości obecnych w salonie, pozdrowił panią Pelham, pułkownika Webba, mężczyznę o nazwisku Pope z długą szyją i twarzą Robespierre’a. Towarzyszyła mu ładna jasnowłosa żona, która wydawała się ledwo kilka lat starsza od dwóch kokieteryjnych dziewcząt, córek Pope’a z pierwszego małżeństwa. Poznał również ciemnowłosego, szczupłego młodzieńca o nazwisku Kellow czy coś w tym rodzaju.

Pochylił się nad dłonią Harriet. Została na chwilę sama.

– Sir George. – Zachowywała się chłodno, lecz nie była wytrącona z równowagi. – Po raz ostatni spotkaliśmy się u księżnej Gordon, gdy zamierzał mi pan pokazać białego lwa admirała Pellewa.

– To prawda, madame. Ja...

– Zupełnie nagle pan odszedł pod jakimś pretekstem, jakby zobaczył pan ducha, widmo, zjawę, ifryta... Powiedział pan, że wzywają pana interesy. Zajęły pół roku.

– Moje zachowanie musiało się wydawać wyjątkowo nieuprzejme...

– Owszem. Było nieuprzejme. Ponieważ jestem osobą trzeźwo oceniającą rzeczywistość, naturalnie nasuwa się proste wyjaśnienie.

– Lady Harriet, zapewniam panią, że byłoby ono niezgodne z prawdą. W istocie jest wręcz odwrotnie.

– Odwrotnie? Co pan przez to rozumie? Proszę mnie oświecić.

George odetchnął głęboko.

– Bardzo chciałbym wytłumaczyć w kilku słowach to, co się stało. Niestety, zajęłoby to godzinę albo dłużej. Może nigdy nie zdołałbym wyjaśnić, jak do tego doszło...

Urwał. Lady Harriet uniosła brwi.

– Doszło do czegoś?

Zerknął na Clowance. Rozmawiała z Valentine’em. Jeremy się odwrócił.

– Chciałbym wytłumaczyć, że moje podenerwowanie tamtego wieczoru było skutkiem rokowań, w których uczestniczyłem – ponieważ chciałem uzyskać wyższy status... w oczach

pani rodziny...

– Mojej rodziny?! Co, u licha, ma z tym wspólnego moja rodzina?

George pomyślał, że powinien być ostrożny. Lady Harriet była nieco nieszczerą.

– Musi pani zrozumieć.

– Niestety, nie rozumiem.

– Więc któregoś dnia wszystko wytłumaczę.

– Dlaczego nie teraz?

– Bo jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas. Bo nie jest to najszcześniejsza chwila... kiedy jesteśmy otoczeni...

Rozejrzała się po gościach, a w jej oczach pojawił się błysk wesołości.

– Sir George, pisze pan wyjątkowo zabawne listy... Może dziś po południu przypadkiem usiądzie pan obok mnie...

### III

Jedli obiad. Caroline zadbała, by Harriet rzeczywiście siedziała obok George'a. Clowance zajmowała miejsce koło Valentine'a. W ciągu dziesięciu lat widziała go zaledwie dwa razy. Całkowicie się zmienił: był przystojny, miał w sobie coś dekadentckiego. Na czoło nieustannie opadały mu włosy. Jego oczy świadczyły o zbyt dużym doświadczeniu jak na kogoś tak młodego, lecz odznaczał się wielkim urokiem.

– Spotkałem Jeremy'ego u Trevanionów. Ale nie małą Clowance. Kiedy cię ostatnio widziałem, naprawdę byłaś mała. Teraz już nie jesteś.

Przyglądał jej się uważnie. Czują, że romansował z wieloma kobietami i że ma dość dobre pojęcie, jak wyglądałaby bez ubrania. Nie było to całkowicie nieprzyjemne uczucie. Jego radosny uśmiech sprawiał, że nie wydawało się to obraźliwe, tylko przyjazne, seksualne, bezwstydne.

– Wróciłeś z Eton do domu?

– Tak, moja droga. Jesteśmy prawie w tym samym wieku, prawda? Śpieszyliśmy się na świat, by mieć jak najwięcej zabawy! Zdaje się, że wyprzedziłem cię o kilka miesięcy, prawda? Urodziłem się pod czarnym księżycem, jak powiadają. To podobno bardzo pechowe. Dopisuje ci ostatnio szczęście?

Mówił takim tonem, jakby zadawał intymne pytanie dotyczące prywatnego życia Clowance.

– Mieszkaś w Cardew? – spytała.

– Czasem w Cardew, czasem w Truro. Muszę ci się przyznać, droga kuzynko, że w okolicy trochę brakuje młodych ludzi o żywym temperamentem. Dlaczego nie przyjedziesz? Ty i Jeremy.

Uważam, że mielibyśmy wspólne zainteresowania.

– Nie wiem, czy bylibyśmy mile widzianymi gośćmi...

– Ta idiotyczna waśń... Najlepiej na zawsze o niej zapomnieć, prawda? Czy to właśnie dlatego nie ma tu dziś twoich rodziców?

– Przyjechali wczoraj wieczorem. Ciotka Caroline pomyślała...

– Dokładnie wiem, co pomyślała. Twój ojciec i mój ojciec, zawsze prychnący na siebie jak dwa bezdomne kocury. Nigdy nie stoczyli pojedynku. Ciekawe dlaczego. Oczyszciliby to atmosferę. Gdyby jeden z nich zginął, życie stałoby się przyjemniejsze. Przypuszczam, że to mój ojciec nie miał ochoty się bić. Papa nie przepada za bronią palną. Woli raczej dźwigać worki z pieniędzmi. Twojego ojca wyobrażam sobie zawsze jadącego konno na wojnę z karabinem na ramieniu.

Valentine spojrział na sir George'a, który rozmawiał z ładną ciemnowłosą kobietą stojącą po jego prawej stronie. Przed przyjazdem do Killewarren odbył z ojcem nieprzyjemną rozmowę. Po opuszczeniu Eton spędził tydzień w Londynie i znacznie powiększył swoje długi. Powoli oswajał z tym ojca, lecz najgorsze przekazał mu dopiero dziś. Sir George był wściekły – Valentine chyba jeszcze nigdy go takiego nie widział. Niedbała wzmianka syna o złocie spoczywającym w banku doprowadziła George'a do wściekłości. Nazwał Valentine'a nieudolnym, rozpustnym nicponiem, który powinien wstąpić do wojska i próbować awansować, a nie zachowywać się jak pretensjonalny dandys przynoszący hańbę rodzinie.

Były to ostre słowa, szczerze wypowiedziane. Valentine najczęściej potrafił wykorzystał naturalną dumę ojca, by złagodzić jego gniew z powodu swoich szaleństw. Nie tym razem. Żle sobie wszystko wykalkulował, a jego niepokój zmienił się w złość do George'a. Kiedy niegrzecznie odpowiedział po raz trzeci, myślał, że ojciec go uderzy. Pamiętał o tym, gdy wspominał Clowance o pojedynku i jego możliwych konsekwencjach. W tej chwili wcale by się nie zmartwił, gdyby ujrzał swojego szanowanego, wpływowego ojca leżącego w kałuży krwi na jakimś ustronnym wrzosowisku i pochylonego lekarza, który ponuro kręciłby głową.

Zamiast tego George siedział przy stole i flirtował z młodą kobietą. Kim była i dlaczego ojciec tak jej nadskakuje? Czy zamierza kupić od niej walcownię? Albo odlewnię? Czy ta dama ma akcje banku, które ojciec koniecznie chce nabyć? Nic innego nie mogło tak całkowicie skupić jego uwagi. (Valentine doskonale znał zwyczaje Warleggana, który rozmawiając z jedną osobą, często rozglądał się po salonie i zastanawiał się, czy są w nim ludzie mogący mu przysporzyć większych korzyści).

Później zauważył wyraz oczu George'a i ku swojemu zdumieniu zdał sobie sprawę, że ojciec może być zainteresowany czymś jeszcze oprócz pieniędzy. Valentine od dawna sądził, że George w ogóle nie zwraca uwagi na kobiety jako na obiekty pożądania. Jeśli całkowicie się nie pomylił w interpretacji widzianego przed chwilą wyrazu twarzy George'a, ta kobieta była dla

niego właśnie takim obiektem.

Z pewnością była niezwykle urodziwa. Dojrzała, lecz piękna. Ale ojciec jest taki stary...

– Zamierzasz to zrobić? – spytała Clowance, spoglądając na niego szczerym wzrokiem.

– Co zamierzam? – Zakasłał, by ukryć swoją minę.

– Wspomniałeś o wstąpieniu do wojska.

– Jak mój brat przyrodni? To zależy. Często jeżdżę na polowania, ale ptaki nie odpowiadają ogniem, prawda? W tej chwili mam zbyt wielką ochotę korzystać z życia, by niemądrze je narażać. Choć dziś wieczorem ojciec sugerował, że mógłbym wstąpić do pułku liniowego.

– Naprawdę?

– Nie jestem pewien. Nie była to zachęta, lecz rodzaj groźby.

– Dlaczego miałby ci grozić?

– Bo żyję ponad stan.

– W Eton?

– I w Londynie. Mam w Londynie przyjaciół i lubimy się dobrze bawić. Nie wolno mi tam jechać pod koniec wakacji. Muszę wracać prosto do szkoły. Prawdę mówiąc, Clowance...

– Co takiego?

– Mówiłem poważnie. Dlaczego nie miałabyś przyjechać do Cardew razem z Jeremym w przyszłym tygodniu? Spędzilibyśmy razem dzień lub dwa. Bardzo złagodziłoby to moje poczucie uwięzienia. Ojciec będzie nieobecny, więc nie musicie się obawiać, że dojdzie do jakiejś kłopotliwej sytuacji.

– Przykro mi. Jeremy zostaje w Namparze, ale ja wyjeżdżam jutro do Wiltshire.

– Z wizytą? Odwiedzić przyjaciół?

– Tak.

– Na długo?

– Chyba na trzy tygodnie, łącznie z podróżą w obie strony.

– Masz zatem ukochanego w Wiltshire?

– Tak.

– Myślę, że mnie oszukujesz. Gdyby to była prawda, czy nie zawahałabyś się na chwilę, a twoje dziewczęce policzki nie pokryłyby się rumieńcem?

– Moje policzki nie pokrywają się rumieńcem.

– Założę się, że kiedyś uda mi się to sprawić. – Valentine się roześmiał. – Pamiętaj, że tak naprawdę nie jesteś moją kuzynką, tylko powinowatą... Nawiasem mówiąc – zniżył głos – jak się nazywa moja druga sąsiadka?

– Pani Pope. Selina Pope.

– Jest synową tego wysokiego, chudego, starego jegomościa?

– Żoną.

– Na Boga...

Kilka miejsc dalej ojciec Valentine'a powiedział:

– Cóż, madame, prosi pani o wyjaśnienie i ma pani do tego prawo. Ale jak je tu przedstawić?

– Na pewno pan zauważył, sir George, że zwierzenia poczynione przy stole rzadko słyszy ktokolwiek oprócz osoby, dla której są przeznaczone, ponieważ wszyscy mówią bardzo głośno. Proszę mnie nie zmuszać, bym nalegała.

George wypił łyk wina. Zwykle pił ostrożnie, jakby się obawiał, że ktoś może to wykorzystać.

– Ponieważ jest pani spostrzegawcza, lady Harriet, z pewnością pani zauważyła, że mój stosunek do pani jest cieplejszy niż zwykła przyjaźń. Kiedy odwiedziłem pani brata, księcia, dał mi jasno do zrozumienia, że nie dysponuję odpowiednim urodzeniem ani wychowaniem, by mieć podobne myśli. Po dłuższym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że bogaci członkowie gminu często są przyjmowani w arystokratycznym towarzystwie, jeśli ich fortuna jest dostatecznie wielka.

Służący postawił przed George'em nowy talerz i nałożył porcję gotowanego turбота.

– Jak dotąd doskonale pana rozumiem, sir George. Czy słusznie zgaduję, że interesy, które pan w tej chwili prowadzi...

– Prowadziłem. Miały katastrofalne konsekwencje. Nie komunikowałem się z panią od tamtego czasu z powodu świadomości, że zamiast powiększyć swój majątek, zmniejszyłem go prawie do zera...

– Więc jutro wyruszenie – rzekła Caroline do Jeremy'ego.

– Tak. Tak, wyjeżdżamy o szóstej. Będziemy im towarzyszyć, aż wsiądą do dyliżansu, a później odprowadzimy konie.

– Moim zdaniem przyniesie to korzyść zarówno Clowance, jak i Demelzie. Oczywiście wiesz, że bardzo je kocham.

– Tak, wiem.

– Zwłaszcza swoją matkę, którą znam od wielu lat! Czy uwierzysz, że kiedy się poznałyśmy, przez dłuższy czas traktowałyśmy się bardzo podejrzliwie i nie miałyśmy do siebie zaufania?

– Nie wiedziałem.

– Pochodzimy z innych światów. Ja ze sztucznego, eleganckiego towarzystwa z Oxfordshire i Londynu. Ona, w cudowny sposób, prosto z ziemi. Nasza przyjaźń stała się wyjątkowo silna, bo miała korzenie w obu światach. Właśnie dlatego bardzo chciałam, by przyjęły zaproszenie.

– Nie rozumiem.

– Clowance jest obdarzona zdrowym rozsądkiem podobnie jak jej matka, lecz w nieco inny sposób. Edward Fitzmaurice, któremu najwyraźniej się spodobała, jest elegancki, wyrafinowany, żyje w świecie konwenansów i mody. Nie potrafię przewidzieć, czy z czasem się polubią, ale skorzystają na tej znajomości. Poznają inne spojrzenie na świat. Sądzę, że Edward jeszcze nie



spotkał dziewczyny takiej jak Clowance, która zawsze mówi to, co myśli. Widziała jego styl życia w Londynie i skorzysta, jeśli pozna go lepiej. A twoja matka... Kiedy była młodsza, wiele razy pojawiała się w towarzystwie – i odnosiła wielkie sukcesy. W ostatnich latach twój ojciec często przebywa poza domem, a matka rzadziej odwiedza Londyn. W dalszym ciągu czuje się niepewnie, zwłaszcza pod nieobecność Rossa.

– Ale ty nie masz wątpliwości, że sobie poradzi?

– A ty?

Jeremy zastanawiał się przez chwilę, po czym się uśmiechnął.

– Żadnych – odpowiedział.

## Rozdział szósty

### I

Pani Pelham siedziała obok pułkownika Webba, ale teraz rozmawiał on z urzekającą, wiotką Seliną Pope, więc zwróciła się w stronę drugiego sąsiada, którego Caroline celowo posadziła w tym miejscu, ponieważ zdawała sobie sprawę, że ciotka uwielbia towarzystwo przystojnych młodych mężczyzn.

– Proszę powiedzieć, panie Kellow, czym się pan zajmuje? Rozumiem, że nie służy pan w wojsku?

– Nie, pani, jeszcze nie. Chociaż obiecano mi, że w przyszłym roku otrzymam patent oficerski. W tej chwili pomagam ojcu. Jest właścicielem większości dyliżansów w Kornwalii. – Paul zawsze lubił trochę koloryzować.

– Ma pan na myśli dyliżanse pocztowe?

– Tak, pani, przede wszystkim. Trzy dyliżanse w tygodniu kursują z Falmouth do Plymouth. Inne wyjeżdżają z Helston, Truro i St Austell. Wkrótce mamy nadzieję otworzyć linię do Penzance, ale są kłopoty z drogą biegnącą przez ujście rzeki.

– Wszystkie drogi sprawiają kłopoty – zauważyła z przekonaniem pani Pelham.

– Przyjechała pani dyliżansem?

– Nie, kareta.

– W takim razie mogła pani korzystać z naszych koni.

– Zauważyłam, że konie były znakomite.

– Ale nie drogi? Nie, pani, zapewniam, że w ciągu ostatnich pięciu lat znacznie się poprawiły. Oczywiście mam nadzieję, że kiedyś...

– Tak?

– Po Londynie ta rozmowa musi panią nudzić.

– Powiedział pan, że kiedyś ma nadzieję... Nadzieje młodych ludzi nigdy nie są nudne.

Paul się uśmiechnął.

– Choćby nudno o nich opowiadali? Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli się pozbyć wielu koni i że dzięki wprowadzeniu pojazdów napędzanych parą dyliżanse będą pokonywać bez postoju trzy- lub czterokrotnie większą odległość, co sprawi, że podróż znacznie się skróci.

Sarah Pelham powstrzymała dreszcz.

– Naprawdę pan wierzy, że kiedyś uda się tego dokonać?

– Jestem tego pewien.

Popatrzyła na smukłą, smagłą, kocią twarz pełną młodzieńczej pewności siebie.

– Uważa pan, że ludzie pogodzą się z niewygodami i większym niebezpieczeństwem?

– Moim zdaniem pasażerom nie grożą niewygody ani niebezpieczeństwo. Oszczędzą mnóstwo czasu.

– Czy pojazd parowy nie może się przewrócić? A co z groźbą poparzenia?

– Trzeba poprawić stan dróg, to pewne. Po zakończeniu wojny to i tak nastąpi. W Ayrshire działa wynalazca o nazwisku Macadam, który rozwija najnowsze techniki budowlane. Moim zdaniem ludzie przesadzają, gdy mówią o niebezpieczeństwach. Ostatnio zajmuję się konstrukcją maszyny parowej, lecz, jak pani widzi, nie mam żadnych oparzeń – dodał niedbale.

– Pana ojciec wierzy w to wszystko? Zamierza wprowadzić pojazdy parowe na drogi Kornwalii?

– Ojciec nie jest jeszcze wtajemniczony. Pochodzi ze starej rodziny i może nie traktuje handlu jak młodszy ludzie. Ani wynalazków. Ja planuję na dziesięć lat naprzód. Za pięć lat można będzie mu przedstawić korzyści wynikające z zastosowania pary i nowy sposób działania dyliżansów pocztowych i transportu lądowego.

Niechlujny, nadęty ojciec Kellowa, mężczyzna o czerwonym nosie, wieczny dłużnik, który za dużo pił, byłby niewątpliwie dumny, gdyby wiedział, że opisano go jako pochodzącego ze starej rodziny, ale Paul, rozmawiając z nieznaną, która miała wkrótce wrócić do Londynu, uznał, że może sobie pozwolić na przesadę.

Podano filet cielęcy w białym winie z młodymi marchewkami i świeżymi malinami.

– Zaniedbuje mnie pani, pani Pope – rzekł Valentine.

Selina Pope odwróciła głowę.

– Wręcz przeciwnie, panie... eee... Warleggan. Stale rozmawiał pan z panną Poldark i nie mogłam wtrącić ani słowa.

– Panna Poldark jest moją kuzynką, a raczej powinowatą. To bardzo skomplikowana relacja rodzinna.

– Proszę mi to wyjaśnić.

– Cóż, brat stryjeczny ojca panny Poldark poślubił moją matkę. Później zginął w wypadku i matka wyszła za mąż za sir George'a, po czym pojawiłem się ja.

– Moim zdaniem nie jest to nawet powinowactwo – powiedziała pani Pope.

– Wspomniałem o tym pannie Poldark.

Selina Pope była smukłą blondynką o drobnych, wytwornych rysach i wysokim czole, na które opadały kosmyki włosów. Valentine przypomniał sobie matkę. Zamrugął.

– Co się stało? – spytała pani Pope. – Wprawiam pana w zakłopotanie?

– Tak, rzeczywiście – odparł Valentine, dochodząc do siebie. – Jestem zakłopotany oskarżeniem, nawet żartobliwym, że mógłbym zaniedbywać tak uroczą i piękną kobietę.

– Och, dziękuję – rzekła pani Pope. – Ale oskarżenie nie było żartobliwe, tylko szczere!

Kiedy się uśmiechnęła, podobieństwo zniknęło. Usta były bardziej przekorne, oczy nieco skośne, wyraz twarzy mniej spokojny.

– Skoro zostałem oskarżony i skazany bez sądu, jaki jest wyrok? – spytał Valentine.

– Och, sir, nie jestem sędzią, tylko ofiarą.

– W takim razie, jeśli wolno mi wydać wyrok we własnej sprawie, pragnąłbym pani towarzyszyć przez cały wieczór.

Selina Pope delikatnie oblizała wargi czubkiem języka. Młody dżentelmen wydawał się tak dojrzały i bezpośredni, że kilkunastoletnia różnica wieku nie odgrywała żadnej roli.

– Czy to pani teść? – spytał niewinnym tonem Valentine.

– Nie, mąż.

– Ach, przepraszam. A te dwie damy?

– Jego córki z pierwszego małżeństwa.

– Mieszka pani w sąsiedztwie, pani Pope?

– W Place House. Niegdyś należał do Trevaunance'ów.

– Tak, znam ten dwór. Często bywa pani w towarzystwie?

– Jesteśmy rzadko zapraszani – odparła szczerze.

– Czy zatem mógłbym kiedyś panią odwiedzić?

– By spotkać się z moimi pasierbicami?

Valentine spojrział jej w oczy. Jego wzrok nie miał w sobie nic niewinnego.

– Naturalnie...

Jadalnię oświetlały promienie nisko wiszącego słońca. W snopach światła unosiły się drobinki kurzu, a wokół rozlegał się to cichszy, to głośniejszy szmer rozmów...

– Sama nie wiem, czy powinnam uznać pańskie wyznanie za wielki komplement, czy za wielką zniewagę, sir George – powiedziała lady Harriet.

– Zniewagę?! Jak to możliwe?

– Przyznaję, że pana uczucia wobec mnie musiały być całkowicie szczere. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, co mówią o panu inni, więc nie obrazi się pan za moje słowa. To, że zaryzykował pan dla mnie swoją fortunę, zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Znam pańską reputację. Uchodzi pan za człowieka ostrożnego, po kupiecku przebiegłego. Czasem nawet skąpego.

George spojrział na stojące przed nim potrawy, lecz ich nie tknął.

– A zatem?

– Zatem? – powiedziała.

– Czy powinienem to uznać za zniewagę?

– Nie, po prostu uważam to za komplement. Jednak, drogi sir George, czuję się urażona, że traktuje mnie pan jako jedną z wielu rzeczy, które można kupić.

– Bynajmniej! Wcale nie miałem takiego zamiaru!

– Więc jak pan to rozumie?

George spojrział na gości siedzących przy stole. Wyglądał jak sprowokowany byk, lecz wszyscy wydawali się zajęci jedzeniem i konwersacją.

– Już to tłumaczyłem, lady Harriet. Uznałem, że pani brat, książę, nie aprobuje mojego zainteresowania pani osobą. Sądziłem, że posiadając większy majątek, stanę się kimś zasługującym na uwagę. Bardzo starałem się to wyjaśnić...

– To prawda. Chciał pan mieć więcej pieniędzy i stracił cały majątek. Czy tak wygląda sytuacja?

– Nie straciłem całego majątku. Jestem wypłacalny, ale uporządkowanie sytuacji zajmie sporo czasu. Nie jestem bogatszy, lecz, muszę przyznać, znacznie biedniejszy. Innymi słowy, nie osiągnąłem wyższego statusu, który poprawiłby moją pozycję w oczach pani brata, księcia. Stąd moje nieszczęście i niechęć do narzucania się pani w ciągu ostatniego półrocza...

– Sir George, chciałabym, żeby nie nazywał pan mojego brata księciem. Rzeczywiście, to mój brat, co ma pewne znaczenie. Jego tytuł, choć go posiada, nie ma żadnego znaczenia. To wszystko jest bardzo interesujące... – Lady Harriet jadła przez chwilę w milczeniu. – Bardzo interesujące. Wie pan, ile mam lat?

– Nie, madame.

– Trzydzieści. I jestem wdową. Wdową po zapijaczonym, wulgarnym błaznie, który spędzał całe dnie na polowaniach. Tak, drogi sir George, błaznie, choć miał imponującą genealogię. Nie jestem potulną, grzeczną dziewczynką, sir George. Nie zachowywałam się wobec niego jak grzeczna dziewczynka. Nigdy nie będę tak traktować żadnego mężczyzny. Również mojego brata, który ma własne życie, a ja życzę mu szczęścia. Nie obchodzą mnie jego poglądy i opinie. Gdyby znalazł mi bogatego, arystokratycznego kandydata na męża, rozważyłabym propozycję wyłącznie na podstawie jej zalet i wad, nie biorąc pod uwagę uczuć brata. Jeśli kiedykolwiek postanowię znowu wyjść za mąż, nie zamierzam o tym uprzedzać „mojego brata księcia”. Jego zgoda nie ma dla mnie żadnego znaczenia... A zatem, sir George, jeśli ma pan w tej chwili trudności finansowe, proszę pamiętać, że pańskie spekulacje, by zrobić na mnie wrażenie, nie przyniosły panu żadnej korzyści, a utrata fortuny nie wyrządziła panu szkody. To wszystko, co mogę w tej chwili powiedzieć. Proszę porozmawiać z damą po pańskiej lewej stronie. Chciałaby pana o coś zapytać. Niewątpliwie pragnie poznać pana opinię na temat posiadanych przez siebie akcji.

Pułkownik Webb poinformował Caroline, że mimo optymistycznych artykułów w prasie

uważa, że armia brytyjska działająca na Półwyspie Iberyjskim ugrzęzła i znalazła się w pułapce w rejonie Badajoz i rzeki Gwadiana. Wellington nie może się bezpiecznie posuwać do przodu ani cofać. Podobnie Marmont. Prywatnie współczuł żołnierzom uwięzionym w takim przeklętym miejscu.

– Niechaj Bóg ma ich wszystkich w opiece! – zakończył, ocierając wąsy. – Skwar, muchy, febra. Szpitale i cmentarze wypełnią się bez walki.

– Dopóki Francuzi są w tej samej sytuacji...

– Ach, gorszej, ponieważ bez przerwy atakują ich krwiożerczy bandyci, od których roi się w całym kraju i którzy nazywają siebie hiszpańską armią. Bez litości napadają na każdy francuski posterunek. Podobno od kilku lat Francuzi tracą kilkuset żołnierzy tygodniowo – oto skutki tej taktyki. Jest pewien człowiek, zapomniałem jego nazwiska... już wiem, nazywa się Sanchez. Kiedy bierze do niewoli kuriera, wysyła do Wellingtona specjalnego posłańca z jego głową i listami.

– Nigdy nie spotkałam Hiszpana. Niewątpliwie to okrutny naród.

– Cóż, mają dobre powody, madame. Francuzi traktują ich jak barbarzyńcy. Czasem można odnieść wrażenie, że Bóg zapadł w drzemkę.

Pułkownikowi Webbowi zadał pytanie Dwight, siedzący po przeciwnej stronie stołu, i Caroline znów odwróciła się do Jeremy'ego.

– Clowance często się widuje ze Stephenem Carringtonem? Wiesz coś o tym?

– Nic o tym nie słyszałem. Spotkałem Stephena w Namparze tylko dwa razy. Ja sam widuję się z nim dość często.

– Lubisz go?

Jeremy zmarszczył brwi.

– Tak. Rodzice też mnie o to pytali. Jeśli ktoś czuje, że powinien zadać takie pytanie, chyba ma wątpliwości.

– Co w nim lubisz?

– Och, cóż można w kimś lubić? Jego towarzystwo. Nie można przy nim zasnąć.

Caroline dziobnęła widelcem kawałek puszystego ciastka.

– Znasz stare kornwalijskie przysłowie? Dwight przypomniał mi je wczoraj, gdy rozmawialiśmy o innych sprawach. Brzmi tak:

*Gdy przybysz z morza stanie na twym progu,  
Bacz, by nie został jednym z twoich wrogów.*

– Nie wyobrażam sobie, by Stephen kiedykolwiek został moim wrogiem – powiedział Jeremy. – Jest bardzo serdeczny i myślę, że nigdy nie chciałby być moim wrogiem, za żadne

skarby.

- Clowance go lubi?
- O tak.
- Nawet więcej niż lubi?
- Musisz sama ją o to spytać, ciociu.
- Nigdy bym się nie odważyła!

Jeremy się roześmiał, a Clowance spojrzała na nich nad stołem, jakby wyczuła, że o niej mówią.

– Pani Enys to bardzo ładna kobieta – zauważył Valentine. – Trochę za chuda jak na mój gust, ale podoba mi się jej cera. I oczywiście arogancja. Jesteś arogancka, Clowance? Dodaje to dziewczynie uroku.

- Zapamiętam to sobie.
- Zgadzasz się z tą opinią?
- Och, nie mam zdania...
- Uważasz, że mój gust jest zanadto pospolity?
- Nie zastanawiałam się nad tym.

– To wielka przyjemność uczestniczyć w przyjęciu, gdzie jest tyle ładnych kobiet. Rzadko zdarzają się tak miłe uroczystości. Nie licząc pani Pelham, bo jest już starsza, widzę jedną, drugą, trzecią, czwartą, piątą niebrzydką niewiastę! Zdajesz sobie sprawę, ile jest na świecie przynębiająco nieciekawych kobiet?! Tysiące. A setki są po prostu brzydkie. Ładne rzucają się w oczy jak latarnie morskie... – Valentine ekstrawagancko pomachał widelcem, po czym odezwał się zmienionym, cichszym głosem: – Twoja matka jest ładna, prawda?

- Tak myślę.
- Pamiętam, choć widziałem ją wiele lat temu. Jakiś pojedynek w Londynie, tak?
- To dawne czasy.
- Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty dziewięć. W tym roku zmarła moja matka.
- Naprawdę? Nie pamiętałam daty. Przykro mi.

– Miałem wtedy zaledwie pięć lat, podobnie jak ty. – Valentine zmrużył oczy, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. – Myślę, że moja matka miała w sobie coś niezwykłego. Uważam, że była piękna. Bardzo dobrze ją pamiętam. Oczywiście w Cardew wiszą dwa jej portrety, które mi ją przypominają. Dlaczego nie przyjedziesz ich obejrzeć?

- Bardzo chętnie – odparła Clowance. – Może we wrześniu, nim wrócisz do Eton?
- Urządzimy przyjęcie na Boże Narodzenie – powiedział Valentine. – Przyjedziesz na nie? Zanim damy wstały od stołu, George spytał:
- Kiedy mógłbym panią odwiedzić, madame?

Harriet uniosła kieliszek i delikatnie dotknęła szkła zębami.

- W tym miesiącu jestem zajęta.
  - Doprawdy?
  - Tak, to zaskakująco absorbująca pora roku. Chociaż nie ma polowań, jest wiele innych spraw. Prowadzę aktywne życie towarzyskie, sir George.
  - Jestem o tym przekonany.
  - Kornwalia jest tak niewielka, że człowiek szybko staje się powszechnie znany.
  - Rzeczywiście – rzekł chłodniejszym tonem George.
- Po stosownej przerwie Harriet odstawiła kieliszek.
- Sierpień byłby dogodniejszy. Mogłabym mieć trochę wolnego czasu w sierpniu.
  - A zatem...
  - Odpowiadałaby panu sobota?
  - Postaram się uwolnić od innych zajęć.
  - Proszę przyjechać na podwieczorek w drugą sobotę sierpnia.
  - Wyda pani przyjęcie?
  - Jeśli tak pan sobie życzy.
  - Nie, nie życzę sobie.
  - Bardzo dobrze – rzekła Harriet. – Proszę przyjechać o piątej. Będę sama, z Dundee jako przyzwoitką.

## II

Benowi Carterowi zaproponowano stanowisko szefa robót podziemnych w Wheal Leisure. Miał objąć posadę w chwili, gdy pojawią się złoża rudy, których wydobyć mógłby nadzorować. Zawsze był samotnikiem i intuicja podpowiadała mu, by odrzucić ofertę, lecz jego dziadek poparł Jeremy'ego.

– To nie tylko dodatkowe zajęcie – powiedział Zacky. – Pracowałem dla Poldarków przez prawie całe życie i jeśli zdrowie pozwoli, zostanę skarbnikiem nowej kopalni. Wiem, że twoja matka woli trzymać się z dala od ludzi, ale jest tak dlatego, że ma dziwne poglądy na temat swojej rodziny. To bez znaczenia. Jeśli ją spytasz, powie ci to samo co ja. Kapitan Poldark naraził zdrowie i pozycję, próbując ratować twojego ojca.

– Nie o to chodzi – odparł Ben. – Dla nikogo innego nie pracowałbym tak chętnie jak dla kapitana Poldarka. Po prostu przyzwyczałem się do niezależności.

– Wiem o tym. Nie musisz nikogo słuchać, Ben, ale jeśli będziesz zawsze żył samotnie i pracował samotnie, w końcu zdziwaczysz, staniesz się odludkiem. Dlatego radzę, żebyś wziął tę robotę i zobaczył, jak ci idzie. Ryby nie uciekną, podobnie twoja własna kopalnia. Jeśli



będziesz niezadowolony, zawsze możesz odejść.

– Tak... – odpowiedział z namysłem Ben. – Chyba masz rację.

Przez pewien czas pracował wraz z innymi górnikami, budując maszynownię i drążąc szyby. Otrzymywał czterdzieści szylingów miesięcznie i jeszcze nigdy tak dobrze mu się nie powodziło. Zresztą nie potrzebował pieniędzy. Gardził nimi i mógłby się utrzymać dzięki własnej pomysłowości.

Do podjęcia pracy w kopalni zachęciła go możliwość częstszego widywania Clowance. Jedną z nieprzyjemnych niespodzianek okazało się odkrycie, że w Wheal Leisure będzie również pracował Stephen Carrington. Nigdy dotąd nie doszło między nimi do sprzeczki, ale Ben się zirytował, gdy pewnego ranka zobaczył Stephena zabierającego się do kopania szybu wraz z innymi górnikami. Z jakichś powodów go nie znosił. Stephen wydawał się zbyt wyniosły, zbyt hojny, zbyt nonszalancki i zbyt pewny siebie. Kim właściwie jest, na litość boską?! Bezrobotnym marynarzem. Mimo to zachowuje się jak kapitan królewskiej marynarki wojennej, który awansował w młodym wieku dzięki własnemu talentowi. Poza tym – niewybaczalny grzech – wyraźnie podoba mu się Clowance i, co najgorsze, on chyba też jej się podoba. Co pociąga w nim pannę Poldark? Szeroka, śmiała twarz, jasne kręcone włosy i hałaśliwe maniery? Czy to możliwe, że Clowance, roztropna, szczerą, praktyczną i do bólu uczciwą, zadurzyła się w takim człowieku?!

Szyb obok maszynowni miał kształt kwadratu o boku dwustu siedemdziesięciu centymetrów i kopało go ośmiu ludzi. Pracowali po czterech i zmieniali się co sześć godzin. Obliczono, że z powodu twardości skały dotarcie na głębokość pięciu sążni zajmie około miesiąca. Oznaczało to, że w chwili ukończenia budowy maszynowni szyb będzie miał głębokość osiemnastu metrów, a jeśli instalacja maszyny potrwa kolejny miesiąc, znajdą się poniżej najniższych wyrobisk kopalni. Później należało tylko przebić tunel do najbliższego chodnika.

Ben spoglądał z zazdrością na pracującego Stephena, lecz nie miał powodów, by się skarżyć. Niestety, Stephen był silny, chętny do pracy i zręczny. Poza tym Ben rzadko widywał Clowance, która w dalszym ciągu unikała Stephena. Pojawiała się w kopalni, gdy go nie było lub gdy w pobliżu kręcili się inni ludzie.

Oczywiście wiedziała, że kiedyś będzie musiała się z nim spotkać... chyba że Stephen się zniechęci i znowu odejdzie. Czy tego właśnie pragnęła? Wydawało się, że tak, na pewno. Zadawała sobie pytanie, czy nie powinna z nim porozmawiać i kazać mu odejść. Po co czekać, aż się znudzi i odejdzie z własnej inicjatywy? Z rozmowy z Jeremym nie wynikało, że Stephen zamierza odejść. Czy jej przekonanie, że może kazać mu odejść, nie sugeruje, że odgrywa on w jej życiu większą rolę, niż jest w rzeczywistości?

Na tydzień przed uroczystym obiadem w końcu się z nim spotkała.

Pewnego wieczoru Namparę odwiedziła Daisy Kellow. Kiedy usłyszała, że wszyscy

mężczyźni są w Wheal Leisure, zaproponowała Clowance, by tam poszły. W kopalni okazało się, że dusi ją pył wydobywający się z szybu, po czym oddaliła się z Paulem, który wcześniej wrócił z dwudniowego pobytu w Truro, gdzie odwiedził przedsiębiorstwo dyliżansowe ojca, a tego dnia postanowił iść do kopalni. Clowance uznała, że jest za wcześnie na powrót do Nampary, poza tym nie przeszkadzał jej widok Stephena pracującego oskardem. Rozmawiała z Benem, a później, gdy Ben był czymś zajęty, z Jeremym. Zdawała sobie sprawę z obecności Stephena i najczęściej trzymała się w bezpiecznej odległości. Wznoszono drugą z niskich ścian podtrzymujących osłonę cylindra. Końce belek miały zostać umieszczone w murze, a znajdującą się nad nimi platformę należało zbudować dopiero po wykończeniu maszynowni. Clowance spodziewała się, że Jeremy wróci z nią do domu na kolację, ale rzekł:

– Powiedz mamie, że zostanę jeszcze pół godziny. Chcę wykorzystać resztę dnia. Miałabyś coś przeciwko temu? Albo zostań, jeśli chcesz.

– Nie, lepiej pójdę. Inaczej będą się niepokoić.

Zbliżył się do niej Ben.

– Mogę cię odprowadzić?

– Nie, Ben. Nie chcę odciągać cię od pracy.

– Nic wielkiego się nie stanie. Już prawie skończyliśmy.

– Nie. – Roześmiała się. – Zobaczmy się rano.

– Tak. Mam nadzieję.

Zeszła śliską ścieżką z klifu na plażę. Nad szerokimi ławicami piasku zapadał zmrok. Trwał odpływ, morze było spokojne. W kilku rozlewiskach odbijało się wieczorne niebo.

– Mogę iść razem z panią? – rozległ się za jej plecami czyjś głos, gdy zamierzała zeskoczyć na piasek.

Zdenerwowała się. Musiał zauważyć, jak odchodzi, i natychmiast przerwał pracę. A może po prostu skończył dniówkę?

– Wracam do domu – odpowiedziała.

Skoczyła, a Stephen skoczył za nią.

– Wiem – rzekł.

Szedł obok niej. Starła się mówić beznamiętnym tonem, ani przyjaznym, ani chłodnym.

– Rzadko panią widywałem, panno Clowance – odezwał się.

– Doprawdy? Ach...

W Namparze paliło się jedno światło w sypialni rodziców. Okna salonu nie były stąd widoczne, bo zasłaniały je skały porośnięte trawą.

– Myślałem, że mnie pani unika – ciągnął.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Nie widzieliśmy się ani razu przez blisko trzy tygodnie. To znaczy tak normalnie. Nie

zeszła pani na obiad, gdy pani rodzice mnie zaprosili. Często siedzi pani w domu, nawet w czasie pięknej pogody.

– Naprawdę?

– Wie pani, że tak. A kiedy pani wychodzi, to zawsze w czyimś towarzystwie.

Od zeszłego roku zapuścił włosy, które w tej chwili opadały mu na ramiona, toteż bardziej niż kiedykolwiek przypominały lwią grzywę. Nie był tęgi, twarz miał dość szczupłą.

– Otrzymała pani mój list? – spytał.

– Jaki list?

– Ten, który wysłałem. Napisałem, że wracam.

– O tak.

– Kiedy przyjechałem, trochę nieszczęśliwie się złożyło, że na początku zobaczyła mnie pani z panną Violet Kellow.

– Dlaczego nieszczęśliwie?

Zatrzymał się, lecz Clowance szła dalej, więc musiał zrobić kilka szybkich kroków, by ją dogonić.

– Tłumaczyłem to Jeremy’emu. Nie wyjaśnił pani?

– Co tu wyjaśniać?

– Wiesz, co można wyjaśniać. Posłuchaj, Clowance, myślałem, że jesteś uczciwą dziewczyną...

Piasek poniżej linii najwyższego popołudniowego przypływu był nierówny i pełen dziur. Clowance zmarszczyła brwi, wygładziła nogą kilka nierówności, po czym ruszyła naprzód.

– Wyjaśniłem to Jeremy’emu – powtórzył. – Nie chciałem cię nachodzić tamtego wieczoru, pierwszego dnia po powrocie, bo nawet nie znałem twojego ojca. A kiedy przyszedłem na festyn, przez cały czas rozmawiałaś i śmiałaś się z tym Carterem. I patrzyłaś na niego. Patrzyłaś na niego... Więc poszedłem do domu, do Willa Nanfana, by wcześniej iść spać, i spotkałem Violet Kellow. Koniecznie chciała zobaczyć ognisko, choć miała gorączkę i kasłała, co zniechęciłoby większość dziewcząt. Była podenerwowana, uparta. Zrobiło mi się jej żal. Poszedłem z nią. To miła dziewczyna i na swój sposób ładna. Ale nic dla mnie nie znaczy. Nie więcej niż tamten kamień! To na tobie mi zależy!

Clowance była niezadowolona. Zachowywała się jak zazdrosna dziewczyna, która odchodzi z wysoko uniesioną głową, ścigana przez chłopaka. Nie mogła zatrzymać się na środku plaży i zacząć rozmawiać ze Stephenem.

Mimo to przystanęła.

– Chcesz, żebym uwierzyła w tę bajeczkę?!

– To szczerą prawdą!

– I myślisz, że mi na tobie zależy?

– Oczywiście, że ci zależy, bo inaczej nie byłabyś wściekła! Gdyby cię to nie obchodziło, po prostu okazywałabyś obojętność. Byłabyś równie przyjazna jak wtedy, gdy odjechałem. Nie rozumiesz, że sama się zdradzasz?

Clowance popatrzyła na latarnie zapalane w kopalni. Migotały na tle klifu i ciemniejszego nieba. Spojrzała na światła, działały na nią uspokajająco. Symbolizowały spokój, normalność, przyjaźń i brak bólu. We dworze matka, ojciec i siostra siadają do kolacji. Własna, kochająca rodzina: żadnych konfliktów, żadnych nieszczęść. Była tu w towarzystwie Stephena i targały nią sprzeczne emocje. Miała wrażenie, że pochłania ją nadchodzący przypływ. Przeżywała różne lęki, ale nie wszystko było lękiem, bo inaczej odwróciłaby się i odeszła. Chciała zranić Stephena, a jednocześnie go uleczyć.

Sama czuła się głęboko zraniona.

– Dobrze, Stephenie, zależy mi na tobie – powiedziała. – Coś dla mnie znaczysz. Jeszcze nie wiem, jak wiele. Ale coś, tak. Mówisz, że ja coś dla ciebie znaczę...

– Jesteś dla mnie wszystkim. – Zrobił krok do przodu. Cofnęła się.

– Mówisz, że ci na mnie zależy. Nie wiem, czy twoja opowieść o spotkaniu z Violet Kellow jest prawdziwa, jednak nie powinieneś się zachowywać w ten sposób. Gdyby... gdyby mi na tobie zależało i gdybym wracała po długiej nieobecności, czy sądzisz, że poszłabym z pierwszym napotkanym mężczyzną na nocny spacer po plaży i cmentarzu? Myślisz, że tak okazałabym, jak bardzo mi na tobie zależy?! – Stopniowo narastała w niej złość. Próbowwała wyrzucić z serca gorycz i niepokój.

– Nie – odpowiedział. – Nie. Masz rację. Przepraszam, bardzo przepraszam. Może nie zasługuję na nic więcej niż chłodne potraktowanie, ale zapewniam cię, nie miałem nic złego na myśli. Postępuję impulsywnie, pod wpływem chwilowych emocji. Wyszła, a ja powiedziałem: „Cześć, Violet!”, a potem wpadłem w pułapkę.

– Ona też wpadła w pułapkę? – spytała Clowance, zaskakując samą siebie.

– Nie, nie, nie powinnaś tak myśleć! Po prostu zachowywałem się po przyjacielsku, to wszystko! Przecież, do licha, była chora i nie mógłbym jej dotknąć! To nie byłoby uczciwe...

Clowance słyszała plotki o Daisy Kellow i wątpiła w zapewnienia Stephena. W istocie wyczuwała w jego głosie coś nieszczerzego, zbyt słodkiego. Drażniło ją to. Niestety, obecność Stephena wprowadzała ją w rodzaj transu, który utrudniał chłodny osąd. Miał ładne zęby, ale jeden z kłów był złamany, co zwracało uwagę, gdy się uśmiechał. Dłonie o krótkich palcach były silne, lecz nie masywne, z krótko przyciętymi paznokciami, czystymi mimo pracy fizycznej. Smukła szyja w rozpiętym kołnierzyku. Kosmyki jasnych włosów opadających na uszy przypominały złote druciki. Wysokie kości policzkowe, ładne, sympatyczne usta nad podbródkiem z pionową bruzdą w środku, szarobłękitne oczy, prawie takiego samego koloru jak oczy jej ojca, lecz bardziej bezpośrednie. Na twarzy Stephena odbijało się doświadczenie,

odzwierciedlała to, co widział i robił, a Clowance zdawała sobie sprawę, że jej pożąda...

– Och, to takie przyjemne... – rzekła. – Przyjemna sprzeczka o przyjemną przygodę. Jestem zła na ciebie, ale trochę mi wstyd. Dajmy temu spokój. Jeśli zostaniesz...

– Chętnie, kochana. Chętnie dam temu spokój i postaram się o tym zapomnieć... – Położył dłonie na jej barkach, przyciągnął ją do siebie i pocałował, zmysłowo muskając jej wargi. – Wiesz, że nie ma nikogo oprócz ciebie. Nigdy nie może być nikogo oprócz ciebie...

– Skąd mam wiedzieć?

– Bo tak mówię. Nie czujesz tego?

Położył dłoń na kokardzie sukienki pod jej szyją. Uderzyła go w twarz.

Cofnął się, przykładając wierzch dłoni do policzka. Wszystko potoczyło się za szybko, teraz to rozumiał, i przeklinał się, że popełnił błąd. Ogarnęła go złość.

– Jeszcze jedna rzecz, o której nie powinienem zapominać, prawda? – odezwał się. – Masz silne ręce, Clowance.

– Przykro mi, jeśli różnię się od innych damulek, które znałeś. Żadna z nich nie ma własnego rozumu?

Opuścił i obejrzał dłoń, jakby się spodziewał, że zobaczy krew.

– Silne ręce... Pewnego dnia, Clowance, będę je całował, gryzł i lizał. Wtedy, kiedy będziesz należeć do mnie. Kiedy będziemy należeli do siebie. Uważam, że to nastąpi, a ty?

Odwrócił się i odszedł. Kroczył po piasku z gniewną miną. Spoglądała za nim, aż zniknął.

W czasie rozmowy niebo pociemniało i zapadł zmrok.

## Rozdział siódmy

### I

Z domu Poldarków na trzy tygodnie zniknęły kobiety, lecz życie toczyło się prawie normalnie. Lato okazało się pogodne, więc pszenicę i owies skoszono wcześniej. Na polach stanęły stogi siana. Zebrano i zmagazynowano kartofle. Dojrzewały jabłka, gruszki i pigwy. Przygotowano torf i kolcolist potrzebne w zimie. Niezbyt dobra pora roku, by opuszczać gospodarstwo – nie wspominając o małwach – i Demelza o mało nie odwołała wyjazdu w ostatniej chwili.

– Nie – sprzeciwił się Ross. – Pora sprawdzić, czego ich nauczyłaś. Wszyscy za bardzo polegają na twoich decyzjach, za wiele od ciebie oczekują. Niech wreszcie zrobią coś sami. W najgorszym razie będę pilnował, by w Namparze nie zawalił się dach.

– Zabraknie nam rąk do pracy. W lecie Clowance ma tyle samo roboty co ja.

– Tym bardziej powinnyście wyjechać na wakacje.

Demelza pomyślała o dwóch spakowanych kufrach stojących na piętrze.

– Wydaliśmy mnóstwo pieniędzy! Nie powinniśmy tyle wydawać tylko na dwa tygodnie. To niestosowne. Nie jesteśmy tak zamożni jak dawniej.

– Tak, to wstyd – odparł Ross.

Spojrzała na niego uważnie.

– Ale przecież sam kazałeś kupować te rzeczy!

– Chciałabyś, żeby twoja córka pojawiła się w towarzystwie ubrana jak dziewczyna z kopalni? A ty zamierzasz wyglądać jak uboga krewna?

– Tym bardziej nie powinnam jechać.

– Caroline pożyczyła wam mnóstwo strojów. Szale, wachlarze, torebki, ozdoby.

– Woalka, parasolka, francuski zegarek, peleryna z kapturem, turban. To skandal, ile od niej pożyczyliśmy! Jej szuflady i szafy muszą być puste!

– Sprawia jej to przyjemność. Dobrze o tym wiesz. Czuje się, jakby sama w tym uczestniczyła. Ty i Clowance powinnyście się cieszyć ze względu na Caroline, jeśli nie ze względu na mnie.

– Och, spróbujemy – odparła Demelza. – Obiecuję, że spróbujemy.

Kiedy obie kobiety wyjechały i w domu została tylko mała Isabella-Rose, Ross mógł spędzać więcej czasu z Jeremym. Syn wstawał wcześniej i wracał późno, całymi dniami jeździł konno

w sprawach związanych z Wheal Leisure, pełen energii i pomysłów, lecz dodawało mu bodźca coś innego niż początkowy entuzjazm. Ross kilkakrotnie zamierzał powiedzieć Jeremy'emu o rozmowie z Johnem Treneglosem, którą odbyli, gdy wracali konno do domu wieczorem w wigilię świętego Jana. Jednak czuł, że rzuciłby w ten sposób cień na Trevanionów, a zatem również na Cuby. Pamiętał, że jako osiemnastoletni chłopak po raz pierwszy się zakochał – w dziewczynie z Tregony – a ojciec próbował mu udzielić kilku mądrych rad. Był wtedy wściekły na Joshuę. Kiedy ojciec wymienił imię dziewczyny, wydawało się, że podeptał lilię. Jego niedelikatne rady wydawały się zupełnie nie na miejscu.

Oczywiście ojciec nie był wyjątkowo taktowny. Ale czy Ross jest taktowny? Od początku nie potrafi nawiązać kontaktu z synem. Młodzi ludzie nie znoszą, gdy rodzice wtrącają się w ich romanse lub choćby się nimi interesują, prawda? Zwłaszcza jeśli romans jest nieszczęśliwy.

Czy Ross nie potrafi nawiązać kontaktu z Jeremym? To wciąż prawda, choć postanowili otworzyć razem kopalnię. Często się spotykają i ich relacje są dość przyjazne. Ross nie wspominał o wyprawach na ryby, bo uważał, że to syn powinien mu wszystko wyjaśnić. Jeremy dalej milczał. Może w ogóle nie zamierza nic powiedzieć? Czy nie sądzi, że Ross może się dziwić, gdzie syn zdobył tak dużą wiedzę o maszynach parowych? Po co te fortele, na litość boską?! Czy ojciec i matka to potwory, przed którymi należy wszystko ukrywać?! Albo głupcy, których trzeba ignorować?

Czy nie nadeszła pora, by wreszcie postawić sprawę jasno, dowiedzieć się, co się za tym wszystkim kryje? W tej chwili są sami w domu, więc warto to wykorzystać.

We wtorek po kolacji Jeremy wspomniał o Caerhays, a Ross wreszcie postanowił porozmawiać z synem.

– Ojciec Horriego był trochę podпиты, gdy wracaliśmy razem do domu po podpisaniu aktu notarialnego w sprawie kopalni. Wspomniałem o Trevanionach, powiedziałem, że złożyłeś im wizytę, a on zaczął o nich opowiadać. Wiedziałeś, że są spokrewnieni?

– Kto?

– Treneglosowie i Trevanionowie.

– Nie.

Ross przytoczył większość rozmowy z Johnem Trevanionem. Kiedy skończył – przedstawił najważniejsze sprawy w wielkim skrócie – umilkł i czekał, lecz Jeremy się nie odezwał. Z kamienną twarzą Ross nalał sobie kieliszek porto.

– Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć – rzekł. – Nie mam pojęcia, czy to prawda... Postawa majora Trevaniona staje się dzięki temu bardziej zrozumiała, choć nie budzi sympatii... Domyślałem się, że chodzi o coś w tym rodzaju.

– Dlaczego?

– W dzisiejszych czasach liczą się pieniądze, zwłaszcza wśród ziemian w Kornwalii, którym

zwykle brakuje gotówki. Rodzina to ważna sprawa, lecz fortuna znaczy o wiele więcej. Należy ubolewać, że właściciele tak wielkich majątków jak Trevanionowie mają poważne kłopoty finansowe. Powodem nie jest pech, tylko wszechogarniająca pycha, pretensjonalność człowieka, który postanowił wybudować zamek.

– Mówisz, że postawa Trevaniona staje się bardziej zrozumiała. Moim zdaniem nie tłumaczy to postępowania Cuby. – Kiedy Jeremy wypowiedział to imię, na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Wreszcie wspomniał o Cuby. Wydawał się gotowy o niej rozmawiać.

– Trevanion jest znacznie starszy od siostry. Jedenaście albo dwanaście lat, prawda? Od dawna zastępuje jej ojca. Jeśli matka się z nim zgadza, dobrze wychowana dziewczyna nie może się jej sprzeciwić.

Jeremy jednym łykiem wypił porto.

– Nie znasz Cuby, ojciec...

– Nie, oczywiście, że nie – odparł spokojnie Ross.

Jeremy nalał sobie drugi kieliszek wina i spojrzał na ojca siedzącego po przeciwnej stronie stołu. Ross skinął głową i syn podał mu butelkę porto. Zapadło długie milczenie, niezbyt przyjazne.

– Dlaczego miałbym zmienić zdanie?

– Och, nie wiem... – odparł niechętnie Jeremy.

– Jest bardzo młoda, prawda?

– Tak.

– Czy to ważne?

– Jest młoda, ale moim zdaniem nie da się przekonać, nawet zmusić, do zgody na ich plany... chyba że sama je zaaprobuje.

– Ma starszą siostrę?

– Tak. Bardzo miłą.

– Chodzi mi o to...

– Wiem, o co ci chodzi, ojciec. Clemency nie jest zbyt ładna. Uważam, że nie przyciągnie bogatych konkurentów.

– Nawet Cuby może się nie udać – stwierdził Ross. – Mimo urody i wdzięku. Proszę, nie zrozum mnie źle. W Kornwalii bardzo brakuje młodych z wielkimi fortunami – a nawet starych. Pamiętaj, że zwykle jest odwrotnie: to mężczyźni szukają posażnych panien. Trevanion musi znaleźć bardzo bogatego człowieka, który zechce mu pożyczyć dużą część swojego majątku, przejąc dwór albo zaaranżować podobną transakcję. Nie będzie to proste.

Jeremy znów opróżnił kieliszek.

– Próbujesz mnie pocieszyć?

W jego głosie zabrzmiał gniew, sarkazm.



– Teraz, gdy znamy przyczynę sprzeciwu, możemy przynajmniej od nowa ocenić sytuację.  
– Znajdź mi fortunę i wszystko będzie dobrze.  
– Ach, na tym właśnie polega kłopot.  
– Czy rzeczywiście wszystko byłoby dobrze? Gdybym wyjechał do Indii i wrócił jako bogacz, czy byłbym zachwycony z małżeństwa z dziewczyną, która wyszła za mnie tylko dlatego, że zaproponowałem najwyższą cenę?

– Nie powinieneś oceniać ich zbyt surowo – rzekł po chwili Ross. – To przedwczesne. Jak wspominałem, rodziny wywierają nacisk nawet na dziewczęta o silnych charakterach. Fakt pozostaje faktem: Cuby jeszcze za nikogo nie wyszła ani nie jest z nikim związana. „Przemysłne plany i myszy i ludzi...”<sup>5</sup>

Jeremy wstał od stołu i podszedł do otwartego okna, z którego widać było ciemnofioletowe niebo i światła latarni Wheal Grace. Do pokoju wpadła ćma i latała, objijając się o sprzęty.

- Oceniam ich surowo.
- Ale nie bardziej niż surowo?
- Tak, bardziej.
- W takim razie żałuję, że ci powiedziałem... Moim zdaniem się mylisz, Jeremy.
- Masz prawo do swojego zdania, ojcze.
- Naturalnie.

Znów zapadło napięte milczenie. Ross postanowił nie dopuścić, by wpłynął na niego gniew Jeremy'ego.

- Sytuacja finansowa Trevanionów może się zmienić.

Ćma zbliżyła się do świecy, opaliła sobie skrzydła i leżała na blacie stołu, trzepocąc i usiłując wzbić się w powietrze.

- Chyba pójdę spać – powiedział Jeremy.

Ross patrzył, jak syn przechodzi przez pokój, bierze otwartą książkę i wsuwa do niej kawałek papieru jako zakładkę. Był to wyjątkowo niesprzyjający moment, by poruszyć następny temat, jednak postanowił to zrobić.

- Może poświęciłbyś mi jeszcze chwilę?
- Ojcze, nie jestem w nastroju, by dalej o tym rozmawiać.
- Tak. Ja też nie. To twoja prywatna sprawa i wspominałem o niej tylko dlatego, że uznałem, że powinieneś wiedzieć, co mówił John Treneglos. Chodzi o coś innego.
- Obaj mamy za sobą długi dzień...

– Kiedy tamtego dnia rozmawiałem z Johnem Treneglosem, powiedział mi coś jeszcze. Mówił, że twoje wyprawy, które odbywasz od dłuższego czasu, rzekomo na ryby, to tylko pozór, przykrywką dla innych zajęć. Tak naprawdę regularnie odwiedzasz Harveya z Hayle, by poznać praktyczne zasady inżynierii oraz konstrukcję maszyn parowych.

Jeremy odłożył książkę, wsunął do niej kawałek papieru i ją zamknął.

– To prawda? – spytał Ross.

– Tak, prawda.

– Jaki jest cel tego fortelu?

– Czy to ważne?

– Tak, moim zdaniem tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ specjalnie się starałeś to przede mną ukrywać. I przed matką. Studia nad budową maszyn parowych, książki, listy, które piszesz i otrzymujesz, a zwłaszcza zdobywane przez siebie praktyczne doświadczenie. Prosiłeś nawet Dwighta, by nie wspominał, jakie książki ci pożycza. Nie sądzisz, że mam prawo do wyjaśnienia?

Jeremy odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Mówiłeś, że eksperymenty z parą są niebezpieczne – mruknął.

– Kiedy? Tak powiedziałem?

– Owszem. I nigdy nie wierzyłeś w możliwości kotłów wysokoprężnych.

– Jeszcze nie wiesz, jakie są ich możliwości. Może nikt nie wie. Z pewnością niebezpieczeństwa są realne.

– Więc kiedy mnie to zainteresowało, kazałeś mi się trzymać od tego z dala.

– Naprawdę...? Tak. – Ross uniósł cmentem łyżeczki i owad znów zaczął trzepotać skrzydłami. – Tak, teraz sobie przypominam. Dlatego uznałeś, że czego oko nie widzi, tego sercu nie żal, tak?

– Nie myślałem o tym w taki nieprzyjemny sposób, ale z grubsza to prawda.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że stawiasz mnie w trudnej sytuacji?

– Nie, nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Kiedy dorosłeś i stałeś się mężczyzną, wydawało mi się, że masz niewiele dążeń... zainteresowań, celów.

– Matka też tak uważa?

– A nie powinna? Oczywiście twoja matka – podobnie jak większość matek – stara się widzieć tylko to, co dobre. Ja też próbowałem. Mówiłem sobie, że oczekuję zbyt wiele i zbyt wcześnie. Ale z czasem twój stosunek do różnych rzeczy zaczął mnie irytować. Mimo wysiłków, żeby tak nie było. Mogłeś to zauważyć.

– Tak.

– Czasami okazywałem, a przynajmniej czułem, zniecierpliwienie tym, co mówiłeś. Uważam, że nie jestem całkowicie pozbawiony poczucia humoru... Ale twoja absurdalna nonszalancja...

– To po prostu specyficzny rodzaj humoru – odparł Jeremy.

– Może. Jednak powinieneś rozumieć, że jeśli stale zachowujesz się nonszalancko, moje sądy,

opinie na twój temat – nazywaj to, jak chcesz – opierają się na błędnych informacjach, a raczej braku informacji. Kiedy człowiek czuje, że zrobiono z niego idiotę, jest wyjątkowo poirytowany.

– Rozumiem, co masz na myśli. Jeśli to moja wina, przykro mi.

– Mówisz bez przekonania, ale może to bez znaczenia.

– Czy byłbyś bardziej zadowolony, gdybyś wiedział, że łamię twoje surowe zakazy i robię to, co chcę robić?

– Na litość boską, chłopcze, czy twoi rodzice to tyrani, że musisz kłamać i stosować podstęp, by postawić na swoim?! Czy nie mogliśmy przynajmniej o tym porozmawiać?

– Sprzeciwiłbyś się. Co innego mógłbyś powiedzieć?

– Nie jestem pewien. Nie uważałem swojego zakazu za tak nieodwołalny, jak ci się zdawało.

– Ja tak go traktowałem.

– Dobrze znałem i lubiłem Francisa Harveya – powiedział Ross. – Jeśli ma się dorastającego syna ze skłonnością do udziału w niebezpiecznych eksperymentach, które doprowadziły do śmierci przyjaciela, mówi się do niego: „Nie rób tego! Zrobisz sobie krzywdę!”. Dlatego ostrzegałem cię przed kotłami wysokoprężnymi, podobnie jak ostrzegałbym cię przed bystrzami w morzu, krową, która niedawno się ocieliła, i schodzeniem do nieczynnych kopalni, gdzie zbutwiały drabiny. Jeśli w przyszłości nie uznasz tego za naturalne zachowanie wobec syna, będziesz złym ojcem!

– Myślałem, że to coś więcej niż zwykłe ostrzeżenie.

– Po kilku latach trudno dokładnie pamiętać własne uczucia. Może się obawiałem, że za bardzo zaczniesz się fascynować Trevithickiem?

Jeremy odetchnął głęboko.

– Możliwe.

– Jego przedsięwzięcia zawsze były wyjątkowo ambitne, a potem nic z nich nie wychodziło. Wcale mnie nie zdziwiło fiasko jego pokazu w Londynie, choć był fascynujący. Nie zdziwiła mnie również eksplozja, która zabiła tamtych ludzi. I czego potem dokonał?

– A cudowny eksperyment w Pen-y-Daren, gdy parowóz przejechał piętnaście kilometrów, ciągnąc pięć wagonów z dziesięcioma tonami żelaza i siedemdziesięcioma pasażerami? To było wspaniałe.

– Ale później przeprowadził nieudany eksperyment w Londynie.

– Chyba tak. – Jeremy był zaskoczony pamięcią ojca. – Lecz w Pen-y-Daren odniósł sukces. Nikt nie potrafił go powtórzyć.

– Trevithick jest teraz chory – powiedział Ross. – Wrócił do Kornwalii. Chociaż spędził całe życie w Londynie, nie zrobił większych postępów. Jak mi mówiłeś, nie byłeś w stanie się z nim zobaczyć. – Jeremy zamierzał odpowiedzieć, lecz Ross dodał: – Nie życzę mu źle. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby odniósł sukces jako konstruktor.

– Pan Woolf również angażuje się w przedsięwzięcia z kotłami wysokoprężnymi – rzekł Jeremy. – Jednak nie jest zainteresowany pojazdami drogowymi.

– Muszę sobie zadać pytanie, czy troska o twoje fizyczne bezpieczeństwo była jedynym powodem, który sprawił, że nie podobało mi się twoje praktyczne zaangażowanie w konstrukcję maszyn parowych.

– Czy ma to w tej chwili jakieś znaczenie? Czemu zadawać takie pytania? Co powinienem twoim zdaniem zrobić?

– Nic, oczywiście. Choć chciałbym, byś częściej dopuszczał mnie do konfidencji.

– Jeszcze raz przepraszam – powtórzył Jeremy, nieco nadąsany.

– Może kierowała mną fałszywa duma... – powiedział Ross.

Jeremy ze zdziwieniem spojrział na ojca.

– Duma?

– Tak, niewykluczone. Mimo wszystko czasem miewamy błędne poglądy na temat tego, czym możemy się zajmować ze względu na swoją pozycję jako ziemianie. Jak zauważyłeś, przez całe życie pracowałem ramię w ramię z górnikami i parobkami. Prowadziłem kopalnię i gospodarstwo, nie zwracając uwagi na odciski na dłoniach ani brudne paznokcie. Ale praktyczne studia nad maszynami parowymi i pojazdami drogowymi sprawiają, że człowiek staje się kimś w rodzaju utalentowanego kowala.

– Czy to ważne?

– Czy inni młodzi ludzie z twojej sfery chcieliby się w to angażować? To coś zupełnie innego niż wspomaganie zdolnego wynalazcy i zainteresowanie jego projektami. Przypomina to wstąpienie do wojska bez patentu oficerskiego. – Ross zgasił jedną ze świec, by zniechęcić ćmę.

– Wielki Boże, jak wyniośle i staroświecko to brzmi! Proszę, nie myśl, że mam takie poglądy. Staram się analizować własne motywy, by lepiej je rozumieć.

Jeremy nalał sobie trzeci kieliszek porto.

– Zetknąłem się z taką opinią, gdy po raz pierwszy poszedłem do kuźni Harveya, ojczec. Henry Harvey z przyjemnością gościł mnie jako syna kapitana Poldarka, rozumiał, że chcę obejrzeć zakład, ale nie mógł uwierzyć, że interesuję się szczegółami technicznymi: „To nie wypada, mój drogi!”.

Żartobliwe użycie standardowego zwrotu było pierwszą oznaką, że napięcie opada.

– Nawet teraz nie jestem zupełnie pewien, co cię tak fascynuje – rzekł Ross.

– W parze?

– Naturalnie.

Jeremy zamknął jedno z okien i umocował skobel.

– Chyba już ci o tym mówiłem.

– Może komuś innemu, nie mnie. Nie pamiętam, żebyś mi o tym opowiadał.

Młody człowiek uniósł brwi, słysząc gorycz w głosie Rossa.

– Dziś wieczorem jest już za późno, ojcze.

– Nie sądzę.

Jeremy się zawahał.

– Czy to warunek?

– Oczywiście, że nie. Skądże.

Młody człowiek w dalszym ciągu się wahał.

– Cóż... czy to nie oczywiste? Siła sprężonej pary to najbardziej niezwykle odkrycie od czasu wynalezienia koła.

– Doprawdy?

– Zastanów się nad jej potęgą. W odróżnieniu od prochu ma niezliczone zastosowania pokojowe. W końcu będzie dostarczać światła, ciepła, zastąpi konie i żagle. Zmieni świat!

– Na lepsze? – spytał Ross.

– Tak sądzę. W każdym razie para zmieni nasze życie. Nie możemy się cofnąć. Jeśli nie rozwiniemy tej technologii, zrobią to inni.

Ross spojrział na syna. Jeremy pomógł zranionej, protestującej ćmie wylecieć z domu przez drugie okno, a później je zamknął.

– Zbliży się sobotnie zebranie udziałowców i ważne, bym jak najwięcej o tym wiedział.

– Sprawa jest prosta. To, że jestem twoim synem, nie może w żaden sposób wpływać na decyzję w sprawie maszyny parowej! Powinna zostać podjęta wyłącznie na podstawie obiektywnych przesłanek.

– I tak się stanie. Ale bądźmy praktyczni. Jeśli nie chcemy zapraszać kogoś z zewnątrz, jakiegoś nieznanego inżyniera z Truro albo Redruth, ostateczna decyzja będzie należeć do mnie. Treneglosowie nie mają pojęcia o maszynach parowych, prawda? A ty konsultowałeś się już z Aaronem Nanfanem i braćmi Curnow...

– Przyjadą pan Harvey i pan West.

– Tak, bardzo na to liczę.

Zapadło milczenie. Jeremy dopił porto i nieelegancko otarł usta wierzchem dłoni.

– Poczekajmy na to, co przyniesie sobota, ojcze.

Ross zgasił kolejną świecę.

– Niedawno oglądałem naszą starą maszynę w Wheal Grace i rozmawiałem z Peterem Curnowem. W ostatnich tygodniach mówiłeś, że teraz można skonstruować znacznie nowocześniejsze urządzenie. Beth została zbudowana przez Trevithicka, a przynajmniej na podstawie jego projektu. Czy w ciągu dwudziestu lat jego idee stały się tak zupełnie przestarzałe?

– Kiedy konstruowano Beth, patent Watta na skraplacz pary miał być ważny jeszcze przez

kilka lat. Gdy inni inżynierowie go naruszali, groził im proces sądowy. Podobno Watt był dość bezwzględny.

– Tak słyszałem.

– W Wheal Grace mamy typowy model zaprojektowany przez Boultona i Watta, a ciśnienie jest wyższe od atmosferycznego zaledwie o kilka atmosfer. Oczywiście Bull i Trevithick wprowadzili pewne ulepszenia. To dobra maszyna, która może pracować wiele lat, jeśli ją odpowiednio konserwować. Jest sporo urządzeń tego rodzaju. Często nie osiągają maksymalnej wydajności z powodu ignorancji i zaniedbań. Nie powiedziałbym tego o Beth, ale jej maksymalne możliwości nie są wystarczające.

Ross zgasił trzecią świecę. Od ostatniej zapalił dwa przenośne lichtarzyki.

– Kiedy patent Boultona i Watta po raz pierwszy wygasł, odeszli wszyscy doświadczeni inżynierowie i agenci handlowi Watta – ciągnął Jeremy. – Murdock opuścił go rok wcześniej, korzystało z jego usług wiele kopalni... Wydaje się, że przez kilka lat w Kornwalii było niewielu ludzi znających się na konstrukcji maszyn parowych i mających odpowiednie doświadczenie. Czy to prawda? Na pewno znasz te sprawy lepiej ode mnie.

– Chyba tak. Poza tym nie było żadnej konkurencji: Boulton i Watt kontra anty-Boulton i anty-Watt. Przez pewien czas panował chaos, pamiętam.

– Nie powstrzymało to jednak wynalazców, prawda? Stale eksperymentowali. Oczywiście największy postęp techniczny to kocioł wysokoprężny i związane z nim nowe idee, ale są również inne kwestie. Najważniejszy czynnik to precyzja wytwarzania.

– Harvey wydaje się przekonany, że ją osiągnął.

– Tak... O tak. Moja... Maszyna dla Wheal Leisure niezbyt się różni od wielu niedawnych konstrukcji, ale znasz jej wymiary i wiesz, że jest znacznie mniejsza od maszyny Wheal Grace. Mimo to będzie potężniejsza i znacznie tańsza w eksploatacji.

Ross wręczył Jeremy'emu jeden z przenośnych lichtarzyków. Chciał coś powiedzieć, lecz się rozmyślił.

– Zastanawiam się, jak się miewa twoja matka i Clowance.

– Przypuszczam, że doskonale.

– Ja także – odparł Ross.

Dwaj mężczyźni, zmęczeni po trudnej rozmowie, lecz odnoszący się już do siebie z większą sympatią, weszli po schodach do sypialni.

## II

W sobotę, po dyskusji trwającej od jedenastej do pierwszej, postanowiono zamówić do kopalni

Wheal Leisure maszynę parową zaprojektowaną przez syna głównego udziałowca. Później zjedzono obiad – wyłącznie w męskim towarzystwie – po czym Henry Harvey i William West wyruszyli w długą drogę do domu. W następnym tygodniu syn głównego udziałowca trzykrotnie udał się do Hayle, dwa razy w towarzystwie Horriego Treneglosa, a trzecim razem z Paulem i Daisy Kellowami.

Oczywiście wciąż nie było jeszcze nic do oglądania, a zresztą gotową maszynę miano przywieźć w częściach – drogą morską, gdyby pogoda okazała się sprzyjająca – i zmontować na miejscu. Paul najbardziej interesował się parowymi pojazdami drogowymi, podobnie jak Daisy, choć w tym przypadku również nie było nic do oglądania, tak jak Jeremy ostrzegł siostrę Kellowa w wigilię świętego Jana. Mimo to, gdy Jeremy prowadził głębokie dyskusje z Harveyem, Westem i Pole'em, Daisy wydawała się zainteresowana.

Kiedy przed drogą powrotną wsiedli na konie, spytała:

– Co to wszystko znaczy, Jeremy? „Wczepy pletwiaste, czopy, kit żelazny”. Czy się przesłyszałam?

– Przepraszam. Mówiłem, że to bardzo nudne.

– Tak, ale co to znaczy?

– Pan West uważa, że rury kotła mogą popękać, ale nigdy nie wybuchną. Czy to nie ważne? Spuściła oczy.

– Przepraszam, że cię nudzę, zadając takie głupie pytania.

– Nigdy mnie nie nudzisz.

– Po wigilii świętego Jana miałam wiele okazji, by cię nudzić – odpowiedziała, uśmiechając się zalotnie do Jeremy'ego.

– W takim razie powinienem cię przeprosić, Daisy. Zajmowałem się kopalnią i projektowaniem maszyny parowej. Nie miałem czasu prawie na nic innego. – Była to prawda, choć Jeremy celowo starał się pograć w pracy. Próbował zapomnieć o flircie z Daisy. Nie była dziewczyną, którą można łatwo uwieść – oraz porzucić – a młody człowiek zachował dość rozsądku, by zrozumieć, że szybkie zainteresowanie inną dziewczyną z powodu nieszczęśliwej miłości nie jest receptą na szczęśliwe małżeństwo.

Nawet w tej chwili targały nim sprzeczne emocje. Szczerze lubił Daisy i dobrze się czuł w jej towarzystwie. W jakiś sposób w dalszym ciągu jej pragnął. Była wesołą, atrakcyjną młodą kobietą o przekornych manierach i ładnej figurze. Wiedział, że wystarczyłoby tylko kiwnąć głową. Utrzymywanie przyjaznego dystansu tak, by jej nie urazić, wymagało delikatności i frustrującego panowania nad sobą.

Wszystko z powodu innej dziewczyny, która go odrzuciła i czekała na bogatego męża. Wydawało się, że ojciec chciał go pocieszyć, opowiadając o trudnej sytuacji Trevanionów, jednak Jeremy wcale nie poczuł ulgi. Cuby wydawała się teraz bardziej nieosiągalna, ponieważ

rozumiał, na czym polega przeszkoda. Pierwotne obiekcje Trevaniona wydawały się nieistotne i obraźliwe, ale pieniądze to zupełnie inna sprawa. Kwoty można zapisać na papierze, dodawać i odejmować. Sumować złote monety. Dzielili ich wyraźna bariera, którą można usunąć tylko w jeden sposób.

Jeremy nie widział żadnej możliwości, by przełamać tę barierę. Nigdy nie odczuwał szczególnego pragnienia bogactwa. Budowa pojazdu parowego mogła zająć kilka lat – o ile w ogóle się powiedzie. Co do kopalni, był to hazard: jeśli nie odkryją wielkich złóż jak w kopalni Dolcoath, jest mało prawdopodobne, że Jeremy stanie się tak bogaty, jak tego wymagają Trevanionowie.

Nawet gdyby zdarzył się cud, jaka jest korzyść z poślubienia dziewczyny pochodzącej z rodziny, której zależy tylko na pieniądzach?

Kiedy jechał z Daisy do domu, żartował z nią i flirtował, na krótko pozwolił sobie na luksus myślenia o Cuby – robił to rzadko, ponieważ serce wypełniała mu gorycz. Wieczorem pozostawił Daisy i Paula w Fernmore, obiecując, że spotkają się znowu nazajutrz. Opuściły go ostatnie nadzieje, ostatnie złudzenia. Musiał stawić czoło życiu bez Cuby Trevanion – nie w tym tygodniu czy w tym roku, ale zawsze. Nie jest przeznaczona dla niego. Są na świecie inne dziewczęta. Choćby Daisy. Nie może nigdy więcej zobaczyć Cuby. Gdyby ją spotkał, złamałoby mu to serce. Nie jest mu przeznaczona – i nigdy nie będzie.

Wrócił do Nampary przed zachodem słońca, ale nie mógł się zebrać, by wejść do domu. Czuł się śmiertelnie zmęczony, nieszczęśliwy, nigdy wcześniej nie przeżywał takiego bólu. Postanowił pójść do Wheal Leisure, bo to pozwoliłoby na jakiś czas skupić się na czymś innym. Na którymś z obecnych tam mężczyzn...

Zastał w kopalni ojca.

Na początku instynktownie go unikał, schodził Rossowi z drogi, by nie wyczuł obecnego nastroju syna. Ojciec znał go z jednej strony zbyt dobrze, a z drugiej niedostatecznie dobrze...

Mimo to zapanował nad tym odruchem. Ross uśmiechnął się do niego, uniósł dłoń i kontynuował inspekcję budynku. Po chwili Jeremy przyłączył się do ojca.

Pomyślał, że ten nieszczęsny tydzień przyniósł przynajmniej jakieś postępy. Rozmawiali i nie pokłócili się, co w jakiś sposób oczyściło atmosferę. Po raz pierwszy zrozumiał, że ojciec jest człowiekiem, którego można zranić. Wcześniej wydawał się groźny, pewny swojej pozycji i osiągnięć. Ojciec i matka Jeremy'ego stanowili idealną parę – tworzyli jedność, wydawało się, że potrafią sobie poradzić z każdym problemem i z każdą krytyczną sytuacją. W czasie rozmowy przy kolacji Jeremy miał wrażenie, że Ross nie mówi wszystkiego, co wie o budowie maszyny parowej do kopalni. Jednak to udawanie – jeśli ojciec rzeczywiście udawał – i cała rozmowa sugerowały... Może ojciec, z pozoru tak silny, jest bezbronny pod jednym względem – gdy chodzi o uczucia i szczęście jego dzieci. Była to nowa myśl.



Budowano teraz drugie piętro maszynowni. Chociaż stała na płaskiej powierzchni w niższej części klifu, jej mury rysowały się na tle nieba. Po zakończeniu budowy łukowate drzwi i okna, spadzisty dach z łupku i okrągły komin z cegły będą nawiązywać do kornwalijskiej tradycji architektonicznej, która łączy użyteczność z dostojnością.

– Coś jest nie tak? – spytał po chwili Ross.

– Nie... – Jeremy obawiał się tego pytania.

– To znaczy... bardziej niż nie tak.

Jeremy uśmiechnął się cierpko.

– Nie.

Ross spojrział na maszynownię.

– Wheal Leisure będzie wyglądała lepiej niż Wheal Grace. Kiedy ją budowaliśmy, z trudem wiązaliśmy koniec z końcem. Szukaliśmy miedzi i nie mogliśmy jej znaleźć. Negocjowałem z udziałowcami Wheal Radiant sprzedaż maszyny parowej, gdy nagle znaleźliśmy cynę. Pamiętam wyraz twarzy Henshawe'a, kiedy przyniósł próbki rudy... – Umilkł na chwilę. – Nie zapominaj, że trochę rozumiem, co czujesz, Jeremy. Jechałem na tym samym wózku.

– Jakim wózku?

– Może powinienem powiedzieć, że rozbiłem się w czasie jazdy. Kochałem kobietę, a potem ją straciłem.

– Historia się powtarza... Ale znalazłeś...

– Kogoś lepszego, wiem. Jednak trudno było tak na to patrzeć.

Jeremy trącił nogą kamień.

– Szkoda, że nadsztygar Henshawe odszedł. Miał świetne oko do żył.

– Och, i ciągle na tym zarabia. Propozycja pracy w Walii była zbyt dobra. Nie mogłem go zatrzymać.

– Myślę, że Ben sobie poradzi.

– Mam nadzieję. Kiedy będzie nadzorował trzydziestu lub czterdziestu górników, wszystko się zmieni. W hrabstwie jest wielu ludzi podobnych do niego, ekscentryków. To cecha kornwalijskiego temperamentu.

– Chyba nie lubię pewnych cech kornwalijskiego temperamentu.

– Jeśli masz na myśli to, co podejrzewam, nie jest to wyłącznie cecha Kornwalii. W istocie rzeczy im dalej na wschód, tym silniej się przejawia.

– Może po prostu gardzę ludzką naturą – odparł Jeremy.

– Niewątpliwie jakaś jej część zasługuje na pogardę.

– Czy ciotka Elizabeth poślubiła twojego kuzyna Francisa Poldarka, bo miał więcej pieniędzy? – spytał nagle Jeremy. Mówił szorstkim tonem.

Ross zamrugł. Pytanie prosto z mostu. Ale sam je sprowokował.

– Jej matka chciała, by go poślubiła. Elizabeth była pod wpływem rodziców. Poza tym mówiono – a raczej plotkowano – że zmarłem od ran w Ameryce. Kiedy wróciłem, była zaręczona z Francisem... Bardzo skomplikowana sprawa.

– Wszystkie takie sprawy są skomplikowane, ojcze. – Jeremy zaśmiał się krótko. – Ben długo się zastanawiał, czy przyjąć naszą propozycję. Moim zdaniem w końcu zgodził się ze względu na Clowance.

Ross zmarszczył brwi.

– Znowu jakiś sekret?

– Nie... Ty... Przypuszczam, że wiesz, że Ben zawsze się w niej podkochał.

– Wiedziałem, że ją lubi. Nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak bardzo.

– O tak. Nie sądzę, żeby miał jakieś nadzieje, ale może uważa, że jeśli coś się nie ułoży i jakimś cudem – cudem dla niego – Clowance zwróci się ku niemu, posada w kopalni i trochę pieniędzy mogłyby mu pomóc.

– Boże, jesteście urodzonymi szydercami – rzekł po chwili Ross.

– Zgadzam się.

Wracali do domu po miękkim piasku, bo woda niedawno się cofnęła. Przy każdym kroku piasek skrzypiał, jakby szli po świeżo spadłym śniegu.

– Powiedz mi, czy Bella już z kimś flirtuje? – odezwał się Ross.

– Tylko ze swoją świnką morską.

Opuścili plażę, przeszli przez furtkę i ruszyli w stronę dworu. W ogrodzie zobaczyli Stephena, który podziwiał kwiaty Demelzy.

– Stephen! – zawołał Jeremy.

– Ach, dobry wieczór, sir – odpowiedział Stephen. – Mam nadzieję, że nie przyszedłem nie w porę.

Ross pokręcił głową.

– Bynajmniej. Proszę, wejdź.

– Te wysokie kwiaty, sir, z małymi pąkami wzdłuż łodygi. Nie pamiętam, bym je wcześniej widział.

– Malwy – wyjaśnił Ross. – Moja żona ma do nich słabość, ale szkodzi im wiatr.

Stephen pochylił się, by je powąchać.

– Nie pachną.

– Bardzo delikatnie. Chcesz porozmawiać z Jeremym?

– Nie, niezupełnie, sir. Chciałem zamienić kilka słów z panem, kapitanie. Z Jeremym też, jeśli chce zostać. To tylko interesy. Postanowiłem przyjść i z panem porozmawiać.

Ross zerknął na okno dworu. Jane Gimlett zapalała świece, a Isabella-Rose, która jeszcze nie zauważyła zbliżającego się ojca, skakała wokół niej. Ileż miała w sobie witalności! Znacznie

więcej niż pozostała dwójka w jej wieku.

– Interesy?

– Tak, sir, właśnie o to chodzi. Na pewno pan wie, że pracowałem w Wheal Leisure.

– Tak, oczywiście.

Stephen przesunął dłonią po gęstych włosach.

– Jak pan wie, kapitanie Poldark, pana syn i ja dobrze się poznaliśmy podczas pana nieobecności. Kiedy wróciłem w te strony, opowiedział mi o Wheal Leisure i o tym, co zamierza robić. Cóż, wierzę w tę kopalnię, kapitanie, wierzę.

Umilkł na chwilę.

– Tak?

– Kilka tygodni temu zszedłem z Jeremym na dół. Nie nadaję się do tej pracy! Marzyłem, by natychmiast wyjść na powierzchnię! Ale myślałem o tym jako o przedsięwzięciu handlowym. Jestem trochę hazardzistą. Wie pan, jak to jest, gdy człowiek czuje, że coś się uda? Myślę, że Wheal Leisure przyniesie zyski.

– Na czym polega interes? – spytał Ross.

Stephen podszedł bliżej. Trzymał w ręku niewielką skórzaną sakwę.

– Interes polega na tym, że chciałbym zainwestować w kopalnię. Jeremy na pewno panu wspomniał, że sprzedałem przyz w Bristolu. Nie dostałem tyle, ile mi się należało, ale mam trochę pieniędzy. Cóż... Jeremy mówi, że sprzedaje pan udziały w Wheal Leisure. Po dwadzieścia funtów za akcję. Chciałbym kupić dwie, jeśli to możliwe.

Poldarkowie spojrzeli na siebie. Jeremy uniósł lekko brwi, by pokazać ojcu, że to dla niego taka sama niespodzianka.

– Ogłoszenie o tym, że można kupować udziały, ukazało się trzynastego lipca w „Royal Cornwall Gazette”. Według ogłoszenia powinienes się zgłosić do pana Barringtona Burdetta na Pydar Street numer siedem w Truro. Nie wiem, czy wszystkie akcje zostały już sprzedane. Naturalnie nie mam nic przeciwko temu, żebyś zainwestował pieniądze w kopalnię, ale muszę cię ostrzec, że to ryzykowne. Wyglądasz na doświadczonego młodego człowieka, Carrington, i widziałeś już trochę świata, jednak topienie pieniędzy w kopalni jest wyjątkowo niebezpieczne i byłoby nieuczciwie, gdybym cię nie ostrzegł. Jest to bezpieczniejsze niż postawienie pieniędzy na konia albo na kartę, ale niewiele.

Stephen spojrział Rossowi w oczy.

– Sam inwestuje pan pieniądze w kopalnię, kapitanie.

Ross się uśmiechnął.

– Raz dopisało mi szczęście, ale najpierw o mało nie zbankrutowałem. Po prostu mam to we krwi.

– Ja też jestem trochę hazardzistą – odparł Stephen. – Moim zdaniem życie jest niewiele

warte, jeśli człowiek nie ryzykuje. Interesuje mnie praca w kopalni. Czasem schodzę na dół. Tak czy inaczej, mam zamiar osiąść w okolicy. To po prostu przecucie. Gdyby nie pana syn, byłbym już martwy, więc uważam, że Jeremy przynosi mi szczęście. Dlatego chciałbym zaryzykować razem z przyjaciółmi.

– Jeremy mógłby ci wyjaśnić, jakie są zasady – rzekł Ross. – Przed otwarciem kopalni każdy z inwestorów kupuje określoną liczbę akcji po dwadzieścia funtów za sztukę, co zostaje zanotowane w księdze akcjonariuszy. Ja, pan Treneglos, Jeremy i Horace kupujemy po pięć akcji i płacimy po sto funtów. Gdybyś kupił dwie akcje, musiałbyś zapłacić czterdzieści funtów. Zaczekaj, to nie koniec. Co trzy miesiące odbywa się zgromadzenie akcjonariuszy, na którym zarządca przedstawia poniesione koszty. W razie otwarcia nowej kopalni udziałowcy w czasie następnego kwartalnego spotkania będą musieli podwoić swoje wkłady i wpłacić odpowiednie kwoty na rachunek kopalni. Może się to powtórzyć kilka razy. Jeśli udziałowiec nie ma pieniędzy, by wnieść dopłatę, albo nie chce tego zrobić, musi wystawić swoje akcje na sprzedaż. Gdy kopalnia nie przynosi zysków, często sprzedaje je z wielką stratą. Jeżeli większość udziałowców nie chce lub nie może wpłacać dalszych kwot, kopalnię się zamyka. Rozumiesz to wszystko?

– Dość dobrze – odparł Stephen. Poruszył sakiewką, która dotykała jego uda. – Myślę, że byłbym w stanie podwoić swoje udziały. Później zależałoby to od moich dochodów. Ale...

– Mój ojciec słusznie wskazuje na niebezpieczeństwa – wtrącił Jeremy. – Oczywiście wszystko może się potoczyć pomyślnie. Jeżeli kopalnia jest dochodowa, w czasie kwartalnego zgromadzenia udziałowców dokonuje się podziału zysków. Zarządca kopalni natychmiast je wypłaca: w złocie, banknotach, skryptach dłużnych. Często przychodziło mi do głowy, że udziałowcy bogatej kopalni łatwo mogliby paść ofiarą rabusiów. Zwłaszcza że przy tej okazji wielu z nich upija się do nieprzytomności.

Ross miał zamiar powiedzieć coś jeszcze, lecz nagle z domu wypadła Isabella-Rose. Zrozpaczona, rzuciła się w ramiona ojca. Miała potargane włosy, otaczała ją chmura wstążek i koronek.

– Bello, Bello, Bello! – Ross wziął ją na ręce i obrócił.

– Papooo! – jęknęła. – Pani Kemp powiedziała, że nie mogę zostać na kolacji, bo byłam niegrzeczna! Mówi, że ją uszczypnęłam, a ja wcale tego nie zrobiłam! Nie pozwala mi palić świec, bo plamię woskiem dywan! Widziałeś na dywanie choć jedną plamę z wosku?! Widziałeś, papo, widziałeś?!

Ross pocałował delikatny policzek, na którym, jak zauważył, nie było śladów łez.

– Moja mała Bello, pani Kemp jest bardzo dobrą starszą panią, która opiekuje się tobą pod nieobecność mamy, rozumiesz? Mamy nie ma, więc rządzi pani Kemp. Wiesz, co to znaczy?

– Tak, papo, dziwne, że myślisz, że tego nie rozumiem! Ale pani Kemp powiedziała, że ją

uszczyptałam, a ja tego nie zrobiłam! Poza tym...

– Bello, byłoby miło, gdybyś przeprosiła panią Kemp – o nie, nie powiedziałem, że ją uszczyptałaś – przeprosiła, że szarpała ją za spódnicę. Gdybyś ją za to przeprosiła, może pozwoliłaby ci zostać na kolacji. Będziemy gościć Stephena Carringtona, więc czy nie sądzisz, że powinnaś pójść i pogodzić się z panią Kemp?

– Dziękuję panu, sir – rzekł Stephen Carrington, a dziewczynka najpierw się zawahała, po czym wpadła do domu.

– Nie mogę nic obiecać w sprawie akcji, ale gwarantuję jedzenie – powiedział Ross.

Wszedł do dworu przed dwoma młodymi mężczyznami. Uznał, że pod nieobecność Clowance warto poznać lepiej jednego z jej konkurentów i wyrobić sobie zdanie na jego temat.

## Rozdział ósmy

### I

Pani Poldark i panna Poldark spędziły tydzień w Bowood. Opuściły Truro we wtorek wczesnym rankiem i przybyły do wielkiego dworu w czwartek w porze podwieczorku.

Pani Poldark jeszcze nigdy nie była taka zdenerwowana. Wielokrotnie musiała obcować z właścicielami ziemskimi, bogaczami i arystokratami, lecz jak dotąd nie znalazła się w takiej sytuacji. W tej chwili znacznie lepiej znała konwenanse i zwyczaje panujące w wyższych sferach, ale po raz pierwszy nie miała obok siebie Rossa. (Jedynym wyjątkiem było szalone przyjęcie u Bodruganów na początku lat dziewięćdziesiątych. Była wtedy tak wściekła i rozżalona, że nie troszczyła się o to, co się wydarzy). Poza tym jednym razem zawsze towarzyszył jej mąż. Teraz znajdował się daleko, ona zaś miała poznać ludzi, których nigdy wcześniej nie widziała i nie miała szczególnej ochoty poznawać. Na dodatek musiała spędzić wśród nich dłuższy czas, co utrudniało sytuację. Kolejnym obciążeniem była obecność pokojówki Caroline, choć dziewczyna okazała się sympatyczna i uprzejma.

Gdyby chodziło tylko o reputację Demelzy, można by się nie przejmować. Tym razem jednak mogła zawieść córkę.

Bardzo niepokoiła ją kwestia akcentu. Kiedy poznała Rossa, na długo przed zawarciem małżeństwa, gdy jeszcze pracowała w kuchni w Namparze, uważnie obserwowała, w jaki sposób mówi, i usiłowała go naśladować. Po ślubie nauczyła się czytać i pisać; dzięki wrodzonej inteligencji szybko przyswajała sobie zwroty używane przez Rossa. Ale chociaż starała się mówić poprawnie, co obecnie prawie zawsze jej się udawało, nie zwracała uwagi na akcent. Mieszkała w Kornwalii wśród wieśniaków, którzy doskonale znali jej pochodzenie, i naśladowanie akcentu klas wyższych wydawało jej się pretensjonalne. Naturalnie z biegiem lat przestała mówić jak córka górnika i teraz było to ledwo dostrzegalne. W Kornwalii prawie nikt nie zwracał na to uwagi. Jednak w czasie rzadkich wyjazdów do Londynu zdawała sobie sprawę, że dziwnie przeciąga głoski. Podejrzewała, że robi to nawet Ross. Ale jego akcent był znakomity – mówił dźwięcznym głosem wykształconego dżentelmena z lekkimi naleciałościami regionalnymi. Akcent Jeremy'ego był bardziej kornwalijski od akcentu Rossa. Clowance, z pozoru nieświadomie, dostosowywała swój sposób mówienia do towarzystwa, w którym się znajdowała. Demelza podejrzewała, że córki są często oceniane na podstawie tego, jak

zachowują się ich matki. (W jej głowie pojawiło się ohydne podejrzenie, że właśnie dlatego zaproszono ją do Bowood).

Pierwszego wieczorujechały – wydawało się, że bez końca – przez wielki park, w którym skubało trawę stadko jeleni. Kiedy w końcu koła karety zazgrzytały na zwirowanym podjeździe i ukazał się wielki dwór z gigantycznym portykiem, Demelza pomyślała, że odbywa się w nim bal albo przyjęcie. Przed domem spacerowały tłumy gości w strojach wieczorowych; wypełniali oni również wielką salę recepcyjną. Nie zapadł jeszcze zmrok, gdzieś grała orkiestra, wśród głosów i śmiechów rozlegały się odległe tony skrzypiec.

Wynajęły w Bath karete, za którą Demelza z właściwą sobie przytomnością umysłu zapłaciła z góry, co oszczędziło jej konieczności regulowania rachunku na oczach ludzi. Trzech lokai w liberjach czekało na bagaże, trzy damy wysiadły z karety, Enid z szacunkiem stała z tyłu z jednym z mniejszych kuferków. Nastąpiły koszarne dwie minuty, gdy bagaże wnoszono do dworu – kilka kobiet uniosło lorgnon i zaczęło szeptać za wachlarzami. Po schodach zbiegł młody, wysoki, dość niezgrabny mężczyzna.

– Droga panna Poldark! Pani Poldark, jak się domyślam? Jesteśmy zaszczytzeni, że raczyły nas panie odwiedzić. Proszę wybaczyć, że mamy tylu gości. Czwartek to szczególny dzień. Zapraszamy do domu. Ufam, że podróż nie była zbyt nużąca? Moja ciotka rozmawia z gośćmi, bardzo pragnie panie poznać. Czy w czasie podróży padało? Hawkes, Harris, zaprowadźcie pokojówkę pani Poldark do jej pokoju. Proszę pozwolić mi wziąć tę torbę, pani Poldark. Wszystkim zajmą się służący. To wielkie szczęście, że zdążyły panie przyjechać jeszcze dziś. Panno Poldark, proszę pozwolić...

W wielkiej sali od grupki gości odłączyła się tęga, niska, bezpretensjonalna kobieta. Fioletowa jedwabna suknia, lorgnon na złotym łańcuszku i trąbka pozwalająca lepiej słyszeć. Lady Isabel Petty-Fitzmaurice.

– Droga pani Poldark! Panna Poldark! Jak to miło, że przebyły panie tak długą drogę, by nas odwiedzić! Z pewnością są panie zmęczone, prawda? Niestety, obiad skończył się przed godziną. Chivers, zaprowadź panią Poldark i pannę Poldark do ich pokoi i każ podać lekki posiłek. W czwartki mamy bardzo wielu gości. Codziennie są jakieś rozrywki, bardzo o to dbamy!

Do Clowance i Demelzy podeszła młoda, ładna kobieta, która odłączyła się od innej grupki gości; miała na sobie połyskliwą suknię z białej koronki. Z roztargnioną miną uściśnęła im dłonie, lecz po chwili uśmiechnęła się promiennie. Lord Edward przedstawił swoją szwagierkę, markizę Lansdowne. Rozmawiając, podążyły na piętro, gdzie wprowadzono je do dużej sypialni z widokiem na jezioro; przylegała do niej druga, mniejsza sypialnia pełniąca również funkcję garderoby. W domu było wielu gości i lady Isabel wyraziła nadzieję, że połączone sypialnie okażą się wygodne.

Lody zostały przełamane. Demelza natychmiast poczuła sympatię do tęgiej, niskiej kobiety, która przypominała ciotkę Betsy Triggs. Zachwycała się pokojem i widokiem z okien, a w tym czasie – trwało to prawdopodobnie pół godziny – Enid rozpakowała rzeczy wraz z drugą pokojówką, po czym zeszła na dół coś zjeść. Demelza i Clowance usiadły w wygodnych półkolistych fotelach po przeciwnych stronach stołu, na którym znajdowały się pół łososia, pieczony kapłon, kawał szynki, syllabub, patera z owocami, cheddar i trzy butelki reńskiego wina.

– A więc jesteśmy na miejscu! – powiedziała Demelza i uśmiechnęła się promiennie do córki znad krawędzi kieliszka.

Clowance, która jak dotąd zachowywała się spokojnie i dość obojętnie, skrzywiła się ironicznie.

– Wygląda na to, że nie będziemy głodować! Czy nie byłoby cudownie, gdybyśmy mogły jeść wszystkie posiłki w tym pokoju?

– Pierwsze wrażenie bardzo się liczy – odparła Demelza. – Czy to źle, gdy przywiązujemy do niego dużą wagę?

– Nie, jeśli jest dobre.

– A twoje wrażenie jest dobre?

Clowance się roześmiała.

– Tak.

– Tylu ludzi... Czy to dom, czy plac targowy?

– Lord Edward wyjaśnił, że w czwartki urządzają dzień otwarty. Niezupełnie rozumiem, co to znaczy, ale jutro te tłumy znikną. Wygląda to jak przyjęcie, na które prawie każdy może przyjść. Lansdowne'owie spędzają w Bowood niewielką część roku, lecz kiedy już się pojawiają, przyjmują wszystkich sąsiadów.

Demelza nałożyła Clowance porcję łososia i wzięła trochę dla siebie.

– Jakie to dziwne: mieć tyle ziemi, że nie można długo przebywać w każdym majątku! Obawiam się, że twój ojciec powiedziałby, że jedna rodzina nie powinna posiadać tak wielkich bogactw. Przyznaję jednak, że jeszcze nikt nie zrobił na mnie tak dobrego wrażenia po tak krótkiej znajomości.

Clowance uniosła kieliszek.

– Jutro wszystko może się okazać zupełnie inne, mamo. Dlatego myślę, że powinniśmy wznieść toast za pierwsze wrażenie.

– Chętnie to zrobię.

Wypiły.

– Po raz pierwszy – albo prawie po raz pierwszy – czuję się trochę zdenerwowana! – powiedziała Clowance.



## II

Kiedy lord Edward wspomniał, że szczęśliwym zrządzeniem losu Demelza i Clowance przybyły w czwartek, miał na myśli to, że nazajutrz, w piątek, wszyscy mieszkańcy Bowood udali się na wyścigi konne do Chippenham. Wyruszyli w południe w dwukółkach, karetach i kilku otwartych kaleszach, urządzili piknik po drodze i spędzili cztery godziny na torach wyścigowych. Podziwiano rumaki – trzy pochodziły ze stajni Lansdowne'ów – zawierano zakłady, obserwowano gonitwy, wiwatowano, pito maderę. Demelzie pożyczono lunetę, by widziała, który koń wyszedł na prowadzenie po pierwszym okrążeniu, a lord Edward skwapliwie pożyczył własną lunetę Clowance.

Piknik na świeżym powietrzu i atmosfera wyścigów pozwoliły wszystkim zawrzeć bliższą znajomość; każdy przyjmował, że pozostali goście pochodzą z rodów o nieskazitelnej genealogii. Na początku Demelza zwierzyła się lady Isabel Petty-Fitzmaurice, trzymającej przy uchu trąbkę, że jeszcze nigdy nie była na wyścigach konnych, lecz ta oznaka zaniedbań w wychowaniu poszła w niepamięć, gdy Demelza okazała się znawczynią koni, a zwłaszcza ich chorób. Clowance miała wrażenie, że dwie młode damy, Helena Fairborne i panna Florence Hastings, są nieco wyniosłe i protekcyjne, ale poza tym dzień okazał się bardzo miły. Większość gości zachowywała się swobodnie.

Na wyścigi pojechała grupa złożona z dwudziestu osób i z okazjonalnych wzmianek można było wywnioskować, że we dworze pozostało sześciu gości. W tak krótkim czasie nie dawało się zorientować, jaki jest status różnych osób krążących po domu po śniadaniu: czy są gośćmi, rezydentami, ziemianami, zarządcami nieruchomości. Nie próbowano dzielić uczestników wycieczki na wyścigi według płci ani wieku – nie dawało się tego zrobić, choćby w przypadku samej markizy, która miała zaledwie dwadzieścia sześć lat i stanowiła ośrodek zainteresowania. Lady Lansdowne, wysoka, jasnowłosa i ładna, z wdziękiem nosiła powiewne szaty, a kiedy się do kogoś odzywała, spoglądała rozmówcom w oczy z niezwykłą szczerością i bez afektacji.

Podobnie zachowywał się Edward. Clowance żałowała, że wraz z matką i z nią nie przyjechał ojciec, ponieważ oceny Demelzy były naiwne i intuicyjne, a uprzedzenia Rossa nadawały wszystkiemu nowy wymiar. Jeśli mówił coś, co w oczywisty sposób mijало się z prawdą, dawało to Clowance podstawę do formułowania własnych ocen.

Demelza przypuszczała, że Fitzmaurice'owie celowo zorganizowali wycieczkę na wyścigi. Wszyscy dobrze się bawili, wygrali trochę pieniędzy – Clowance osiem gwinei – bądź stracili trochę pieniędzy – Demelza cztery gwinee. Goście odprężyli się pod wpływem madery, stali się rozmowni i nie zwracali uwagi na status społeczny sąsiadów. Wrócili do dworu zmęczeni

skwarem, w dalszym ciągu czując skutki wypitego wina. Zjedli obiad w Bowood, nie przebierając się w galowe stroje. Wkrótce potem damy zaczęły ziewać za wachlarzami i całe towarzystwo poszło wcześniej spać.

Nie był to jednak typowy dzień, a późniejsze typowe dni potwierdziły obawy Demelzy.

Śniadanie serwowano około dziewiątej trzydzieści – mniej więcej dwie godziny później niż zwykle w Namparze. O wpół do jedenastej w wielkiej sali recepcyjnej odmówił modlitwę kapelan, wielebny Magnus, po czym wszyscy udali się do wspaniałej biblioteki, by przedyskutować plany na resztę dnia albo wysłuchać sugestii, jak go spędzić. Ponieważ była akurat sobota, wszyscy dżentelmeni wybrali się na polowanie lub na ryby i wrócili dopiero o piątej. W tej epoce obiady podawano coraz później i kolacja straciła na znaczeniu, toteż o pierwszej wprowadzono nowy posiłek zwany lunchem, by goście mogli coś zjeść między śniadaniem a głównym posiłkiem, który podawano o wpół do siódmej i do którego wszyscy powinni się przebrać w stroje wieczorowe.

W sobotę, gdy szesnaście dam pozostało w swoim towarzystwie, nadszedł czas próby. Na szczęście dzień okazał się pogodny i ciepły, więc panie nie musiały siedzieć w domu, grać w karty, haftować i prowadzić uprzejmej konwersacji. Zasugerowano, że spacer niektórymi ścieżkami i alejami stanowi część rytuału wizyty w Bowood – aleje okręzały posiadłość szerokim łukiem i pozwalały dotrzeć do miejsc widokowych i dekoracyjnych budowli parkowych. Kiedy padła propozycja, by je odwiedzić, z ust dam wyrwały się entuzjastyczne okrzyki.

Na łagodnym zielonym stoku po przeciwległej stronie jeziora znajdowała się świątynia grecka w stylu doryckim. Wycieczkę zorganizowano w ten sposób, że damy dotarły tam około pierwszej i spożyły zimny posiłek. Siedziały w wiklinowych fotelach, jadły, piły i gawędziły, podziwiając panoramę, kwiaty i ptactwo wodne.

– Panno Poldark, proszę powiedzieć, co robiłaby pani o tej porze w domu – odezwała się panna Hastings, gdy służący nalewał jej wina. – Przysięgam, że ja z pewnością nie bawiłabym się nawet w połowie tak dobrze jak teraz!

– W pogodne dni w lecie – odrzekła Clowance – ja, moja matka, a czasem również mój ojciec i brat, gdy przebywają w domu, mamy zwyczaj pływać.

– W morzu?! – zdumiała się panna Fairborne. – Cóż za dziwny obyczaj! Nie działa to niekorzystnie na... na zdrowie? Czy nie zaburza naturalnych funkcji na resztę dnia?

– Nie sądzę – odparła Clowance. – Przez cały rano zwykle zajmujemy się gospodarstwem, a ponieważ jemy obiad dość wcześnie – przed trzecią – bardzo przyjemnie jest najpierw popływać w morzu przez pół godziny. Człowiek wychodzi z wody rześki, zaczerwieniony...

– Cóż za pyszny obraz... – odparła panna Hastings, tłumiąc ziewnięcie. – Jednak, Bóg mi świadkiem, sama bym się na to nie odważyła...

– W Brighton kąpiele w morzu to ostatni krzyk mody – zauważyła lady Lansdowne. – Zapoczątkował je książę regent. Szczęście, że mają państwo domki kąpielowe tak blisko domu, panno Poldark.

– Och, nie mamy domków kąpielowych.

Przez chwilę panowała cisza.

– Domki kąpielowe znajdują się w Penzance, ale to niemal pięćdziesiąt kilometrów od Nampary – dodała Clowance.

– Więc proszę nam zdradzić swój sekret – odezwała się panna Fairborne. – Czyżby korzystały panie z jaskiń?

– Czasem, choć rzadko – odparła Clowance. – Dwór jest bardzo blisko plaży. Wystarczy narzucić na siebie pelerynę.

– Przecież może wtedy na panie patrzeć miejscowe pospólstwo, prawda?

– Wieśniaków jest niewielu, a jeśli już, są to nasi dzierżawcy.

(Zgrabna riposta, pomyślała Demelza. Moja córka potrafi obrócić wszystko na swoją korzyść).

– Niezwykle ciekawe – zauważyła panna Hastings. – Mieć dwór tak blisko morza i używać go jako domku kąpielowego! Mam nadzieję, że nie zalewają państwa fale?

– Czasami bryzgi uderzają w okna. Ale nie jest to niebezpieczne, zapewniam panią.

– W jakich czepkach się panie kąpią, by nie moczyć włosów? – spytała panna Fairborne.

– Och, wcale nie nosimy czepków – odpowiedziała Clowance. – Włosy szybko schną na słońcu.

Damy wstrzymały oddech.

– Nie są skołtunione i brudne?

– Niespecjalnie. Łatwo je później umyć.

– Niektórzy ludzie piją morską wodę dla zdrowia – wtrąciła lady Lansdowne. – Rok temu był to ostatni krzyk mody.

Demelza bała się, że damy spytają Clowance, jaki nosi kostium kąpielowy. Ponieważ córka nie lubiła pływać nago ani nosić niezwykłych kamizelek i sukien, których ilustracje pojawiały się w czasopiśmie o modzie, zaprojektowała własny kostium. Przypominał grecki chiton, nie miał rękawów, sięgał do połowy ud i był związany w talii powrozem. Demelza przypuszczała, że gdyby damy zobaczyły taki strój kąpielowy, byłyby wstrząśnięte.

Po lunchu odwiedziły sztuczną grootę pustelnika, która była wilgotna i niezbyt ciekawa w porównaniu z naturalnymi jaskiniami wykorzystywanymi przez dawnych pustelników na krańcu plaży Hendrawna, a później podziwiały wspaniałą kaskadę spadającą z hukiem z trzech poziomów – sztuczną, podobnie jak jezioro, lecz nie mniej piękną. Obejrzały również mauzoleum Lansdowne'ów.

Damy wsiadały do powozów i wysiadały z nich z furkotem sukien, trzymając w rękach kolorowe parasolki. Przypominały barwne motyle, śmiały się, paplały i głośno komentowały piękno i niezwykłość każdego z odwiedzanych miejsc. Demelza i Clowance się nie nudziły – do obejrzenia było wiele ładnych, dziwnych lub interesujących rzeczy, lecz czuły się nieco zażenowane, ponieważ inne damy znacznie szybciej, choć nieco sztucznie, wyrażały swoje zadowolenie i fascynację. Demelzie i Clowance trochę brakowało słów, by opisać własne uczucia. Demelza kilkakrotnie wtrącała uwagi przed innymi, ale był to akt desperacji.

Najważniejszym wydarzeniem dnia okazał się obiad. W sobotę po raz pierwszy przestrzegano wszystkich konwenansów. Oczekiwano, że o czwartej damy udadzą się do swoich pokoi, po czym o szóstej zjedzą na parter w najpiękniejszych strojach, prowadząc uprzejmą konwersację, i przejdą z biblioteki do jadalni jako tak zwana procesja. Lady Isabel wytłumaczyła Demelzie, że do niedawna pary przechodziły z małego salonu do jadalni, ale zrezygnowano z tego zwyczaju ze względu na niezbyt dużą odległość – trudno to było nazwać „procesją”. Napomknęła przy tym, że jest jeszcze jedna korzyść: jeśli panowie pozostawieni samym sobie robią w jadalni dużo hałasu, damy nie mogą ich słyszeć w odległej bibliotece.

Demelza w całym swoim dotychczasowym życiu nawet do najbardziej oficjalnego przyjęcia nie przygotowywała się dłużej niż pół godziny, toteż przez pierwszą godzinę pisała list do Rossa, a przez część drugiej asystowała Enid w przygotowaniach Clowance.

Uważała, że jak dotąd ich stroje wytrzymują porównanie z ubiorami pozostałych dam. Na wyjściach były ubrane nieco poważniej niż reszta gości, a dziś nosiły za mało wstążek i koronek, lecz nie miało to większego znaczenia. Ten wieczór był znacznie ważniejszy. Jeśli wierzyć Rossowi, ekstrawagancja to nie wszystko. Liczy się dobre wychowanie – wygląd, dowcip, elegancja. Ross był przekonany, że nie wypadną gorzej od reszty towarzystwa. To miło z jego strony. Miał absolutną pewność co do swojej pozycji społecznej, a nie wszyscy mogą się tym pochwalić. Dlaczego nie przyjechał, nie wprowadził własnej córki w arystokratyczne towarzystwo?

Cóż... Caroline skłoniła Demelzę i Clowance do sporych wydatków, a kiedy pani Trelask nie nadążała za najnowszą modą albo brakowało jej pomysłów, Caroline sama je podpowiadała. Tego wieczoru Clowance miała zejść na dół w sukni w stylu greckim z delikatnego indyjskiego muślinu z półtrem oblamowanym srebrnymi frędzlami. Pani Trelask mówiła, że rękawy są w stylu czerkieskim, a góra *à la chemise*. Fryzura niezbyt wysoka, z lokami na czole i niewielkim diademem ze splecionych pereł. Clowance włożyła białe satynowe trzewiki ze srebrnymi sprzączkami. Demelza uważała, że córka wygląda niewiarygodnie pięknie.

Sama Demelza, jak przystało matronie w średnim wieku, przywdziała znacznie poważniejszą suknię z niebieskiej satyny ze Skandynawii ze srebrnymi guzikami z przodu i srebrnym sznurem opasującym talię.

Kiedy w końcu zeszły na parter, Demelzę poprowadził pan Magnus, kapelan, a Clowance lord Edward. Obiad upłynął w miłej atmosferze, po czym słuchano muzyki i grano w karty. Lecz tego wieczoru ziewali panowie i znów prawie wszyscy wcześniej poszli spać.

Niedziela przebiegła podobnie, choć tym razem dżentelmeni byli bardziej ożywieni. Towarzystwo udało się do kościoła na nabożeństwo. W niedzielę wieczorem Clowance towarzyszył sam lord Lansdowne – ogromny zaszczyt – a jej matce pułkownik Powys-Jones, który przebywał na urlopie po kampanii w Portugalii i kurował się z ran odniesionych pod Barrosą. Demelza, mająca dość dobry słuch, poprzedniego wieczoru słyszała, jak pułkownik Powys-Jones kogoś o nią pyta i mówi, że jest cholernie ładna, więc wydawało się prawdopodobne, że towarzyszy Demelzie z własnej woli.

Powys-Jones, niski, sprężysty mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, mówił staccato. Nosił krótkie włosy – „przyzwyczaiłem się, nie czepiają się ich wszy, madame” – jego strój wieczorowy był nieco wyświechtany, a cera żółtawa – „pamiątka po Indiach, madame”, lecz miał bystre oczy, którymi rozglądał się uważnie jak kogut i najwyraźniej myślał o tym samym co kogut. (Oczywiście w siedzibie tak szacownego rodu nie mogło się wydarzyć nic skandalicznego, jednak coś wisiało w powietrzu). Demelza, z lśniąco-ciemnymi oczami, pięknymi ustami i ładną cerą, niesłychanie się pułkownikowi podobała. To, że ma prawie osiemnastoletnią córkę, dodawało sprawie pikanterii. Demelza znała w przeszłości wielu ludzi o nazwisku Jones, pochodzących z plebejskich rodzin, jednak dodatek „Powys” nadawał pułkownikowi mistyczny celtycki splendor, którego z początku nie rozumiała, choć sama pochodziła z rodziny o korzeniach celtyckich. Powysowie-Jonesowie byli odległymi potomkami Glendowerów i Llewellynów, rodów królewskich Walii.

Pułkownik opowiedział jej o tym przy obiedzie, a Demelza trochę słuchała, a trochę usiłowała się zorientować, jak Clowance radzi sobie z gospodarzem. Tego wieczoru córka miała na sobie inną suknię, ze wspaniałego czerwonego brokatu, który podkreślał piękno jej jasnych włosów i cery. (Zamówiły dla Clowance zaledwie pięć sukni wieczorowych. Caroline powiedziała, że to wystarczy, lecz Demelza czuła lekki niepokój).

Młody markiz Lansdowne był przystojniejszy od brata, może nieco zbyt pedantyczny, z zanadto długą szyją, ale nie ulegało wątpliwości, że to dobry człowiek, inteligentny, poważny, zdający sobie sprawę z obowiązków ciążących na nim z racji własnego statusu. Zaledwie rok wcześniej nazywał się Henry Petty, miał grzecznościowy tytuł lorda i był posłem do Izby Gmin z Camelford – niewątpliwie czekała go długa, lecz niekoniecznie udana kariera parlamentarna. Później, po bezpotomnej śmierci przyrodniego brata, został wielkim panem. Tytuł markiza, ogromny majątek i inne aktywa, kontrola nad trzema mandatami poselskimi, dochody w wysokości dwudziestu sześciu tysięcy funtów rocznie. Wszystko to zapierało dech w piersiach.

A młodszy brat? Skromniejszy, ale bez wątpienia bardzo bogaty. Czegóż można pragnąć dla córki? Z pewnością nie pozycji kosztem szczęścia – nigdy, pod żadnym pozorem.

Ale jakie inne możliwości ma Clowance? Czy – jeśli tego nie chce – musi podejmować decyzję tak wcześnie, gdy nawet nie skończyła osiemnastu lat?

Czy w ogóle czeka ją podjęcie decyzji? Może lord Edward zaprasza do Bowood wiele młodych panien? Może tydzień zakończy się ogłoszeniem jego zaręczyn z Heleną Fairborne, córką lorda Fairborne'a z Tewkesbury? (W tej chwili bardzo jej nadskakiwał). Albo z Heleną Hastings, kuzynką hrabiego Sussex. Czy w ogóle należy myśleć o tym przyjęciu w kategoriach perspektyw matrymonialnych? Czy młodzi ludzie nie mogą się spotykać, nie wywołując absurdalnych spekulacji?

– Słucham? – odezwała się Demelza do Powysa-Jonesa.

– Podobno pani mąż jest oficerem. A bratanek służy w czterdziestym trzecim regimencie piechoty? Doskonały pułk, lekka dywizja Craufurda. Nazywają go Czarnym Bobem. Uratował sytuację w czasie bitwy nad rzeką Cōa. Pani mąż w dalszym ciągu przebywa za granicą?

– Nie, wrócił do domu kilka miesięcy temu.

Powys-Jones prychnął. Na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

– Po wyjeździe z Bowood musi mnie pani odwiedzić. Radnorshire to tylko dzień jazdy konnej na zachód. Dylizans jest wygodniejszy, choć podróż trwa półtora dnia.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie, pułkowniku, lecz jak pan widzi, jestem z córką.

– Musiała pani wyjść za mąż jako dziecko, ale – niech mnie diabli porwą – proszę ją ze sobą przywieźć! Mam dwóch gnuśnych synów, którzy mogą nabrać wigoru na jej widok. Albo na pani widok, madame! Do kaduka, albo na pani widok...

– Czeka na mnie mąż...

– Och, palicho mężów! Komu potrzeba męża po dziesięciu latach małżeństwa?! Zapewnia damie nazwisko, pozycję i dach nad głową... Mężowie są jak meble...

– Czy nie jest pan żonaty, pułkowniku?

– Byłem, madame, byłem. Później żona postanowiła uciec z moim kuzynem, młodym durniem. Mam nadzieję, że dostał to, na co zasługuje. Co do jutra...

– Jutra? – Demelza uniosła brwi. – Wspominał pan o jutrze?

– Właśnie to zrobiłem. Pojedzie pani ze mną na przejażdżkę.

– Czy to rozkaz?

– Tak.

– Jako część czterdziestego trzeciego regimentu?

– Do licha, tak, jeśli to sprawia pani przyjemność.

– Nie mogę, pułkowniku. Niech pan pamięta o mojej reputacji.

– Pani, w towarzystwie oficera i dżentelmena pani reputacja jest całkowicie bezpieczna.

Proszę się nie obawiać.

– Sądzi pan, że nasza gospodyni to zaaprobuje?

– Zadbam o to, do licha!

– A moja córka?

– Co ma z tym wspólnego? Proszę nie mówić, że troszczy się o matkę. Żadne dziecko tak się nie zachowuje.

– Jest oddana ojcu.

Pułkownik Powys-Jones wzruszył ramionami.

– Diabelnie nienormalne. Nienawidzę więzów rodzinnych. Moim zdaniem ludzie powinni płodzić dzieci, a potem się rozstawać.

– Jakby ubijali śmietaną.

– Śmietaną?

– Kornwalijską śmietaną? Podgrzewa się ją, a potem oddziela.

– Wiem, czego pani pragnie, madame.

– Czego? – spytała prowokacyjnie Demelza.

Pułkownik się zawahał i ostatecznie nie ośmielił się powiedzieć tego, co zamierzał. Zamiast tego zrobił zboląłą minę.

– Nie ufa mi pani. Właśnie o to chodzi! Uważa mnie pani za łotra z walijskich bagien, który zamierza nastawać na pani cześć!

Demelza wzięła kawałek chleba.

– Jeśli chodzi o pierwszą kwestię, nie, sir. A co do drugiej, czy nie ma pan takiego zamiaru?

Pułkownik zatrząsł się ze śmiechu. Próbował to ukryć, wypluwając kęs jedzenia w chusteczkę.

– Na Boga, tak!

Obiad upłynął w miłej atmosferze.

## Rozdział dziewiąty

### I

Lord Lansdowne gawędził z Clowance w trakcie posiłku. Z krótkimi przerwami stale nawiązywał z nią rozmowę, zachęcając ją do mówienia o tym, co lubi, a czego nie, i wtrącał pytania na temat życia w Kornwalii. Clowance przekonywała samą siebie, że to normalna kurtuazja doświadczonego gospodarza. Tylko szczególne okoliczności wizyty sugerowały, że ze względu na śmierć rodziców Edwarda to właśnie starszy brat pragnie się czegoś dowiedzieć o młodej prowincjuszce, którą Edward się interesuje. Czy lord Lansdowne – podobnie jak major Trevanion – działa *in loco parentis*? Czy wkrótce wyrzuci ją za drzwi, jak to spotkało Jeremy'ego?

Długo rozmawiali o ojcu Clowance – oboje mieli o nim wysokie mniemanie i całkowicie się zgadzali – po czym dyskutowali o bracie Clowance, która wspomniała o jego zainteresowaniu maszynami parowymi. Rozbawiona, przewyciężyła nieśmiałość, opowiedziała o dziwnych wyprawach na ryby i wyjaśniła, o co naprawdę chodziło.

Henry Lansdowne się uśmiechnął.

– Czy ojciec był zadowolony, gdy poznał prawdę?

– Nie wiem, co naprawdę o tym sądzi! Gdyby brat poprosił o pozwolenie, wątpię, czy ojciec by go udzielił. Trochę niepokoją nas niebezpieczeństwa związane z maszynami parowymi.

– W zimie ten dom jest ogrzewany parą – zauważył lord Lansdowne. – Niedawno kazałem zainstalować nowy system.

– Naprawdę, sir?! Powiem o tym Jeremy'emu. Będzie podekscytowany.

– Rankiem zaprowadzę panią do piwnic i pokażę to urządzenie. Może pani wyjaśnić bratu, jak działa ogrzewanie parowe.

– Dziękuję, milordzie. To bardzo miło z pana strony.

Lansdowne zjadł pół łyżeczki syllabuba, delektując się jego smakiem.

– Uważam, że kiedy skończy się wojna, panno Poldark, czeka nas epoka wielkich zmian. We Francji wybuchła rewolucja o charakterze politycznym. Nawet w razie upadku Napoleona nie uda się przywrócić *ancien régime'u*. Ani cofnąć czasu. W Anglii, częściowo wskutek naszych talentów wynalazczych, a częściowo w rezultacie wojny, trwa rewolucja techniczna, której ważnym elementem jest para. Wierzę, że zmieni ona nasz kraj. Cała Europa pragnie importować



angielskie produkty przemysłowe. Kiedy będzie je można sprzedawać na kontynencie, nasz kraj czeka okres wielkiego dobrobytu. Choć w tej chwili w środkowej Anglii i na północy panuje straszliwy kryzys, wszystko się zmieni. Takie zmiany mogą się nie podobać wielu ludziom, lecz uważam, że prości ludzie, robotnicy i parobcy, którzy porzucili domy rodzinne, by pracować w fabrykach, również będą mieli swój udział w dobrobycie. Oczywiście nieszczęście, nędza i niesprawiedliwość nie znikną, ale sądzę, że nastąpi postęp. Poprawi się nie tylko poziom życia, ale także ludzkie oczekiwania dotyczące tego poziomu. Stoimy na progu nowej epoki.

Clowance uśmiechnęła się do markiza.

– Nie mam wątpliwości, że mój brat byłby uszczęśliwiony, gdyby usłyszał pańskie słowa, milordzie. Jestem pewna, że zgodziłby się ze wszystkim.

– Może któregoś dnia się spotkamy – odparł lord Lansdowne.

Były to bardzo miłe słowa, które sugerowały, że towarzyszka obiadu nie obraża jego poczucia smaku.

## II

Nazajutrz padał deszcz, a we wtorek nad wielkim parkiem płynęły obłoki, zza których chwilami wyglądało słońce. Tego dnia pułkownik Powys-Jones wznowił atak i zaprosił panią Poldark na dłuższą przejażdżkę powozem. Jednak Demelza postawiła na swoim i towarzyszyła im Clowance. Nie tylko Clowance, lecz również lord Edward Fitzmaurice.

Pojechali otwartą kaleszą. Powys-Jones nie był z tego zbyt zadowolony, ponieważ zamierzał zabrać Demelzę do lekkiej dwukółki lub podobnego pojazdu ciągniętego przez parę siwków, a później zmusić konie do kawaleryjskiego galopu. Jazda w cztery osoby wydawała mu się zbyt powolna, a do tego na koźle siedział woźnica. Mimo to pułkownik wkrótce odzyskał humor.

– To właśnie tu, na Boga – powiedział – właśnie na tym wzgórzu Kornwalijszczy pod wodzą Hoptona i Grenville’a dzielnie stawili czoło przeklętym prezbiterianom. Grenville poległ i do dziś nie jest pewne, kto zwyciężył – chociaż to Waller się wycofał. Podobno obie strony były tak wyczerpane, że tylko od przypadku zależało, kto wycofa się pierwszy. Jeśli znowu wsiądziemy do powozu, zabiorę państwa aż do Roundway Down, gdzie purytanie naprawdę dostali szkołę. Książę Maurycy pędził co koń wyskoczy z Oksfordu i zdążył przechylić szalę zwycięstwa na stronę rojalistów.

– Nie mieszkaliśmy tutaj w tamtych czasach – rzekł do Clowance Edward Fitzmaurice.

– W jakich czasach?

– W epoce wojny domowej. Zdaje się, że majątek należał wtedy do dżentelmena o nazwisku Bridgeman. Nasza rodzina przybyła tutaj zaledwie przed sześćdziesięcioma laty. Budowa dworu

nie była jeszcze zakończona. To mój ojciec uczynił z niego to, czym jest dzisiaj.

– Jest pan Irlandczykiem? – spytała.

– Dlaczego pani pyta?

– Nazwisko Fitzmaurice brzmi...

– Petty byli kupcami bławatnymi z Hampshire. Jeden z uzdolnionych członków rodziny został profesorem w Oksfordzie, po czym pojechał do Irlandii i nabył tam posiadłość. Jego syn poślubił córkę hrabiego Kerry, a potomek tego małżeństwa odziedziczył majątek Kerrych i przyjął ich rodowe nazwisko Fitzmaurice. Połączono nazwiska Petty i Fitzmaurice, które od tamtej pory stały się nierozdzielne... Ale niech mi pani opowie o własnym.

– Własnym nazwisku? Poldark? Nie do końca wiem. Ktoś przybył do Anglii z hugenotami i wzenił się w kornwalijską rodzinę o nazwisku Trenwith. A później...

– Więc jesteśmy do siebie bardzo podobni, panno Poldark.

– Doprawdy?

– Czyż nie?

– Nie, ponieważ pana rodzina ma wielki majątek i wielkie posiadłości. My jesteśmy dość skromnymi ziemianami.

– Miałem na myśli to, że nasze rody powstały w podobny sposób. Ale muszę zauważyć, że majątek i posiadłości należą do mojego brata. Sam jestem dość ubogi. Mój dom nazywa się Bremhill, musi pani go jutro obejrzeć...

– Ha... hm! – Pułkownik Powys odchrząknął. – Czekamy na pana, Fitzmaurice.

– Przepraszam – odpowiedział lord Edward i szepnął do Clowance: – Strzelała pani kiedyś z łuku?

– Nie, nigdy.

– Mamy strzelnicę. Niezbyt daleko. Zastanawiam się...

– Nad czym?

– Czy pani matka i Powys-Jones pozwolą nam zrezygnować z dłuższej wycieczki... Przepraszam, pułkowniku...

– Sir?

– Zastanawiam się, czy pozwoliliby pan nam nie towarzyszyć sobie do Roundway. Pomyślałem...

– Chętnie, drogi chłopcze...

– O co chodzi? – spytała czujnie Demelza.

– Pani Poldark, tak się składa, że jesteśmy bardzo blisko strzelnicy łuczniczej. Pomyślałem, że może pani córka zechciałaby oddać kilka strzałów. Przyznaję, że jestem dopiero początkującym łucznikiem i również potrzebuję nauki. Natomiast pani i pułkownik Powys-Jones moglibyście pojechać do Roundway, jak ustaliliśmy, i zabrać nas w drodze powrotnej...

– Łucznictwo – rzekł Powys-Jones, gładząc się po podbródku. – Wspaniały sport. Gdzie jest ta strzelnica?

– Za następnym wzgórzem. Mój brat Henry dobrze strzela i często ćwiczy, ale mnie brak na to czasu.

– Macie tory łucznicze?

– Tak, tory na trawiastym terenie. Wszystko jest przygotowane. Gdyby zabrał pan panią Poldark do Roundway...

W ogolonej głowie pułkownika przez chwilę obracały się kółka zębate. Myślał.

– W takim razie jedźmy tam wszyscy! – oznajmił na swój zwykły wojskowy sposób, jakby dowodził oddziałem wyruszającym na rekonesans.

– Dokąd? – spytała Demelza.

– Postrzelać z łuków. Moim zdaniem to diabelnie dobry pomysł!

– Sir, nie ma żadnej potrzeby, by pan i pani Poldark zmieniali plany – odparł Edward, wyraźnie zaskoczony. – Myślałem tylko o sobie i panie Poldark...

– Nonsens – przerwał pułkownik. – Jestem bardzo zainteresowany łucznictwem. Znakomite ćwiczenie. A pani, madame?

– Cóż – odpowiedziała Demelza, zaskoczona zmianą frontu Powysa-Jonesa. Sądziła, że podział towarzystwa na dwie pary pasuje do planów pułkownika, a poza tym domyślała się, że Edward chciałby zostać z Clowance sam na sam na kilka minut. – Cóż... przyznaję, że miałam wielką ochotę zobaczyć Roundway. Ciekawie opowiadał pan o bitwie, pułkowniku, więc pragnęłam zobaczyć jej miejsce i usłyszeć pańskie dalsze uwagi...

– Wybierzemy się tam jutro – odparł Powys-Jones.

– Dziś jest wspaniała pogoda na przejażdżkę, pułkowniku...

– Nonsens... Proszę wybaczyć, madame, ale niech pani spojrzy na te chmury. Lada chwila może lunąć deszcz. I co wtedy? Nie... Łucznictwo to doskonałe ćwiczenie. Strzelała pani kiedyś z łuku, madame?

– Nie. Nic nie wiem o łucznictwie.

– W takim razie wszystkiego panią nauczymy. Bardzo prosty sport. Wystarczy wystrzelić strzałę. Nie potrzeba prawie żadnych umiejętności.

W dziwnym nieładzie zaczęli się wspinać na wzgórze. Zasmucony Edward gryzł kciuk, Clowance w milczeniu kroczyła obok niego, wachlując się różową rękawiczką. Powys-Jones sztywno wyciągnął rękę, by Demelza się na niej wsparła, a woźnica odjechał kaleszą wąską drogą, by czekać na państwa, gdy powóz znowu będzie potrzebny.

Tajemnica zmiany planów pułkownika wyjaśniła się dopiero, gdy dotarli do strzelnicy. Edward przyniósł z pawilonu łuki i kołczany, oddał kilka próbnych strzałów do tarczy, po czym poprosił, by goście również spróbowali. Demelza zauważyła, że Edward często muska Clowance

w trakcie nauki, lecz mimo to zachowuje się nieskazitelnie. Pułkownik Powys-Jones nie zachowywał się nieskazitelnie. Najwyraźniej miał zamiar objąć Demelzę: jedną ręką trzymał jej dłoń dzierżącą łuk, a drugą pomagał naciągnąć cięciwę. Ponieważ nauczyciel był dwa i pół centymetra niższy od uczennicy, próba nie zakończyła się wielkim sukcesem, choć pułkownik wydawał się zadowolony. Pierwsza strzała wystrzelona przez Demelzę poleciała w powietrze i upadła kilkanaście metrów od tarczy. W niebo wzbilo się stado szpaków.

Demelzie przekrzywił się kapelusz, więc go zdjęła i rzuciła na trawę.

– Doprawdy, pułkowniku, myślę, że lepiej byłoby...

– Nie, proszę trzymać łuk nieruchomo. Prawie się pani udało. Pomogę pani.

Lekcja trwała, a Demelza jak mogła, starała się unikać rąk pułkownika. Druga strzała Clowance była dobrze wycelowana, lecz utkwiała w ziemi trzy metry przed tarczą.

– Brawo! – zawołał Edward. – Naprawdę znakomity strzał! Jeśli nieco podniesiemy łuk...

– Teraz kolej na mamę.

Druga strzała Demelzy poleciała w zupełnie innym kierunku niż pierwsza. Tym razem spłoszyło się kilka owiec. Pułkownik Powys-Jones z zadowoleniem oblizał suche wargi i ścisnął przedramię Demelzy.

– Jeszcze raz, moja droga...

– Zastanawiam się, dlaczego w tej okolicy wszystkie owce noszą czarne pończochy – odezwała się Demelza.

– Och, to nie pończochy, pani – odparł lord Edward. – To rasa... – Urwał.

Clowance roześmiała się perliście.

– Bardzo przepraszam – zwrócił się do niej Edward. – Pani mama... Nigdy nie wiem, kiedy mówi poważnie.

– Od dawna wszyscy mamy z tym kłopoty – odpowiedziała Clowance.

– Niestety, strzała zaplątała mi się w suknię. Jeśli pan pułkownik nie pozwoli mi jej wyjąć, będę musiała podrzeć suknię albo strzelić sobie w stopę.

– O nie, madame, po prostu pomagam pani celować...! Proszę uważać! Proszę uważać albo grot strzały zadrapie pani śliczne ramię. Niech pani nie zdejmuje osłony!

Demelza skorzystała z okazji i delikatnie uwolniła się z objęć Powysa-Jonesa.

– Proszę nam pokazać, jak to się robi, pułkowniku. Najlepsza jest nauka na przykładach. Zaleca ją Kościół.

– Tak, tak, to dobry pomysł – wtrąciła Clowance, przybывая matce na ratunek. – Proszę, lordzie Edwardzie. Dzisiejszy ranek jest bardzo ciepły. Niech panowie strzelają, a my będziemy podziwiać i zdobywać wiedzę.

Zbliżało się południe. Wokół brzęczały pszczoły, a w krzakach leniwie ćwierkało kilka ptaków. Dwaj dżentelmeni zdjęli surduty, jakby przygotowywali się do walki na pięści, po czym

oddali po dwadzieścia strzałów, walcząc o sakiewkę zawierającą dziesięć gwinei.

Okazało się, że lord Edward ma lepsze oko (choć wcześniej twierdził, że rzadko uprawia łucznictwo), i wygrał jedenaście do pięciu. Pozostałe strzały nie trafiły w tarczę.

Kiedy pieniądze zmieniły właściciela, wszyscy usiedli na kamiennej ławce. Rozmawiali i plotkowali, aż nadeszła pora powrotu do dworu na lunch.

Demelza i Clowance poprawiały włosy, zrezygnowawszy z pomocy Enid, a Clowance odezwała się do matki:

– Ciocia Caroline właśnie przed tym mnie ostrzegła.

– Przed czym?

– Powiedziała: „Uważaj, Clowance, żeby twoja mama nie uwiodła wszystkich najciekawszych mężczyzn. To nie jej wina. Po prostu ma taką naturę”.

– Ciotka Caroline mogła wymyślić lepszą radę – odparła bez tchu Demelza. – Najciekawszych, doprawdy! Uważasz pułkownika Powysa-Jonesa za ciekawego mężczyznę?! Czy choćby przez moment go zachęcałam? Sama powiedz.

– Musiałabym się długo zastanawiać, by odpowiedzieć na to pytanie, mamo. Ale nie chodzi tylko o pułkownika. Przypomnij sobie pana Magnusa pierwszego wieczoru. I sir Johna Egertona. I młodego francuskiego arystokratę, de Flahaulta.

– Mój Boże, mógłby być moim synem! – zawołała Demelza. – No, prawie – zreflektowała się po chwili.

– Jest jednak dostatecznie dorosły, by traktować cię jak kobietę.

– Och, to Francuz. Wielu Francuzów tak się zachowuje. – Demelza przypomniała sobie dwóch przystojnych Francuzów, których poznała przed szesnastu laty. Obaj zginęli w czasie nieudanego desantu na wybrzeżu Zatoki Biskajskiej. Ross ryzykował wraz z nimi życie, a Drake o mało nie zginął.

– Tak czy inaczej, wreszcie rozumiem, dlaczego ojciec ukrywa cię w Namparze – powiedziała Clowance.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak niestosowne są takie uwagi ze strony córki do matki – odparła Demelza. – Lepiej zastanów się nad własną sytuacją.

– Stale o niej myślę! Jestem pewna, że gdybyś zalotnie zerknęła na Edwarda, zacząłby się zalecać do ciebie zamiast do mnie. Och, to przykre!

Demelza odłożyła grzebień.

– Porozmawiajmy poważnie, Clowance. Choćby chwilę. Czujesz coś do niego?

Clowance znieruchomiała i wyjrzała przez okno.

– Chcesz, żebym czuła?

– Chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Ach...

– Czy ci się podoba?

– Sama chciałabym wiedzieć... Nie... nie Kocham go.

– Kochasz kogoś innego?

Na twarzy córki pojawił się cień.

– N-nie...

– Czy on... mam na myśli lorda Edwarda... Uważasz, że ma poważne zamiary?

– Przypuszczam, że tak. Patrzy na mnie w taki sposób...

– Ja też to podejrzewam... O czym szepcaliście, nim weszliśmy do domu?

– Powiedział po prostu, że się cieszy, że wreszcie nazwałam go Edwardem, a nie lordem Edwardem.

– Nie mam pojęcia, jak należy się zwracać do arystokratów.

– Cóż, to tak naprawdę twoja wina – rzekła Clowance. – Tak chciałam cię ratować ze szponów walijskiego pułkownika, że wypowiedziałam jego imię bez namysłu!

– Widzę, że to ja jestem wszystkiemu winna.

– Zaprosił mnie do swojego domu. Wydaje się, że jest całkiem blisko i wcześniej należał do rodziny Lansdowne'ów, nim kupili tę posiadłość.

Demelza dotknęła palcami boku sukni, by sprawdzić, czy materiał dobrze się układa.

– Clowance...

– Tak, mam?

– Nie wiem, jak to powiedzieć. Może nie jest to konieczne. Może to oczywiste...

– Nie mam nic przeciwko temu, byś wypowiedziała tę myśl.

Demelza w dalszym ciągu się wahała, spoglądając na córkę.

– Clowance, jeśli będziesz musiała podjąć decyzję, nie kieruj się...

– Czym?

– Nie chcę, żebyś podjęła decyzję na korzyść lorda Edwarda, kierując się świadomością, że to arystokrata, bogacz i posiada wiele rzeczy, których nigdy byś nie miała.

– Tak, mam.

– Znaczący to również, że nie powinnaś być do niego uprzedzona, bo jest bogaty. Masz wiele cech ojca i dobrze wiesz, co sądzi o takich rzeczach jak majątek i przywileje. Nie... nie przypuszczam, że poślubił mnie tylko dlatego, że byłam córką górnika, ale uważam, że zabawna strona całej sytuacji musiała mu sprawić przyjemność... Jednak ma równie sztywny kark jak reszta arystokratów, jak doskonale wiesz. Wydaje się, że atrybuje lorda Lansdowne'a, bo należą do tej samej grupy posłów w parlamencie. A zatem... – Demelza urwała i patrzyła dłuższą chwilę na córkę. – Spróbuj ocenić wszystko najlepiej, jak potrafisz: własne myśli, uczucia, sympatie, to, czy dostrzegasz ciepło w swoim i jego sercu. Miłość może się rozwinąć. Ale przede wszystkim myśl o nim jako o Edwardzie, a nie lordzie Edwardzie. – Wzruszyła ramionami. – To

niemożliwe, wiem.

– Byłabyś szczęśliwa, gdybyś wyszła za niego za mąż?

Demelza się zawahała.

– Byłabym szczęśliwa, gdybyś wyszła za mąż za odpowiedniego człowieka, ale nie wtedy, kiedy nie sprawiałoby ci to przyjemności. Byłabym szczęśliwa, gdyby twoje małżeństwo okazało się dobre. Jak każda matka, prawda?

Clowance znów zaczęła wiązać kokardę we włosach.

– Tak czy inaczej, mam, uważam, że to tylko domysły. Jestem pewna, że Edward zna mnóstwo młodych dam i uczy je strzelać z łuku. Jutro, gdy pojedę obejrzeć jego dom, będzie to część wycieczki zorganizowanej dla wszystkich gości. W przyszłym tygodniu z radością wrócimy do domu i najważniejszą decyzją, jaką będziemy musiały podjąć, będzie wybór kapelusza na podróż!

– Nie możesz się doczekać powrotu do domu?

Clowance zastanawiała się przez chwilę.

– Nie. Chyba dobrze się bawię w Bowood.

– Myślę, że ja także.

– Widziałam, że wczoraj wieczorem zaproponowano ci grę w bilard – powiedziała Clowance.

– To sir John Egerton?

– Tak.

– Czym uzasadniłaś odmowę?

– Powiedziałam, że z pewnością podrę sukno na stole.

– Myślisz, mam, że nauka gry w bilard wymaga równie bliskiego kontaktu jak nauka łucznictwa?

– Nie, kiedy inne damy się przyglądają.

### III

Demelza nauczyła się grać w wista dopiero wtedy, gdy Jeremy dorósł, i na jakiś czas karty stały się jej pasją. Później Clowance i Demelza dawały się niekiedy namówić do gry w domu. Demelza siadała od czasu do czasu przy stoliku, gdy Ross przebywał w Namparze. Z tego powodu ani Demelza, ani Clowance nie mogły twierdzić, że nie znają zasad wista, i przez kilka wieczorów grały z pozostałymi gośćmi. Clowance, zwykle nieustraszona wobec nowych wyzwań, wpadła w panikę i prawie drżała podczas gry. Demelza była dwa razy partnerką Powysa-Jonesa i miała nadzieję, że potworne błędy, które czasem popełniała, zepsują ich wspólnie rozwijającą się przyjaźń, lecz nic nie było w stanie podważyć wysokiego mniemania

pułkownika o Demelzie. Dwa wieczory spędzono na słuchaniu muzyki, dwa następne na tańcach. Goście zachowywali się wówczas najswobodniej, choć na parkiecie tańczyło zaledwie dziewięć lub dziesięć par, więc nie panował tłok. Clowance z wdzięcznością myślała o pani Gratton, która udzielała jej lekcji, a Demelza, choć nie znała najmłodniejszych kroków, dzięki wrodzonej zwinności jakoś sobie radziła. Matka i córka przyjemnie spędzały czas, zdając sobie sprawę, że są obserwowane, lecz nie miały poczucia, że ktoś przygląda im się krytycznym lub taksującym wzrokiem. W dużej mierze przyczyniła się do tego lady Lansdowne. Chociaż była córką hrabiego, jej bezpretensjonalność i roztargnienie ożywiały sztywną, oficjalną atmosferę, która mogłaby wszystko zepsuć. Demelza i Clowance odwiedziły Bremhill z dwoma innymi gośćmi i wróciły zadowolone. Czwartek był kolejnym dniem otwartym, w piątek znów zorganizowano wycieczkę na tory wyścigów konnych, a w sobotę odbyło się amatorskie przedstawienie teatralne. Do występu namówiono również Clowance.

Bosonoga Clowance, pomyślała Demelza, pędząca na złamanie karku po plaży na karym koniu, z rozwianymi jasnymi włosami, zachowująca się jak chłopiec, zawsze szczerza, uciekająca ze szkoły, bo zajęcia wydawały się nudne, z pozoru niezdolna do pustej paplaniny, której oddawały się eleganckie młode damy, w tej chwili przygotowywała się do odegrania roli Marii w sztuce zatytułowanej *Szkoła obmowy*.

Okazało się, że rola Clowance jest najtrudniejsza, ponieważ pozostałe były karykaturalne, ona zaś grała prawie samą siebie. Pożyczono jej staromodną suknię z żółtej i kremowej satyny z falbanami, wąską talią i dużym dekoltem, która przypominała Demelzie jej pierwszą suknię balową sprzed blisko dwudziestu pięciu laty. Mało pudru i makijażu, bo Clowance miała piękną cerę i włosy. Odegrała swoją rolę lepiej od pozostałych aktorów, poruszała się i mówiła swobodnie i tylko raz musiała korzystać z podpowiedzi suflera.

Mój Boże, pomyślała Demelza, jakie to wszystko dziwne! Jestem matką dorastającej córki, wręcz matroną, obracam się w arystokratycznym towarzystwie, zachowuję się skromnie i stosownie, trzymam dłonie splecione na ozdobnej torebce, trzymam nogi przy sobie, uśmiecham się uprzejmie do ludzi, którzy się do mnie odzywają, pochylam głowę to w jedną, to w drugą stronę, wyglądam jak idealna dama, a tymczasem ciągle mam na plecach dwie blizny od pasa ojca, nauczyłam się przeklinać i pluć przed siódmym rokiem życia, miałam wszy i jadłam to, co znalazłam w rynsztoku. Opiekowałam się sześcioma zagłodzonymi młodszymi braćmi. Chociaż jeden umarł, wciąż mam pięciu braci: pierwszy to kowal i kaznodzieja metodystów, drugi zarządza zakładem szkutniczym, a trzech jest górnikami pracującymi pod ziemią jak ślepe robaki i z trudem zarabiającymi na życie. Bogu dzięki, że mam rękawiczki, bo moje ręce nie są tak śnieżnobiałe jak dłonie siedzących wokół dam. W istocie jeszcze dwa tygodnie temu szorowałam głęboki rondel, który Ena źle wyczyściła. A wcześniej pracowałam nimi przez wiele lat.



Nie należę do tej samej rasy co te kobiety, różnię się pod każdym względem. Ale łaskawie nie zwracają uwagi na mój brak wyrefinowania... Lady Isabel to dobra, sympatyczna kobieta, choć wolałabym nie krzyczeć bez przerwy do jej trąbki. Kto by pomyślał, że lady Lansdowne jest w trzecim miesiącu ciąży? Ja też chciałabym być w ciąży. Chciałabym, żeby Jeremy znowu miał trzy lata, podobnie jak syn lady Lansdowne. Chciałabym mieć dwadzieścia sześć lat jak ona, chciałabym mieć przed sobą całe życie. Życie... życie ucieka jak piasek wysypujący się z rozdartego worka. Mimo to nie jestem jeszcze zupełnie stara.

Zastanawiała się, jaka przyszłość czeka Clowance. Dorastające dzieci przypominają kwitnące kwiaty – przypadek, skłonności i dziedziczność decydują, jakie wydadzą owoce. Gorące słońce? Wściekła wichura? Mróz? Clowance nie czuje skrępowania wśród arystokratów, nie budzą w niej lęku. Nie pamiętała Illuggan, nie widziała brudu, chorób, pijaństwa. Gdyby poślubiła członka wielkiego rodu arystokratycznego, dobrze pasowałaby do otoczenia. Ale czy rodzina nie spróbuje wyperswadować Edwardowi małżeństwa z dość ubogą panną? Może stale się tym zajmują. Jako młodszy brat lorda powinien bogato się ożenić. A może rodzina jest tak zamożna, że nie ma to żadnego znaczenia?

Edward grał Charlesa Surface'a, przystojnego dżentelmena w białej peruce. Prezentował się znakomicie: był nieco niezgrabnym, lecz sympatycznym młodym człowiekiem, równie świadomym swoich obowiązków jak jego wybitniejszy brat. Zasiadał w Izbie Gmin, był wigiem, zwolennikiem paternalistycznego liberalizmu, a teraz, kiedy brat przeszedł do Izby Lordów, talenty Edwarda mogły zostać szybciej docenione... Troskliwy, kochający mąż. Czy można prosić o więcej? Demelza pomyślała o Namparze, która nagle wydała jej się ponura, pozbawiona perspektyw. Nie dla niej samej, chwala Bogu. Ross jest dla niej wszystkim i jakimś cudownym zrządzeniem losu ona dla niego również. Ale zależało jej na szczęściu dzieci. Jeremy zakochał się po uszy w Cuby Trevanion – chociaż jego zaloty okazały się nieudane, nie chciał zrezygnować. Chociaż pragnął skonstruować maszynę parową do Wheal Leisure i wierzył w rewolucyjną siłę pary, w gruncie rzeczy był nieszczęśliwy, ponieważ młoda kobieta o ładnej buzi odrzuciła jego zaloty z przyczyn finansowych. Tu i teraz, w tej sali, znajduje się jej córka. Kończy występ wśród aplauzu publiczności – to finał sztuki, w której głównego bohatera grał młody arystokrata najwyraźniej zainteresowany Clowance. Dom, szczęśliwy dom, stworzony przez Demelzę dla siebie, nie był wcale szczęśliwą perspektywą dla Clowance i Jeremy'ego.

Naturalnie córka jest jeszcze bardzo młoda. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, nie musi stale tkwić w Namparze. Caroline miała rację: Clowance musi zobaczyć więcej świata.

Demelza ocknęła się z zamyślenia i zobaczyła, że pochyła się nad nią siwy, przystojny dżentelmen.

- Cudowne przedstawienie, madame. Gratuluję występu uroczej córki.
- Dziękuję, sir Johnie.

– Czy wolno mi przypomnieć o pani obietnicy złożonej zeszłego wieczoru?

– Jakiej?

– Tak często przysięgała pani, że podrze sukno na stole, jeśli weźmie pani do ręki kij bilardowy, że podejrzewam, iż jest pani mistrzynią, która nie chce nas zawstydzić swoją znajomością gry. Pułkownik Powys-Jones i panna Carlisle pragną być pani przeciwnikami, jeśli zrobiłaby mi pani zaszczyt i została moją partnerką.

Demelza miała słabość do Egertona.

– Sir Johnie, przysięgam, że niezbyt dobrze gram w bilard. Jeśli zamierza pan obstawiać, kto wygra, radziłabym poszukać innej partnerki. Może lady Isabel?

– Nie słyszałyby, kto prowadzi.

– Czy rzeczywiście trzeba słyszeć, kto prowadzi? Nie lepiej trafiać kulami w łuzy?

– Już mówiłem, że kapitalnie rozumie pani istotę gry! Proszę spojrzeć, nasi przeciwnicy czekają przy drzwiach.

W końcu Demelza poszła grać w bilard, co wychodziło jej lepiej niż strzelanie z łuku. Przede wszystkim nie rozpraszał jej stojący obok pułkownik Powys-Jones, poza tym szybko nauczyła się opierać kij na lewej ręce, zamykać jedno oko niczym żeglarz patrzący przez lunetę, skupiać uwagę na którejś z bil i posyłać ją we właściwym kierunku. Nie zawsze trafiała do łuzy, lecz sir John Egerton wydawał się zadowolony, a pułkownik Powys-Jones i panna Carlisle często byli tak rozkojarzeni, że minimalnie przegrywali.

Po zakończeniu gry składano Demelzie gratulacje. Pułkownik Powys-Jones stwierdził, że pani Poldark z pewnością ma stół bilardowy w swoim dworze na odległym wybrzeżu, gdzie mieszka. Wracał w następny wtorek do Radnorshire i chętnie zagrałby z Demelzą w Clwyd Hall, gdyby nadarzyła się sposobność. Wydawało się, że sir John Egerton zamierza wrócić z pułkownikiem Powysem-Jonesem do Walii i spędzić kilka dni w jego dworze w drodze do domu w Cheshire.

Demelza uciekła na piętro przed Clowance, która przyszła pół godziny później, mimo woli uszczęśliwiona przebiegiem wieczoru. Podczas uczenia się ról, przebierania się i ćwiczenia młode damy doskonale się bawiły i zapanowała między nimi większa harmonia niż wcześniej. Słyszano nawet śmiech panny Florence Hastings, choć zwykle uważała ona ten sposób wyrażania emocji za nieelegancki.

– Myślę, że mogę częściej chodzić do teatru – powiedziała Clowance. – Kłopot w tym, że w Truro i Redruth wystawiają przede wszystkim krwawe melodramaty. Znacznie bardziej lubię komedie obyczajowe takie jak dzisiejsza.

– Może powinnaś częściej jeździć do Londynu? – zasugerowała Demelza. – Wydawało się, że rzadko masz na to ochotę.

– Czy tam na scenie jest mniej krwi? – spytała Clowance.

– Tak, ale ludzie i tak giną. Ludzie, którzy nie mają ochoty jeździć do Tyburn, wolą oglądać egzekucje w teatrze.

Clowance rozpuściła włosy.

– Zastanawiam się, co Jeremy i Isabella-Rose robią teraz w domu.

– Przypuszczam, że leżą w łóżkach. Chyba że planują jakąś psotę. Wiesz, że pułkownik Powys-Jones i sir John Egerton chcą, byśmy we wtorek po przyjęciu pojechali z nimi do Walii?

Clowance się roześmiała.

– Myślisz, że wrócimy bezpiecznie?

– Zależy, co przez to rozumiesz – odparła Demelza.

– Moim zdaniem papa by tego nie zaaprobował.

– Musisz kiedyś posłuchać tyrady pułkownika Powysa-Jonesa na temat mężów. Uważa ich za niepotrzebny balast.

– Chyba nie chcę, żeby mój mąż był do niego podobny – zauważyła Clowance.

– Ani ja – dodała matka.

#### IV

Zaplanowano, że po niedzielnym nabożeństwie wszyscy wybiorą się na wycieczkę do Bath, by obejrzeć opactwo i napić się wody mineralnej. Dzień był pogodny i ciepły; miała to być ostatnia wyprawa przed odjazdem gości.

Jak się okazało, Demelza, która miała wielką ochotę na tę wycieczkę, nie mogła w niej uczestniczyć, ponieważ wczesnym rankiem dostała migreny. Spędziła cały dzień w łóżku.

W Bath lord Edward poprosił Clowance o rękę. Odmówiła, starając się zachowywać taktownie i delikatnie.

#### V

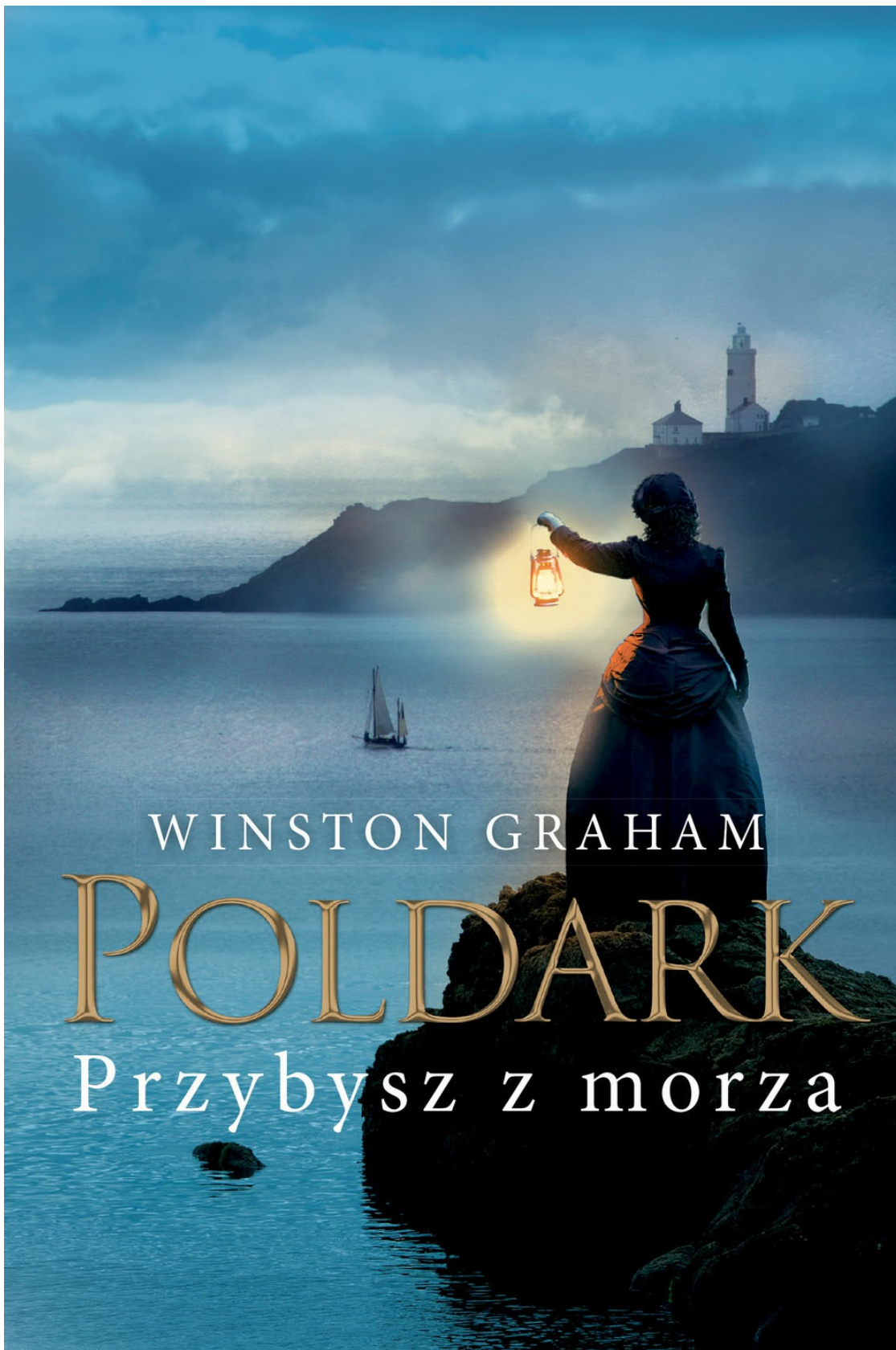
Zgodnie z planem goście rozjechali się we wtorek rano. Pułkownik Powys-Jones, który po raz ostatni bez powodzenia próbował uprowadzić Demelzę do swojej walijskiej fortecy, opuścił Bowood z zasmuconą miną wraz z sir Johnem Egertonem. Helena Fairborne podążyła do rodzinnego domu w hrabstwie Dorset własną kareta w towarzystwie pokojówki i masztalera. Podobnie panna Hastings, choć dzieliła kareta z Dawsonami. Pani i panna Poldark pożegnały się nieco później, gdyż kareta mająca je zabrać do Bath nieco się spóźniła. Na końcu musiały się śpieszyć, ponieważ dylizans z Bath do Taunton nie mógł czekać. Pośpiech ten im sprzyjał, bo dzięki niemu nie było wiele czasu na pożegnania. Demelza pochyliła się i pocałowała w policzek

lady Isabel Fitzmaurice; pozostałe osoby również były miłe, lecz to ją Demelza potraktowała szczególnie serdecznie. Lord Edward zszedł po schodach, by pożegnać Clowance i Demelzę. Zachowywał się bardzo grzecznie, ale można było w tym wyczuć lekkie napięcie. Koła karety skrzypiały na żwirze, gdy woźnica zawrócił; koń uderzał kopytami w ziemię i parskął. Kiedy Demelza i Clowance odjeżdżały piękną aleją w stronę dalekiej bramy, Edward się odwrócił, wszedł po schodach i ruszył w zamyśleniu przez wielki dwór, który po hałasach i krzątaniu ostatnich dwóch tygodni wydawał się teraz bardzo cichy. W czwartek rodzina rozpocznie przygotowania do piątkowego wyjazdu do Szkocji. Przyjadą na długo przed dwunastym.

Edward podszedł do biurka w przestronnej sypialni z widokiem na park krajobrazowy, otworzył szufladę i wyjął list napisany w ostatni piątek do kapitana Rossa Poldarka. Przeczytał go dwukrotnie, a następnie podarł i wyrzucił do kosza na śmieci. Wydmuchał nos i podszedł do okna, by zobaczyć, czy kareta już zniknęła. W istocie tak było. Zszedł na dół, by dołączyć do rodziny.

## *Przypisy końcowe*

1. William Shakespeare, *Życie Henryka V* (akt IV, scena III), przeł. Leon Ulrich, w: tegoż, *Kroniki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1958 (tom III *Dzieł dramatycznych*), s. 520 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)
2. George Herbert, *Cnota*, przeł. Jerzy S. Sito, w: *Poeci języka angielskiego*, tom I, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1969, s. 519. [\[wróć\]](#)
3. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu*, przeł. Jakub Wujek, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa (bez roku wydania; przedruk edycji krakowskiej z 1599 roku), Drugie Księgi Mojżeszowe, XX, 12, s. 77. [\[wróć\]](#)
4. William Shakespeare, *Hamlet* (akt I, scena V), przeł. Józef Paszkowski, w: tegoż, *Tragedie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1958 (tom VI *Dzieł dramatycznych*), s. 41. [\[wróć\]](#)
5. Robert Burns, *Do myszy*, przeł. Stanisław Barańczak, w: Stanisław Barańczak, *Wybór wierszy i przekładów*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1997, s. 439. [\[wróć\]](#)



WINSTON GRAHAM

# POLDARK

Przybysz z morza